

Inspirująca i poruszająca... Niektóre zdania uderzają tak mocno, że chce się krzyczeć z bólu

THE TIMES

CHRIS CLEAVE

**DZIELNYM
BĘDZIE
PRZEBACZONE**

Śmiała i odważna
OBSERVER

Olśniewająca
NEW YORK TIMES

Świat Książki

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Część pierwsza. ZABEZPIECZENIE

Część druga. WYCIĘCZENIE

Część trzecia. ODRODZENIE

Od Autora

Podziękowania

CHRIS CLEAVE

**DZIELNYM
BĘDZIE
PRZEBACZONE**

Z angielskiego przełożył
Bohdan Maliborski


Świat Książki
wydawnictwo

Tytuł oryginału
EVERYONE BRAVE IS FORGIVEN

Wydawca
Grażyna Woźniak

Redaktor prowadzący
Tomasz Jendryczko

Redakcja
Agnieszka Niegowska

Korekta
Jadwiga Piller

Copyright © Cris Cleave, 2016
Copyright © for the Polish translation by Bohdan Maliborski, 2017

Świat Książki
Warszawa 2017

Świat Książki Sp. z o.o.
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Skład i łamanie
Joanna Duchnowska

Dystrybucja
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o., sp. j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
e-mail: hurt@olesiejuk.pl, tel. 22 733 50 10
www.olesiejuk.pl

ISBN 978-83-8031-705-5

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

Moim dziadkom – Mary i Davidowi, NJ i M

Część pierwsza

ZABEZPIECZENIE

Wojnę wypowiedziano o jedenastej piętnaście, a Mary North zgłosiła się jako ochotniczka w południe. Zrobiła to podczas lunchu, jeszcze zanim odebrała telegramy, na wypadek, gdyby jej matka się temu sprzeciwiła. Odłożyła ukończenie studiów na później. Zjechawszy na nartach z Mont-Choisi, porzuciła sprzęt u stóp zbocza i już z Lozanny nadała telegram do War Office. Po dziewiętnastu godzinach, wciąż ubrana w narciarski sweter, dotarła w kłębach pary na dworzec St Pancras. Usłyszała ostry gwizd pociągu. Czyli Londyn. Miasto zakochane w nowych początkach.

Od razu pośpieszyła do War Office. Mapka, którą jej przesłali, jeszcze pachniała atramentem. Mary ruszyła śpiesznie przez miasto, by nie uronić choćby minuty tej wojny, zmartwiona, że już coś ją ominęło. Gdy przebiegała przez Trafalgar Square, machając na taksówki, z chodnika zrywały się gołębie, a trzepot ich skrzydeł był niczym dźwięk tysiąca noży stukających w wypełnione bordeaux kieliszki z prośbą o uwagę. Za chwilę się zacznie – ta przerażająca i wspaniała batalia, której w żaden sposób nie mogli wygrać bez niej.

Bo, w końcu, o co chodziło na wojnie, jak nie o morale w hełmach i dżipach? A czym było morale, jak nie stoma milionami drobnych rozmów, których suma da żołnierzom odwagę przeciw naprzód? Istotą wojny były pogawędki, od których Mary była prawdziwym ekspertem. Tamten ranek był taki, jak jej nastrój – bezchmurny i jak żaden dotąd. Dziesięć tysięcy młodych kobiet śpieszyło pod przejrzystym londyńskim niebem, by zająć pozycje na rozkaz wydany w Whitehall, w starych, przepastnych, wyłożonych marmurem komnatach tej bestii. Mary z radością dołączyła do tego

ochoczego tłumy.

List z War Office nie zawierał innych szczegółów i dobrze to wróżyło. Mianują ją oficerem łącznikowym lub attaché przy sztabie generalnym. Wszystkie funkcje wymagające elokwencji przydzielano dziewczynom z dobrych domów. Pojawiła się nawet plotka, że szukają szpiegów, co najbardziej przemawiało do wyobraźni, bo umożliwiało odgrywanie podwójnej roli.

Mary złapała taksówkę i pokazała mapkę kierowcy. Przyjrzał się jej, odsuwając na długość ręki i wpatrując się w czerwony krzyżyk w miejscu, gdzie miała się zgłosić. Mary miała wrażenie, że chwila ta ciągnie się w nieskończoność.

– To ten duży budynek przy Hawley Street?

– Tak. Najszybciej jak się da – odpowiedziała Mary.

– Czyli szkoła.

– Nie sędzę. Mam się zameldować do wojska.

– Nie słyszałem, żeby było tam coś innego. Pozostałe budynki to domy mieszkalne.

Mary już otworzyła usta, żeby zaprzeczyć, ale się powstrzymała i zaczęła poprawiać rękawiczki. Jasne, że to żadna błyszcząca wieża tuż przy siedzibie Gwardii Konnej z tabliczką „Ministerstwo Szalonych Intryg”, tylko jakiś niepozorny budynek.

– Oczywiście. Pewnie mianują mnie nauczycielką.

– To by się zgadzało. – Skinął głową taksówkarz. – Bo połowę nauczycieli w Londynie wyślą na wojnę.

– W takim razie miejmy nadzieję, że trzcinki okażą się skuteczne w walce przeciwko czołgom.

Taksówkarz zawiózł ją na Hawley Street z nie większym pośpiechem niż ten, na jaki zasługuje nauczycielka. Mary przyjęła pozę zwykłej młodej kobiety, dla której jazda taksówką stanowi wielką ekstrawagancję, a perspektywa zatrudnienia w charakterze nauczycielki jest czymś wyjątkowo ekscytującym. Jej mina wskazywała, iż jest szczerze pochłonięta tym co tu i teraz, niczym – jak sobie wyobrażała – miny krów bądź gęsi.

Kiedy podjeżdżali pod budynek szkoły, Mary czuła, że jest

obserwowana. Dla zasady dała taksówkarzowi cztery razy mniejszy napiwek niż zwykle. W końcu to był jej pierwszy test. Ruszyła nieśmiałym krokiem zwykłej dziewczyny, która stawia się na rozmowę w sprawie posady. Jakby nie chciało się przed nią rozstąpić powietrze. Jakby ziemia jęczała od ran zadawanych przez każde jej stąpienie.

Weszła do gabinetu dyrektorki i przedstawiła się. Panna Vine skinęła głową, lecz nawet nie spojrzała na nią zza biurka. Ptasia, w rozpinanym swetrze, okulary na łańcuszku.

– North. – Mary z emfazą powtórzyła swoje nazwisko.

– Tak, już słyszałam. Obejmie pani klasę Pustulek. Proszę zacząć od sprawdzenia listy obecności i możliwie jak najszybciej nauczyć się nazwisk.

– Świetnie – przytaknęła Mary.

– Uczyła już pani kiedyś?

– Nie, ale nie przypuszczam, żeby to było jakieś wielkie halo.

Dyrektorka przeszła ją lodowatym spojrzeniem.

– Pani przypuszczenia nie należą do programu nauczania.

– Proszę mi wybaczyć. Nie, nigdy nie uczyłam.

– Doskonale. Musi pani być stanowcza. Proszę nie pozostawiać im swobody i nie lekceważyć faktu, że dziecko powinno ładnie formować litery. Jaka ręka, taka głowa.

Mary miała wrażenie, że „dyrektorka” trochę przesadza. Może wspomni o tym jej przełożonej, kiedy już się dowie, do jakiej formacji ją przydzielili. Choć jej przywiązanie do szczegółów było rzeczywiście imponujące. Kubki z naostrzonymi ołówkami, pudełka z pinezkami, równiutka sterta śpiewników obłożonych w różne papierowe okładki – jakby to naprawdę dzieci przyłożyły się do wykonania tego zadania zleconego im w pierwszym tygodniu nowego roku szkolnego.

Dyrektorka uniosła wzrok.

– Nie rozumiem, skąd ten uśmiezek.

– Przepraszam – zmitygowała się Mary, nie mogąc powstrzymać porozumiewawczego spojrzenia, a gdy dyrektorka go nie

odwzajemniła, lekko się zmieszała.

– Pustułki. Korytarzem na wprost, trzecie drzwi po lewej.

Kiedy Mary weszła do klasy, trzydzieścioro jeden dzieci zasiadających przy biurkach z podnoszonym blatem zamilkło. Wpatrywały się w nią niczym sowy, obracając głowami. Na oko mogły mieć osiem, może dziesięć lat, choć – jak to dzieci – były przecież niewidzialne i należało naprawdę wyteńczyć wzrok, by w ogóle je zauważyć.

– Dzień dobry. Nazywam się Mary North.

– Dzień dobry, panno North.

Wyśpiewały to powitanie odwiecznym tonem wyrażającym tyleż szacunku, co drwiny, w sposób tak doskonały, że Mary aż ścisnęło w dołku. To wszystko było nazbyt realne.

Przed lunchem uczyła ich matematyki, a później pisania wypracowań, wciąż żywiąc nadzieję, że kurtyna wreszcie opadnie, próba się skończy i w końcu ją zwerbują. Kiedy dzwonek obwieścił koniec ostatniej lekcji, Mary pobiegła na najbliższą pocztę i wysłała pełen oburzenia telegram do War Office, wyrażając wątpliwość, czy przypadkiem nie zaszła jakaś pomyłka.

Oczywiście nie było mowy o pomyłce. Pośród wszelkich zarzutów stawianych Londynowi podczas zbliżającej się wielkiej zawieruchy – o konwoje gubiące eskortę we mgle, o dostawy tycłów z niepasującymi lufami i o kochanków o sercach niewłaściwego kalibru – ani razu nie stwierdzono, by stolica Imperium zawiodła w precyzyjnym informowaniu, gdzie kto ma rozpocząć walkę.

Wrzesień 1939

Mary niemal się rozplakała na wieść, że jej pierwszym zadaniem będzie ewakuacja uczniów na wieś, a kiedy dotarło do niej, że Londyn ewakuował w pierwszej kolejności zwierzęta z zoo, wpadła w furię. Skoro wygnanie stało się koniecznością, to stolica powinna cenić wyżej dzieci niż ary i piżmowoły.

Przyjrzała się swoim pomalowanym szminką ustom w kieszonkowym lusterku, po czym podniosła rękę.

– Tak, panno North?

– Czy to nie skandal, że najpierw ewakuowano zwierzęta?

Wypowiedziała te słowa przy dzieciach ustawionych w szeregu w miejscu zbiórki przed opustoszałym londyńskim zoo w oczekiwaniu na ewakuację. Uczniowie wydali z siebie nieśmiały pomruk aprobaty. Dyrektorka obrzuciła ją chłodnym spojrzeniem, co sprawiło, że Mary ogarnęło zwątpienie. Ale przecież nie powinno być tak, że najpierw ratuje się zwierzęta. Czyż nie taką decyzję podjął znudzony starzec Noe, który zapełnił arkę durnym bydłem, a nie energicznymi dziećmi, które reagują na pytania? Tak właśnie zatopiono najlepsze korzenie ludzkości. To dlatego ludzie są skłonni do przemocy potomkami Chama, Sema i Jafeta, wypowiadającymi wojnę w czasie, który Mary zarezerwowała na szydełkowanie.

Dyrektorka jedynie westchnęła. Zwłoka wynikała po prostu z faktu, że marmozecie nie trzeba wypisywać nazwiska na bagażu, towarzyszyć jej w wagonie drugiej klasy i przydzielać do odpowiedniej rodziny w Cotswolds. Niższym naczelnym wystarczała do podróży ciężarówka i stosowna karma, podczas gdy *Homo sapiens*, taki Henry czy Sarah, mieli całą gamę potrzeb, które sumienna biurokracja musiała nie tylko przewidzieć, lecz także

zaspokoić i dodatkowo udokumentować na formularzach, które najpierw musiały dotrzeć z drukarni.

– Rozumiem – odrzekła Mary. – Dziękuję.

Jasne, że taki był powód. Mary była wściekła, że ma ledwie osiemnaście lat. W tym wieku żale i pretensje wypalają dziury w zdrowym rozsądku niczym rozżarzone węgle w kuchennych rękawicach. To dlatego w Londynie wciąż roilo się od dzieci, podczas gdy zoo świeciło pustkami, a trzysta niesprzedanych porcji orzeszków dla małą po pół pensa każda, zawiniętych w małe rozki z gazet, zalegało samotnie w tamtejszym kiosku.

Mary znów podniosła rękę, by po chwili ją opuścić.

– Tak? Jeszcze coś? – spytała panna Vine.

– Nie, nic. Przepraszam.

– No to dobrze.

Dyrektorka na moment oderwała wzrok od dzieci i zmierzyła Mary pełnym współczucia spojrzeniem.

– Pamiętaj, że teraz jesteś po naszej stronie. No wiesz, nas, dorosłych.

Mary niemal poczuła, jak kości trzeszczą jej z niechęci.

– Dziękuję, panno Vine.

W tym momencie jedyne kolorowe dziecko w szkole, korzystając z nadarżającej się okazji, wyłamało się z szyku i wspięło na zamkniętą na kłódkę bramę zoo. Dyrektorka obróciła się na pięcie.

– Zachary Lee! Wracaj tu zaraz!

– Bo co? Wyśle mnie pani na wieś?

Wszyscy uczniowie wstrzymali oddech. Tymczasem niezwykły ciemnoskóry dziesięciolatek zasalutował. Przerzucił chude brązowe nogi przez bramę, trzymając się obydwu liter „O” z kutego żelaza niczym lęków konia, i natychmiast zniknął im z oczu.

Panna Vine obróciła się do Mary.

– Lepiej przyrowadź tu tego czarnucha.

Była to jej pierwsza misja ratunkowa podczas tej wojny. Rozpłoniona i nabuzowana Mary North przeczesywała opustoszałe zoo, przemierzając wciąż dobrze utrzymane ścieżki. Sama poczuła się lepiej. Wyciągnęła ukradkiem papierosa. Drugą ręką pomasowała brew, pewna, że dzięki temu na jej czole nie zagnieździ się frasunek. Wszelkie przeciwności można przecież pokonać, tak jak można strzepnąć popiół z rękawa czy wygonić zabłąkaną pszczołę przez otwarte okno.

Mary zdążyła już sprawdzić wybieg dla żyraf i wielkich kotów. Gdy usłyszała kasznięcie, przez rozwartą na oścież furtkę weszła ostrożnie do zagrody dla człowiekowatych. Zaczęła przedzierać się przez słomę, wzniesając odór moczu i piżma, który ją przeraził i wprawił jej serce w trzepot. Miała jednak nadzieję, że opiekun nie przeoczył wielkiego goryla, gdy je liczył, umieszczając w ciężarówce.

– Wyłaż, Zachary Lee. Wiem, że tu jesteś.

Dziwnie się czuła w tym gorylim domu, gdy wyglądała na zewnątrz przez wymazane szyby.

– No chodź, Zachary, skarbie, bo obydwoje będziemy mieli kłopoty.

Drugie kasznięcie i szelest słomy. A potem słowa wypowiedziane z miękkim, amerykańskim akcentem:

– Nie wyjdę.

– Dobra – rzuciła Mary. – Będziemy tu gnić, aż wojna się skończy i nikt się nie dowie, jakim talentem moglibyśmy się podczas niej wykazać.

Przysiadła obok chłopca, rozłożywszy swój czerwony żakiet różową jedwabną podszewką do ziemi. Trudno było jej zachować ponury nastrój. Niech mówią o wojnie, co chcą, ale ją przynajmniej wyrwała z Mont-Choisi przed popołudniem, które miała spędzić na malowaniu paznokci, i mogła jej szykować jeszcze inne miłe niespodzianki. Zapaliła kolejnego papierosa i wypuściła dym w przeświecające z góry promienie słońca.

– Mogę dostać jednego? – spytał dziecinnym głosem.

– Piękna prośba – pochwaliła go Mary. – Ale nic z tego. Musisz mieć skończone jedenaście lat.

Z punktu zbiórki dobiegł ich dźwięk gwizdka. Mógł oznaczać, że nad Londyn nadlatują ciężkie bombowce albo że uczniów podzielono na dwie z grubsza równe drużyny, które zaraz rozpoczną mecz palanta.

Zachary wychylił głowę ze słomy. Mary wciąż zadziwiał fakt, że ma brązową skórę i orzechowe oczy. Kiedy pierwszy raz się uśmiechnął, zachwyciła się, gdy mignął jej róż jego języka. Wyobrażała sobie, że będzie... no może nie brązowy, ale z pewnością równie kontrastujący z różem, co brąz z bielą. Może niebieskawy, jak u scynki. Nie zdziwiłaby się, gdyby miał czarną krew i odchody w kolorze kości słoniowej. Był pierwszym Murzynem, którego widziała z bliska – bo trudno do nich zaliczyć tych z plakatów reklamujących występy minstreli^[1] – i wciąż musiała się powstrzymywać, by się w niego nie wgapić.

Żdźbła słomy przyczepiły mu się do włosów.

– Proszę pani? Dlaczego wywieźli zwierzęta?

– W każdym przypadku powód był inny – odpowiedziała Mary, odliczając te powody na palcach. – Hipopotamy dlatego, że są potwornie tchórzliwe, wilki, bo nigdy do końca nie wiadomo, po czyjej są stronie, a lwy, bo mają zostać zrzucone na spadochronach do zoo w Berlinie, żeby rozprawić się z wielkimi kotami Herr Hitlera.

– To między zwierzętami też jest wojna?

– Naturalnie. Czyż nie byłoby niedorzecznością, gdybyśmy tylko my się bili?

Wyraz twarzy chłopca sugerował, że wcześniej nie brał tego pod uwagę.

– Ile to jest dwa razy siedem? – spytała, korzystając z okazji, Mary.

Zachary zaczął liczyć jak pilny i gorliwy uczeń, który nie zamierza dać za wygraną, przynajmniej do czasu, aż zabraknie mu palców u rąk. Nie pierwszy raz w tym tygodniu Mary powstrzymała

uśmiech oraz rozkoszną myśl, że uczenie może nie być najgorszym sposobem na spędzanie wolnego czasu między śniadaniem a wypełnianiem obowiązków towarzyskich.

We wtorkowy ranek, po sprawdzeniu listy obecności i przed wydaniem dzieciom mleka w małych szklanych butelkach, Mary wypisała nazwiska wszystkich trzydziestu jeden uczniów na brązowych identyfikatorach i przewlekła je przez górne dziurki ich kurtek. Dzieci oczywiście zaczęły się nimi wymieniać, gdy tylko się od nich odwróciła. Były jedynie ludźmi, nawet jeśli nie podjęły jeszcze wysiłku, by urosnąć.

Było rzeczą równie oczywistą, że postanowiła zwracać się do nich, używając tych zamienionych imion – nawet Elaine w przypadku chłopców i Peter w przypadku dziewczynek – i zachowując przy tym całkowitą powagę. Była zachwycona łatwością, z jaką wybuchały śmiechem. Okazało się, że jedyną różnicą między dziećmi a dorosłymi jest to, że te pierwsze są gotowe włożyć dwa razy więcej energii w to, by się nie smucić.

– Dwanaście? – spytał Zachary.

– Co „dwanaście”?

– Siedem dodać siedem – przypomniał jej poirytowanym tonem zarezerwowanym dla dorosłych, którzy zadają pytania bez refleksji na temat poziomu emocji, jakich wymaga udzielenie odpowiedzi.

Mary pokręciła przepaszająco głową.

– Całkiem blisko.

Znów rozległ się dźwięk gwizdka. Ponad wybiegami z nadzieją krążyły mewy. Wspomnienie o porze karmienia pozostawało żywe. Mary poczuła ból. Wszystkie rozkłady zajęć świata trzepotały na błękitnym niebie, włózione przez wiatr.

– Trzydzieście?

Mary uśmiechnęła się.

– Pokazać ci? Jesteś bystrym chłopcem, ale jak na dziesięciolatka masz ogromne zaległości w rachowaniu. Pewnie nikt nie zadał sobie trudu, żeby cię tego nauczyć.

Mary uklękła na sianie, chwyciła dłonie Zachary’ego – wciąż

zdumiona, że nie są cieplejsze niż ręce białego – i pokazała mu, jak odliczyć na palcach drugą siódmkę.

– Teraz już rozumiesz? Siedem i jeszcze siedem daje czternaście. Po prostu się nie zatrzymuj.

– Aha...

Jakież te dzieci miały zdziwione i zawiedzione miny, kiedy czary musiały ustąpić miejsca chłodnemu rozumowi.

– A trzy razy siedem, Zachary? Dwie siódmki już masz.

Chłopiec przyjrzał się swoim wyprostowanym palcom, po czym przeniósł wzrok na Mary.

– Na jak długo? – spytał.

– Co „na jak długo”?

– Na jak długo nas tam wysyłają?

– Do czasu, aż w Londynie znów zrobi się bezpiecznie. Pewnie długo to nie potrwa.

– Boję się jechać na wieś. Chciałbym, żeby tata też pojechał.

– Rodzice nie mogą jechać. Ich praca ma podstawowe znaczenie dla wyniku tej wojny.

– Wierzy pani w to?

Mary zdecydowanie pokręciła głową.

– Jasne, że nie. Praca większości ludzi nie ma sensu: aktuariuszy, likwidatorów czy mędrkowatych profesorów. Byliby bardziej użyteczni, gdyby recytowali limeryki albo wypychali skarpetki brokatem.

– Mój tata występuje z minstrelami w teatrze Lyceum. To użyteczne?

– Dla morale z pewnością. Gdyby takie przedstawienia nie były potrzebne, już dawno by je ewakuowali. Rozśpiewanym pociągiem? Jak myślisz?

Chłopiec jednak powstrzymał uśmiech.

– Nie będą mnie chcieli na wsi.

– Niby dlaczego?

Zbolała dziecięca mina w obliczu czyjejś bezdennej tępoty.

– Ach, rozumiem! Myślę jednak, że wszyscy będą tam niezwykle

zaciekawieni. Pewnie z początku będą cię dotykać i poszturchiwać, ale kiedy już się przekonają, że twoja skóra nie zbieleje, na pewno nie będą mieli nic przeciwko. Ludzie są zwykle mili.

Zachary był wyraźnie zamyślony.

– Tak czy siak – ciągnęła Mary – wybieram się tam, dokąd nas wysyłają, i przysięgam, że cię nie zostawię.

– Będą mnie nienawidzić.

– Bzdura. Czy to minstrele napadli na Polskę? Czy to trupa murzyńskich aktorów zajęła Sudety?

Zachary wpatrywał się w nią w skupieniu.

– Widzisz? – zakończyła Mary. – Tamtejsi mieszkańcy wolą ciebie od Niemców.

– Mimo to nie chcę tam jechać.

– Ale przecież w tym cała zabawa! Po prostu jedziesz tam, gdzie ci każą. Wszyscy się w to teraz bawią.

Nagle Mary uświadomiła sobie, że nie ma nic przeciwko temu, że ich ewakuują. To jak wielka gra w ruletkę, i tak trzeba do tego podchodzić. Dzieci zażyją świeżego wiejskiego powietrza, a ona... Czymże była wieś, jak nie zbiorem niezliczonych, luźno spętanych Heathcliffów?

Wyobraźmy sobie, że ta wojna zaskoczy nas wszystkich, pomyślała. Załóżmy, że pociąg wywiezie nas w jakieś dzikie miejsce z dala od tych obyczajnych uliczek, gdzie co trzecia osoba zna jakąś anegdotę o mojej matce lub głośuje w obwodzie wyborczym mojego ojca.

Oczami wyobraźni Mary ujrzała siebie na wsi w ślicznej wiosce pełnej energicznych młodych ludzi, którym wojna narzuciła w życiu nową rolę. To będzie jak obrót kalejdoskopu, tyle że z gramofonem i tańcami. Żeby zaimponować swojej przyjaciółce, Hildzie, Mary zakocha się w pierwszym mężczyźnie, który okaże się choć trochę interesujący.

Ścisnęła dłoń ciemnoskórego chłopca. Jego słodki uśmiech stał się dopełnieniem optymistycznego nastroju, jaki ją ogarnął.

– Chodź – rzuciła. – Dołączmy do tamtych, zanim zgarną dla

siebie cały ubaw.

Kiedy wstali, Mary otrzepała chłopca ze słomy. Chudy, ze spłoszonym wzrokiem, wyglądał jak na zdjęciu rentgenowskim z kępką niesfornych włosów na głowie. Mary ze śmiechem pokręciła głową.

– Co?

– Zachary Lee, naprawdę nie wiem, po co cię ewakuujemy. Wyglądasz, jakby już spadła na ciebie bomba.

Chłopiec zmarszczył brwi.

– A ty palisz o tak!

Zachary przybrał pozę Mary palącej papierosa jak Bette Davis, jakby żarzący się craven „A” zmuszał ją do nadludzkiego wysiłku. Uniesiony w górę czubek papierosa, elegancko wyprostowany nadgarstek i dwa palce niczym u znużonej świętej udzielającej błogosławieństwa.

– Może i tak! – zgodziła się Mary. – W takim razie pokaż mi, jak ty to robisz.

Zręcznie niczym sztukmistrz wyczarowujący pensówkę, Zachary obrócił rozżarzoną końcówkę wyimaginowanego papierosa do wnętrza dłoni. Rozejrzał się czujnie w lewo i w prawo, głęboko się zaciągnął, odwrócił głowę i kącikiem ust wypuścił dym w kierunku słomy. Zrobił to niemal niepostrzeżenie, jak wróbel, który wypróżnia się, przysiadłszy na gałęzi.

– Dobry Boże! Palisz, jakby ktoś mógł ci tego zabronić – skomentowała Mary.

– Palę jak facet – odparł chłopiec z udawanym znużeniem.

– Cóż, zatem oprócz czytania, pisania i rachunków pewnie nie ma nic, czego mogłabym cię nauczyć.

Mary chwyciła go za rękę i ruszyli przed siebie. Zachary spytał, czy lwy zostaną zrzucone na Berlin za dnia, czy też nocą. Mary odpowiedziała, że pewnie nocą, bo to zwierzęta nocne, chociaż podczas wojny kto to wie.

Wyszli z zoo przez obrotową bramkę. Mary przepuściła chłopca przodem, bo byłoby rzeczywiście śmiesznie, gdyby znów

postanowił się urwać, podczas gdy ona byłaby już po drugiej stronie. Gdyby zamienili się rolami, ona sama z pewnością nie oparłaby się takiej radosnej pokusie.

Na trawniku przy wejściu stali ustawieni trójkami uczniowie podzieleni na klasy. Mary po przyjacielsku trzymała Zachary'ego za rękę, póki nie napotkała spojrzenia dyrektorki. Wtedy zmieniła chwyt na taki, który bardziej kojarzył się z opresją.

– Z tobą rozmówię się później, Zachary – rzuciła panna Vine. – Jak tylko przydzielę nas do budynku, w którym będę cię mogła zamknąć, spodziewaj się, że trafisz do kozy.

Zachary odpowiedział irytującym uśmiechem. Mary pośpiesznie poprowadziła go w miejsce, gdzie stali uczniowie z jej klasy. Wywołała z szeregu poważną i roztropną Fay George i poprosiła ją, by utworzyła parę ze świeżo schwytanym zbiegiem, przykazując, by mocno trzymała go za rękę. Fay wykonała polecenie, wpięła nałożony rękawiczki wyciągnięte z kieszeni budrysówki. Zachary przyjął to bez komentarza, patrząc wprost przed siebie.

Dyrektorka podeszła do Mary, skrzywiła się, wyczuwając woń papierosów, i znacząco uniosła wzrok ku niebu, jakby pojawiła się na nim eskadra ryczących bombowców, której Mary w jakiś sposób nie dostrzegła. Panna Vine chwyciła Zachary'ego za ramiona i potrząsnęła nim z roztargnieniem, acz nie bez czułości, jakby pytała: „I co my z tobą pocniemy?”.

– Młodzi nie zdają sobie sprawy z ogromu problemów – powiedziała.

Mary domyśliła się, że to ją strofuje, choć równie dobrze słowa te mogły być skierowane do Zachary'ego albo – jako że dyrektorka wciąż spoglądała w niebo – do młodych pilotów Luftwaffe lub też do beztroskich aniołów.

Mary przygryzła policzek, by powstrzymać uśmiech. Polubiła pannę Vine – wcale nie była jedynie ściśniętą gorsetem zmiją. Pozostawała jednak do znudzenia czujna, jakby życie było czymś, czemu nie można zaufać.

– Przepraszam, panno Vine.

– Panno North, czy spędzała pani dużo czasu na wsi?
– Owszem. Jeździliśmy na weekendy do okręgu wyborczego
mojego ojca.

Było to dokładnie to, czego Mary próbowała nie ujawniać.

Panna Vine puściła ramiona Zachary’ego.

– Pozwoli pani ze mną na chwilę?

– Oczywiście – odpowiedziała Mary.

Odeszły na bok.

– Co natchnęło cię, by zgłosić się na ochotnika do uczenia
w szkole, Mary?

Duma nie pozwoliła jej odpowiedzieć, że nie zgłosiła się do
jakiegoś konkretnego zadania – po prostu zgłosiła się, zakładając, że
wszystko rozstrzygnie się na jej korzyść, jak zawsze do tej pory, za
sprawą niewidzialnych koneksji.

– Sądziłam, że będę w tym dobra – odparła.

– Wybacz, ale młode kobiety z twojej sfery zwykle nie biorą pod
uwagę tej profesji.

– Niekoniecznie trzeba patrzeć na to w ten sposób. Jeśli już szukać
wad kobiet z mojej sfery, to może się okazać, że one raczej w ogóle
nie biorą pod uwagę, że będą pracować.

– A ty, moja droga, dlaczego się zdecydowałaś?

– Liczyłam, że będzie to mniej wyczerpujące niż bezustanne
lenistwo.

– Nie było niczego bardziej związanego z wojną, co mogłoby ci się
wydawać chwalebniejsze?

– Chyba niezbyt pani we mnie wierzy, panno Vine.

– Jesteś niemożliwa. Niektórzy nauczyciele są tobą zachwyceni,
inni zniesmaczeni. Jesteś zbyt pewna siebie. Spoufalasz się
z dziećmi, a one nie potrzebują spoufalania.

– Chyba po prostu je lubię.

Dyrektorka spojrzała na Mary z nieskrywanym politowaniem.

– Nie możesz się zaprzyjaźnić z ponad trzydziściorgiem dzieci,
które mają potrzeby większe, niż sobie wyobrażasz.

– Myślę, że wiem, czego im potrzeba.

– Pracujesz tu od czterech dni i tylko wydaje ci się, że wiesz. To powszechny błąd, trudniejszy do skorygowania u młodych kobiet, które nie odczuwają pilnej potrzeby zarobienia dwóch funtów i siedemnastu szylingów tygodniowo.

Mary zjeżyła się, lecz z wysiłkiem powstrzymała się od odpowiedzi.

– W tym tygodniu wszystkie kłopoty były związane z twoją klasą, Mary. Zamieszanie, niefortunne zdarzenia, ucieczki. Dzieci sądzą, że mogą sobie przy tobie na dużo pozwolić.

– Współczuję im, panno Vine. Żegnają się z rodzicami, nie wiadomo na jak długo. Uznałam, że ze względu na ich stan, trochę swobody...

– Może je zabić. Nie mam pojęcia, co przyniosą następne tygodnie i miesiące, ale jestem pewna, że jeśli dojdzie do aktów przemocy, będziemy musiały mieć na nie stałe baczenie, by w każdej chwili móc umieścić je w schronie. Nie mogą przebywać Bóg jeden wie gdzie.

– Przepraszam. Poprawię się.

– Obawiam się, że nie mogę ryzykować, by dać ci na to czas.

– Słucham?

– W południe wyruszamy pieszo do Marylebone, skąd o pierwszej odjeżdża pociąg. Nie ujawniono mi celu podróży, ale przypuszczam, że będzie to Oxfordshire bądź Midlands.

– A zatem?

– Niestety, nie zabiorę cię ze sobą.

– Ależ panno Vine!

Dyrektorka położyła dłoń na jej ramieniu.

– Lubię cię, Mary, do tego stopnia, by uświadomić ci, że nigdy nie będziesz dobrą nauczycielką. Znajdź coś bardziej odpowiedniego dla twoich licznych talentów.

– Ale moja klasa...

– Sama ją tam zawiozę. Nie rób takiej miny. Ja też w swoim czasie byłam nauczycielką.

Ale ich imiona, pomyślała Mary. Nauczyłam się imion wszystkich

uczniów...

Stała przez chwilę, skupiając się na tym, by – jak uczyła ją matka – jej twarz pozostała niewzruszona.

– Świetnie – odparła.

– Jesteś chlubą swojej rodziny.

– Bez przesady – odpowiedziała Mary, bo tak wypadło.

Południe nadeszło zbyt szybko. Mary ściągnęła swoją walizkę z wózka przeznaczonego na bagaże personelu i patrzyła, jak uczniowie maszerują trójkami ulicą okalającą Regent's Park. Pustułki szły na końcu – trzydzieścioro jeden dzieci z nazwiskami w brązowych bagażowych przywieszkach. Nierozłączne, wiecznie szepczące Enid Platt, Edna Glover i Margaret Eccleston tworzyły pierwszy szereg. Przez te cztery dni ich plotki wydawały się Mary tak ekscytujące, że nigdy nie wiedziała, czy ma je uciszyć, czy też błagać, by włączyły ją do swego grona.

W drugim szeregu szły Margaret Lambie, Audrey Shepherd i Nellie Gould; Audrey z pomalowanym plakatówką pudełkiem z maską gazową, Nellie z lalką o imieniu Pinkie i Margaret, która знаła trochę francuski.

Mary została sama. Na zielonym trawniku obok opuszczonego zoo zapanowały cisza i spokój. George Woodall, Jack Taylor i Graham Brown maszerowali, wymachując rękami jak żołnierze piechoty. Podążający za nimi John Cumberland, Harry Rogers i Carl Richardson przedrzeźniali ich, pomrukując jak szympansy. Henriette Wisby, Elaine Newland i Beryl Waldorf, klasowe ślicznotki, sunęły, trzymając się za ręce i krzywiąc się na swoich kolegów łobuzów. Za nimi dreptały blade z niepokoju Eileen Robbins, Norma Reeve i Rose Montiel.

W następnym szeregu szły Patricia Fawcett, Margaret Taylor i June Knight. Ich matki utrzymywały kontakty towarzyskie i zdawało się, że ich córki i przyszłe wnuczki przedłużą tę znajomość dopóty, dopóki wojny wywoływane przez mężczyzn nie uniemożliwią im spotkań przy ciasteczkach i herbacie. Za nimi podążali Patrick Joseph, Gordon Abbott i James Wright, chichocząc

i oglądając się na Petera Cartera, Petera Halla i Johna Clarka, którzy szykowali się do splątania jakiegoś psikusa. Mary była pewna, że ich zamysł obejmuje omdlenie lub użycie atramentu.

Kolumnę zamykała dobroduszna Rita Glenister podtrzymująca drobnego i zalanego łzami Jamesa Roffeya oraz, idący na samym końcu, Fay George i Zachary. Czarnoskóry chłopiec pożegnał Mary, zaciągając się ostatnim dymkiem z wyimaginowanego papierosa i pstrykając w dal niedopałkiem. Później odwrócił się do niej plecami i odszedł wraz z pozostałymi, którzy ze śpiewem na ustach kierowali się ku miejscu wciąż jeszcze pozbawionemu nazwy. Mary przypatrywała się Zachary'emu. Pierwszy raz nie dotrzymała słowa.

*

W czasie kolacji w domu rodziców w Pimlico Mary siedziała naprzeciw swojej przyjaciółki, Hildy, podczas gdy jej matka nakładała cienkie plasterki pieczeni rzymskiej na zimno z tacy, którą osobiście przyniosła z kuchni. Jej ojciec był w parlamencie i nie spodziewały się innych gości, więc matka Mary dała wolne wszystkim, oprócz kucharki.

– Kiedy was ewakuują? – spytała matka. – Myślałam, że już wyjechałaś.

– Mam wkrótce do nich dołączyć – westchnęła Mary. – Potrzebowali jakiejś dobrej nauczycielki, która przypilnuje maruderów.

– Niesamowite. Nie sądziłyśmy, że tak dobrze sobie poradzisz, prawda, Hildo?

Hilda uniosła wzrok. Wcześniej podzieliła porcję pieczeni na trzy części, z których jedną odsunęła na bok talerza, stosując się do diety, którą sama sobie narzuciła. „Dwie trzecie krągłości” rekomendowało najnowsze wydanie czasopisma „Silver Screen”. Właśnie dzięki tym zaleceniom Ann Sheridan zaprezentowała doskonałą figurę w filmie *Aniołowie o brudnych twarzach*.

– Przepraszam, nie dosłyszałam, pani North?

– Nie przypuszczaliśmy, że Mary sprawdzi się w roli nauczycielki, prawda, kochanie?

Hilda rzuciła Mary niewinne spojrzenie.

– I z jakim spokojem przyjęła to zadanie!

Hilda doskonale wiedziała, że jej przyjaciółka nie była specjalnie zachwycona swoją misją i że nie wytrzymała na tym stanowisku nawet przez tydzień. Mary zdobyła się na uśmiech, który w jej ocenie, był odpowiednio skromny.

– Nauczanie stanowi wsparcie dla wysiłku wojennego, bo pozwala mężczyznom pójść do wojska.

– Liczyłam, że prędzej rozkochasz w sobie jakiegoś admirała!

– Hildo! Jeszcze jedna taka uwaga i zatknę twoją obciętą głowę na bramie jako ostrzeżenie dla innych.

– Przepraszam, pani North, ale taka śliczna dziewczyna jak Mary raczej nie jest stworzona do czegoś tak przyziemnego jak nauczanie.

Hilda dobrze wiedziała, że matka podejrzewa Mary o flirty. To było dla niej typowe – przygotować wysublimowaną przynętę i zastawić pułapkę przy zachowaniu pozorów, że skupia się na pieczeniu.

– Naprawdę imponuje mi, że potrafi w tym wytrwać – odezwała się Hilda. – Ja nie umiem wytrwać nawet przy dziecie.

Z nieznośnym namaszczaniem za pomocą noża i widelca zaczęła przycinać o jedną trzecią długości fasolkę szparagową na swoim talerzu, po czym skrupulatnie umieściła wszystkie krótsze końce obok usuniętych wcześniej resztek pieczeni.

– Na Boga, dlaczego je tak przycinasz? – Nie wytrzymała Mary.

Okrągła twarz Hildy pozostała niewzruszona.

– To nie jest jedna trzecia?

– Po prostu odłóż na bok jedną fasolkę na trzy, na litość boską. To dieta, a nie sekcja zwłok.

– Nie jestem tak bystra jak ty – zasępiła się Hilda.

Mary rzuciła jej wściekłe spojrzenie. W ciemnych oczach Hildy rozbłysły iskierki.

– Każdy ma inne talenty – wtrąciła matka Mary. – Ty jesteś lojalna i miła.

– Mary jest bardzo dzielna, że została nauczycielką, podczas gdy cała reszta z nas kręci się tylko między bawialnią a salonem.

Matka Mary poklepała ją po ręce.

– Służą też ci, którzy godnie żyją.

– Ale żeby jakoś pomóc w tej wojnie! – odparła Hilda. – Żeby naprawdę coś zrobić.

– Chyba mogę być dumna z córki. A jeszcze latem martwiliśmy się, że zostanie socjalistką.

W końcu wszystkie trzy się roześmiały. Bo przecież jakże tak?

*

Po kolacji, już na tarasie na dachu skrywającym sześć kondygnacji kremowych stiuków, Hilda ślaniała się ze śmiechu, podczas gdy Mary aż się gotowała. Ich białe sukienki czerwieniały w zachodzącym nad Pimlico słońcu.

– Ty zmijo! – rzuciła Mary, zapalając papierosa. – Teraz będę musiała udawać, że mnie nie zwolnili. To za Geoffreya St Johna?

– Skąd taki pomysł?

– Cóż, przyznaję, że właściwie to go...

– No, powiedz. Co zrobiłaś?

– Musnęłam go ustami.

– Podczas...?

– Balu królowej Charlotte.

– Gdzie się pojawił jako...

– Twój towarzysz wieczoru.

– Ciekawe...

– Prawda? Bo najwyraźniej wciąż jesteś na mnie zła.

– Na to wygląda.

Mary oparła łokcie na balustradzie tarasu i ze znużeniem spojrzała na Londyn.

– To dlatego, że zbyt poważnie traktujesz te sprawy.

– Jestem tradycjonalistką – przytaknęła Hilda. – Ale rozważ plusy. Pracujesz na pełny etat jako nauczycielka.

– Rozegrałaś to z moją matką, jakbyś brzdąkała na rozstrojonej pianoli.

– Teraz musisz odzyskać tę pracę albo przynajmniej udawać, że pracujesz. Tak czy owak, mam cię z głowy na balu z okazji Święta Archaniołów.

– Bal odbędzie się w porze, kiedy lekcje już się skończą, mądralo.

– Ale ty będziesz na wsi. Nawet twoja matka się połapie, że nie ma tu kogo uczyć.

Mary zastanowiła się przez chwilę.

– Zapłacisz mi za to.

– Rzecz jasna w końcu ci wybaczę. Może nawet zaproszę cię na mój ślub z Geoffreyem St Johnem. Możesz być moją druhną.

Obydwie wychyliły się przez balustradę i wpatrywały w zapadający nad miastem zmierzch.

– I jak było? – spytała wreszcie Hilda.

– Najgorsze jest to, że cudownie – westchnęła Mary.

– Ale to ja wypatrzyłam go pierwsza – zaperzyła się Hilda.

– Nie mówię o pocałunku z Geoffreyem. Miałam na myśli uczenie.

– Co knujesz tym razem?

– Serio! Miałam trzydziestu jeden uczniów, bystrych jak woda w strumieniu. Kiedy zniknęli, zrobiło mi się smutno.

Zaciemnione miasto okrył mrok. Wcześniej miliony światła uśmiechały się do gwiazd na wieczornym niebie.

– A dlaczego pocałunek nie? – zaczęła po chwili dopytywać Hilda.

– Co właściwie było nie tak z pocałunkiem z Geoffreyem?

1 Widowiska rozrywkowe wywodzące się z dziewiętnastowiecznej tradycji amerykańskiej, z udziałem białych wykonawców ucharakteryzowanych na czarnoskórych (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Październik 1939

Kiedy wypowiedziano wojnę, Tom Shaw postanowił ją sobie darować. Przecież i tak nie potrwa długo; obie strony wycofają się w ostatniej chwili, jak mali chłopcy otoczeni przez tłum podjudzających ich do walki kolegów na szkolnym boisku.

Trzeba było talentu, by w wieku dwudziestu trzech lat być smutnym. Problem polegał na tym, że Tom zauważał rzeczy, które wprawiają w melancholię. Dostrzegał, że aktorom z West Endu nie chce się zmywać makijażu, jeśli występ wieczorny wypadał niedługo po popołudniowym. I kiedy szło się do Soho, można było ujrzeć tam Rosencrantza popijającego małe piwo z kufła w kącie pubu w innym, jeszcze dziennym świetle. W parku, na trawie zauważał równo wygryzione koło o promieniu długości powrozu w miejscu, gdzie uwiązano konia – niezmiennie idealne bez względu na to, czy zwierzę było płochliwe, spokojne, uparte, czy posłuszne.

Wszyscy koledzy Toma z kuratorium oświaty wstąpili do wojska, a jego szef przeszedł do ministerstwa, żeby koordynować ewakuację szkół. Wydawało się, że Tom jest jedynym mężczyzną w Londynie, który uznał, że wojna nie jest obowiązkowym placem apelowym, dlatego mianowano go dyrektorem okręgu szkolnego. Ktoś mógłby się cieszyć z takiego awansu, gdyby nie spostrzegł, że szkoły opustoszały.

Tom wybrał się o świcie na spacer. Na Parliament Hill obrodziły jeżyny, wybuchając słodyczą, która trafiała się tylko w najbardziej urodzajnych latach. Zwykle w październiku najpierw to dzieci wbiegały w te krzaki. Tom zdjął kapelusz i wypełnił go owocami.

Spojrzał w dół na swój nowy okręg, który właśnie się budził – szkolny rejon obejmujący dzielnice Kentish Town i Chalk Farm.

Północną granicę jego królestwa wyznaczały tory kolejowe, nad którymi już o tej porze unosiły się kłęby pary, gdy pierwsza partia ewakuowanych ruszała na zachód. Jego południową granicę stanowił Regent's Canal, na którym roilo się od barek przewożących towary z doków. Teraz w tym rejonie żadne dziecko nie nauczy się czytać, żaden nauczyciel nie pobierze pensji zapakowanej w szarą kopertę z czerwoną woskową pieczętką i ani gram kredy nie zostanie wybudzony z trwającej miliony lat drzemki, by, po przemienieniu i uformowaniu w laski, posłużyć do pisania na tablicy, chyba że użyje go Tom. Rozejrzawszy się na boki, by upewnić się, że jest sam, Tom uniósł rękę w geście Cezara.

– Uczcie się, maluchy! Rozkazuję wam!

Jego usta były pełne jeżyn, więc efekt tych słów nie powalał. Tom opuścił rękę i zaczął się zastanawiać, co ma począć z rozpoczynającym się dniem. Jedyne dzieci w wieku szkolnym, które pozostały w mieście, były, szczerze mówiąc, mało atrakcyjne – kalekie bądź od urodzenia dziwne, czyli takie, których ludzie na prowincji nie zechcą przyjąć. Oczywiście, zostały też te czarnoskóre. Niewiele z nich ewakuowano, a teraz powoli wracały. Ewakuacja była niczym konkurs piękności. Maluchy ustawiano w kościołach, a kmiotki wybierały tylko te o blond włosach.

Tom został z dwudziestoma odłożonymi na półkę szkołami i grupką dziecięcych niedobitków zbyt skomplikowanych lub zbyt prostych, by je uczyć. Żeby poprawić sobie nastrój, zaczął ćwiczyć sztuczkę polegającą na podrzucaniu jeżyny, podbiciu jej łokciem i złapaniu w usta. Kiepsko mu to wychodziło – nie powiodła się żadna z sześciu prób – lecz był przekonany, że z czasem wynik będzie lepszy. Wielką głupotą wojny było to, że doprowadzała do konfrontacji narodów, nie biorąc pod uwagę takich indywidualnych umiejętności jak ta.

Tom uniósł wzrok. Za strefą, którą mu przydzielono, ciągnął się Londyn aż do bagien na wschodzie i białych marmurowych murów na zachodzie. Wzdłuż Tamizy testowano zastęp miniaturowych zeppelinów. Uwiązane na linach, miały zapewnić miastu wszelaką,

choć mglistą i niesprecyzowaną, ochronę. Ich obłe nosy kołysały się na nikłym wietrze raz w lewo, raz w prawo, co sprawiało, że wyglądały jak porzucone przez północ, rozregulowane kompasy.

Z wypełnionym jeżynami kapeluszem Tom zszedł ze wzgórza do ogarniętego furją miasta z wyrosłymi jak grzyby po deszczu wojskowymi punktami rekrutacyjnymi. Napotykał wzrok obcych ludzi pragnących skinąć mu głową w nowym geście solidarności. TWOJA ODWAGA, TWÓJ OPTYMIZM, TWOJA DETERMINACJA krzyczały plakaty, które kiedyś zachwalały mydło.

Była dopiero ósma – jeszcze za wcześnie, żeby pójść do biura – więc Tom wrócił na swoje poddasze. Składało się z saloniku oraz dwóch sypialni i mieściło się w niewielkiej kamienicy nieopodal Prince of Wales Road. Strych – jak ujął to współlokator Toma, Alistair Heath – przechrzczono na mieszkanie w sposób, w jaki chrześcijanie nawracali Maurów. Sprawiało wrażenie, jakby dokonano tego pod groźbą miecza, a w powietrzu wciąż wisiała groźba powrotu do stanu pierwotnego. Zimą przeciekał dach i hulał ostry wiatr, a latem panował tam piekielny upał. Niewielką ulgę przynosiło wsadzenie głowy pod kran w kącie kuchennym.

Tom zastał Alistaira siedzącego na gołych deskach podłogi w spodniach od piżamy, palącego fajkę i wypychającego strzępkami gazet skórę rudego kota. Głowa i barki były już gotowe. Z pustych oczodołów wystawały pokryte drukiem skrawki papieru.

– Jezu! To Juliusz Cezar? – spytał Tom.

Alistair nawet nie oderwał wzroku od swojego dzieła.

– Ponure czasy, stary. Wypychacz odesłał mi go niedokończonego. W czajniku jest herbata, jeśli jesteś zainteresowany.

– Dlaczego go nie skończył?

– Może był niewypychalny.

– Prędzej nienasycony. Pamiętasz, jak się puszył, kiedy wracał po nocnych hulankach?

Alistair wykrzywił usta, w których tkwiła fajka.

– Brakuje mi jurnego skurwiela. Przyszedł poranną pocztą.

Gospodyni dopiero co go przyniosła. Elegancko opakowanego w szary papier. Zwykle się tak nie pojawiał.

– Jest jakiś taki płaski.

– Wypycham go wstępniakami. Zaraz nabierze ciała.

Tom wyciągnął rękę z kapeluszem pełnym jeżyn.

– Zrobię z nich dżem. Chcesz spróbować?

Alistair spróbował.

– Jezu, daj spokój z dżemem. Lepiej przerób je na wino.

Tom wysypał jeżyny do rondla, zebrał z podłogi te, które upadły, i zalał je filiżanką wody.

– Przysłali ci z Cezarem jakiś list?

– Przepraszam. Likwidują pracownię, przepraszają, niniejszym zwracają wszystkie materiały. Pewnie póki wojna się nie skończy, nie będzie dużego zapotrzebowania na ich usługi.

– Powinni ją po prostu odwołać.

Tom ustawił rondel na wolnym ogniu i obrócił się w stronę Alistaira, który zszywał brzuch kota. Robił to z wprawą, schludnym, drobnym ścięciem, który zniknie, gdy zaczesze się nań futro. Tom zawsze podziwiał mocne i irytująco sprawne dłonie Alistaira. Jego współlokator potrafił naprawić gramofon, grać na pianinie i robić wszystkie rzeczy, przy których Tom czuł się jak niedopasowany klucz w zamku typu yale. W dodatku robił je bez wysiłku, jakby jego dłonie cechowała jakaś własna, szczególna gracia. Alistair ogólnie raczej nad nim górował, choć Tom podejrzewał, że nie zdaje sobie z tego sprawy. Ten krzepki blondyn miał dar przyjmowania zarówno wojny, jak i zatkanej rury wzruszeniem ramion i stoickim uśmiechem, jakby były to rzeczy, których zawsze można się spodziewać. Mógł się podobać nie dlatego, że był ostentacyjnie przystojny, lecz dlatego, że przyjaźnie odpowiadał na cudze spojrzenia. Tom zauważył, że kobiety czasami musiały przyjrzeć mu się dwa razy, ale że coś jednak prowokowało je do tego drugiego spojrzenia.

Alistair opróżnił fajkę.

– Nie będzie mnie wieczorem. Wywożę Lizzie Siddal[2] na wieś.

- Który obraz?
- „Pocałuj mnie, nie umiem pływać”.
- *Ofelia*? – Tom przybrał natchnione spojrzenie i pobożnie złożył dłonie.
- Zbiliśmy dla niej skrzynkę. Przewieziemy ją do Walii nieoznakowaną ciężarówką.
- Nie wiedziałem, że jest coś takiego jak oznakowana ciężarówka. Czy istnieje flota rządowych ciężarówek opatrzonych napisem BEZCENNE DZIEŁO SZTUKI?
- Daruj sobie – obruszył się Alistair. – Odzierasz przyziemne operacje logistyczne z wszelkiego romantyzmu.
- Skoro to taka tajemnica, to czy powinieneś mi o tym mówić?
- Przecież nie doniesiesz o tym Hitlerowi.
- Nie, chyba że oddadzą mi mój tajny nadajnik.
- To wszystko jest raczej smutne – zasepił się Alistair. – Spędziłem pięć miesięcy na restaurowaniu ramy *Ofelii*, samej ramy, a teraz pakujemy ją do pudła i chowamy na Bóg jeden wie jak długo w jakimś starym górniczym szybie.
- Tom wysypał ze słoika do rondla cały cukier przeznaczony do słodzenia herbaty, nawet skawalone brązowe grudki.
- Nie ma sprawy – ciągnął Alistair. – Tyle że to straszne, że będzie tam leżeć w ciemnościach. Człowiek zaczyna się zastanawiać: co będzie, jeśli przegramy tę wojnę?
- Tom zmieszał cukier z owocami.
- Nie będzie prawdziwej wojny.
- A jeśli wszystkich nas zmiecie i nikt nie będzie pamiętał o *Ofelii*, która pozostanie na wieczność w ciemnościach pod jakąś górą?
- Zawsze będą mieli Cezara. Będą mogli na jego podstawie odtworzyć nasz zmysł estetyki. Nawet jeśli nadmiernie go wypchasz.
- Alistair krytycznie przyjrzał się kotu.
- Nadmiernie? Nie. Stary kocur zawsze miał kłopoty z nadwagą. Teraz wygląda wyjątkowo szczupło.
- Nie wyszło z niego arcydzieło. Lepiej zajmij się konserwacją

zabytków.

– Żałuj, że nie widziałeś, jak wygląda teraz Tate. Zabili deskami okna, po galerii niesie się echo, a obrazy trafiły w różne miejsca.

– Nazwijcie ją Modern Tate. Zresztą, mam to gdzieś. Jestem umówiony na kolację. Kroj się ślub, przygotuj mowę drużby.

Alistair przytknął na wpół wypchanego kota do ucha i zaczął wsłuchiwać się w jego mruczenie.

– Cezar nakazuje, byś powiedział całą prawdę, niczego nie pomijając.

– Nazywa się Mary North i...

– Dobry Boże, Shaw, czyżbyś się zarumienił?

– To przez ten dżem. Rondel się rozgrzał.

Alistair wypchał papierem koci tyłek.

– Cezar zakłada, że jest piękna, bystrzejsza od ciebie i że nie umie gotować?

– Wie, jaki typ kobiet lubię.

– Zatem wybaczysz mi, jeśli nie wyciągnę od razu pióra i nie napiszę przemowy. Ten romans skończy się tak, jak wszystkie pozostałe, Tommy. Będziesz smutno wpatrywał się w znikającą postać miłej dziewczyny, która cię polubiła, lecz z przykrością doszła do wniosku, że nie jesteś bogaty i że kiepsko tańczysz.

Tom podkreślił ogień pod rondlem.

– Tym razem będzie inaczej. Sporo rozmawiałem z Mary. Wiele nas łączy.

– Na przykład?

– Nasz stosunek do dzieci.

– Już o tym rozmawialiście? Nie wydaje mi się, żebym cię uświadomił, skąd one się biorą.

– Nie chodzi o posiadanie dzieci, durniu, tylko o edukowanie.

– Chyba nie rozmawiałeś z nią o pracy?

– To ona przyszła do mnie na rozmowę, jeśli chcesz wiedzieć, i nie dopuściła mnie do słowa.

– Jaki był temat tej rozmowy?

– Konieczność zmian metod nauczania. To, że nauczyciel

powinien być sojusznikiem ucznia, a nie osobą, która dyscyplinuje.

Alistair ziewnął.

– Cezar ogłasza, że Mary przyprawia go o ból głowy.

– Cezar obwieszcza, że Mary jest bardzo ładna.

– To dlaczego się tobą zainteresowała? Dziwne, że w ogóle cię dostrzegła.

– Przyszła do mnie do biura w poszukiwaniu posady. W War Office przydzielili ją do pracy w szkole. Dostała etat w podstawówce przy Hawley Street, ale zwolnili ją za niestosowne zachowanie. Mary chce dostać nowy przydział.

– Wydawało mi się, że w Londynie już nie ma uczniów.

– I właśnie to jej powiedziałem. A jednak się uparła. Poinformowałem ją, że „ewakuowaliśmy wszystko, co ma dwie nogi i głowę”, na co odrzekła, rozkosznie zaróżowiona, oparłszy dłonie na biodrach: „Obawiam się, że taka odpowiedź mnie nie zadowoli”. Rzecz jasna spytałem, co miałbym, do diabła, z tym zrobić. „Powinieneś, do diabła, zaprosić mnie na kolację”, odrzekła.

Alistair spojrzał na niego zdumiony.

– No co? – spytał Tom.

– Od czego by tu zacząć? Z mojej perspektywy masz trzy problemy do rozwiązania. Pierwszy dotyczy braku profesjonalizmu. Drugi braku urody.

Tom uniósł w górę dwa palce.

– A trzeci?

– Twój dzem chyba dostał amoku.

– Cholera!

Zawartość rondla wściekle bulgotała, bryzgając na wszystkie strony gorącą lawą. Tom ruszył ku niej, osłaniając się pokrywką niczym tarczą. Wyciągnął przed siebie rękę z łyżką, żeby zakręcić gaz. Bulgot przemienił się w żalosny syk, po czym posłyszeli mściwe prychnięcia uwieczonych w owocowej pulpie bąbli powietrza.

– Myślisz, że zainterweniowałeś w porę?

Tom skinął głową.

– Teraz zastygnie. Może wyjść z tego dzem albo grylaż.

– Dobrze znamy takie dziewczyny.

Tom zignorował tę uwagę.

– Kiedy poznałem Mary, poczułem, że ta wojna wcale nie musi być taka straszna.

– Tommy, to, że dorośli zostawili cię na jakiś czas samego w domu, nie oznacza, że możesz mazać kredkami po tapecie.

– Daj spokój, to nie dziecinada. Zaprosiłem ją do Spencer's.

Starał się powiedzieć to tonem światowca, lecz głos wyraźnie mu zadrżał. Może Alistair ma rację. W dodatku ona ma ledwie osiemnaście lat, pomyślał. Najgorsze było to, że dowiedział się o tym tylko dlatego, że poszedł wprost ze swojego gabinetu do działu kadr, gdzie przejrzał jej akta.

– Wybacz, nie chcę cię zniechęcać – rzucił Alistair. – Pewnie zwyczajnie zazdrościsz ci tej kolacji.

– Nie przejmuj się. Teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, nie mam pewności, o co jej chodzi. Może po prostu chce porozmawiać o pracy.

Alistair uniósł brew i skupił się na wypychaniu kota.

– No co? – spytał Tom.

– Nic.

– Mów.

Alistair poślinił nitkę, wyciągnął ją i przewlekl przez igłę.

– Nikt inny nie głowiłby się nad tym, czym jest „kolacja”.

– Ale czym ona jest w tym kontekście? Sugestią, że Mary widzi we mnie coś więcej niż tylko sposób na znalezienie pracy? A może daje do zrozumienia, że jestem tak poczciwy, że może spokojnie pójść na kolację, gdyż nic jej z mojej strony nie grozi?

Alistair zapatrzył się na moment w dal.

– Obawiam się, że mnie nie zrozumiałeś. Możesz mi narysować kolorowy wykres?

– A może ma wobec mnie ambiwalentne uczucia albo nie jest pewna co do moich zamiarów? – ciągnął Tom. – Jest bardzo bystra i może dlatego złożyła mi taką propozycję wprost, żeby sprawdzić, jak to sobie zaplanowałem? Żeby zobaczyć, jak zareaguję.

– I jak zareagowałeś?
– Chyba trochę plątał mi się język.
– Doskonale. Na szczęście nie zje cię na śniadanie, bo okazja trafi jej się przy kolacji.
– Idź do diabła. Powiedz serio, jak myślisz? Masz spore doświadczenie.

– Mam doświadczenie i właśnie zaszywam tyłek martwego imperatora.

– Owszem, ale jednak...

Alistair upuścił igłę z nitką i poirytowany spojrzał na Toma.

– Są dwa rodzaje kolacji i dwa rodzaje kobiet i tylko jedna z tych czterech kombinacji kończy się katastrofą.

– Straszne, jeśli to jest akurat ta!

Alistair zamilkł. Dokończył szew, oderwał nitkę i ustawił kota na czterech łapach. Ten początkowo nie mógł złapać równowagi, lecz Alistair rozkraczył mu łapy, aż w końcu zwierzak stanął prosto.

– Proszę bardzo – powiedział. – Cezar nie płaszczy się przed nikim.

Alistair nabił fajkę, zapalił ją i, siedząc po turecku na podłodze, wpatrywał się w kota. W jego wyprostowanej sylwetce było coś niezdarnego i Tomowi zrobiło się smutno. Czasami te ich scenki, w których Tom odgrywał chłopca, a Alistair człowieka światowego, przestawały śmieszyć. Kiedy się zaprzyjaźnili, podczas którejś z pierwszych rozmów przyjęli na siebie te role, które wtedy wydawały im się zabawne. Po pewnym czasie, gdy je dopracowali, stały się dla nich nawykiem. Tymczasem teraz byli niczym dwa gile, które żywią się owocami na skraju wymarcia.

Tom zapalił papierosa i próbował się nim cieszyć. Wziął pusty słoik, oskrobał ostatnie przyschnięte grudki zabarwionego herbata cukru, opłukał go i wstawił do garnka z gotującą się wodą. Poddawszy słoju procesowi sterylizacji, zaczerpnął dżemu na łyżkę i dmuchnął, żeby go ostudzić.

W jasnych porannych promieniach słońca, wpadających przez jedyny świetlik w saloniku mansardy, dżem nabrał koloru. Pośrodku, w najgłębszym miejscu, osiągnął barwę indyga, za to

przy brzegach metalowej łyżki kusił przejrzystym karminem. Tom zamknął oczy i spróbował dżemu. Szczęśliwym zrzędzeniem losu masa nie zdążyła się skarmelizować, osiągając miodowo-gorzki smak. Słodycz jeżyn nie ujawniła się w całości, ulegając przemianom i pogłębiając się, aż uwidoczniła się z tyłu języka jako oszałamiające przypomnienie swej początkowej intensywności. Tom pozostał z pytaniem, którego nie umiał ująć w słowa, i galaktyką drobnych, mamiących język ziarenek.

Stał z zamkniętymi oczami przez dobrą minutę, nim znów zaczerpnął dżemu. Odczuwał rozterkę. Być może była to najwspanialsza rzecz, jaką kiedykolwiek ugotowano, a być może całkiem zwykły dżem z jeżyn w średnio pogodny październikowy poranek na niewyróżniającej się niczym mansardzie, w której dwóch samotnych mężczyzn odkładało na później ważniejsze obowiązki, oddając się zajęciom, w których żaden z nich nie brylował. Może był to tylko zwykły dżem, a Cezar, opasy i guzowaty, z pustymi oczodołami, z których wyłaziły strzępki gazety, był jedynie biednym, wypchanym kotem.

Tom przelał dżem do wysterylizowanego słoika, zakręcił pokrywkę i schłodził słoje pod kranem z zimną wodą, by go uszczelnić. Wytarł go, polizał nasączoną klejem książkową nalepkę, nakleił ją na wieczko i opatrzył napisem LONDYN 1939.

– A jeśli nie chodzi jej tylko o pracę? – zagadnął. – Uczenie to odpowiedzialne zadanie. Myślę, że będzie w tym całkiem niezła.

– Znowu mnie nie zrozumiałeś. Chcesz się z nią ożenić czy ją zatrudnić?

– Nie stać mnie ani na jedno, ani na drugie. Odczuwałem wdzięczność, że wreszcie mogę z kimś normalnie porozmawiać. Być może Mary jest jedyną osobą w tym mieście, oprócz ciebie i mnie, która rozumie, że służyć można na różne sposoby. Że człowiek nie postępuje niepatriotycznie, gdy nie rwie się jak uczeń, żeby strzelać do Niemców.

– Przecież to Niemcy zaczęli.

– Tak, ale wiesz, o co mi chodzi.

Alistair zdobył się na blady uśmiech.

– Co znowu? – spytał Tom.

– Pewnie wszyscy powinniśmy przyjrzeć się swojej pracy i zadać sobie pytanie, w jaki sposób przysłuży się sprawie. Tam, gdzie odpowiedź jest prosta, możemy mówić o szczęściu.

– Ale to nie nasz przypadek, prawda? Ja z tym moim okręgiem szkolnym i ty, przemierzający kraj, żeby upchnąć nasze skarby w jaskiniach. Takie pytanie ma większy sens dla... sam nie wiem... spekulanta albo złodzieja.

Alistair poprawił kotu ogon, kierując jego czubek ku górze. Właśnie w taki sposób Cezar nosił go za życia.

– Codziennie mijam punkt rekrutacyjny przy Regent Street. W kolejce, która się tam ustawia, można podsłuchać najróżniejsze rozmowy. Myślę, że strach przed pójściem na wojnę przegrywa ze wstydem przed przyznaniem, że nasz kraj i tak sobie poradzi bez tego, czym się akurat zajmujesz. Oczywiście na koniec człowiek dochodzi do tego samego wniosku co armia, że śmierć na polu walki to najskromniejszy gest, jaki można wykonać w tych okolicznościach, tyle że obydwie strony dochodzą do tego samego wniosku innymi drogami.

– Zastanawiasz się nad tym?

– Nie mam nic lepszego do roboty. Turnery wywieźliśmy wiele tygodni temu. Zostało paru romantyków w bocznych galeriach i kilku surrealistów. Wkrótce zostaniemy z obrazami, które sam mógłbym namalować.

– Przecież często powtarzasz: nie możemy pozwolić, żeby przemienili nas w barbarzyńców. Ktoś musi zostać, ktoś, kto wie, jak poskładać to wszystko do kupy.

Alistair spojrzał na swoje dłonie.

– Rzecz w tym, że tym kimś nie będę ja.

Tom poczuł szok, jeszcze zanim w pełni pojął znaczenie tych słów. Przyśpieszone tętno, poczucie zagrożenia i umykającego nagle czasu. Chwilowe przytępienie słuchu, szum w uszach.

– Boże, chyba nie...?

Alistair uniósł wzrok.

– Przykro mi. Zrobiłem to wczoraj.

Tom stał z zaciśniętym w rękę słoikiem.

– W porządku, nie martw się. Myślę, że da się coś zrobić. Musi być jakaś procedura dla tych, którzy zaciągnęli się do wojska przez pomyłkę. Pewnie notują pięćdziesiąt takich przypadków dziennie. Musieli wypracować jakiś system.

– Cała jego istota polega na tym, że nie można się wycofać. Podpisałem uroczyste zobowiązanie. Tak czy owak, dobrze zrobiłem. Jadę na wojnę, Tom.

– Kiedy?

– Nie powiedzieli. Wypłacili mi trzydniowy żołd i kazali czekać na rozkazy. Zaliczę szkolenie dla rekrutów i kurs dla podoficerów. Potem wyślą mnie gdzieś, w zależności od potrzeb.

– To nie jest jakiś upiorny żart?

– Niestety nie.

Tom przysiadł na podłodze obok przyjaciela i rozejrzał się po mieszkaniu. Mansarda ulegała transformacji w miarę, jak się jej przyglądał. Chaotyczna mieszanka bibelotów przemieniła się w banalny zestaw juweniliów. Cała starannie pielęgnowana dziwaczność – od niezamiatanej podłogi po porozrzucone książki z biblioteki – zrzuciła swój czar i pozostało jedynie mieszkanie na strychu w zwyczajnej londyńskiej dzielnicy. Mansarda powróci do jej właścicielki, a oni – do świata.

Och, więc tak szybko się to kończy, pomyślał Tom. Wszystkie rzeczy, które czynimy wyjątkowymi, pożyczamy jedynie z przyziemności i musimy je tam bez ostrzeżenia zwrócić.

– Przepraszam za moje słowa o uczniaku, który rwie się, żeby strzelać do Niemców.

– Nie ma za co. Jest wielu takich. Trzeba było widzieć tę kolejkę przed punktem rekrutacyjnym. Mam dwadzieścia cztery lata, a czułem się tam jak starzec.

Tom przełknął ślinę.

– Myślisz, że ja też powinienem się zgłosić?

– Dobry Boże, po co?

– Bo, naprawdę, aż do tej chwili w ogóle o tym nie myślałem.

Alistair rzucił przed siebie papierową kulka.

– Jesteś stworzony do nauczania, głupcze. Znajdź sposób, żeby znów wykonywać swoją pracę. Gdyby można było upchnąć uczniów w zamkniętej walijskiej kopalni, nalegałbym, żebyś zaciągnął się razem ze mną, jednak chwilowo, moim zdaniem, ta wojna nie mieści się w twoim grafiku.

Tom zamilkł na dłuższą chwilę.

– Dziękuję.

– Bałem się, że gorzej to zniesiesz.

– Będzie mi cię brakowało.

– Pewnie. Nie będzie nikogo, kto powie ci: „Głowa do góry”. Dlatego zostawiam ci Gajusza Juliusza Cezara. Zawsze kiedy na niego spojrzysz, wyobraź sobie, że mówi do ciebie: „Tom, na miłość boską, rozchmurz się!”.

Mówiąc to, Alistair obrócił głowę kota w stronę Toma. Doszył mu do oczodołów dwa duże połyskliwe i nedorzecznie różne guziki od płaszcza, co przydało wypchanemu zwierzęciu zaskakujący efekt szaleńczej przenikliwości.

– A to jest dla ciebie – odrzekł Tom, podając Alistairowi słoik z dżemem.

Alistair zerknął na nalepkę.

– Toporna etykieta, ale słynny rocznik, trzydziesty dziewiąty. Raczej odstawię go na półkę. Otworzymy go razem, kiedy wojna się skończy.

Tom spojrzał na niego.

– Nic ci się nie stanie?

– Skąd mam wiedzieć?

– Przepraszam.

– Jezu, to ja przepraszam – pokajał się Alistair.

Położył się na podłodze i uniósł słoik w stronę świetlika.

– Herbaty? – spytał Tom po chwili.

– Jeśli zamierzasz zaparzyć, to tak.

– Niestety, skończył się cukier.

Alistair nie odpowiedział. Tom wpatrywał się w szkarłatne i fioletowe refleksy światła prześlizgujące się po spokojnej twarzy przyjaciela.



2 Modelka preraphaelitów, malarka i poetka.

Październik 1939

Mary nie mogła sobie pozwolić, żeby wpaść na matkę ani na nikogo, kogo znała, musiała więc jakoś wypełnić ten dzień. Nadciągnęła już jesień z opadami deszczu, które chłodziły gorące wojenne nastroje. Mary ruszyła Embankment wzdłuż rzeki; południowo-zachodni wiatr hulał między prętami balustrady, po której dzieci lubiły ciągnąć patyki. Na placu zabaw w Kensington Gardens wicher szorował po ogołoconym z latawców niebie, wprawiając opustoszałe huśtawki w ich własny, sierocy rytm.

Jakże pusty stał się Londyn, jakże smutno potulny bez doprowadzających do szału dzieci. Tu i ówdzie Mary wypatrzyła jakiegoś pojedynczego malucha, którego ominęła ewakuacja. Te niedobitki brnęły samotnie przez opadłe liście z niewidzącym, zapatrzonym w dal wzrokiem. Gdy rzucała im zachęcający uśmiech, odpowiadały jej jedynie spojrzeniem. Raczej nie mogła im się dziwić. No bo jak tu traktować plemię, które uprowadziło ich kolegów?

Wiatr, który ją chłostał, zdążył już omieść pół miasta, zbierając po drodze cynową, spleśniałą woń wszystkiego, czego brakowało. Mary owinęła się szczelnie płaszczem i szła wciąż przed siebie. W Regent's Park wiatr zrywał mokre żółte liście z drzew. Na ziemi leżały ciężkie od wilgoci kasztany w łupinach. Mary przyszło na myśl, że natura przeznaczyła je jedynie do tego, aby chłopcy w szortach zawsze, aż do końca świata, przychodzili po nie, by zabrać je do domu i zawiesić na sznurówkach, dając każdemu z nich bezczelną i wątpliwą do spełnienia nadzieję.

Mary znalazła kawiarnię, w której nikt jej nie znał, i usiadła przy stoliku w głębi, z dala od zaparowanych okien. Sącząc mocną herbatę, wyjęła z torebki papier i ołówkę, żeby napisać list do

Zachary'ego.

Już samo napisanie adresu wprawilo ją w nerwowość. Była to jedna z tych wiosek na dalekiej angielskiej prowincji, o której w Londynie nikt nawet nie pomyślał, chyba że doszło tam do jakiegoś przerażającego zdarzenia – lawiny błotnej bądź narodzin żrebaka o dwóch łbach – dzięki czemu jej nazwa pojawiała się na stronach tytułowych gazet. Mary nie pojmowała, jak rodzice mogą skazywać swoje dzieci na takie adresy, które później trafiają na kierowane do nich listy. Corfe Mullen, Cleobury Mortimer, Abinger Hammer. Z pewnością w miejscach tych panowała nieprzenikniona mgła i miały one związek z jakąś nagłą katastrofą. Człowiek nie znał nikogo z takich miejscowości ani nic o nich nie wiedział. Roilo się tam od wiejskich guseł i upiornych postaci o bulwiastych nosach, wysmarowanych kurzą krwią podczas pełni księżyca.

Drogi Zachary,

mam okropne wyrzuty sumienia, że nie mogłam dotrzymać słowa i pojechać z Tobą, ale mam nadzieję, iż rozumiesz konieczność Waszej ewakuacji.

Mary przygryzła końcówkę ołówka. Gdy wielki i potężny Londyn skrył się za okopami i powylaczał światła, pojawiła się przeraźliwa cisza, której wilgotny wiatr nie zdołał zagłuszyć. Przyszła jesień, a Niemcy jednak nie.

Wierzę, że trafiłeś do zacnej rodziny, która się o Ciebie troszczy.

Wiatr zatrzęsnał szybami kawiarni. Jako że nie słychać już było ostrych głosów, do uszu Mary dobiegał dźwięk skrobanych talerzy, gdy siedząca w rogu para uganiała się na nich widelcami za groszkiem. Byli rodzicami, jasne, że tak. Przecież nie ma innego sposobu na wyhodowanie tak wysublimowanych zmarszczek. „Czy na pewno postąpiliśmy właściwie?”

Na każdym rogu, który Mary mijają tamtego dnia, wisiły plakaty wyjaśniające konieczność ewakuacji dzieci i przekonujące, że najwspanialszym prezentem gwiazdkowym dla Herr Hitlera byłoby ściągnięcie ich teraz do domu, gdzie czyha niebezpieczeństwo.

Jestem pewna, że pozostajesz nieustraszony.

Mary skrzywiła się i wytarła gumką ostatnie zdanie. Władze traktowały jednostkę jak rękawiczkę, której brak jedynie ożywczej dłoni sloganu. Mary wyobraziła sobie swojego ojca piszącego mowę w jakiejś pozbawionej okien sali parlamentu. Przez cały ranek wilgotny południowo-zachodni wiatr zrywał rogi nowych odezwo i tłukł nimi o bilbordy. Spod spodu wystawały skamienieliny zastygłych w kleju wcześniejszych haseł.

Mimo że uczyłam Cię tylko przez tydzień, chciałabym Ci powiedzieć, że jesteś niezwykłą osobą, choć także okropną szelmą, i że trochę brakuje mi tych lekcji. Mam nadzieję, że dobrze Ci się wszystko ułożyło, a jeśli nie, zatkaj nos i przyrzeknij naiwnej kobiecie, która sama złamała dane Ci przyrzeczenie, że napiszesz do mnie, by dać mi znać.

Podpisała się „panna North”, wsunęła list do koperty i wyszła na deszcz, by poszukać poczty.

Wróciła do domu o piątej, kiedy już zapadał zmierzch. Drzwi otworzyły się, gdy stanęła na pierwszym stopniu wiodących doń schodów.

- Dziękuję, Palmer – rzuciła Mary, podając mu płaszcz.
- Jak tam lekcje? – zawołała z bawialni matka.
- Cóż, wiesz, jakie są dzieci.
- Wiem tylko, jaka jesteś ty, skarbie, i przypuszczam, że nie wszystkie są aż tak irytujące.
- Głowa Mary pojawiła się w drzwiach bawialni.
- Ja też cię kocham, mamo.

- Na szczęście, zawsze mogłam liczyć na naszą nianię.
 - Gdzie jest Hilda? Widziałam jej płaszcz w holu.
 - Kazałam jej iść do umywalni. Nie obchodzi mnie, czy papierosy służą waszym płucom, za to wiem, że rujnują zasłony.
 - Wyszczuplają.
- Matka Mary zniżyła głos.
- Ciebie tak, ale Hildę wprost przeciwnie.
 - Może pali je od złego końca.
 - Jej życie to karuzela pełna niemrawych mężczyzn i eklerek w polewie toffi. Namawiam ją, żeby zgłosiła się jako wolontariuszka, tak jak ty, albo przynajmniej znalazła sobie chłopca, który to robi.
 - Lubi Geoffreya St Johna.
 - Tak jak flaki lubią cebulę, kochanie. Ale w garnku wyglądają razem paskudnie.
 - Nie bądź złośliwa dla Geoffreya, mamó. On całkiem nieźle całuje.

Matka posłała jej wyrozumiałe spojrzenie. Mary była pewna, że to czysty bluff. Właśnie tak patrzą matki. Iskra w oku ma sugerować ich dar jasnowidzenia oraz to, że teraz twoja kolej, by zabrać głos. Taki aksamitny sznur rzucany przez matki – dość ciszy, by ukreślić z niej pętlę.

Mary wyfrunęła z bawialni, przesyłając matce na odchodnym całusa.

W holu owionęła ją swojska atmosfera ich domu – zapach wosku na balustradach i środka do polerowania metalowych prętów przytrzymujących dywan na schodach. Przygłuszona woń gotującego się prania. Gdzieś w oddali szczękała porcelana, z której służąca usuwała pozostałości popołudniowej herbaty. Łomotanie grud węgla przerzucanego szuflą do pojemnika. Najwyraźniej tego wieczoru pierwszy raz od marca napalą w kominkach.

- Hilda paliła papierosa obok niewielkiego okna w umywalni.
- Jak tam twoja szalona intryga?
 - Urabiam Toma – uśmiechnęła się Mary. – Znów do niego dzisiaj zadzwonię. Na pewno znajdzie mi jakąś posadę. Wciąż mu

powtarzam, że wokół są całe ławice dzieci, których nie ewakuowano.

Hilda przybrała pozę garbusa ze zdeformowaną twarzą wariata.

– Przestań! – zaperzyła się Mary. – Nie widzę powodu, dla którego wszystkie dzieci nie powinny dostać szansy, żeby się uczyć. Muszę tylko przekonać Toma.

– Tak na moje oko sprawia wrażenie ciapy. Chadzasz z nim na kolacje, w zasadzie błagasz, żeby cię pocałował, a ten odmawia ci swoich ust i protekcji. Ja dałabym za wygraną.

– Tak, ale nie rozumiesz? To mężczyzna. Szybciej zrobiłabyś go sobie na szydełku, niż znalazła gotowego na półce.

– Daj sobie spokój, skarbie, zanim ta ciapa zostawi cię na lodzie.

– Problem polega na tym, że Tom jest raczej nieśmiały. Ale kiedy jesteśmy razem... jest miło.

Hilda uniosła brew.

– Naprawdę! Jest uroczy.

– A poza tym?

– Troskliwy. Interesujący. Wrażliwy.

– To angielskie synonimy słowa „brzydal”.

– Przeciwnie! Jest wysoki i ma ciepłe, piwne oczy. Wygląda świetnie i chyba nie zdaje sobie z tego sprawy, co mnie rozczuła.

– Nie zapominaj, że zależy ci na nim tylko dlatego, że może ci załatwić pracę.

– Której bardzo potrzebuję po tym, jak mnie wkopałaś.

– To twoja wina, że nie mówisz prawdy własnej matce.

– A kto mówi? Zbyt surowo mnie karzesz za jeden niewinny pocałunek.

Hilda udała zdziwienie.

– Pocałunek?

– Nie mów mi, że już się z tym pogodziłaś, bo właśnie spędziłam cały koszmary dzień w deszczu, odpowiadając pokutę za chwilę zapomnienia z Geoffreyem.

Hilda ziewnęła.

– Weź go sobie, jeśli chcesz. Wciąż zdecydowanie odmawia

zgłoszenia się na ochotnika.

– Tak jak ty.

– I dlatego szukam mężczyzny, którego będę mogła szlachetnie wspierać.

– *In absentia*.

– W futrze.

– Tom się nie zaciągnie i go za to podziwiam. To... nie dla niego.

Hilda wytrzeszczyła oczy.

– Mary North!

– Tak, i co z tego? – uśmiechnęła się Mary.

– Ty naprawdę się w nim zadurzyłaś!

– Nie, chociaż... te oczy... i ten wzrost... Poza tym to urocze, że jego zdaniem uczenie jest ważne. Też tak sędzę.

– Od kiedy? – zdziwiła się Hilda.

– Odkąd powiedzieli mi, że nie mogę tego robić. Dlaczego mamy robić, co nam każą?

– Żeby nasze życie było przyjemne i wesołe?

– I mówi to dziewczyna, która pali papierosy w umywalni! Dlaczego nie powiesz mojej matce: „Będę paliła w waszej bawialni, a jeśli musi pani wymienić zasłony, to proszę mi pozwolić wybrać wzór, który nie byłby tak wyjątkowo paskudny jak ten”? Szanowałyby cię za to.

– Już nigdy by mnie tu nie wpuściła.

– Co zmusiłoby cię do poszerzenia kręgu przyjaciół.

Hilda zamrugła oczami.

– Ja nie w tym sensie! – zmitygowała się Mary. – Po prostu jesteś jaka jesteś i ja też jestem jaka jestem.

– I najwyraźniej postanowiłaś zakochać się w Tomie, tylko dlatego, że kłóci się to z wszelkimi zasadami.

– Jedna kolacja, jeden lunch i trzy rozmowy telefoniczne... Nie nazwałabym tego miłością.

– A co nią nazywasz? Chcesz, żeby załatwił ci pracę w szkole czy chcesz... jego?

Mary przygryzła wargę.

- A może być jedno i drugie?
- Nawet gdybym odpowiedziała nie, przecież i tak byś to zrobiła. Mary ujęła Hildę za rękę.
- A tobie musimy znaleźć jakiegoś miłego żołnierza.
- Ewentualnie może być lotnik. Marynarzom odmawiam.
- Jak wszystkie porządne dziewczyny. Będę się rozglądać. Oczywiście, to niedorzeczność, bo przecież nie ma żadnych walk.
- Boże broń! – zachnęła się Hilda. – Ładnie wyglądają w mundurach galowych, nie bojowych.

Listopad 1939

Pocisk artyleryjski szybujący nad równiną Salisbury spowolnił w deszczu u szczytu trajektorii lotu. W dole falowała zamazana zielen rozległych łąk, która – rozświetlona – przemieniła się w morze ciężkich od wody turzyc i mchów. Pocisk ze skowytem opadł z nieba i zarył w błotnistej mazi.

Zapalnik miał jakiś defekt i ładunek nie eksplodował. Zleął w czarnej brei na dnie płytkiego jaru. Jego mechanizm drżał. Najwyraźniej ledwo mógł się pohamować.

Parę kilometrów dalej Alistair Heath stał w zacinającym deszczu i wysłuchiwał wrzasków starszego sierżanta.

- CO POWODUJE, ŻE ROŚNIE TRAWA?!
- Krew, krew, krew! – odkrzyknęli żołnierze.
- CZYJA KREW?!
- Wroga!
- CZYJEGO WROGA?!
- Królewskiej Armii!

Alistair przystąpił do ćwiczeń z walki na bagnety bez entuzjazmu. Słyszał odgłos spadającego pocisku, który zabłąkał się tu z poligonu. Podstawowym problemem wojny było to, że jeszcze nikt nie był w tym dobry.

Nie mógł powstrzymać myśli, że pociski to coś, co zawsze zbierał wraz z siostrami na plażach w Lulworth i Bracklesham. Gdy instruktorzy powiedzieli, że będą je odpalać, Alistair ujrzał oczami wyobraźni przysadziste haubice kalibru 94 milimetry wystrzeliwujące sercówki i przegrzebki ponad błękitną linię horyzontu. Przegrzebki, które sobie wyobrażał, niezmiennie kojarzyły mu się z wesołymi małeństwami z obrazu Botticellego *Narodziny Wenus*.

– HEATH!

– Tak?

– PEWNIENIE UWAŻASZ, ŻE JESTEŚ PONAD TO? CZY POŚWIĘCASZ STO PROCENT SWOJEJ CENNEJ UWAGI TEMU WAŻNEMU SZKOLENIU, HEATH?

– Zdecydowanie tak.

– CO ZDECYDOWANIE TAK?

Alistair nie miał pojęcia, do czego ten człowiek zmierza.

– Tak, poświęcam mu całą swoją uwagę.

– CO TAK, POŚWIĘCAM MU CAŁĄ MOJĄ UWAGĘ?

Facet był niedorozwinięty. Nienawistny wiatr dął jak wściekły po bezkresnej równinie Salisbury usłanej osmolonymi metalowymi szczątkami powyginanymi w dziwaczne kształty, w jakich zastygły. Wiał z południowego zachodu, niosąc ze sobą słoną wilgoć znad kanału La Manche i ostre powietrze z sennych wzgórz Purbeck. Nie napotkał na swej drodze żadnego miasta i nie zabrał ze sobą woni ludzi ani tego, czym się pocieszali. Spowolnił myśli Alistaira i pozbawił go czucia w palcach. A tymczasem ten starszy sierżant stał przed nim nieczuły na wicher i deszcz – i to już od dwóch tygodni – z wypiętą pierśią, wciągniętym brzuchem i twarzą, która z wściekłości przybrała kolor cynobru. Wpatrywał się w Alistaira i najwyraźniej wciąż oczekiwał, że ten coś powie.

– Aha! To znaczy, sir.

Pozostali rekruci wybuchnęli śmiechem. Po miesiącu nie wolno było zapominać o tym słowie.

– CO, SIR?

– Przepraszam...?

– JAKI KOMUNIKAT PRÓBUJESZ PRZEKAZAĆ PRZEŁOŻONEMU?

– Ach, rozumiem – zmitygował się Alistair. – Przepraszam. Poświęcam temu ćwiczeniu sto procent mojej uwagi, sir.

– TAK LEPIEJ – ocenił starszy sierżant.

Alistair ucieszył się, że tamten tak to odebrał. Ćwiczenia z walki na bagnety zostały wznowione.

– CO POWODUJE, ŻE ROŚNIE TRAWA?

- Krew, krew, krew!
- NIE SŁYSZĘ WAS, PANIENKI! CZYJA CHOLERNA KREW?
- Wroga!
- CZYJEGO STRASZLIWEGO NAZISTOWSKIEGO WROGA?
- Straszliwego nazistowskiego wroga Królewskiej Armii!
- TO ZABIĆ WROGA! JAK MYŚLICIE, DO CZEGO SŁUŻY TEN SZPICZASTY KONIEC? ZAŁATWCIE GO, NIM ON ZAŁATWI WAS!

Rekruci wydali z siebie ryk i z worków, które zaczęli dźgać bagnetami, wylały się strużki wilgotnego piasku. Każdej ranie zadanej przez Alistaira mokremu workowi odpowiadał uszczerbek w jego morale. Jakże tego nienawidził – nieustannej tyranii starszego sierżanta i podstępного chłodu, który wnikał w głąb ciała niczym infekcja po dwóch tygodniach w ciekącym namiocie. A najbardziej nienawidził ciepłego płomyka rozpalanego przez nienawiść. Wyobrażasz sobie starszego sierżanta na wprost twojego bagnetu i odczuwasz paskudne drżenie na myśl, żeby go zadźgać.

Alistair wykonał ćwiczenie z bagnetem w stopniu dostatecznym, co pozwoliło rozpruć wroga Królewskiej Armii, a kiedy było już po wszystkim i starszy sierżant zadał w gwizdek, wziął karabin i odszedł nieco na bok. Odpiął hełm i pozwolił, by deszcz zmył piach z jego twarzy. Rzucił plecak na kępę trawy, by nie stykał się z nasiąkniętą ziemią, i skulił się na wietrze, żeby zapalić fajkę.

Wilgotny tytoń drżał w cybuchu. Zapalki gasły jedna po drugiej. Zdesperowany Alistair ujrzał, jak przygasa ostatnia.

- Ch... Chcesz ognia, H... Heath?

To był Duggan, jedyny uczestnik szkolenia w nieokreślonym wieku po trzydziestce. Jako jedyny używał przydziałowego scyzoryka i składanego widelca, by obrać ze skóry i ości sardynki z racji żywnościowych, jakby to był podwieczorek w Fortnum's. Podczas marszu nosił karabin, nieco go od siebie odsuwając, tak jak się niesie dziecko, które się zmoczyło.

- Dzięki.

Zapalniczka Duggana ułatwiła sprawę. Delikatny, błękitnawy dym przyniósł Alistairowi ulgę. Niosło go – jak sądził – w stronę

Londynu.

– Masz o... ochotę na towarzystwo? – spytał Duggan.

Alistair zerknął na cybuch.

– Po tym ćwiczeniu muszę pogadać – odpowiedział.

Duggan przysiadł na swoim plecaku.

– Jeśli chcesz s... słuchać rad starszych od siebie, to ja po prostu udaję, że w... worek z piaskiem to tylko w... worek z piaskiem.

Alistair spojrzał na niego.

– Ciebie też to gryzie?

– Moim zdaniem wszystkie te krwiożercze w... wrzaski są na użytek sz... szeregowych. Rozumiem, że ty będziesz oficerem?

– Mam nadzieję. Wkrótce rozpocznę kolejny kurs, pod warunkiem, że zaliczę ten, nie zadźgawszy starszego sierżanta bagnetem.

Duggan zapalił papierosa.

– Nie sądzę, żeby o... oblali kogoś za coś takiego. Przypuszczam, że kurs oficerski to coś bardziej c... cywilizowanego.

Alistair skinął głową.

– Zrobią nam zbiórkę przy stole z serami. Dowódca spyta: „Co im serwujemy?“, a my odpowiemy jak jeden mąż: „Porto! Porto! Porto!”.

– Czyje porto?

– Królewskie porto!

– Nadajemy się na oficerów – uśmiechnął się Alistair.

Duggan odpowiedział mu bladziutkim uśmiechem i wskazał rozżarzoną końcówką papierosa na ciągnącą się wokół równinę.

– Ty też n... nienawidzisz tego okropnego miejsca?

Alistair pyknął z fajki.

– Nim przejęła je armia, to był raj pełen małych wiosek z wesołymi domkami, w których buzował ogień w kominku i przed którymi pasły się jednorożce.

– Z... zupełnie jak w Peckham.

– Stamtąd pochodzisz?

– W tym s... sensie, w jakim ludzka d... dusza jest wieczna, tak

naprawdę nikt nie pochodzi z Peckham – wzdrygnął się Duggan. – Niektórzy mieszkają tam, d... daj Bóg, *pro tempore*.

– Ja mieszkam na północnym brzegu rzeki. W Camden.

– P... pięknie. A co tam robiłeś, zanim zacząłeś robić t... to, co każe ci armia?

– Byłem bardzo podrzędnym konserwatorem dzieł sztuki w Tate Gallery. Parzyłem herbatę i upominałem sprzątaczkę, żeby nie przecierała płócien uniwersalnym środkiem czyszczącym.

– Ciekawe, jak naród p... poradzi sobie bez ciebie.

– A ty, jak przypuszczam, pełniłeś funkcję arcybiskupa Canterbury?

– Jestem aktorem. J... jękanie ustępuje, kiedy jestem na s... scenie.

– I zgłosiłeś się tutaj?

– Miałem d... dość ról drugiego m... mordercy. No i przyjechałem, żeby odbywać próby w roli p... pierwszego.

– I jak ci się tu podoba?

– Kostiumy są raczej nieciekawe, ale za to nie ma wielu k... kwestii do wkucia na pamięć.

– To jedyny spektakl, co do którego masz nadzieję, że nigdy nie trafi na afisz na West Endzie.

– Amen.

Alistair opróżnił fajkę, stukając nią o but.

– A konkurs na Miss Londynu?

Duggan potrząsnął głową.

– O... odpadłem podczas rundy w strojach kąpielowych.

Alistair się uśmiechnął.

– Brakuje mi tego, by nikt nie wtrącał się do moich spraw.

– Mnie też t... tego brakuje.

– Jesteś żonaty?

Duggan uniósł papierosa, by wiatr strącił z niego popiół.

– Ty n... naprawdę jesteś jeszcze młody.

Południowo-zachodnia linia horyzontu zniknęła w gęstej mgłę w kolorze cynku. Nisko nad nimi zawisła chmura ciągnięta przez czarne strumienie deszczu. Alistair i Duggan skulili się na resztkę

przeestrzeni pomiędzy trawami a opadłym niebem. Żołnierze z kompanii wymienili między sobą tragikomiczne spojrzenia ludzi, których spotka coś jeszcze gorszego.

Starszy sierżant dmuchnął w metalowy gwizdek.

– NADCIĄGA MGŁA! UWAGA, BEZNADZIEJNE SUKINSYNY! UWAGA!

– U... Uwaga, ale właściwie na co? – skrzywił się Duggan. – Czy tego koszmarnego człowieka nigdy nie męczy to, że gada od rzeczy?

Alistair podmuchał w dłonie, żeby je rozgrzać.

– Jak myślisz, czego się po nas spodziewa?

– A propos mgły? Raczej nie możemy jej z... zastrzelić. A jednak wydali nam t... to.

Duggan pstryknął paznokciem lufę karabinu, co zabrzmiało jak pojedynczy rowerowy dzwonek.

– Czyli ma na myśli to, żebyśmy cieplej się ubrali?

– Mam na s... sobie wszystko, co dostaliśmy z przydziału. Ty nie?

– To może powinniśmy coś zjeść, żeby nabrać sił?

– Czy s... starszy sierżant wydał rozkaz, żebyśmy coś zjedli? Chyba już nie zniosę jego kolejnych wrzasków.

– Możemy wykazać się inicjatywą.

– Czy dał nam w... wyraźny rozkaz, żebyśmy się nią wykazali?

– Mam trochę dżemu w plecaku.

Duggan rzucił mu spojrzenie.

– Ciągasz ze sobą dżem? Czy p... przydziałowe cierpienie nie jest dla ciebie wystarczająco ciężkie?

Alistair otworzył plecak i wyjął z niego słoik od Toma.

– Jeżynowy. Noszę go jako pamiątkę z domu. Miał być na zakończenie wojny, ale to bez sensu, jeśli wcześniej skonam z rozpacz. Masz łyżkę albo coś, czym można by go zjeść?

Duggan rozejrzał się wokół.

– Nie będziesz się ś... śmiał? Mam ciasteczka, które upiekła moja k... kochana mama.

Gdzieś niedaleko starszy sierżant znowu zaczął wrzeszczeć. Jego słowa kruszył i porywał wiatr. Duggan wyjął ciasteczka z plecaka.

Były owinięte w niebieską lnianą kuchenną ściereczkę przewiazaną sznurkiem.

Mgła w niemym pośpiechu owionęła kompanię rekrutów i całkowicie przesłoniła widok na równinę. Poza ciasną bańką, w której przycupnął każdy z żołnierzy, nic nie było widać. Grzebali w plecakach, palili i rozmawiali cichymi utrudzonymi głosami, niewidzącymi oczami wpatrzeni w otaczającą ich szarość.

Myśli Alistaira utknęły w martwym punkcie. Po dwóch tygodniach dojmującego chłodu, wytrącającego z równowagi wiatru i nieustannej obecności starszego sierżanta zmęczenie wniknęło w niego tak głęboko, że jedynie widok rozległej równiny przekonywał go, że istnieją jeszcze rzeczy niepozbawione znaczenia. Czuł się zgaszony, wypalony. Dmuchnął w dłonie i czekał na dźwięk gwizdka i rozkaz, który przywróci mu jakiś cel.

Tymczasem Duggan próbował rozplątać supeł, który więził ciasteczka w niebieskiej ściereczce. Jego palce zamarły, gdy nagle zrobiło się ciemniej. Para butów zapadła się w błoto między nim i Alistairem. Obaj unieśli wzrok.

– CUDOWNE! CI DWAJ LONDYŃSCY DZENTELMENI WYBRALI SIĘ NA WIEŚ NA PIKNIK!

Szare cienie skupiły się wokół nich we mgle, przemieniając się w rekrutów. Na ich twarzach malowała się pełna współczucia solidarność bądź drwiące rozbawienie. Alistair wstał. Duggan podniósł się nieco wolniej, najpierw ostrożnie położywszy zawiniątko na plecaku.

– ZADOWOLONY, DUGGAN?

Duggan skinął głową.

– Tak jest, si... sierżancie.

– CZY WASZA PACZUSZKA LEŻY DOKŁADNIE TAM, GDZIE CHCIELIŚCIE?

– R... raczej tak, dziękuję, panie sierżancie.

Nie zrywając kontaktu wzrokowego z Dugganem, starszy sierżant musnął pakunek butem i wdeptał go w błoto. Mielił go obcasem, aż ten utknął do połowy w brei.

– A TERAZ?

Duggan spojrzął na uwalaną błotem ściereczkę i na rozmiękle na deszczu, zmiążdżone ciasteczka, po czym utkwiał wzrok w sierżancie.

– Teraz pańska ż... żona będzie musiała mi upiec więcej tych ci... ciasteczek, sierżancie. Odbiorę je następnym razem, kiedy b... będę się z nią zabawiał.

Rekruci wstrzymali oddech. Sierżant odchylił się na piętach i powoli, drwiąco się uśmiechnął, odsłaniając zęby aż po korzenie. Wiatr chłostał peleryny żołnierzy.

– Świetnie, Duggan – rzucił wreszcie starszy sierżant.

Pierwszy raz usłyszeli, jak przemawia normalnym głosem. Później odszedł i przykucnął koło swojego plecaka, tyłem do wiatru, żeby nawiązać przez radiostację łączność z jakimiś nieznanymi im osobami.

Wszyscy rekruci skupili się wokół nich. Gdy nabrali pewności, że incydent już się zakończył i że uwaga starszego sierżanta powędrowała gdzie indziej, paru uściśnęło dłoń Duggana. Poczęstowali go papierosem, którego mu przypalili, gdy okazało się, że jego ręce zbyt szybko się trzęsą.

Alistair przypatrywał się ich reakcji. Potraktowali go po kumpłowsku, choć w każdej chwili gotowi się rozpierzchnąć, gdyby sierżant wrócił rozeźlony. Jeszcze nie wiedzieli, jak funkcjonuje armia – czy taką potyczkę puszcza się w niepamięć, czy też długo chowa się urazę. Było kilka nerwowych śmiechów, ale nikt nie próbował powtórzyć przebiegu całego zajścia. Rekruci wyczekiwali z niepokojem we mgle – przypadkowa zbieranina sklepikarzy, maszynistów i księgowych z niedbale przewieszonymi karabinami.

Alistair obserwował ich z pewnego oddalenia ze znużeniem i troską. Fajki nie udało mu się już zapalić sztywnymi i pozbawionymi czucia palcami. Wygrzebał słój z dżemem Toma z błota, wytarł go i ponownie umieścił w plecaku. (Pewnie siedzi teraz na poddaszu i zajada ten pieprzony dżem łyżką). Drżąc, z ciałem przemarzniętym do kości, trzeba było się przemóc, by

uniknąć przemoczenia i zwyczajnie się nie rozpląkać.

*

Nadciągnął zmierzch, gdy usłyszeli warkot silnika. To była ciężarówka z paką nakrytą plandeką, której światła padające z wąskich reflektorów ponuro przecinały mgłę. Zatrzymała się z włączonym silnikiem. Kierowca palił papierosa, z kabiny sączyła się pomarańczowa poświata. Starszy sierżant wskoczył na błotnik i zwrócił się do rekrutów:

– DOBRA, SZCZĘŚCIARZE! POGODA NAM NIE SPRZYJA, A JAKO ŻE JESTEM ŁASKAWYM BOGIEM, ZAFUNDUJĘ WAM MIŁĄ CIEPLĄ NOC W KOSZARACH! WRZUCAĆ PLECAKI I WSKAKIWAĆ! I NIE MÓWIĆ, ŻE TATUŚ JEST NIEDOBRY!

Rekruci zaczęli wiwatować. Alistair zdołał przerzucić sztywne kończyny przez tylną klapę i opadł wśród śmiechów kolegów na ławę. Żołnierz siedzący z lewej klepnął go w plecy i poczęstował suchym papierosem. Alistair wypalił go łapczywie. Z bólem tak okropnym, że aż zabawnym, wróciło mu czucie w rękach i w nogach.

Tymczasem wszyscy wokół jakby się zmówili, żeby psioczyć. Z twarzami lśniącymi w rozedrganym świetle żarzących się papierosów przeklinali wredną równinę i wyliczali sposoby uszkodzenia ciała oraz pomysłowe akty sodomii, jakie zaaplikują po zakończeniu wojny osobie Adolfa Hitlera za to, że zmusił ich do spędzenia zimowych tygodni na równinie Salisbury, a przecież byli przystojnymi młodzieńcami z ważną misją do spełnienia w czasach pokoju, polegającą choćby na picciu i lataniu za spódniczkami oraz odsypianiu jednego i drugiego.

Nazywali armię dupokryjówką, a jej dowódców dętymi dupkami. Przeklinali lodowaty wichur przenikający przez plandekę i twarde metalowe ławy ciężarówki. Wyrazili opinię, że ich optymalnym miejscem załadowania byłby tyłek kierowcy, któremu wytknęli, że niewielki wysiłek łączący się z przywiezieniem poduszek z koszar

byłby odczytany jako miły gest z jego strony.

Następnie zaczęli obrażać wytwórców wojskowych butów, które najwyraźniej wymodelowali z nienawiścią i które zatrzymywały lodowatą wodę w środku, a nie na zewnątrz. Miały im zostać wepchnięte do tyłków.

Wyrazili też nadzieję, że projektanci karabinów Lee-Enfield MkIII[3] będą odczuwać podczas oddawania moczu, wypróżniania oraz ejakulacji identyczne nieusuwalne odrętwienie, jakiego doświadczali rekruci, leżąc w zmrożonej brei na strzelnicy, gdy zeszywniałymi palcami próbowali nakłonić magazynek, by ten oddał kulę tyłkowi. Uznali, że wszyscy wytwórcy butów (z butami już, *in situ*, w tyłkach) powinni trafić do tyłków Lee i Enfielda: producenci lewych butów do odbytu pana Lee, a prawych – pana Enfielda. Na koniec Lee oraz Enfield powinni zostać upchnięci głową do przodu w tyłku kolegi, skoro tak bardzo optowali za ładowaniem od tyłca...

W wojsku nie było niczego, co – zdaniem rekrutów – nie nadawało się do umieszczenia w zakamarkach ciał innych osób lub zwierząt. W roztrzęsim ciepłe ciężarówce, w mokrych parujących mundurach, z podawaną z ręki do ręki manierką z alkoholem, rekruci odesłali całą armię do diabła. Opisali wszystkie jej opresyjne działania, upychając je w kolejnych tyłkach niczym w rosyjskiej matroszce, aż cała wielka machina wojny odnalazła swe nieuniknione miejsce spoczynku w zadzie Führera.

Innymi słowy, rekruci byli szczęśliwi. W litanii ich złorzeczeń zabrakło jedynie starszego sierżanta, gdyż to jego działaniu zawdzięczali to nieoczekiwane ciepło i rozwiązanie języków. Alistair musiał przyznać wielkiemu sukinsynowi, że nie jest pozbawiony geniuszu. Przez dwa straszne tygodnie doprowadził swoją kompanię do kresu wytrzymałości, po czym, wyczuwszy możliwość dezercji lub buntu, niczym matador cofnął się o krok. Tymczasem wiatr przemienił się w wichurę, a sierżant siedział w kabinie z kierowcą, pozwalając, by żołnierze dali upust swej frustracji. Dzięki temu aktowi wielkoduszności jego władza nad nimi uległa

podwojeniu.

Alistair rozparł się na ławie i pociągał z manierki za każdym razem, gdy ta trafiała w jego ręce. Rekruci byli już w dobrej formie. Gdyby ich obecne reakcje nie były jakieś szczególnie radosne, w jego własnym zachowaniu też pewnie nie byłoby niczego wyjątkowego. Podawali mu manierkę jak każdemu. Może to było więcej, niż miał prawo się spodziewać.

Gdy czekali, aż ciężarówka ruszy, czując rozchodzące się po nim ciepło, Alistair wreszcie się odprężył. Kiedy potrzeba czujności zniknęła, zrobił się śpiący. Wcześniej nie uświadamiał sobie, jak bardzo jest wyczerpany. Opadły mu powieki. Radosne, utyskujące głosy straciły na wyrazistości, zlewając się z monotonnym pomrukiem silnika i skowytem wiatru.

Obudził się nagle, gdy z łoskotem opadła tylna klapa ciężarówki. Wykrzykiwane przez zaskoczonych kolegów przekleństwa świadczyły, że oni też odpłynęli w sen. Gdy ściągnięto brezent, do wnętrza wdarł się zimny powiew wichury. Sierżant zapalił latarkę. Rekruci krzywili się i mrużyli oczy, gdy snop światła sunął po ich twarzach, dopóki nie spoczął na Dugganie.

– Wyskakuj, Duggan, no już, grzecznie – rzucił sierżant.

– S.. słucham?

Jedynym dźwiękiem było delikatne pomrukiwanie silnika.

– GŁUCHY JESTEŚ? POWTARZAM, PANIE DUGGAN! ZABIERAJ SPRZĘT, KTÓRY JEGO KRÓLEWSKA WYSOKOŚĆ W SWEJ HOJNOŚCI POSTANOWIŁ CI WYDAĆ, I WYSKAKUJ JAK ZAJĄC, HOP, HOP, Z TEJ ŚLICZNEJ CIĘŻARÓWKI!

– C... co?

– WRÓCISZ DO KOSZAR NA PIECHOTĘ, DUGGAN! NOCNY MARSZ NA ORIENTACJĘ, SZCZĘŚCIARZU! BÓG MI ŚWIADKIEM, ŻE WYCIĄGNAŁEM TWOJE NAZWISKO Z KAPELUSZA PRZYPADKOWO!

Duggan nawet nie drgnął.

– NO JUŻ, DUGGAN! NA CO CZEKASZ? KAŻDA MINUTA, KTÓRĄ SPĘDZASZ, SIEDZĄC NA TYŁKU, TO KOLEJNA, KTÓRA ODDAŁA TWOICH KOLEGÓW OD ZAPIEKANKI Z WOŁOWINĄ W PIWIE,

GORĄCEJ KĄPIELI I SNU!

– A... ale ja nie wiem, k... którądy mam iść.

– KOSZARY SĄ W WARMINSTER, DUGGAN, DOKŁADNIE TAM, GDZIE JE ZOSTAWILIŚMY!

– T... to wiem. Ale nie wiem, g... gdzie jesteśmy.

Starszy sierżant uśmiechnął się szyderczo. Brezentowa zasłona zaczęła chlastać o plandekę, gdy nagły podmuch wiatru rozkołysał ciężarówkę.

– MASZ CZY NIE MASZ, DUGGAN? JEDEN, SŁOWNIE JEDEN EGZEMPLARZ MAPY, WYDANY WSZYSTKIM REKRUTOM DECYZJĄ KRÓLEWSKIEJ SŁUŻBY KWATERMISTRZOWSKIEJ, GDZIE DZIESIĘĆ CENTYMETRÓW TO KILOMETR, ANGLIA/WILTSHIRE: 052?

– Mam, a... ale nie wiem, g... gdzie się na niej znajdujemy.

– CZY GDY OSTRZEĞEM WAS O NADCIĄGAJĄCEJ MGLE, SKORZYSTAŁEŚ Z OSTATNIEGO MOMENTU DOSTATECZNEJ WIDOCZNOŚCI, BY OKREŚLIĆ NAMIARY ZA POMOCĄ RĘCZNEGO KOMPASU NA SZNURKU I, ZGODNIE Z INSTRUKCJĄ, NANIEŚĆ JE NA WCZEŚNIEJ WSPOMNIANĄ MAPE, BY USTALIĆ SWOJĄ POZYCJĘ METODĄ TRÓJKĄTA?

– N... nie, panie sierżancie.

– Mhm, to pewnie czeka cię długa noc – rzucił starszy sierżant w zamyśleniu. – Trudno, masz nauczkę. No już, wyskakuj.

Duggan pobladł w ostrym świetle latarki, którym przygwoździł go sierżant. Oczy nabiegły mu krwią.

– Nie może pan t... tego zrobić.

Sierżant nie odpowiedział i nie opuścił latarki. Duggan odwołał się do kolegów.

– Nie może mi t... tego zrobić. Nie może z... zostawić mnie samego!

Alistair nie mógł patrzeć na napiętą twarz Duggana, na której pojawił się grymas zawodu, gdy pozostali nie zareagowali na ten apel. Słysząc było tylko, jak wiercący się żołnierze szurają butami po drewnianej podłodze ciężarówki.

– Duggan – odezwał się starszy sierżant. – Mogę zrozumieć, że nie

masz ochoty na taką samotną wędrówkę, więc dam ci wybór. Jeśli za pół minuty nie wyskoczysz z tej ciężarówki, wszyscy z niej wysiądą i cała kompania pomaszeruje do koszar wraz z tobą. Naprawdę ci na tym zależy?

Duggan siedział oślepiiony światłem latarki.

– Ja... ja...

Zapadła cisza. Minęło pięć sekund, dziesięć. Ktoś kaszlnął w ciemnościach, po czym coś wymamrotał. Gardłowy kaszel przemienił się w słowa: „Wynocha!”.

Znów cisza i znów pokasywanie w ciemnościach. „Wynoś się!”, „Wynocha!”, „Wypierdalaj, Duggan, cholerny sukinsynu!”. Kaszłąc, wydali wyrok. Każdemu przekleństwu towarzyszył skurcz przepony. Przemówili nie tylko językami, ale też całym utrudzonym ciałem. Byli sponiewierani, śpiący i nie chcieli znów moknąć w deszczu.

Alistair nie przyłączył się do tego chóru głosów, ale też nie zareagował, mimo że chciał, by przestali. Duggan obrócił się ku niemu, choć właściwie nie do końca. Oślepiiony światłem latarki skierował swoje słowa w miejsce po prawej stronie od Alistaira. Cichym, łamiącym się głosem rzucił:

– H... Heath? – A gdy nie usłyszał odpowiedzi, ponowił wołanie: – Alistair?

Alistair szczelnie docisnął ramiona do tułowia. Słyszał skowyt wiatru i czuł wzbierające w nim powoli ciepło. Odrętwienie tak szybko by wróciło, gdyby znów się tam znalazł.

Przemógł się, by spojrzeć na Duggana. Miał dziwnie płaską twarz, niemal wklęsłą. Była słaba, Alistair dostrzegł to teraz i zdziwił się, że nie zauważył tego wcześniej. Nietrudno byłoby ją znieubić. Gdybym miał taką twarz, przemknęło mu przez głowę, pewnie w jego wieku już bym wiedział, komu mogę się postawić.

Spojrzał na tę słabą twarz o błagalnym spojrzeniu i poczuł, jak ogarnia go złość. Rozmawiał z tym człowiekiem ledwie parę minut, więc ten nie miał prawa się z nim bratać. Wymienili kilka żartów i tyle. Na moment schronili się razem przed wiatrem, ciesząc się

solidarnością, która – kiedy teraz o tym pomyślał – wynikała z chwilowego zadowolenia i poczucia, że są ulepiani z lepszej gliny niż pozostali rekruci. Tymczasem teraz grzała go whisky, którą dali mu tamci.

– Alistair?

Wicher chłostał plandekę. Wszyscy czekali, aż się odezwie. Alistair nie chciał jednak wychodzić na ulewę i milczał.

W świetle latarki wcześniej błagalne spojrzenie Duggana stało się teraz rozpaczliwe. Gdy w końcu wziął plecak i karabin i ruszył ku tylnej klapie, twarz Duggana aktora straciła wszelki wyraz.

Ciężarówka uniosła się na resorach i znów opadła, gdy z niej zeskoczył. Sierżant wyłączył latarkę i zatrzasnął klapę. Alistair poczuł, jak kołysze się podłoga, gdy sierżant wsiadał do kabiny. Trzaśnięcie drzwi i znów kołysanie, kiedy ciężarówka zaczęła sunąć po kępach trawy. Rekruci siedzieli w ciszy. Samochód nabrał prędkości i ruszył przez pozbawioną dróg równinę.

Teraz już nikt nie żartował, nie przeklinał ani nie wyciągał manierki z whisky. Każdy z żołnierzy w wilgotnym mundurze szacował, ile zyskał i jakim kosztem. Jako że zapłacili za to razem, teraz najlepiej było rozmyślać o tym w samotności. Deszcz tłukł o brezent, a jego lodowate strugi wdzierały się wszędzie tam, gdzie znalazły dojskie. Wiatr zacinał jak wściekły.

– Niech to szlag! – zaklął Alistair.

Wziął karabin i plecak, chwycił się stalowej linki przymocowanej do dachu i, potykając się o nogi i plecaki kolegów, dotarł na tył ciężarówki. Następnie zebrał się w sobie i wyskoczył.

Upadek był gwałtowny. Ekwipunek wypadł mu z rąk. Alistair przetoczył się po mokrej trawie i zatrzymał się, zgięty w pół, mocno dysząc. Przez te dwadzieścia minut spędzonych w ciepłe całkowicie zapomniał, czym jest ziąb. Od razu ogarnęły go wątpliwości, czy zdoła przetrwać. Podniósł się i przygięty cofnął się, idąc tyłem do wiatru, najpierw po plecak, a potem po broń. Strugi deszczu chłostały go w głowę; hełm przepadł. Karabin był śliski od wody. Zarzucił sukinsyna na ramię.

Ciężarówka nie spowolniła ani nie zmieniła biegu, ale tego nie oczekiwał. Rekruci poczują, że kamień spadł im z serca. Znów zaczną rozmawiać, zarzekając się, że postawią piwo temu, który wyskoczył. Nie wszyscy będą znali jego nazwisko.

Alistair obserwował znikające w oddali światła ciężarówki i obrócił się do nich plecami. Odnalazł drogę, którą tu przyjechali, i oszacował dystans oraz godzinę. Idąc skulony, wołał Duggana. Na niebie nie świeciły gwiazdy. Była to wyjątkowo ciemna noc.

Kilka kilometrów dalej na zachód zbliżająca się ciężarówka wprawiała niewybuch w drgania. Pośród odgłosów wichury wibracje były początkowo ledwie wyczuwalne. W miarę upływu czasu przemieniły się w jęk sprężyn i rżenie przeciążonej skrzyni biegów. Później basowy warkot silnika stał się bardziej słyszalny niż zawrodozenie wiatru. Zapalnik był bliski odpalenia. Tymczasem na pace ciężarówki żołnierze śpiewali szlagier Ala Bowlly'ego.

Życie jest jak miska wiśni,
Nie bądź taka poważna, życie to tajemnica...

Rozchybotana ciężarówka niosła ich głosy. Metaliczny dźwięk harmonijki wywoływał drgania wewnątrz zimnej mosiężnej skorupy pocisku. Rekruci przytupywali do rytmu. Znajdowali się już niemal nad niewypałem. Wibracje przenikały do ziemi.

Pracujesz, oszczędzasz, zamartwiasz się,
Ale nie zabierzesz ze sobą forsę do grobu...

Ciężarówka była już prawie dziesięć metrów od niewybuchu. Czujniki zapalnika brzęczały, grzechotały i stykały się ze sobą w wilgotnej ziemi, wywołując nacisk na ładunek. Ciężarówka była coraz bliżej. Pocisk wibrował wskutek najróżniejszych drobnych odgłosów – nieco spóźnionego rytmu wybijanego palcami przez sierżanta na desce rozdzielczej, jego radosnych podrygiwań z dala od wścibskich oczu żołnierzy, zakrętki przytwierdzonej

łańcuszkiem do manierki, której zawartością podzielił się z kierowcą, nierównomiernie rozłożonego ciężaru, gdyż rekruci skupili się po jednej stronie, tam, gdzie mniej wiało, pisku wilgotnego paska klinowego i żołnierskich pierdnięć rozchodzących się po twardych długich ławach i przenoszonych przez gumowe bieżnikowane opony do nasączonej ziemi.

Gdy rekruci śpiewali, ciężarówka przejechała dokładnie nad pociskiem, nie najeżdżając na niego kołami. Niewybuch ugrzązł nieco głębiej w zimnej brei. Wibracje zmniejszyły się, aż w końcu ustały. Żołnierze zmierzali dalej, ku koszarom, bez świadomości, że zaczynają wszystko od nowa, choć – rzecz jasna – armia nie wydała im stoperów, które wyzerują się za każdym razem, gdy ocalą życie. (Bo gdyby je dostali, na pewno nie działałyby jak należy i rekruci wskazaliby odbył, w który należałoby je wepchnąć).

Tymczasem niespełna pięć kilometrów na wschód Alistaira zaskoczyło nagłe zagłębienie w terenie i sprawiło, że musiał przyspieszyć kroku, by utrzymać równowagę. Po ciemku zbiegł na oślep po stoku i odnalazł Duggana; potknął się o niego, a ten, zszokowany, aż wrzasnął. Alistair przystanął i zdyszany oparł się o karabin.

– Duggan?

– K... kto to?

– To ja. Heath.

– Alistair?

Alistair przykucnął i, gmerając w mroku rękami, wyczuł Duggana. Leżał na plecach prawie prostopadle do stoku, z głową na górze. Alistair domyślił się, że znajdują się na dnie płytkiego jaru. Obok hałaśliwie bulgotała woda.

– Jesteś ranny?

– Nie wiem. U... upadłem.

Alistair zaczął go obmacywać.

– Twoje nogi są w wodzie.

– Tak? N... nie czuję.

– Zabiorę cię stąd.

Alistair zdjął plecak, postawił go na ziemi, po czym chwycił Duggana pod pachy i wyciągnął z wody.

– Dobra. Jak się czujesz?

– Jako aktor? W... wspaniale.

– Gdzie masz plecak?

– Nie wiem.

– A broń?

– To się nazywa k... karabin, Heath. Już powinieneś to wiedzieć.

– Gdzie go masz, do cholery?

Nad krawędzią jaru znów zawył wichur.

– N... nie wiem. P... przepraszam, Alistair.

– Nie przepraszaj, durniu. – Alistair osłonił swoim ciałem Duggana od wiatru.

– Si... sierżant ciebie też wykopał z ciężarówki?

– Powiedzmy.

– To rzeczywiście koszmarny s... sukinsyn. Z... zakazałbym mu w... wstępu do wszystkich klubów w Soho.

Alistair pomógł mu usiąść.

– Możesz wstać?

– S... spróbuję.

Alistair podtrzymał go, aż ten odzyskał czucie w nogach i mógł już ustać o własnych siłach.

– I... idziemy?

– Jeśli jesteś w stanie.

– M... może to nie będzie dokładnie to, co nazywają m... marszem.

– Spręż się. Daj rękę.

Chwiejnie wspięli się po stoku. Wiatr znów sobie o nich przypomniął i napał z całą siłą, ale skuleni zdołali utrzymać równowagę.

– Nie rozdzielajmy się! – krzyknął Alistair. – Bo drugi raz cię nie znajdę!

– Masz k... kompas? Ja w... wszystko zgubiłem.

Alistair wyczuł go na sznurku na szyi i podstawił sobie pod nos.

– Nic nie widać.

– To jak o... odnajdziemy drogę?! – krzyknął Duggan. – Ciemno tu jak w p... płucach górnika.

Alistair odkrzyknął mu do ucha:

– Wieje z południowego zachodu. Koszary znajdują się mniej więcej na zachód stąd. Jeśli będziemy mieli wiatr po lewej, między nosem a barkiem, myślę, że tam trafimy.

Ruszyli z trudem przed siebie, wyklócając się z wichrem o każdy krok. Przemoknięte mundury lepiły się im do skóry. Kolejne wyzwanie. Rozmokła ziemia zasysała im buty i stawiała opór, gdy je od niej odrywali. Brnęli tak przez godzinę, dwie. Ręka Duggana obejmująca Alistaira za szyję stawała się coraz cięższa. Alistair szedł od nawietrznej, osłaniając Duggana, który po jakimś czasie całkowicie zamilkł.

Alistair też słabł. Dostrzegali w mroku jakieś kolorowe błyski, a może tylko im się wydawało. W uszach Alistaira rozbrzmiewały fragmenty piosenek i haseł reklamowych, tak wyraźnie, że aż nie mógł uwierzyć, że podsuwa mu je jedynie wyobraźnia. „Brylantyna w twoich włosach – ona to lubi!”. Potrząsnął głową, żeby już tego nie słyszeć. „Piękny dzień na guinnessa!”. Przemógł się, żeby wrócić do rzeczywistości. Czując wiatr zacinający w lewy policzek, pomagał Dugganowi pokonywać największe nierówności terenu. Przez jakiś czas się udawało. I tak, noga za nogą, noga za nogą. I nagle: „Im służy dzienna dawka Bovrilu[4]!”.

Obudził go ostry podmuch wiatru. Stał bez ruchu, a obok uwieszony na nim Duggan. Nie miał pojęcia, jak długo pozostawali w takiej pozycji, śpiąc na stojąco. Potrząsnął Dugganem i zarządził chwilę odpoczynku. Przycupnęli za dającym marne schronienie pagórkiem, który bardziej wyczuli, niż zobaczyli. Oparli się plecami o wzniesienie i podciągnęli kolana pod brodę. Teraz, kiedy się zatrzymali, ziąb wydał im się przerażający.

– Duggan?

Brak odpowiedzi.

Alistair potrząsnął swoim towarzyszem.

– Duggan! Nie wolno nam zasnąć, bo stracimy przytomność.

Chwila ciszy.

– Rzeczywiście, n... nie wolno, bo co s... starszy sierżant bez nas pocznie?

– Pewnie stanąłby przed sądem polowym za to, że nas tu zostawił.

– No to kusi mnie, żeby umrzeć mu na z... złość.

– Tak trzymaj, a wygramy tę wojnę.

– Myślisz, że j... jeszcze daleko?

Alistair zaczął to rozważać. Zakładał, że kompania była jakieś dziesięć kilometrów od koszar w chwili, gdy przyjechała po nich ciężarówka. Był niemal pewien, że idą we właściwym kierunku, ale nie był w stanie określić, w jakim tempie. Momentami ledwo posuwali się naprzód. Przebyli trzy, może cztery kilometry, czyli zostało im jeszcze od pięciu do sześciu.

– Teraz już niedaleko – odparł. – Pewnie jeszcze z godzina marszu.

– C... całkiem nieźle – ocenił Duggan. – Wiesz, mam w koszarach w... więcej tych ciasteczek.

– Fajnie – ucieszył się Alistair. – Będą jak w sam raz.

– Ch... chwileczkę, stary. N... nie powiedziałem, że się z tobą podzielę.

Alistair uśmiechnął się. Pierwszy raz od wielu godzin poczuł coś w odrętwiałych policzkach. Z trudem się podniósł, zarzucił na ramię plecak i karabin i podał rękę Dugganowi, by pomóc mu wstać.

– Chodź, piesku, wracamy do psiarni.

Znow ruszyli pod wiatr, prąc naprzód w swoich ciężkich butach.

Wreszcie pojawiła się długo wyczekiwana zapowiedź świtu. Świat powoli na powrót przybrał swój kształt. Niebo pokrywała gruba warstwa chmur i nie weszło jeszcze słońce, dlatego wydawało się, że światło nie bije z jakiegoś pojedynczego źródła, lecz że lśnią pobliskie kępy traw, fałdy ziemi w oddali i wyciągnięte dłonie ich obu – każde swoją własną bladą barwą. Sprawiało to wrażenie jakiegoś świętego obrządku. Nawet wiatr przycichł wraz z nadejściem świtu, a deszcz przemienił się w mżawkę i uszedł z niego jad.

Alistair i Duggan natknęli się w szarawej poświacie na koleiny

z wyraźnie odciśniętymi w mokrej turzycy śladami opon. Teraz wystarczyło już tylko podążać za ciężarówką. Zrozumieli, że są uratowani. Spojrzeli na siebie i nieśmiało się uśmiechnęli, wiedząc, że dotrą do celu i że przyjaźń, jaką zadzierzgnęli w mroku, będzie trwała także w świetle dnia.

Duggan odzyskał siły. Już nie musiał się wspierać na ramieniu Alistaira. Szli krok w krok, szybko podążając na zachód. Deszcz całkowicie ustał, wiatr przycichł. Niska warstwa chmur zaczęła się podnosić. Zza linii horyzontu wychynęło słońce, czerwone i pradawne, zwierające szyki i jaśniejące za ich plecami. Gdy tak szli przez równinę, słały się przed nimi długie cienie.

– Te b... buciory mnie wykończą – rzucił z uśmiechem Duggan. – Tęsknię za w... wygodnymi butami. Wolisz sztyblety czy sznurowane?

– Półbuty, najbardziej mokasyny.

– A ja lubię p... porządną podeszwę i nie obchodzi mnie, czy są z d... drogiej skóry, świńskiej czy ci... cielęcej. Wystarczą mi takie, które b... błyszczą po wypastowaniu. Co do k... koloru, to wszystko mi jedno. Czarne są niezłe, ale brązowe t... też. A nawet beżowe albo...

Duggan nastąpił na niewybuch, który rozerwał go na strzępy.

3 W rzeczywistości karabin skonstruowany przez Jamesa Parrisa Lee oraz Williama Ellisa Metforda i udoskonalony w państwowej fabryce broni w Enfield.

4 Bovril – rosół w postaci gęstego wywaru, produkowany w Anglii.

Listopad 1939

W koszarach Alistair uświadamiał sobie, że podejmuje różne czynności – bierze prysznic, goli się lub je zupę jarzynową i bułki w kantine. Wojskowi wszystkich możliwych rang podchodzili do niego i bezgłośnie poruszali ustami. Alistair z ich postawy próbował odgadnąć, czy chcą go pocieszyć, czy też wydać mu rozkaz. Oficerowie najwyraźniej oczekiwali jakiejś odpowiedzi. Próbował zbyć ich słówkiem „sir”, ale nie zostawili go w spokoju.

Po eksplozji ogłuchł. Podczas kolacji obok talerza spadła pojedyncza kropla krwi. Wpatrywał się w nią tak długo, aż zrozumiał, że to z niego spłynęła. Źródłem okazało się ucho. Zawstydzony Alistair odszedł od stołu, nie tknąwszy jedzenia.

Kiedy już zaczął odzyskiwać słuch, otworzył swoją szafkę we wspólnej sali sypialnej. O świcie – jak zawsze – szykowała się inspekcja ekwipunku, a ten należący do niego znajdował się w oplakany stanie. Zwinął w kule strony gazety, wypchał nimi buty i ustawił je na olejowym grzejniku. Było to wbrew regulaminowi. Alistair wiedział, że jeśli sierżant to zobaczy, powie: „REGULAMIN WPROWADZONO NIE BEZ POWODU. A CO SIĘ STANIE, JEŚLI WSZYSCY POSTAWIĄ BUTY, ŻEBY WYSCHŁY NA TYM GRZEJNIKU?”. Potem Alistair i pozostali obecni będą zmuszeni zdusić w sobie odpowiedź: „Wszyscy będą mieli suche buty”.

Alistair złożył dwie koszule w przepisową kostkę i umieścił je po lewej stronie na górze kołnierzykiem do ściany i przodem równoległe do krawędzi metalowej półki, dokładnie centymetr od niej. Jakiś dawny wspólnik jego wojskowej niedoli wyskrobał w tym miejscu linię, żeby ułatwić sobie układanie. Była to jedyna świadcząca o ludzkich odruchach ozdoba, jaką Alistair napotkał w koszarach. W jaskiniach w Lascaux oglądał tury i jelenie

olbrzymie namalowane farbą mineralną. W salach renowacji obrazów w Tate Gallery wstrzymywał oddech na widok faktury dzieł Turnera.

Zdejmując spodnie, by je później złożyć, znalazł w kieszeni kopertę. Poczta musiała przyjść w ciągu dnia i pewnie wraz z innymi stanął w kolejce, żeby ją odebrać. Tego dnia było wiele kolejek. Do magazynu broni, do gabinetu brygadiera, do pralni, do izby chorych. Alistair złożył raport, zdał broń, ubranie i swoje ciało, aż nie zostało mu już nic i odesłano go do pełnienia lekkiej służby.

Otworzył list.

Drogi Alistairze,

ja, Cezar, na Twą prośbę, nie spuszczam Toma z oka – a właściwie z całkiem ładnego guzika od płaszcza z masy perłowej, gdyż uznałeś za stosowne mnie w niego wyposażyć. Mam sporo wieści, więc postaw uszy na sztorc. (Tak, jak postawiłeś moje).

Odkąd udałeś się w ciekawsze rejony, życie Twojego współlokatora również zdecydowanie nabrało tempa. Wiesz, że nie pochwalam rasy ludzkiej i jej śmiesznych decyzji dotyczących wyboru partnera, lecz w tym przypadku nawet ja muszę przyznać, że Twój przyjaciel, Tom, podjął przednią decyzję. Mary North to najbardziej urocza istota, jaką spotkałem, mimo pożałowania godnego braku ogona i wąsów i dziwacznej manieri chodzenia na tylnych łapach...

Alistair odłożył list i podszedł do piecyka olejowego. Z butów uchodziła para. Obrócił je, by osuszyć podeszwy, i wysunął na wierzch języki. Przyjrzał się im krytycznie. Trzeba je będzie zdjąć z piecyka, nim zamienią się w wiór, bo skóra stwardnieje i Alistair dostanie bąbli podczas kolejnego marszu – a kompania nie zwalnia kroku z powodu bąbli. Maszerujesz, aż pękną i dopóki nie obetrzesz sobie stóp do żywego mięsa. Bąble to prawdziwy powód, dla którego żołnierze nienawidzą wroga. Napaść na Polskę była oczywiście okropna, ale przynajmniej miała miejsce z dala od żołnierskich

butów.

Alistair położył się na pryczy i starał się zrozumieć treść listu. Nie spał, odkąd o siódmej nad ranem dotarł do bramy koszar, gdzie zemdlał. Wciąż miał w uszach ten świszczący huk. Ponownie przeczytał pierwszy akapit. Domyślił się, że jego przyjaciel, Tom, pisze do niego z punktu widzenia ich wypchanego kota. Cezara z łatwością przywołał w myślach, przechadzającego się miękko i po kociemu po ich mansardzie. Większą trudność sprawiło mu przypomnienie sobie twarzy Toma, a gdy wreszcie mu się to udało, jego rysy mieszały się z rysami Duggana. Był taki blady, kiedy leżał na czerwonej trawie w czerwonych promieniach wschodzącego słońca. Jego wargi zdawały się ciemne niczym kakao, choć oczywiście musiały być sine. Czerwone promienie słońca były jednak ślepe na kolory. Ciemne usta Duggana jeszcze przez chwilę się poruszały – on coś powiedział – lecz uszy Alistaira były już głuche. Usta, pozbawione swej barwy, wypowiadały słowa ogołocone z dźwięku.

Alistair przyjrzał się swoim dłoniom trzymającym cienki niebieski papier listowy. Mimo że wcześniej wziął prysznic, pod paznokciami i na kłykciach wciąż zalegał ciemny osad. Alistair przypomniawszy sobie, że próbował przytrzymać głowę Duggana. Jakby wszystkich nas nie czekał potop.

Wczoraj wieczorem Tom zabrał Mary na wystawę w Hammersmith. Z niesmakiem pragnę odnotować, że mnie nie zaprosili, ale z tego, czego się domyśliłem po ich powrocie, wysnuwam wnioski, że wieczór był udany. Ach, Alistair, zawsze uważałem, że – jak na człowieka – jesteś całkiem bystry. Oczywiście od razu zwróciłeś uwagę na sformułowanie „po ich powrocie” – bo właśnie tak było! Porzuciwszy zasady przyzwoitości, Tom zaprosił Mary na inspekcję naszego poddasza – i, zaiste, była to inspekcja! Żałuj, że nie widziałeś pogardy, z jaką zlustrowała nasze domostwo. Jestem pewien,

że w innym życiu musiała być jednym z waszych sierżantów. A potem, jeszcze zanim Tom odprowadził ją do domu, tańczyli przy muzyce z gramofonu. Dobra, wiesz co? Nie będę już udawał kota. Mary jest wystrzałowa, Alistair, to właśnie chcę Ci powiedzieć, i jestem Ci bardzo wdzięczny, że namówiłeś mnie na tamtą pierwszą kolację...

Brud na palcach zaczął irytować Alistaira. Odłożył list i nalał gorącej wody do zlewu pod tylną ścianą sali. Zanurzył w niej ręce i zaczął je moczyć. Z jego palców zniknęła krew. Ulatywała maleńkimi czerwonymi strużkami z załomków skóry i rozpuszczała się, aż woda w białym zlewie nabrała bladopomarańczowego koloru. Alistair otarł ręce o podkoszulek.

Sęk w tym, Alistair, że mnie bardziej zależy na niej niż jej na mnie. Wiem, że chce, bym załatwił jej pracę, i boję się, że jak tylko zorientuje się, że nie mam dla niej żadnej posady, zniknie. Pozostaje jeszcze kwestia jej pozycji...

Alistair przymknął oczy, rozmyślając o ich przenośnym gramofonie marki Columbia w wysłużonej skórzanej obudowie. Kiedy otworzyło się klapę, w środku czekało istne cudeńko. Błyszczące ramię typu Plano-Reflecto, rudy pluszowy talerz, na którym wirowały płyty, eleganckie kobiety na obitej aksamitem kanapie. Idealny sprzęt na czasy pokoju – wyważone ramię tworzące solidny fundament i miarowe obroty sugerujące nadmiar czasu.

...ponieważ Mary należy do całkowicie innej klasy społecznej i nie mogę powstrzymać myśli, że jej ewentualne zainteresowanie moją osobą może bardziej zależeć od tego, co myśli jej rodzina, niż od tego, co ona do mnie czuje. Ale może jej nie doceniam. Pewnie uważasz, że powinienem zebrać się na odwagę i...

Alistair upuścił list. Zastanawiał się, do jakiej muzyki tańczyli. W modzie był teraz Al Bowlly. „Trzymaj mnie za rękę”. Jeśli Tom się odważy. Leżąc na pryczy, Alistair całkiem wyraźnie słyszał w uszach tę piosenkę. „Trzymaj mnie za rękę, bez względu na pogodę, po prostu trzymaj za rękę, przejdziemy przez życie razem...”. Alistair myślał o tym, jak Tom tańczy z tą dziewczyną, i był szczęśliwy. Wreszcie ogarnął go sen, gdy muzyka wypełniła próżnię w jego głowie, w której wcześniej był tylko ten ostry, świszczący dźwięk. Płyta obracała się na talerzu, a Alistair spał z listem Toma w dłoni. Ucałował Duggana, kiedy tamten umierał. Wydawało mu się, że to jedyna rzecz, jaką powinien zrobić.

Rekruci z kompanii Alistaira stali wokół jego pryczy. Żaden się nie odezwał. Jeden przyniósł koc i go okrył. Drugi wziął jego buty z piecyka, zanim wyschły na wiór, natarł je czarną pastą, wypolerował i ustawił na szafce. O świcie zawsze była inspekcja.

Marzec 1940

Podczas śniadania Palmer przyniósł pocztę na cynowej tacy. Sreber używano wyłącznie wtedy, kiedy w domu przebywał ojciec Mary – jedno z setki dziwactw zaordynowanych w jakimś dawno zapomnianym rodzinnym przykazie lub coś, co zrodziło się spontanicznie w miedzianym obwodzie wewnętrznego mechanizmu Palmera, który oceniał to, co stosowne. Mary była pewna, że gdyby stracili Palmera wraz z całym zasobem metod działania i nawyków, których był jedynym depozytariuszem, jej rodzina musiałaby się rozpaść. Oderwaliby się od siebie niczym pozbawione wiązań atomy. A zatem Palmer, z poranną pocztą na cynowej tacy, która nadawała białym kopertom odcień koloru ostrygowego.

– Kolejny list od Zachary’ego! – ucieszyła się Mary.

– Posłuchaj, nie jesteś matką tego czarnucha – upomniała ją Hilda.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

Hilda, która w przeciwieństwie do Mary nie miała daru niezważania na ciężącą obecność Palmera, lekko się zaczerwieniła. Mary wyjęła list z koperty.

– Mam nadzieję, że nie zachęcasz go do korespondencji, śląc mu odpowiedzi? – spytała Hilda.

– Skarbie, to ja pierwsza do niego napisałam. I czy musisz go nazywać czarnuchem? To niezbyt miłe.

Hilda ziewnęła.

– Odmówię dziesięć zdrowasiek.

– Czarni nie są gorsi od nas. W istocie, jeśli chodzi o sprawność i ducha, całkowicie nam dorównują.

– Wątpię! – obruszyła się Hilda. – Ale nie mam nic przeciwko nim.

Może nawet wolę ich od innych cudzoziemców. Z nimi przynajmniej wiadomo, na czym stoimy.

- Czyżby?
- Nie powinniśmy pisać do nich listów.
- Przestań! Zresztą, chodzi nie tyle o pisanie, ile o wystawianie mu ocen. Posłuchaj.

Droga panno Northe, niepodoba mi się rze inne dzieci są takie wredne. I niepodoba mi się dom gdzie mieszkam z takim wrednym paniom...

Krzywiąc się, Hilda przyjrzała się listowi.

- Ile lat ma ten chłopak?
 - Dziesięć.
 - Pisał to ręką czy nogą? Słyszałam, że posługują się nimi równie sprawie.
 - Używa rąk do dłubania w nosie i mozolnego liczenia, a nogi służą mu do gry w piłkę. Nie różni się niczym od innych chłopców, z wyjątkiem tego, że jego pisownia jest dość oryginalna. Jest jak iskierka, tyle że nikomu nie chce się porządnie uczyć czarnych.
 - Pisze, jakby zgarnął mnóstwo liter na wyprzedaży i teraz chciał się ich jak najszybciej pozbyć – zachnęła się Hilda.
 - Dziwisz się? Gdyby mnie nikt nie uczył ortografii, w razie wątpliwości wstawiałabym co popadnie wszędzie, gdzie się da.
 - Czyli go za to nie winisz?
- Mary spojrzała na przyjaciółkę, potaknęła i rzekła:
- Wreszcie zaczynasz łapać.

Inne dzieci goniom mnie a jak złapiom ściogajom mi ubranie i bijom kijami i nożami prosze pomusz mi...

Uśmiech zastygł na ustach Mary.

- No tak, ale dzieci lubią przesadzać – skomentowała Hilda, zaglądając jej przez ramię.

Bardzo mi zimno tu jest tak zimno prosze pomusz mi...

Mary odłożyła list na tacę.

– Jestem pewna, że nie jest aż tak źle – powiedziała Hilda. – Moim siostrzeńcom wciąż trzeba przypominać, żeby wkładali sweter.

– Może powinnam tam pojechać.

– I jeszcze zrobić mu na drutach parę kominiarek, usmażyć naleśniki nasączone własnymi łzami i wysłać wełniane skarpetki.

– Wciśnij sobie skarpetkę w buzię.

– Przecież jest w Cotswolds, a nie na Krymie.

Mary puściła tę uwagę mimo uszu.

– Odwiedzę jego ojca.

Hilda prychnęła.

– Serio. Porozmawiam z nim, wyrażę swoje zaniepokojenie.

– Co to pomoże?

– On pewnie nie wie, jak to działa. Najprawdopodobniej nie zdaje sobie sprawy, że ma pełne prawo ściągnąć syna do domu.

– Nie chcę szukać dziury w całym, ale wiesz, jest wojna... – odparła Hilda.

– Naprawdę myślisz, że będą naloty? Ile już trwa to cholerstwo?

– Pół roku.

– I atakują nas jedynie plakaty zachwalające męstwo.

– Przecież nie każesz jego ojcu ściągnąć go do domu.

– Ale mam obowiązek uświadomić mu, że może to zrobić.

Właśnie w tym cały problem: jeśli nie mieszkasz na co dzień z przedstawicielem władzy, tak jak ja, nie rozumiesz, że można po prostu powiedzieć: „Nie, dziękuję”.

– Czyli zamierzasz wejść do domu czarnego...

– Najpierw zamierzam zapukać.

– ...i powiedzieć mu, co powinien zrobić ze swoim dzieckiem?

– Tak, dla jego dobra.

– Mimo że, twoim zdaniem, jest równie inteligentny jak my.

– Jesteś jak pułapka na myszy. – Skrzywiła się Mary. – Na wierzchu mięciutki serek, a pod spodem twarde sprężyny.

– Ćwiczę na tobie. Kiedyś będę miała męża.
Mary wzięła drugą leżącą na tacy kopertę.
– Niech Bóg ma w opiece tego nieszczęśnika.
– Bóg będzie po mojej stronie – odrzekła Hilda. – W końcu, jest tylko człowiekiem.

– Ten jest od Toma! – ucieszyła się Mary, lekko się czerwieniąc.

– Przeczytaj na głos.

Mary przysunęła kopertę do piersi.

– Wolałabym raczej...

– Nie bądź pruderyjna!

– Ale ja naprawdę...

Spod dwuskrzydłowych drzwi jadalni, które bezszelestnie się otworzyły, dobiegło ich kasznięcie. Kaszel Palmera zawsze brzmiał niczym przeprosiny, a jednocześnie przerywnik. Mary go uwielbiała.

– Panno Hildo? – odezwał się służący.

– Tak?

– Skorzystałem ze sposobności, by przywołać dla pani taksówkę.

Mary zamrugała oczami.

– A tak, dziękuję, Palmer.

Niemal niedostrzegalne skiniecie głową i pozbawione wyrazu spojrzenie, o którym natychmiast się zapomina. Palmer miał dar nadawania swoim rysom twarzy wyrazu jedności z zastawą i lamperią; jednocześnie jego plan dnia zdawał się pozostawać całkowicie zbieżny z cudzymi oczekiwaniami. Zatem już wstając od stołu, Hilda musiała mieć poczucie, że rzeczywiście chce skorzystać z taksówki. Mary sądziła, że ktoś taki jak Palmer sprawdziłby się doskonale w roli smarowidła usprawniającego działanie trybów różnych ministerstw w czasach wzmożonego napięcia. Poczula niepokój na myśl, że mogą go im zarekwirować.

Ucałowała Hildę w obydwie policzki, pomachała do niej ze szczytu schodów, gdy tamta zanurzyła się w poranną mżawkę, i jeszcze w holu otworzyła list od Toma.

Droga Panno North...

Zatem zaczął oficjalnie, „Panno North”, na papierze z nadrukiem kuratorium. Mary przestraszyła się, że zaraz zemdleje. Oparła się o stół z kryształowym wazonem z peoniami. Nie zwymiotowała na Toma winem podczas ich ostatniej kolacji ani nie rozebrała się przed nim przy deserze. Jedyne, co zrobiła – i raczej nie zasługiwało to na użycie oficjalnego papieru listowego – to wypłała ciut za dużo i spytała go, całkiem grzecznie, czy zechce ją pocałować.

Droga Panno North,
z dokumentów wynika, że po zwolnieniu z posady w szkole przy Hawley Street, nie pełni Pani obecnie żadnych obowiązków w zakresie nauczania...

Mary poczuła, że zaraz się rozplacze, i wcale nie próbowała tego ukryć.

Wpłynęło do nas parę Pani wniosków o przywrócenie do pracy w szkolnictwie w ramach ochotniczej służby wojskowej...

Może rzeczywiście trochę go naciskała, ale robiła to w sposób zabawny, przynajmniej próbowała. Niezręczne było tylko to, że naprawdę zależało jej na tej pracy i że jednocześnie Tom się jej podobał. Może wyszło to trochę niezdarnie, że pragnęła jednego i drugiego. Kilka następnych linijek przeczytała, patrząc przez rozczapierzone palce, na wypadek, gdyby ich treść okazała się zbyt okropna.

Niniejszym z przyjemnością informuję, że kuratorium powołało Panią na nowe stanowisko utworzone w szkole przy Hawley Street. Prosimy o stawienie się w...

Dalej już nie czytała, dopiero w taksówce.

Prosimy o stawienie się w kuratorium celem pobrania kluczy, co pozwoli Pani przygotować budynek do prowadzenia zajęć dydaktycznych. Chodzi o wybór pomieszczenia o solidnej konstrukcji, które spełnia funkcje sali lekcyjnej, z dostępem do piwnicy na wypadek nalotów. Przygotowania winny przewidywać izbę lekcyjną z przeznaczeniem dla uczniów w różnym wieku i o różnych zdolnościach.

Jeśli intencją Toma było uniknięcie jakichkolwiek oznak nieprzyzwoitości poprzez nadanie tej korespondencji oficjalnego charakteru, Mary udaremniła ją, śpiesząc do jego biura, zaciągając go do pobliskiej kawiarni i wypijając jedynie trzy łyki herbaty, nim pocałowała go w policzek. Dotknął go, jakby jej usta mogły tam pozostawić jakąś pamiątkę – dymiący krater bądź znak X wciąż ociekający atramentem.

Później, gdy Mary została sama na zacinającym, wilgotnym wietrze, nieznajomi uśmiechali się do niej na ulicach. Czowała się dziwnie. Krople deszczu były niczym bąbelki szampana bombardujące jej skórę, a opalizujące plamy benzyny na asfalcie pieczętowały ich przymierze.

Mary miała poczucie, że się zakochała. Fakt, że Tom był lekko irytujący i że w ogóle jej to nie przeszkadzało, był tego najlepszym potwierdzeniem. Rzecz jasna byłoby miło, gdyby wykazał się większą śmiałością, ale Mary wiedziała, co to cierpliwość. Wkrótce Tom uświadomi sobie, że nie ma nic ważniejszego niż Mary North i że tylko za sprawą jej czarów układ planet pozostaje niezmienny i nie zsiada się mleko.

Równie dziwne jak zakochanie wydawało jej się to, że zakochała się w kimś, kogo polubiła – w kimś, kogo jej matka nigdy nie zaakceptuje i kogo Hilda nigdy nie weźmie pod uwagę jako ewentualnego partnera. Gdyby nie wojna, jak mogłaby poznać kogoś tak zwykłego jak Tom?

Chciała wiedzieć jedno (teraz, gdy już wyszła z kawiarni i otoczyła ją Londyn z jego wonią węglowego dymu, spalin ciężarówek, szybów wentylacyjnych metra, kolejowych smarów, smażonego oleju, końskich odchodów, mokrych tynków, papierosów, zawilgoconych czesankowych płaszczy, bystrych strumieni brunatnej wody płynącej w rynsztokach i brunatnych kałuż z rozmokłymi strzępkami gazet i flotyllami niedopałków). Mary chciała wiedzieć jedno (gdy nadciągnęły ciemne chmury, a ona szczelnie otuliła się płaszczem i przeszła przez Chalk Farm Road między samochodami z wąskimi reflektorami, które sprawiały, że wyglądały, jakby dopiero co obudziły się po hulaszczej nocy i gorączkowo szukały fiołki z aspiryną). Mary chciała wiedzieć, czy można być pewnym swojej miłości.

Podążając Chalk Farm Road, zapaliła papierosa i, wraz z dymem, uleciało nieco jej pogody ducha. Znowu poczuła, że stąpa po chodniku. Był mokry i zauważyła plamki wody na swoich beżowych skórzanych sznurowanych półbutach.

Po ostatniej kolacji – tej, kiedy wypila odrobinę za dużo wina – poszli na spacer na Hampstead Heath we mgle tak gęstej, że była niemal jak żel. Można było zgubić w niej rękawiczki i odnaleźć je po półgodzinie zawieszony w powietrzu na wysokości nadgarstka. Mary robiła wszystko, żeby sami się w niej zgubili, lecz Tom, mylnie odczytując sytuację, niezmiennie kierował ich na właściwie uliczki. I nawet jeśli trochę ją złościło, że musi prowokować Toma do zachowań, które – zdaniem jej matki – zawsze biorą górę u mężczyzn, to od razu wybaczała mu brak niecznych zamiarów, gdy tylko nieśmiało, lecz z dumą się do niej uśmiechał. Wtedy rosło jej serce, jak piszą o tym w czasopiśmie dla kobiet.

Właśnie tak go teraz wspominała – wolnego od trosk, z twarzą wilgotną od mgły i zarumienioną choć raz nie z zawstydzenia. Czy to była miłość? Czy tylko ją zauroczył, bo nie dopuścił, by zgubili się na Hampstead Heath i by odnaleziono ich dopiero po latach, ją w postrzępionym płaszczu i jego z brodą do kolan?

Mary przyspieszyła kroku i zaczęła wypatrywać punktów

orientacyjnych. Najgorsze było to, że z powodu wojny ludzie stali się podejrzliwi, gdy padały pytania o drogę. Odpowiadali pytaniem – i to nie zawsze w żartach – o nazwisko brytyjskiego premiera, jakby żaden szpieg nie był w stanie go wymówić, nie zdradzając swoich zamiarów.

O ileż lepszym pytaniem byłoby: Skoro jesteś nasza, to skąd byś wiedziała, czy drzenie, jakie odczuwasz w obecności mężczyzny, powiedzmy pięć lat starszego od siebie, przystojnego, ale bez przesady i z nieco niższych sfer niż ty, choć niekoniecznie stanowiłoby to problem, pod warunkiem, że nauczyłaś go trzymać szklaneczkę sherry, zanim przedstawiś go ojcu – skąd byś wiedziała, że to uczucie to miłość?

Najgorzej byłoby uznać, że to jednak to, po czym stwierdzić – kiedy już klamka zapadła – że jednak nie. Nie. Najgorzej byłoby uznać, że to nie jest miłość i dopiero po latach – na starość, w niepocieszeniu – odkryć, że jednak tak. Nie. Najgorsze – naj, najgorsze – byłoby to, że trzeba o tym rozstrzygać.

Mary westchnęła i skręciła w lewo w Hawley Street. Do tej pory właściwie nie miała okazji, żeby dobrze przyjrzeć się szkole. Był to surowy mocny budynek z czerwonej cegły przedzielonej trzema pasami oszczędnej londyńskiej żółci. Okna z szerokimi parapetami wieńczyły gotyckie łuki. Ściany szczytowe przyozdobiono deskami z lancetowatym zwieńczeniem. Mary uznała je za najzabawniejszy szczegół budowli. Lance były wycelowane w niebo niczym pale dla hasających aniołów.

Mary weszła z szarej ulicy do pogrążonej w ciemnościach szkoły i użyła zapalniczki, żeby odnaleźć włącznik. Wzdłuż korytarza rozbłysły żarówki. Mary zmarszczyła nos. Na podłodze było pełno kurzu, mniej pośrodku, więcej przy listwach, gdzie przeciąg nawiał go całe kłęby. Widać było ślady gryzoni, wijące się serpentyny utworzone przez długie ogony i zaschnięte pozostałości po odchodach. Zatęchła woń kałamarzy, kurzu i ogryzków, które zgniły w schowkach ławek. Co ona z tym zrobi sama, nawet przy wsparciu płatków mydlanych i szczypty optymizmu, skoro do

poniedziałkowego poranka pozostały jedynie trzy dni?

Panująca w budynku cisza też wywołała u Mary niepokój. Kiedyś recytowano tu tabliczkę mnożenia, odmawiano niezmienną litanie alfabetu, śpiewano szkolny hymn. Dziecięce głosiki wypowiadały słowa modlitwy „Ojcze Nasz” na wszelkie możliwe psotne sposoby. Teraz ta nieustająca pieśń nagle została przerwana. Nawet jeśli dotychczas wojna była tylko na niby, to cisza była jak najbardziej realna.

Mary przechodziła z sali do sali, włączając po kolei wszystkie światła. Próbowwała otrząsnąć się z ogarniającej ją melancholii. To oczywiste, że człowiek czuje się w szkole samotny. Rzędy ławek, sterty identycznych śpiewników, wieszaki na ubrania ciągnące się wzdłuż ścian. Wielość tego wszystkiego w oczywisty sposób wywoływała poczucie osamotnienia.

Mary najpierw zajrzała do klasy Pustulek, w której zaczęła uczyć we wrześniu, i doszła do wniosku, że się nie nada. Choć mury były tu solidne, jak w pozostałych salach tego porządnego wiktoriańskiego budynku, dzielił ją zbyt duży dystans od piwnicy. Mary ruszyła korytarzem, otwierając kolejne drzwi, aż natrafiła na wiodące w dół drewniane schody.

W piwnicy jeszcze bardziej czuło się woń stęchlizny. Mary znalazła tam sypiące się sterty przestarzałych atlasów z biegunami zaznaczonymi wirującymi strzałkami. Wały się tam zakurzone rekwizyty ze starych szkolnych przedstawień – kostur Tucka, druha Robin Hooda, peleryna Banqua, czapka Piotrusia Pana. Obok leżał na ukos obwiązany wstążkami gaik. W wątłym świetle zapalniczki wszystkie te skarby tonęły w półmroku. W razie potrzeby mogłoby się tu schronić pięćdziesięcioro dzieci.

Mary przyklękła, żeby przyjrzeć się tym przedmiotom. Były tam próbki ściegu krzyżykowego, zbutwiałe arkusze ocen obejmujące wyniki egzaminów z szydełkowania i recytacji oraz starannie wykaligrafowane dyktanda: „W letnie wieczory u drzwi siadywał mały Hiawatha. Wsłuchiwał się w szum sosen i ciurkającej wody”.

Mary poczuła się, jakby miała jednocześnie pięć i pięćset lat. Były

to pamiątki po tysiącach lekcji, szczątki, które opadły w głąbiny, skamieliny jej kraju. Ogarnął ją smutek, gdyż wojna przecięła cienką pępowinę łączącą dzieci z ich przodkami za pomocą próbek ściegu i kaligrafii. Mary wyszła z piwnicy na korytarz. W budynku panowała absolutna cisza. Jakże gwałtowny był ten spokój, ta przestrzeń, w której powinny rozbrzmiewać dziecięce głosy. Smutek Mary przemienił się w gniew, aż cała zaczęła się trząść.

Sala Wróbli znajdowała się najbliżej piwnicy. Mary oceniła, jakich zmian należy dokonać. Na początek trzeba usunąć deski z okien. W razie nalotu skryją się w piwnicy, lecz do tego czasu jej klasa będzie miejscem, gdzie króluje światło. Trzeba usunąć kurz i porządnie przewietrzyć zatęchłe mury. Jeśli znajdzie się drabina i farba, z pomocą dzieci Mary przywróci tym ścianom ich pierwotną biel.

Parkiety się wyszoruje, krzesła odzyskają blask, gdy potraktuje je śrubokrętem i gąbką. Ławki pokryte misternym graffiti się wywiórkuje, a jeśli nie, to opinie wielu pokoleń uczniów przetrwają. Mary doszła do wniosku, że akurat to jest jej obojętne. Oprócz drobnych błędów w pisowni, niewiele należałoby tu zmienić, skonstatowała, zapoznawszy się z sądami na temat panny Vine.

Najwyraźniej myszy harcowały na nauczycielskim biurku i zjadły karton z opakowania kredy, która teraz leżała rozsypana na blacie. Wygryzły też twardą skórę z rogów leżących w kącie materaców. Dodatkowo wyżarły ziarna grochu z worków służących do ćwiczeń gimnastycznych. Wzięły wszystko, co zaoferowała im wojna.

Mary pozbierała kredę i włożyła ją do pustej doniczki. Napisała na tablicy swoje imię i nazwisko: Mary North. Z ciekawości wytarła słowo „North” i wpisała nazwisko Toma, powoli i starannie formując litery, tak jak się to powinno robić podczas pisania na tablicy. Tak mocno trzymała kredę, że z jej palców odpłynęła krew, zupełnie jakby natura tego materiału przeniknęła do jej ciała.

Mary Shaw.

Żeby sprawdzić, jak to brzmi, odwróciła się tyłem do tablicy i rzuciła pogodnie:

– Dzień dobry. Nazywam się Mary Shaw.

Zakryła dłonią usta.

W drzwiach klasy stał Tom. Fakt, że próbował dyskretnie się ukryć, działał na jego korzyść, lecz fizyczna obecność, która nie pozwoliła mu zniknąć, okazała się bezlitosna. Próbował schować się za drzwiami, ale w końcu dał za wygraną i przyjął pozę mężczyzny, który w skupieniu wygwizduje jakąś melodię. Ostatecznie tu też się poddał, bo gdyby naprawdę nie usłyszał jej słów, to i tak było to wykaligrafowane na tablicy, zgodnie z najnowszymi zaleceniami Marion Richardson, która stawiała na nowoczesny i jednoznaczny kształt liter.

Ty idiotko, przemknęło przez głowę Mary. Jeśli ten facet ma choć trochę rozumu, już nigdy się do ciebie nie odezwie. Najgorsze w tym wszystkim było to – a uświadomiła sobie to ponownie, widząc jego zrezygnowany uśmiech – że on naprawdę bardzo jej się podobał. Jego niezdarność nagle gdzieś się ulotniła i to w chwili, kiedy w istocie nie miała już znaczenia. Była jakaś niezwykła szczerłość w jego kapitulacji wobec tego, co ujrzał i usłyszał. Mary dopiero teraz pojęła, jakie to musi być dla niego trudne – to, że ona mu się podoba i jednocześnie zasypuje go podaniami o pracę. A dla niego liczyło się jedynie, by zrozumiała, że sprawy powinny toczyć się powoli i ostrożnie. Mary opuściła ręce i odwzajemniła jego smutny uśmiech.

– Przepraszam – powiedziała.

Przypatrywał jej się w przymglonym świetle rzucanym przez zakurzone żarówki.

– Nie, to ja powinienem przeprosić, pani Shaw. Wygląda na to, że spóźniłem się na lekcję. Sprawdziła już pani listę obecności?

Przez chwilę się zawahała, po czym się rozpromieniła.

– Tak się składa, że przyszedłeś w samą porę. Właśnie miałam to zrobić.

Tom machnął ręką w stronę rzędu ławek.

– Czyli mogę...?

– Tak... Usiądź gdziekolwiek. Albo nie, tu, z przodu, żebyśmy mogła

mieć cię na oku.

Jej twarz przybrała wyraz udawanej srogości. Tom usiadł w pierwszej ławce. Kolana podjechały mu prawie pod brodę, gdy zasiadł na niewielkim krzesełku. Roześmiał się. Mary surowo zmarszczyła brwi.

– Spokój.

Wyjęła z szuflady nauczycielskiego biurka ołówek i dziennik, zdmuchnęła z niego kurz i otworzyła na pierwszej pustej stronie. Na górze napisała: Klasa Wróbli, semestr wiosenny, 1940. W pierwszej linijce pod spodem umieściła nazwisko Toma.

– Tom Shaw?

– Obecny.

– Świetnie – rzuciła, przypatrując się jego nazwisku. – Mój pierwszy uczeń.

Kwiecień 1940

– Na pewno coś robisz nie tak – skomentowała Hilda, krzywiąc się na widok Mary wciskającej grzebień w jej włosy.

– To z tą nedorzeczną fryzurą jest coś nie tak. Postępuję zgodnie ze wskazówkami.

– Pokaż! – zirytowała się Hilda, chwyciła egzemplarz amerykańskiego „Vogue’a” i postukała palcem w rysunek prezentujący „krok trzeci”. – Spójrz! Piszą „wzburzyć”, a ty zaczesujesz do tyłu.

– Wzburzam.

– Nieprawda. Znam się na tym.

– Skoro tak, to sama się uczesz!

Mary rzuciła grzebień na toaletkę Hildy; ten zastukał o kolekcję jej porcelanowych świnek. Następnie zapaliła papierosa i z impetem przysiadła na brzegu łóżka przyjaciółki.

– Dobra, przepraszam – zmitygowała się Hilda. – Może trzeba więcej utrwalacza.

– Zużyłam już pół tubki. To wbrew naturze.

– Zazdrościsz mi, że pierwsza ją wypatrzyłam.

– Ani trochę. Z tej instrukcji wynika, że to nie fryzura, tylko jakieś szaleństwo.

– Które w tym sezonie noszą wszyscy.

– I dlatego wydaje ci się, że zwróci uwagę oficerów?

– Przy takiej ilości utrwalacza będą mieli szczęście, jeśli się do mnie nie przykleją.

– Powinnaś wziąć ze sobą rozpuszczalnik, żeby w razie czego ich odkleić.

Na twarzy Hildy, odbijającej się w lustrze toaletki, odmalowało się błaganie.

– Nie zostawiaj mnie w takim stanie. Wyglądam jak kochanka Frankensteina.

– Zawsze jakiś postęp.

– Urocza uwaga. Do swoich uczniów też tak mówisz?

– Nie. Jako panna North jestem uosobieniem słodczy. Dlatego odreagowuję na tobie.

– Doszli jacyś nowi uczniowie?

– Wciąż mam tylko czwórkę. Mongołek, kaleka i dwójka, która ledwo mówi.

– Pięknie cię urządził ten twój narzeczony.

Mary zgasła papierosa.

– Trzeba czasu. Zgłoszą się kolejni, kiedy ich rodzice zdadzą sobie sprawę, że nie będzie żadnych nalotów.

– Ja bym się nie wysilała. Zadałaś sobie mnóstwo trudu, żeby otworzyć szkołę dla ledwie czwórki uczniów, w dodatku beznadziejnych.

– I to nas właśnie różni. Mnie zależy na lepszym świecie, tobie na lepszej fryzurze.

– To jedynie droga do celu. Chcę mieć fryzurę, żeby zdobyć mężczyznę w mundurze.

Mary westchnęła, wstała i ponownie wzięła do ręki grzebień. Hilda uśmiechnęła się do niej w lustrze. Mary odpowiedziała uśmiechem.

– Twoja twarz nie jest znowu taka okropna – rzuciła, przypatrując się z boku głowie Hildy. – W mocno przygaszonym świetle możesz udawać, że już masz tę fryzurę.

– Niestety, twoje wady można dostrzec nawet w kompletnych ciemnościach.

– Jesteś dziecinna i głupkowata – oceniła Mary.

– A ty uparta i zadowolona z siebie – odgryzła się Hilda.

Mary wreszcie się przyłożyła. Posuwając się od czoła do tyłu głowy, rozdzieliła włosy Hildy na pasemka. Następnie docisnęła każde z nich grzebieniem, dzięki czemu odpowiednio się ułożyły. Wysiłki te dały jej satysfakcję, zważywszy na powagę zadania

i niedoskonałość włosów przyjaciółki. Głowa Hildy była ciepła, a powietrze w pokoju przesiąkło miłą wonią środka do utrwalania fryzur i papierosów. Deszcz zrobił się gwałtowny i spływał po szybach, zniekształcając widok za oknem.

– Jak tam twoja matka? – spytała po chwili milczenia Hilda.

– Od wielu dni prawie jej nie widuję. Liczyłam, że pokażę jej szkołę, skoro już nie muszę udawać, ale jest zbyt zajęta, bo kręci tyłkiem, żeby wesprzeć ojca. Ma zostać ministrem, a to, rzecz jasna, łączy się z lunchami i rautami.

– Byłabym gotowa zabić, żeby mieć taką matkę. Jeśli moja ma jakieś ambicje, to schowane na dnie szuflady.

– Nie rozumiesz, że wojna wywraca wszystko do góry nogami? Świat ojca jest taki mały. Te wszystkie zamknięte narady mężczyzn, którzy kończyli te same szkoły! Te ich rozpromienione, rywalizujące żony! I my, córki, polujące na męża, jeśli trafi się okazja. Złote dziewczątka, grzecznie podążające ustalonymi drózkami.

– Tylko nie wchodź na moją!

– Ostrożnie, Hildo! Pamiętaj, kto trzyma szpilki do włosów!

– I nie przybiegaj z płaczem, kiedy już wyrośniesz z tego swojego biedaka.

– Tom nie jest biedny.

– Zmiłuj się, mieszka na strychu! Sama mi powiedziałaś.

– Tak, ale...

– Na strychu, Mary. Jestem pewna, że wcale go nie kochasz. Za to dasz się pokroić za minę, jaką robi twoja matka, kiedy go pozna.

Mary zignorowała ten komentarz i zaczęła układać pasemka teraz już puszystych włosów, począwszy od tyłu głowy, by stworzyć efektowną falę.

– Z tego samego powodu piszesz do tego Murzyna – ciągnęła Hilda. – Chcesz powiedzieć matce: „Spójrz na mnie!”. Ja na twoim miejscu chodziłabym na te lunchy i rauty. Tłucz filiżanki, jeśli musisz, całuj się z ministrem obrony, ale rób to na oczach matki!

Mary posłała przyjaciółce litościwe spojrzenie.

- Pisuję do Zachary’ego, bo jest człowiekiem.
 - Właśnie to powiedziałaś jego ojcu? Musiał być pod wrażeniem.
- Mary obróciła twarz Hildy w lewo i w prawo, nieco gwałtowniej, niż było to konieczne.
- Powiedziałałam mu, że może rozważyć ściągnięcie syna do domu i że zapewnię mu miejsce w szkole ze schronem, na wypadek nalotu.
 - Czy właśnie tak na ciebie patrzył? – spytała Hilda, rozdziawiając usta i rzucając jej spojrzenie, które wyrażało całkowity brak zrozumienia.
 - Był w marynarce, pod krawatem i bardzo miło mnie ugościł.
 - Dałaś mu kolorowe szkiełka w prezencie?
 - Opowiadał mi o swoim życiu w Ameryce.
 - Policzył łyżki po twoim wyjściu?
- Na koniec Mary dodatkowo usztywniła fryzurę Hildy.
- Podchodzisz do tego jak reszta społeczeństwa.
 - I dobrze – odburknęła Hilda.
- Mary pokazała jej tył fryzury w ręcznym lusterku.
- Ciekawe.
 - Co? – spytała Mary.
 - Nic – odpowiedziała Hilda, uznając, że uzyskany efekt musi ją zadowolić, dopóki nie wybierze się do prawdziwego fryzjera.

Maj 1940

Tom leżał w mieszkaniu i oparty o zagłówek zaciągał się papierosem, który Mary włożyła mu w usta. Żar rozświetlił ich twarze, po czym znów przygasł.

Na ulicy strażnicy miejscy zarządzali mrokiem i jasnością. Światło, które zawsze spajało to miasto w wielką łunę, teraz pojawiała się jedynie tu i ówdzie. Znów stało się sobą – korsarzem, czymś, co czyha w zakamarkach. Wszyscy osłaniali ogień przed wiatrem. Mrok szybko gęstniał po zmierzchu, jakby dzień nie zdążył splukać ciemności.

Tom posłał obłok dymu pod sufit. Mary oplotła jego stopy swoimi. Tom powstrzymał się od śmiechu.

– Co? – spytała Mary.

– Nic.

– Mów, bo pożałujesz! – Skubnęła włosy na jego piersi.

– Po prostu, myślałem o tym, jak to się wszystko zmienia.

Spojrzała na niego ze smutkiem, strzepując popiół z papierosa.

– Teraz, kiedy już to zrobiliśmy, przestaniesz mnie kochać.

– To nie to.

– A co?

– Pomyślałem, że kocham cię jeszcze bardziej.

Tak naprawdę pomyślał, że odtąd – w pracy, w autobusie, w parku – będzie czuł bliższy związek z psami, które mają już seksualną inicjację za sobą, niż z ludźmi, którzy jeszcze jej nie doświadczyli.

– A ty o czym myślisz? – spytał.

Mary myślała o tym, jak bardzo cieszy ją ta wojna. Namiętność, która pozostawała zagubiona, gdy wszędzie było jasno, w mroku znajdowała swe ujście. Bo można płonąć z miłości. Do tego nie

potrzeba jaskrawych świateł. Mary czuła się szczęśliwa, pewnie tak jak bywali kiedyś ludzie, może z wyjątkiem jej matki. Serce miasta przeniosło się z Pimlico na Piccadilly, gdzie wygaszono krzykliwe żarówki i gdzie osamotniony Eros chwiał się na swoim piedestale ze strzałami pogrążonymi w mroku. Londyn rozpalał Mary od środka. To wielkie za dnia miasto uczyło się języka nocy.

– Myślałam o tym, że cię kocham – odpowiedziała Mary.

– Ja też cię kocham.

– Ale jesteś mężczyzną. Ruszysz dalej, żeby splądrować kolejną osadę.

Tom skinął głową.

– Primrose Hill.

– Albo Hampstead.

– Mogę najpierw splądrować jeszcze trochę ciebie?

Mary zlustrowała swoje paznokcie.

– Od czasu do czasu tak. Jeśli będę nieubrana.

– Właśnie taką lubię cię najbardziej.

Klepnęła go w udo.

– Stary świntuch!

– Mam dwadzieścia cztery lata.

– Ale to nieprzyzwoite.

Zmartwił się, że tak jest w istocie.

– Ale ja cię kocham.

– Naprawdę?

– Tak.

– Naprawdę, Tom?

– Oczywiście. Pokazałbym ci wykres, ale musielibyśmy otworzyć wąż na mojej piersi.

– Moglibyśmy? Chciałabym mieć pewność.

– Nie mam przy sobie narzędzi.

Mary obróciła się na plecy i wydmuchnęła leniwą strużkę błękitnawego dymu.

– Nienawidzę cię.

Zmarszczył brwi.

- Nie możesz mi tego udowodnić.
- Nie ubrałam się dla ciebie. I nie wstanę dla ciebie z łóżka.
- Nawet jak zrobię... to?
- Zwłaszcza jeśli to zrobisz.

Znowu wsunęła mu papierosa w usta. Tom zaciągnął się dymem. Żar rozświetlił dwa blade, tonące w mroku kółka, oczy Cezara, które spoglądały na nich z pianina. Na litość boską, rozchmurz się!, mimowolnie pomyślał sobie w duchu Tom. Jego mięśnie nagle stwardniały.

- Co ci jest, kochanie?
- Nic – odpowiedział, ale nastrój chwili prysł.

Mary przekręciła się na brzuch i zgasila papierosa.

Tom uświadomił sobie z poczuciem winy, że od wielu dni nie pomyślał o Alistairze. Listy od przyjaciela mocno go zaniepokoiły. O długim marszu w pełnym rynsztunku Alistair napisał: „Grunt to włożyć dwie pary skarpet, cienką i grubą”. Życie w koszarach skomentował następująco: „Robi się weselej, jeśli człowiek potraktuje to jak wakacje z bronią”. Brakowało w tym treści. Ostatni, prawdziwie osobisty list Alistair przysłał mu wiele miesięcy temu, w grudniu, i opisywał w nim, dość beznamytnie, jak to jednego z rekrutów rozerwało na strzępy podczas szkolenia. Późniejsze listy były dowodem na to, że dystans między nimi coraz bardziej się powiększa.

Tom starał się nie wracać myślami do Alistaira. Była sobota, czwarta nad ranem. Wypili już prawie całe wino. Od świtu dzielila ich jeszcze godzina. Mary przekręciła się na plecy i zapaliła kolejnego papierosa. Tom wsunął jej rękę między uda.

Mary puściła kółko.

- Świetna ta wojna. To straszne, że tak mówię?
- Raczej nie pisałbym tego na tablicy.
- Mam dziewiętnaście lat i własną szkołę. Mogę uczyć, jak mi się podoba, i przytulać uczniów, kiedy obetrą sobie kolana.

Toma cieszyło, że Mary jest taka szczęśliwa, ale niepotrzebnie tyle mówiła, zważywszy, gdzie była teraz jego ręka.

– I tak znalazłabyś świetną pracę, nawet bez wojny.

– Ale los by nas ze sobą nie zetknął. Kiedy o tym pomyślę, kręci mi się w głowie. Wyobraź sobie, ile jest takich ludzi jak my, którzy w tym momencie leżą w łóżku, bo zbliżyła ich do siebie wojna. W Kairze, w Paryżu.

– Wiem. – Tom przesunął ręką po jej udzie.

– W Niemczech pewnie też – dorzuciła.

Gdy to usłyszał, jego ręka znieruchomiała. W naturalny sposób powinni to ciągnąć, a na końcu czekałaby na nich rozkosz, tymczasem ta rozgadała się o Niemcach.

– Coś ty! Hunowie nie sypiają ze sobą.

– To skąd się biorą małe Hunki?

– Z fabryk w zagłębiu Ruhry. Powstają ściśle według planów.

Wolałby, żeby zarzuciła ten temat. Poza tym łóżkiem cały świat mógł iść do diabła i wyglądało na to, że zamierza skorzystać z tej okazji. Mówienie o wojnie było jak wciąganie tej kwestii pod kołdrę, w ciepło i mrok. Teraz z kolei Tom nie mógł opędzić się od myśli. Gdzieś daleko, w ciemnościach, jego najlepszy przyjaciel drżał na pryczy, popijając herbatę z bromem i wpatrując się w kartki pocztowe z podobizną Betty Grable. Tom znów poczuł wyrzuty sumienia i westchnął.

– Co się stało?

– Czuję się jak gnojek.

– Dlaczego?

– Bo się nie zaciągnąłem. Bo jestem tutaj, a wszyscy są tam.

Mary zgasila papierosa, a pod wpływem jej ruchu zatrzęśły się sprężyny. Ręka Toma spoczywająca między jej udami nie mogła kontynuować swej wędrówki ani się wycofać, wiedzona instynktowną czułością sięgnęła więc bezrozumnie do samego końca.

– Nie jest ci pisane być żołnierzem.

– Dlaczego? Mógłbym walczyć.

– Ale nie mógłbyś zabijać.

Pogłaskała go po twarzy. Tom miał wrażenie, że jej dotyk jest

wyznacznikiem jego ograniczeń.

– Mógłbym, gdybym musiał. – Natychmiast poczuł, że brzmi to jak niedorzeczna przechwałka.

Uśmiechnęła się, a on się zarumienił.

– Możesz mi nie wierzyć, ale mógłbym.

Wysunął rękę spomiędzy jej ud i podparł się na łokciu. Mary pstryknęła zapalniczką i w jej migotliwym świetle spojrzała na niego tak spokojnie, że aż zrobiło mu się wstyd.

– Jezu, przepraszam – pokajał się.

– Nie musisz.

Gdy zgasła zapalniczkę, jeszcze przez chwilę zachował obraz jej jaskrawego płomienia. Mary przekręciła się na bok, wzięła go za rękę i wsunęła ją na powrót między swoje nogi.

– Jeśli dostaniesz powołanie, jedź. Ale do tego czasu nie psuj nam zabawy.

– Mary, ja...

– Ciii, kochanie. Nie pozwólmy, by wojna była górą.

Przysunął twarz do jej twarzy.

– Kiedy powiedziałem wcześniej, że cię Kocham...

– Tak?

– ...nie mówiłem szczerze. Ale teraz jest inaczej.

– Ja też cię Kocham.

Właśnie wtedy zrozumiał, dlaczego dobrzy aktorzy nigdy nie wypowiadają tej kwestii z uśmiechem. Miłość oznacza uświadomienie sobie, jak bardzo wcześniej byliśmy samotni i że gdyby znowu dopadła nas samotność, już nie zdołalibyśmy uciec przed cierpieniem. Nie jest to miłe uczucie.

Później położyła mu głowę na piersi i ziewnęła. Jej włosy koloru miedzi były wszędzie. Gdy palili razem papierosa, jej mokra od potu twarz promieniała w jego pomarańczowej poświacie.

– Chce ci się spać? – spytał.

Rozważyła to pytanie, jakby był to jakiś całkiem nowy pomysł, i potrząsnęła przecząco głową. Padał deszcz i do mansardy wdarła się szarość będąca groźną zapowiedzią powrotu codzienności. Tom

poczuł jakiś niesprecyzowany lęk, ale Mary znów zapaliła papierosa i uśmiechnęła się do niego niewinnie, przywracając mu spokój. Bijąca od niej pogodna woń seksu, zabawny grymas zdradzający skupienie, rozkołysane piersi, gdy bawiła się zapalniczką, szczupły brzuch, kiedy przysiadła w łóżku, żeby poszukać zapalniczki. Za oknem zaciął deszcz, jakby ktoś rzucał w szyby garście ryżu.

Tom zaparzył herbatę, którą nalał do słoików po dzemie, służących jemu i Alistairowi za kubki, i wrócił do łóżka. Usiedli, opierając się o zagłówek i o siebie nawzajem. Byli zmęczeni, mieli zapadnięte oczy. Zapomnieli o słabej herbacie. Krople pary zbierały się na brzegu słoików.

– Byłaś już z kimś... w łóżku?

Mary mrugnęła powiekami.

– Tak.

Jakby to było nic szczególnego. Toma znów ogarnął lęk. Wydawało mu się, że jest całkowicie przygotowany na jej odpowiedź, twierdzącą bądź przeczącą, ale ta trzecia rzecz w ogóle nie przyszła mu do głowy – że, być może, to rzeczywiście nie jest nic wielkiego. Tymczasem traktował to jako coś najważniejszego, co mu się przytrafiło. Ale oczywiście był głupcem. Czuł, że zaraz się rozplacze.

Rzecz jasna nie pozwolił sobie na to, tylko uśmiechnął się niczym światowiec. A kiedy znów zaczęli rozmawiać, bez wysiłku skupił się na innym temacie. Jakby rzeczywiście to było nic i to poczucie, że zrobiła to z nim naprędce, jakby szkicowała pierwszą, słamazarną wersję listu, to też nic takiego. A jednak...

Doszedł do wniosku, że jest mu wszystko jedno, czy przespała się z pięcioma, czy nawet z tuzinem innych. Pragnął jej, tej Mary, która, drżąc w jego ramionach, wtulała twarz w jego szyję. Pragnął, by mówiła o tym, jakby to było coś ważnego. Znów powstrzymał łzy.

Szturchnęła go palcami w żebra.

– Kochanie? – zagadnął ją lekkim tonem.

Gdy znów dała mu kuksańca, obrócił głowę w jej stronę. Dziwnie mu się przyglądała, nie rozumiał, o co jej chodzi. Uświadomił sobie,

że bardzo wielu rzeczy nie rozumie. Przestał być prawiczkim – dopłynął do miejsca oznaczonego na mapach – lecz znów czekało go otwarte morze.

Nie umiał rozszyfrować jej spojrzenia. Ogarnął go niepokój na myśl, że znów chce się kochać. Nie był pewien, czy sprostą temu zadaniu. Później zaniepokoił się, że może właśnie nie chce seksu i że to dziwne, straszne spojrzenie oznacza coś innego i jest wstępem do rozmowy, podczas której Mary przybierze poważne i uprzejme tony. Będzie przemawiać delikatnie, zauważy, że już późno, i powie, że może jednak powinni się przespać. Później, gdy tylko pora pozwoli młodej kobiecie pokazać się na ulicy, przeprosi go i wyjdzie.

Pogłaskała ją po policzku. Jakież był żaloszny! Dostrzegła jego zwątpienie i pewnie pomyślała, że jest śmieszny. Teraz, kiedy już na pewno go opuści, Tom pojął, że nie dba o to, czy coś do niego czuje ani czy czuje coś do innych, z którymi się przespała. Nie mógł jedynie znieść myśli, że zostanie bez niej. Jakież przygnębiające będą jego dni, jakież puste!

Uśmiechnęła się.

– Co? – spytał.

– Nie spałam z nikim innym.

– To dlaczego...?

Ujęła jego dłoń.

– Chciałam sprawdzić, czy to dla ciebie ważne.

Tymczasem świt rozbrzmiał warkotem silników. Tom nakrył ją i siebie kocem i przytulił Mary w tym zaimprovizowanym mroku. Nie wiedział, w jaki sposób pościel miałyby ich ocalić. Ryk silników był coraz bliżej i wciąż nabierał mocy, aż dotarł tuż nad ich głowy i zatrzęsął szybami w oknach. Później się oddalił, gdzieś na wschód. Pewnie przerzucali samoloty albo szkolili pilotów, to wszystko. Potem Tom i Mary śmiali się z własnego strachu.

Gdy wstało słońce i wiatr przegonił deszcz, ruszyli na spacer po lśniących mokrych chodnikach. Mieli na sobie ubrania, w których poszli ubiegłego wieczoru na tańce, bo Mary nie miała niczego na zmianę, a Tom nie widział powodu, aby się samemu przebrać.

Dobrze im się szło razem; trzymali się za ręce, wymachiwali nimi i nie podejmowali wysiłku, by ominąć kałuże, gdyż miłość chroniła ich przed wszelkimi niedogodnościami.

Ulice były wciąż niemal puste. Londyn należał tylko do nich. Nawet jeśli od czasu do czasu minęła ich furgonetka z pieczywem, policjant lub zbłąkany lis w poszukiwaniu resztek jedzenia w zaułku, działało się to za ich zgodą – przyzwoleniem kochanków. Spacerowali, póki na chodnikach nie zrobiło się tłoczno i nie pojawiły się korki na ulicach. Kiedy tak szli, nie trzeba im było niczego innego – aż nagle zapragnęli wszystkiego. Dotarło do nich, że są okropnie głodni, więc wbiegli do kawiarni i jedli, aż im się uszy trzęsły, popijając czarną jak smoła herbatę. Później Tom stwierdził, że musi koniecznie kupić jej pewną książkę, a Mary – że musi mu koniecznie kupić nóż do papieru. Kręcili się po sklepach, aż załatwili sprawunki i znów ogarnął ich spokój.

Przysiedli na ławce na Trafalgar Square z prezentami, którymi się zachwycali, w rękę. Tom był w wyjątkowo podniosłym nastroju. Przyglądali się stadom burych gołębi.

Mary ziewnęła i oparła głowę na jego ramieniu.

– Zmęczona? Może wrócimy do mnie i się prześpimy?

– Muszę wracać do domu. Palmer będzie marudził.

– To twój pies?

– Tak – skłamała Mary, sama nie wiedząc dlaczego.

Dystans, jaki ich dzielił, był dla niej niczym, a jednocześnie wydawał się tak ogromny, że nie zdobyła się na odwagę, żeby podjąć ten temat. Mary poczuła wielki smutek.

– O czym myślisz? – spytał Tom.

– O tym, że jest mi dobrze. A ty?

Rozmyślał o tym, że Mary ma dom, psa i rodziców. Ani przez chwilę nie brał pod uwagę możliwości, że zmaterializowała się na tym świecie w wieku osiemnastu lat, roześmiana, z doskonałą karmazynową szminką na ustach dokładnie w miejscu i czasie, kiedy pierwszy raz ją spotkał. A jednak Mary była tak wyjątkowa, że sama myśli o jej przyjaciółach czy – co gorsza – rodzicach, którzy

uczynią z niej zwykłą dziewczynę, była dla niego nie do zniesienia.

– O tym samym. Mnie też jest dobrze.

Pocałowała go.

– Muszę biec.

– Tak... Jasne. – Rzucił jej zatroskane spojrzenie. – Co powiesz rodzicom?

Pogładziła go po policzku.

– Powiem ojcu, że zostałam na noc u mojej przyjaciółki, Hildy, a mamie, że jesteś uroczy.

– Powiesz jej o mnie?

– Kobiety mówią sobie wszystko. To dar, który otrzymałyśmy, gdy wyrzekłyśmy się mięsów i węgów.

Ścisnęła jej dłoń.

– Odprowadzę cię do metra.

Nie wyjawiała mu, że nigdy nie jechała metrem. (Zastanawiała się, czy bilet kupuje się wcześniej, czy też po wagonach chodzą konduktorzy). Wstali z ławki, przeszli przez Trafalgar Square i rozpędzili się, żeby spłoszyć gołębie. Biegli bez tchu, roześmiani i rozpaczliwie smutni, mocno trzymając się za ręce. Ptaki furkotały, zbijały się w stada, krążyły pod nisko wiszącymi chmurami i wznosiły się ku niebu, jak zerwane z uwięzi życie nad pogrążoną w wojnie ziemią, jak coś, co zaczyna się od nowa.

Mary mocno trzymała Toma za rękę. Przemknęło jej przez głowę, że to okrutne, iż oboje muszą zostać na ziemi, tu, w Londynie.

– Dalej pójde sama – rzuciła.

– Szkoda, że musisz iść.

– Do poniedziałku. Wpadnij po mnie po pracy.

– Na pewno wszystko będzie dobrze?

– Dlaczego miałoby nie być?

Zaczął rozmyślać nad jej pytaniem. Powodów mogło być wiele. Przede wszystkim trwała wojna. Tom był coraz bardziej przekonany, że może przynieść im śmierć z nieba, mimo iż sam zapewniał wszystkich dookoła, że rozejdzie się po kościach. Każde z nich mogło dostać też nagły rozkaz przeniesienia do innego

miasta lub kraju, a wtedy nieubłagana odległość stałaby się klątwą, która przemieni ukochaną dłoń w list.

Zdarzają się także wypadki. Wiadomo, że maszyny bywają wyjątkowo wredne wobec szczupłych ciał, takich jak to, którego Tom teraz tak bardzo łaknął. Łożyska się zacierają, osie się łamią, kable pękają. Toma martwiły też wypadki sercowe. Mary była piękna, inni mężczyźni również to dostrzegali. Była przy tym bystra i niekonwencjonalna i nie mógł z góry zakładać, że pozostanie mu wierna. Pojawią się wyżsi, bogatsi lub – i to przerażało go najbardziej – tacy, którzy potrafią ją rozśmieszyć. Jakże obawiał się takich mężczyzn!

No i jeszcze choroby – mniej groźne niż cięty dowcip, lecz nie można ich całkowicie lekceważyć. Grypa zbierała śmiertelne żniwo w każdym pokoleniu, a w tym jeszcze nie nadeszła. Rak i gruźlica też mogły mu ją odebrać. W ranę na skaleczonym palcu mogło wdać się zakażenie, a zwykłe przeziębienie mogło przemienić się w coś poważnego. Istniała cała kategoria nieszczęść związanych z fizycznością – potknięcia, poślizgnięcia, zadławienia, kolizje, zapłony i porażenia. Rzecz jasna Tom nie zdołałby wyliczyć zagrożeń ze strony osób trzecich. Przyjaciele mogą wybrzydzać na jej wybór. Szaleńcy czyhający w zaułkach mogą ją zamordować albo jeszcze gorzej. Jej rodzice z listy jego przywar mogą przyczepić się do pacyfizmu i ubóstwa. Mogą próbować ją do niego zniechęcić, używając do tego celu wszelkich znanych im sztuczek. Rozgrywka z jej rodzicami nie będzie wyrównana – przecież znali ją przez wszystkie te lata, a on nawet nie we wszystkich porach roku.

Pozostawały jeszcze imponderabilia pamięci i duszy. Mary mogła obudzić się nazajutrz bez choćby przebłysku wspomnienia, że kiedykolwiek go znała. Mogła też, mijając jakąś kawiarnię, stanąć jak wryta, ogarnięta nagłą żądzą do kelnera. A już najgorszy – bo dużo bardziej prawdopodobny – był przyziemny zły humor, któremu mogła dać asumpt nieobecność Toma. A jeśli powiedział kiedyś coś, co ją zaniepokoiło? Wystarczy przecież jedno słowo. Mary zacznie to rozpamiętywać i uzna, że tak naprawdę nigdy jej

nie kochał. A jeśli nie zadowolił jej w łóżku? Im dłużej o tym myślał, tym bardziej się martwił, że są rzeczy, które powinien był zrobić, a nie zrobił lub – co gorsza – takie, które robił w nadmiarze. Zdarzało im się, że jęczeli jak zwierzęta, a przecież to ohydne! Teraz, w samotności, Mary na pewno się tego wstydzi i nie zechce już nigdy się z nim spotkać.

To ledwie pierwsze z myśli, które się u niego pojawiły. Im dłużej to roztrząsał – Boże, ta jej cudna twarz z szyderczym uśmiechem – tym więcej znajdował powodów do niepokoju. Rozstanie to powietrze w płucach losu, więc gdy nadszedł czas, by się rozdzielili po pierwszej spędzonej wspólnie nocy, i spytał ją: „Na pewno wszystko będzie dobrze?”, a ona odpowiedziała: „Dlaczego miałyby nie być?”, pojawiło się tak wiele ku temu powodów, iż nagle zdało się Tomowi czymś całkowicie nieprawdopodobnym – skoro puścił jej ciepłą dłoń i pozwolił, by odeszła w szarość pachnącego wiosną poranka – że kiedykolwiek się jeszcze spotkają.

Dużo bezpieczniej było pozostać blisko niej i pozwolić, by wielka niszcząca moc świata skupiła się na innych parach kochanków. Ale jako że Tom nie umiał ubrać tego wszystkiego w słowa w sposób, który nie wydałby się żałosny, powiedział tylko: „Czyli do zobaczenia w poniedziałek”.

Nie można było tego porównać do szarży na stanowisko cekaemu jedynie z finką w ręku czy z przypięciem się pasami do fotela działonowego czterosilnikowego ciężkiego bombowca. I oczywiście nikt się o tym nie dowie, bo nie dają medali za puszczenie kobiecej ręki w szary sobotni poranek w samym środku wojny. Żywnie nadziei, że kochanka pozostanie wierną towarzyszką życia, wymagało jednak odwagi w mieście bardziej łaskawym dla miłych początków niż dla bezpiecznej ciągłości.

Gdy odchodziła, odwrócił się od niej, by pokazać, że potrafi.

Za to Mary nie miała najmniejszego problemu, żeby rozstać się z Tomem. Po prostu ruszyła przed siebie w ubraniu z poprzedniego dnia. Tak, wojna jest jak ślepa ruletka. Tak, w Londynie roi się od pięknych kobiet, które mogą go kusić. Niektóre były bardziej

pociągające od niej, parę włożyło już letnie sukienki. Do całej tej sprawy Mary podchodziła lżej, bo lekkość miała w naturze, a poza tym, jakoś trzeba żyć. A jednak...

– Kochanie? – zawołała, obracając się na pięcie.

Ale Tom już wmieszał się w tłum. Mary wyobrażała sobie, że wciąż będzie tam stał i podążał za nią wzrokiem. Nagle poczuła straszliwą niepewność co do tej miłości.

Czerwiec 1940

Na niebie nad pociągiem, którym Alistair podróżował z Dover, widać było białe pokręcone smugi. Gdy wychylił się przez okno, owionął go ciepły prąd powietrza przesiąknięty ostrą wonią węgla. Wiedział, że myśliwce RAF-u zmagają się tu z maszynami wroga, ale z tego miejsca samoloty były prawie niewidoczne i wydawało się, jakby to para z lokomotywy utworzyła tam w górze te cienkie i poszarpane linie. Jakby przyroda zastygła i gazy już nie ulegały rozproszeniu, tylko tworzyły rozwidlenia i skręty.

Zawyła przepustnica. Londyn był już blisko. Alistair wyczuwał jego groźną moc wszystkimi komórkami ciała. Wcześniej miał zamiar pojechać prosto do Toma – taki był główny cel tej podróży – lecz w miarę jak zbliżał się do miasta, uznał, że najpierw sam się ogarnie. Wyśle Tomowi krótką wiadomość, którą ten odbierze po południu, i wykorzysta ten dzień na załatwienie swoich spraw, a przyjaciela odwiedzi wieczorem.

Drogi Tomie,

nasz pułk dostał urlop, z pewnością w nagrodę za piękny pokaz marszu w odwrocie przez całą północną Francję.

Alistair odłożył na moment pióro, szukając właściwego tonu dla tej wiadomości. Wróg pędził ich, gdzie pieprz rośnie, poczynawszy od pierwszej klęski w Ardenach po ostateczną ewakuację z Dunkierki. Niemcy byli bardziej skoncentrowani, bardziej zmotywowani, silniejsi. Angielscy żołnierze myśleli o nich zarazem z podziwem i lękiem. To niedorzeczność, że nie można było po prostu podnieść ręki i powiedzieć: „Posłuchajcie, dobra robota, ale myślę, że na razie

wystarczy”.

Jestem lekko ranny w rękę, ale i tak lepszy ze mnie batsman[5] niż ty. Awansowali mnie na kapitana. Myśl o mnie jak o płonącej, opadającej na ziemię komecie w mundurze oficera odznaczonego za odniesione rany.

Jeszcze do tej pory wychodziły z niego odłamki szkła. Uniósł rękę w samą porę, by osłonić twarz przed szybą zniszczoną w wyniku wybuchu w Mont-de-Piété. Nic takiego. Bardziej niż ból doskwierało mu nieprzyjemne poczucie odseparowania od innych. Pewnie nie powinna to być dla niego niespodzianka. W końcu efektem wojny jest osamotnienie – opuszczona kochanka, przerwana rozmowa – więc trudno się dziwić, że po otarciu się o śmierć człowiek czuje się wyrwany z rzeczywistości.

Jeśli zaś chodzi o Ciebie, to mam nadzieję, że Cezar jest czujną przyzwoitką i...

Jeszcze niecały tydzień temu Alistair wraz ze swoimi żołnierzami tłoczył się w marnych okopach, które wygrzebali na plaży pod Dunkierką. Wyjące pociski wybuchały obok nich w trudnych do przewidzenia odstępach czasu. Ślepli od dymu, ostrej mieszanki czarnej sadzy z bombardowanych statków i białej chemicznej mgły, którą brytyjskie niszczyciele rozsiewały jako zasłonę. Wyciskała im łzy z zaczerwienionych oczu i drapała w gardła.

Alistair stanął nad krawędzią okopu.

– Jak ci się podoba ta pogoda? – zawołał do starszego sierżanta Blake’a.

– Typowa, jak na tę porę roku, sir! – odkrzyknął z sąsiedniego okopu Blake. – Za pozwoleniem, wziąłbym paru chłopców na plażę, na lody.

– Proszę bardzo! – przytaknął Alistair. – Może, przy okazji, znajdziecie kilka leżaków? Można by je tu szybko wynająć.

– Wdzięcznej publiczności?

Alistair skinął głową.

– Dzwon do sztabu. Niech przyślą budkę do występów Puncta i Judy[6]. Jeśli będziesz grzeczny, dam ci zagrać Judy.

Alistair czekał na odpowiedź Blake'a, ale ten oberwał kawałkiem szrapnela i cicho osunął się na ziemię. Alistair spiął się i przyczał do skoku, żeby pośpieszyć mu z pomocą. Lecz teraz siedział sobie w wagonie i pisał list do Toma. Potarł skronie, przywołując się do tego, co tu i teraz.

...że Cezar jest czujną przyzwoitką i że...

Spędzili na tej plaży dwa dni. Woń dymu mieszała się ze smrodem odchodów i moczu. Nie było mowy o zbudowaniu prawdziwych latryn, więc załatwiali się w okopach. W ciągu godziny na plażę spadało pięćdziesiąt świszczących bomb, zrzuconych z niewidocznych we mgle bombowców. Podczas dłuższych przerw w nalotach meserszmity o żółtych dziobach opadały bez ostrzeżenia nad wydmy – tak nisko, że widać było nity – i rozpruwały plażę kulami karabinów maszynowych, wzburzając grudy piachu, który później opadał drobinkami niczym niekończący się deszcz. Żołnierze ginęli z oczami skierowanymi ku niebu, przysypanymi piaskiem.

...jest czujną przyzwoitką i że robisz postępy w tańcu.

Ciężko dysząc, Alistair oparł czoło o szybę. Patrzył na przesuwane się za oknem zielone pola. To jest realny świat, przekonywał sam siebie – dojrzewająca pszenica, kamienna stodoła, owca. Przed wojną nie wiedział, że czas może być jak zawiązana na kokardę wstążka, różyczka o czarnych płatkach.

Nie chcę Cię krępować przy tej dziewczynie, dlatego nie zatrzymam się na naszym strychu. Zamieszkać w Robertson's,

tym małym hotelu przy Shooters Hill Road. Zadzwoń tam do mnie, kiedy odbierzesz tę wiadomość.

Pociąg zatrzymał się z piskiem na stacji Charing Cross. Alistair włożył list do koperty, zdjął plecak z półki i wyszedł na peron.

W Londynie było gorąco. Ruszył na północ. Jego zegarek wskazywał dwunastą, ale nie wybiły jej żadne dzwony. Wisiały owinięte kocami w dzwonnicach, by rozbrzmieć jedynie wówczas, gdy nieprzyjaciel dokona inwazji. Alistair przypuszczał, że plan ten został stworzony z myślą o cywilach, choć gdyby ci spotkali Niemców w ich obecnym stanie ducha, pewnie dzwony nie przyniosłyby im pocieszenia – czy to milczące, czy rozkołysane, czy też przetopione na metalowe podkowy do butów do stepowania.

Alistair natrafił na skrzynkę pocztową, zawahał się przez moment, po czym włożył list z powrotem do kieszeni. Może najpierw upewni się, czy hotel dysponuje wolnymi pokojami, nim umówi się tam z Tomem. Zwykle mieli pokoje, ale podczas wojny różnie mogło się zdarzyć.

Wyjął chusteczkę i otarł twarz z potu i sadzy. Na Strandzie wszyscy się przepychali i wpadali na siebie. Chodzili w jakiś inny sposób i Alistair najwyraźniej nie umiał się do niego dostosować. Ludzie poruszali się w zdyszonym pędzie, ale nie jak dawniej w godzinach szczytu, gdy tłum sunął razem niczym fala przypływu. Teraz zdawało się, że każdy zmierza w sobie tylko właściwym kierunku.

Alistair starał się przemóc rosnące w nim poczucie bezradności. Nie umiał przedzierać się przez ten tłum. Tyle tam było ludzi, a wszyscy niezsynchronizowani. Odnosił wrażenie, że niewybijane przez dzwony godziny zatraciły swoją chronologię i nakładały się na siebie niczym łuski jakiegoś wijącego się stwora o powtarzalnych ruchach. Dzienna zmiana, nocna zmiana, zmiana ruchoma – wszyscy potracali się nawzajem i wprawiali Alistaira w osłupienie. Gdy załatwiał sprawy w mieście, wydawało mu się, że w autobusach roi się od bladych dziewczyn w drelichach. Równie dobrze mogły

jechać do pracy, jak i z niej wracać. Próbował je zagadywać, ale najwyraźniej język też się zmienił. Jego angielski zdawał się je bawić lub irytować. Zupełnie jakby uczył się go za granicą.

– Daleko doszliście? – spytał młodzieńca w hełmie i tweedowej marynarce.

– Co? – odburknął tamten, nieufnie mu się przyglądając.

Alistair przywykł do zachowań będących wynikiem szoku wywołanego udziałem w walkach. Jego dowódca zginął pod Saint-Quentin, gdy nieprzyjaciel ostrzelał ich pozycje z moździerzy. Nie uzyskawszy połączenia przez polową radiostację, Alistair przebiegł kilkaset metrów, by spytać o dalsze rozkazy w kamiennej stodole, gdzie zorganizowano punkt dowodzenia. W środku, gdzie cuchnęło mięsem, nie zastał nikogo żywego. Pociski moździerzowe wleciały przez dach, ale kamienne ściany ocalały. Wewnątrz wciąż było gorąco. Ciała wszystkich starszych oficerów leżały porozrywane i zwęglone. Pułkownik siedział wyprostowany przy stole, wykrwawiony i szary, z wąsami wydętymi w grymasie oburzenia i słuchawką radiostacji w rękę. „To okropny hotel. Chcę złożyć skargę na nieustający hałas”.

Alistair pobiegł z powrotem do okopu, zebrał wszystkich pozostałych przy życiu żołnierzy ze swojej kompanii i poprowadził ich w kierunku wybrzeża. Po drodze wciąż żywił nadzieję, że spotka jakiegoś starszego oficera, który będzie dysponował lepszym planem. Zatrzymali się dopiero po dziesięciu dniach, gdy dołączyli do sił głównych pod Dunkierką. Dwaj sierżanci zginęli, podobnie jak pięciu kaprali. Większość żołnierzy była ranna, sześciu wymagało wniesienia na łodzie. Alistair osobiście nadzorował kłeczenie noszy.

Wykonywanie wraz z podwładnymi tego praktycznego i niezbędnego zadania przyniosło mu odprężenie. Tylko w takich działaniach czuł się użyteczny. Dobrze radził sobie z renowacją. Gdyby rozkaz brzmiał, powiedzmy, odbudować Europę, zamiast roznieść ją w drobny mak, Alistair nosiłby swoje gwiazdki z większą przyjemnością i odczuwał mniejszy wstyd, zachęcając swoich ludzi, by szli za nim.

Zdawało się jednak, że nawet w tych okolicznościach dość chętnie za nim podążali. Maszerowali, gdy się o to do nich zwracał. Strzelali z karabinów do wroga, a nie do siebie nawzajem, nawet po miesiącu niedospania. Pili lurowatą herbatę, wzdragali się, słysząc najpotworniejszy huk, i pisali listy do swoich dziewczyn. Kiedy robił obchód, mówili do niego „sir”, częstowali herbatą i ciasteczkami i cieszyli się, kiedy zaglądał do ich okopów. Fakt, że jego obecność najwyraźniej była dla nich wsparciem, przekonał go, że warto tak trzymać. Ze względu na nich liczył, że nie zginie, choć kwestia ta dla niego samego stała się obojętna. Robił dla nich, co mógł, i koił spojrzeniem, gdy patrzyli na niego przerażeni.

Teraz siedzący przed nim młodzian naprawdę się zaniepokoił. Chcąc dodać mu otuchy, Alistair chwycił go za rękę, lecz ten odepchnął go i śpiesznie przeszedł na tył. Alistair zamrugał powiekami. No jasne, autobus. Londyn.

Wysiadł, gdy tylko pojazd zwolnił. Na ulicy wszystko było nie tak. Papierosy cuchnęły jak spalone farmy. Przechodnie wprawiali go w konsternację wonią piżma i oleju. Piekarnie, zawsze działające od świtu, teraz najwyraźniej wypiekały chleb późnym popołudniem. Alistair doszedł do wniosku, że muszą wyżywić wszystkich nowych pracowników nocnej zmiany. Zapach gorącego pieczywa unosił się nad Piccadilly, gdy Alistair zmierzał do banku – był jednocześnie krzepiący i niepokojący. Na tabliczkach w witrynach piekarze opisywali swój wypiek kredą jako „chleb rezurekcyjny”. Gdy Alistair spytał jednego z nich o powód, ten odparł: „On znów powstał”.

Nawet w Ritzu wydłużono dwukrotnie czas serwowania posiłków, by dostosować go do nowego wojennego grafiku. Alistair zajrzał do środka przez wysokie okna i dostrzegł roześmiane kobiety przy barze z ciastem i samowarami, a obok mężczyzn przy stolikach, którzy jeszcze kończyli lunch. Nie do wiary! Porto i makaroniki w restauracjach w W1[7] – z pewnością szykuje się coś przerażającego. Dlaczego wszyscy zdawali się tacy beztroscy?

Alistair poluzował w upale krawat i zaczął iść bocznymi ulicami w stronę Enbankment, żeby uniknąć męczącego tłumu. Teraz, gdy

już załatwił wszystkie swoje drobne sprawy, poczuł się jak ktoś niedorzeczny i zbędny. Przysiadł na ławce i, skrzywiony, wpatrywał się w Tamizę. Od ujścia nadciągała oleista fala przypływu, wywołując zamieszanie w naturalnym płynie rzeki. W górze krążyły białe mewy, które wyglądały, jakby doskwierał im żar i cierpiały na chorobę morską.

Alistair sądził, że wizyty w banku, u krawca i adwokata zajmą mu całe popołudnie, ale ostatecznie każda z nich trwała ledwie parę minut, nim znów mógł ruszyć przed siebie. Wszyscy przyjmowali go serdecznie, lecz jednocześnie zerkali na zegarek. Alistair miał wrażenie, jakby ktoś ważniejszy i bliżej nieokreślony, ktoś, kto wcześniej się z nimi umówił, uważnie śledził jego ruchy. Być może wojna sprzyjała interesom. Może nawet wszystkim wiodłoby się lepiej, gdyby nie ci wszyscy żołnierze zawalidrogi.

Alistair przypatrywał się niespokojnym, zaczepnym i krążącym nieustannie mewom. W popołudniowym upale wypadał poza ós czasu i znów do niej powracał. Zadzwoił do hotelu i zarezerwował pokój, ale wciąż zwlekał z wysłaniem listu do Toma. Postanowił, że poczeka z tym, aż poczuje się pewniej. Z dawnymi kolegami z Tate też nie za bardzo chciał się spotkać. Jeszcze gorszą rzeczą niż ujrzenie opustoszałej i ponurej galerii byłoby odkrycie, że jednak ściągnęli wszystkie obrazy z powrotem. Londyn wytrącił go z równowagi.

Wpatrywał się w brunatną wirującą wodę. W drodze powrotnej z Dunkierki, podczas przeprawy przez kanał La Manche w mokrej mgle, którą rozświetlały białe i czerwone rozbłyski, wzięli na pokład zestrzelonego, machającego do nich z małego żółtego gumowego pontonu lotnika RAF-u. Alistair pomógł mu wspiąć się po trapie na ich niewielką łódź. Trząsł się z zimna w spadochronowej uprząży i dmuchanej kamizelce ratunkowej, a jego twarz i ramiona były czarne od oleju. Lotnik zasalutował, Alistair odpowiedział mu tym samym. Znalazł mu parę koców i brezentową płachtę, żeby mógł osłonić się przed wiatrem. Okazało się, że łączy ich wspólne zamiłowanie; fajka rozbitka nie ucierpiała, a tytoń Alistaira był

suchy. Palili w milczeniu, przysiadłszy u stóp masztu.

W pewnej chwili Alistair spytał:

– Jaka woda?

– Rześka – odparł lotnik. – Jak tam we Francji?

– Tłoczno – usłyszał w odpowiedzi.

Alistair wstał z ławki, powtarzając sobie w duchu, że jest realna, i ruszył do Soho. Miał jeszcze mnóstwo czasu do zabicia, nim będzie mógł o rozsądnej porze zjawić się w hotelu. Niczym bilardowa kula krążył między kawiarniami a wodewilami, podczas gdy Londyn wciąż patrzył mu prosto w oczy, jakby to on walczył z tankami w zawadiackim kapeluszu i getrach.

Ledwie po drugiej stronie kanału La Manche skoncentrowano ciężki sprzęt bojowy. Każde inne miasto gryzłoby kłykcie i kopało norę, by się w niej schować. Alistair miał ochotę krzyknąć: „Ludzie, te pociski naprawdę wybuchają!”. Nie rozumieli, że Londyn może zostać unicestwiony, że każdy może zginąć z taką samą, zdumioną miną, jaką Alistair widział u pierwszego poległego na tej wojnie w jej najwcześniejszym, szokującym stadium, jeszcze zanim żołnierze przywykli do myśli, że mogą ujrzeć taki widok. „Przepraszam, ale obawiam się, że zostałem trafiony”.

Nadciągnął zmierzch, lecz upał nie odpuszczał. W zaciemnionym mieście Alistair mijał żołnierzy w mundurach. Poszukiwali się nawzajem, by znaleźć pociechę, lecz się do siebie nie odzywali. Niektórzy, tacy jak Alistair, włóczyli się bez celu, inni grasowali na wieczornych potańcówkach, polując na blade, egzaltowane dziewczyny, które postanowiły się zabawić przed szychtą lub po niej. Te ostatnie uznawali za lepsze kandydatki do walca. Gdy Mars i Saturn znalazły się w jednym domu, młode ochotniczki z oddziałów obrony przeciwlotniczej zaczęły nosić pod mundurami jedwabie, a pod hełmami wymyślne fryzury. Puszczaly oko do Alistaira, ten zaś, mając dość samego siebie, odkrył, że w odpowiedzi może im jedynie zasalutować.

Uznał, że powinien obejrzeć jakiś spektakl, ale wszystkie kina wyświetlały patriotyczną sieczkę, a w teatrach roiło się od takich jak

on – zagubionych, rozdartych w czasie żołnierzy. Na afiszach były musicale z gwiazdami Broadwayu i chórzystkami, których akcja rozgrywała się w Monte Carlo, na Ceylonie lub w Syjamie. Londyn był doskonale przygotowany na to, by zapewnić Alistairowi wieczorną rozrywkę, a on marzył tylko o tym, by wrócić do domu.

O północy, w ciemnościach i w ciszy, w której powinien rozbrzmieć odgłos kościelnych dzwonów, Alistair ruszył z plecakiem na dworzec Waterloo. Przeczekał noc na peronie, o świcie wsiadł do pierwszego pociągu do miejscowości, w której mieszkali rodzice. Tam będzie cicho. Będzie chodził na długie spacerunki. Był przekonany, że na wsi, w otoczeniu dębów, błotniaków stawowych i innych tamtejszych osobliwości, znów poczuje się sobą.

5 Zawodnik odbijający w krykiecie.

6 Tradycyjny brytyjski spektakl kukielkowy popularny w wakacyjnych ośrodkach nadmorskich, obfitujący w sceny przemocy.

7 Jedna z administracyjnych dzielnic Londynu.

Czerwiec 1940

W pierwszej szkole, do której go ewakuowali, sprawy nie ułożyły się dobrze, więc wysłali go do innego miasteczka. Tam dyrektor podczas apelu kazał Zachary'emu wstać i zapowiedział, że nie będzie kozy za to, że ktoś jest Murzynem, lecz za to, że się go nęka.

Była to wapienna osada położona w wapiennej dolinie, której mieszkańcy nie przemieszczali się dalej niż kamienie zamieszkiwanych przez nich domów. Między ostatnimi zabudowaniami a pierwszym kamieniołomem leżała łąka na Uboczu, na której bzycały latem muchy. Zachary trochę się denerwował, bo był na nią widok z każdej strony. Stał tam traktor przeżarty przez rdzę aż do silnika i osi. Porastały ją różowe kępy waleriany i chaszczki dzikiej róży, ale nic, za czym tak naprawdę można się było skryć. Było to najgorsze miejsce, w jakim Simone Block mogła się z nim umówić, ale to nie była jej wina. Nie wiedziała, jacy są ludzie.

Simone kazała mu przyjść o ósmej i Zachary czekał tam na nią od rana na wypadek, gdyby to właśnie tę porę dnia miała na myśli. Czuł, że powinien to wiedzieć, a nie chciał, by pomyślała, że jest jeszcze głupszy, niż się jej wydaje. Czekał cały dzień. Teraz słońce opadało już za zachodnią krawędzią doliny. Zachary zmrużył oczy. Zbocze było niczym fala, a żółte kamienne budynki jak unoszące się na niej rybackie kutry, ciągnące za sobą długie czarne cienie. W wieczornej mgle wieża kościoła wyglądała jak latarnia morska zabarwiona na czerwono promieniami zachodzącego słońca i strzegąca swej floty emanującym z niej światłem. Wszyscy ocaleją. On sam był strażnikiem wybrzeża, spoglądającym ponad wzburzonym morzem i...

Zachary powstrzymał te myśli. Zawsze się tak nakręcał,

dostrzegając to, czego nie ma, i nie widząc tego, co jest – nogi, którą ktoś mu zaraz podstawi, i obślinionej papierowej kulki, która trafi go w głowę. Na Łące na Uboczu brzęczące pszczoły w szykownych pasiastych kubraczkach przelatywały z pąka na pąk, skupione na swoim zadaniu. Im bardziej Zachary powinien się skoncentrować, tym bardziej tracił wątek.

„Która to godzina?”, pytała nauczycielka, wskazując na zegar na tablicy. Zachary przyglądał się wskazówkom, próbował sobie przypomnieć, w którą stronę się obracają, i zaczynał płakać. Drogą za oknem prowadzono byka na uwięzi z dzwoneczkiem u szyi, a on wsłuchiwał się w jego metaliczny, coraz delikatniejszy dźwięk rozbrzmiewający w letnim upale i w odgłos ciężkich kroków zwierzęcia. W miarę jak się przybliżał, stawał się coraz bardziej głuchy, dudniący i powolny i Zachary to zauważał, zauważał coraz wyraźniej. Tymczasem wszyscy się już na niego patrzyli, bo pytanie pozostawało wciąż to samo: „Zachary, którą godzinę wskazuje zegar?”, a on nie miał – choćby bladego – pojęcia. Wszyscy uczniowie zaczynali z niego szydzić, a on zwieszał tylko głowę.

Od września czuł się samotny, do chwili, gdy tydzień temu otarła się o niego Simone. Spiał się, oczekując, że drapnie go paznokciem albo szturchnie, ale ona tylko na niego spojrzała i obdarzyła zdawkowym półuśmiechem – w klasie, gdzie każdy mógł to zauważyć.

Nazajutrz dotknęła jego ręki podczas porannej przerwy.

– Zachary, nie smuć się.

Zaskoczyła go w trójnasób. Po pierwsze, dostrzegła, że jest smutny. Po drugie, ubiegła go, bo sam nie zdawał sobie z tego sprawy. Po trzecie, odezwała się do niego. Stał nieruchomo i patrzył, jak się oddala.

Rozmyślał o niej teraz, o jej brudnych brązowych włosach i połamanych zębach. Jej skóra była bledsza niż u innych dzieci. Mieszkańcy osady latem dostawali piegów i brązowiła im skóra, ale Simone pozostała blada. Koleżanki z klasy pomijały ją przy zabawach ze skakanką. Zachary oddał się na chwilę tym myślom,

próbując sobie wyobrazić, jak to jest mieć tak białą skórę, że aż wszyscy ci dokuczają.

Przyjechała tu z daleka, tak jak on. Wyrzucał sobie, że nie wie skąd. Inni pewnie tylko spojrzeli na Simone Block i od razu wiedzieli, że jest z Francji albo z Holandii, tak jak patrząc na wskazówki zegara, od razu wiedzieli, że jest za pięć dziewiąta. On nawet nie wiedział, co powinien wiedzieć.

Spóźniała się. Bał się, że nie przyjdzie. Bał się też, że przyjdzie. Skrył się na skraju łąki, gdzie dawały mu schronienie naparstnice i leśne zawilce. Oczy wiejskich dzieci były wiecznie rozbiegane i niezwykle spostrzegawcze. Zachary widział raz na szkolnym boisku chłopca, który schylił się, podniósł kamień i rzucił nim w żywopłot, tam, gdzie on widział tylko cień. Nagła cisza, zbiegowisko i oszołomiony, zakrwawiony królik ciągnięty za ogon, póki nie skręcono mu karku. Nim zwierzę przestało wierzgać łapami, mecz wznowiono rzutem z autu.

Mimo że wieczór był ciepły, Zachary'emu było zimno z głodu. Rodzina, która go do siebie przyjęła, nie dawała mu nic do jedzenia, a trudno mu było chodzić niezauważonym po okolicznych farmach i zbierać spady. Lepiej być głodnym i ukrytym. Zachary przyglądał się ścieżkom, którymi chodziły króliki i jelenie. Patrzył oczami drapieżcy, szukając przesmyków, przez które można się prześlizgnąć. Był w tym lepszy niż dzieci miejscowych. Trzymał się na uboczu, aż do chwili, gdy Simone upuściła obok niego na szkolnym boisku zwinięty skrawek papieru. Przydepnął go nogą, a potem, kiedy było to już bezpieczne, podniósł. Rozwinął go, przeczytał i zjadł; wszystko to jednym płynnym ruchem. „Lubię cię”, napisała. Nie wiedziała, co mogą razem robić.

Zachary wyciągnął z kieszeni pęczek niedojrzałej pszenicy i obrócił się na brzuch, żeby zjeść miękkie końcówki łądy. Wraz z zachodem słońca mgła zgęstniała. Przewrócił zbutwiały pień, wyłapał czmychające prosionki i też je zjadł. Na koniec zwijały się w kulkę – głupcy, półludzie, płochliwe plemiona z ksiąg z początku Biblii – i można je było zgniatać jak srebrzyste pigułki. Zjadł osiem,

pomrukując. Miały smak letniego deszczu.

Chciał odpowiedzieć na liścik Simone, ale się wstydził. Nie wiedział, czy ją „lubi”, czy „lóbi”, „tesz”, „terz” czy „też”... Zamiast odpowiedzieć, zwolnił przy jej ławce, tylko na chwilę, gdy wszedł nazajutrz do klasy, a nawet przemógł się i na nią spojrział. Zrewanżowała mu się uśmiechem tak ciepłym, że niemal się zapomniał i o mało sam się do niej nie uśmiechnął.

Słońce jeszcze bardziej poczerwieniało. Na ramieniu Zachary’ego przysiadła sieciarka. Zmiażdżył jej głowę i ją połknął. Gdy uniósł wzrok, Simone brnęła przez wysoką trawę w stronę środka łąki. Ubrana w białą koszulę i czarny fartuszek przesuwała się między ostami, nawet nie próbując się ukryć. Serce Zachary’ego zabiło mocniej. Chwilę się wahał, po czym wychynął spośród naparstnic, ale tylko po to, by napotkać jej wzrok i zamachać ręką.

Gdy dotarła w bezpieczne miejsce na skraju łąki, omiótł suche mchy, żeby umościć jej miejsce.

– Pokaż, co masz za uszami – wypaliła prosto z mostu.

Pochylił głowę, żeby mogła odgiąć mu uszy i zajrzeć, co tam ma.

– Czyli to nie od słońca, bo tutaj skóra byłaby jaśniejsza.

– Wszędzie wygląda tak samo.

– Urodziłeś się normalny, a później zmieniłeś kolor?

– Nie. Mam tak od urodzenia.

Spojrzała na niego ze współczuciem.

– Czyli to wina twoich rodziców.

– Nie sądzę.

– Czy to boli?

– Co?

– Twoja skóra.

– Nie.

– Nie czujesz się, jakbyś był poparzony?

– Nie.

– Nie żeby jak w agonii, nie...! Bardziej jak wtedy, kiedy zbliżysz się do ognia, który skręca ci włosy, i kiedy piecze cię skóra.

– Mnie nie piecze.

– Czyli twój ojciec jest kanibalem?
– Muzykiem.
– Czyli twoja matka?
– Ona nie żyje, ale była śpiewaczką.
Simone zaplotła ręce na piersi.
– Albo matka, albo ojciec.
– Co?
– Zjada ludzi. W przeciwnym razie dziecko rodzi się białe.
Zachary nie wiedział, co jej odpowiedzieć.
– Przyjechaliśmy tu z Ameryki.
Simone spojrzała na niego sceptycznie.
– Oni wszyscy są tacy niedouczeni jak ty?
– Kto „wszyscy”?
– Kolorowi.
Zachary potrząsnął przecząco głową.
– Ja zawsze byłem głupi.
– Nie powiedziałam głupi, tylko niedouczeni.
– Na jedno wychodzi.
– Głupi się nie nauczy, a niedouczony to taki, co jeszcze nie
zdążył.
– Ja jestem głupi. Sama widziałaś, jak przychodzi kolej na mnie,
żeby przeczytać coś na głos.
– Dlaczego po prostu nie wymawiasz liter?
– Bo mi uciekają. Nie wiem, jak zatrzymać je w miejscu.
– One stoją w miejscu, głupku.
– Nie dla mnie.
Wzięła go za rękę.
– Ty drżysz.
– Wcale nie.
– Dlaczego drżysz?
– Bo się boję, ty nie?
Puściła jego rękę i spojrzała na niego tak czule, że aż zmartwiał.
– Dlaczego wysłali cię tu samego?
Odwrócił wzrok.

– Nieważne.
– Dlaczego nie wrócisz do Londynu?
– Kiedy piszę do taty, odpowiada, że muszę być cierpliwy.
– No to musisz napisać lepszy list.
– Pisane litery jeszcze bardziej mi uciekają. Jakby słowa nienawidziły pióra.

– Napiszę go za ciebie. Chcesz?

Zachary rozejrzył się po łące. Słońce skryło się za krawędzią doliny i po jej wschodnim zboczach piał się cień. Zachary zapatrzył się na rozplonione dęby w połowie pogrążone już w mroku. Znał wszystkie zwierzęta na tym stoku i wiedział, jak się poruszają. Szybko się uczył, bacznie je obserwując. Wiedział, gdzie przebiegają granice działek i kto się z kim wadzi, choć to ustawicznie się zmieniało. Nikt mu w tym nie dorównywał, chyba że należało wstrzymać myśl i włożyć ją w słowa, a słowa na kartce zamierały. Nie umiał pojąć, jak coś, co jest w ciągłym ruchu, może zostać go pozbawione. Był głupi.

Simone zaczęła ciągnąć go za rękę.

– Co byś chciał powiedzieć tacie, gdybym napisała list za ciebie?

– Że masz rację, że jestem smutny.

– Tylko tyle? – zamrugła, zdziwiona.

Spojrzał na nią zmartwiony, że powiedział coś nie tak. Przyciągnęła do siebie jego rękę.

– Lubię cię, a inni niech mówią, co chcą.

Zaryzykował blady uśmiech.

– Mam cię pocałować? – spytała.

– Nie. – Cofnął rękę.

– Dlaczego?

– Nawet nie wiesz, co oni mogą ci zrobić.

– Mam to gdzieś.

Odwrócił się od niej na chwilę. Wędrował myślami przez ciemniejący po zmierzchu krajobraz. Bezwiednie rejestrował w świadomości każdy dźwięk, plusk rzeki, gruchanie gołębi na gałęzi, trzask patyków gdzieś w pobliżu; pewnie jakiś lis albo

gronostaj ruszył na wieczorne łowy. Znów spojrzał na Simone. W jej twarzy nie było niepokoju. Doszedł do wniosku, że powinni zrobić to, o co prosiła.

Przymknął oczy i przysunął usta do jej twarzy. Przez chwilę, kiedy go całowała, w jego głowie zapanował spokój, tylko woda w rzece pluskała i trzeszczały patyki, teraz jakby głośniejsze, niemal w świadomości, ale nie do końca, bo to był jego pierwszy pocałunek. Był ciepły i na chwilę smutek ustąpił. Ogarnął go spokój. Wszystko się uspokoiło.

I nagle w skroń ugodził go ciężki kamień, Zachary'ego zamroczyło, a kiedy znów otworzył oczy, z mroku poleciały w ich stronę kolejne kamienie.

Simone też oberwała. Wypadł jej ząb i miała rozbite oko, z którego płynęło tyle krwi! Objął rękami jej głowę, żeby ją chronić, ale to jeszcze bardziej rozsierdziło wiejskie dzieciaki. Milczały – i to było straszne. Nie szydziły, nie śmiały się, tylko wciąż ciskały kamieniami. W powietrzu świstały rzeczne krzemienie. Simone zaczęła krzyczeć.

Zachary rozwarł szeroko oczy, gdy zerwał się ze snu. Ojciec trzymał rękę na jego ramieniu.

– W porządku, Zachary?

Chłopiec zamrugał powiekami. Za oknem był dzień, migają mu przed oczami pola. Wagon trzeciej klasy, cztery miejsca zajęte. On, jego ojciec, kobieta pisząca list, mężczyzna czytający gazetę. Na ostatniej stronie, tej zabawnej, karykatura Hitlera w bokserkach: „Dopadnijmy go bez spodni!”.

– Tak, wszystko dobrze.

– Coś ci się przyśniło. Raczej nic wesołego.

Zachary znów zamrugał. Za oknem koło bukowego szalasu na szczycie zielonego wzgórza na pole owsa wyszła sarna.

– Nic mi nie jest.

Prawe oko ojca leciało w bok, kiedy mierzył cię wzrokiem. Kiedy Zachary był mały i pytał go o to, ojciec odpowiadał, że jednym wypatruje kłopotów. W żartach Zachary miał zgadnąć którym.

Teraz ojciec powiedział:

- Przepraszam, że nie przyjechałem po ciebie wcześniej.
- Nie ma sprawy.
- Odradzili mi. Mówili, że lepiej zostawić dzieci tam, gdzie są.
- W porządku.

Ojciec pogłaskał Zachary'ego po głowie, po czym pogładził kciukami swoje brwi. Często to robił i przez chwilę Zachary miał wrażenie, że nic się nie zmieniło – że mama żyje, że nie przepłynęli przez ocean i że nie zostali rozdzieleni.

– Twoja dawna nauczycielka namawiała mnie, żebym ściągnął cię do domu. Powinienem być jej posłuchać.

– Panna North?

– Powiedziała, że znów otwiera tę szkołę i że nikt nie może nam zabronić, żebyśmy przywieźli cię do domu, ale uznałem, że prosi się o kłopoty. Tylko że dla niej kłopoty nie znaczą tego samego co dla nas.

– Rozumiem.

– Jak ty wyglądasz... Biedna buzia.

Zachary wzruszył ramionami.

– Nie boli. Wyglądało gorzej.

– Wychowałem kłamczucha. Oberwałeś jeszcze gdzie indziej?

Zachary spojrzał na ojca.

– Kiedy wrócimy do Londynu, możemy pójść do tej szkoły?

– Nie wiem, czy to najlepszy pomysł.

– Proszę.

– Jak mogę ci teraz odmówić? – westchnął ojciec.

Zachary znów przeniósł wzrok za okno. Był ubrany tak jak podczas ewakuacji – w szare szorty i szarą budrysówkę. Poza tym miał przy sobie tylko maskę gazową. Można z nią było zrobić dwie rzeczy – włożyć i zabawnie oddychać, bo zawory klikały przy wdechu i wydechu, co przydawało tym czynnościom smaczku. Można też było wepchnąć do filtra patyk, a wtedy gumowe paski zaczynały wibrować i brzmiało to jak odgłos tarki do prania.

– Mogę coś dla ciebie zrobić? Może posmarować ci kremem te

rany?

– Chciałbym, żeby było jak kiedyś.

Ojciec się uśmiechnął.

– Czyli kiedy? Jeśli w twoim wieku zaczniesz wracać do przeszłości, niedługo obudzisz się w pieluszcze.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Nie pozwolę, żeby znowu nas rozdzielili.

Odtąd było już lepiej. Pogwizdywały niskie wzgórza, śpiewał las i polne chóry, tory przygrywały do taktu. Ojciec Zachary'ego zasnął. Londyn był coraz bliżej. Pozostali pasażerowie spędzali czas na wgapieniu się w czarne i udawaniu, że tego nie robią. Kiedy się nie przyglądali, Zachary polizał palce, zebrał okruchy spomiędzy siedzeń i je zjadł. Siedząca obok kobieta pisała list, podkładając podeń książkę. Przerwała, by się zastanowić, i skierowała wzrok za okno. W końcu zasnęła z listem na kolanach. Jego też Zachary zjadł. Składał się z dwóch stron, jednej zapisanej w całości, a drugiej w połowie. Granatowy atrament smakował jak ten z liściku Simone. Gdy kobieta się przebudziła, najpierw spojrzała na swoje kolana, potem rozejrzała się po podłodze, aż wreszcie wbiła wzrok w niego.

– Widziałeś list, który pisałam?

– Dlaczego pyta pani mnie? – obruszył się Zachary. – Dlaczego nie spyta pani jednego z nich?

Jego usta i język były granatowe. Kobieta przyjrzała mu się, zamyślona, zamruła i zaczęła pisać list od nowa. W Reading, gdzie wysiadła, poczęstowała go miętówką.

Na stacji Marylebone pociąg zatrzymał się i wypuścił parę, jakby drażniła mu żołądek. Zachary wysiadł z ojcem na peron. Na dworcu kłębił się tłum podróżnych, którzy gnali to tu, to tam, w zależności od własnych pilnych potrzeb. Londyn wchłaniał ich wszystkich.

Zachary oparł się o żelazną podporę. Zrobiło mu się słabo z głodu, ale nie zamierzał dobijać ojca, wspominając o tym. Krew odpłynęła mu z głowy i musiał odczekać, aż świat znów nabierze kolorów i ustanie brzęczenie w uszach. Tym może być umieranie – całkowitą utratą równowagi.

Wyszli z dworca i ruszyli pieszo do domu. Nigdzie nie było dymiących lejów po bombach. Zachary'ego ewakuowano dziewięć miesięcy wcześniej, ale Niemcy wcale nie zaatakowali. Wydawało mu się to dziwne, lecz nie wiedział, w jaki sposób zapytać ojca o powody takiego stanu rzeczy. Musiały być oczywiste. Gdyby wszystko było z nim w porządku, byłby w stanie doszukać się sensu w tym, że ulice Londynu pozostały nienaruszone, i powiedzieć: „Ach, to dlatego musieli nas ewakuować”.

Znów zaczął błędzić myślami. Gdyby pojawiły się leje po bombach, można by zobaczyć, co jest pod Londynem. Można by tam zejść i wrócić z kieszeniami wypchanymi tym, co byśmy tam znaleźli – skamielinami, złotem, wskazówkami.

– Naprawdę chcesz pójść prosto do szkoły? – spytał ojciec. – Nie chcesz się najpierw umyć?

– Najpierw do szkoły.

– Dlaczego? Nie dość krzywd ci tam wyrządzili?

Zachary nie umiał mu wytłumaczyć, jak bardzo męczy go to, że nie rozumie, jak bardzo go to nuży i przygnębia, ani tego, że po cichu liczy, iż panna North zna jakąś sztuczkę, która sprawi, że nie będzie już taki głupi.

– Chcę zobaczyć – odparł.

– Dobra. Ale jeśli będą ci dokuczać, zabiorę cię stamtąd. Teraz już nas nie rozdziela.

Przeszli przez Regent's Park, mijając staw, gdzie pływali łódkami żołnierze w mundurach z kobietami w sukienkach. Kiepsko wiosłowali, a one się śmiały i rozchlapywały wodę. Ojciec pociągnął Zachary'ego, położywszy mu dłoń na ramieniu.

– Widzisz tych w łódkach? Wiesz, co jest głupie?

Zachary rozejrzał się, zastanawiając się, co jego ojciec może mieć na myśli, ale niczego nie zauważył. Musiał przypisać to do szerokiej kategorii słów, zegarów i tajemnic.

– Przykro mi, nie wiem.

Ojciec położył dłoń na jego karku.

– Ta woda ma niecały metr głębokości. Gdybyśmy zechcieli,

moglibyśmy przejść ten staw wpław. Moglibyśmy zdjąć buty i zawiesić je sobie na szyi.

Zachary roześmiał się, bo chyba ojciec właśnie tego pragnął.

– A oni nie wiedzą, że mogą wyskoczyć z tych łódek. Tak jak ja nie wiedziałem, że mogę zabrać cię do domu.

– W porządku, to nie twoja wina.

– Właśnie, że moja. Cieszę się, że chcesz się uczyć. Może nie będziesz taki durny jak ja.

Zachary ogarnął spojrzeniem staw.

– Nie jesteś durny – powiedział.

Wyglądał na głęboki.

Chwycił ojca za rękę i ruszyli ścieżką wzdłuż kanału w stronę Hawley Street.

Ciężkie drzwi wejściowe szkoły były otwarte. Z wnętrza budynku dobiegał śpiew. Czy cała reszta wróciła? Zachary'ego już nic nie zdziwi. Pewnie gdzieś o tym pisali, a on siedział, patrzył i nie widział. Był tak głodny, że nie mógł się skupić. Rozejrzał się po czystej, schludnej uliczce. Spojrzał na swoje porwane szorty i ubłocone nogi i buty. Nie do końca rozumiał numer, który mu wycięli, ale się zawstydził.

W szkole rozbrzmiewały słowa piosenki.

– Kiedy rycerz zdobył ostrogi...

Zachary uczeplił się balustrady, zrobiło mu się słabo. Ojciec go przytrzymał.

– Nadal chcesz tam iść?

Zachary skinął głową.

W korytarzu było ciemno. Zaglądał przez drzwi do sal, które mijali. W nich też było pusto i ciemno. Okna zabito deskami. Podążali korytarzem za chórem głosów, przechodząc obok kolejnych pustych sal.

– Nie mam rumaka ni miecza u boku, lecz śpieszę ku przygodzie i walce...

Gdzieś w trzewiach szkoły uczniowie jakiejś klasy śpiewali. W końcu Zachary i jego ojciec znaleźli tę salę i stanęli pod drzwiami.

Zachary otworzył je i zamrugał oczami w nagle jaskrawym świetle.

– Choć herosi umknęli w świat baśni...

Piosenka zamarła na ustach dzieci, gdy te dostrzegły Zachary'ego. Było ich ledwie siedmioro, nie cała klasa, i różniły się wiekiem. Zachary rozpoznał tylko dwójkę, z którą go ewakuowano. Starsze przestały śpiewać jako pierwsze, a po nich ucichły te młodsze. Ostatnia zamilkła stojąca tyłem do drzwi nauczycielka, która nimi dyrygowała, wybijając rytm rękami.

– Nie ma już rycerzy, a smoki... Śpiewamy! Co się dzieje? Dlaczego nie śpiewacie?

Panna North gwałtownie obróciła się na pięcie i Zachary aż się wzdrygnął. Nagle jej twarz złagodniała. Mary skinęła do jego ojca, podeszła do Zachary'ego i go przytuliła. Przyłgnął do niej, zbyt słaby, by się odezwać.

– Zachary Lee. Okropnie się spóźniłeś, jak zawsze! – powiedziała Mary.

Lipiec 1940

Paryż upadł i dziadkowie obstawili pisuary, gdy mercedes kabrio Hitlera rozjeżdżał gazony na Polu Marsowym. Najeźdźcy maszerowali za nim w wypastowanych butach, a starsi skacowani brandy mężczyźni sikali jadem do cynkowych mis. Chodziło o to, by stawić opór, i nieważne, że mocz pryskał im na buty.

Tymczasem w sali lekcyjnej w szkole przy Hawley Street Mary narysowała kredą na tablicy szkicową mapę Europy i zazaczyła na niej Paryż z wieżą Eiffla. Na czubku budowli dorysowała beret i wepchnęła jej małą bagietkę pod „pachę”, bo był to jedyny sposób, w jaki należało ją przedstawiać.

– Kto odpowie: kto zbudował wieżę Eiffla? Tak?

– Napoleon? – rzuciła Maud Babington.

Mary uśmiechnęła się.

– No... prawie.

Betty Oates gwałtownie wymachiwała ręką, jakby to pozostające bez odpowiedzi pytanie sprawiało jej niewypowiedziany ból.

– Tak, Betty?

– Gustaw Eiffel!

– Bardzo dobrze. Wieża Eiffla została wzniesiona z żelaza i wytwarza pole magnetyczne, które wywołuje romantyczny nastrój w promieniu półtora kilometra.

Prostoduszny George Hampton ożywił się na dźwięk słów „romantyczny nastrój”. Miał piętnaście lat i był przystojny. Młode kobiety upuszczały w jego obecności torebki, żeby nawiązać z nim rozmowę, póki nie zorientowały się, z kim mają do czynienia. George przycisnął dłońmi skronie i wydał z siebie dźwięk przypominający skrzypienie nienaoliwionych drzwi.

Tymczasem zawsze gorliwa Betty zanotowała w zeszycie: „Wieża

Eiffła. Pole magnetyczne. Romans < 1,5 kilometra”. George był wciąż wyraźnie podekscytowany. Poppy Brown, dziewczynka z zespołem Downa, zsunęła się z ławki, przydreptała do niego, chwyciła go za ręce i zaczęła nimi klaskać, aż George w końcu zapomniał o tym, co tak go wcześniej rozemocjonowało. Zaczął poruszać palcami, które, ku jego radości, wpadły w efektowny, falujący rytm.

– Po-Po-Pop – przemówił, popluwając po każdym „po”.

Poppy, która miała pięć lat, wdrapała się z powrotem na ławkę i swoimi skośnymi piwnymi oczami z zezem rozbieżnym usilnie wpatrywała się w tablicę. Dolny rząd zębów zachodził na jej górną wargę.

– Dziękuję, Poppy – powiedziała Mary.

Poppy wskazała na tablicę ręką z kciukiem i pięcioma palcami i spytała:

– To?

– To wieża Eiffła, kochanie.

Poppy złożyła palce wskazujące, naśladując kształt budowli, po czym wsadziła je sobie do nosa.

– Nie rób tak.

Poppy wyjęła palce i przyjrzała się uważnie dwóm imponującym bobom w kolorze groszku, które się do nich przylepiły, a następnie je zjadła.

– Blee! To! Jest! O! Brzydliwe! – skwitował jej zachowanie Kenneth Cox.

– Ale chwilowo ich nie racjonują, więc nie dziwmy się, że Poppy korzysta z okazji – usprawiedliwiła ją Mary.

Dzieci się uspokoiły.

– Pewnie niektóre z was słyszały wieści o Paryżu i przypuszczam, że się zaniepokoiły.

– A co się stało w Paryżu? – spytał Zachary.

– Weszli tam Niemcy. – Mary wypowiedziała te słowa z przyganą, jakby zjawili się tam nie w porę lub ze zbyt dużą ilością bagażu.

Ucieszyła się, że Zachary się odezwał. Po tym wszystkim, co go spotkało, stał się nieśmiały. Jeśli uda jej się sprawić, że codziennie

choć raz podniesie rękę, żeby zadać jakieś pytanie, będzie to jej małe zwycięstwo.

Obok wieży Eiffla narysowała znak swastyki.

– Kto powie, co to za paskudny symbol?

Niepełnosprawny Thomas Essom zacisnął dłonie na poręczach wózka.

– Swastyka – wyszeptał.

– Spokojnie. Od samego wypowiedzenia tego słowa się nie umiera.

Thomas ponowił próbę.

– Swastyka – powtórzył, wcale nie głośniej.

Wysłano go pociągiem z innej londyńskiej szkoły do zachodniej Anglii. Trafił na wózku inwalidzkim do budynku ratusza, gdzie miejscowe rodziny wybierały, kogo chcą przyjąć. Thomas czekał całą noc. Nikt nie chciał dwunastolatka z polio i pryszczatą twarzą. W sąsiednim miasteczku też nikt go nie chciał. W końcu przyjechała jego matka i zabrała go z powrotem do domu.

To samo spotkało połowę uczniów z klasy Mary; wieś ich nie chciała. Inne wróciły do Londynu z prostego powodu – ich rodzice za nimi tęsknili, lecz taki nadmiar uczuć bądź przerost serca również traktowano jak niepatriotyczną przypadłość, której nie dało się oficjalnie ukrócić. Dotyczyło to Maud, Betty i Kennetha. Jedynie klasowa piękność, Beryl Waldorf, odbiegała od tego schematu. Wróciła przed miesiącem i w ogóle się nie odzywała, tylko wyglądała przez okno, mocno oplatając się ramionami. Coś było nie tak. Rodzice wyczuli to z jej listów. Wsi spodobała się za bardzo.

Dotąd właśnie ta ósemka tworzyła klasę Mary. Byli pozostałością po Londynie, resztkami tlenu w jego płucach.

– Brawo, Thomas – pochwaliła go Mary.

Drżały mu wargi, wzrok wbił w pulpit ławki. Dzieci obwiniały się za to, co się im przydarzyło. Właśnie dlatego Mary tak bardzo zależało, by co piątek przekazywać im wiadomości o wojnie. W ten sposób mogła im nakreślić za pomocą kredy – i z odrobiną cenzury

– potężne prądy dziejów, które wyrzuciły ich tu na brzeg.

Zaznaczyła na tablicy kraje zajęte przez wroga. Starła się, żeby swastyki były niewielkie w porównaniu z innymi symbolami, które nanosiła na mapę – z postacią narciarza z rozwianym szalikiem w Norwegii czy z holenderskim wiatrakiem. Nie znosiła, kiedy gazety zamieszczały mapy z nazistowskim symbolem na białym tle, jakby Hitler wysłał tam armię gumek. Lepiej wtłaczać je pomiędzy inne rysunki – niech walczą o miejsce. Celowo rysowała je krzywo. Jej swastyki były zdegenerowane, nie zachowywały kątów prostych i ledwie co przypominały jedna drugą; były niczym potomstwo bliskich kuzynów, którzy pobrali się wbrew woli rodziny.

Na koniec narysowała Wielką Brytanię, hojnie poszerzając kanał La Manche i przydzielając jej trzykrotnie większą powierzchnię niż w rzeczywistości. Uznała, że nie można oczekiwać, by dzieci pojęły, że wyspa wielkości dłoni jest w stanie stawić opór tyranicznemu mocarstwu ciągnącemu się przez całą szerokość tablicy, od Brestu po Białystok.

– Jak widzicie, wróg zajął Francję, ale bądźcie całkowicie pewni, że dalej już się nie posunie. Kto powie dlaczego?

Betty znów wyciągnęła rękę, lecz Mary jej nie wybrała.

– Jak myślisz, Zachary?

W jego oczach pojawiło się skupienie.

– Nie wiem. Przepraszam.

– Nie przepraszaj.

– Przepraszam – westchnął.

Mary przyklękła przy jego ławce.

– Czy Niemcom stoi coś na drodze? Jakaś woda?

Oczy Zachary’ego pojaśniały.

– Morze. Kanał La Manche.

Mary uśmiechnęła się.

– Widzisz? Warto podnieść rękę i powiedzieć coś takiego.

– Myślałem, że to coś trudnego.

– Możesz zaufać takiemu nieukowi jak ja. Gdyby to było trudne, też bym nie wiedziała, a wtedy bym o to nie pytała, bo byś mnie

zawstydził.

Wytrzymał jej spojrzenie i pierwszy raz nie spuścił głowy. Miała nadzieję, że z tym zaufaniem nie wymaga od niego zbyt wiele, ale w końcu to nie ją głodzili i obrzucili kamieniami we wsi. To nie ona spędziła tydzień w Royal Free Hospital, leżąc w łóżku i dostając zastrzyki z witamin, by dojść do siebie po wycieczce na prowincję.

Wstała i ponownie zwróciła się do uczniów:

– A jeśli w jakiś sposób uda się im sforsować kanał, stawimy im zajadły opór i nigdy się tu nie wedrą.

Te nieprzeniknione dziecięce spojrzenia, które nie zdradzają, czy zrozumiały wszystko, czy nic...! Zapewne dzieci były zwyczajnie zmęczone. Mary postanowiła zakończyć lekcje. Nakręciła korbką pożyczony od Toma gramofon i poprosiła Thomasa, żeby wybrał płyty. Popołudniowe zajęcia przy lekkiej muzyce jazzowej i tanecznej nie były oficjalnie zalecane, ale też nikt wyraźnie nie przykazał Mary, że ma w piątkowe popołudnie zanudzać uczniów na śmierć.

Thomas okazał się sprawnym zawiadowcą gramofonu. Przyniósł z domu parę płyt Maurice'a Chevaliera i Cole'a Portera. Przez cały tydzień uczniowie byli grzeczni, więc Mary pozwoliła zatańczyć tym, którzy mieli na to ochotę. Przy włączonej muzyce otworzyła ciężki śpiewnik, w którym dzieci ususzyły kwiaty. Teraz wzięły je te, które chciały wykleić kolaż. Inne tańczyły lub wyszły na korytarz, żeby zagrać w klasy. Była to kolejna rozrywka, na którą Mary pozwalała każdemu dziecku w piątkowe popołudnia, pod warunkiem, że poza wszelką wątpliwość potrafiło udowodnić, że to nie Anglia zaczęła wojnę.

Jedynie Zachary siedział samotnie w ławce, zajadając klej, którego powinien użyć do przyklejenia kwiatów.

– Czy jest coś, czego nie zjesz?

Fakt, że przeżuwał w zadumie, sugerował, że poważnie zastanawia się nad odpowiedzią.

– Jak tam w domu?

Uśmiechnął się kleiście.

– Tata pozwolił mi pójść do sklepu. Dał mi pół pensa, a drugie pół już mam, więc mogę kupić osiem dropsów gruszkowych, osiem sztuk za pensa, albo cztery owsiane landrynki, cztery sztuki za pensa, jeszcze się nie zdecydowałem.

Wybór był poważny. Mary pokiwała głową.

– Gdybyś kupił dwie landrynki, to na ile dropsów by ci zostało?

– Na cztery – odpowiedział Zachary.

– A ile to jest jeden minus dwie czwarte razy osiem?

Łypnął na nią zaskoczony tym okrucieństwem.

– No nie!

– Przecież to identyczne pytanie. Matematyka to tyle co życie, tylko że bez słowa „landrynki”.

Zachary wzruszył ramionami.

– Mogę dostać papierosa?

– Jak skończysz dwanaście lat.

– Powiedziała pani, że dostanę, kiedy skończę jedenaście.

– Bo wtedy miałeś dziesięć, a zasada jest taka: żadnych papierosów, dopóki papierosy są krótsze od twoich palców.

Chłopiec zawył.

– Mam nadzieję, że przyjdą tu Niemcy i panią zastrzelą.

– Twoja nowa niemiecka nauczycielka byłaby jeszcze surowsza. Oni, niestety, z tego słyną.

– A przyjdą tu? – spytał Zachary z nagłym niepokojem, którego Mary kompletnie się nie spodziewała. Muzyka akurat przestała grać. Thomas właśnie zmieniał płytę.

Wszystkie dzieci słyszały tę wymianę zdań, więc Mary głośno się roześmiała.

– Jasne, że nie!

Ale, oczywiście, Niemcy tu przyjdą. Zapowiadał to rysunek na tablicy i rwący ból w przedramieniu Mary. Miło było słuchać patriotycznych przemówień w radiu, lecz ten, kto musiał użyć całej tablicy, by ukazać zasięg blitzkriegu, zdawał sobie sprawę, jak niewiele kredy potrzeba, by objąć tą napaścią Londyn.

– A co będzie, jeśli przyjdą nocą? – zatrwożył się Zachary. – Kiedy

nikt się tego nie spodziewa?

Mary potrząsnęła głową.

– Istnieją całe ministerstwa, gdzie pracują zastępy ludzi, których jedynym zadaniem jest to przewidzieć. Mają plany na wypadek, gdyby księżyc przemienił się w sześcian albo słońce zgubiło kapelusz. Wiercie mi, dzieci, będziemy gotowi.

Zachary z trudem przywołał uśmiech. To oczywiste, że kiedy Niemcy wygrają, gestapo go zamorduje. Londyn wytrzyma, będzie walczył – nie będzie jak w Paryżu. Dojdzie do oblężenia, nastanie straszny głód. Będziemy jeść gołębie, a potem szczury, zastawiając na nie pułapki zgodnie z instrukcjami zawartymi w ilustrowanych ulotkach, a kiedy zabraknie gołębi, szczurów i domowych pupili, będą zjadani zmarli wedle systematycznego, uporządkowanego i w pełni udokumentowanego planu, w myśl projektu, który z pewnością już spoczywa w archiwach dotyczących sytuacji awaryjnych w jednym z pilnie strzeżonych ministerstw. Żywi będą modlić się o śmierć z chwilą, gdy miasto upadnie.

– Czyli wszystko będzie dobrze? – upewnił się Thomas.

– Tak, dzieci, wszystko będzie dobrze. – Mary uśmiechnęła się do swoich uczniów.

Tymczasem ledwie dzień wcześniej, gdy po południu wybrała się z Hildą na lody do Hyde Parku, obie zastanawiały się, co by zrobiły, gdyby wróg zajął stolicę. Problem z nauczaniem polegał na tym, że wszyscy doskonale wiedzieli, co robią żołnierze, gdy plądrują krnąbrne miasto. Dokładnie opisali to Wergiliusz i Gibbon.

– Myślę, że będą nas łupić, póki im się nie znudzi – rzuciła Hilda i ziewnęła.

Mary polizała lody.

– To może nie być zbyt zabawne.

– Wiem, że to egoistyczne, ale może powinniśmy od razu odebrać sobie życie?

– Twoje lody też się topią?

– Twój problem polega na tym, że za wolno je jesz.

– Bo waniliowe natychmiast odkładają się w biodrach, wszyscy to

wiedzą.

– To mi je oddaj. Chcę być gruba jak szafa. Wtedy Niemcy zgwałcą cię pierwszą.

– Myślałam, że mamy popełnić samobójstwo.

– Mogę nie dać rady – zaszępiła się Hilda.

– Jeśli chcesz, mogę cię zastrzelić z broni ojca. Z tej ładnej, z gąską na kolbie.

– Nie chcę ci robić kłopotu.

– A gdzieżby tam! Zrobię to z prawdziwą przyjemnością.

– A ty? Nie przeżyłabym, gdybyś została sama.

– Poproszę Palmera. Na pewno znajdzie sposób, żeby dyskretnie mnie rozwalić, tak, że nawet nikt nie zauważy.

– Świetnie, niech sprzątnie nas obie! Pewnie ma broń odświętną, której używa, gdy twój ojciec przebywa w domu, i drugą, którą wyciąga w dzień powszedni.

– Byłabym zawiedziona, gdyby tak nie było.

– Powiedz mu, żeby strzelił mi w serce. Pracowałam nad tą fryzurą cały ranek.

– Masz załatwione. Ale co zrobimy, jeśli naprawdę tu wejda?

Hilda przytknęła język do lodu.

– Trzeba będzie dociążyć się kamieniami i wejść do rzeki.

– Proszę bardzo! – zgodziła się Mary. – Ale nie poniżej Westminsteru.

– Boże broń! Chcemy śmierci, a nie umartwienia.

Nagle Mary uświadomiła sobie, że wszyscy uczniowie na nią patrzą. Klasnęła i uśmiechnęła się.

– Chodźcie! Puścimy inną płytę!

Thomas zaczął od charlestona w wykonaniu Piccadilly Players. Płyta była własnością Toma. To jedna z pierwszych, które jej puścił. Zachary zasiadł przy pianinie i zaczął podgrywać. Najpierw ustalił tonację, po czym zaserwował im serię figlarnych dźwięków. Póki coś nie było do końca proste do nauczenia, radził sobie świetnie. Szukając jakiegoś klucza, którym go otworzy, Mary przejrzała szkolne raporty z trzech poprzednich lat, już po tym, jak przyjechał

z Ameryki do Anglii. W każdym z nich nauczyciele ocenili: „Musi bardziej się przyłożyć”.

– Proszę pani? Wszystko w porządku? – zagadnął ją znad klawiatury pianina.

– Przepraszam za to, co cię spotkało.

– To nie pani wina.

– Ale nasza.

Wzruszenie ramion, kilka akordów. A potem:

– Ma pani ochotę zatańczyć? – Zachary uśmiechnął się, przebijając palcami po klawiszach.

Roześmiała się.

– Daj spokój!

Wyciągnął lewą rękę, nie przestając grać prawą.

– To jak?

Akurat leciała piosenka „Pogodne niebo”.

– Nie mogę.

– Dlaczego?

– Raczej nie powinnam.

– W porządku. – Zachary uśmiechnął się pod nosem i przeniósł wzrok na klawiaturę.

Mary miała rozdarte serce, ale przecież postąpiła rozsądnie. Nie powinna tańczyć z dzieckiem – z żadnym, a zwłaszcza z kolorowym. Do wieczora dowiedzą się o tym wszyscy rodzice i nieprzyjemnościom nie będzie końca.

To rozdarcie jeszcze się pogłębiło, gdy patrzyła, jak Zachary gra. No i co z tego?, pomyślała. Najwyżej dostanie list żądający wyjaśnień lub oficjalną naganę. Może w takich czasach jak te należy przeciwstawiać własne występki występkom wroga. Gdyby wziąć pod uwagę, że Niemcy najpierw zaatakują w powietrzu, zanim wyślą tu czołgi wspierane przez piechotę, po czym rozpoczną masowe prześladowania stawiającej opór ludności cywilnej, taniec zdawał się czymś całkiem niewinnym.

– Namysliłam się – powiedziała Mary. – Chętnie z tobą zatańczę.

Chwyciła go za ręce. Płyta obracała się na talerzu gramofonu.

W punkcie oznaczonym na mapie zgodnie z pierwszym rozkazem, jaki odebrała, na tym parkiecie, który szorowała własnymi rękami, w niewielkiej przestrzeni między pierwszym rzędem ławek a tablicą, Mary tańczyła charlestona z Zacharym i miała wrażenie, że obojgu nieźle to wychodzi.

Sierpień 1940

– Dostałem list od Alistaira – powiedział Tom. – Znów gdzieś ich wysyłają, ale wcześniej przyjedzie na przepustkę.

Mary podparła się na poduszce i zapaliła papierosa.

– To twój przyjaciel, powinieneś go tu zaprosić.

– Próbowałem. A może my pojedziemy do niego?

– Na wieś? Wozy z sianem i bigoci? Niezbyt kuszące.

– Tam wcale tak nie jest.

– Jeśli nie jesteś kolorowy albo w inny sposób naznaczony.

– Nas to nie dotyczy.

– Czyli, rzecz jasna, miejscowi będą nam czapkować, potulne owieczki.

– Przypominaj mi, żebym ci nie podpadał.

– Widzisz? – powiedziała Mary, strzepując popiół. – Jesteś bystrzejszy, niż wyglądasz.

– Tęsknię za Alistairem. Boję się, że szwankuje mu głowa.

– Nerwica frontowa?

– Jezu, nie aż tak! W listach niby wszystko się zgadza. Ale to tylko listy, a nie... poezja.

– Wiersze to nic złego.

– Rozumiem, że może czuć się dziwnie, kiedy wraca z frontu do Londynu.

Mary zmarszczyła brwi.

– Czy ten Alistair jest przystojny?

– Czy ja wiem...

– Wysoki?

– Dosyć. Ponad metr osiemdziesiąt.

– Świetnie. Oczy?

– Jakoś nigdy się nie przyglądałem.

– Ogarnia mnie rozpacz. Jest kapitanem, tak? Ma własne zęby, brak widocznych insygniów nazistowskich?

– Tak we wszystkich trzech punktach.

– Czyli nada się dla mojej przyjaciółki Hildy. Zaproś go na podwójną randkę. Powiedz, że Hilda jest ładna, dosyć zamożna i bezpruderyjna. Jeśli to nie wywabi go ze wsi, to pewnie lepiej, żeby tam został.

– Na pewno nie chcesz tam ze mną pojechać?

Mary zgasiła papierosa.

– Prędeż zamarznie piekło.

– Nie możesz potępiać całej Anglii za to, co spotkało tego chłopca.

– Będę robić, co mi się podoba. Po co mi dobre pochodzenie, skoro nie mogłabym potępiać wedle własnego uznania?

– Za bardzo rozwodzisz się nad tym Zacharym.

– Nie bardziej niż nad każdym z moich uczniów.

– A ta historia z ubiegłego miesiąca? Nie sądzisz, że leciutko przekroczyłaś granicę, tańcząc z tym czarnuszkim?

– Musimy do tego wracać? I nie używaj tego słowa. To prostackie.

– To czułe zdrobnienie, jak Taffy albo Jock[8]. Gdyby był Walińczykiem i nazwałbym go Taffy, nie mrugnęłabyś okiem.

– Ale to Amerykanin. Przeniósł się tu z ojcem wiele lat temu. Nazywaj go Jankesem, skoro już musisz.

– A to byłoby lepsze, bo...?

– Bo Jankes to zwyczajne słowo pisane wielką literą w przeciwieństwie do „czarnuszka”. Jeśli kiedyś będzie miał własny kraj i wyślemy do jego stolicy ambasadora, wtedy pozwolę ci go nazywać „Czarnuszkim”, ale pod warunkiem, że będziesz to wymawiał wielką literą.

Tom podniósł do góry ręce.

– Nie wiedziałem, że jest Amerykaninem.

– Jak połowa czarnoskórych muzyków. Myślałeś, że skąd się biorą?

– Sądziłem, że ściąga ich jakieś ministerstwo, żeby podnieść morale.

Mary złagodniała.

– Widzisz? Gdzieś tam wciąż jest mój Tom.

– Myślę, że jestem zazdrosny.

Pocałowała go w policzek.

– Kochanie, on ma jedenaście lat.

– Po prostu... nie tańcz z nim więcej.

Mary schowała się pod kołdrą.

– Będę tańczyć, z kim mi się podoba.

Tom się uśmiechnął.

– Ale chyba nie chcesz wzburzać fal?

– Suszymy kwiaty, przygotowujemy plakaty, używając plakatówek i kleju, lecz wzburzaniem fal się nie zajmujemy.

– Przecież wiesz, o czym mówię.

– Chyba jednak nie do końca.

– Proszę cię, czy musimy rozmawiać o pracy?

– A to jest rozmowa o pracy?

– Tak mi się zdaje.

– W takim razie wynoszę się z twojego łóżka.

Mary wstała, włożyła jego porzucony na podłodze szlafrok, usiadła przy pianinie i zagrała fałszywy akord.

Tom jęknął.

– Przepraszam.

– Nigdy nie przepraszaj za to, że zachowujesz się jak profesjonalista.

Tom milczał.

– Co? – westchnęła w końcu Mary.

– Nie rozumiesz, jakie kłopoty mogą z tego wyniknąć.

– Dla mojej nauczycielskiej kariery? Gorzej już być nie może. Płacą mi za pół etatu i połowa moich uczniów to debile, kaleki i pariasi. Jeśli mnie wyleją, powinnam uznać to za awans.

– Zależało ci na tej pracy.

– Czego ode mnie oczekujesz? Mam ci się kłaniać?

– Wiesz, że mam problem. Mnie też zależy, żeby otworzyli szkoły, jednak władze chcą kontynuować ewakuację. Mam pewne pole

manewru, ale to spacer po cienkiej linie. Rozumiesz, że sytuacja jest delikatna?

– Nie, Tom, nigdy nie przyszło mi to do głowy. Może dlatego, że ty jesteś mężczyzną pełniącym ważne obowiązki, a ja głupiutką młodą dziewczyną.

Tom chwycił się za głowę i przez chwilę milczał.

– Dobra, teraz poproszę moją Mary.

Zmierzyła mu włosy.

– Najpierw przeproś pannę North.

Tom pocałował ją w rękę.

– Przepraszam, szczerze. Ale walka o tę szkołę jest cięższa, niż myślisz. Da się ją utrzymać jedynie pod warunkiem... że nikt nie będzie zwracał na nią uwagi.

– Bądź sprawiedliwy. Prowadzę szkołę, a nie tancbudę. Dzieci cały tydzień pilnie się uczyły, a to było tylko pół godzinki w piątkowe popołudnie.

– Piątkowe, sobotnie, w dzień Sądu Ostatecznego, wszystko jedno. Tańczyłaś z czar... z ciemnoskórym chłopcem i ludzie będą gadać.

Mary uwolniła rękę.

– Nie sądzisz, że powinni słuchać czegoś innego? Niemcy są bardzo głośni i dosadni.

– Ale wiesz, ilu tu plotkarzy. Wygodnie jest oprzeć się na starych uprzedzeniach, gdy reszta to jedna wielka niewiadoma.

– Rozmawiamy o cudzych uprzedzeniach czy o twoich?

– Słucham?

– Nikt inny się nie skarżył. Mogłam oczekiwać uwag od któregoś z rodziców albo od jakiegoś intryganta, lecz nie od ciebie.

– Mary...!

– Żadna Mary.

– Przykro mi, ale świata nie zmienimy. Jestem tylko administratorem, a ty tylko nauczycielką.

– Nie chcę tak uczyć. Patrz, co robimy: ratujemy zwierzaki z zoo i miłe dzieci, a te nieszczęśliwe i czarne potępiamy. Wiesz, co robię codziennie w tej klasie? Wszystko, co w mojej mocy, żeby te biedaki

nie pojęły za wcześnie tego, co oczywiste!

Trzeba było widzieć to jego cierpkie spojrzenie! Mary zapaliła papierosa. Była zła nie tylko na niego. Nawet kiedy tak marudziła, narastało w niej ponure przeczucie, że być może życie będzie właśnie tym – nie mozolną wspinaczką ku chwale, jak to sobie wyobrażała, lecz zmaganiem się z narastającymi problemami i trudnościami – i że nie będzie to jednorazowy ciężar, który niczym Atlas można przyjąć na swoje barki, ale seria przyziemnych, codziennych kłopotów, które mają to do siebie, że strącają człowieka w przeciętność. Może życie przemienia tego, kto się stara, w osobę, której zasługi przypisuje się innym.

– Na twoim miejscu skupiłbym się na czytaniu, pisaniu i arytmetyce – powiedział Tom.

– Po co uczyć dziecko liczyć, jeśli go nie przekonasz, że ono też się liczy?

Tom uniósł ręce do góry.

– Wybacz, ale chyba cię nie rozumiem.

Mary wypuściła dym z ust.

– Możliwe.

Wrzesień 1940

Pułk Alistaira przyjechał z koszar w Hampshire zatłoczonym pociągiem odchodzącym o ósmej na dworzec Waterloo. Z pociągu buchnęła para. Wysypało się z niego na londyńskie ulice sześćdziesięciu oficerów i trzystu szeregowych. Dostali dwudziestoczworgodzinną przepustkę i rozkaz, by odpocząć i zebrać siły, ale raczej nie byli skłonni go wykonać.

Alistair stanął na peronie w nowym mundurze kapitana Artylerii Królewskiej, żeby życzyć swoim ludziom powodzenia. Przypuszczał, że ich wola zostanie wzmocniona, matki utwierdzone w przekonaniu, że ich synowie są nieśmiertelni, a ojcowie obdarowani listami, które mieli otworzyć na wypadek, gdyby nie okazało się to prawdą. Zarumienione siostry zostaną przedstawione kolegom oficerom, a młodsi bracia dostaną cukierki i drewniane karabiny zabawki. Zakochani się zaręczą, a zaręczeni pobiorą. Spłodzone zostanie ludzkie życie o wpół do trzeciej po południu w różnych niestandardowych miejscach przez spragnione ciała rozochocone winem i nie do końca rozebrane. Cenne łyżki z hotelu Savoy trafią do kieszeni mundurów, do gry w krykieta posłużą przedmioty, które zwykle do niej nie służą. Alistair aż bał się o tym myśleć.

Dwóch kolegów oficerów zaprosiło go na śniadanie, ale odmówił. Naprędce sklecił wymówkę – jakąś ciotkę czy tętniaka – o której zapomniał, jak tylko ją wypowiedział, lecz która tamtym wydała się wystarczającym usprawiedliwieniem. W każdym razie odeszli, nie żywiąc urazy. Alistair nabrał takiej wprawy w trzymaniu się na uboczu, że przychodziło mu to bez świadomego wysiłku. W ogóle wykręciłby się od tej przepustki, gdyby nie nalegania Toma.

Patrzył, jak rozchodzą się członkowie jego baterii. Grupki paru

lub parunastu żołnierzy odrywały się od pozostałych ze śmiechem, który w każdym przypadku brzmiał inaczej. Alistair dobrze ich znał, lecz nie miał pojęcia, w jaki sposób tworzą podgrupy, które będą później razem pić. Dowodził nimi pod obstrzałem, nie rozróżniając, tak jak kule i pociski, które na nich spadały. Według jakiej nieznanej zasady dzielili się teraz na kręgi przyjaciół, które przenikały oficjalne składy pododdziałów?

Oczywiście ludzie to nie było, a jednak Alistair nie rozumiał, dlaczego lojalność wobec tej czy tamtej grupy jest tak silna, z kolei inną traktuje się wyłącznie z pogardą. Ale właśnie tacy byli. Zawsze była w nich ta wsteczna fala, sztuczka niczym w dziełach Eschera, którą stosowali, tylko pozornie nie przeciwstawiając się rozkazom. Armia uczyniła z nich ptasi klucz, a oni sami tworzyli ławice ryb płynących w odwrotnym kierunku.

Jego ludzie ruszyli do pubów w uliczkach wokół dworca, gdzie po cichu łamano przepisy dotyczące godzin sprzedaży trunków. Żołnierze będą żłopać piwo do zmierzchu, a potem przerzucą się na whisky i bójki. Będą naparziali się z marynarzami, jeśli się na nich natkną, lub z członkami innych pułków, jeśli nie, a z pilotami RAF-u dopiero w ostateczności, bo gnębienie nieszczęśników uznawali za oznakę braku klasy. Będą się bili dla samej radości płynącej z bijatyki bez udziału 7,2-calowych haubic. O świcie wrócą i zasalutują mu, wołając „sir” i zachowując regulaminowy kąt rozwarcia butów.

Alistair wytrzepał popiół z fajki, stukając nią o podeszwę. Jeśli w ogóle zawdzięczał coś tej wojnie, to zmianę opinii o ludziach, którzy nigdy nie byli w Tate Gallery. Człowiek i dobry obraz mają dar wymykania się z ram.

Alistair pojechał taksówką do Belgravii, gdzie umówił się na wizytę u pułkowego lekarza. Kurs kosztował dwa szylingi i pół pensa. Dał taksówkarzowi pół korony i powiedział mu, żeby zatrzymał resztę. Mężczyzna wylewnie podziękował, więc Alistair dorzucił mu jeszcze szylinga. To może być ostatni pogodny ranek, ostatni kurs tej londyńskiej taksówki, ostatni zwyczajny szyling

z lwem i koroną, pomyślał. Uświadomił sobie, że ten, kto nie brał udziału w walce, nie zna wartości różnych rzeczy.

W gabinecie trafił do poczekalni z różową wykładziną, sześcioma drewnianymi krzesłami i dużą, oprawioną w ramę podobizną króla. Patrząc na niego, poczuł, jakby był jego starym kumplem. Król siedział samotny i sztywno wyprostowany w ceremonialnym stroju z medalami na wstążkach, które na oko musiały ważyć jakieś dziesięć funtów. Jedną z powleczonych rękawiczkami dłoni oparł na rękojeści zdobnego miecza. Wyraz twarzy świadczył o tym, że nie zawaha się go użyć wobec siebie lub innych, jeśli malarz każe mu zachować tę pozę choćby jeszcze przez minutę. Siedząc, Alistair nerwowo poruszał kolanami.

Oto, czego nie pojmował, póki nie wybuchła wojna – że wszyscy mężczyźni są tacy sami, od króla po chłopca, tkwiący w okowach sztywnego formalizmu, i że wszyscy po cichu od niego uciekają. Szeregowi poprzez walkę i tanie kobiety, a oficerowie poprzez teatr i te droższe. W głębi duszy każdy miał się za wolnego niczym król, ale tylko król wiedział, że jest niewolnikiem. Alistair poczuł przypływ euforii. To był doskonały żart, lecz aż do wybuchu wojny go nie rozumiał.

Takie myśli nawiedzały go bez przerwy, wywołując wielkie ożywienie po przeżytej dzień wcześniej koszarnej depresji. Wyśmiał sam siebie. Nie było powodu do niepokoju. Niby dlaczego mamy codziennie czuć się tak samo w świecie, który z każdą godziną ulega przemianom? Przyznał w duchu, że cieszy go ta konstatacja. Ucieszyło go, że... Nie, to poczucie już odeszło. Myśli goniły jedna drugą, ale nieważne. Ucieszyło go, że... Po prostu, się ucieszył.

Lekarz wezwał go po dziesięciu minutach. Był postawnym mężczyzną z bokobrodami w białej bawełnianej marynarce ze złotymi obszyciami. W oczach Alistaira jawił się jako ktoś pomiędzy dobrotliwym chirurgiem a kierownikiem restauracji na statku wycieczkowym. Kiedy Alistair wszedł do gabinetu, nie wstał ani na niego nie spojrział.

- Heath?
- Tak, panie doktorze.
- Proszę spocząć. Mam nadzieję, że nic nie dolega?
- Nic.
- Żadnych bólów, żadnej nieplanowanej utraty kończyn?
- Szczęśliwie nie przepadam za owocami morza.
- Mądrze – ocenił lekarz, zanurzając gumową pieczętkę w atramencie.

Jego ręka zawisała nad książeczką zdrowia Alistaira i wtedy pierwszy raz na niego spojrział.

- A jak tam morale?
- Moje czy żołnierzy?
- A to nie to samo?
- Morale w porządku.
- Francja, tak? I ewakuacja z Dunkierki?
- Okropna dziura. Ani jednej budki z rybą i frytkami.
- Huśtawka nastrojów, drażliwość, lęki?
- Nie.
- Nerwica frontowa, galaretowatość kręgosłupa, symulowanie jąkania?
- Skąd.

Lekarz przybił pieczętkę i popchnął książeczkę w stronę Alistaira.

– Doskonale. Proszę pokazać to dowódcy po powrocie do koszar. Pewnie niedługo gdzieś pana wyślą?

- Na to wygląda.
 - Powodzenia. Jeśli do Kairu, proszę brać chininę, sól, jeśli na pustynię, a jeśli to jakaś miejscowa dziewczyna, proszę się zabezpieczyć. Unikać dżinu bez porządnego toniku, palić nie więcej niż paczkę papierosów dziennie, a wszelkie metalowe przedmioty lepiej niech nie wbijają się pod skórę. Odmaszerować.
 - Dziękuję – rzucił Alistair, wstając.
 - Nie ma za co.
- Alistair zatrzymał się w progu.
- Jedna rzecz.

– Tak? – Lekarz gmerał już w papierach na blacie biurka w oczekiwaniu na następnego pacjenta.

– Paru chłopców, z którymi się zaprzyjaźniłem... nie wróciło z Francji. Po tym wszystkim... raczej trzymam się na uboczu.

– I słusznie – skwitował lekarz. – Powolutku, póki nie wróci optymizm.

Alistair wciąż stał, niezdecydowany, i zastanawiał się, czy nie mógł wyrazić się jaśniej. Szeregowi zwykli nazywać wojnę ścierwem i natrzasać się z tego, jak szarga im nerwy. Nie mógł się jednak z nimi spoufalać, a w towarzystwie innych oficerów zdarzało mu się przekraczać granicę. Wychodził ze swojego dziwnego stanu, który przypominał trans, i słyszał własne słowa, na przykład: „Później już go nie spotkałem”, a inni musieli zmagać się z tym, by skierować rozmowę na lżejsze tory. Byli z natury pogodni i cierpliwi i Alistair czuł się okropnie, gdy jego towarzystwo zaczynało im ciążyć. Dlatego starał się ich unikać.

Tylko zawracał głowę temu lekarzowi. Przecież to nie była medyczna przypadłość. Z odrobiną samotności da się żyć. Są tacy, którzy żyją bez jąder i amputowanych kończyn. Są tacy, którzy mieszkają z teściowymi, na litość boską! Alistair się roześmiał. Dużo lepsza reakcja.

Lekarz zerknął na niego i westchnął.

– Stary, jest wojna. Nie ma na to pigułki. Znajdź sobie jakąś miłą dziewczynę i zapomnij.

– Dzięki – odpowiedział Alistair i wyszedł na ulicę zadowolony z tego, co zalecił mu lekarz.

Powinien zwracać większą uwagę na kwestię uwodzenia. Nawet podczas wojny prędzej trafi cię jakaś kobieta niż kula.

Wybiło południe, a to oznaczało, że już jest spóźniony na lunch z Tomem. Ruszył w stronę Hyde Parku. Poczł, że się śpieszy, i był to dobry znak. Miał nadzieję, że wyda się Tomowi taki, jak dawniej – że zwyczajnie rozpoczną w miejscu, w którym skończyli. Ekscytowało go, że wreszcie pozna Mary i jej przyjaciółkę, Hildę, którą zaprosili mu do pary.

Przekroczywszy bramę parku, zafundował sobie mentalną rozrywkę, tworząc w myślach wizerunek Mary. To urocze, że Tom ma dziewczynę. Pewnie jest osobą wyważoną za nich oboje i mocno stąpającą po ziemi. Ale to raczej nie intelektualistka. Alistair nie wyobrażał sobie, by ktoś w tym typie zainteresował się Tomem. Oczywiście jego przyjaciel był dobrą partią, lecz raczej dla jakiejś miłej dziewczyny, która sama czasami czuje się niedoceniona.

Nie. Mary to osoba praktyczna, która znalazła w sobie dość motywacji, by stoczyć wymagającą zapewne wiele cierpliwości walkę ze skłonnością Toma do myślowych zawiłości. Pewnie ma ładny uśmiech, choć przecież nie może być tak ładna, jak odmalowuje ją w listach jego zaślepiiony przyjaciel. Ma okrągłą twarz, okrągłe okulary, raczej solidne nogi oraz zamiłowanie do welen i szczerości. To świetna dziewczyna, kumpel, miła towarzyszka, córka nauczycielki i faceta, który pracuje codziennie pół godziny dłużej, niż ma to zapisane w umowie o pracę. Okaze się tak biedna jak Tom i zjedzą we czwórkę porządny lunch w skromnej restauracji, którą Tom zaproponował w liście. „Bezpretensjonalnej”, jak to ujął.

Później każde ruszy w swoją stronę – Tom i Mary pewnie wezmą kiedyś ślub, Hilda skupi się na własnej przyszłości, a Alistair uda się na spotkanie ze zmasowanymi siłami Wehrmachtu.

Gdy Alistair rozmyślał o czekającej go dyslokacji, wszystko co londyńskie zaczęło ekscytować go jak nigdy przedtem. Wytworne gazony w parkach, stonowane kamienne fasady wyrastające zza szpalerów dębów, odprasowane w kant spodnie policjantów kierujących ruchem na Hyde Park Corner w nieskazitelnie białych opaskach na ramionach. Wszystkie te ponadczasowe drobiazgi dostrzegał wyraźniej, bo miał niewiele czasu. Za dwadzieścia cztery godziny wsiądzie do pociągu i odjedzie.

W koszarach będzie nadzorował pakowanie pułkowego sprzętu. Każdy przedmiot zostanie opisany, umieszczony w pudle i zarchiwizowany przez kwatermistrza – od największej części działa po spinkę galowej koszuli. Później trafią na okręty – Zatoka

Biskajska, Gibraltar, rzucanie krążkami do celu dla oficerów i gimnastyka dla szeregowych. A potem znów od początku – wojna z jej wstrząsami, która wybija człowiekowi Londyn z głowy i pozbawia go, tak jak pozbawiła Alistaira, odporności na jego piękno.

Dotarło do niego, że stoi nieruchomo ze łzami w oczach pośrodku Hyde Parku. Tytoń w fajce zgasł. Alistair stał pod drzewem. Najwyraźniej się pod nim schronił. Oblewał go zimny pot. Dobry Boże! Nieświadomie, podążając za głosem intuicji, którego nauczył się słuchać we Francji, znalazł dla siebie bezpieczną przystań. Jego myśli gnały, lecz ciało – pozbawione pilota – trafiło do kryjówki, gdy wokół rozbrzmiewały melodyjki furgonetek z lodami. Gołębie gruchały w parach, wiewiórki wykonywały swój taniec, zbierając okruchy kanapek i orzechy. Tafla stawu drgała, gdy pary w akcie pozbawionej steru miłości chłodziły w wodzie nieporadnie porzucone wiosła. Alistair zebrał się w sobie i ruszył dalej.

Do parku wyległy tłumy. Mężczyźni w mundurach kiwali do niego głowami z nonszalancką poufałością. Obok przemykały ślicznotki w sukienkach, rzucając mu gorące spojrzenia spod rond kapeluszy. Jakaś piękność w mundurze żeńskiej służby pomocniczej WAAF uśmiechnęła się do niego tak miło, że aż odpowiedział jej uśmiechem. Gdy już szukał w myślach pretekstu, żeby się jej przedstawić, zdało mu się, że na jej skórze pojawiają się dziwne bąble i ślady oparzeń, a ręka – którą sięgnęła, by poprawić włosy – przemieniła się na chwilę w masę połamanych kości wyzierających z białych bawełnianych rękawiczek.

– Przepraszam – wybełkotał i pośpieszył dalej.

– Przepraszam – powtórzył, choć była już zbyt daleko, by go usłyszeć.

Nawracało to od czasu do czasu, coś jakby irytujący tik albo popularny dżingiel, który wciąż odzywa się w głowie. Ileż by dał, żeby ta jatka nigdy nie wdarła się do jego głowy! Był jednak pewien, że i z tego jakoś się otrząśnie. W końcu psychika też mogła złapać oddech. To jak z wchodzeniem po schodach – odpoczywasz na

podeście, by znów wspiąć się po schodach. Tymczasem można się było jedynie pocieszać – tak jak czynił to Alistair – podwijając mankiety koszuli i pogwizdując melodię *Sleepy Lagoon*. Wciąż jednak zlewał go zimny pot. Uczucie to towarzyszyło mu jeszcze przez parę minut i nie zniknęło do końca nawet podczas lunchu.

Tom zarezerwował stolik w tłocznej restauracji mieszczącej się przy Lancaster Gate, gdzie kelnerzy z humorem odkorkowywali butelki i serwowali gościom danie dnia z nie większą atencją, niż na to zasługiwało. Pachniało brązowo, smakowało brązowo, kosztowało szylinga i sześć pensów wraz z deserem i nie trzeba było oddawać kartek.

Tom wstał i pomachał do Alistaira od stolika pod ścianą w głębi sali. Alistair odpowiedział mu tym samym. Był tak skupiony na lawirowaniu z plecakiem między stolikami, że dopiero gdy dotarł na miejsce, zauważył towarzyszące Tomowi dziewczyny. Uśmiechnął się do nich, po czym grzecznie skinął głową przyjacielowi.

– Przepraszam, kolego, nie widziałeś tu wesołego faceta mniej więcej twojego wzrostu, tyle że z taką niby bródką?

Tom potarł brodę.

– Urosła całkiem, całkiem, nie sądzisz? Spójrz na siebie! Wyglądasz...

– Wiem! Co najmniej dwadzieścia lat młodziej. To zasługa świeżego powietrza.

Uścisnęli sobie dłonie. Alistair ponownie zerknął na dziewczyny, wieszając marynarkę na oparciu krzesła. Nie pomylił się co do Mary – była nieco szczuplejsza, niż się spodziewał, ale miała okulary, okrągłe, tak jak sobie wyobrażał. Nos jak guziczek w uśmiechniętej twarzy i ładne ciemne włosy, modnie zaczesane do tyłu, może nieco zbyt na amerykańską modłę. Wydawała się urocza i Alistair pogratulował w duchu przyjacielowi.

Jej przyjaciółka była prześliczna, rudowłosa, zielonooka, o żywym spojrzeniu z nutką figlarniej zuchwałości. Zabawiała się serwetką. To pewnie Hilda. Uśmiechnęła się do niego wesoło i lekko

zdenierwowany Alistair uświadomił sobie, że właściwie nie ma nic przeciwko temu. Już wiedział, jak to się rozegra. Po lunchu ktoś rzuci niezobowiązująco, żeby poszli do teatru. Rzecz jasna oni usiądą obok siebie. A później wszyscy ruszą na tańce.

Wytrzymała jego spojrzenie. Nie było zalotne, ale wyczuł, że jest między nimi jakaś nić porozumienia.

I nagle to dziwne uczucie w żołądku. Alistair nie potrafił wyjaśnić, dlaczego jej miły przyjazny uśmiech wywołał u niego tak bolesny przypływ melancholii. Powinien się cieszyć, ale jej pokryta piegami twarz zdawała się płonąć do kości. Nawet kiedy zamrugał i jej uroda powróciła, jego morale wciąż leżało w gruzach. Jutro wyjedzie i jak sądził – przez ten upiorny smutek, który ogarnął go na widok tej pięknej twarzy – już nigdy nie wróci. Alistair odwrócił wzrok, opanował emocje i spojrzał na Toma.

– Przedstawiam ci Mary – powiedział Tom, obejmując ramieniem kobietę, która tak oszołomiła jego przyjaciela.

Alistair dzielnie się uśmiechnął, choć jego świat zawalił się z hukiem, którego pozostali najwyraźniej nie usłyszeli.

– Miło mi – odezwała się Mary.

– Mnie również – rzucił Alistair, bo tak wypadało.

– A to jest Hilda – dodał Tom i skinął głową w stronę dziewczyny z fryzurą à la Pompadour.

– Miło poznać.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci nieproszony gość – zagadnęła Hilda, doskonale łącząc uśmiech od ucha do ucha z pełnym zatroskania wejrzeniem. Był to wyczyn, którego urok w innych okolicznościach Alistair z pewnością by docenił.

– Daj znać, kiedy się pojawi, to wtedy ci powiem.

Hilda roześmiała się i podali sobie ręce.

– Tom uprzedzał, że jesteś dowcipny.

– A wspomniał, że jestem bogaty i że słynę na cały świat jako tancerz?

– Zachowuj się! – skarcił go Tom.

Alistair stuknął obcasami i z szacunkiem mu zasalutował, co

wywołało chichot u dziewczyn.

Kelner przyniósł butelkę białego wina. Tom napełnił kieliszki.

– Tak naprawdę to szampan – wyjaśnił. – Tyle że zarekwirowali bąbelki, żeby nasze łodzie podwodne mogły wypływać na powierzchnię. Przekonasz się, że sporo się tu zmieniło, odkąd wyjechałeś, żeby zabawiać się w żołnierza.

– Od razu widać, że dziewczyny jeszcze wypiękniały – przyznał Alistair i posłał im uśmiech, dbając o to, by równo je nim obdzielić. Zatrzymał jednak wzrok na Mary i, zawstydzony, niemal się spłonął. Przyjęła to ze spokojem.

– Hilda to moja najładniejsza przyjaciółka – oświadczyła. – Chodziłyśmy razem do szkoły.

– Ja byłam tą szarą myszką – uzupełniła Hilda.

– Nie wierzę – odparł Alistair i z wdziękiem przeniósł wzrok na nią.

Kelner postawił przed nimi cztery dania dnia w taki sposób, że prawie cały sos został na talerzach.

– Jagnięcina – oznajmił z przekonaniem i zniknął.

Mary podziubała mięso widelcem.

– Cokolwiek to było, teraz już nie będzie cierpieć.

Tom uniósł kieliszek.

– Nasze zdrowie. Obyśmy byli tak silni jak ta owieczka i mieli więcej szczęścia.

– I za was – dorzucił Alistair i zatoczył kieliszkiem łuk, wskazując na Toma i Mary.

Ze zdziwieniem stwierdził, że jego ręka wykonała ten ruch bez wysiłku, jakby z własnej woli.

– Prawda, że wyglądają razem uroczo? – wtrąciła Hilda.

Uśmiechnęła się do niego, on też się uśmiechnął. Wbrew sobie doszedł do wniosku, że jednak czeka go ciężki dzień; ewentualna zażyłość między nim a tą miłą dziewczyną miała być dowodem na brak jego fascynacji osobą Mary. Ale nie było sensu się skarżyć.

– Hildo, opowiedz mi o sobie.

Przystąpiła na jego prośbę.

Po deserze dziewczyny udały się do toalety, a Alistair zapalił fajkę. Policzki Toma zaróżowiły się od wina, bo zamówili drugą butelkę. Przyjaciel Alistaira zaciągał się chciwie cravenem „A”, którego wyjął z paczki Mary.

– Niesamowita, co? – spytał.

– Jedna na milion. Na miliard.

– Myślisz? Muszę ci wyznać, że nie zawsze jest nam jak w niebie – zwierzył się Tom.

– Nie?

– W dodatku muszę tłumić w sobie ten głos, który powtarza, że ona jest dla mnie za dobra.

– Ten głos ma rację. Jeśli da ci cynk, że to koniec, natychmiast się do mnie odezwij.

– Myślisz, że powinienem ją sobie odpuścić?

– Tom, rozumiem, że masz wielki mózg, który wciąż toczy wojnę sam ze sobą, ale chyba nie będzie nietaktem zapytać, dlaczego zwyczajnie się jej nie oświadczysz i nie pozwolisz, żeby sama zdecydowała, czy jesteś jej wart?

– Cóż...

– Wierzysz w instytucję małżeństwa?

– Oczywiście.

– I zgodzisz się, że tak piękna błyskawica nie uderzy cię już drugi raz?

– Pewnie nie...

– No to czy nie powinieneś jak najszybciej wsunąć jej na palec obrączki?

– Czekam na moment, kiedy wszystko będzie się dobrze układać.

– Tom, mamy blitzkrieg. Kobięce serca trafiają do niewoli w zastraszającym tempie. Nie pozwól, żeby taka dziewczyna hasała na wolności.

Tom osunął się na krześle.

– Myślisz, że to takie oczywiste?

Alistair klepnął przyjaciela w ramię. Wino rozgrzało go i sprawiło, że się odprężył. Powrót do ich dawnych ról – światowca

i żółtodzioba – przyniósł mu ukojenie. Po winie świat wyglądał lepiej. Oko nie dostrzegało już pogruchotanych kości i nieszczęsnych porwanych żył. Wino było niczym rozgrzana żywica, która obleka żywe ciała, topiąc je w bursztynie.

– Cieszę się – powiedział Alistair i było to szczere. – Nie wiem, jak to zrobiłeś, ale mogę jedynie z pokorą podziwiać.

Tom zaciągnął się dymem. Dziewczyny wróciły do stolika. Mary pierwsza, delikatnie pachnąca mydłem, ze świeżo pociągniętymi karmazynową szminką ustami. Hilda podążyła za nią ze swoją wymyślną fryzurą, roztaczając woń perfum Vol de Nuit.

– W tej budzie wciąż nie sprawili sobie gramofonu – poskarżyła się Hilda, wystukując z paczki mentolowego papierosa.

Alistair podał jej ogień. Złączyła dłonie wokół zapalniczki, przytrzymując jego rękę. Nie było to niemiłe. Alistair przyjrzał się jej, gdy przysunęła twarz do płomienia. Była ciepłą, sympatyczną, zwykłą dziewczyną. Zostało mu na tym świecie dwadzieścia jeden godzin.

– Jaką muzykę lubisz? – spytała go, wydmuchując dym.

– Opowiedz nam o wojnie – odezwała się jednocześnie Mary. – Przepraszam – dorzuciła po chwili.

– To ja przepraszam – pokajała się Hilda.

Alistair uśmiechał się, wodząc wzrokiem od jednej do drugiej z zachowaniem pełnej neutralności.

– Ze wstydem przyznaję, że nie znam się ani na jednym, ani na drugim. Obawiam się, że uznacie mnie za nudziarza.

– Ależ skąd! – pośpiesznie zapewniła go Hilda.

– No, trochę – przytaknęła w tym samym momencie Mary i rzuciła mu spojrzenie, które Alistair odebrał jako komiczne.

Nawet jeśli miało w sobie coś uszczypliwego, wino skutecznie to rozmyło. Wziął kolejny łyk.

– Lubię big bandy – odezwał się, próbując przypomnieć sobie chociaż jeden. – Grają z werwą.

– Ja też je uwielbiam! – ożywiła się Hilda. – Bert Ambrose! Harry Roy!

– Harry Roy – przytaknął Alistair. – Facet wie, co to muzyka.

Miał nadzieję, że Harry Roy to lider big bandu, a nie pluszowa małpka albo jakiś nowy taniec. Hilda była zachwycona, a więc chyba udało mu się trafić. Miała ładne dołeczki w policzkach. Jak rozumiał, miał ją uwieść, co najwyraźniej sprowadzało się do paradowania w mundurze kapitana Artylerii Królewskiej do czasu, gdy nadarzy się okazja, by go z siebie zdjąć.

– Wiemy tyle, co przeczytamy w gazetach – pociągnęła swój wątek Mary, zapalając papierosa.

Alistair cały się spiął, gdy na nią spojrział. Miał nadzieję, że to napięcie nie ujawni się w jego oczach. Jakaż zwyczajna wydawała się Hilda u boku Mary – i jakież żalosne jego pragnienie ciepła.

Napił się jeszcze trochę wina.

– O sytuacji ogólnej wiecie pewnie więcej niż ja. Obawiam się, że nam mówią tylko to, co powinniśmy usłyszeć: „naprzód, z życiem, wiać, okopać się”.

– Wiem od Toma, że walczyłeś z Niemcami we Francji.

Alistair zatopił wzrok w kieliszku.

– Krótko.

– I jak tam było?

Na jej twarzy malowało się zatroskanie, które ledwo zdołał znieść, tyle było w nim czułości. Alistair nie zdobył się na odpowiedź.

– Kochanie... – Tom położył jej rękę na ramieniu.

– Przepraszam.

– Nie ma za co – rzucił pośpiesznie Alistair.

Zarumieniła się. Pomyślał, że może też trochę się upiła. Zachował się jak wieprz, wprowadzając wszystkich w konsternację. Zastanawiał się, co ma powiedzieć. Chciał upewnić ją swoją spokojną reakcją, że jej pytanie nie jest nie na miejscu, a jednocześnie udzielić jej szczerzej odpowiedzi.

Ale co miał powiedzieć? To nie był temat na opowieść. Niemcy zrzucili na nich gwizdzące pociski. Pod zastygłym niebem ustawili na pofałdowanej równinie szare czołgi. Ruszyły na wprost, gardząc wijącymi się od wieków drogami. Spłoszyły ludzi i zwierzęta. Ziemia

nie była odporna na tak brutalne metody.

Jak mógł o tym mówić przy lunchu? Po okrutnych samolotach i okrutnych czołgach nadciągnęli okrutni żołnierze uformowani w okrutne szyki, niewzruszenie tupiąc buciorami. Alistair tak to postrzegał – jako straszliwe, nieludzkie okrucieństwo, przed którym pierzchali zwykli żołnierze i o które rozbijali się ci niezwykli, mieleni przez gąsienice i wprasowywani w rozmokłą francuską ziemię; doskonale równe koleiny czołgów zatarły różnicę między trupami a gliną. Alistair widział zmiażdżone i rozjechane twarze kolegów. Boże! Jak mocno zacisnął dłoń na kieliszku z winem. Boże!

– Niemcy byli świetnie zorganizowani – odpowiedział. – Następnym razem, kiedy się z nimi zmierzymy, my też tacy będziemy.

– Jesteś jak mój ojciec – zauważyła Mary.

Alistair poczuł ulgę, że może zmienić temat.

– A czym on się zajmuje?

– Polityką.

Mary zgasła papierosa i spojrzała mu ironicznie w oczy; może chciała, żeby też przybrał ten ton. Nie potrafił tego ocenić.

– Jest posłem z okręgu Wensum Valley – wyjaśnił Tom.

– W takim razie z pewnością wiesz o tej wojnie więcej niż ja.

Mary przyjrzała się swoim paznokciom.

– Obawiam się, że nam, dziewczynom, mówią tylko to, co powinniśmy usłyszeć: naprzód, z życiem, wiać, okopać się.

Alistair wybuchnął śmiechem. Odpowiedziała mu rozbawionym, figlarnym spojrzeniem. Jakże zręcznie sterowała rozmową.

Hilda, lekko zdezorientowana jej przebiegiem, potrząsnęła trzecią butelką wina, którą zamówili, i oznajmiła, że jest pusta, po czym nieco chwiejnie wstała, zrzucając przy tym sztucę na podłogę.

– Chodźcie, spadamy z tej budy. Pójdźmy gdzieś, gdzie gra muzyka.

Alistair wziął rachunek na siebie. To prawda, co mówią – przecież tam nie zabierzesz pieniędzy.

I tak znaleźli się na dworze w upalne, bezchmurne sobotnie

popołudnie w Hyde Parku. Mary i Tom szli przodem, pod rękę, a Alistair z Hildą za nimi. Hilda zsunęła rozpinany sweter z ramion i z na wpeł przymkniętymi oczami uśmiechnęła się do słońca.

– Czyż tu nie jest cudownie? – powiedziała, biorąc go pod rękę. – Tam było tak duszno.

– Tak. Cudownie.

– Ty też uwielbiasz, gdy nad Londynem świeci słońce?

– Wszystkie pytania będą takie łatwe?

Roześmiała się i oparła mu głowę na ramieniu. Miło było tak z nią iść u boku. Na dworze ostra woń jej perfum stała się łagodniejsza. Teraz ten zapach stał się ciepły i przyjemny. Tymczasem Mary w letniej sukience i białym słomkowym kapeluszu odrzuciła głowę w tył, śmiejąc się z jakiegoś dowcipu Toma. Udręka Alistaira była nie do zniesienia.

Kupili lody z budki i zjedli je po drodze. Mary beztriosko sunęła na swoich długich nogach rozkołysanym krokiem osoby, która czuje się całkowicie swobodnie.

Hilda spytała:

– Czy czasami od razu wiesz, że ktoś ci się podoba?

– Znowu łatwe pytanie – odparł Alistair.

– A ty znowu to zauważyłeś, więc jesteśmy kwita.

– Miło kontrolować wynik.

Szturchnęła go w zebro.

– Widzisz? Wreszcie to załapałeś.

Przeciwnicza zapora z balonów falowała na tle pogodnego nieba, na którym zawisło ledwie parę przypominających watę obłoczków. Hilda radośnie świergotała. Alistair domyślił się, że dokądkolwiek skierują teraz swe kroki, pewnie będzie tam wino.

Zastanawiali się, gdzie by tu pójść. Na tańce było jeszcze za wcześnie, a na to, by kontynuować spacer, za gorąco. Najlepszy byłby jakiś spektakl, ale wybiła czwarta i żaden nie zaczynał się o tej porze. Krążyli od teatru do teatru, aż w końcu Mary zaproponowała, żeby poszli do Lyceum. Od dawna występowała tam trupa muzyczna, której członkiem był ojciec jednego z jej uczniów,

Zachary'ego.

Plakaty pokazywały ich jako mężczyzn o czarnych twarzach ubranych we fraki i meloniki, paradyjących przed fasadą teatru z laseczkami i w białych getrach. Biały gruby wykidajło z poczernioną twarzą zachęcał do obejrzenia przedstawienia:

– Zapraszam szanownych państwa! W życiu nie widzieliście takiego pokazu i nie słyszeliście tak pięknej muzyki!

– Koniecznie? – Skrzywił się Tom. – Na czarnych z laskami?

– To tylko taka konwencja, z przymrużeniem oka – zachęcała Mary.

Tom spojrzał na Alistaira.

– Jak ty chcesz. W końcu to twoja przepustka.

Do wciąż rozkojarzonego Alistaira dotarło, że czekają na jego decyzję. Widząc, że się wahają, grubas wykonał zachęcający gest, który sugerował, że byłoby z ich strony nietaktem, gdyby nie podążyli za nim do kasy. Jego charakterystyka była mało przekonująca. Między czarną farbą a kołnierzykiem czerwienił się pasek spalonej słońcem skóry.

– Zapomnicie na godzinkę o wszelkich troskach – kusił. – Dzięki magicznemu działaniu muzyki przeniesiemy was w atmosferę sielskiej plantacji, gdzie stary dobry humor czarnych niewolników kołł ducha i rozpalał serca.

– Musi pan to mówić takim dziwnym głosem? – zirytowała się Mary.

– Wejdźmy – wtrąciła Hilda. – To pewnie coś jak te słuchowiska w radiu.

– Dużo lepsze – zapewnił wykidajło. – Trupa z BBC nie dorasta nam do pięt. Usłyszycie tu ballady zbyt rubaszne, by je puszczać w publicznej stacji, i melodie zbyt melodyjne, by przeniosły je fale radiowe, no i, rzecz jasna, do tego wszystkiego... – Tu zwrócił się do panów, zarzucając nieudolny akcent – pierwszy drink gratis, a mamy szeroki asortyment piw, win i mocniejszych trunków, które, w obecnych okolicznościach, nie są powszechnie dostępne.

– Dobra, co mi tam! – zdecydował Alistair.

– Hura! – przyklasnęła mu Hilda.

Tom obrzucił ich ironicznym spojrzeniem.

– Tom, musisz psuć nam zabawę? – zainteresowała Mary.

Powiedziała to dość ostro, co wywołało lekkie zdziwienie na twarzy Alistaira. Jego zdaniem Tom niczego im nie psuł, ale pewnie Alistair zatracił zdolność dostrzegania niuansów, które nie psuły zabawy aż tak, jak odłamek szrapnela. Może jeszcze jeden drink coś tu zaradzi.

Widownię teatru zapełniały stoliki. Usiedli pod sceną. Poczuli się całkiem miło na wprost czerwonej aksamitnej kurtyny i złożonych kolumn proscenium, odbijających jej ciepłą poświatę. Przy kilkunastu innych stolikach rozbrzmiewały głośne śmiechy, a z galerii na piętrze dobiegał szum rozmów.

Wino podano w chwili, gdy już zaczęli się niecierpliwić. Później zamówili jeszcze jedną butelkę i relaksowali się w delikatnym różowym świetle stojącej na stoliku lampki. Alistair domyślił się, że krzesła jego i Hildy mają nieco się do siebie przysuwać z każdym wypitym przez nich kieliszkiem, tak jak czyniły to krzesła Toma i Mary po drugiej stronie stołu. W pewnym bliżej nieokreślonym momencie wyszło na to, że stanowią parę. Wkrótce dłoń Hildy spoczęła na jego kolanie, a on objął ręką jej kibić. Było coś uroczonego i czulego w tym, jak starannie się ignorowali, podczas gdy ich ciała zbliżały się do siebie jakby samoczynnie.

Tymczasem śmiali się z dowcipu, który opowiedziała Mary, i z udawanym zainteresowaniem wysłuchali przydługiej anegdoty, którą biedny Tom pozbawił puenty, aż w końcu, gdy przygasły światła i wszystkie spojrzenia zwróciły się na scenę, ciało Hildy już całkiem wtuliło się w Alistaira. Ten był tym podekscytowany, a jednocześnie przerażony. Czuł przez mundur jej gwałtownie bijące serce. Jego trzepot go przygnębił; serce, taka mała pompka, życie, taki bezustanny pływ.

Publiczność ucichła i kurtyna poszła w górę. W głębi rozbłysnął czerwony promyczek, który rozrósł się we fragment koła, później w półkole, a na koniec w wiszące nad sceną koło. Był słońcem,

które, wznosząc się, zmieniło barwę z czerwonej na pomarańczową, a wreszcie białą. Rozbłysły też sceniczne reflektory i rozświetliły tło – znajomą panoramę Londynu widzianego ze wzgórza z lśniącymi iglicami świątyń i zaporami z balonów.

Widać tam było średniowieczne mury Tower, katedrę św. Pawła przedrzeźniającą Rzym i kościół St Martin-in-the-Fields, surową świątynię w stylu antycznej Grecji, ostentacyjnie nabitą na pal georgiańskiej dzwonnicy. Alistair z rozkoszą przyglądał się temu widokowi rozciągającemu się w ciepłej scenicznej poświacie. Stary dobry Londyn – twórca historii, karmiący gołębie włóczęga mający na sobie wszystkie swoje łachmany.

Gdy nad tym wizerunkiem miasta wstawało słońce, zza kulis wyłonił się chór ciemnoskórych minstrelów, po kilkunastu z każdej strony. Stanęli półkolem, zwróceniem ku publiczności. Z początku cicho, a potem coraz głośniejsze zaczęli śpiewać:

Błogosław ten dom, modlimy się, Panie,
Chroń go za dnia i nocą.

Czy to za sprawą wina, widoku miasta, za którym tęsknił, czy też faktu, że zostało mu już tylko siedemnaście godzin, Alistair odczuł wzruszenie, słysząc te głosy.

Błogosław te mocne grube mury,
Chroniące przed chciwością i złem.

Gdy już odśpiewali tę pieśń, na scenę wkroczył Murzyn we fraku i meloniku ucharakteryzowany na białego i przedstawił się jako Pan Konferansjer.

– To on – szepnęła Mary. – Ojciec Zachary’ego.

Pochylił się nad mikrofonem.

– W tych czasach zagrożeń i lęku, gdy nęka nas wróg i przygniatają troski, dobrze wspominać dawne czasy, kiedy życie, choć ciężkie, było swojskie i czarni spotykali się, by po

ciężkiej pracy ulżyć sobie pieśnią i dowcipem.

Jeden z członków chóru z wielkimi karmazynowymi ustami wymalowanymi na twarzy wystąpił z szeregu.

– Panie Konfreransjerze, wybac mi ignoramicję, ale nic mi nie wiadomo o żadnych dowcipach.

Widzowie roześmieli się, a wraz z nimi Alistair. Był to zaskakujący zwrot akcji po uroczystej pieśni.

– Bones, mogłem się domyślić, że to ty – odparł z czułością Konferansjer.

– Rzeczywiście, to ja, panie Konferlonsjerze. Nawet gdybym się starał, raczej nigdy nie obudzę się jako pan.

Publiczność zarechotała. Alistair podał Hildzie ogień. Wtuliła się w niego jeszcze mocniej.

– Powiedz mi, Bones, co ostatnio porabiałeś?

– Panie Konferlabulatorze, snulem się tu i tam po ciemku.

– Snuleś się, Bones? Po ciemku?

– Tak, przecież obowiązuje zaciemnienie.

Pojedynczy werbel i łoskot cymbałów. Widzowie zaczęli klaskać, a Konferansjer machnął laseczką niczym pałką. Chór zrobił krok do przodu i z werwą zaintonował piosenkę *Jozue dowodził bitwą o Jerycho*.

– Czyż nie są cudowni? – zachwyciła się Hilda, poruszając ustami tuż przy uchu Alistaira.

– Doskonali – przytaknął.

– Jak myślisz, ilu z nich to autentyczni Murzyni?

– Ten Bones i co najmniej połowa chóru na pewno. Co do reszty, trudno powiedzieć.

– Czyż nie są cudowni? – powtórzyła Hilda, tym razem kierując to do całej trójki.

– Świetni – zgodził się Tom.

– Raczej okropni. – Roześmiała się Mary. – Nie sądzisz?

– Przecież to taka konwencja z przymrużeniem oka. Sama to powiedziałaś.

– Wiem, kochanie. Ale te usta...! – Mary wytrzeszczyła oczy.

– Daj spokój. To zabawniejsze, niż sądziłem – przyznał Tom.

– Raczej upokarzające. Przepraszam, że was tu ciągnęłam.

Tom ziewnął.

– Nie zdziwiłbym się, gdyby zarabiali więcej niż ja.

– To może powinnam wyjść za jednego z nich? – odparła Mary, wypijając do dna resztkę wina z kieliszka.

Alistair puścił oko do Toma. Bawiło go, że zobaczył przyjaciela w opałach. Mary dostrzegła to i rzuciła mu figlarne spojrzenie; nie potrafił powiedzieć, czy konfidencjonalnie rozbawione, czy też kpiące. Dał znak kelnerowi, żeby przyniósł im jeszcze jedną butelkę białego wina. Teraz już nikt ich nie liczył.

Kiedy pieśniarze zakończyli swój występ i oklaski ucichły, Konferansjer klasnął i pojawił się kolejny obraz. Teraz byli w Berlinie przed gmachem Reichstagu z chwiejącymi się kolumnami i sztandarami z odwróconym symbolem swastyki. Na inspirowanej Rzymem budowli widniał orzeł Trzeciej Rzeszy z obwisłymi pierściami oraz pończochami i podwiązkami jak u dziwki. Gdy widzowie zaczęli drwić i buczeć, od chóru odłączył się jeden z wykonawców, który wciągnął na środek sceny mównicę. Stał tam przygotowany już wcześniej mikrofon. Oświetlał go pojedynczy reflektor.

Mężczyzna był biały. Na jego twarzy pozostawiono mały, niepomalowany prostokąt, który nasuwał skojarzenie z niesławnymi, przypominającymi włosy szczoteczki do zębów wąsami. Wdrapał się na skrzynię, zwałił się z niej, z nadgorliwością wykonując nazistowski gest, po czym – ku uciesze widowni – znów się na nią wgramolił.

Publiczność ucichła. Zza kulis dobiegły trzaski i szumy strojonego radia. Aktor pochylił się nad mikrofonem i teatralnie rozwarł ramiona.

– Tu Niam-cy! Tu Niam-cy!

Widzowie zawyli z zachwyty.

– Tylko w sierpniu niemiecka marynarka wojenna zatopiła następujące okręty flagowe brytyjskiej bandery: HMS *Pinafore*, HMS

African Queen, HSM Good Ship Lollipop [9].

– Człowieku, to jakieś bzdury! – ocenił Konferansjer.

– Nie wierzysz? To powiedz, widziałeś, by którykolwiek z nich zawinął ostatnio do portu?

– Nie... ale...

– No widzisz! Nigdy nie wątp w to, co usłyszysz w niemieckim radiu!

Pogroził widzom palcem, a ci zaczęli go przedrzeźniać i gwizdać.

– Złamaliśmy opór w następujących państwach: Raj, El Dorado, Atlantyda, choć w tym ostatnim o mało nie poszliśmy na dno.

– Lepiej już chodźmy – rzuciła Mary.

– Proszę cię, jeszcze pięć minut – zaprotestowała Hilda.

Mary z szacunkiem pochyliła głowę. Tymczasem na scenie prowadzący audycję powoli wpadał w amok.

– Wy, Brytyjczycy, jesteście bez szans! Znamy wszystkie wasze sekrety! Wiemy o waszym kraju wszystko!

– Czyżby? – zachnął się Konferansjer. – Mianowicie?

– Znamy zamiary waszego przywódcy, Winsome’a Chivalry.

– Masz na myśli Winstona Churchilla?

Publiczność zaczęła skandować na jego cześć, a prowadzący audycję mrugnął znacząco.

– Tak, tego chudzinę. Wiemy, że brakuje mu ikry. Nigdy nas nie zaatakuje.

– A jakże! – odpowiedzieli widzowie.

– Nigdy – powtórzył prowadzący.

Gdy tak się przekomarzali, chór zaczął zawodzić na niską falującą nutę, zrazu cicho, a potem coraz głośniej, aż wreszcie prowadzący, który najwyraźniej w końcu ich usłyszał, przestał pouczać tłum i przystawił rękę do ucha.

– Jezu! Alarm bombowy! Ale przecież nie tu, w Berlinie!

Kiedy zaczął truchleć ze strachu, widzowie byli w siódmym niebie. Reflektor zgasł, a chór wciąż zawodził w ciemnościach, raz głośniej, a raz ciszej. W tle rozbłysnął księżyc i powróciła panorama Londynu, tym razem nocą. Teraz chór zawodził już na najwyższej

nucie, która rozbrzmiewała donośnie w mieście okraszonym srebrzystą poświatą, a w końcu przemieniła się w patriotyczną pieśń *I Vow to Thee, My Country*. Hilda się rozpląkała, Tom wyglądał, jakby coś wpadło mu do oka, i nawet Mary zamilkła.

Kurtyna opadła, rozbłysły światła. Antrakt. Konferansjer wyszedł zza kulis i zasiadł przy fortepianie stojącym przy wejściu na widownię. Podwinął rękawy fraka, uniósł wieko, zsunął melonik na tył głowy i zaczął grać.

– Dlaczego do niego nie podejdziesz i się nie przywitasz? – spytał Tom.

– Daj spokój. Wstydzę się.

– A czego się tu spodziewałaś? – zdziwiła się Hilda.

– Na pewno nie żartów z nich samych.

Palce prawej ręki Konferansjera przemykały po klawiszach wysokich tonów, a lewej wystukiwały mocne akordy, pewnie i z idealną regularnością niczym prasa parowa wycinająca kształtki. Ojciec Zachary'ego wodził przy tym wzrokiem po stolikach, uśmiechał się, puszczał oko do widzów i bezgłośnie im dziękował. Pod grubą warstwą białej farby jego twarz emanowała spokojem. Uśmiechnął się w stronę stolika, przy którym siedziała ta czwórka, poświęcając im nie więcej czasu niż pozostałym gościom, po czym przeniósł wzrok gdzie indziej.

– Nie rozpoznał cię? – zdumiała się Hilda.

– Nie rozumiesz, że próbuje być dyskretny?

– Dla nich chyba wszyscy wyglądamy tak samo.

– Śmiało! – Tom uściśnął rękę Mary. – Przywitaj się.

Alistair dostrzegł, że Mary czuje się nieswojo.

– Przecież nie wiadomo, czy to on.

Spojrzała na niego z wdzięcznością.

– W ogóle nie jestem tego pewna.

– Ta farba może skrywać twarz królowej Saby – przytaknął Alistair.

Mary ochoczo skinęła głową.

– Proponuję zamówić jeszcze jedną butelkę – rzucił Alistair. – Co

na to szanowna rada?

– Wino! – zapaliła się Hilda, klaszcząc, jakby chodziło o jakiś całkiem nowy wynalazek.

Alistair przywołał gestem kelnera i butelka wina zjawiała się na stoliku, niemal zanim zdążył opuścić rękę. Napełnił kieliszki, do końca rozwiewając atmosferę skrępowania. Było rzeczą oczywistą, że dałoby się w ten sposób zakończyć całą tę wojnę. Wystarczyłoby sięgnąć po korkociąg za każdym razem, gdy jakaś wojskowa szycha zarządziła ostrzał.

Kiedy skończyła się przerwa, znów włączono światła na scenie. Wszedł na nią Konferansjer i odczekał, aż widzowie ucichną.

– Szanowni państwo, choć żyjemy w dramatycznych czasach, największe dramaty wciąż rozgrywają się w teatrach naszych serc. Dlatego zaprezentujemy teraz piosenkę miłosną. Lecz zanim ją dla państwa zaśpiewamy, pomyślmy o naszych ukochanych. Może macie szczęście i siedzicie teraz obok nich, a może są daleko stąd, wysłani za morza na wojnę. Może być i tak, że jeszcze ich nie znacie i tylko pielęgnujecie wyobrażenie o miłości.

Gdy wypowiadał te słowa, znów rozległy się syreny. Lecz tym razem nie był to chór. Dźwięk dobiegał spoza sceny, tak jak wcześniej trzaski i szumy radia, choć teraz zdawał się atakować ze wszystkich stron.

– Następną piosenkę, tę nastrojową, dedykujemy wszystkim tym, którzy nie mogli dziś tu z nami być, a jest to ulubiony utwór...

Wycie syren zagłuszyło dalszą część zapowiedzi Konferansjera.

– Sprytnie! – szepnęła Hilda. – Ciekawe, jak to zrobili.

Tymczasem Alistair dostrzegł wyraz twarzy Konferansjera. Intuicyjnie, tak jak we Francji, przejechał ręką po podłodze i chwycił swoją czapkę. Następnie podciągnął nogą leżący pod stolikiem plecak. Gdy go podnosił, wyczuł twardy kształt słoika z dżemem jeżynowym Toma. Zamierzał poczęstować ich nim podczas lunchu – może z waflami, gdyby mieli je w restauracji – ale teraz będzie musiał z tym zaczekać. Wojna powróciła. Kiedy wreszcie się odprężył, znów opadła kurtyna ognia.

Pocałował Hildę w czoło, powiedział, że jest cudowna, i pociągnął długi łyk chłodnego wina. Gdy w sali zapaliły się światła, zrobiło się tam brzydko. Kierownik teatru próbował coś zarządzić, ale nikt go nie słyszał. Wszyscy nerwowo szukali odpowiedzi na pytanie, co się dzieje. Po chwili ruszyli bezładnie w stronę wyjść – może nie w panice, ale bez klasy. Nie zważali, czy nie deptają komuś po nogach. Wchodzili sobie w drogę. Nikt nie wiedział, czy w teatrze jest schron, czy może powinni szukać szczęścia w tych ogólnodostępnych, na ulicach. Powstał zator i zrobiło się nerwowo.

– I co teraz? – spytała Mary Toma.

Ten spojrzał na Alistaira.

– Jak myślisz?

Alistair zdziwił się, że traktują go jak autorytet. Jego mundur raczej odstawał od tych złoconych kolumn i różowych pluszowych siedzeń. W teatrze cywile byli z pewnością wyżsi rangą od niego. Roześmiał się, ale widząc ich miny, zrozumiał, jak bardzo było to nietaktowne. Oparł się o stolik. Dopiero teraz, gdy stał, dotarło do niego, że wypił więcej, niż musiał.

Ogarnął wzrokiem pogrążony w chaosie parter i kłębiących się widzów, z których każdy usiłował podążyć w inną stronę. Nie miał żadnego pomysłu.

Wtem ozwał się z tyłu jakiś głos.

– Panno North?

Do ich stolika podszedł Konferansjer. Alistair dojrzał, jak Mary bierze się w garść i na jej twarz powraca uśmiech.

– Powinien pan popracować z Zacharym nad pisaniem – powiedziała, wyciągając rękę.

– Tak? – zainteresował się Konferansjer i uściśnął jej dłoń.

– Używa znaków interpunkcyjnych, jakby były racjonowane, a samogłosek, jakby natrafił na ich złotą żyłę.

Usłyszeli zdenerwowane głosy widzów, którzy, przepychając się, schodzili z galerii na piętrze.

– Możemy z tym poczekać do wywiadówki? – spytał Konferansjer.

– Chciałem zaprosić państwa do skorzystania z naszego schronu.

– Jeśli to nie będzie dla was kłopot – odpowiedziała Mary.

– A co, zamierzacie sprawiać nam kłopoty?

Poprowadził ich za kulisy i schodami w dół do piwnicy. Było to pomieszczenie z łukowatym sklepieniem, mierzące jakieś siedem metrów w najwyższym punkcie i co najmniej pięć przy filarach. Biegło przez całą długość teatru. Oświetlała je setka żarówek zwisających na przewodach z płóciennej plecionki.

Konferansjer przeprowadził ich wąskim przejściem między rekwizytami – zwiniętymi planszami, drewnianymi fasadami i okryciami dla dwójki aktorów udających konia – do wydzielonej przestrzeni pod ścianą, gdzie, zasiadłszy na drewnianych ławkach, utyskiwali już członkowie trupy i technicy. Ich głosy niosły się echem. Byli poirytowani – spektakl właśnie się rozkręcał, a tu kolejny fałszywy alarm.

– Rozgoście się – powiedział Konferansjer i cała czwórka usiadła.

– Koszmar – oceniła Hilda. – Prawo powinno zakazywać urządzania takich ćwiczeń w weekendy.

Konferansjer włożył dwa palce do ust i gwizdnął. Zza półki z draperiami wyłonił się Zachary.

– Przynieś miednicę – polecił mu ojciec.

Chłopiec zniknął i powrócił po chwili z ręcznikiem i miską. Ojciec postukał ręką w stojącą obok ławkę. Zachary usiadł i się uśmiechnął.

– Dzień dobry, panno North.

– Mary. „Panna North” to w szkole.

– Dobra, w takim razie nie „Zachary”.

– A jak mam do ciebie mówić?

– Może być „panie Lee”.

Mary się uśmiechnęła.

– Świetnie, panie Lee. Przedstawiam panu moich przyjaciół, pana Toma Shawa, pannę Hildę Appleby i pana Alistaira Heatha.

– Dzień dobry – powiedział Zachary, ale już z mniejszą swadą.

– Chyba tu nie mieszkacie? – spytała Hilda, trochę zbyt głośno z powodu wypitego wina.

Konferansjer zerknął na nią znad miednicy, w której zmywał farbę z twarzy.

– Wynajmujemy pokój nad warsztatem szewca, całkiem niezły, gdyby nie to walenie młotkiem. Można by rzec, że to jedyna niedogodność.

Tom uśmiechnął się dobrotliwie do Zachary’ego.

– Przychodzisz tu popatrzeć?

Zachary spuścił wzrok na swoje dłonie.

– Pomagać.

– Proszę mu wybaczyć – wtrącił się ojciec. – Jest nieśmiały przy obcych.

Tom zmierzwił mu włosy.

– Nie trzeba się krępować. My nie gryziemy.

Alistair przypatrywał się Tomowi w wąłym świetle żarówek i zastanawiał się, czy jego przyjaciel zawsze był takim dupkiem. A może tylko fakt, że wino przestało już działać, sprawił, że Tom stał się nieporadny, a on sam złośliwy. Żałował, że nie przyniósł tu butelki.

– Jak pomagasz? – dopytywała Hilda.

Zachary wzruszył ramionami.

– Różnie.

– Przychodzi tu, żeby sobie przypomnieć, kim nie będzie – wyjaśnił jego ojciec. – Zostanie adwokatem albo lekarzem.

Mary uśmiechnęła się do chłopca.

– Chciałbyś?

– Pewnie.

– Dlatego zawsze się cieszę, kiedy mi opowiada, jak dobrze mu idzie w szkole – dorzucił ojciec.

Zachary spojrzał błagalnie na Mary. Zawahała się, ale po chwili jej twarz rozjaśnił uśmiech.

– Bardzo się przykłada. Nie rozumiem jednak, co jest złego w pańskim zawodzie. Jesteście świetni.

Ojciec Zachary’ego wyjął ręcznik. Do miednicy spłynęła woda koloru mleka.

– Cóż, zarabiamy na chleb. I nikomu nie przeszkadzamy.

– Muszę o to spytać. Jak pan znajduje ten spektakl?

Rzucił jej spokojne spojrzenie.

– Jak go znajduję, panno North? Idę StranDEM i skręcam w lewo, w Wellington Street.

– Ale powiedział pan, że marzy o czymś lepszym dla Zachary'ego. To znaczy, że... pewne aspekty tego pokazu... Ma się rozumieć, że wasz występ jest znakomity... lecz nie sądzi pan, że chwilami troszkę...

– Przecież każdy marzy o lepszym życiu dla swojego dziecka.

– Ale skoro już pan w nim występuje, nie kusi pana czasami, żeby... rzucić wyzwanie stereotypom?

Ojciec Zachary'ego tylko się uśmiechnął.

– To wy zwalczacie zło. My tylko pomagamy.

– Niechże pan przestanie!

– Współczuję wam. My występujemy tylko dwa razy dziennie, za to wy gracie non stop.

Mary się roześmiała. Hilda pociągnęła nosem i złożyła usta w dziubek.

– Nie powinni już odwołać tego alarmu? Długo jeszcze będą nas tu trzymać?

– Póki nie uznają, że to już koniec – odparł Alistair. – Te ćwiczenia same się nie odwołują.

Uśmiech Hildy. Alistair też się uśmiechnął. Miło, że wszyscy się uśmiechali. Chociaż na jej twarzy pojawił się jakiś grymas. Może też już trzeźwiała po wypitym winie. To najmniej przyjemny aspekt picia, ale przecież nie można było za to winić biednej Hildy. Jeszcze dziesięć minut temu cieszyłyby się, że się do niego tuli. Kiedy ktoś zaczyna rozmyślać o szczęściu, to dlatego, że ono przemija.

– Nie chcę marudzić, lecz nie przepadam za piwnicami – oświadczył Tom. – Prawdę mówiąc, dziwnie się czuję.

– Popieram! – przytaknęła Hilda. – Nie rozumiem, dlaczego mamy tu siedzieć, bo przecież nie przez grzeczność. Lepiej chodźmy na drinka do Brown's. Moglibyśmy...

Pierwsza bomba spadła na Londyn z niewyobrażalną siłą. Wstrząs nie pozostawił złudzeń. Przeniknął do ziemi, aż podskoczyły drewniane ławy i wszyscy zaczęli krzyczeć. Potem usłyszeli odgłos, basowe dudnienie niesione echem pod piwniczne łuki.

– Jezu...! – zdumiał się Tom. – Stało się.

Zachary wtulił twarz w pierś ojca. Ten mocno go objął, dotykając brodą głowy chłopca i wytrzeszczając oczy. Trzy kolejne wybuchy, jeszcze głośniejsze.

Gwałtownie dysząc, Hilda przywarła do Alistaira.

– Boże...!

Alistair pogładził ją po ręce.

– Oddychaj głęboko. Tutaj nic nam nie grozi.

Ojciec Zachary’ego zbliżył usta do ucha syna.

– „Za dnia nie porazi cię słońce ni księżyc wśród nocy...”[10].

Mary zerwała się z ławy i poprawiła sukienkę.

– Muszę iść do szkoły.

– Jak to?! – spytał zaskoczony Tom.

Mary wzięła torebkę.

– Pójdiesz ze mną?

– Ale po co...?

– Żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Nie zamknęłam okiennic.

Tom był blady jak ściana.

– Przecież teraz nie wyjdziemy.

Mary przystanęła. Alistair wstał i przekonał ją, żeby znów usiadła.

– To tylko budynek – powiedział. – Zawsze da się je uratować.

– Rodzice! – jęknęła Hilda.

– Nic im się nie stanie – uspokoił ją. – Na pewno zeszli do schronu, tak jak my.

Usłyszeli serię gwałtownych eksplozji, dużo głośniejszych i bliższych niż poprzednie. Hilda krzyknęła, paru aktorów też.

– Spokojnie! – zawołał Alistair. – To nasi. Obrona przeciwlotnicza.

Detonacje sprawiły, że z sufitu posypały się drobinki kurzu.

Alistair zaczął wszystkich uspokajać. Namówił chórzystów, żeby zapalili papierosy. Jeden po drugim przypalali je trzęsącymi się rękami. Zawsze tak postępował ze swoimi podwładnymi, kiedy przeżyli jakiś wstrząs – palić, parzyć herbatę, pisać listy albo pastować buty, cokolwiek, co pozwoli się otrząsnąć.

Znów usiadł obok Hildy. Teraz pociski wybuchały nieco dalej. Odgłos detonacji dudnił w piwnicy, wibrując w strunach starego rozstrojonego fortepianu.

– Kto prosił o tę melodię? – spytał Alistair. – To najgorsza muzyka, jaką słyszałem.

– Filister. – Skrzywiła się Mary. – Wy, wojskowi, lubicie tylko tonację durową.

– Pewnie. Metrums cztery czwarte, żeby dało się maszerować.

– Przestańcie udawać, że was to śmieszy – obruszył się Tom.

Alistair skinął przeproszająco głową.

– Wiem, że to nie jest zabawne.

Tom zacisnął usta.

– Przepraszam. Po prostu...

– W porządku. Za pierwszym razem zareagowałem tak samo. Ale wiem, co poprawi nam humory. Pamiętasz ten twój dżem?

Alistair zaczął grzebać w plecaku, gdy nagle żarówki zamrugały i zgasły. Chórzyści wydali z siebie pomruk zaniepokojenia. Siedząca obok Alistaira Hilda zmartwiała, bliska hysterii. Tymczasem on z każdą eksplozją trzeźwiał coraz bardziej i z każdą nerwową reakcją Hildy miał coraz mniejszą ochotę, by ją uspokajać, a coraz większą, żeby na nią wrzasnąć.

Zapalił zapalniczkę, żeby mogli coś dojrzeć.

– Ma ktoś kawałek sznurka, żebym mógł ją zawiesić?

– Mam nici – odezwała się Mary.

– Mogą być.

– Wszystko jedno jaki kolor? Mam różowe, czerwone i białe.

Alistair zrozumiał, że próbuje żartować, i jego irytacja prysła. Zaczepił nić z zapalniczką na nakrętce żarówki. Jego palce działały z dawno nabytą wprawą. Chwiejny płomień raz wydłużał, raz

skracając ich cienie, jakby nie byli ludźmi z krwi i kości, a jedynie optycznym złudzeniem.

– To miłe, że udzielił nam pan schronienia – powiedziała Mary.

Ojciec Zachary’ego uśmiechnął się.

– To miłe, że przyszliście na nasz występ.

– Musicie koniecznie obejrzeć nasz. Wystawiamy świąteczną szopkę.

– Wystarczy pani dzieci, żeby obsadzić wszystkie role?

– Pewnie tak. Potrzebujemy tylko Maryi, Józefa, anioła i narratora. Przydaliby się też trzej królowie, ale cóż, życie to nie bajka.

Alistair puścił oko do Toma.

– Chyba będziesz musiał coś z tym zrobić?

Ale Tom tylko zaciskał dłonie na krawędzi ławy i kulił się przy każdej detonacji. W migotliwym świetle zapalniczki Alistair dostrzegł ciężkie spojrzenie Mary.

– Dobrze sobie radzisz – pochwaliła go Hilda, oparłszy głowę na ramieniu Alistaira.

– Wiesz, wychowałem się w kopalni.

Wtuliła się w niego jeszcze mocniej.

– Miałbyś coś przeciwko temu, żeby mnie objąć?

Wkrótce zapalniczka zgasła i wyczekiwali w ciemnościach. Spadały kolejne bomby, a Hilda coraz mocniej się przytulała. Raz czy dwa, kiedy wybuch był wyjątkowo głośny, krzyknęła. Kiedy już prawie usiadła mu na kolanach, wyswobodził się z jej objęć i wstał.

– Wybaczcie. Muszę się skontaktować z dowództwem mojego pułku.

– Wrócisz tu? – spytała Hilda.

– Nie martw się.

– Wolałabym, żebyś został.

Jej głos był tak oblepiony strachem, że z przyjemnością stamtąd wyszedł.

Teraz piwniczny mrok rozświetlał tylko żar papierosów. Później ktoś zapalił świeczkę. Alistair ruszył po schodach do sali teatru.

Tutaj słyhać było wyraźnie huk dział przeciwlotniczych. Kulisy rozświetlały błyski wpadające przez otwarte drzwi wejścia dla personelu. Alistair właśnie tam się skierował, potykając się o rekwizyty i draperie, aż w końcu znalazł się w zaułku obok teatru.

Na dworze panował półmrok. W rozgrzanym powietrzu unosiła się ostra woń dymu. Alistair ogarnął wzrokiem niebo. Słyszał warkot bombowców i huk pocisków artylerii przeciwlotniczej. Snopy światel szperaczy przeszywały coś, co mogło być słupem dymu lub chmurą w kolorze karmazynu. Sądząc po intensywności eksplozji i kącie nachylenia światel szperaczy, główny cel ataku znajdował się dwa czy trzy kilometry dalej. Pod ziemią wibracje sprawiały, że wydawał się o wiele bliższy.

Alistair wrócił do teatru i w świetle rozbłysków znalazł na jednym ze stolików butelkę wina. Oparłszy się o podest fortepianu, pociągnął spory łyk i rozejrzał się wokół. Błyski wystrzałów odbijały się w złotych kolumnach i wysokim łuku proscenium.

– Mam ci przekazać, żebyś natychmiast do nas wrócił.

Alistair obrócił głowę. Mary opuściła piwnicę, stanęła przed nim i się w niego wpatrywała. Magiczne błyski rozświetlały jej postać i siwą stróżkę dymu z papierosa.

– Sama powinnaś wrócić na dół – odparł.

Milczała, złożywszy ramiona na piersi.

– Tamci cię tu po mnie przysłali?

– Hilda to wspaniała dziewczyna. Przyjaźnimy się, odkąd skończyłyśmy sześć lat. Jest psotna, lojalna i bardzo rezolutna, póki nie pojawi się jakiś mężczyzna, co redukuje jej inteligencję o połowę. To wina nieśmiałości. Z pewnością ta reakcja zniknie, kiedy lepiej ją poznasz.

Alistair nabił w półmroku fajkę.

– Chcesz trochę wina? Niestety, piłem już z tej butelki.

– A fe! Pewnie dlatego wolę cywilów.

– Masz zapalniczkę?

Zbliżyła się do podestu i podała mu ją, a on zrewanżował się butelką. Upiła trochę wina. W tym samym momencie usłyszeli

salwę dział przeciwlotniczych. Oboje się wzdrygnęli.

– Naprawdę powinnaś zejść na dół.

– Chętnie, ale z tobą.

– Hilda to urocza dziewczyna, ale tu chodzi o mnie. Nie jestem teraz sobą.

– A kto jest, na litość boską? Ty zostałeś oficerem, a ja nauczycielką. Życie to bal przebierańców.

– Potrzebuję trochę czasu.

– Dobrze, poczekam tu z tobą.

– Miałem na myśli... Nieważne.

– Wiem, co miałeś na myśli. Ale Hilda jest jak rakietka. Lubi zabawę, big bandy i wywrotowe pomysły. Nie mów, że ty też tego nie lubisz. Hilda płata mi różne figle, wodzi za nos moją mamę, a raz podpaliła automobil pewnego baroneta, bo pożyczył go Oswaldowi Mosleyowi[11].

– Dajmy spokój romansom. Trzeba ją przerzucić na tyły nieprzyjaciela.

– Najpierw chciałabym, żebyś ją pocałował – westchnęła Mary.

Alistair upił nieco wina. Rozbłyśki wpadające przez otwarte drzwi tworzyły zielone powidoki ze szkła butelki.

– Tom to dobry człowiek – rzucił Alistair.

– Wiem. Mam nadzieję, że nie wyciągasz pochopnych wniosków z...

– Oboje wydajecie się trochę...

– Jest wojna. Ty masz inaczej, bo walczysz. Tu, w mieście, czasami robimy się opryskliwi.

– Rzecz w tym, że on naprawdę wierzy w edukację. Pewnie nie może znieść takiej nagłej przerwy.

– Od razu mi się to w nim spodobało. Faceci zwykle skupiają się na urodzie, ale on chciał koniecznie wiedzieć, jaka jest moja opinia na temat nowej ustawy oświatowej.

Alistair uśmiechnął się.

– W dodatku nieźle gotuje. Nawet w byle jakie składniki potrafi tchnąć nowe życie.

– W moim przypadku bardzo ryzykował. Nie przysłużył się swojej karierze, pozwalając mi otworzyć szkołę.

– Cały on. Kompletnie niesamolubny.

– Kompletnie.

– Nie jestem zachwycony, że mnie ubiegł, jeśli chodzi o ciebie.

– Wiń Hitlera.

– Winię. Jak tylko wejdziemy do Berlina, uwiodeę jego kochankę.

– Mam nadzieję, że będziesz z nią szczęśliwy.

– Cieszę się, że ty i Tom jesteście szczęśliwi.

– Bardzo.

– To dobrze.

– Hilda to naprawdę świetna dziewczyna. Nie oceniaj jej po...

– Jasne. Nie każdy dzielnie znosi pierwszy nalot.

Mary tym razem pociągnęła troszkę większy łyk wina.

– Tu, na górze, jest o wiele lepiej. Bomby wcale nie spadają tak blisko, jak się to wydaje w piwnicy.

– Pewnie bombardują doki.

Mary oddała mu butelkę.

– Może pójdziemy to sprawdzić? Przecież od razu nie powtórzą nalotu. Byłabym zła, mając świadomość, że przepuściłam taką okazję.

Alistair nie odpowiedział.

– Co?

– Mówisz o tym jak o pokazie fajerwerków.

– Boisz się?

– Tak, i ty też powinnaś.

– Jestem dorosła.

– Ale nie chciałbym, żeby stała ci się krzywda.

– Unikniemy tego. Pójdziemy tylko kawalek.

Zawahał się.

– W porządku.

– Podejdziemy tak blisko, jak się da, żeby zobaczyć, jak to wygląda.

Niebo wyglądało ponuro. Bomby spadały gdzieś daleko, trudno

było ocenić gdzie, i tylko odgłosy detonacji przetaczały się echem w białym marmurowym kanionie Strandu. Błyski miały różny kolor i pojawiały się z różnych stron. Czapa dymu lub chmur zawisała na wysokości kilku tysięcy metrów, pobłyskując na biało i niebiesko, gdy przecinały ją światła szperaczy, bądź barwiąc się na żółto od wystrzeliwanych pocisków przeciwlotniczych. Było wpeł do ósmej wieczorem; odnosiło się wrażenie, że słońce zachodzi jednocześnie na zachodzie i na wschodzie. Alistair stał metr od Mary. Zerkali to na jeden zachód, to znów na drugi.

– Co to jest tam, na wschodzie?

– Nie wiem – odpowiedział. – Może jakiś nowy typ szperacza.

– Taki czerwony?

– Może litowy? Nie wiedziałem, że mamy takie jaskrawe.

– Szkoda, że nie widzimy, co się dzieje za tymi budynkami.

– Lepiej już wracajmy.

Mary wyciągnęła szyję.

– Jeszcze nic nie widzieliśmy. Chodźmy chociaż nad rzekę.

– Strażnikom się to nie spodoba.

– I co z tego? Najwyżej na nas nakrzcą. Chyba się nie popłacziesz?

Alistair się uśmiechnął.

– Dobra, nad rzekę, ale później wracamy.

Dotarli nad brzeg Tamizy i przeszli pod barierką, żeby wejść na nieukończony most Waterloo. Pontony były już połączone, więc można było po nim przejść, choć lepiej bez patrzenia w dół. Mniej więcej pośrodku w promieniach zachodzącego słońca mogli już wyraźnie zobaczyć, co dzieje się na wschodzie. Zatrzymali się. W miejscu, gdzie spadło najwięcej bomb, płomienie sięgały nieba. Od czasu do czasu dostrzegali blade połyskliwe podbrzusze przelatującej nad ogniem maszyny. Cała ta scena odbijała się niczym w krzywym zwierciadle w oleistej, pomarszczonej tafli rzeki. Patrząc na wyrastającą z czerni łunę, poczuli na plecach ciągnący ku płomieniom podmuch powietrza. Stali, zacisnąwszy dłonie na rusztowaniu, oddaleni od siebie na wyciągnięcie ręki,

i wsłuchiwali się w pomruk odległej pożogi.

– Dobry Boże...! – wydusił z siebie w końcu Alistair.

Mary milczała i tylko wpatrywała się w ogień.

– Mary, wszystko w porządku?

Przysunął się do niej, ale opuścił rękę, którą zamierzał ją objąć.

Spojrzała na niego, przysunęła się o pół kroku, po czym się zawahała.

– Nie idźmy dalej.

Uśmiechnął się.

– Tak. Most może nie wytrzymać.

Rzuciła mu pełne wdzięczności spojrzenie.

– Powinniśmy wrócić. Tam, gdzie bezpiecznie.

– Zgadza się.

Gdy tak stali pośrodku tego niby mostu, Mary powiedziała:

– Cieszę się, że doszliśmy tam, gdzie mogliśmy.

Zawrócili. Rozdarte niebo pociemniało na zachodzie, a na wschodzie pojaśniało.

Kiedy dotarli do Lyceum, zatrzymali się przy wejściu na scenę.

– Nie pójdziesz ze mną? – spytała Mary.

– Muszę odszukać mój pułk. Bez nadzoru żołnierze dostają małego rozumu.

Spojrzała w dal.

– To oczywiste, że musisz spełnić swój obowiązek.

– Pożegnasz ode mnie Hildę i Toma?

– Jeśli chcesz. Na pewno zrozumieją.

– Jesteś wspaniała.

Spojrzała na niego ostro.

– Alistair, czy my jesteśmy tchórzami?

Ich twarze rozbłyskiwały w ogniu dział przeciwlotniczych. Alistair milczał.

*

Tymczasem w piwnicy zapalono więcej świec.

Tom podbiegł do Mary.

– Wszystko w porządku? Co się dzieje?

– Alistair musiał wrócić do swojego pułku. Bardzo was przeprasza.

Hilda zmarkotniała.

– Dlaczego tak długo cię nie było?

– Czekaliśmy, żeby choć na moment przestali zrzucać bomby.

– Alistair zwariował.

– Nie spadają tak blisko, jak nam się zdawało. Niemcy bombardują doki.

– Może wszyscy wyjedziemy na górę? – zaproponowała Hilda. – Nie chciałabym, żeby coś mnie ominęło.

Mary nie odpowiedziała.

– Zamartwiałem się – wyznał Tom. – Wiem, że to głupie.

Mary usiadła obok.

– Byłam tylko na górze.

– Powinienem być pójść z tobą, ale...

Mary chwyciła jego dłoń, żeby pokazać, że to nieważne. Teraz, kiedy już tu wróciła, przeszył ją dreszcz. Czekali dalej w ciemnościach.

Po godzinie Mary spytała:

– Jest szansa, żebyśmy posłuchali jakiejś piosenki?

Ojciec Zachary'ego ułożył dłonie w tubkę.

– Czy moi chłopcy śpią?

Kilku się odezwało.

– Może coś zaśpiewamy?

Przez chwilę milczeli. Słysząc było jedynie odgłosy eksplozji. Wtem ozwał się jakiś pojedynczy cichy głos.

Pan postanowił stworzyć człowieka,

Te kości znowu powstaną...

Zaraz dołączył do niego chór innych głosów:

Stworzył go z błota i ziaren piasku,
Te kości znowu powstaną...

Zamknawszy oczy, pieśń podjął też ojciec Zachary'ego i sam Zachary:

Pan przemówił grzmiącym głosem,
Te kości znowu powstaną.
Potrzęsnał ziemią aż po posadę
Te kości znowu powstaną...

Całą piwnicę wypełniły te donośne dźwięki. Siedząc na ławie obok miejsca, gdzie wcześniej siedział Alistair, Hilda łypała spode łba na Mary. Miasto drżało w posadach. Mary przytuliła się do Toma i zmierzwiła mu włosy.

– Wszystko będzie dobrze. Ty, ja, nic się nam nie stanie.

– Wiem.

– Jutro zrobimy porządek, a w poniedziałek wszyscy jak zwykle pójda do pracy.

– Pewnie tak.

– Jaka będzie pierwsza rzecz, jaką zrobisz w poniedziałek rano?

– Nie wiem. Może przeprowadzę inspekcję w szkołach, żeby sprawdzić, w jakim są stanie.

Ścisnęła jego rękę.

– Brawo.

– Później zlecę konieczne naprawy i upewnię się, czy we wszystkich działających szkołach są schrony.

– Słusznie, kochanie.

Ewa wzięła igłę, Adam wziął pług,
Te kości znowu powstaną.
Właśnie tak teraz wszyscy pracujemy,
Te kości znowu powstaną...

- A ty co zrobisz w poniedziałek rano? – spytał Tom.
- Stanę przed uczniami i powiem im, że ten bałagan to żadna wymówka, żeby nie odrabiać lekcji.
- Zachary’emu powiedz to od ręki. Może jeszcze zdąży je odrobić. Mary ściszyła głos.
- Traktuję go mniej surowo od innych. Myślę, że może mieć jakiś problem.
- Oprócz tego, że ma skórę w niewłaściwym kolorze?
- Zacząła się w niego wpatrywać, póki się nie przekonała, że tylko się z nią droczy. Kiedy się uśmiechnął, szturchnęła go w zębra.
- Ty draniu!
- Jaki może mieć problem?
- Będziesz się śmiał, ale zbadalam ten temat. Podejrzewam, że ma dysleksję.
- Nie istnieje coś takiego – jęknął Tom.
- Czytałam prace naukowe.
- Pisane przez jakichś wariatów. Wiem, że chcesz dobrze, ale zastanów się, jak ktoś może być ślepy na coś, co jest napisane?
- Nie wiem, skarbie – westchnęła Mary.
- Przecież ma to przed nosem. – Tom chwycił ręce Mary i rozwarł jej dłonie jak kartki książki. – W takiej odległości.
- Piszą, że ktoś taki widzi słowa, lecz że nie widzi ich jego mózg.
- Bo temu komuś nie chce się przyłożyć. Musisz wymagać od niego tyle samo, co od innych. Bo jaki będzie efekt takiej wyrozumiałości? Uznania, że coś widzimy, ale jesteśmy na to ślepi?
- Głosy chórzystów dudniły w piwnicy do wtóru z odgłosami eksplozji. Wielkie zranione miasto pogrążało się w gęstniejących ciemnościach.
- Nie wiem, kochanie. Nie wiem, jak to się skończy.

*

Alistair obudził się bladym świtem. W całym mieście ostro wyły syreny odwołujące alarm. Ciało Alistaira samo trafiło do ekspresu

z kawą. Londyn wracał do życia; dla Alistaira kubek z kawą stanowił chwilowo jego epicentrum.

Wokół kręciło się paru żołnierzy z jego pułku. Większość miała na sobie brudne i wymięte mundury. Lurowata mała kawa. Woń klęski, wilgotnego węgla i dymu. Żadnych ciastek ani bułek. Spojrzenia wbite w ziemię, twarze poczerniałe od sadzy. Alistair znalazł swój zegarek w kieszeni. Nie umiał tego wytłumaczyć. Siódma rano. Włożył go na rękę. Portfel zniknął. Ukradli mi przepustkę, pomyślał.

Gdy odnalazł swoich ludzi, zaczął stawiać im drinki w barach wokół dworca Waterloo. Nagle obok spadły bomby i Alistair przydzielił grupy żołnierzy do pomocy ekipom ratowniczym. Gołymi rękami odgarniali cegły i drewno, żeby wyciągnąć spod gruzów cywilów albo ich szczątki. Wywiązała się rywalizacja o to, która drużyna najszybciej uwinie się z odgruzowaniem. Znaleźli dłoń dorosłego trzymającą rączkę dziecka, oderwane od reszty ciała... Znaleźli też podrapany i nadpalony bakelitowy akordeon. Lepiej było być pijanym.

Przedostał się na dworzec, gdzie naczelnik ugościł go kawą i pozwolił mu się wyszorować w łazience dla personelu. Alistair zdjął koszulę i puścił strużkę brązowawej wody do umywalki. Widocznie zostały uszkodzone wodociągi albo pompy strażackie pobierały zbyt dużo wody. Umył się, jak mógł najlepiej, przyczesał włosy palcami i włożył czystą koszulę podarowaną przez naczelnika stacji, który musiał mu pomóc ją zapiąć, bo ręce Alistaira były całe w pęcherzach i ranach.

Wyparł z głowy wszelkie myśli o minionej nocy. Tego też nauczył się we Francji – że może działać całkiem sprawnie, jeśli skupi się na tym co tu i teraz.

O wpół do dziewiątej na dworzec zaczęli docierać żołnierze – na chwiejnych nogach, samotnie bądź w grupach. Alistair poklepywał każdego po plecach i kierował w głąb hali dworca. Przyjął z ulgą fakt, że teraz musi zapanować nad czymś prostszym niż on sam. Mimo że głowa pękała mu od kaca, z niejakim rozbawieniem

stwierdził, że żołnierze mają się jeszcze gorzej. Wspomógłszy ekipy ratownicze, większość najwyraźniej wróciła do pubów, które nie zaprzestały działalności, tylko przeniosły ją do piwnic. To, do jakiego stanu doprowadził się jego pułk w ciągu dwudziestu czterech godzin jedynie przy pośrednim udziale wroga, naprawdę robiło wrażenie.

– Udana noc? – spytał żołnierza z krwawiącą raną ciętą nad okiem.

– Owszem, ale następnym razem dołożymy im podwójnie, sir.

– Niemcom?

– Ci z marynarki mieli szczęście, że Niemcy nam przerwali.

Alistair wlepił mu dwa szylingi kary za udział w bójkę i kazał podpisać weksel.

Jakiś szeregowy skarżył się:

– Gdyby Luftwaffe dała mi jeszcze godzinę, zaciągnąłbym ją do łóżka.

– Pomyśl o plusach – skwitował Alistair. – Gdyby potem dała ci jeszcze minutę, musiałbyś się z nią ożenić.

Żołnierz obrócił się w jego stronę.

– Przepraszam, nie wiedziałem, że to pan, sir.

– Ja też ledwo się rozpoznaję. Nigdy nie mieszaj wina z whisky. To rozkaz.

– Chyba że to znów pan będzie stawiał.

Alistair gawędził tak to z jednym, to z drugim. Pod tym pozornym spokojem kryła się jednak w tych ludziach złość. Gdy znów zmierzają się z Niemcami, będą mieli szczególny powód, żeby się na nich odegrać.

Na dworcu pojawili się też jego koledzy oficerowie. Byli w lepszej formie niż on i z miejsca zaczęli dostrajać tę przygaszoną i utyskującą czeredę do surowych wymogów wojny. Żołnierze ustawili się karnie w kolumny w hali dworca, gdy oficerowie, pykając dymem z fajek, sprawdzali stan pododdziałów i z humorem dociekali, gdzie mogą być żołnierze, którzy nie dotarli na zbiórkę. O dziewiątej, kiedy pociąg, którego odjazd zaplanowano na wpół do

dziesiątej, buchał parą i żołnierze szykowali się do podróży, Alistair wreszcie poczuł, że świat wraca na właściwe tory.

Gdy uniósł wzrok znad rejestru żołnierzy swojej kompanii, dostrzegł Mary, wciąż w tej samej sukience rzucającej się w oczy na tle mundurów. Niosła jego plecak, który zostawił w teatrze.

W pierwszym odruchu chciał się ukryć. Jeszcze go nie zauważyła. Mógł z łatwością wskoczyć do pociągu, wiedział, że powinien. Tymczasem stał i czekał na nią, paląc fajkę. Nie mógł oderwać od niej wzroku. Właściwie brzydził się za to sam siebie, lecz był zbyt znużony, by udawać świętego.

Mary dostrzegła go, gdy część żołnierzy ruszyła z hali w stronę peronu. Uśmiechnęła się i pomachała. Uświadomił sobie, że on też do niej macha. Poczuł ucisk w piersi i wyrzuty sumienia, że nie może już tego odkręcić. Zaczęła biec, lecz zatrzymała się jakiś metr od niego i nagle spoważniała.

- Bałam się, że coś ci się stanie – wyznała.
- Stało się. Ruszyłem w miasto i nabawiłem się kaca.
- Pasuje ci.
- Trochę ciśnie w skroniach. Reszta towarzystwa w porządku, mam nadzieję?
- Powiedziałam im, że idę do domu, żeby sprawdzić co z rodzicami.
- Teraz już możesz.
- Wbiła wzrok w ziemię.
- Wolałbyś, żebym tu nie przychodziła?
- Wystukał popiół z fajki.
- Może byłoby lepiej.
- Spojrzała na niego ze złością.
- Wiesz, kocham Toma.
- To dobrze.
- Jest uroczy.
- Ja też go lubię.
- Na pewno się pobierzemy.
- A ja na pewno będę zachwycony. Daj znać, gdybyś

potrzebowała drużby.

Stali w milczeniu. Ostatni żołnierze taszczyli swoje bagaże do pociągu, z parowozu uchodziła sycząca para. Mary postawiła plecak na ziemi.

– Dzięki.

– Hilda była wściekła.

– Przyszłaś, żeby mi to powiedzieć?

Mary zamknęła oczy.

– Przyszedłam, żeby sprawdzić, czy nic ci się nie stało.

– Możesz przekazać Hildzie, że wszystko ze mną w porządku.

– Musisz być taki...?

– Przepraszam.

– To ja przepraszam. Jestem wykończona.

– Oboje poczujemy się lepiej, jak się wyśpimy.

Uśmiechnęła się blado.

– Tak, na pewno.

Parowóz syczał coraz głośniej. Alistair patrzył, jak ostatni żołnierze wsiadają do pociągu. Skinął głową do stojących na peronie oficerów, którzy z ostentacyjnym rozbawieniem obserwowali pożegnanie domniemanych kochanków. Znów obrócił się do Mary.

– Posłuchaj, wczoraj...

– Może popełniłam błąd, zapraszając Hildę. Mam nadzieję, że nie czułeś zbytnej presji?

– To naprawdę urocze, że próbowaliście nas ze sobą skojarzyć.

– Tylko nie przypuszczałam, że jesteś taki...

Alistair machnął ręką.

– Hilda jest przemiła. Jestem pewien, że gdyby było więcej czasu...

– Gdyby było go więcej albo mniej, byłoby dużo łatwiej.

W godzinę możesz powiedzieć, co ci się podoba. W rok można być takim, jakim jest się naprawdę. Za to jeden dzień to zdecydowanie za krótko, żeby być sobą, nie sądzisz?

Rzuciła mu zdesperowane spojrzenie. Zrobił krok w jej stronę i wtem rozległ się gwizd parowozu.

– Musisz już iść – powiedziała.

Spojrzał jej w oczy.

– Do widzenia.

– Do widzenia.

Podniósł plecak i ruszył w stronę pociągu.

– Mam nadzieję, że nic ci się nie stanie.

Obrócił się.

– Będziecie bardzo szczęśliwi. Nie znam nikogo lepszego od Toma.

Zawahała się.

– Tom zawsze twierdził, że jesteś zabawny. Ani przez chwilę nie przypuszczałam, że będziesz tak okropnie smutny.

Alistair postawił plecak na ziemi, wsunął ręce do kieszeni i zaczął wpatrywać się w czubki swoich butów.

– Jestem pełen nadziei. Ty nie?

– Nadziei na co?

– Że z tej wojny wyniknie tyleż dobrego co złego.

– Gadasz jak facet z rządowego plakatu.

Uśmiechnął się.

– Po wojnie wszystkich nas będzie dzielił mniejszy dystans.

– To twoja teoria?

– Mam dowód. W nocy ja i moi żołnierze pomagaliśmy ekipom ratowniczym na uliczkach wokół dworca. Dotarliśmy do pewnego staruszka w ruinach jego domu. Schronił się przed nalotem w wannie. Była w połowie napełniona wodą ze strażackich sikawek. Kiedy tam weszliśmy, facet zaczął myć sobie plecy gąbką, żeby nas rozśmieszyć. A tu cała ulica w gruzach, my poranieni. Nie rozumiesz? Dlatego właśnie myślę, że jest nadzieja.

– Obiecuj mi, że będziesz do niej łgnął.

– Jasne! Prędzej do niej niż do gąbki.

Roześmiała się, pogodnie i beztrosko, i on też się roześmiał. Poczul się, jakby na moment świeża czysta bryza przewiała tę wojnę i jej wyciskający łzy z oczu dym. Był zdumiony; Mary potrafiła dokonać czegoś takiego ledwie grymasem warg i przelotnym spojrzeniem. Nawet wymęczona, we wczorajszej

sukience, z włosami w nieładzie umiała sprawić, że wszelki dystans między nimi zanikał.

Znów rozległ się gwizd i jeden z oficerów krzyknął, żeby Alistair już wsiadał.

– Do zobaczenia. Nie pozwól, żeby Niemcy zajęli wszystkie najlepsze miejsca.

– Do widzenia, Mary. Powodzenia.

Alistair zarzucił plecak na ramię i ruszył wzdłuż peronu. Wiedział, że to już koniec, że nie mogą sobie dać nic więcej. Towarzyszył tej myśli jakiś niewypowiedziany smutek, lecz z chwilą gdy Alistair znów zmierzał pociągiem na wojnę, ku tym ciężkim godzinom, które tak oszczędnie, po jednej, im dawkowała, lepiej było nie myśleć o Mary. Zostawił ją tam samą pod chmurą gorącego czarnego dymu, która unosiła się na wysokość kilometra nad poranionym miastem.

9 *H.M.S. Pinafore* – operetka Sullivana; *African Queen* – powieść C.S. Forestera; *Good Ship Lollipop* – piosenka śpiewana przez Shirley Temple.

10 Psalm 121:6, Biblia Tysiąclecia.

11 Lider brytyjskich faszystów.

Część druga

WYCIĘCZENIE

Wrzesień 1940

Hilda zjawiła się u Mary w południe. Pojechały razem taksówką do wschodnich dzielnic Londynu, by przyjrzeć się skali zniszczeń. Hilda ubrała się na czarno. Melodramatycznie, pomyślała Mary. Miała też chusteczkę, którą w razie potrzeby zasłoni nos i oczy, żeby powstrzymać dym i kurz. I jeszcze związane buty do kolan, bo trudno przewidzieć, jakie warunki napotkają na swej drodze. W oczach Mary był to strój, który pasował na taką okazję jak pogrzeb albo bitwa pod Passchendaele[12]. Mary zdecydowała się na tenisówki i lekką niebieską sukienkę.

Kiedy dotarły do Bow, przekonała się, że Hilda jednak miała rację. Wszystkie szyby były powybijane. Wszędzie leżały odłamki szkła. Gdyby zmrużyć oczy, w jaskrawym słońcu ulice wyglądały, jakby obsypano je klejnotami. Pofałdowane chodniki, pochylone ściany budynków, stopione lampy uliczne. Równe linie przestały istnieć, zupełnie jakby pociski żywiły jakąś szczególną niechęć do wszelkich kątów prostych. Rury kanalizacyjne też były zniszczone. We wszystkich zagłębieniach zbierała się błotnista woda, w której taplały się dzieci i gołębie.

Pośrodku jezdni wyrosła nagle sterta gruzu. Taksówka stanęła. Hilda otworzyła drzwi i do wnętrza auta wdarła się fala gorącego powietrza, aż ciężkiego od sadzy i smrodliwych wyziewów. Wszędzie wokół unosił się dym lub para, jakby Mary i Hilda natknęły się na jakiś tropikalny kataklizm. Z wyszczerbionych frontów zbombardowanych domów zerkali oszołomieni mieszkańcy. Mary wysiadła z taksówki prosto w kałużę. Cuchnące błoto wdarło się do jej buta i przemoczyło pończochę.

- Nie sądzisz, że powinniśmy natychmiast zawrócić? – spytała.
- Tylko się nie zmocz – odparła Hilda. – Ci biedacy przeżyli piekło.

– Czuję się jak wampir, kiedy się tak na nich gapię.

– Tylko się przyglądamy. I założę się, że nie tylko my. Teraz nikt nie będzie mówił o niczym innym.

Mary dała za wygraną. Wzięły się za ręce, obchodząc palące się, zniszczone przewody gazowe. Szerokim łukiem ominęły bulgoczące ścieki.

– Widzisz? Dlatego wolę West End – podsumowała Hilda.

– To wcale nie jest śmieszne.

Hilda spojrzała, jakby zaraz miała się rozpłakać.

– Całowaliście się?

– Słucham?

– Czy całowałaś się z Alistairem?

Mary zawahała się.

– Możemy porozmawiać o tym w domu?

– Tam nie ma gdzie. Jak nie Palmer, to nagle twoja matka zerka ci przez ramię. To nie dom, tylko młyn, w którym straszy.

– To może w twoim mieszkaniu.

– U ciebie zawsze wszystko jest nie w porę. Myślisz, że możesz robić, co chcesz, i że nigdy do tego nie wrócimy. A Tom? A ja?

– Nie całowałam się z Alistairem, jeśli chcesz wiedzieć.

– Ani trochę ci nie wierzę.

– W porządku. – Mary wzruszyła ramionami.

Hildzie zadrżały ręce.

– Mnie możesz powiedzieć. Nie doniosę Tomowi.

– Jaka wspaniałomyślna!

– Nie gniewaj się – powiedziała Hilda, przygryzając wargę. – Ale widziałam, jak na niego patrzyłaś.

Mary złagodniała.

– Każdemu wolno patrzeć. Oczy siłą rzeczy wypatrują, ale serce nie jest ich powolnym sługą. Ja też widziałam, jak na niego patrzyłaś.

– Tyle że ja po to tam przyszłam, ty nie. Tylko udajesz brak zainteresowania. To się nazywa „dobre maniery”.

– Myśl, co chcesz, ale się z nim nie całowałam.

- To co tam robiliście tyle czasu?
 - Rozmawialiśmy. Też powinnaś tego spróbować. Nie moja wina, że kiedy pojawi się jakiś mężczyzna, z miejsca zwijasz myślenie.
 - Nie masz prawa zastawiać sideł na faceta, który mi się podoba, tylko dlatego, że możesz.
 - Nie zastawiłam sideł. Zniosłam mu jego plecak. Prosiłam, żebyś ty to zrobiła, ale nie chciałaś.
 - Bo byłam na niego wściekła, że nawet się nie pożegnał. Raczej nie mogłabym tego okazać, uganiając się za nim z jego bagażem.
 - Musisz mi koniecznie opowiedzieć, co ci daje ta wściekłość.
 - Na moim miejscu zachowałabyś się tak samo – nasrożyła się Hilda.
 - Trzeba było wybiec za nim z piwnicy. Nie musiałaś wysyłać tam mnie.
 - Ale ja się bałam!
 - A ja to niby nie?
- Hilda tylko uniosła ręce w górę i je opuściła.
Mary przymknęła oczy.
- Daję ci słowo, że do niczego nie doszło. Kocham Toma i bardzo się staram, żeby to okazywać.
- Hilda spojrzała na nią z goryczą.
- I tej nocy te twoje wysiłki odniosły skutek?
 - Owszem. Skończyło się na tym, że Alistair wziął plecak i ruszył pociągiem tam, dokąd go wyślą, czyli Bóg jeden wie gdzie. Jeśli masz mu coś do powiedzenia, to sugeruję, żebyś po prostu do niego napisała. Ja już o nim nie myślę. Mam mężczyznę, którego kocham, i moich uczniów. Jak dla mnie, sprawa jest zamknięta.
 - Ale i tak pozostaniesz sobą.
 - Teraz mogę ci tylko powiedzieć, co o tobie sędzę. Jeszcze wczoraj te zgłiszczą to były czyjeś domy, a ty stoisz na nich i jęczysz. Czasami myślę, choć się przed tym powstrzymuję, że jesteś niemożliwie zepsuta.
- Z twarzy Hildy odpłynęła cała krew.
- Przepraszam. Żałuję, że to powiedziałam – pokajała się Mary,

wyciągając do niej rękę.

Hilda odepchnęła ją.

– A ja się nawet cieszę. Bo choć przez lata się przed tym powstrzymywałam, to jednak myślę, że jesteś okropną egoistką. Wiem, że się całowaliście. Mam dość tego, że ciągle ci wybaczam, ale odtąd przestaję.

– Proszę cię...

– Żegnam. Wrócę do domu sama.

Kiedy odchodziła, pod jej butami trzeszczały okruchy szkła. Mary oparła się o ścianę, z której wydobywała się para, i spojrzała w niebo. Błękit szpeciły smugi dymu niesione przez wiatr znad doków. Jakże zrobiło jej się smutno. Zastanawiała się, dlaczego Tom tak się od niej oddalił, skąd u Hildy tyle żółci i dlaczego świat nagle się rozpadł.

Pomyślała, że chyba powinna wrócić do domu. Idąc na zachód, napotka czyste i niezniszczone ulice i będzie mogła sobie wmawiać, że jej życie – choć gdzieś tam trawi je ogień – nie dozna jednak uszczerbku.

Wybrała dłuższą drogę wzdłuż Embankment. Tamiza była czarna od ropy. Brudna piana wypełzała na powierzchnię wszędzie tam, gdzie prąd napotykał jakieś przeszkody – zestrzelone bombowce bądź zdmuchnięte z mostów autobusy. Zresztą, któż to wie, co tam teraz leży? Ta odwieczna rzeka stała się nagle niezbadana. Mary zapatrzyła się w czarną wodę, na której tu i ówdzie paliły się unoszone przez wiry plamy ropy. Płonące barki ze zwęglonymi linami cumowniczymi dryfowały w górę rzeki niesione falą przyptywu. Mary była ciekawa, jak daleko dotrą. Jeśli nadal będą płonąć, ich wściekły ogień rozświetli Pimlico, gdzie Palmer właśnie parzy herbatę, którą zaserwuje o czwartej.

¹² Jedna z najkrwawszych bitew pierwszej wojny światowej, stoczona w zachodniej Flandrii.

Grudzień 1940

Za oknem gabinetu Toma, mieszczącego się w kuratorium oświaty, padał śnieg. Sekretarka przyniosła mu szarą kopertę z listem z Królewskich Sił Powietrznych. Tom odmówił w duchu modlitwę dziękczynną. Zgłosił się jako ochotnik po tamtej okropnej nocy w teatrze Lyceum i odtąd czekał, wstrzymując oddech. Teraz zgasił papierosa w stojącej na biurku popielniczce z niebieskiego szkła, wziął głęboki oddech i rozdarł kopertę.

Fakty wyglądały następująco: zdał celująco trwający półtorej godziny test złożony ze stu pytań sprawdzających jego sprawność werbalną oraz wyobraźnię przestrzenną. Dostrzegł liczby dziewięć i cztery na zakropkowanym polu, których nie dojrzałyby osoby niezdolne do rozpoznawania kolorów. Oddał do fiolek 30 (słownie: trzydzieści) gram mocz u oraz 30 (słownie: trzydzieści) gram krwi żyłnej, które zostały przebadane i uznane za optymalnie zdrowe.

Rozebrał się do bielizny na oczach wąsatego mężczyzny z Bristolu i wykonał piętnaście pompek oraz osiem podciągnięć, po czym wdrapał się po linie o grubości pięciu centymetrów na wysokość sześciu metrów. W odpowiednich miejscach ankiety zaznaczył ptaszkami, że nie jest ateistą ani bezwarunkowym pacyfistą i że nie ma alergii. Pielęgniarka zbadała mu też krocze, kiedy kaszlnął, choć akurat o tym w liście nie wspomniano.

Dalej znalazło się potwierdzenie, że dobrze wypadł w rozmowie kwalifikacyjnej. Prowadzącemu spodobało się, że Tom ma dobre rozeznanie w kwestii publikowanych strat po stronie RAF-u. Codziennie ginęło dwudziestu lotników. Tom przeszacował to na, mniej więcej, jednego co godzinę, bo – jak wyjaśnił – jeśli patrzeć na to w ten sposób, łatwiej ocenić konkretną wartość ludzkiego życia. Postrzegał te godziny jako łańcuch dzielący jeden okres pokoju od

drugiego, którego będzie jednym z ochotniczych ogniwi. Oficer bardzo wysoko ocenił tę odpowiedź.

Tom nie mógł się już doczekać, kiedy pokaże ten list Mary. Odkąd rozpoczęły się naloty, bardzo się od siebie oddalili. Nie mówił o tym głośno, ale brakowało mu ich wspólnych spacerów w całkowicie nowym świecie odmienionym przez pierwszą spędzoną razem noc. Brakowało mu także tego, jak cieszyli się z padającego deszczu, jak wmawiali sobie, że mijający ich przechodnie są tajemniczy i że każdy most to przeprawa nad czymś więcej niż tylko rzeka.

Rzecz jasna zaczęły się naloty, które sprawiły, że Mary pozostawała na noc w prywatnym schronie w domu rodziców, a on w publicznym przy Prince of Wales Road. Lecz nawet kiedy spędzali razem weekendy w jego mansardzie, w jej zachowaniu pojawiło się pewne wahanie i kochała się z nim jakby przez grzeczność.

Ale teraz Tom miał list, który przedstawi go w innym świetle – w oczach Mary i w jego własnych. Zawartość tej szarej koperty tchnie w niego nowe życie.

W ostatnim akapicie oficer z żalem informował, że jego podanie zostało odrzucone przez War Office, które uznało, że funkcja, jaką obecnie pełni, pozostaje kluczowa. Tom przeczytał to zdanie jeszcze raz, lecz jego wymowa była jednoznaczna. Do prerogatyw władz należało prawo do zwolnienia przedstawicieli pewnych zawodów ze służby wojskowej, nie licząc się z ich uczuciami. Tom usiadł w pustym gabinecie, położył głowę na biurku i zamknął oczy.

Kiedy już dłużej nie mógł tego znieść, przeszedł na drugą stronę ulicy i wypił w pubie trzy podwójne szkockie. Gdy stamtąd wyszedł, padał śnieg. Przez jakiś czas kręcił się bez celu, po czym ruszył do szkoły Mary. Dotarłszy tam, otrzepał śnieg z butów i płaszcza, usiadł na małym krzeselku pod ścianą w głębi sali i obserwował próbę generalną bożonarodzeniowej szopki w wykonaniu dzieci pod kierunkiem Mary.

Chrystus przyszedł na świat, by zbawić całą ludzkość – najwyraźniej takie było przesłanie. Wszystkim będą wybaczone ich uczynki. Brzmiało nieźle. Ręce Toma wciąż trzęsły się z zimna, więc

wtulił je w kolana.

Mary spytała go bezgłośnie: „Dobrze się czujesz?”. Uśmiechnął się do niej ponad głowami dzieci, choć nerwy miał napięte jak postronki.

Wszystkie maluchy były w przebraniach. Mary siedziała przy pianinie i może trochę zbyt żwawo grała melodię świątecznej piosenki *It Came Upon the Midnight Clear*. Nadała jej nawet lekko swingujący charakter, tworząc mimowolne wrażenie, że cokolwiek przybyło owej bezchmurnej nocy, miało związek z barkiem z drinkami. Serce Toma rwało się do niej. Wszystko potrafiła odmienić. To było nie do zniesienia.

W roli narratora obsadziła miłą i rezydentną dziewczynkę. Betty wyszła na scenę, gdy wybrzmiał ostatni akord piosenki.

– Dawno temu w mieście Nazaret do Józefa i Marii przybył anioł i rzekł...

Tu nastąpiła długa cisza, bo wszyscy zaczęli wpatrywać się w anioła.

Mary podszepnęła znad pianina:

– Zocście...

Kenneth przypomniał sobie tekst:

– Zocście! Dziewica! Stanie! Się! Brzemienna! I! Urodzi! Syna! Nazwą! Go! Emmanuel!

– Głośniej, bo jest jeszcze paru Chińczyków, którzy mogli cię nie dosłyszeć – zażartowała Mary.

– Emmanuel... – szepnął Kenneth.

Skrzydła z krepiny zsunęły mu się w dół. Przebrana za owieczkę Poppy zaszła go od tyłu, podciągnęła je i przytrzymała. Razem stworzyli hybrydę niepasującą do żadnego z podań. Tom parsknął śmiechem, ale jednocześnie w jego oczach pojawiły się łzy.

Sądził, że to kwestia przemęczenia. Naloty nie dawały im spać. W biurze wszyscy przywykli już do tego, że od czasu do czasu ktoś nagle pędził do toalety, i wiedzieli, że to po to, by się wypłakać. Komuś z zewnątrz mogłoby się wydawać, że miasta nie dopadła wojna, lecz epidemia biegunki.

Próbował skupić się na występie. Ubrany w togę i wieniec laurowy na głowie Thomas wyjechał na środek sceny na wózku inwalidzkim przystrojonym złotymi deskami mającymi nadać mu wygląd rzymskiego rydwanu.

Betty oznajmiła:

– I tak też się stało, że ukazał się w tych dniach edykt cesarza Augusta.

– Wszyscy zapłacą nowy podatek! – obwieścił Thomas.

Na scenie pojawili się Maud i Zachary w tunikach i ścierkach na głowach, nad którymi kiwały się złote aureole. Maud była z natury nieśmiała, więc dobrze odnalazła się w roli Maryi dziewicy. Toma zaskoczył zaś Zachary w roli Józefa. Zastanawiał się, czy Mary nie obsadziła go w niej z przekory. Łatwo było tu wskazać źródło boskości – matka była biała, a jej małżonek czarny niczym serce Heroda.

Zmartwiło go, że nie ma pewności, czy w zamyśle Mary był to żart. Znał ją teraz mniej niż na początku. Zrzucając bomby, nieprzyjaciel zasypał go wątpliwościami.

Żałował, że nie ma przy nim Alistaira, którego mógłby spytać o radę. „Alistair, stary, nie mogę się pozbierać. Jestem wykończony”. Lecz jego przyjaciel był teraz na Malcie i jego listy docierały nieregularnie. A kiedy już dochodziły, brakowało w nich treści. Pomijały wiadomości o działaniach bojowych i unikały wszystkiego, co sentymentalne, aż pozostały im tylko stare sprawdzone żarty. Może przyjaźń się skończyła. Może ktoś, kto ruszył na wojnę, zwyczajnie nie był w stanie wytrzymać z kimś, kto został w domu.

Tom zacisnął dłonie na krzeselku i zazgrzytał zębami z rozpacz.

Tymczasem Betty ciągnęła swą opowieść:

– W Betlejem nigdzie nie było dla nich miejsca.

Dzieci ustawiły się w szeregu, żeby zaśpiewać piosenkę. Ich miejsce w szyku wyznaczyła chwała – na początku anioły, na końcu owieczki. Oprócz Poppy były jeszcze dwie, w białych sweterkach, z bawełniano-wełnianymi warkoczykami. Była też mała Beryl,

pesząco spokojna ślicznotka z przyklejonym do warg uśmiechem, i zdumiewająco wyrośnięty pośród tych maluchów opóźniony w rozwoju George, który z rozbijającą łagodnością choćby na krok nie odstępował Poppy. Owieczki stanęły obok cesarza, pary świętych małżonków, anioła i narratorki. Gdy Mary wykonała przygrywkę, wszystkie dzieci zaczęły śpiewać:

Żadnej pięknej komnaty ni miękkiej kołyski,
Jeno żłobek, gdzie mógł złożyć główkę;
Żadnych oznak radości ni myśli o grzechu,
Miast chwały smutek, żadnej izby w gościńcu...

Tom poczuł nieodparty przymus, by znów się roześmiać. Piękne! Zbawiciel przybywa na ziemię, żeby uzdrawiać i przebaczać, a ci śpiewają, że w tamtejszej gospodzie brakuje miejsc. Prawdziwie angielskie podejście do narodzin Pana – dokładnie w stylu podstarzałych pułkowników ślących pełne oburzenia listy do redakcji „Daily Telegraph”: „Szanowny Panie...”.

A jednak ta pradawna niezmienna opowieść przyniosła Tomowi ukojenie. Może dystans, jaki dzieli go od Mary, znów zniknie? Może to nie tylko on, może wszyscy mają poczucie zagrożenia, którego źródłem jest powalające zmęczenie, strach i bezustanne napięcie? Mówisz innym: „Wygramy”, a sobie: „Poniosłem klęskę”.

Słyszając tę dziecięcą piosenkę, Tom dojrzał promyk nadziei. Może jednak wygrają tę wojnę? Mary znów będzie się śmiać w jego ramionach, a wyjące syreny wreszcie umilkną.

Kiedy uczniowie skończyli śpiewać, Mary wciąż delikatnie przygrywała parze świętych małżonków, którzy ułożyli lalkę w wyłożonej słomą skrzynce na mleko.

Znów odezwała się Betty:

– Urodziła pierworodnego syna, owinęła go płócienną szatą i ułożyła w żłobku. Z pól przybyli pastuszkowie i spytali Józefa, jak ma na imię to dziecko. Józef odpowiedział...

Długa cisza.

– Józef odpowiedział..

Zachary zamarł z szeroko rozwartymi oczami.

– No, skarbie – ponagliła go Mary. – Józef odpowiedział..

Zachary zalał się łzami, wybiegł z klasy i zatrzasnął za sobą drzwi. Dzieci zaczęły się śmiać i pomrukiwać. Mary uciszyła je, dwukrotnie klaszcząc w dłonie.

– Dzieci! Bardzo proszę! Jeszcze raz przećwiczymy pieśń. Panie Shaw, mógłby pan sprawdzić, co z Zacharym?

Tom zrobił zdziwioną minę, jakby pytał: „Kto? Ja?”, po czym struchlał, widząc ciężkie spojrzenie Mary.

Odnalazł Zachary’ego przed szkołą. Chłopiec z wściekłością kopał śnieg.

– To głupie! – wrzasnął na widok Toma. – To głupia sztuka i nie chce mi się pamiętać tych głupich kwestii!

Tom niemal wdał się z nim w polemikę, ale ostatecznie odpuścił. Oparł się o ganek.

– Ale pan ma to gdzieś! – krzyknął Zachary.

– *Hamlet* to to nie jest.

– Jest pan pijany.

Tom zapalił papierosa.

– Po co chodzisz do szkoły?

– Żeby zdobyć wykształcenie.

– Na co ci ono?

– Żeby dostać pracę. Nie będę występował w pokazach minstreli.

– Dlaczego?

– Sam pan widział. Pan chciałby w tym występować?

– Nawet jeśli... to nie ma czegoś takiego, jak pokazy białych minstreli. Chyba żeby uznać za to *Hamleta*.

– Mam to w nosie.

– Jak większość rzeczy.

– Tego pan nie wie.

– Ciągle wagarujesz. Panna North pokazała mi dziennik.

– I co z tego?

– Jeśli chcesz chodzić do szkoły, to dlaczego z niej uciekasz?

Zachary wbił wzrok w ziemię.

– Będę siedział za to w kozie?

Tom nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

– No co?

– W kozie? Nie, chyba że ten śnieg, który kopiesz, będzie leciał na mnie.

Zachary przestał wierzgać nogą.

– Za dużo tego wszystkiego.

– Czego za dużo?

– Pisanie. Matematyka. Wszyscy się na mnie gapią, a ja słyszę w głowie „Nie umiem, nie mogę”, coraz głośniej i głośniej, aż w końcu uciekam. Chcę zostać, ale nie mogę.

Tom postawił kołnierz płaszcz, żeby powstrzymać chłód.

– No i?

– I co? Nie mam pojęcia, co jest z tobą nie tak.

– Bo myśli pan, że coś jest nie tak?

– Panna North uważa, że nie widzisz słów. Mnie jeszcze nie zdiagnozowała.

– A co panu dolega?

Tom wzruszył ramionami.

– Gdyby to miało nazwę, może byłoby bardziej wybaczone.

Zerwał się wiatr, zacinając im śniegiem w twarz.

– Długo zamierzasz tu stać? – spytał Tom.

Zachary wbił ręce w kieszenie i milczał.

– Wrócić jest trudniej? To może cię tam zaciągnę?

Twarcz chłopca pozostała bez wyrazu.

– Niech pan wraca, jak panu zimno. Ja wrócę, jeśli mi się zechce.

Tom zastanowił się przez chwilę nad tą odpowiedzią, po czym rzucił „Dobra” i wszedł do środka. Na wypadek gdyby Zachary jednak za nim podążył, dotarłszy do połowy korytarza, rzucił przez ramię:

– A propos, to dziecię ma na imię Jezus. Tak na wypadek, gdyby pastuszkowie znów cię o to spytali.

Cisza i odgłos szurających butów. A potem:

– Nie jestem debilem.

Tom uśmiechnął się.

Tymczasem w klasie Betty Oates właśnie mówiła:

– Anioł przykazał pastuszkom, by przyszli z pola i tam zajrzeli. Gdy się zjawili, oniemieli.

Wtem rozległ się chichot Poppy i George'a, który przemienił się w histeryczny rechot. Mary zmarszczyła brwi.

– Kiedy wasi rodzice przyjdą jutro obejrzyć przedstawienie, ja i anioły nie chcemy widzieć tu żadnych wygłupów, jasne? Proszę dalej.

Dzieci odśpiewały *Cichą noc*. Przebrały się w mundurki i uprzątnęły żłóbek. Odwiesiły aureole na wieszak i poszły do domu wcześniej niż zwykle, żeby zdążyć przed wieczornymi nalotami.

Mary usiadła z Tomem w głębi pustej sali.

– Dobrze się spisałeś z Zacharym.

– Nic nie zrobiłem. Miałaś rację. Jest w porządku.

Pogłaskała go po policzku.

– Ty też.

– A ty to już w ogóle.

– Mój ojciec też tak mówi, choć nie jestem pewna, czy z takim podziwem. Odprowadzisz mnie?

– Nie wiem...

– Nie przejmuj się moim ojcem. Rzadko bywa w domu, a jeśli akurat go zastaniemy, najwyżej zmusi cię, żebyś wypił z nim kieliszek świątecznego wina. Palmer robi je z goździków, kościelnych dzwonów i Dickensa. Przecwicz ze mną minę, jaką zrobisz.

Tom oblizał usta.

– Wyborne.

Mary zafrasowała się.

– Zbyt wylewnie.

Tom ponowił próbę.

– Ciekawy posmak.

Z aprobatą skinęła głową.

– Tylko nie przesadź, bo każe ci wypić drugi kieliszek. Już się tak zdarzało.

– Czy ofiara przeżyła?

– Pies dorwał się raz do kadzi. Pochowaliśmy go pod pigwowcem.

Wyszli na dwór. Padał lepki śnieg, który na chodniku zamieniał się w błotnistą papę. Wkrótce przemokli i zrobiło im się zimno.

– To chyba dobrze – oceniła Mary. – Jeśli taka pogoda się utrzyma, nie będzie dziś nalotu.

Tom spojrział w niebo.

– Nie cierpię ich. Nie przypuszczałem, że tak będę reagował, ale naprawdę nienawidzę tych sukinsynów.

– Dlatego nazywamy ich wrogiem. Teraz już rozumiesz, kochanie?

Uśmiechnął się.

– Nie wiem, co ja bym bez ciebie zrobił.

– Żyłbyś w potwornym zamęcie – rzuciła wesoło i wzięła go pod rękę.

Przystanął pod dającą marne schronienie sklepową markizą. Witryna była oklejona taśmą. Na pustych półkach stała krajalnica do bekonu, drut do cięcia sera i czarna żelazna waga – symbole wymarłego języka.

– Tom? Kochanie?

Dotarło do niego, że wpatruje się w świecący pustkami sklep.

– Myślę, że powinnaś mnie zostawić.

Wiatr zacinał im w nogi mokrym śniegiem. Koła przejeżdżających aut buksowały w brei.

– Może wejdziemy gdzieś, gdzie jest ciepło?

Znaleźli szeroką na dwa stoliki kawiarnię z pustymi cukierniczkami i ogołoconym stojakiem na ciasteczka firmy Jacob's. Byli jedynymi klientami. Rękawiczki zdjęli, ale płaszczy i kapeluszy już nie.

– Pewnie nie ma nic do jedzenia? – spytała Mary kelnerkę.

– Jest tylko herbata.

Przybyła w brązowym szklwionym czajniczku. Kiedy zerkali do

środka, żywili nadzieję, że herbata okaże się mocna. Ta nadzieja towarzyszyła im nieustannie przez ostatnie coraz chudsze miesiące. Gdy jednak zalali herbatę naparstkiem wodnistego mleka, ta okazała się prawie przezroczysta. Jej liście zalewano wrzątkiem bez końca.

Tom hałaśliwie zamieszał łyżką zawartość filiżanki.

– Chciałem wstąpić do RAF-u.

Mary położyła rękę na jego dłoni.

– Nie...

– Pomyślałem, że będziesz dumna, kiedy zobaczysz mnie w mundurze.

Ujęła w dłonie jego twarz i skierowała ku sobie.

– Naprawdę tak nisko mnie oceniasz?

– Jesteś urocza i lojalna, ale oboje wiemy, że już nie jest tak, jak było.

– Jasne, że nie, głuptasie, bo jesteśmy tysiąc lat starsi.

– Czasami zastanawiam się, jak by ci było z kimś takim jak Alistair. Z kimś, kto walczy w prawdziwej wojnie.

Mieszali lurowatą herbatę. Mokry śnieg oblepił okno.

– Ja się nad tym nie zastanawiam – odparła.

– Ale myślałaś o tym.

Czekał na odpowiedź. Jej łyżeczka stuknęła o brzeg filiżanki.

– Nie sądzę, bym mogła pokochać kogoś takiego, ze zhardziałym sercem.

– Musi być twardy.

– Ale my nie musimy.

– Na pewno? Tutaj z każdym dniem czuję się coraz gorzej. Wiem, że mnie nie zastrzelą, ale nie na tym polega życie.

– Proszę cię...

Chwycił się za głowę.

– Jestem bezużyteczny.

– Przestań. Zaraz postawimy cię na nogi. Kieliszek świątecznego wina mojego ojca załatwi sprawę. Jest tak ohydne, że od razu zapomnisz o smutkach i zaczniesz się modlić o szybką śmierć.

Ta jej niewzruszoność sprawiła, że poczuł się jeszcze gorzej.

– Błagam. Beze mnie byłabyś dużo szczęśliwsza.

– Ale to nie byłoby moje życie. To ciebie wybrałam, a kocham cię jeszcze bardziej, bo w swej szlachetności prosisz mnie, żebym nie wybrała.

Uśmiechnął się bez przekonania.

– Ty naprawdę jesteś szalona.

– Mama twierdzi, że uparta.

Poczuł się całkowicie wyczerpany, tak słaby jak ta herbata. To straszne, jak mało brakowało, żeby się załamał.

– Jezu, przepraszam.

Potrząsnęła głową.

– Będziemy się zmieniać. Kiedy jedno z nas ugrzeźnie, drugie je wyciągnie.

Posiedzieli kilka minut w tej opustoszałej kawiarni, pijąc herbatę, póki była jeszcze ciepła. Nagle weszła jakaś para i otrzepała buty z błota – ona w długiej pelerynie z kapturem, a on w mundurze oficera marynarki. Kelnerka dała im ciasteczka spod lady.

Mary roześmiała się i chwyciła dłoń Toma.

– Chodźmy stąd.

Opatulili się szczerze płaszczami pod samą szyję i ruszyli dalej, trzymając się za ręce. Mimo ostrej śnieżycy poczuli ulgę – tej nocy nie będzie nalotów. Ustalili, że śpią dzisiaj razem. I nawet gdyby miało w tym być mniej żaru niż na początku, to może jednak będzie więcej ciepła.

Mroczne popołudnie przemieniło się w wieczór. Przemierzali zaciemnione miasto, a śnieg wygłuszał odgłos ich kroków. Nie było widać zniszczeń; śnieg przeobraził sterty gruzu w obłoki i fale – kształty, których można by oczekiwać przy lepszej pogodzie.

Gdy pogasły światła i ucichły dźwięki, zostali tylko ona i on. Lecz pod spodem kryło się ogromne spalone miasto z połatanymi rurami, naprawionymi naprędce liniami telefonicznymi i podziemnymi schronami dającymi wybawienie od niszczycielskiej siły bomb. Zalegający śnieg sprawiał, że można było o tym

zapomnieć.

Może rzeczywiście będą się na zmianę ratować, pomyślała Mary. Może miasto ocaleje. Teraz mogła jedynie trzymać Toma za rękę. Śnieżyca nieco się uspokoiła. Oni też znajdą spokój.

Snopy światła szperaczy uniosły się z dachów, przesywając płatki śniegu i tworząc błękitno-białe kręgi na brzuchach chmur. Można było podążyć wzrokiem za ich elegancką linią w głąb śnieżnej bieli, która niczym wir ogarnęła całą Europę. Można było objąć wzrokiem ten podmuch zimy, po czym znów ruszyć tą samą świetlną ścieżką w dół do wiecznie czuwającego miasta i zrozumieć, jakie to kruche – trzymający się za rękę kobieta i mężczyzna na ulicach, które śnieg pozbawił nazw.

– Kocham cię – powiedziała Mary.

– Naprawdę?

– Nie idźmy do moich rodziców. Stąd jest już niedaleko do ciebie.

Teraz, gdy zaczęli do siebie lgnąć, w ich dłoniach pojawił się żar. Śnieg się stopi. Wiatr przegna chmury. Jutro wieczorem znów mogą nadlecieć bombowce.

Grudzień 1940

Alistair sterował łodzią, a Simonson, jeden z dwóch pozostałych kapitanów z 200. Baterii 10. Pułku Królewskiej Artylerii Przeciwlotniczej Ciężkiej, łowił w sieci tuńczyki. Na pokładzie ponadczterometrowego jachtu, kilkaset metrów od wschodniego wybrzeża Malty, w lekkiej śródziemnomorskiej bryzie i z dwiema butelkami miejscowego piwa, które ciągnęli za sobą w sznurkowej siatce, żeby się schłodziło, wojna wydawała się czymś zgoła zmyślonym i nieprawdopodobnym.

– Obawiam się, że musisz mi to wytłumaczyć jeszcze raz – powiedział Alistair, trącając paluchem drążek steru. – Ten gość nazywa się...?

– Jakoś tak... Hitler. Axel? Albrecht? To Niemiec.

– I chce...?

– Zawładnąć światem.

– Całym?

– Tak mówią.

– Chce wziąć na siebie wszystkie nużące obowiązki, oczywiście korzystając też z wynikających z tego przywilejów?

– Widocznie to sobie rozważył i uznał, że jednak warto.

– A wziął pod uwagę, jacy jesteśmy wkurzający? I to, jak niezależni są Amerykanie? Jak by się krzywili, gdyby pojawił się na Manhattanie i, jako Europejczyk, zaczął kierować ruchem?

– Mój drogi chłopcze, my, Brytyjczycy, roztrząsamy te kwestie od wieków, ale trudno oczekiwać, żeby jakiś Hun podchodził do tego równie roztropnie.

Sterując nogą, Alistair zapalił fajkę i nastawił fok ręką, w której trzymał zapalną. Wydmuchnął kłęb białego dymu, który wiatr porwał na rdzawą powierzchnię grotu.

– Oryginał z tego Niemca – ocenił Alistair.

Simonson pociągnął sieć, by sprawdzić, czy coś do niej wpadło.

– Ma tylko jedno jądro.

Alistair uniósł brwi.

– Tak – potwierdził Simonson. – Wszyscy o tym wiedzą.

Półtora tysiąca kilometrów dalej na zachód leżał Gibraltar, a półtora tysiąca kilometrów na wschód – Aleksandria. Mimo że zbliżała się Gwiazdka i woda była zbyt zimna, żeby w niej pływać, w słońcu było całkiem miło i obaj świetnie się czuli w białych koszulach i cywilnych spodniach. Simonson ściągnął sieć, żeby sprawdzić, czy nie zaplątała się w niej błystka.

– Od dwóch godzin ani jednego brania. Te ryby to nazistki.

– Może używasz złej przynęty.

Simonson potrząsnął głową.

– Drwią ze mnie. Wiedzą, że umieram z głodu i tylko przeglądają się w błystce w tych swoich srebrnych skórzanych szortach.

– Poruszając się posuwicie. – Alistair wykonał falujący ruch ręką.

– Jasne – zgodził się Simonson. – Jak flądry.

Obaj spojrzeli za rufę. Na wodzie unosiła się pływająca mina. Widać było tylko jej górną część, czarną, złowrogą, najeżoną wypustkami, która kołysała się na falach. Minęli ją o centymetry.

– Boja. Trzeba przypomnieć kierownikowi zawodów, żeby malowali je na bardziej rzucający się w oczy kolor.

Zawrócili łódkę i, mijając to miejsce, jeszcze raz mu się przyjrzeni.

– Myślisz, że by wybuchła, gdybyśmy ją potracili drewnianym kadłubem? Może reagują tylko na metal?

– Bardzo ci zależy, żeby się o tym przekonać?

– W ogóle.

– W takim razie lepiej omińmy ją z daleka – zasugerował Alistair.

– Zresztą, i tak powinniśmy już wracać.

– No nie! Już czas na wojnę?

– Pomyśl o plusach. Wrócimy akurat na kolację.

Simonson jęknął. Zjedzą ją – tak jak cały pułk – w forcie St Elmo w La Valletcie u wejścia do portu. Kiedy już się ogolą i przebiorą,

zejdą do samych trzewi fortecy, która przetrwała Wielkie Oblężenie Malty w XVI wieku. Zasiądą w mesie oficerskiej przy składanych aluminiowych stolikach, żeby zjeść żalosne porcje będące wynikiem trwającej blokady – mały kawałek konserwy wołowej z mąką i ziemniakami, a co trzeci dzień duszone warzywa w cienkim sosie, tak ohydne, że niemal cieszyli się, iż konwoje z żywnością miały takie trudności z przedarciem się na wyspę.

Alistair uśmiechnął się, widząc zde gustowaną minę kolegi. Wciągnął na pokład siatkę z piwem, a Simonson wypuścił sięć.

– Miałbym prośbę.

– Wał śmiało – zachęcił kolegę Alistair, ściągając kapsle z piwa.

– Jeśli nic nie złapiemy, zaszlachtuj mnie i powiedz kucharzowi, że to wieprzowina.

– Nie myśl, że już nie przemknęło mi to przez głowę. Jedyne głupi sentymentalizm sprawia, że najpierw pozwolę ci wypić piwo.

Skierowali się w stronę zatoki św. Pawła, gdzie niegdyś apostoł został wyrzucony na ląd. Alistair porównał wszystkie szczegóły opisane w Dziejach Apostolskich z mapami Królewskiego Urzędu Hydrograficznego i doszedł do wniosku, że wszystko się zgadza. Stacjonował na Malcie już od trzech miesięcy i podobało mu się, że jej historia pozostaje żywa. W osadzonym w gliniastej ziemi Londynie postrzegano ją jako legendę, którą wciąż można zmieniać, wspaniałą, lecz mało wiarygodną rozrywkę podatną na przeredagowanie za każdym razem, gdy jakiś zbieracz brodzący w Tamizie podczas odpływu wydłubał z błota burzącą dotychczasowe teorie skorupę.

Londyn schlebiał tłumom, podważał, z własnej woli wypierał pamięć i odgrzebywał dzieje jedynie po to, by ułożyć kości wedle nowego przemysłnego porządku. Za to Malta pozostawała skałą z jedynie garstką wierzchniej gleby. Nie mając się gdzie skryć, czas skolonizował jej powierzchnię i zległ na niej w całej okazałości. W wapiennych grotach pełnych skamieniałych skorupiaków Alistair widział liczący osiem tysięcy lat posąg obwieszany w święta girlandami z papieru. W maleńkiej, mrocznej, pachnącej kadzidłem

kapliczce, w której się zaszył, by na moment uciec od wojny, trafił na płótno, którego autorem mógł być, jego zdaniem, Caravaggio. Ksiądz nic o tym nie wiedział ani go to nie obeszło; odparł, że to dzieło miejscowego artysty.

Alistair wypił piwo, póki było zimne, i cisnął pustą brązową butelkę za burtę. Biały ślad ich łodzi bulgotał na powierzchni morza.

– Dlaczego się uśmiechasz? – spytał Simonson.

– Bo dostałem poranną pocztą list miłosny.

Simonson ziewnął.

– Ja dostaję trzy tygodniowo.

– Ale moja rodzina nie jest obrzydliwie bogata, więc mogę przypisać go swojej urodzie.

– Idź do diabła. I przekaż tam w piekle, że przychodzisz ode mnie.

– Piekło pewnie też należy do ciebie?

– Mam pięćdziesiąt jeden procent udziałów, czyli pakiet kontrolny.

– Zadbam, żeby ciepło cię tam przyjęli. A propos, ona ma na imię Hilda.

– Nie pytałem cię o to.

– Ale zżerała cię ciekawość.

– Jestem tak ciebie ciekaw, Heath, jak Freud był ciekaw histeryków, a Mendel ziaren groszku. Potwierdzasz moje teorie.

– Ma na imię Hilda i bajeczne oczy jak... sam nie wiem. Są niepowtarzalne, wyjątkowe.

Simonson zamyślił się.

– „Och, Hildo, twe oczy wbrew naturze, napisałaś do prostaka w mundurze”.

Alistair puścił to mimo uszu.

– Wyznaje mi miłość już w pierwszym akapicie.

– Jakież to wulgarnie. Co znowu? Skąd ten niecny uśmieszek?

– Cieszę się, że sprowokowałem cię do takiej emocjonalnej reakcji.

– Bo u kobiet i koni nie wolno tolerować swawoli.

– Przekażę to Hildzie. A jeśli dasz mi kostkę cukru, wsunę ją do

koperty.

– Chyba nie zamierzasz zaszczycić jej odpowiedzią?

– Właściwie to się nad tym nie zastanawiałem.

Simonson zmierzwił Alistairowi włosy.

– To rozumiem.

A jednak się zastanawiał. Nad tym, jak była szczerą i prostolinijną, gdy tuliła się do niego w teatrze. Byłoby dużo poręczniej, gdyby zakochał się w niej, nie w Mary. Mogliby wyjeżdżać we czwórkę na weekendy i szczerzyć w uśmiechu bielutkie zęby, jak te zaprzyjaźnione pary reklamujące plażę w Blackpool.

Alistair skierował dziób łodzi wprost do zatoki.

– Cholera! – zaklął Simonson. – Naprawdę musimy wracać?

– Jeszcze by pomyśleli, że nie podoba ci się wojna.

– Nie cierpię tej wyspy.

– Nie wydaje ci się egzotyczna?

– Heath, nienawidzę Malty. Miejsce, gdzie nie zakiełkuje żadne ziarno, nie nadaje się dla ludzi. Mam wielką nadzieję, że jedna z tych bomb trafi tę wyspę poniżej linii wody i że ta zatonie, a my wrócimy do domu na okrętach marynarki.

– Ale chyba lubisz jej mieszkańców?

– Nie cierpię. Są nieudolni, śniadzi i do wyrzygania lojalni. Nie lepsi niż czarnuchy.

– Okazują nam gościnność.

– Okazywali ją Fenicjanom, Kartagińczykom, Rzymianom, Wandalom, Bizantyjczykom, Arabom, chrześcijanom i Francuzom. Gdyby Mussolini dotarł tu pięć minut przed nami, miejscowi gwizdali mu Pucciniego.

– My nie bylibyśmy karczmarzami, gdybyśmy znaleźli się na takim rozdrożu?

Simonson usiadł prosto.

– Skoro angielska straż nabrzeżna ma dwudziestoosmiotowe działa odtylcowe dużego kalibru, to nie musimy być karczmarzami.

Alistair roześmiał się.

– Złapałeś coś?

Niepocieszony Simonson pociągnął za sieć.

– To wina Kriegsmarine. Przekazują przez radio nasze pozycje wszystkim rybom w promieniu jednej mili morskiej.

Gdy byli jakieś trzysta metrów od brzegu i zbliżali się do wejścia do zatoki, znad urwistego cypla wyskoczył myśliwiec i opadł niemal nad samą powierzchnię wody. Zmierzał wprost na nich. Alistair widział przez szybę kabiny pilota z goglami nasuniętymi na czoło, który zaskoczony spostrzegł ich nad maską silnika swojej maszyny. Alistair zdążył jeszcze pomyśleć: „To nie nasz”, gdy samolot przeleciał z jazgotem tuż nad nimi, omal nie zawadzając o maszt. Strumień powietrza uderzył w żagle i wywrócił jacht.

Alistair z trudem łapał powietrze w zimnej wodzie. Łódka leżała na burcie, żagle chlupały na falach.

– Teraz będziemy musieli wysuszyć tytoń.

– Mówiłeś, że umiesz żeglować – poskarżył się Simonson.

– Po tej stronie zatoki wiatr bywa dość kapryśny.

Przywarli do pawęży. Alistair poluzował żagle i przygotował się do postawienia łodzi na wodzie.

– Obrócimy ją, żeby znalazła się po nawietrznej, a potem będziemy przec na miecz, póki jej nie postawimy. W porządku?

Simonson rzucił spojrzenie za oddalającym się myśliwcem.

– Włoch?

– Tak myśle. Pewnie już zgłosił, że nas zatopił.

Simonson splunął słoną wodą.

– Wymaluje sobie jacht na kadłubie, a obsługa naziemna zrobi mu łaskę.

Gdy obracali łódkę, zorientowali się, że silnik myśliwca brzmi jakoś inaczej. Hałas zaczął narastać. Alistair dostrzegł grzbiet skrzydeł z symbolem różg liktorskich i dotarło do niego, że maszyna robi nawrót i znów się do nich zbliża. Wszystko działo się tak szybko, że jedynie zdołał to zarejestrować. Z jednej strony zebrał się w sobie, by zareagować na atak, z drugiej zaś podziwiał zręczny nawrót maszyny, która niemal zaczepiła skrzydłem o fale, i białą smugę powietrza tworzącą łuk nad lśniąca taflą wody. Dziób

myśliwca znów skierował się wprost na nich. Absolutnie nic nie mogli zrobić. Simonson zaklął pod nosem, nazywając pilota zimnym skurwielem. Tymczasem ten tylko przeleciał nas nimi z hukiem, nie oddając strzału.

– Co on, do cholery, wyprawia?!

– Ustawia się. Pewnie jakiś nowy – ocenił Alistair.

Myśliwiec zrobił kolejny nawrót i znów na nich ruszył. Alistair obrócił się nogami w stronę nadlatującej maszyny i położył się na plecach, po czym wystawił stopy ku górze jako najmniejszy możliwy cel ataku. Gdy zanurzył się tułowiem w wodzie, dostrzegł, że Włoch otwiera szklaną pokrywę kabiny. Wystawił gołą rękę i upuścił coś białego, co zatrzymało się na powierzchni wody. Później maszyna odleciała. Odgłos ryku silnika zlał się z szumem fal.

Kiedy doszli do wniosku, że już nie wróci, Simonson podpłynął po przedmiot upuszczony przez pilota. Była to zwinięta w kulkę kartka papieru. Simonson rozprasował ją na obróconym do góry dnem kadłubie jachtu. Zielonym długopisem używanym do kreślenia map Włoch napisał: *Mi dispiace*.

– Przeprasza. Pewnie za to, że nas wywrócił – domyślił się Simonson.

Uczepieni łódki, wpatrzyli się w punkt na horyzoncie, w którym włoski myśliwiec rozplynął się na niebie.

– Nie wspomniałeś, że znasz włoski – zauważył Alistair.

– Matka ma dom nad jeziorem Como.

Alistair roześmiał się.

– Co?

– To straszne, że już nie możecie tam jeździć.

– Czy ja wiem? Włochy to jednak kawał drogi, a tam tylko faszyzm i oliwki.

– Lubię oliwki.

– A matka lubiła faszyzm. Po wypowiedzeniu wojny musieliśmy spalić wszystkie jej zdjęcia.

Postawili wreszcie łódkę w pionie i, trzęsąc się, zaczęli butami

wylewać z niej wodę. Kiedy dało się nią już żeglować, podpłynęli po sieć. Drewniany kołowrotek unosił się na wodzie. Simonson chwycił go i zaczął ściągać linę, ale błystka opadła na dno i o coś zaczepiła. Trwało to okropnie długo. Tymczasem Alistair położył się na dnie łodzi, próbując ogrzać się w słońcu. Woda chlupotała o kadłub, luźne żagle furkotały na wietrze. Nawałniki skrzeczały i gruchały, przeczesując fale w poszukiwaniu zdobyczy.

Simonson mógł sobie mówić, co chciał, ale Alistair polubił Malteę. To niewinne błękitne morze nieco rozmyło złe wspomnienia z Francji. Nawet blokada wyspy przyniosła mu korzyść. Po paru bezsennych, wypełnionych koszmarami nocach niedostatek alkoholu okazał się zbawienny. Z rzadka pite piwo wprawiało go w dobry nastrój; już nie musiał się upijać, żeby zapomnieć. Znów widział wszystko wyraźnie – uśmiech Hildy i jej rozczulające wysiłki, by makijaż pozostał w doskonałym stanie. Postanowił, że jej odpisze. Pewnie ucieszą ją wieści o cieplej pogodzie, radosnych mieszkańcach i o małej, żyjącej swoim życiem wyspie.

– Może się zmienimy? Mam dość – oznajmił Simonson, położył się na dnie łodzi i zamknął oczy. Teraz Alistair zajął się ściągnięciem sieci. Było to mozolne i bolesne zadanie. Za jednym pociągnięciem lina odpuszczała góra na trzydzieści centymetrów i raniła mu dłonie. Biały sznur tonął w błękitnej głębinie, a za nim podążały złociste promienie słońca. Po paru minutach Alistair dostrzegł dziesięć, może trzynaście metrów pod wodą jakiś niewyraźny zielono-szary kształt.

– Kupa wodorostów – skonstatował.

Simonson ziewnął.

– Nazywali mnie gorzej, i to przystojniejsi od ciebie.

Tymczasem to coś było coraz bliżej i przybrało formę, którą Alistair mógł już rozpoznać, choć zdecydowanie wbrew sobie. Sześć metrów pod wodą widział go wyraźnie. Martwy żołnierz patrzył na niego niewidzącymi oczami tak spokojnymi i przejrzystymi jak ta woda. Alistair wzdrygnął się, wyciągnął nóż i odciął linę. Obserwował, jak ciało w mundurze obraca się do niego plecami

i opada na dno, ciągnąc za sobą swoje blond włosy i białą linę, póki słoneczne refleksy nie zatarły tego obrazu i nie stracił go z oczu.

– Cholera – burknął.

– Mmm? – mruknął Simonson, ledwo odmykając oczy.

– Lina pękła – wyjaśnił Alistair. – Widocznie za mocno szarpnąłem.

– Zapłaciłem za tę sieć trzy szylingi.

– Odkupię ci.

– Nie musisz – odparł wielkodusznie Simonson. – Jesteś beznadziejnie biedny, a w tej wodzie i tak nic nie ma.

Dopłynęli do plaży i wyciągnęli łódź na brzeg przez wąski piaszczysty przesmyk w drucie kolczastym. Opuścili żagle, zdjęli ster i zostawili jacht w miejscu, skąd zabiorą go następni oficerowie, którzy dostaną przepustkę na pół dnia.

Woźnica już czekał. Gdy dobijali do brzegu, zaprzął kościstego konia, który ciągnął teraz ich kolaskę po wyboistej, pnącej się pod górę drodze do fortu St Elmo.

Słońce opadało już za górami. Zrobiło się chłodniej i Alistair poczuł dreszcze. Żółte skały i żółte kamienne ściany domów pokryły się cieniem. Po obu stronach drogi kobiety w czerni skrobały cienką warstwę ziemi na poletkach wielkości kortu tenisowego. Ich motyki wydawały metaliczny dźwięk, gdy napotykały na swej drodze kamień. Alistair obserwował Simonsona z ciemnymi, jeszcze mokrymi włosami, który ogarniał wzrokiem tę scenę. Miał dwadzieścia dwa lata, ale wyglądał młodziej. Był mocno umięśniony, bo pływał i uprawiał inne sporty, i poruszał się z wprawą atlety. Kiedy szedł, zdawał się potrzebować podparcia pod stopami jedynie dla zachowania równowagi. Jego oczy błyszczały w zachodzącym słońcu niczym bursztyn. Na jego twarzy malowała się cudowna łagodność, która – gdyby o tym wiedział – doprowadziłaby go do furii. Alistair nie miał co do tego wątpliwości. Ta twarz, na której często gościł wstydlivy uśmiech, stała w całkowitej sprzeczności z wypowiedzanymi przez niego kąśliwymi uwagami.

Simonson owinął się końską derką i patrzył spode łba na mijane sielskie krajobrazy.

Alistair uśmiechnął się.

– Rolnictwo też potępiasz?

– Myślę o balach, które nas ominą. Wszystkie listy, które dostaję, cuchną szampanem i orkiestrą.

– Z tego, co słyszałem, Londyn obrywa jak cholera.

– To kwestia perspektywy. Jeśli dobrze to zaplanujesz, możesz się temu przyglądać z dachu szykownego Claridge's. Mój ukochany starszy brat od wybuchu wojny nie trzeźwieje.

– Nie ma wyrzutów sumienia, że został w domu?

– Dobry Boże! Niby dlaczego? Randolph nie musi niczego udowadniać, oprócz tego, że jest pierworodnym synem naszych rodziców, a to potwierdza akt urodzenia, który trzyma w sejfie.

– Teraz już wiem, że żartujesz.

– Raczej mu zazdroścę. Randy właśnie budzi się w jedwabnej pościeli z różowitką kochanką u jednego i drugiego boku. A my tkwimy na tej stetryczalej skale.

– Pewnie w końcu go powołają.

Simonson pokręcił z politowaniem głową.

– Ty naprawdę nie wiesz, jak to działa.

– Wiem, jak działało do tej pory. Ale ta wojna wszystko zmieni.

Młody oficer uniósł z przerażeniem brew.

– Jeśli ją przegramy. Ale nawet wtedy... podejrzewam, że mamusia zachomikowała parę zdjęć. Każda rodzina warta swego herbu umie się zabezpieczać na różne okoliczności.

Koszula Alistaira nasiąkała solą. Possał mankiet i aż zadrżał, zachwycając się tym zjawiskiem. Kapotowali w zatoce, w której o mało nie utopił się Święty Paweł, a teraz jechali pewnie tą samą nadbrzeżną drogą do La Valletty, którą przed wiekami przemierzał apostoł. Podkowy na końskich kopytach brzęczały, a po lewej i prawej przyodziani w czerń ludzie nikli w coraz głębszym cieniu. W dole, przy pokarbowanych brzegach zatoki, fale sączyły czerń w skały.

Odpisze na list Hildy i pewnie coś się między nimi zacznie. Może właśnie tym jest miłość – nie karkołomnym skokiem z mostu i nie żarem fajerwerków, tylko pokorną zgodą na przyjęcie wyciągniętej ręki, nim zgaśnie niebo.

Ale najpierw napisze do Toma. Jeśli zachował się jak bufon wobec Hildy, to swojego najlepszego przyjaciela potraktował jak ostatni palant. Napisze do niego, jak tylko wróci do fortu. Przeprosi go za swoje zachowanie i nie będzie zwał winy na wojnę. Poprosi go o przebaczenie, a kiedy Tom mu go udzieli, odpisze na list Hildy z głową niezaprzątniętą niczym innym.

Od razu poczuł się lepiej. Kolaska podskakiwała na kamienistej drodze wijącej się wśród murów starszych od Chrystusa. Od morza wiała chłodna słona bryza, a na wschodnim niebie weszła pierwsza gwiazda. Alistair uświadomił sobie, że wojna go odmieniła.

Grudzień 1940

Mary usiadła przy pianinie i uśmiechnęła się do siedzącego w pierwszym rzędzie Toma. Każdy z uczniów zdołał przyprowadzić przynajmniej jednego rodzica, co było całkiem niezłym wynikiem, zważywszy, że była trzecia po południu w zwykły dzień roboczy, który w związku z nalotami został skrócony do sześciu godzin. Wszystkim należała się za to szóstka.

W pierwszym rzędzie zasiedli też: ojciec Zachary'ego, matka Poppy, mama Kennetha i oboje rodzice Thomasa. Miejsce w drugim rzędzie – nieco ostentacyjnie, by znaleźć się jak najdalej od ojca Zachary'ego, jak sądziła Mary – zajęła matka Maud. Ale przynajmniej przyszła. Gwiazda wznosząca się nad stajenką wciąż miała w sobie to coś, co przyciągało z pół tłumy.

Mary zagrała ostatnie akordy pieśni, złożyła ręce na podołku i skinęła głową, dając dzieciom znak, że mogą zacząć swój występ. Betty wkroczyła w snop światła reflektora skleconego naprędce przez ojca George'a z oprawki oraz puszek po fasolce po bretońsku i zamarła, póki Mary nie podszeptała jej:

– Dawno temu...
– Dawno temu, w mieście Nazaret do...
– Zoczcie! – wrzasnął Kenneth. – Dziewica! Stanie! Się! Brzemienna! I!...

– Jeszcze nie teraz! – syknęła Mary.
Wytrzeszczając oczy, chłopiec zasłonił dłońmi usta.
– ...do Marii i Józefa przybył anioł i rzekł... – ciągnęła Betty.
Mary zachęciła szeptem Kennetha, by ten wypowiedział swoją kwestię.

– Zoczcie...
Cisza. Siedzący w pierwszym rzędzie z niepokojem spojrzeli na

Mary. Kenneth wpatrywał się w sufit.

– Zoczcie... – powtórzyła Mary, ale nie przyniosło to skutku.

Tom zerknął na nią znacząco i wskazał na swoje ucho. Usłyszała głucho dudnienie. Po chwili zawyły syreny. Mary poczuła jakże dobrze jej znany strach i jednocześnie wściekłość na wroga. Akurat w taki dzień Niemcy postanowili rozpocząć naloty wcześniej.

Wstała od pianina.

– Zejdziemy do piwnicy. Najpierw dzieci, spokojnie i cichutko. Parami bierzemy się za ręce, tak jak to ćwiczyliśmy.

Wydała każdej z par świeczkę i ruszyli po schodach w dół, Poppy z George'em, Maud z Kennethem, Zachary z Betty, samotna Beryl, bo nie pozwalała nikomu się dotknąć, a na końcu Thomas niesiony przez ojca; jego wózek został w korytarzu.

Upewniwszy się wraz z Tomem, że wszyscy zeszli do piwnicy, Mary weszła do kotłowni i wyłączyła zasilanie, gaz i wodę. Sprawdziła jeszcze, czy nikt nie został w klasie. Wzięła dzieciątko Jezus pod pachę, zamknęła wieko pianina i zeszła na dół.

W piwnicy panował rozgardiasz i słychać było nerwowe śmiechy dorosłych. Dzieci przekomarzały się o miejsca na dwóch długich ławkach z sali gimnastycznej, ustawionych tu przez Mary podczas robienia porządków.

Mary klasnęła dwukrotnie w dłoń.

– Prosiłabym dorosłych o przesunięcie ław możliwie najbliżej ściany w głębi. Później proszę zająć miejsca. Przestrzeń przy wejściu pozostanie wolna: to będzie nasza scena. Mniej tu miejsca niż na górze, dlatego niech pastuszkowie trzymają swoją trzódkę przy sobie, a anioł.. Gdzie jesteś, Kenneth? Aniele, uważaj, jak będziesz machał skrzydłami. Betty, Maud, weźcie więcej świeczek, włóżcie je do słoików i ustawcie pod ścianami. Gdziekolwiek. Dzieci, na swoje miejsca. George, możesz przynieść stółek dla Thomasa? Bardzo ładnie. Dobrze, zaczniemy od „Anioł rzekł...”.

– Zoczcie! – zawołał Kenneth. – Zoczcie!

W migotliwym świetle świec ozwały się wiwaty. Dzieci odtąd już się nie myliły i Mary tylko przypatrywała się ich występowi. Przez

ściany piwnicy przenikały odgłosy odległych detonacji. Płomienie świec wydobyły z mroku stare półki, odbijały się w krągłościach zniszczonych globusów, rzucały żółte światło na zakurzone robótki ręczne i przemieniły złożone w kącie gaiki w długie, jaśniejące bielą w ciemnościach kości.

Gdy przyszła pora na odśpiewanie kolejnej pieśni, Mary wyjęła z sosnowego pudełka dzwonki, chwyciła drewniane pałki i lekko się skrzywiła. To mogło być trudniejsze, niż jej się zdawało.

– Proszę mi je dać – odezwał się ojciec Zachary’ego. – Jaka to pieśń?

– „Nie ma miejsca w gościńcu”.

Zaczął grać od razu. Dwa takty i skinął głową, zapraszając dzieci do śpiewania. Grał równo, bez zbędnych ozdobników. Mary słuchała pieśni z zamkniętymi oczami.

Kiedy Maria i Józef ułożyli dzieciątko w skrzynce od dzwonków, która zastąpiła żłóbek, i uczniowie odśpiewali ostatnią pieśń, przedstawienie dobiegło końca, lecz nalot trwał w najlepsze. Odgłosy eksplozji wibrowały w ziemi. Bomby nie spadały bliżej, ale i nie było ich mniej. Przysiadłszy na ławach, dzieci wtuliły się w ramiona rodziców i wszyscy wyczekiwali odwołania alarmu. Mówili szeptem, jakby wojna mogła ich podsłuchać. Jako że nie mieli nic innego do roboty, wpatrywali się w dzieciątko w żłóbkę, wokół którego płonęły świece w słoikach.

Mary usiadła na końcu ławy obok Toma.

– Czujesz się gwiazdkowo?

– Jak elf w ajerkoniaku.

Położyła mu głowę na ramieniu.

– Podoba ci się tutaj?

Rozejrzał się krytycznie wokół.

– Trochę brakuje kobiecej ręki.

Szturchnęła go w żebra.

– Nienawidzę cię.

– Teraz to twoja szkoła. Po wojnie, kiedy wszyscy wrócą, pewnie będziesz musiała ją oddać, ale oboje będziemy wiedzieli, kto trwał

na posterunku, kiedy było trzeba.

– Chętnie oddałabym klucze. Ulżyłoby mi, gdybym nie musiała nad wszystkim czuwać.

– Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, że wykonujesz polecenia panny Vine. Nie po tym wszystkim.

– Naprawdę?

– W ogóle nie wyobrażam sobie, żeby mogło być jak dawniej. Spójrz na nas. Siedzimy w ciemnościach: kolorowi, kaleki i opóźnieni w rozwoju, ale trwamy. Kiedy tamci wrócą, będą musieli okazać nam szacunek.

Mary ziewnęła i wyciągnęła przed siebie nogi, tak jak Tom.

– Chcę tylko jakoś przetrwać. Przyznam, że nie bardzo mnie obchodzi, kto będzie miał powody do satysfakcji, pod warunkiem, że nie będą to Niemcy.

Uśmiechnął się.

– A mnie nie obchodzi nikt oprócz ciebie. Jeśli jest jeszcze jakaś osoba...

Nastąpiły trzy potężne wybuchy, które odjęły im oddech i zdmuchnęły świece. Dzieci i rodzice krzyczeli. Oszołomiona Mary ocknęła się, leżąc na Tomie. Oboje próbowali wstać. Mary gorączkowo pogmerała w kieszeniach i wyciągnęła zapalniczkę.

Zachary wpatrywał się w nią z przerażeniem.

– Nie bój się – wymamrotała Mary z ustami pełnymi pyłu. Eksplozja spowolniła jej ruchy. – Już dobrze. Tutaj nic nam nie grozi.

Kolejny potężny wybuch, jeszcze bliżej, wytrącił jej zapalniczkę z ręki. Gdy szukając po omacku, wreszcie ją znalazła i zapaliła, zobaczyła, że Zachary zniknął. Usłyszała tylko jego dudniące kroki na drewnianych schodach wiodących na parter.

– Nie! Zaczekaj!

Chciała za nim pobiec, ale Tom ją zatrzymał.

– Ja pójdę.

Kiedy wyszedł, Mary musiała zapanować nad dziećmi i ich rodzicami. Zapaliła świeczki w słoikach i przyjrzała się ranom.

Ojciec Zachary'ego kiwał z boku na bok głową w całkowitym oszołomieniu. Ojciec Thomasa miał wybity bark. Siedział na podłodze oparty o ścianę, zielony na twarzy. Dzieci miały tylko siniaki.

Mary poprosiła, żeby wszyscy zachowali spokój i dopiero wtedy dokładnie wszystkich obejrzała. Dźwięczało jej w uszach. Widocznie uderzyła się w głowę mocniej, niż sądziła. Najważniejsze, że bomby spadały teraz gdzieś dalej. Nie wiedziała, jak długo nie było z nimi Toma i Zachary'ego. Może pięć minut. Potykając się, wyszła na korytarz – wyglądało na to, że zgubiła but – i postanowiła wyrzucić na zewnątrz. Odepchnęła ciężkie drzwi wejściowe i ze zdumieniem stwierdziła, że wciąż jest widno. Ulica była opustoszała i zasłana gruzem. Jeden z domów pośrodku ulicy się zawalił.

Spojrzała w niebo. Nie zobaczyła na nim bombowców. Wyszła na ulicę, ale się zmitygowała i śpiesznie skryła się na ganku. Oczywiście była to niedorzeczna kryjówka – Mary chowała się przed bombami, nie przed deszczem – a jednak w drewnianym stojaku w kącie wciąż tkwiły parasolki rodziców. Jakiś rozumny głos podszepnął jej, żeby wziąć jedną z nich. Zawsze lepsze to niż nic. Gdy po nią sięgnęła, dostrzegła przez otwarte drzwi jakiegoś chłopca u wylotu ulicy. Był postury Zachary'ego, ale biały. Miał na sobie białą bluzę i szorty. Zawołała, żeby schronił się w szkole razem z nią. Spojrzał na nią, zrobił dwa kroki w tył i uciekł.

Musiała minąć pięć przecznic, nim go dogoniła. W pobliżu znów zaczęły spadać bomby. Kiedy wreszcie złapała Zachary'ego, w jego oczach zobaczyła wyłącznie przerażenie. Zaciągnęła go za róg, z trudem łapiąc oddech. Skulił się i podniósł do góry ręce, jakby się bał, że go uderzy. Zaczęła się zastanawiać, jak to możliwe, że ma białą skórę i dlaczego tak się jej przestraszył. Rozplakał się brązowymi łzami. Dopiero po chwili zorientowała się, że to zwykłe łzy, które spłukują z jego policzków biały pył.

– Dlaczego? – wydusiła z siebie wreszcie. – Dlaczego zawsze uciekasz?

– Przepraszam... – wyjąkał, ciężko dysząc. – Przepraszam...

Mary potrząsnęła głową.

– Musisz ze mną wrócić. Nie możemy tu zostać.

– Nie zejść do tej piwnicy.

– Oczywiście, że zejdziesz.

Zaprowadziła go tam wśród spadających wokół bomb, choć się opierał. U wylotu bocznej uliczki zobaczyła leżącego na chodniku Toma. Spał przysypany śniegiem w promieniach zimowego słońca. Właśnie tak człowiek reaguje w stresie, czytała o tym – rozum wypiera to, czego nie może znieść. Będzie musiała tu po niego wrócić, jak tylko odprowadzi Zachary’ego do schronu. (Niesamowite, że zachowała spokój w tej sytuacji; cały czas myślała klarownie i nie wpadła w panikę). Zdawało się, że bombowce znów zaatakowały odleglejsze cele. Zaciągnęła Zachary’ego na Hawley Street, gdzie dostrzegła interesujący fenomen. (Jakże ojciec byłby dumny, że Mary umie opanować nerwy w chwili kryzysu). Trzymała Zachary’ego za chudy nadgarstek, wyczuwając w nim tętno. Pomruk bombowców wskazywał, że skierowały się na wschód. Jestem świadkiem fenomenu mającego związek z nalotami, pomyślała.

Bo prawda była taka, że Hawley Street wciąż istniała, za to szkoła zniknęła. Mary dwukrotnie przeszła ulicę w jedną i w drugą stronę, spokojnie, ale żwawo. Ciągnęła za sobą Zachary’ego i dziwiła się, gdzie podziała się szkoła. Rzecz jasna na pewno znajdzie się jakieś proste wytłumaczenie. Może ktoś, kto nie zna tej okolicy, przestawił szkołę w niewłaściwe miejsce? Mary wybuchnęła śmiechem, bo przecież to absurd, żeby nie można było znaleźć czegoś tak dużego i po wiktoriańsku nieruchawego jak budynek szkoły przy Hawley Street. Natrafiła jedynie na ogromną stertę czerwonych cegieł upstrzonych tu i ówdzie zdobną londyńską żółcią. Że ktoś wpadł na pomysł, by zostawić cegły w takim miejscu! I w tym momencie wszystko w niej zamarło, bo zrozumiała, że to kwestia percepcji. Jej uraz głowy był znacznie poważniejszy, niż przypuszczała. Miała halucynacje. Przeraziła się, ale przynajmniej teraz wszystko nabrało sensu – biała skóra Zachary’ego, głęboki sen Toma i szkoła, która

zniknęła bez usprawiedliwienia. Dziwny ten mózg. Mary usiadła w gęstym białym pyłe i się roześmiała.

Później wytłumaczyli jej, że to całkiem normalna reakcja po wstrząsie. Ktoś przyszedł i zabrał Zachary'ego. Musieli odgiąć jej palce, żeby go puściła. Później godzinami rozpamiętywała tę stratę: tego ranka przysłali jej przecież cały karton kredy i teraz się pewnie połamała. Dwadzieścia lasek! Wyjaśniła pielęgniарce, że jakoś muszą sobie poradzić i że będą pisać na tablicy resztkami starej kredy.

Zawieźli ją do przykościelnego domu opieki i owinęli kocami. Przekonali, że opatulona jak niemowlę szybciej dojdzie do siebie. Mijały kolejne doby – jakby światło przygasało i znów się włączało, jakby coś było nie tak z zasilaniem. Powiedzieli jej, że z ruin szkoły nie wydobyto żadnych ciał, jedynie ich fragmenty. Odnaleźli jedynie ciało Toma leżące na ulicy. Ściągnęli z niej koce, ale tylko po to, żeby mogła pojechać i go zidentyfikować.

Kostnicę zorganizowano naprędce w kościele. Ktoś tłustą czerwoną kredką wyrysował na czole Toma znak X. Oznaczało to, że doznał obrażeń wewnętrznych. Wyjaśnili jej, że zabiła go fala uderzeniowa, dlatego na zwłokach nie było żadnych śladów – oprócz tego X. Mary prawie nie słyszała, co do niej mówili. Było dla niej oczywiste, że bomba nie wyrządziła mu żadnej krzywdy i że zgon musi mieć jakiś związek z tą okropną literą na jego czole. Matematyczna niewiadoma, osobliwość.

Tłumaczyła to kobiecie, która się nią zajmowała, kwitując w przerwach dostarczenie kolejnych szczątków zwożonych do kostnicy przez ratowników w półmetrowych podłużnych pudłach zarekwirowanych pewnemu sklepikarzowi.

Matka Mary pojawiała się u niej i znikwała. Powiedziała jej, że ekipy ratownicze przeszukiwały gruzowisko przez cztery dni i noce, wyciągnęły stamtąd szczątki i zalały wszystko wapnem.

Ludzie pytali Mary, jak się czuje. Odpowiadała: całkiem nieźle, dziękuję. Nie, nie ma już ochoty na herbatę. Tak, może dostarczyć listę uczniów i rodziców obecnych podczas szopki. Nie, ona i Tom

nie byli zaręczeni; czekała, aż biedak zdobędzie się na odwagę. Nie, nie uważa, że skoro Bóg uznał za stosowne uratować jedno dziecko, to szkoda, że akurat tego bambuska. Nie, nie sądzi, że czarni mają piekielny fart. Nie, jej zdaniem to nieszczęsne dziecko nie wybiegło podczas nalotu na dwór dlatego, że nigdy nie umiało usiedzieć tam, gdzie mu kazano. Tak, skoro chcą tak to ująć, rzeczywiście, lubiła tego czarnucha.

Później pytania się skończyły, a Mary nie miała serca, żeby zawracać ludziom głowę własnymi. Dobry Boże, przecież w domu opieki wszyscy są wyczerpani i wszyscy cierpią. Czymże jest każda spadająca bomba, jak nie zgonem w wyniku niewyobrażalnej kompresji? Żałoba jest zaraźliwa. Mary nie zamierzała opowiadać o swojej, tak jak nie kaszłałaby w zatłoczonym pociągu, nie zakrywając dłonią ust.

Siedziała więc i gapiła się na ściany w brudnym domu opieki, w którym wciąż wisiała tablica z ogłoszeniami o kościelnych spotkaniach i podwieczorkach. Czytała ogłoszenia drobne dla hodowców kotów i te oferujące pracę dorywczą.

Przypomniała sobie, by następnym razem, gdy spotka Toma, podziękować mu za to, że podczas nalotu pobiegł za Zacharym. Po chwili uświadomiła sobie, że nie będzie to możliwe, jednak fakt ten nie powstrzymał jej przed zapisaniem tego na skrawku papieru i wsunięciem karteczki do rękawa. „Pamiętaj, podziękuj Tomowi”. Wybiegł ze schronu wprost pod nieprzyjacielskie bomby. Zginął, ale musi mu podziękować następnym razem, kiedy go spotka. Przez wiele tygodni wierzyła w jedno i drugie.

Dość wcześnie, jeszcze zanim dni i noce przestały się jej kojarzyć z włączanym i przygaszanym światłem i zaczęły mijać ze swoją zwykłą, sklepikarską częstotliwością, Mary postanowiła, że już nigdy nie będzie mówić o tym, jak się czuje. Z miejsca, do którego pośpiesznie zmierzała tak pełna nadziei, mogła teraz jedynie z mozołem się wycofać. Po roku mogła zacząć wszystko od nowa, lecz musiała sobie przyrzec, że będzie żyć w taki sposób, by fala rozpaczyny pozostała w niej i nie rozlała się choćby na milimetr.

Grudzień 1940

W Boże Narodzenie pułk ugościł załogi wszystkich okrętów ochraniających konwoje, które zawinęły do Grand Harbour. Na zalanym słońcem dziedzińcu fortu St Elmo ponad tysiąc oficerów i szeregowych zebrało się, by wysłuchać biblijnych przypowieści, odśpiewać kolędy i skosztować kropelkę „krwi Nelsona”^[13], dostarczonej przez marynarzy. Zgodnie z pięciusetletnią tradycją alkohol polał się, zanim rozpoczęto śpiewy.

Mimo że blokada dawała się we znaki i dostawy trafiały na wyspę w ograniczonych ilościach, Alistair doszedł do wniosku, że War Office udało się zabezpieczyć duży zapas pasty, gdyż dwa tysiące butów lśniły jakby wewnętrznym blaskiem. Dwanaście trąbek, osiem puzonów, cztery tuby oraz jeden sakshorn jaśniały niczym zbroja Achillesa. Geniusz silnie zmotywowanych żołnierzy polegał na tym, że nawet bezradni w warunkach całkowitego odcięcia od reszty świata, potrafili niezmiernie błyszczeć. Gdy wybrzmiał finał pieśni *Adeste fideles*, Alistair o mało co nie oślepl.

Po nabożeństwie wysłał żołnierzy ze swojej baterii po dolewkę rumu, przykazując im, żeby nie przesadzali z małym rozumem, a sam udał się do swojej małej celi położonej u szczytu murów fortu.

Kiedy jego ordynans, Briggs, wpadł tam prosto z lotniska z pocztą, Alistair miał ochotę ucałować list, który mu wręczył. Rozgrzany trunkiem, był pełen dobrej woli wobec wszystkich ludzi, nawet wobec wrogów. Miło, że włoscy piloci przepuścili w Boże Narodzenie samolot z pocztą. Można było tylko mieć nadzieję, że brytyjscy piloci rewanżowali się tym samym w miejscach, gdzie ich wojska były górą. Można by się zastanawiać, gdzie były takie miejsca, ale w święta lepiej myśleć o dzwoneczkach i saniach.

Nadawcą listu byli rodzice Toma. Otworzył go. Świetnie, że dostanie jego odpowiedź w Boże Narodzenie, oczywiście pod warunkiem, że zawiera słowa przebaczenia za jego zachowanie w teatrze.

Autorem listu był ojciec Toma. Charakter pisma bardzo przypominał pismo jego syna, tyle że linijki leciały nieco w dół. Ze smutkiem zawiadamiał Alistaira, że Tom zginął dziewiętnastego grudnia podczas nalotu. Z uwagi na to, że syn traktował Alistaira jak brata, ten może uznawać ich za swoją rodzinę i zawsze do nich pisać, gdyby mogli mu w czymś pomóc.

Alistair odłożył list i podszedł do otworu strzelniczego mieszczącego okno. Zaczął wpatrywać się w migoczące na powierzchni wody przedpołudniowe promienie słońca. W odległej mgiełce ledwo dostrzegał błyski włoskich okrętów blokujących Maltę. Gdy zapomnisz choć na chwilę, że wieści są najczęściej złe, pięknie je dostawać.

Alistair zmył paradny kurz z twarzy, przemywając ją gąbką nad metalową miednicą. Włożył czystą koszulę i, jako że do świątecznego lunchu zostało jeszcze pół godziny, udał się do kantyny dla szeregowych. Oni też musieli odebrać już pocztę i trudno było przewidzieć, w jakich będą nastrojach. Listy lotnicze cechuje nagłość – mogły wprawić ich w stan euforii, tęsknoty bądź dziwne połączenie jednego i drugiego – dlatego dowódca powinien do nich wtedy zajrzeć i ukoić swoim opanowaniem. Ich dziewczyny mogą obojętnieć lub ich uczucia mogą nabrać mocy, matki mogą chorować lub zdrowieć, ale działo przeciwlotnicze kalibru 94 milimetry będzie wystrzeliwać pociski ze stałą precyzją tylko pod warunkiem, że zostanie właściwie wypoziomowane. Właśnie takie myślenie musi wszczepić w nich oficer.

Alistair spędził z nimi dwadzieścia minut, żartując z ich drobnych biadoleń i zapamiętując poważniejsze skargi, po czym ruszył do mesy oficerskiej, by trafić tam w samą porę na dziękczynienie. Sześćdziesięciu oficerów piechoty i marynarki zasiadło przy dwóch długich stołach pod okiem dowódcy pułku, podpułkownika

Hamiltona. Alistair zjawił się jako ostatni i, skinąwszy przepaszając głowę, pośpiesznie zajął miejsce przy stole. Hamilton odpowiedział lekkim skinieniem i pochylił głowę.

– Panie, w ten najświętszy ze wszystkich dni dziękujemy ci za tę strawę i amunicję. Oby nasze okręty przenikały przez blokadę, a okręty wroga zatoneły.

Po gromkim „amen” ordynansi wnieśli jedzenie upichcone przez kucharza z okruchów chleba i złościwości w puszcze.

Alistair wziął odrobinę na widelec.

– Zastanawiam się, czy posmarować to musztardą, czy marmoladą.

– Prędeż czy to zjeść, czy sprawić temu czemuś chrześcijański pogrzeb – odezwał się Simonson. – Czy Mikołaj przyniósł ci jakiś list?

– Tym razem nie.

– Może byłeś niegrzeczny. Wiesz, że ten wesołek ma swoją listę.

– A ty?

Simonson zakręcił nożem jak laseczką oficerską.

– Dostałem cztery listy od trzech dziewczyn. Oczywiście każda myśli, że jest tą jedyną.

– Założę się, że ty jesteś jedynym milionerem, z którym korespondują.

– Twój problem polega na tym, że zadajesz się z niewłaściwymi dziewczynami. Kiedy wyjdziemy na przepustkę, poznam cię z paroma.

– Obawiam się, że musiałbym zatkać sobie uszy, by nie słuchać odzywek tych twoich znajomych.

Simonson zignorował tę uwagę.

– Oczywiście, jeśli przed powrotem do domu awansują mnie na majora, mojemu cholernemu bratu nie będzie do śmiechu. Jezu, jakie kobiety może mieć taki major! Przygrucham sobie olśniewającą *débutante*, oblekę ją w jedwabie i będę z nią paradował przed nosem upiornej żony Randolpha.

– Czyli miałeś szczęście, że Niemcy rozpętali wojnę.

Simonson zmarszczył brwi.

– Dobrze się czujesz? Jesteś jakiś nieswój.

– Zmęczył mnie ten cały rozgardiasz.

– Oj, Alistair, jeśli tak daje ci się we znaki orkiestra dęta, to co będzie, jak trafisz na prawdziwą wojnę?

– Przypomnij mi, żebym opowiedział ci o mojej wyprawie do Francji.

– Byłeś tam na wymianie?

– Wymianie ognia, jeśli chcesz tak to traktować.

– Pozostajecie w kontakcie?

– O, tak! Liczę, że jeszcze kiedyś tam wrócę.

Przez chwilę Alistair zastanawiał się, czy mu nie powiedzieć. Nie, oczywiście, że nie powinien. W końcu wojna to legalna rozróżba, wesołe widowisko, karnawał strzeleckich pudeł, fantastyczna przygoda, póki nie okaże się czymś zgoła innym, ale dowodzenie tego w święta nie byłoby miłe. Fajerwerki odpala się po to, żeby usłyszeć radosny huk.

Simonson poklepał go po ramieniu i poradził mu, żeby wziął się w garść. Świątecznemu posiłkowi towarzyszył gwar oficerskich rozmów. Na deser kucharz wyczarował morele z puszki. Mimo że zaserwowano je w małych miseczkach, i tak wyglądały skromnie. Każdemu z oficerów przypadło pięć połówek pływających w naparstku cienkiego syropu. Popili to wodą ze studni, która miała smak żółtego wapienia oraz wrzucanych do niej przez wieki Turków i Maurów.

Hamilton wstał i postukał w kieliszek.

– Za króla.

Wszyscy podnieśli się ze swoich miejsc.

– Za króla!

Wypili jego zdrowie wodą ze studni i opuścili salę głodni.

Już w samotności Alistair postawił dżem z jeżyn Toma na parapecie okna i wpatrywał się w niego do chwili, gdy nad powierzchnię morza wychynął blady księżyc.

13 Rum.

Styczeń 1941

W miejscu, które mu wyznaczili w chórze w teatrze Lyceum między dwunastoma pieśniarzami po lewej a jedenastoma po prawej, Zachary'ego oblewała czerwona poświata reflektorów skierowanych na wielki malowany mansjon z panoramą Londynu, przedstawiający zniszczone mury i zabytki miasta.

Przed nim, pośrodku sceny, nowy Konferansjer przemawiał do publiczności niskim głosem, wzorując się na ojcu Zachary'ego. Patrząc na jego sylwetkę rysującą się na tle czerwieni, Zachary wierzył, że to jego tata. Zyskiwał tę wiarę dzięki sile woli. Odrzucał myśl, że to przecież niemożliwe. Jego ojciec zniknął, nie pozostawiając po sobie ciała, niczym iluzjonista albo jakiś święty.

Za każdym razem, kiedy nowy Konferansjer się odzywał, Zachary uświadamiał sobie jednak, że jego ojciec nie żyje.

– Panie i panowie, ta ostatnia pieśń dzisiejszego wieczoru będzie wspomnieniem tych, którzy zginęli w naszym ukochanym mieście, mieście całej ludzkości. Pamiętajmy też, że istnieje inne miasto, jednocześnie identyczne i nad naszym górujące, do którego śmierć nie ma dostępu.

Chór zaintonował pieśń. Podjął ją też Zachary, śpiewając najlepiej, jak umiał. Światła nagle pojaśniały i w ich miękkiej poświacie pojawiła się nowa dekoracja – widok odbudowanego i odrestaurowanego Londynu. Ale było tam coś więcej. Każda kościelna iglica była wyższa, każdy most szerszy, każda charakterystyczna budowla wyglądała bardziej efektownie. Czerwone płomienie przemieniły się w promienie wschodzącego słońca. Do czerwonych świateł dołączyły żółte i białe, aż w końcu odwieczny Londyn zalśnił w pełnym świetle dnia. Gdy chórzyści odchyłili głowy, by wyspiewać finał, widzowie zerwali się z miejsc.

Zachary nie czuł nic, może oprócz otępiełego zdziwienia, że dali się złapać na taki tani numer.

Gdy opadła kurtyna, szef zespołu wziął go na bok. Stali za kulisami, słysząc szmer rozmów i szuranie butów publiczności opuszczającej teatr.

– Dasz radę, mały?

Zachary się uśmiechnął.

– Jasne.

– Bo tak jak ja to widziałem, to w chórze było dwudziestu trzech śpiewaków i... ty.

– Przepraszam. Będę się starał.

– Koniecznie. Robimy tu za radosnych Murzynów. Jeden smutny bambus w chórze to jak dziura w wiadrze. Cała magia pryska, kapujesz?

Zachary wzruszył ramionami.

– Może powinienem to sobie odpuścić.

– I co będziesz robił? Póki sypiasz w mojej piwnicy, oczekuję w rewanżu trochę wysiłku.

– Mógłbym grać w przerwach na fortepianie.

– Z taką smutną miną? Prędzej zatrudniłbym Niemca.

– Mogę obsługiwać gości przy stolikach.

Szef trupy obrzucił go znużonym spojrzeniem.

– Czterdziestu chłopaków czeka na miejsce w tym chórze. Mógłbym cię zdjąć, ale wtedy inni powiedzą: „Daj mu szansę, jesteś to winien jego ojcu” i zanimbym się obejrzał, miałbym dziewięciu smutasów zamiast jednego. Dlaczego nie chcesz śpiewać?

Zachary znów wzruszył ramionami i milczał.

– Wstydzisz się? Masz ładny głos. Może nie wysłałbym cię do Parlophone'u, żebyś nagrał płytę, ale też nie zatykam sobie uszu palcami.

– Nie o to chodzi.

– A o co? To twoja szansa. Wolisz zamiatać ulice?

Zachary zwiesił głowę.

– Wolałbym coś innego.

Szef trupy wybuchnął śmiechem.

– Myślisz, że jak się zaprzesz, to otworzę drugie pudło z posadami dla czarnych, którzy nawet nie umieją się podpisać? Na co liczysz? Że zostaniesz papieżem albo premierem?

Zachary nie odpowiedział. Mężczyzna ciężko westchnął.

– Dobra, obsługuj gości przy stolikach. Zbieraj napiwki. Życzę powodzenia, bo za tę pracę nie wypłacam pensji. Śpij w piwnicy, ale jeśli chcesz dostawać wypłatę, musisz zacząć śpiewać. Jasne?

Zachary skinął głową.

Kiedy już wszyscy wyszli, zapalił świecę i zszedł samotnie do piwnicy. Usiadł z miednicą na kolanach i lusterkiem opartym o ścianę na brzegu ławy. Zmył moczonym w zimnej wodzie ręcznikiem białą farbę z ust i wokół oczu. Klasnął w dłonie.

– Przepraszam, tato.

Zaległa cisza, choć wyczekiwał w mroku odpowiedzi.

– Przepraszam – powtórzył.

Znów nic. Bał się tych ciemności. Wokół wciąż słyhać było jakieś stuki i szelesty. Przez miesiąc nie zdołał wyleczyć się z tego lęku. Zwinął się w kącie i okrył prześcieradłami, lecz sen nie chciał nadejść.

– Jesteś tam? – spytał najciszej, jak umiał, i czekał.

Płomień świecy jakby zamigotał. Może to znak, że jego ojciec jednak tu był.

– Nie wiem, co robić.

W ciszy, która potem zapadła w tę niekończącą się noc, płomień jakby się uspokoił. Może ojciec daje mu znak, żeby zachował spokój. Zachary mocno zacisnął powieki i opatulił się prześcieradłami, broniąc się przed mrokiem.

Styczeń 1941

Mary wracała z Hildą pociągiem z pogrzebu Toma. Jedynie jego ciało odnaleziono. W przypadku rodzin dzieci i rodziców, którzy zginęli w szkole, nie pozostało jej nic innego, jak wysłać kwiaty. Ale wojna skomplikowała nawet to – kwiatów z Holandii nie uważano za podstawowy ładunek, a angielskie szklarnie przerzuciły się na produkcję żywności. Mary zdołała zebrać parę wczesnych przebiśniegów i byle jakich hiacyntów. Wahala się, czy je wysłać, nieprzekonana, czy przyniosą ukojenie.

Hilda paliła papierosa i dziobała długopisem krzyżówkę w „Timesie”. Zdaniem Mary, mogła ją prędzej rozkawałkować niż rozwiązać.

– Miło, że ze mną pojechałaś – powiedziała Mary.

– Przecież nie puściłabym cię z Palmerem.

Mary uśmiechnęła się blado.

– On pewnie miałby przy sobie brandy.

– Mógłby się zamienić miejscami ze zmarłym. Czy to nie należy do jego obowiązków?

Lokomotywa wypuściła z jękiem parę ku wiszącym nisko chmurom. A jednak nie stały się od tego lżejsze.

To były bardzo niecodzienne okoliczności na poznanie rodziców Toma. W kościele Mary nie mogła znaleźć sobie miejsca. Gdyby usiadła obok rodziny, popełniłaby nietakt, dlatego razem z Hildą zajęła miejsce z tyłu. Matka Toma podeszła i bez słowa poprowadziła je do pierwszej ławki. W czasie nabożeństwa Mary patrzyła wprost przed siebie na okrytą liliami trumnę, zastanawiając się, skąd tu trafiły.

– Piękne kwiaty – skomentowała na koniec.

– Pojechałam po nie do Cheltenham – wyjaśniła matka Toma.

Tom nie żył, a lilie jednak można było dostać – w oczach Mary jedno i drugie było nie do pojęcia.

Wyszli z kościoła wprost na śnieżną zadymkę. Czterej mężczyźni, za starzy lub zbyt schorowani, by walczyć na wojnie, opuścili trumnę z ciałem Toma do grobu na krótkich, specjalnie do tego celu przeznaczonych taśmach. Wikary zacytował: „Gdzież jest, o śmierci, twój oścień?”[14]. Wszyscy pozostali zgodni, że się go nie czuło.

Trzy godziny później, już w pociągu, Mary wciąż była sztywna z zimna i duszonych w sobie emocji. Pociąg, piszcząc na zwichrowanych szynach, zbliżał się do London Bridge. Po obydwu stronach torów bomby zniszczyły tysiące budynków.

– I co teraz zamierzasz? – spytała Hilda.

– Po pierwsze, muszę odnaleźć Zachary’ego.

– A potem? Zabierzesz go do domu do swojej matki? Będzie zachwycona.

– Czuję się za niego odpowiedzialna.

– Nie musisz!

– Był moim uczniem i...

– I nikim więcej. Miałaś uczyć ich gramatyki, a nie adoptować.

– Mówisz straszne rzeczy.

– Bo zachowujesz się niedorzecznie. Jaki będzie finał, jeśli zaczniesz go szukać? Nie jesteś jego krewną ani nawet przedstawicielką tego samego gatunku. Nie stworzysz mu domu, to zadanie dla jego plemienia. Tylko nie mów mi, że go nie ma. W tym teatrze było kilkudziesięciu kolorowych, takich jak on.

– Wiesz, nie wszyscy czarni są ze sobą spokrewnieni.

Hilda zamilkła; ta teza najwyraźniej była dla niej nowością.

– Mogą być z różnych plemion, ale w czasach takich jak te na pewno chowają włącznie do szaf.

– Przynajmniej muszę mieć pewność, że ktoś go przygarnął.

– Skoro tak, to się tego dowiedz. Ale przyrzeknij mi, że nie złożysz temu chłopcu żadnej obietnicy, której nie będziesz mogła dotrzymać. Wiem, że kiedy wbijesz sobie coś do głowy, potrafisz być uparta jak osioł. Zrobiłabyś z niego wygnańca, a z siebie pariasa.

Dla obojga źle by się to skończyło.

– Oczywiście masz rację, ale...

– Żadnego „ale”. Myśl wyłącznie o sobie i swoich planach. Jeśli sama nie dojdiesz do ładu, inni też nie będą mieli z ciebie pożytku.

– Myślę, że chciałabym znów uczyć.

Hilda jęknęła w udręce.

– Tom by się ucieszył.

– Nie żyjesz po to, żeby cieszyć Toma.

Mary zapaliła papierosa i wyjrzała przez okno na krajobraz po bitwie. Kiedyś to było miasto – kluby, kościoły, dobrze znane, uporządkowane miejsca. Tak dalece czuła z nim jedność, że jego obecny stan przyrównała do własnego. Każdy pocisk dokonywał wyrwy w jego pancerzu, odsłaniając żywe nerwy.

– Łatwo ci mówić – odpowiedziała Mary.

– Ale to prawda. Musisz żyć dla siebie.

Poluzowane szyny zagrzechotały, gdy pociąg przejeżdżał nad Embankment. Para falowała nad szarą taflą rzeki. Po jej obydwu stronach widać było zrujnowane fasady i zawalone budynki. Mary zawsze wydawało się, że przetrwa, jeśli przetrwa Londyn, ale teraz ten wielki stary nautilus leżał zdyszany i potrzaskany u gardzieli Tamizy, w miejscu, gdzie słodka woda miesza się z solą.

– Chodźmy na lunch do Claridge’s – rzuciła Hilda. – Musisz zjeść coś dobrego.

– Nie jestem głodna.

– Musisz jeść. Jesteś przezroczyista jak sukienka dziwki.

– Raczej pójdę się przejść.

– To chociaż zabierz mnie ze sobą. W takim stanie nie możesz być sama.

Mary wzięła ją za rękę.

– I tak zrobiłaś dla mnie więcej, niż trzeba. Zawsze byłaś dla mnie dobra, a wiem, że ci tego nie ułatwiałam.

Hilda skinęła głową.

– Jesteś jak kiepski gończy. Można cię albo uśpić, albo przygarnąć na kanapę.

– Cieszę się, że wreszcie znalazłaś dla mnie użytek.

– Tylko nie sikaj na dywany. I obiecaj, że się ze mną skonsultujesz, zanim znów pomyślisz o uczeniu.

Kiedy pociąg zatrzymał się na stacji, wzięły bagaże z półki i wysiadły. Uściskały się, po czym Hilda rozpląnęła się w kłębach pary. Gdy zniknęła, Mary na chwilę zaszyła się w kącie hali dworca. Nikt jej nie niepokoił. Pół miasta szlochało teraz do pustych ścian.

Postała przez chwilę na opustoszałym peronie. Włożyła rękawiczki, wzięła się w garść i wyszła na ulicę.

Wszędzie piętrzył się gruz. Tu i ówdzie leżała wanna z przymarznąłą żółtą kaczuszką. Łóżka, w których płodzono i rodzono kobiety i w których one same płodziły i rodziły – mosiężne teatry mimowolnego dialogu – stały teraz ciche i powyginane, bujając się na rozpołowionych podłogach i wypłakując kaczy puch wprost na ulicę. Piórka tańczyły wśród płatków śniegu. Dla Mary to było zbyt wiele. Jakże łatwo pogrążała się teraz w smutku! Czmychnęła do kawiarni, gdzie wypila herbatę w kolorze słomy. Napisała list do dyrektora Lyceum z zapytaniem, czy wie coś o Zacharym. Kiedy zakleiła kopertę, jeszcze długo czuła na języku smak gumy arabskiej.

Na mapach w gazecie, którą jej przynieśli, na wybrzeżach wokół Wielkiej Brytanii roilo się od swastyk. Były tak blisko, że gdyby unieść wzrok, można by wyczuć woń ropy i potu. U-booty zacisnęły pętlę na Atlantyku. Na stronach w środku Mary znalazła niekończące się obwieszczenia. W miarę jak kurczyły się ciągi komunikacyjne, dzielnice miasta ulegały kolejnym podziałom. Jeśli ktoś mieszkał tutaj, obowiązywało go dziesięć nowych zasad, jeśli tam – dwanaście. A przecież wychowała się w Londynie i wymyślone tu przepisy stosowano od Bombaju po Belize. Jej wspaniałe ekstrawertyczne miasto przeżywało teraz oblężenie. Z wolna ogarniało ją to samo uczucie, które owładnęło nią, gdy przejmowała szkołę. Była to furia wobec wroga.

Odepchnęła od siebie szklankę z zimną herbatą i ruszyła przez zasypane śniegiem ulice do dawnego gabinetu Toma w kuratorium

oświaty. Otrzepała buty i oświadczyła recepcjonistce, że nie wyjdzie, póki ktoś jej nie przyjmie.

Zaprowadzili ją na górę do nowego kuratora, który nazywał się Cooper. Gdy wstawał, by się z nią przywitać, najwyraźniej utknął między krzesłem a blatem biurka i nieporadnie próbował się wyprostować.

– Proszę nie wstawać – powiedziała Mary.

Opadł na krzesło, wykonując przeproszający gest, który Mary odczytała jako skargę na obolały kręgosłup, ograniczoną sprawność ruchową bądź apatię.

Był starszy od Toma. Mary oceniła, że jest po trzydziestce. Miał jasne włosy, lekką nadwagę i zapuszczał wąsy. Z tyłu na ścianie wciąż wisiała akwarela przedstawiająca Hampstead Heath, którą Mary podarowała Tomowi latem. Śmiała się do rozpuku, patrząc, jak któregoś wieczoru, kiedy wszyscy jego współpracownicy już wyszli, Tom próbuje ją zawiesić. Potrzebował do tego trzech gwoździ i siedmiu nieudanych podejść. Później zachowywali się nad wyraz swobodnie i większość dokumentów pospadała na podłogę. Tom zawsze miał taki bałagan na biurku...!

Cooper zauważył, że Mary wpatruje się w obrazek.

– To Hampstead Heath.

– Ach tak? – rzuciła niczym automat.

Jak szybko można kogoś umniejszyć. Cooper machnął lekceważąco ręką. Nie umiała powiedzieć, czy odnosi się to do niej, do Hampstead Heath, czy do tej akwareli.

– Niestety, okropna – ocenił Cooper.

Mary poczuła smutek i znużenie. Znużył ją ten człowiek. To oczywiste, że lekceważył obrazek. W końcu tym jest przeszłość – zagraca teraźniejszość przedmiotami, na które żywi pozostają obojętni. Mary usiadła, położyła rękawiczki na podołku i zapaliła papierosa. Cooper zacisnął dłonie na nieskazitelnie uporządkowanym blacie biurka i przyjrzał się swoim mankietom, jakby oczekiwał, że Mary spyta go najpierw o pozwolenie. Stała tam popielniczka Toma, ciężka, z niebieskiego szkła, z dziwnym

wybrzuszeniem pośrodku, które kojarzyło się Mary z okiem. Ponieważ Cooper najwyraźniej nie zamierzał podsunąć jej w stronę Mary, Mary postanowiła strzepywać popiół na wykładzinę.

– Chciałabym, żeby przydzielono mi nową szkołę. Najchętniej podstawową, ale jeśli macie wakaty wyłącznie w gimnazjach, to mogę uczyć francuskiego, łaciny i pisania wypracowań, co wynika z moich dokumentów. Mogę zacząć od zaraz.

– Nie sądzi pani, że w tych okolicznościach byłoby lepiej trochę odczekać, nim wróci pani do pracy? – spytał po chwili milczenia Cooper.

– Na co mam czekać? Na to, żeby uczniowie zapomnieli tabliczki mnożenia? Żeby zaczęli mówić po angielsku jak nieślubne dzieci stróża?

Pobłażliwie się do niej uśmiechnął.

– Przecież wie pani, o czym mówię.

– Ale ja jestem w świetnej formie. Nic mi się nie stało i jestem gotowa pełnić swoje obowiązki.

Długa cisza.

– Naprawdę muszę to pani wyłuszczać?

– Lepiej niech mnie pan przywróci do pracy.

Cooper nie odpowiedział na jej uśmiech. Wstał – najwyraźniej nie było to jednak aż tak trudne – i podszedł do okna. Odwrócony do niej plecami, z rękami splecionymi z tyłu, zaczął wpatrywać się w sypiący śnieg.

– Mój poprzednik był bardzo młody i postanowił otworzyć parę szkół. Obawiam się, że radość związana z awansem przyćmiła jego zdolność oceny sytuacji.

Mary potrząsnęła przecząco głową.

– Miał obowiązek zapewnić miejsca w szkołach.

Cooper zwrócił się do niej jak do dziecka, które udzieliło niemal poprawnej odpowiedzi.

– Nasz obowiązek, skoro już używa pani tego słowa, to wysłanie jasnego sygnału, że w tych warunkach Londyn nie jest właściwym miejscem dla dzieci.

– A jednak przebywają tu takie, których na wsi nie chcą.
– Nie ja tworzę politykę, a ta zakłada pełną ewakuację.
– To co mamy zrobić z pokrzywionymi, kolorowymi i niedorozwiniętymi? Pozwolić zgnić, bo polityka zabrania im żyć?
– Jeśli już dzielimy włos na czworo, to dzięki polityce takie dzieci żyją, ale polityka nie przewiduje, by uczęszczały tu do szkół.
– Nie wydaje się panu, że to, co pan mówi, jest straszne?
Cooper odwrócił się od okna.

– Straszne jest to, że siedmioro dzieci i ich rodzice zginęli, bo mój poprzednik uznał za stosowne, żeby zabawiała się pani w belferkę, gdy dorośli toczą w tym mieście wojnę.

Mary mrugnęła raz i drugi, lecz ostatecznie udało jej się opanować. Lekko unosząc brew, zapaliła następnego papierosa i wbiła wzrok w Coopera.

Ledwie wytrzymał to spojrzenie.

– Pewnie oboje żałujemy, że nie możemy tego cofnąć.

Jej ręce drżały.

– Nie prowadziliśmy zajęć z baletu na dachu. Byliśmy w piwnicy, w schronie. Ludzie codziennie giną w schronach.

– W żadnej mojej szkole już się to nie zdarzy.

– Domyślam się, skoro wszystkie będą zamknięte.

Poklepał ją po ramieniu.

– Podchodzi pani do tego emocjonalnie, bo bardzo się pani zaangażowała. Jest pani uroczą młodą osobą i nie winię pani za to, co się stało. Za to większym rozsądkiem powinien był się wykazać mój poprzednik.

– Tom był moim kochankiem. Wszyscy o tym wiedzą. Proszę nie udawać, że pan nie.

– Nie chcę ranić pani uczuć ani szargać nazwiska pani rodziny.

– Przysłuży się pan temu najlepiej, jeśli pozwoli mi uczyć. Dobrze pan wie, że w tej dzielnicy są setki dzieci. Widuje się je codziennie, jak grzebią w stertach gruzu.

– Obawiam się, że nie mam dla pani żadnej propozycji.

– Przepraszam, że się uniosłam. Proszę mi pozwolić uczyć.

– Niech pani odpocznie – odpowiedział łagodnie. – Bóg mi świadkiem, że chętnie bym pani pomógł. Proszę wyjechać na parę tygodni, odprężyć się.

Odwróciła się do niego tyłem. Na tej małej akwareli, którą podarowała Tomowi, dominowało żółte, żywe światło. Gdyby ubić je trzepaczką do jaj, powstałaby zwarta piana. Na akwareli widać było Londyn i wszystkie znane budowle. Stały tak blisko siebie, że malarz mógł namalować niebo jedynie wokół nich.

Mary podeszła do okna.

– Co mam zrobić, żeby zmienił pan zdanie?

Nie odpowiedział. Pałac papierosa, przysunęła się do niego i musnęła go ramieniem.

– To miasto wcale nie musi być teraz takie jak przedtem.

Spojrzał na nią z rozbawieniem, lecz nagle spoważniał.

– Właściwie pora lunchu już minęła, ale może jeszcze coś przegryziemy i porozmawiamy?

Przybliżyła do niego twarz i pozwoliła, by zajrzał w jej oczy. Przez chwilę się w nich topił.

– Nie, dzięki – rzuciła lekko. – W ogóle nie jestem głodna.

Wpatrywał się w nią, powoli się czerwieniąc. Wyglądał, jakby chciał ją uderzyć, ale nagle się odwrócił i zostawił ją samą przy oknie. Słyszała, jak tłucze szufladami biurka, zabiera płaszcz i kapelusz z wieszaka i trzaska za sobą drzwiami.

Odwróciła się od okna i podeszła do popielniczki, żeby zgasić papierosa. Niewielki obrazek z widokiem Hampstead Heath złocił się w ramce w tym szarym pokoju. Na moment jej ręka zawisała nad niebieską, szklaną popielniczką Toma. Obróciła ją w miejscu dwa, trzy razy i zostawiła tam, gdzie stała.

– Tęsknię – rzuciła w pustkę gabinetu.

Styczeń 1941

Nazwali ten nowy klub The Joint, jakby nie był tylko spelunką, ale też łącznikiem między dniem a nocą[15]. Bombowce wzmożyły tempo nalotów i miasto dostosowało się do ich synkopowego rytmu. Gdy nalot przerywał występ minstreli, wykonawcy śpieszyli wraz z widzami do piwnicy, by słuchać przygrywającego tam big bandu. Uprzątnęli wielkie podziemia teatru i urządzili tam klub. Na jednym końcu mieściła się scena, na drugim bar, a pomiędzy nimi ustronne zatoczki ze stolikami, w których szukali szczęścia żołnierze.

Zachary roznosił im drinki w zamian za drobne monety i papierosy. Ostatni raz widział niebo wiele tygodni temu i było mu z tym dobrze. Kiedy ty nie widziałeś nieba, ono nie widziało ciebie. Goście lokalu głaskali go po głowie, kiedy przynosił im napełnione kieliszki. Przewalili go „Baby Grand”[16]. Teraz wszyscy zyskiwali nowe przydomki, czasami nawet dwa albo trzy, jakby był to sposób na to, by wojna nie wywołała ich po nazwisku.

Nikogo nie obchodziło, że pije, więc Zachary pił. Sypiał pod barem i palił papierosy jak Bette Davis. Zawsze, gdy trafiła się okazja, wyjadał serwowane do drinków orzeszki i lukrowane wiśnie z dna kieliszków. Wszyscy byli głodni, ale nowy pianista odkrył, że jeśli odczeka ułamek sekundy po odegraniu kilku taktów, po czym zacznie ostro swingować, dziewczyny z fabryk i lotnicy na przepustkach, mimo niedożywienia z powodu ograniczenia racji żywnościowych, i tak zaczną tańczyć.

Rozstawiając kieliszki na blatach stolików, Zachary zbierał plotki. Co noc ginęło mnóstwo ludzi. W wielkich kostnicach w Clerkenwell i Cheapside po kilkanaście rodzin naraz uznawało nierozpoznawalne zwłoki za ciało ich kuzyna, matki albo ciotki. Ich

pracownicy zdejmowali ubrania ze szczątków, oznaczali je, a także części garderoby, identycznymi numerami i pokazywali krewnym stroje zamiast ciał. Zachary'ego nie poproszono, żeby cokolwiek rozpoznał, nie pokazano mu nawet spinki do krawata ani sygnetu. Zastanawiał się, czy jego ojciec nie spoczął przypadkiem w jakimś grobie, nad którym oplakują go pod nowym nazwiskiem. Kiedy się za niego modlił, jego ojciec miał na nazwisko Lee.

Podobno kiedy odnajdywali jedynie fragmenty ciał, władze miejskie szacowały na podstawie ich wagi liczbę osób, do których należały szczątki. Jeśli z kilku zostało więcej niż tylko noga, trumny przynajmniej nie wydawały się zbyt lekkie. Goście klubu raz przyłapali Zachary'ego na podsłuchiwanie i spytali go ze śmiechem: „Co o tym myślisz, Baby Grand?”. Odpowiedział: „W porządku”, ale pomyślał o ojcu, który po każdym występie z taką pieczołowitością zmywał z twarzy białą farbę, teraz upchniętym w trumnie ze szczątkami białych.

Zachary dopijał resztki z kieliszków. Big band grał co godzina po czterdzieści pięć minut, i tak przez całą noc. W czasach pokoju sakshorny i fortepian zawsze prowadziły między sobą wartki dialog, a teraz nagle odkryto, że jeśli będą wydawać z siebie wspólne mocne akordy, to o trzeciej albo czwartej nad ranem, podczas ciężkiego nalotu, gdy parkiet trzeszczał w szwach, a z łukowatego sufitu leciał pył, szczupły czarnoskóry lider big bandu w koszuli mokrej od potu mógł pochylić się nad mikrofonem, jakby zmagając się z wichurą, i wołać do stłoczonych białych tancerzy: „Patrzcie na stopy, szanowne panie i szanowni panowie! Dopóki tańczycie, nie jesteście martwi!”. Gdy Zachary krążył między stolikami, miasto rytmicznie odszpuntowywało wielkie zapasy całunów i kartonowych trumien, wydając co noc ich precyzyjnie skalkulowaną liczbę, określaną na podstawie liczby ofiar szacowanej w odniesieniu do aktualnego zachmurzenia oraz koncentracji nieprzyjacielskich bombowców. Według plotek, jeśli jakiś szczątek londyńczyka dało się zamieść szczotką na szufelkę, wysyłano go barką wraz z odpadami na ogromne miejskie

wysypisko w Durham Wharf, a z większych części ciała komponowano przypisane do nazwiska zwłoki i sprawiano im klasyczny pochówek. Tymczasem przepastna piwnica kwitła. Mogłeś bezpiecznie tańczyć albo zginąć. Londyn przypominał sobie pradawny rytm grzebania świętych i na cmentarzach w Highgate, Nunhead oraz Kensal Green rozkopywano stare groby i rozgrzebywano zręczliwe kości, by zrobić miejsce dla nowych. Wróg przeszedł z pocisków półtonowych na tonowe i dwutonowe, a w piwnicy występowały po dwa big bandy naraz, czasem trzy, i teraz sześciu – albo dziewięciu – czarnych kołysało się do muzyki w sekcji sakshornów, zaś dwóch – albo trzech – perkusistów wylewało pot na wielkim podium w głębi sceny. Zachary przypominał sobie, jak jego ojciec wybijał swoją ciężką lewą ręką potężne akordy – bum, bum, bum. Na ogromnych podmiejskich cmentarzach wykopywano świeże mogiły, a zwykle dowożące ludzi do pracy pociągi w biały dzień transportowały trumny z ciałami do Metrolandu^[17] i wracały stamtąd, pogwizdując, podczas gdy konduktorzy wołali: „Wolne miejsca!”. Przez całą morderczą noc perkusiści big bandów wybijali rytm, a zastępy doskonale zgranych kamieniarzy ze stalowymi dłutami wystukiwały domniemane nazwiska zabitych, złożone z liter, których Zachary nie umiał nawet przeczytać. Nie mógł znieść, że zagubiono nazwisko jego ojca. Jakże marne wydawało mu się teraz własne istnienie. Słuchał muzyki i wieści z zewnątrz i miał wrażenie, że świat na górze oraz ten na dole grają tę samą melodię.

Każdego ranka, gdy klub zamykał podwoje i muzycy owijali sakshorny w aksamit, Zachary zamiatał podłogę i ustawiał stołki na blatach. O świcie głuchł od ciszy. Nikomu nie chciało się mówić. W świetle żarówek posilał się z muzykami i barmanami, potem tamci szli, każdy w swoją stronę, a on zwijał się na swoim miejscu pod barem, gdzie nikt nie zwracał na niego uwagi.

Jeśli się obudził, zanim do teatru wrócił tłum – kiedy stołki wciąż stały na blatach, a bombowce były daleko – podchodził do fortepianu i grał spokojne melodie, tak jak nauczył go ojciec,

delikatnie, z zamkniętymi oczami. Robił, co mógł. Ojciec nie chciał, żeby występował – i nie występował, ale przeżywał katusze. Czasami kiedy grał te wolne melodie, ojciec wracał do niego na godzinę, a później do sali wlewał się tłum i Zachary z uśmiechem roznosił gościom drinki.

Kiedy grał muzykę ojca, czuł się niemal jak w domu. Ale przecież melodia nie ma stałego miejsca w czasie. Była jak przedwieczne miasto. Była tylko łącznikiem.

15 Z ang. *joint* to m.in. ‘spelunka’, ‘złącze’, ‘łącznik’.

16 Rodzaj małego fortepianu, tzw. fortepian buduarowy.

17 Rejony podmiejskie na północny zachód od Londynu obsługiwane przez miejską sieć kolejową.

Styczeń 1941

Mary i jej matka czytały poranną pocztę w oczekiwaniu na lunch. Szef trupy z Lyceum odpisał, że Zachary cieszy się dobrym zdrowiem, że ma co jeść i że Mary nie musi się o niego martwić. Mary skrzywiła się i włożyła list do koperty.

– Co to? – spytała matka.

– Od Hildy. Píše o mężczyznach, którzy się jej podobają, i o sklepach, których nie lubi.

– Okropne.

– Tyle że, jak to Hilda, pisze całkiem zabawnie.

– To skąd ta smutna mina?

– Martwię się o nią. Życzyłabym jej, żeby poznała kogoś miłego.

– Spluń przez ramię, trzy razy.

Mary zastanawiała się, czy uwaga o tym, że nie musi się martwić o Zachary'ego, wynika z sympatii. Domyślała się, że w sposób naturalny szef trupy podchodzi do białych z ostrożnością. Może nie dość wyraźnie dała do zrozumienia w swoim liście, że należy do tych, którzy naprawdę chcą pomóc.

Palmer podał lunch o pierwszej; jego kroki były tak delikatne, że ledwie słyszalne. Kucharka ułożyła na półmisku ławicę krewetek i małych rybek w galaretkę, tworząc z nich falę. Okalała ją sałatka z owoców morza, a całość spoczywała na łasze uprażonych na złoty kolor ziaren, które przekonująco udawały piasek.

Matka Mary włożyła okulary i przyjrzała się tej kompozycji, po czym poprosiła, żeby Palmer podstawił ją pod okno, by mogła podziwiać falę pod światło.

– Cudowne jest to, że żaden z tych produktów nie jest na kartki. Wszyscy marudzą, jak im ciężko, a wystarczy tylko troszkę inwencji. Jak myślisz, moja droga?

– Jestem zdumiona, że biedni na to nie wpadli – odparła Mary.

Matka zignorowała ten komentarz.

– Oczywiście, to tylko wprawka – dodała.

Zanim Mary zrozumiała, że potrawa to jedynie wersja wstępna dania, nie miała pojęcia, co jej matka ma na myśli. Wpatrywała się w połyskujące w popołudniowym słońcu stworzonka, zastanawiając się wprawką do czego jest to, co teraz przeżywa. (Może do utonięcia? Tuż przy plaży, w bogatym w pożywienie zakątku oceanu?) Przestała już zwracać uwagę na niezmordowaną serię kolacji i rautów, dzięki którym jej matka miała nadzieję zapewnić ojcu miejsce w gabinecie.

– Jesteś tu ze mną? – spytała matka.

– Przepraszam, prawie nie spałam – odpowiedziała Mary.

– A ktoś dziś sypia? Ale chyba możesz wyrazić jakąś opinię?

Mary spojrzała krzywo na kulinarną falę.

– Urocze te krewetki. Spójrz na te ich buzie.

– Kochanie, chyba coś przeoczyłaś?

Mary zauważyła, że ręce Palmera drżą od ciężaru tacy, którą musi trzymać pod światło. Drgania te sprawiły, że fala zaczęła się trząść, jakby za chwilę miała się przelać, tworząc grzywy manierycznej piany.

– Myślę, że kucharka zabarwiła galaretkę. Jaka subtelna zieleń!

Matka Mary jęknęła, poirytowana.

– Tak, ale krewetki! Nie widzisz? Połowa pływa do góry nogami. A przecież normalnie nie rozeszłyby się po całej fali, gdzie popadnie, tylko pożywiałyby się przy dnie.

– Widocznie wiedza kucharki na temat biologii morskiej gdzieś się ulotniła.

– Drwij sobie, ale właśnie dlatego robimy takie wprawki. Palmer, możesz ją już postawić. Zobaczymy, jak się będzie kroić.

Gdy Palmer zabrał się do dzieła, matka przedstawiła Mary plan na jutrzejszą kolację.

– Ojciec usiądzie po lewej stronie, odstępując ministrowi miejsce u szczytu stołu. Ty usiądziesz po prawej ręce Andersona. Będziesz

go rozśmieszać, bo w tym jesteś świetna. I pokaż, jaką masz figurę. Ubierasz się w worki na kartofle odkąd... no, wiesz...

– Nie bardzo rozumiem swoją rolę. Mam uwieść Andersona czy nastawić go przychylnie do ojca?

– A trochę jednego i drugiego to zbyt wiele? Nie patrz tak na mnie. Zaprosiłam specjalnie dla ciebie Henry’ego Hunter-Halla, usiądzie tutaj, dokładnie naprzeciwko ciebie. Możecie trącać się nogami pod stołem czy robić cokolwiek, co robią teraz młodzi, odkąd umarła sztuka konwersacji.

– Jeszcze na to za wcześnie. Kochałam Toma, przecież o tym wiesz.

– Skarbie, masz dwadzieścia lat. Wszyscy muszą się wprawiać.

– Ulżyło ci, że Tom zginął.

– Nic podobnego. Zawsze ogromnie mi przykro, kiedy ktoś ginie, a jeszcze bardziej, jeśli to jest ktoś, kogo lubiłaś.

Mary uśmiechnęła się.

– Co?

– Mówisz o nim, jakby był kucykiem albo labradorem.

– Po prostu nigdy nie myślałam o nim jako o kimś dorosłym, kto byłby dla ciebie odpowiednią partią.

– Zginął, próbując ratować jednego z moich uczniów. To całkiem dorosłe zachowanie.

– Wiem, że to straszne, ale takie tragedie nas wzmacniają.

– I stąd Henry, który ma siedzieć naprzeciwko i u którego, za twoim błogosławieństwem, mam znaleźć pocieszenie. Mam wypisać winietki na stół krwią Toma czy własną?

– Musisz mówić takie rzeczy? Chciałabym jedynie, żebyś znów skupiła się na własnym życiu. Henry to miły chłopak, z bardzo dobrej rodziny. I nie mów mi, że nie jest przystojny.

W oczach jej matki czał się smutek. Mary zastanawiała się, czy był tam zawsze, czy też pojawił się teraz, kiedy stała się na niego bardziej wyczulona.

– Mamo, czy ty kochałaś kiedyś ojca?

Matka przeniosła wzrok na tacę, na której Palmer – nim się

zdematerializował – pokroił dziewiczą falę na plasterki.

– Mieliliśmy dużo szczęścia, że na siebie trafiliśmy.

– Ale czy go kochałaś?

– Tak, mieliśmy bardzo dużo szczęścia.

– Czasami nie wiem, czy cieszyłabyś się, gdybym poszła w twoje ślady, chodziła na przyjęcia i wyszła za mąż za jakąś obrzydliwie dobrą partię, taką jak Henry, czy też po cichu nie byłabyś dużo szczęśliwsza, gdybym powiedziała „Wypchajcie się” i ruszyła wprost ku słońcu.

– No właśnie. Nie wiesz.

Podmuch wiatru sypnął szarymi płatkami śniegu za oknem. Gdy cisza stała się nie do zniesienia, Mary powiedziała:

– Hilda uważa, że powinnyśmy się zgłosić do pracy w ekipach ratowniczych.

– Lubi się udzielać.

– Wiesz równie dobrze jak ja, że interesują ją wyłącznie mundury.

– Dobrze, że ty to powiedziałaś.

– Myślisz, że powinnyśmy?

– Co?

– Zgłosić się do ekip ratowniczych.

Matka przyniosła papierośnicę z półki nad kominkiem. Wzięła papierosa i podsunęła ją Mary. Palmer pojawił i zniknął, zostawiając po sobie jedynie dwa zapalone papierosy, onyksową popielniczkę i żadnego powidoku w oczach obydwu kobiet.

Mary pierwszy raz paliła w obecności matki. Nie rozmawiały. Skupiły się na papierosach, a tymczasem pokrojona na plastry, nietknięta galaretką tajała, uwalniając ryby i krewetki, pojedynczo i parami, i pozostawiając je na pastwę niepewnej przyszłości.

Styczeń 1941

Alistair wiedział, że arytmetyka nie daje podstaw do wyciągania zachęcających wniosków. Malta miała trzynaście na trzydzieści kilometrów, porównywalnie do Londynu, tyle że wieczorami było tu mniej atrakcji. Stacjonujący na tej mało obiecującej skale – obecnie ich najcenniejszym terytorium na Morzu Śródziemnym – głodujący garnizon miał rozkaz stawić opór połączonym siłom Niemiec i Włoch. Alistair próbował policzyć, ile armii ma do swojej dyspozycji nieprzyjaciół, tyle że zabrakło mu palców u rąk.

- Heath? – zagadnął go podpułkownik Hamilton.
- Proszę mi wybaczyć, myślałem daleko stąd.
- Założę się, że chciałbyś być daleko nie tylko myśłami.

Alistair uśmiechnął się.

– Sir?

– Pogadaj z żołnierzami. Podnieś ich na duchu, w przeciwnym razie zaczną słuchać najróżniejszych bzdur, dziwnych monologów, krytycznych komentarzy...

Hamilton machnął ręką, jakby był tym już zbyt znużony. Alistair oddał mu honory i wyszedł, zostawiając podpułkownika wśród sterty papierów.

Wszyscy żołnierze 10. Pułku Artylerii Królewskiej przebywali na terenie fortu. Przysiadłszy pod kamiennymi murami, odpoczywali w półmroku. W dole lśniły w płowej poświacie księżycy wody Grand Harbour. Do żołnierzy już dotarła wieść, że lotniskowiec „Illustrious” porządnie oberwał i jest w drodze do portu. Teraz wróg skupi całą swoją złość na wyspie i próbie zatopienia okrętu. Zadaniem Alistaira było oficjalne powiadomienie podwładnych o tym, co ich czeka.

Opanował nerwy, dmuchnął w gwizdek i stanął wyprostowany,

gdy dwustu żołnierzy dźwignęło się z ziemi z pomrukiem niechęci, jakby sędzia piłkarski niesłusznie przerwał grę. Utworzyli trzy baterie, z których każda dzieliła się na dwa pododdziały dysponujące czterema działami. Każde działło obsługiwał sierżant i siedmiu szeregowych.

Stanęli twarzą do Alistaira, a obok niego zebrali się oficerowie – pięciu kapitanów i trzech majorów. Jako kapitan Alistair dowodził pododdziałem obsługującym cztery działa. Nawet z jego dwoma zastępcami i podoficerem jedynie trzydziestu pięciu ludzi spośród wszystkich zgromadzonych pozostawało pod jego bezpośrednim dowództwem. Zadanie, które miał wykonać, wywoływało treść i właśnie dlatego Hamilton kazał oficerom na zmianę przemawiać w obecności całego pułku.

Żołnierze ucichli w oczekiwaniu na genialną przemowę Alistaira. Patrzyli na niego z uwielbieniem i oddaniem, za którymi – jak to w brytyjskiej armii – kryła się jawna ironia.

Simonson szepnął do Alistaira:

– Stary, masz rozpięty rozporek.

Alistair ledwo się powstrzymał, by to sprawdzić.

Ale Simonson nie dawał za wygraną.

– A, dzwoniła twoja matka.

Alistair zignorował tę uwagę.

– Mam ci przekazać, że fiut twojego starego cuchnie psią dupą.

Żeby nie wybuchnąć śmiechem, Alistair przygryzł policzek.

Zrobił krok do przodu.

– Żołnierze, jak wiecie, na naszych bliskich w ojczyźnie spadają mocne ciosy, ale oni dzielnie się trzymają. Teraz przychodzi kolej na nas. Admiralicja przekazała nam, że jedna z jej łajb, „Illustrious”, przeszła na morzu nieplanowaną modyfikację i właśnie do nas płynie. Możemy mieć jednak pewność, że wróg nie będzie szczędził wysiłków, by zatopić ją w porcie.

– Albo w brandy – szepnął Simonson.

– Przeciwno nalotom z dużych wysokości pewnie wskóramy niewiele, ale, jak wiadomo, dysponujemy bardzo skuteczną bronią

przeciwlotniczą w postaci dział kalibru 94 milimetry i, prowadząc skoordynowany ostrzał, zamierzamy ustanowić strefę, do której bombowce nurkujące nieprzyjaciela nie będą w stanie przeniknąć.

– Strefa żywych trupów – szepnął Simonson.

– Sierzanci otrzymają wytyczne odnośnie do sektorów i kąta ostrzału dla poszczególnych dział. Ogień skoordynujemy tak, by osiągnąć maksymalny rozrzut odłamków przy minimalnym zużyciu amunicji. Co do szczegółów...

Alistair zauważył rosnące wśród żołnierzy poruszenie. Nie patrzyli na niego, tylko skierowali wzrok ponad mury twierdzy. Alistair przerwał swój wywód i obrócił się, żeby sprawdzić, co przykuło ich uwagę.

Pod osłoną nocy za linią falochronów sunął powoli w stronę Grand Harbour potężny „Illustrious”. Alistair nigdy przedtem nie widział lotniskowca i był zdumiony ogromem okrętu. Nie był oświetlony, a w porcie obowiązywało zaciemnienie, lecz widać go było wyraźnie w poświacie księżyca. Zasłonił im pół nieba. Słyszeli pomruki wielkich turbin, kiedy okręt zmierzał ku nim niczym duch. Wraz z morską bryzą poczuli okropny swąd – woń zwęglonego żelastwa i ciał, paliwa lotniczego i ciekącego oleju. Nikt się nie odezwał. Kilkunastu oficerów i dwustu żołnierzy chłonęło ten widok w milczeniu przez pełne dwie minuty. Gdy woń stała się zbyt ostra, Alistair znów zwrócił się do żołnierzy.

– Dobra – rzucił, rezygnując z dalszej przemowy. – Jak widzicie, trudno będzie w niego nie trafić, nawet Włochom. Lepiej ruszajmy do dział.

Wśród żołnierzy ze swojego pododdziału Alistair poczuł się pewniej. Zadbał o nich, jak tylko mógł najlepiej. Jako że czekała ich chłodna noc, kazał przynieść z magazynu koce oraz materace i napełnić termosy kakao. Wysłał swojego zastępcę do lekarza po zapas kropli do oczu i benzedryny. Wiedział z doświadczenia nabytego we Francji, że miną dwa albo trzy dni w pełnej gotowości, zanim się przydadzą, i że kiedy będą potrzebne, szybko się skończą. Podzielił obsadę każdego działu na dwie grupy pełniące

dwugodzinne warty, a sam przez całą noc dozorował trzystumetrowy fragment murów, który przypadł im w udziale.

Atak nie nastąpił.

W końcu, gdy świt powitał ich szarymi chmurami, czując wywołany zmęczeniem szum w uszach, Alistair zszedł na leżące poniżej fortu skały. Patrzył w morze i rozmyślał o Tomie. Fale rozbijały się o brzeg. Każda z nich szumiała zraniona i ustępowała miejsca kolejnej. Przybywały w tym celu aż spod linii horyzontu. Alistair przypatrywał się, jak po kolei suną w jego stronę. Żadna nie wyskoczyła z szeregu ani nie próbowała uniknąć swego losu. Śmierć wreszcie miała barwy brytyjskiej flagi, a życie przybrało postać cudzoziemskiego chaosu.

Chmury lgnęły do wyspy przez cały ranek. W południe dowódca fortu wydał rozkaz zlurowania obsługi dział. Rozpoczęło się długie wyczekiwanie. Chmury wisiały tak nisko, że żaden samolot nie mógł wzbić się w powietrze, a wokół wyspy pływało jeszcze sporo brytyjskich okrętów i nieprzyjaciel nie zaryzykowałby ataku z morza. Wszystkie oczy skierowane były w górę. Gdy tylko powłoka chmur ciemniała, żołnierze nie kryli zadowolenia. Za to przy każdym, choćby najmniejszym przejaśnieniu zapadała niespokojna cisza. Żołnierze szybko stali się ekspertami od odcieni szarości, będąc w stanie dostrzec subtelne różnice między barwą popiołu, zmięszu, srebra, granitu, łupku i myszy. Ich skierowane ku niebu twarze przybrały odcień ratującej życie białości.

Wszystkie przepustki wstrzymano – żołnierze i oficerowie mieli pozostać na terenie fortu. Skończyły się popołudnia, które spędzali na żeglowaniu i pływaniu. Pierwszego dnia do dział zamontowano lufy. Pociski zostały wyniesione ze zbrojowni i policzone, po czym znów trafiły do podziemnych magazynów. Kiedy nie zostało już nic, co można by przygotować, żołnierzom przydzielono najróżniejsze rzeczy do czyszczenia – szare od pyłu łoża dział, mosiężne przewody olejowe, soczewki celowników. Kiedy wyblyszcyli już cały sprzęt, zabrali się do niezbędników, masztów i butów. Pod koniec drugiego dnia fort i wszystko, co w nim było, lśniły jak

opętane.

Kiedy nie zostało już nic, co można by wypolerować, należało przesunąć zapory z worków z piaskiem. Oficerowie dysponowali trzema bateriami działającymi w ośmiogodzinnym systemie zmianowym i przekonali się, że jeśli bateria pierwsza przesunie zaporę z punktu A do punktu B, druga cofnie ją z punktu B do punktu A, a trzecia przeniesie ją na powrót z punktu A do punktu B, to bateria pierwsza z zadowoleniem stwierdzi, że efekt jej wysiłków pozostał niezmienny.

Trzeciego dnia jednak nawet najbardziej pomysłowi oficerowie nie potrafili znaleźć zajęcia dla swoich ludzi. Szarość nieba zaczęła wdzierać się w serca żołnierzy. Wpatrywali się w bezkształtne chmury i dostrzegali maszyny wroga tam, gdzie ich nie było. Ogłaszano fałszywe alarmy i dochodziło do wybuchów paniki. Żołnierzy zaczęła zawodzić pamięć – nie mogli przypomnieć sobie momentu, by nie stali na warcie na pradawnych murach fortu. Liche racje żywnościowe wywoływały głód, który spowalniał ich myśli. Prześladowały ich duchy drzemiące w starych bastionach. Oficerowie popadali w apatię i przesuwali palcami po napisach wyrytych w kamieniach przez ich poprzedników. Żołnierze niepełniący służby zrywali się ze snu z krzykiem, bełkocząc, że Turcy dokonali wyłomu w murach. Na głównym dziedzińcu znaleziono zakrwawioną siekierę z przylepionymi do ostrza kępkami jasnych włosów. Niektórzy podejrzewali, że to włosy ludzkie, inni – że kozie. Podczas apelu stwierdzono, że brakuje jednego żołnierza i jednej kozy.

Czwarty dzień przebiegł spokojnie. Brakującego żołnierza odnaleziono w wiosce w głębi wyspy. Żle z nim było, ale tylko dlatego, że się upił.

Alistair próbował sobie przypomnieć twarz Toma. Już zlewała mu się w głowie z twarzą Duggana. Nie mógł wejrzeć w ich dawne wspólne życie przez niską szarą powłokę pamięci. Widział za to Mary – jej włosy koloru miedzi i niesforny uśmiezek – i czuł niesmak do samego siebie.

Leżał na pryczy, wpatrzony w szary metalowy stolik i stojącą na blacie świeczkę. Jej mały płomień przesączony przez słoik dżemu z jeżyn Toma rzucał krwawą poświatę na papier listowy.

Piątego dnia o świcie Alistair poszedł przyjąć raport od warty, która kończyła służbę. Pałac fajkę, spojrzął w morze. Poczuł na twarzy świeży powiew wiatru. Obserwował, jak czerwona słoneczna kula wkrada się w bezmiar różowego nieba. Minęło sporo czasu, nim dotarło do niego, że chmury zniknęły. Przetarł oczy. Na horyzoncie już pojawił się błękit. Idealne warunki do nalotu. Wystukał o kamień popiół z fajki, przesunął palcami po włosach i poczuł tak dobrze znany ucisk w żołądku, będący zapowiedzią walki.

Była szósta, nowi wartownicy właśnie wyruszyli z fortu. Podbiegł do nich, żeby ich przygotować, gdy rozbrzmiał dzwonek alarmu. Po minucie, gdy żołnierze śpieszyli, by zająć pozycje, i zakłębiło się w całym forcie, w La Valletcie i wokół portu zawyły syreny.

Nalot przeprowadzili Niemcy, dużo brutalniejsi od Włochów. Atakowali z niewzruszoną furją, według ścisłego planu. Przez cały tydzień nie było godziny, by nie pojawiły się ich bombowce nurkujące i te zrzucające pociski z dużej wysokości. Kiedy wreszcie skończyli, żołnierze, których nie przeszły odłamki szrapneli i nie okaleczył odrzut własnych dział, byli tak ogłuszeni po tysiącach eksplozji, że z zatkanych przez żółty pył uszu ciekła im krew. Bazedryna i dym do tego stopnia ich oszołomiły – zarówno szeregowych, jak i oficerów – że padając jeden na drugiego wokół dział, doznawali wizji. Niczym dzieci zbyt długo pozbawione snu, zasypiali tak, jak stali, z otwartymi ustami i twarzami zastygłymi jak po śmierci. Przez całą noc drobny pył, który podczas nalotów uniósł się na wysokość kilometra, okrywał ich żółtym całunem.

Kiedy Alistair się przebudził, jedynym dźwiękiem, jaki usłyszał, były krzyki mew. Ocierał pył z oczu tak długo, aż odzyskał wzrok. Pod wreszcie szarym niebem wody portu czerniły się od plam ropy i cuchnęły nieczystościami. Najwyraźniej musiały popękać wszystkie rury. Alistair czuł, jakby jego płuca oblepiła gruba

warstwa farby.

Ruszył chwiejnie po schodach do pokoju radiotelegrafistów, ale kiedy podniósł słuchawkę, ta pozostała głucha. Po ośmiu dniach i nocach nalotów już nic nie łączyło się z niczym. Garnizon przypominał planszę do gry w kartofla. Alistair nie był pewien, czy chce się przekonać, jaki będzie jej finał.

Ocknął się jako pierwszy. Obudził podoficera. Gdyby miał nim potrząsać jeszcze mocniej, musiałby zrobić to, co wcześniej Niemcy. Przytrzymał go za ramiona, rzucił mu surowe spojrzenie i powiedział:

– Kawa.

Briggs popatrzył na niego, jakby dzieliły ich setki kilometrów.

– Kawa – powtórzył Alistair. – Ka-wa.

– Tak, poproszę.

– Nie, Briggs. To ty ją zaparzysz. Dla oficerów.

Chorąży niezdarnie zasalutował i niepewnie oddalił się do kuchni, gdzie po chwili zaczął tłuc garnkami. Alistair ruszył wzdłuż murów w poszukiwaniu Simonsona. Energicznie nim potrząsnął.

– Czego chcesz, łachmyto?

– Przyszedłem sprawdzić, czy żyjesz.

– Nie żyję, spadaj.

– Pomyślałem, że się ucieszysz. Wojna się skończyła.

Simonson przysiadł w pyle i dwukrotnie zamrugał oczami.

– Jezu. Serio?

– Tak – potwierdził Alistair. – Właśnie przyszedł telegram z Londynu. „Natychmiastowe przerwanie wrogich działań. Okręty transportowe do końca tygodnia”.

Simonson zamknął oczy.

– Dzięki Ci, Panie! – westchnął radośnie.

Alistair odczekał dwadzieścia sekund, po czym rzucił:

– Właściwie to nie.

Simonson łypnął przekrwionym okiem.

– Wredny sukinsyn.

– To w rewanżu za twoją pomoc przy mojej przemowie. Kawy?

– Mam nadzieję, że cię zabije.

– Briggs właśnie ją parzy. Chodźmy do mnie. Później trzeba obudzić żołnierzy i postawić fort na nogi.

Simonson zerknął na chmury.

– Dziś nie przylecą.

– Nie będą musieli, jeśli nie ogarniemy tego bajzlu. Wszyscy jeszcze chrapią.

Simonson naciągnął górę munduru na głowę.

– Francuzom to posłużyło.

Alistair roześmiał się.

– Myślałem, że chcesz awansować na majora.

– Tak, żeby plebs, taki jak ty, odwał za mnie brudną robotę.

– Wspomniałem ci, jak wiele znaczy dla mnie nasza przyjaźń?

Simonson tylko jęknął.

– Naprawdę. Całkiem się cieszę za każdym razem, kiedy cię nie zabijają.

Simonson uchylił powiekę i mrugnął znacząco.

– Nareszcie! O północy, pod prysznicem, tylko, na litość boską, ani słowa siostrze przełożonej.

Później do wieczora obaj doglądali swoich żołnierzy. Rannych trzeba było ewakuować do szpitali w głębi wyspy, a tych, którzy przeżyli wstrząs, wysłać na przepustki. Z ośmiu dział, jakimi dysponowała bateria, zejdą do sześciu z pełną załogą. Wszystko wymagało napraw, czyszczenia i oliwienia. Należało wypoziomować wszystkie działa i ponownie nastawić celowniki, a także sprawdzić linie przesyłowe i wymienić te uszkodzone.

W przypominających labirynt trzewiach fortu wszystko pospadało z półek, zostało przestawione w chaosie na niewłaściwe miejsce, skradzione, zjedzone bądź okrojone. Na szczęście wszystkie brytyjskie oddziały dysponowały pełną dokumentacją, dzięki której żołnierze, którzy prawie nie sypiali, mogli złożyć części rozmaitych przedmiotów w jedną całość. Alistair i Simonson przywrócili zdolność bojową swojej baterii przy użyciu instrukcji oraz kwatermistrzowskich list wyposażenia. Alistair miał wrażenie, że

gdyby rankiem wybrali niewłaściwą instrukcję, mogliby skończyć jako firma produkująca autobusy lub niewielka farma mleczna.

O zmierzchu na powierzchni morza pływało jeszcze tyle ropy, że Alistair bał się, iż promienie zachodzącego słońca mogą ją zapalić. Był zbyt zmęczony, by myśleć logicznie. Wdrapał się z trudem po kamiennych schodach do swojej kwatery i przysiadł na pryczy. W ciągu dnia przyszła poczta lotnicza – widocznie jakiś wellington zdołał się przemknąć przez zasieki obrony przeciwlotniczej nieprzyjaciela – i na biurku czekał na niego list. Alistair rozciął kopertę, nie rozpoznając charakteru pisma.

Alistairze,

mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że do Ciebie piszę. Bez Toma pewnie czujesz się równie okropnie jak ja. Przeglądając jego rzeczy, znalazłam list, w którym prosisz go o przebaczenie za tamten wieczór, kiedy się poznaliśmy. Nie wiem, czy zdążył Ci odpisać.

Pomyślałam, że będzie Ci miło, jeśli się dowiesz, że Tom często Cię wspominał. Byłeś dla niego wzorem. Nigdy nie pogodził się z tym, że został w Londynie, kiedy Ty narażałeś głowę. I nawet jeśli pod koniec wydawał się w swoich listach nieco zdystansowany, nie myśl, że robił to naumyślnie. Zdarzały się dni, gdy sprawiał wrażenie, jakby dzieliły nas tysiące kilometrów, mimo że siedzieliśmy przy jednym stole.

Tutaj wszyscy są znużeni trwającymi już tyle miesięcy nalotami i chłodno się nawzajem traktują. Nie chcę, żeby zabrzmiało to płaczliwie – pragnę Ci jedynie opisać, jak tu teraz jest. Oczywiście, że kiedy wojna się skończy, będzie jak na początku wiosny, której nadejście zawsze tak cudownie nas zaskakuje. Drzewa znów okryją się liśćmi, które zamaskują gałęzie, i będziemy zdumieni – nieprawdaż? – tak jak zawsze, gdy odchodzi zima. Pomyślmy: „Uleciało mi z głowy, że mamy trzy pory roku, w których da się żyć”.

Tom nie chciałby, żebyśmy się smucili. Zawiozłam mu dziś

rano na grób krokusy. Ułożyłam je najładniej, jak umiałam, i wróciłam do domu. W pociągu był duży tłok. Byłam głodna. W przedziale siedział mężczyzna o wyjątkowo irytującym śmiechu. Trudno wznieść się ponad codzienność tylko dlatego, że tak należy. Przypuszczam, że kładziemy kwiaty na grobie, bo sami nie możemy się na nim położyć.

Zgłosiłyśmy się z Hildą do pracy w ekipach ratowniczych. Prowadzenie karetki może być niezłą zabawą, choć mój ojciec twierdzi, że jako kierowca przysporzę nam jeszcze więcej ofiar. W każdym razie nie pozwalają mi uczyć. Bardzo żałuję, ale może i dobrze. Wciąż nie mogę sobie darować, że moi uczniowie nadal by żyli, gdybym nie upierała się przy lekcjach, kiedy zaczęły się naloty. Ale my żyjemy i nawet taka oślica jak ja musi wyciągać wnioski. Wychowano mnie w przekonaniu, że wszystkim dzielnym będzie przebaczone, lecz podczas wojny odwaga tanieje i nie ma mody na współczucie.

Zamierzam opłacać czynsz za Waszą mansardę, chyba że będziesz temu przeciwny. Pomyślałam, że będziesz chciał się tam zatrzymać, kiedy tu przyjedziesz. W Twojej szafie wiszą trzy przyzwoite krawaty, cztery koszule, z których dwie prawie niczego sobie, oraz garnitur w stylu, który mogę jedynie nazwać konwencjonalnym. Wybacz mi, jeśli uważasz, że lepszym słowem byłoby „nudnym”. Umieściłam w nim kulki na mole, choć korciło mnie, żeby podłożyć coś bardziej łatwopalnego. Koniecznie daj mi znać, jak zapatrujesz się na to rozwiązanie.

Z poważaniem,

Mary North

Alistair odłożył list i wstał. Przez kilka minut przypatrywał się zniszczonemu portowi i paskudnym czarnym plamom oleju na wodach zatoki. Później usiadł przy metalowym stoliku, wziął ogryzek ołówka i czysty blankiet listowy.

Droga Mary,
dziękuję za miły list. Zrezygnuj z wynajmu mansardy i napisz mi, ile za nią do tej pory zapłaciłaś, żebym mógł zwrócić Ci pieniądze. Jeśli chodzi o moje nieszczęsne ubrania, to w obwodzie wyborczym Twojego ojca z pewnością znajdzie się jakiś kmiotek, który ubierze w nie stracha na wróble. Ponadto...

Alistair zawahał się. Właściwie co miała na myśli, pisząc: „Koniecznie daj mi znać, jak zapatrujesz się na to rozwiązanie”? Przeczytał list jeszcze raz, ale nie zdołał go zinterpretować. Jeśli miała to być prosta prośba o instrukcje, to zbyt wiele było w niej krokusów, a jeśli coś więcej, to trochę brakowało tu róż. Alistair zgniótł blankiet i zaczął jeszcze raz.

Mary,
jeśli nie jest to dla Ciebie kłopot, to liczę, że będziesz nadal wynajmować mansardę, przynajmniej do czasu, kiedy trafi mi się okazja, żeby przyjechać i pożegnać się z tą starą norą. Chciałbym mieć coś, co będzie mi przypominać o Tomie. Oczywiście teraz to jest Twoje mieszkanie, Twoje i jego, więc zrób to, co uznasz za...

Ten blankiet też zmiął. Prosiła go o rozmowę o Tomie, czy pozwalała, by o nim nie mówił? Tęskniła za Tomem, on też za nim tęsknił – lecz życie jest dla żywych, takie było przesłanie tego listu. Ale z niego prostak, że wciąż gada jej o Tomie!

Alistair potarł oczy. To było ponad jego siły. Jeszcze nie zdarzyło się w dziejach świata, żeby mężczyźnie udało się napisać stosowny list do kobiety, na której mu zależało. Jak w ogóle mógł tego próbować po ośmiu dniach i nocach nalotów? Ale musi to zrobić właśnie teraz, w przerwie między atakami, bo jego list trafi od razu na pokład pierwszego lecącego do Anglii samolotu. Wojna sprawia, że człowiek robi rzeczy, na które nie jest gotowy. Alistair miał tu na

myśli nie tylko śmierć.

Mary,
do diabła z mansardą i starymi ciuchami, chciałbym być
teraz z Tobą.

Znów się zawahał. Może całkowicie nie zrozumiał listu Mary. Gdy przeczytał go kolejny raz, zawstydził się. Mary kochała Toma, Tom zginął, a ten list to jedynie ślamazarna próba wyjścia na prostą. Jak dziecko powtarza sobie, że musi być dzielna i oczekuje od niego braterskiego wsparcia, nic więcej. Spodziewa się, że ją pocieszy, powie, że też odczuwa pustkę po odejściu Toma, że tak to jest, kiedy ktoś umiera, co nie znaczy, że kochała go nie dość mocno. Ale jednocześnie zdawała się mówić: „Kocham Cię – możemy coś z tym zrobić?”, tyle tylko, że jej słowa wymagały odszyfrowania.

Zanurzył głowę w dłoniach i jęknął. Oczywiście to samo zrobiła z Tomem – okręciła sobie jego nieszczęsnego przyjaciela wokół palca, a ten głowił się, czy to możliwe, że naprawdę jej się podoba. Gdyby Alistair potrafił uwierzyć, że Tom śmieje się teraz z niego z za grobu, wszystko byłoby prostsze. Wyglądało to jednak tak, jak opisała to Mary. Zmarli nie dają nam niczego odczuć. Po prostu odchodzą i znikają, a nagły niedostatek uczuć sprawia, że krwawi nam serce.

Alistair trzymał list Mary w dłoniach i wdychał jego zapach. Pachniał mydłem i papierosami. Oto ma w rękach godzinę jej londyńskiego życia i nie umie odczytać jego intencji. Znów wziął ołówek i zaczął jeszcze raz.

Mary,
nieważne, co zrobisz z mansardą. Ważne jest to, żebyś była szczęśliwa. Nie przedłużaj najmu ze względu na mnie. Zatrzymaj ją, jeśli jest Ci z tym lepiej. Zastanów się jeszcze nad tym wolontariatem. Dobrze wiesz, że podczas nalotu praca kierowcy ambulansu jest niebezpieczna, a przecież już

wystarczająco dużo straciłaś. Przekonałem się, że żołnierze, którzy stracili przyjaciela, nadmiernie ryzykują. Częściowo wynika to z żądzy zemsty, ale to coś więcej. Powtarzam im, że wojna nie wybuchła z ich winy. Godzę się, żeby odczuwali wyrzuty sumienia, kiedy sami zginą, ale nie wcześniej.

Nie daj sobie wmówić, że nie możesz uczyć. Jeśli jesteś w tym dobra, ucz. Znajdź jakiś sposób, bo przecież nie lubisz wykonywać rozkazów. Ta wojna wszystkich nas uczyniła sierotami – świata, który znaliśmy, już nie ma i musimy znaleźć sobie nowe miejsce.

Twój Alistair

Złożył blankiet, zaadresował go, przekazał Briggsowi i opadł na pryczę.

*

List Alistaira odleciał z wyspy tym samym wellingtonem, którym przyleciał list Mary. Na pokładzie maszyny znajdował się również poparzony pilot RAF-u, którego transportowano do domu przez Gibraltar. Umieszczono go na podściółce z worków pocztowych w wąskim tunelu w ogonie samolotu, prowadzącym do wieży ze stanowiskiem działonowego. Póki pozostawali w zasięgu stacjonujących na Sycylii nieprzyjacielskich myśliwców, pilot wellingtona utrzymywał samolot na wysokości dwudziestu metrów, po czym podciągnął maszynę wyżej, pokonując odcinek pomiędzy Sycylią a północnym wybrzeżem Afryki.

W odległości niespełna stu kilometrów na północ od wybrzeży Tunezji poparzony lotnik zmarł w wyniku odniesionych obrażeń. Dokonał tego po cichu; słychać było jedynie powarkiwania silnika. Podczas tych ostatnich minut chłód panujący na dużych wysokościach przyniósł ukojenie jego cierpieniom. Czując przyjemny jutowy zapach worków pocztowych, zrozumiał, że to jego ostatnie chwile, i cieszył się, że odchodzi pośród tyłu ciepłych

słów zawartych w listach do bliskich. Spojrzał w dół przez boczną akrylową pokrywę kabiny i zobaczył, jak bezkres błękitu Morza Śródziemnego zmywa krew ze wszystkich jego brzegów.

Podczas tego lotu załoga wellingtona nie doświadczyła żadnych awarii i nie napotkała maszyn nieprzyjaciela. Gdy minęli po lewej Algier, pilot skierował samolot nad otwarte wody w stronę Gibraltaru. Na zachodzie pojawiły się chmury, coraz niższe, w miarę jak zbliżali się do wybrzeży Hiszpanii. Nawiązawszy łączność z wieżą w Gibraltarze, pilot był zmuszony zejść poniżej pułapu trzystu trzydziestu metrów; wiatr wiejący z południa zaczął kolebać maszyną z boku na bok. Wieża poleciła pilotowi sprowadzić samolot na ziemię z kierunku zachodniego, od strony Atlantyku.

Nagły boczny podmuch zarzucił maszyną w chwili, gdy dotykała już lądowiska kołami. Jedno ze skrzydeł uniosło się do góry, drugie zaryło w podłoże i wellington wypadł na końcu pasa wprost do morza. List Alistaira opadł w chłodne gibraltarskie wody na głębokość stu metrów wraz z tysiącem stoma innymi listami, poparzonym lotnikiem i sześcioma członkami załogi. Żaden z nich nie wrócił do domu.

Luty 1941

Minął miesiąc, a Alistair wciąż nie odpisywał. Mary odebrała list z potwierdzeniem, że dostała posadę kierowcy ambulansu, i wygładziła go na blacie sekretarzyka w swoim pokoju w domu rodziców. Skrzywiła się, niedbale trzymając papierosa i nie przejmując się tym, że zżółknę jej palce. Przecież dym pojawił się też po stronie wroga. Kiedyś był tym samym, co ulatniało się z lampy Aladyna. Teraz tylko to przypominał.

Co ma teraz zrobić? Może się poddać i pozwolić, by matka wydała ją za mąż. Albo zacząć jeździć karetką, żeby się przekonać, co dobrego z tego wyniknie. Z równym prawdopodobieństwem wojna może ukarać ją za każdy z tych wyborów.

Im dłużej o tym rozmyślała, słysząc, jak służąca ściera kurze na podeście schodów, tym bardziej odstręczająca wydawała jej się każda z tych decyzji. Gdy pierwszy raz zaczęła wreszcie żyć, odczuła to jako ożywczą bryzę. Dopiero co opierzona, musiała tylko sfrunąć z gałęzi, by zdumiał ją nagły strumień powietrza. Teraz, w wieku dwudziestu lat, trudno było jej znów zaczynać wszystko od nowa. Musiała odbić się od ziemi, a każde uderzenie skrzydeł było zmaganiem się z nieprzychylną siłą ciężenia.

W szarym świetle padającym przez okno z dziedzińca i w ciszy zalegającej na białej szydełkowej narzucie Mary poczuła, że niknie. Ojciec wyjechał do swojego okręgu wyborczego, a matka uwijała się przy podwieczorkach i komitetach, przemieniając się w będący w ciągłym ruchu cień. Zdarzało się, że Mary godzinami pokładała się na łóżku.

Początkowo buzowała w niej jakaś nerwowa energia – krzątała się przed pogrzebem Toma, spakowała jego rzeczy, napisała do Alistaira. Była pewna, że jej odpisze. Miała poczucie, że wystarczy

jedno jego słowo, żeby obrała jakiś nowy kierunek. Teraz wzdragała się na myśl, jak była naiwna, wyobrażając sobie, że może mu na niej zależeć. I nie chodziło tylko o Alistaira. Odebrawszy list od szefa trupy, napisała bezpośrednio do Zachary'ego, ale on też nie odpowiedział. Może na tym polega dorastanie – na uświadomieniu sobie, że świat roi się od ludzi i że nie jesteśmy szczególnie ważni.

Mary leżała na łóżku i wpatrywała się w sufit. Gzymsy układały się w niekończącą się linię, która zwijała się w rogach pokoju przy przejściu na kolejną ścianę. Można było śledzić ją wzrokiem cały dzień.

Na dole zadzwonił telefon. Palmer przyszedł, żeby ją o tym powiadomić. Ton jego głosu nie zmienił się. Traktował ją, jakby wcale jej nie ubyło i nie potrzebowała jakiegoś szczególnego współczucia, co Mary odebrała jako wyjątkową uprzejmość. Wciąż w nocnej koszuli, mimo że było już południe, ruszyła za nim boso po miękkim dywanie głównymi schodami, niczym dziewczynka, która podąża za dorosłym. Słuchawka leżała na konsoli w holu pod bukietem białych narcyzów w szarym kryształowym wazonie.

To była Hilda.

– Ty też dostałaś? List?

– Tak – potwierdziła Mary.

– Ciebie też przyjęli?

– Tak.

W słuchawce ozwał się pisk, jakby kociak połknął flet rzezańców.

– Czeka nas przygoda!

Mary oparła głowę o drewnianą boazerię.

– Czy ja wiem...?

– Chyba się nie zastanawiasz? Nie ma nad czym. Dadzą nam szpiczasty czepek i plakietkę.

– Wiesz, mundurek to raczej nie dla mnie.

– Tu nie chodzi o ciebie. One działają na facetów jak kocimiętka na koty.

– Nie jestem do wzięcia.

– Nonsens. Dzwoniłam do zegarynki. Pora żałoby już minęła.

– Jesteś bezczelna!

– Posłuchaj. Gdybyś była w żałobie, dałabym ci spokój, ale ty się tylko nad sobą użalasz. Jestem niemal pewna, że to przez ciebie Hitler wciąż wysyła tu bombowce. Wiesz, że naziści nie cierpią tchórzy.

– Ale ja...

– Przestań. Powiedz, że się zdecydujesz. W życiu nie pracowałam i na pewno nie zacznę bez ciebie.

Mary spojrzała na kwiaty. Na słupkach roiło się od pyłku. Przygaszone światło mieniło się przy wazonie kolorami.

– Nie jestem pewna, czy...

– No nie! – rzuciła Hilda proszącym tonem. – Kimkolwiek pani jest, niech pani odłoży słuchawkę i poprosi do telefonu moją przyjaciółkę Mary.

– Rzecz w tym, że nie wiem, czy nadaję się do czegokolwiek. Kiedyś wiedziałam od razu, co należy zrobić.

– Nie przejmuj się. To było wyjątkowo irytujące.

– Przykro mi, ale nie zasługuję na ciebie.

– Nie zasługujesz wyłącznie na to, co cię spotkało. Wiem, że jesteś przybita, ale im dłużej ukrywasz się w swoim pokoju, tym gorzej.

– Nie jestem pewna, czy praca w ekipie ratowniczej mi pomoże. Wciąż będzie mi o tym przypominać.

– Przecież i tak wciąż o tym rozmyślasz.

– Bezustannie...

– Czyli na jedno wyjdzie, tyle że będziesz miała mundur i plakietkę. Po co błądzić myślami, skoro możesz przez nie pędzić na sygnale? W najgorszym wypadku możemy komuś pomóc.

Mary uśmiechnęła się wbrew sobie.

– My. Wyobrażasz sobie?

– No właśnie! I nie mów, że nie widzisz oczami wyobraźni, jak mkniemy z piskiem opon na ratunek. „Gdzie ja wcisnęłam te bandażę? Byłam pewna, że są w pudełku, ale widzę tu o wiele ciekawsze rzeczy”.

– Może faktycznie mogłybyśmy spróbować – powiedziała

z wahaniem Mary.

– I tak trzymaj! Przynajmniej do czasu, kiedy odzyskasz humor.

Mary przymknęła oczy.

– Dziękuję.

Hilda milczała.

– Hilda?

– Jeszcze nigdy mi za nic nie podziękowałaś.

– Widzisz? Powinnaś częściej być dla mnie miła.

Marzec 1941

O zachodzie słońca Mary stawiała się w punkcie obrony przeciwlotniczej w kościele św. Heleny w Bishopsgate. Świątynia pozostała nietknięta, jedynie okna trzeba było zabić deskami. Cały teren wokół był zrównany z ziemią, ale Mary postanowiła nie patrzeć. Gdy wypchnęło się hałdy żółtego gruzu poza granice wzroku, mózg traktował je jako naturalne formy krajobrazu i nie stosował sztuczki polegającej na unieszczęśliwianiu swojego właściciela.

Owinięty szarym kocem mężczyzna siedział przy stole na kozłach, ustawionym przed wejściem do kościoła.

– Przyszłam tu służbowo – rzuciła Mary. – Jestem nowym wikarym.

Mężczyzna spojrział na nią wzrokiem, który – zdaniem Mary – świadczył o niewyobrażalnym znużeniu.

– Mary North – przedstawiła się. – Mam być kierowcą ekip ratowniczych Czerwonego Krzyża.

Zmierzył ją wzrokiem. Wychudzony, po pięćdziesiątce, z przekrwionymi oczami i dwudniowym siwym zarostem. Miał na sobie kalosze i poplamioną czymś marynarkę. W bladym przedwieczornym słońcu jego oddech przemieniał się w parę.

– Umiesz prowadzić samochód?

– Tego też wymagają?

Mężczyzna wreszcie się uśmiechnął.

– Jestem Huw. Łapię za jeden koniec noszy, a Clive za drugi. Przyjdzie tu, jak skończy mu się forsa na piwo.

– Miło poznać.

– Jeszcze będziesz żałować. Robiłaś to już wcześniej?

– Nie. Pierwszy raz.

Wskazał kciukiem za plecy.

– Furgonetka stoi za rogiem, jeśli chcesz się z nią zapoznać. Nie ma klaksonu ani gwizdka. Jazda jak w niedzielę, tyle że lecą bomby. Przyszła też nowa pielęgniarka, taka mała fryga. Mówi, że czekała od drugiej.

– To moja przyjaciółka, Hilda. Nigdy nie przepuści, jak coś się dzieje. Zgłosiłyśmy się razem.

– Człowiek czeka całe wieki, a tu nagle aż dwie.

Rolę ambulansu pełnił czarny hillman z wymalowanymi na drzwiach symbolami Czerwonego Krzyża i czterema noszami na bagażniku dachowym. Hilda wystroiła się w o dwa numery za dużą budrysówkę. Robiła akurat porządek w torbie z medykamentami. Kiedy podniosła wzrok na Mary, czepek osunął się jej na oczy.

– Uściskamy się czy zaszalujemy? – spytała.

– Może jedno i drugie, na wszelki wypadek?

Kiedy Hilda machnęła ręką, opaska ze znakiem Czerwonego Krzyża zjechała jej na łokieć.

– Wariatka – westchnęła Mary. – Daj, poprawię ci.

– Dzięki. Powinnam mocniej okręcić, bo opatrunek kłosowy zstępujący, wstępujący i kolisty śrubowy umiem już zrobić. Na dowód mogę ci pokazać nowiutkie zaświadczenie.

– Na sobie to nie takie proste – pocieszyła ją Mary, przytwierdzając opaskę we właściwym miejscu.

– Mam nadzieję, że na początek wyślą nas z prawdziwą pielęgniarką.

– Ty jesteś prawdziwą pielęgniarką. Wystarczy spojrzeć: czepek, opaska. Brakuje ci już tylko kieszonkowego zegarka.

– Przeszłam dwutygodniowe szkolenie! Dłużej trwało, zanim nauczyłam się obsługiwać piecyk!

– Cóż, jeśli trafi nam się ranny, będę musiała jak najszybciej dowieźć go do szpitala.

– Nie wiesz, czy mamy włożyć hełmy? Wyglądam w nim jak pieczarka. Wam, wysokim, bardziej w nich do twarzy.

– Stają się bardzo modne podczas nalotów.

Hilda przygryzła dolną wargę.

– Możliwe... ale ten mundurek jest kompletnie do niczego. Mierzyłam go do spódniczki i pończoch, a potem do spodni. Wygląda strasznie. Nie śpię od piątej.

– Ale wyglądasz świetnie – uspokoiła ją Mary.

Ona sama włożyła przydziałową spódnicę, spięła mundur paskiem w talii i upchnęła do wszystkich kieszeni paczki cravenów „A”. Teraz jednego zapaliła.

– Zimno ci? – spytała Hilda. – Może posiedzimy w aucie?

Dłonie Mary drżały. Zaczęło się to po tamtej tragedii. Co za koszmar! Miło, że Hilda udawała, że to z zimna. Miło było też wsiąść do hillmana. Mary usadowiła się za kierownicą i uchyliła okno, żeby wypuścić z kabiny dym. Wnętrze samochodu pachniało przyjemnie praniem. Pewnie je nim wozili, nim został zarekwirowany.

Siedząca na fotelu pasażera Hilda sprawdziła w lusterku stan swojego makijażu. Dołożyła trochę szminki i powiedziała:

– Alistair wciąż mi nie odpisał.

– Przykro mi.

– Nie liczyłam na zbyt wiele, ale myślałam, że przynajmniej odpisze.

Mary nie udało się wytrzymać jej spojrzenia.

– Ty też do niego piszesz? – zdumiała się Hilda.

– Nie – skłamała Mary.

– Czyli to zwykły łobuz – podsumowała Hilda.

– Myślałam, że ci się podoba?

– Pod warunkiem, że ja mu się podobam. Takie są zasady.

Mary skinęła głową.

– Czasami przemawiasz niemal jak Chrystus.

– Możesz się chwalić, że byłeś moją pierwszą uczennicą.

– Raczej fryzjerką.

Hilda zerknęła na zegarek.

– Jestem przerażona. Ale przecież nie przyszłybyśmy tutaj, gdyby to było naprawdę niebezpieczne.

– Wiesz, czym powinnaś bardziej się martwić? Tym, że zgłosiło

się tyle ochotniczek, że to już nie będzie oryginalne.

– Myślisz, że faceci nie będą zwracać uwagi?

– Coś ty! Dziewczyn z ambulansów jest na pęczki.

– Zawsze mi wszystko psujesz.

– Jedno albo drugie. Ryzykowna, chwacka służba albo zabójczo nudny banał.

– To już wolę jak jestem przerażona.

– Więc się przymknij i pozwól, że zapoznam się z samochodem. Tobie to dobrze, mądrało. Miałaś dwutygodniowe szkolenie. Mnie tylko zwrócili za autobus.

Mary zaczęła przyciskać pedały i przesuwając manetkę trójstopniowej skrzyni biegów. Na koniec wrzuciła wsteczny. Wszystko chodziło gorzej niż w austin windsorze jej ojca. Cóż, pewnie będzie ostro kląć, ale da się tym jeździć. Gdy to się wreszcie stało – gdy w końcu wojna odziała ją w mundur i przydzieliła kierownicę i sprzęgło – Mary poczuła się bardziej zrezygnowana niż podekscytowana. Czeka ją chaos, płomienie i piekielny huk, ale wydawało jej się, że mniej w tym przygody niż w szkole, z uczniami. Jakież miała wtedy napięte nerwy! Ale może umieramy po kawałku, nikniemy po trochu, jak bochenek chleba.

– Myślisz, że dadzą nam herbatę? – zaniepokoiła się Hilda.

– Mnie nic nie powiedzieli. To ty zawsze wszystko wiesz.

– Znam tylko plotki. Faktów nikt mi nie przekazuje.

– Może boją się, że wszystkim je wypapłasz.

– Wolałabym jednak cokolwiek wiedzieć, nawet jeśli jestem tu tylko od wydawania aspiryny i naklejania plastrów. Siostra przełożona w ogóle mi nie ufała. Zamiast się szkolić, głównie zmieniałam kaczki, więc siłą rzeczy nawet nie widziałam żadnego zdrowego faceta.

– Pielęgniarstwo właśnie na tym polega.

– Wolałabym uczestniczyć w obchodach z młodymi lekarzami. Te pielęgniarki tak się noszą, że biedacy są bez szans. Zanim tętno zdąży spaść im poniżej setki, mają już żonę, dwójkę dzieci i labradora. Ciekawe, czy mamy odnotowywać, jakie środki

medyczne wykorzystujemy, czy ktoś zrobi to za nas po zakończeniu zmiany. Ciekawe, czy...

Mary położyła rękę na ramieniu Hildy.

– Poradzisz sobie.

Hilda zamarła.

– Aż tak bardzo widać, że się denerwuję?

– Nie wysłaliby cię tutaj, gdyby uznali, że nie jesteś gotowa.

– Nie mogę przestać myśleć: a co będzie, jeśli się pomylę? Co będzie, jeśli nie uratuję jakiegoś rannego nieszczęśnika?

– Sądziłam, że interesuje cię tylko mundurek.

– Tak, ale przecież nie do końca mam w nosie ludzkie życie. Wspomniałam ci, że jutro rano organizują w szpitalu przyjęcie? Będą wszystkie dziewczyny ze szpitala St Bart's i tylu lekarzy, ilu da się tam zaciągnąć, nawet jeśli pielęgniarki będą musiały ich związać i podać środek na uspokojenie. Podobno jeden pielęgniarz z oddziału położniczo-ginekologicznego robi z etanolu bardzo przyzwoite martini. Na jutro przygotowuje całą kadź, lód przyniosą w wiadrach z kostnicy, a taki jeden ma przyjść z gramofonem. Wpadniesz? Tylko nie podrywaj tego najfajniejszego jedynie dlatego, że możesz.

– Nie będę, jeśli wypatrzysz go pierwsza.

Zachichotały cicho, jak zwykli to teraz czynić wszyscy londyńczycy, świadomi, że wojna żywi się hałasem.

Nalot zaczął się tuż przed piątą trzydzieści. Zeszły do kościelnej krypty, gdzie mieścił się ich posterunek. Noszowy Huw już tam był. Szef oddziału cywilnej obrony przeciwlotniczej i kurier przyjmowali zgłoszenia o rannych. Na rzeźbionym ołtarzu stały dwa rozdzwonione telefony i trzy pełne popielniczki. Na ścianie wisiała mapa rejonu o powierzchni trzynastu kilometrów kwadratowych. Bomby spadały coraz bliżej.

– Frycki chcą nam dziś dokopać – ocenił Huw.

– Wiecie, że ssą mleko z cycka, póki nie skończą sześciu lat – prychnął szef oddziału.

– Szwaby golą włosy pod pachami, a Szwabki zaplatają ze swoich

warkocze – odezwała się Hilda.

Wszyscy się skulili, gdy tuż obok spadła bomba, od której aż zatrzęsała się krypta.

– A potem efekt jest taki, że latają na wysokości siedmiu tysięcy metrów w kabaretkach pod lotniczym kombinezonem – podsumował szef oddziału.

Mary nie mogła się przemóc, by dołączyć do tej zabawy. Trudno jej było sobie wyobrazić, że naród z tyloma przywarami potrafiłby tak skutecznie unicestwić jej miasto. Dlatego poczuła ulgę, gdy o wpół do siódmej szef wreszcie wysłał je w teren. Z każdą chwilą spędzoną w krypcie coraz bardziej chciała stamtąd uciec.

Hałas na zewnątrz przerażał. Tuż przed kościołem stało działo przeciwlotnicze Bofors, wystrzeliwujące dziesiątki pocisków na minutę. Czerwona raca poszybowała ku zasłanemu dymem niebu, nadziejąc się na biało-niebieskie lance szperaczy. Clive, drugi z noszowych, chrapał na tylnym siedzeniu karetki. Huw obudził go, rzucając przekleństwo, i usiadł obok. Hilda zajęła fotel pasażera i otworzyła książkowy plan Londynu.

Miejsce, do którego mieli się dostać, leżało ledwie trzysta metrów dalej, ale najkrótsza trasa była nieprzejezdna. Mary wyciskała, ile się da, ze słabego silnika hillmana, pędząc ciemnymi ulicami, które w dodatku nagle spowiły chmury dymu. Hilda zaparła się nogami o schowek i śledziła mapę w świetle płomienia zapalniczki.

Pośrodku Gravel Lane zawalił się dom. Jego fasada zniknęła, a prowadzące na piętro schody opadły na tylną ścianę. Z gruzowiska wychynęła inna ekipa z dwoma rannymi na noszach. Huw i Clive przyłączyli się do ratowników, którzy usuwali gont i legary. Później wstawią podpory, żeby unieść zawalony strop. Pomachali do Mary i Hildy, dając im znak, żeby zostały w samochodzie. Pozostało im tylko czekać.

Mary włożyła hełm, zapaliła papierosa i przysiadła na listwie przypodłogowej auta. Oparłszy łokcie na kolanach, jedną dłoń położyła sobie na karku, żeby opanować drżenie. Kilka bomb spadło parę przecnic dalej. Najpierw widać było błyski, a dopiero później

rozległ się huk. Powietrze wypełniała ostra woń spalonego drewna i prochu. Hilda wyjęła z bagażnika torbę z medykamentami.

– Ukryj się – zaproponowała Mary. – Przyjdę po ciebie, jeśli kogoś wyniosą.

– A ty?

– Poradzę sobie.

– W takim razie ja też.

Usiadły, oparłszy się plecami o drzwi auta, żeby znaleźć jakąkolwiek osłonę. Instynktownie starały się być jak najmniejszym celem.

– Nie powinniśmy przebywać na zewnątrz podczas nalotu – zauważyła Hilda.

Mary spojrzała na nią ironicznie.

– Czuję się, jakbym była krnąbrna – wyznała Hilda. – Jakbym coś przeskrobała.

Czekały.

– Spójrz na te szperacze – zmieniła temat Hilda. – Mogliby je tu zostawić po wojnie. Pomyśl, zwykli ludzie ich nie oglądają. Ciekawe, czy...

Mary spojrzała w niebo. Może i rzeczywiście snopy światła szperaczy wyglądały pięknie. Nocny chłód i nieustanne dudnienie działa sprawiły, że poczuła się znużona. Hilda wciąż paplała. Jej uwagi nie były ani irytujące, ani mądre. Tom też tak mówił podczas tamtego strasznego nalotu. Mary żałowała, że nie umiała go wtedy pocieszyć. Jakże okropnie musiał się czuć, i to przed samym finałem. Próbowwała kochać go całym sercem i jak zawsze pogodnie się uśmiechać, ale musiał mieć przeczucie, że to już koniec. Tak pięknie się wtedy zachował, tak dbał, żeby nie robić scen. Bo właśnie tak pękają dobre serca – do wewnątrz, bez odłamków szrapneli. Drogi Tom. Gdyby nie wojna, rozstaliby się w przyjaźni.

Ratownicy złożyli już ramę, żeby podeprzeć zawalony strop piętra. Gdy luka stała się wystarczająco szeroka, jeden z nich wczołgał się do środka. Po minucie krzyknął do kolegów. Huw i Clive podbiegli do samochodu i zabrali nosze z bagażnika na

dachu.

– Ktoś tam jest. Wyciągną go.

Mary i Hilda przebiegły na drugą stronę ulicy. Hilda trzymała w ręku torbę.

– Niech nie ruszają głowy! – zawołała.

– Przecież jej tam nie zostawia! – odkrzyknął Clive.

Wciąż było słycać warkot bombowców i odgłosy detonacji – trzask dwustupięćdziesięciokilogramowych bomb i, od czasu do czasu, huk rezonującego w ziemi tonowego potwora, ale chwilowo jakby trochę dalej.

Po paru minutach wyciągnęli spod zawałonego stropu mężczyznę. Wynieśli go we czterech na sosnowych drzwiach, które położyli na asfalcie. Jeden z ratowników niósł rzucającą wąski snop światła latarkę z osłoną. Ranny miał otwarte oczy.

Hilda przykucnęła obok.

– Był tam ktoś z tobą?

Potrząsnął przecząco głową. Hilda obmacała mu ręce i nogi, mężczyzna jęknął. Rozcięła nogawkę jego spodni.

– Obawiam się, że to poważne złamanie w kostce. Boli cię gdzieś jeszcze?

Ponownie potrząsnął głową.

– Usztywnię nogę i zawieziemy cię do lekarza. Wszystko będzie dobrze.

Kiedy Hilda podała mu dawkę morfiny, mężczyzna po chwili się uspokoił. Działała sprawnie i wkrótce był gotów do transportu. Wpisała na przywieszce litery T i M i przyczepiła mu ją do ręki. Huw i Clive przypięli rannego do noszy, umieścili go na dachu hillmana i wskoczyli do samochodu. Hilda pokierowała Mary do szpitala St Bart's. Kiedy dostarczyli pacjenta na miejsce, Mary zawiozła całą czwórkę z powrotem do kościoła św. Heleny.

W krypcie, w słabym pomarańczowym świetle żarówek Huw zaparzył wszystkim herbatę. Hilda tak się trzęsła, że nie mogła utrzymać kubka.

– Ale się posypałam! – jęknęła.

– Świetnie się spisałaś.
– Naprawdę? Ledwo co pamiętam.
– Nie miałam pojęcia, że usztywnienie wymaga aż tylu bandaży. Jeszcze chwila i owinęłabyś go po czubek głowy, jak Tutenchamona. Hilda uśmiechnęła się.
– Uznałam, że lepiej się pośpieszyć, bo wciąż spadały bomby.
– A te litery, T i M?
– To oznaczenia dla pielęgniarki w izbie przyjęć. T oznacza traumę, X obrażenia wewnętrzne, a M to „podano morfinę”. Podczas szkolenia ćwiczyłyśmy to na salowych. Udawali, że są ranni, a my ich znakowałyśmy. Wymyśliłyśmy też własny kod, gdzie C oznaczało „całusny”, F – „fajny”, a N – „nie, nawet gdybym była gruba, a on był ostatnim facetem na ziemi”.

Mary oznajmiła pozostałym, że musi sprawdzić coś w samochodzie. Usiadła w chłodzie pod murem kościoła i podciągnęła kolana pod brodę. Nalot nie ustawał, bomby wybuchały całkiem blisko, ale ona już się nawet nie wzdrygała. Przypomniła sobie znak X, wyrysowany na czole Toma. Gdy przywoływała w pamięci jego twarz, ten znak nie chciał stamtąd zniknąć. Widziała go nawet wówczas, gdy wspominała ich spacer w Hampstead Heath, kiedy robiła wszystko, by zgubić się z Tomem we mgle. Jakby od zawsze był naznaczony, jakby wiedział, jaki los go czeka.

Kiedy Mary wróciła do krypty, zauważyła, że ktoś otworzył butelkę rumu. Dziewczyna z obrony cywilnej zorganizowała trochę cukru. Było już po jedenastej i znad ujścia Tamizy napłynęły chmury, przesłaniając cele dla bombowców. Po zakończonym nalocie i powrocie ekip ratowniczych krypta wypełniła się ludźmi i nastroje się polepszyły.

– Za nazistów! – zawołał Clive. – Oby ta ich Rzesza była trzecia i ostatnia!

– I żeby ich piloci nie łapali oczek w pończochach!

– Za nazistów!

Kiedy kubki zostały opróżnione, Clive napełnił je ponownie. Do

trunku dolał po kropelce herbaty, na wypadek, gdyby zjawił się tam król.

O trzeciej nad ranem było już po nalocie. Stojące przed kościołem działo umilkło, detonacje ustały i tylko czasami słyszeli nad głowami pomruki ostatnich powracających do baz bombowców. Głośne rozmowy przycichły. Ludzie, okutani w płaszcze, ułożyli się do snu.

Alarm odwołano o czwartej trzydzieści. Hilda przyjęła odgłos gwizdków z ulgą.

– Chwała Bogu. Nie było tak źle, jak myślałam.

– Pójdziemy na to przyjęcie? – spytała Mary.

Hilda skinęła głową i sprawdziła makijaż.

– Pieprzony Hitler. Nie dać się dziewczynie wyspać to jedno, ale żeby pozwolić, by było to po niej widać, to już przesada.

– Docień plusy. Nikogo nie wykończyłaś, a ja nie zadrapałam ambulansu.

Clive chrapał w kącie. Zostawiły go i ruszyły na górę z Huwem. Gdy się z nim żegnały, nagle na niebie rozbłysła łuna i usłyszeli potężny huk, po którym przez pół minuty na ziemię spadały najróżniejsze szczątki.

– Niesamowite – powiedział Huw, gdy zapadła cisza.

– Co to? – zdziwiła się Mary.

– Bomba z opóźnionym zapłonem. Wielka.

Hilda ponownie włożyła na głowę hełm.

– Mary, podjedź przed wejście. Ja skoczę na dół i poczekam, aż przyślą adres. Huw, możesz obudzić Clive’a?

Mary prowadziła samochód. Szperacze już wyłączono i chmury rozświetlała tylko mdła pomarańczowa łuna pożarów na wschodzie miasta. Reflektory auta dawały zbyt mało światła i Mary dwukrotnie omal nie rozbiła ambulansu, hamując gwałtownie ledwie metr od ściany, po czym wrzucała wsteczny i kierowała auto we właściwy zakręt. Miała wrażenie, jakby była obok. Wojna, płomienie, jazda samochodem – wszystko to widziała jakby przez szparę.

Na Billiter Street od razu do nich dotarło, że tu będzie inaczej niż w czasie pierwszej interwencji. Zewsząd napierał tłum. Ludzie mieli na sobie najróżniejsze części garderoby – od piżam po budrysówki. Policjant robił, co w jego mocy, żeby nie przechodzili na drugą stronę ulicy. Wszyscy zmierzali do domów po nalocie, który spędzili w schronach – i nagle nie mogą przejść. Trąbiąc, Mary zdołała jakoś się przebić.

Gdy dotarli do strefy zniszczeń, ujrzeli kilkanaście zburzonych domów. Te, w które trafiła bomba, po prostu zniknęły, zaś te na obrzeżach eksplozji ziały pustką od frontu. Wybuch nastąpił dziesięć minut wcześniej i nikt nie wiedział, w których domach przebywali jacyś ludzie. Ich mieszkańcy kłębili się w ciemnościach i nawoływali członków swoich rodzin. Po chwili zjawilo się więcej policjantów, którzy próbowali odepchnąć tłum od zburzonych domów. Oddział obrony cywilnej prześwietlał ruiny światłami latarek.

Jakaś kobieta szarpała się z policjantami, wołając, że musi szukać syna. Była w hysterii, wymachiwała rękami.

Mary chwyciła ją za ramię.

– Poszukamy go. Proszę powiedzieć, gdzie był.

Kobieta wskazała w stronę domu. Fasada zniknęła. Mary dostrzegła w środku ochotników z obrony cywilnej, oświetlających latarkami ściany pomieszczeń. Sama nie wybrałaby takich tapet.

Matka chłopca wyjaśniła, że właśnie wrócili ze schronu mieszczącego się na rogu ulicy i że zostawiła syna samego, bo poszła do sąsiadki po świeczkę.

– Proszę tu na nas poczekać – powiedziała Mary.

Ruszyła do domu wraz z Hildą. Wgramoliły się na stertę cegieł, które jeszcze przed chwilą tworzyły jego fasadę. Wewnątrz zastały oddział obrony cywilnej, przeszukujący salonik i kuchnię na tyłach domu.

– Znaleźliście kogoś? – spytała Mary.

Mężczyźni potrząsnęli przecząco głowami.

– Może na górze? – rzuciła do Hildy.

Przyjaciółka podążyła za nią. Balustrada przy schodach runęła na podłogę w holu, a same schody trzymały się ściany nośnej, w której były osadzone. Chwiały się, ale wytrzymały ciężar obydwu kobiet. Wzdłuż schodów biegł chodnik z jakimś szerokim wzorem pośrodku. U ich szczytu znajdowała się łazienka. Mary poświeciła zapalniczką. Nikogo tam nie było. Z zawalonego sufitu wystawały między legarami rzeczy zgromadzone na strychu – albumy, walizki...

Na podeście biegnącym równoległe do schodów unosiła się woń fekaliiów, widocznie pękła rura kanalizacyjna. Prowadziły z niego drzwi do dwóch pokoiów. Hilda weszła do pierwszego, a Mary do drugiego. Stąpały najdelikatniej, jak umiały, bo od strony ulicy strop nie miał podparcia i podłoga paskudnie się bujała. Mary pstryknęła zapalniczkę, rozejrzała się, zgasiła płomień i, dysząc, przyklękła w ciemnościach. W migotliwym płomieniu zapalniczki dostrzegła leżące na podłodze nieruchome ciało chłopca. Miał zszarzałą twarz, a jego ciało pokrywały strzępki niebieskiej flanelowej piżamy i smrodliwa maź, która musiała wyciec z uszkodzonej rury.

– Hilda? – szepnęła Mary. – Możesz tu jak najszybciej przyjść?

Matka chłopca wciąż rozpaczała. Teraz, gdy tłum ucichł, strach, który słyhać było w jej głosie, przerażał jeszcze bardziej. Mary upewniła się, że w miejscu, w którym przyklękła, jest niewidoczna dla matki chłopca. Zapaliła zapalniczkę i postawiła ją na pudełku z zabawkami.

– Och! – jęknęła Hilda, gdy tam weszła.

Przyklęknęły przy dziecku. Hilda przyłożyła ucho do jego ust.

– Oddycha? – spytała Mary.

Hilda potrząsnęła przecząco głową. Maź nie pochodziła z pękniętej rury. Chłopiec miał rozdarte trzewia.

– Może zastosować masaż klatki piersiowej? – podrzuciła Mary.

– Skąd mam wiedzieć? – odszepnęła Hilda. – Mógłby mu zaszkodzić.

– Dlaczego?

Hilda klęczała, wyprostowana.

– Hilda, jak możemy mu pomóc?
– Sądzę, że to beznadziejna sprawa.
– Musi być coś, co możemy zrobić. Na pewno mówili wam o tym na szkoleniu.

– Przykro mi. – Hilda ukryła twarz w dłoniach.

Chłopiec miał ciemne włosy, był drobny, mógł mieć osiem albo dziewięć lat. Jego otwarte oczy i poszarzała twarz wyrażały cierpienie, na które trudno było patrzeć. Ściany jego pokoju zdobiły kartki pocztowe przedstawiające wszystkie typy samolotów. Na komodzie stała typowa chłopięca kolekcja: odłamki szrapneli, mosiężna łuska pocisku z działła przeciwlotniczego, sponiewierany kawałek aluminium, który wyglądał, jakby mógł kiedyś latać, wypolerowany na brzegach od częstego dotyku palców dziecka. Jego matka wciąż wołała na dworze zachrypniętym głosem: „Myszko! Myszko!”.

Mary wstała, zabrała zapalniczkę i wyszła z pokoju. Na powyginanym podeście schodów przemogła się, żeby nie wymiotować. Pas pośrodku chodnika to jednak nie był wzór. Poszerzał się w miarę, jak sizal chłonał wilgotną maź. Mary zapaliła papierosa. Podczas eksplozji chłopiec był w saloniku. Przeczółgał się do swojego pokoju i dopiero tam umarł.

– Hilda?

Przyjaciółka Mary zeszła na dół. Mary poczęstowała ją papierosem. Roztrzęsiona Hilda nie mogła go utrzymać, więc Mary przyłożyła go jej do ust. Hilda zaciągnęła się i wypuściła dym.

– Co my robimy? – rzuciła Mary. – Co my wyprawiamy?

Hilda złapała się za brzuch.

– Przestań!

– Pamiętasz? Po pierwszym nalocie pojechałyśmy taksówką obejrzeć zniszczenia.

– Wszyscy tak robili. To nie...

– Myślisz, że dość już widziałyśmy? – przerwała jej w pół zdania Mary.

– Teraz to co innego. Pomagamy im.

– Czyżby? Ile masz pokoi w mieszkaniu?

– Wiem, co chcesz powiedzieć, ale...

– Przecież to straszne! Ja nigdy nie liczyłam, ale u nas jest ich pewnie ze dwa tuziny, a u ciebie sześć. I żadna bomba nawet nie musnęła Pimlico. Gdybyśmy naprawdę chciały im pomóc, mogłybyśmy przygarnąć do siebie wszystkich mieszkańców tej ulicy, zamiast grzebać w gruzach ich domów.

– Robimy, co możemy.

– Przyjeżdżamy na noc i o świcie pędem wracamy na zachód. To upiorne, potworne!

Hilda przymknęła oczy i oparła głowę o ścianę.

– To co niby mamy zrobić?

– Nie wiem. Nigdy niczego nie robiłyśmy. Mamy jedynie talent do rozmowy.

– W takim razie porozmawiaj z policjantem, który został z jego matką. Niech ją gdzieś zabiorą. I ściągnij tu Huwa i Clive’a. Tylko szybko, póki jeszcze dam radę.

Mary przyjrzała się jej uważnie. W końcu zrozumiała.

– Aha...

Gdy Mary wróciła z Huwem i Clive’em, Hilda zawinęła już ciało chłopca w dywan, na którym się wykrwawił. Razem ściągnęli chodnik ze schodów i owinęli go ponownie. Później ułożyli pakunek na noszach, okryli przydziałowymi szarymi kocami i umieścili na dachu auta.

O świcie, gdy promienie słońca przebijały się przez dym, zawieźli ciało chłopca do kostnicy w Moorgate. Hilda pięknym charakterem pisma zaznaczyła w rejestrze, że dziecko zginęło na miejscu w czystym zadbanym domu i że nie cierpiało. Właśnie to przeczyta jego matka, kiedy zgłosi się po zwłoki syna.

Później Mary i Hilda pojechały na przyjęcie i okropnie się upiły w dwóch końcach sali. Hilda wyszła z porucznikiem lotnictwa, a Mary z zawrotami głowy i pewnością, że nie jest w stanie rozmawiać dziś z matką. Podeszła do rzędu taksówek i podała kierowcy adres mansardy.

W taksówce siedziała z policzkiem opartym o szybę. Przypatrywała się Londynowi z jego powybijanymi zębami i ośleplonymi oczami. I nagle ogarnęło ją to uczucie, pierwszy raz od śmierci Toma – świadomość całkowitej pustki. Przytknęła czoło do szyby. Cały ten bezsens wydał jej się nie do zniesienia. Wojna to dziesięć milionów poszarpanych, zwisających nerwów. Same luźne końce.

Wcześniej życie to była tradycja, skłonność do przebaczenia, równanie do średniej. Jej ukochany Londyn był miastem trzystuletnich platanów, mostów zmodernizowanych, gdy konie ustąpiły miejsca parze, wielkich skoordynowanych wysiłków, których elementy były przewidywalne – miastem symfonii. Teraz każde światło można było zdmuchnąć bez ostrzeżenia. Gdy Mary ujrzała zwłoki tego chłopca, pomyślała o Zacharym. Dziecko można było stracić tak łatwo jak szylinga. Kiedy już to pojęła, to choć jej serce wciąż biło, ona żyła już po stronie tych opłakiwanych. Teraz rozumiała, dlaczego ojciec nie opowiadał jej o poprzedniej wojnie, a Alistair nie chciał opowiadać o tej. To byłoby nie fair wobec żywych.

Kiedy dojechali do celu, Mary była bardzo blada. Taksówkarz spytał ją:

– Dobrze się czujesz, skarbie?

– Tak, dziękuję – odpowiedziała i uśmiechnęła się pogodnie.

W mieszkaniu wciąż unosiła się lekka woń Toma. Włączyła elektryczny grzejnik, zdjęła buty i położyła się na jego łóżku. Gdy znów otworzyła oczy, Tom zaparzył jej herbatę w jednym z tych swoich słoików po dzemie, z którymi tak bezskutecznie walczyła. Przysiadła w łóżku, żeby go pocałować, bo bardzo się starała mu pokazać, że wszystko jest w porządku. Całując go, przebudziła się. Było południe.

Zimną wodą i ogryzkiem szarego mydła umyła twarz nad umywalką w kącie pokoju. Wszystkie rzeczy, które tu pozostały, należały do Alistaira. Rzeczy Toma Mary spakowała wiele tygodni temu i wysłała jego matce. Gdy już to wszystko popakowała

i opisała, łącznie z Cezarem podróżującym w ostatnim pudełku, z którego wystawał koniuszek jego ogona, zebrano się tego w sumie sześć kartonów o wymiarach pół metra na pół metra na ćwierć metra. Tak, człowiek zostawia po sobie niespełna pół metra sześciennego dobytku.

Mary weszła do pokoju Alistaira, otworzyła szafę i zaczęła wpatrywać się w jego ubrania. Przycisnęła do twarzy jego koszule. Zauważyła, że jeden z mankietów jest postrzępiony, i usiadła, żeby go zacerować. Z igłą nigdy nie radziła sobie dobrze. W jej domu obowiązywała zasada, że gospośia wykonuje wszystkie zadania trudniejsze niż rozdawanie kart, a Palmer dźwiga wszystkie rzeczy cięższe od ramienia gramofonu.

Mary postanowiła zachować cierpliwość. Szew ma być zwarty i równy. Przynajmniej znalazła sobie jakieś zajęcie. Skoro jej rola w tej wojnie miała być niewielka – a nie chciała sprzymierzać się z matką, by całkowicie jej unikać – to chociaż poceruje te postrzępione mankiety.

Kiedy uporała się już z koszulą, odwiesiła ją do szafy. Później, skoro już musiała przeżyć kolejną godzinę i z uwagi na to, że pióro i papier były pod ręką, usiadła przy chybotliwym stole Alistaira i napisała do niego jeszcze jeden list.

Marzec 1941

Już od miesiąca dął nieubłagany, północno-zachodni zimny wiatr. Nieprzyjaciel mocno zacisnął pętlę wokół wyspy. Wielkie okręty niczym wilki o mrocznych sercach krążyły tuż przed linią horyzontu, poza zasięgiem nabrzeżnej artylerii, a myśliwce przędły białe nitki pary na błękitnym niebie, oplatając Malte pajęczyną, w której zagłodzi się na śmierć.

Tymczasem samotny Alistair czuł się szczęśliwy.

Alistarze,

pocerowałam Ci koszulę, choć jest okropna i powinna zostać porwana na strzępy i posłużyć do uplecenia sznura, na którym zawisłby Twój krawiec. Jeszcze nigdy nikomu nie cerowałam koszuli, więc możesz się mieć za szczęściarza.

Bez względu na to, czy życzysz sobie, bym zajęła się resztą Twojej garderoby (może byłoby dobrze, gdybyś odezwał się do mnie w tej sprawie), Twoja koszmarne niebieska koszula została zacerowana.

Serdeczności,

Mary

Z uwagi na to, że list od Mary prześlizgnął się przez blokadę, Alistair nie przejął się tym, że nie udało się to milionom ton innych rzeczy. Na wyspie brakowało paliwa, żarówek, aspiryny i margaryny. Pułk nie dysponował już nowymi lufami do dział. Przy obecnym poziomie zużycia w magazynach pozostał zapas pocisków na pięć dni. Mieszkańcy i żołnierze zaczęli zjadać psy, zaczynając od tych bez obroży.

Alistairowi było wszystko jedno. Ryczał ze śmiechu, kiedy Simonson czytał mu listy od swoich obłudnych przyjaciółek. Obaj przedrzeźniali ich pretensjonalne głosy rodem z Knightsbridge. Gulasze stawały się coraz rzadsze, a mięso zastępowały kości, które więcej chłonęły, niż z siebie oddawały, gotowane tyle razy, że nie było już w nich szpiku.

Alistairowi to nie przeszkadzało. Do chleba dorzucano jedną ósmą trocinowych opłków, później trzy szesnaste, a w końcu jedną piątą. Alistair tylko wzruszał ramionami. Odczuwał solidarność z żywiącymi się drewnem insektami i rozśmieszał swoich żołnierzy, udając kornika. Zresztą, wkrótce zaczęli zjadać insekty. Alistair organizował polowania na chrząszcze i zlecił wykonanie grawerowanego trofeum – Rogu Obfitości – które otrzymywał ten, kto zebrał danego dnia najwięcej owadów. Nie było żadnych owoców. Żołnierzom zaczęły ruszać się zęby. Miejscowe dzieci w czarnych kościelnych spodenkach z żółtymi od kurzu kolanami rozglądały się wokół rozbieganymi oczami poetów i karcianych szulerów. Alistair wynosił dla nich w kieszeniach suchary.

Mary,

nie rozumiem, co masz przeciwko mojej koszuli. Kiedyś znowu będzie modna, trzeba tylko spojrzeć na to perspektywicznie.

Przykro mi, że nie mogę pośpieszyć do Londynu, żeby osobiście Ci podziękować, ale stała się rzecz naprawdę przedziwna. Potępiające wszelki sentymentalizm Państwa Osi otoczyły Malte niespotykaną dotąd liczbą samolotów bojowych i okrętów, by uniemożliwić nam spotkanie. Pewnie z Twojej strony wygląda to tak samo. Może nawet powinno nam to schlebiać.

Niszcz moją garderobę, jak Ci się żywnie podoba. W rewanżu naprawię wszystkie skarby, jakie zechcesz mi podesłać. Jako konserwator zabytków zostałem przeszkolony do dyskretnej renowacji wszelkich zniszczeń. Czekał na mnie pięć po

zakończeniu wojny. Zapewniam Cię, że moja koszula zrobi wtedy furorę.

Pozdrawiam ciepło,

Alistair

Alistairowi nie zniknął uśmiech z twarzy, mimo że bombowce atakowały groźnie i zajadle. Czasami pozostawiały cywilom ledwie godzinę w ciągu dnia, by ci mogli wygrzebać się ze schronów, rozgarnąć zalegającą ziemię, ustawić się w kolejce po naftę i przyjrzeć się nowym gruzowiskom w miejscach, gdzie wcześniej biegły pradawne ulice. Później znów wracały i wszyscy czmychali do swoich kryjówek. Na powierzchni czuli się obco, pod ziemią – swojsko.

Zdarzało się, że nalot zaskakiwał Alistaira i ten musiał się kryć z miejscowymi w schronach – w neolitycznych grobowcach, w których odsunięto na bok stare kości, w rzymskich katakumbach, gdzie wstawiono figurki Maryi Dziewicy, w zimnych, nowych ciekących tunelach wykutych głęboko w żółtych skałach, w których, gdy trzęsła się ziemia, napotykał spojrzenia ojców rodzin, które tłoczyły się wewnątrz. Dzieci kwiliły, matki kołysały je do snu, a Alistair przyłączał się do ich modlitwy: „Serce Jezusa, serce Maryi, spraw, by bomby spadały do morza lub na pola”.

Alistairze,

nie rozumiem, dlaczego tak jęczysz – nieprzyjacielska blokada to betka. Pomyśl, co ja przeżywam w Pimlico w otoczeniu poślednich typów z Chelsea i Belgravii. To istne piekło.

Jeśli znajdziesz w sobie ochotę, masz tu duże możliwości wykazania się swoimi naprawczymi talentami. Zgłoś się do mnie w możliwie najkrótszym terminie, tylko – na litość boską – w mundurze, bo w kwestii ubioru najwyraźniej nie można Ci ufać.

Twoja wnikliwa Mary

Za każdym razem, gdy udało mu się odebrać pocztę, Alistair zapominał o głodzie, w przeciwnym razie dostawał na jego punkcie obsesji. Raz wczesnym rankiem ustawił słoik dzemu Toma w słońcu przebijającym przez wąski otwór strzelniczy w swojej kwaterze. Szczelina pozwalała ogarnąć wzrokiem pole rażenia ogniem na podejściach do portu, a teraz wpuściła do środka wschodzące słońce, którego promienie przeszły słoik, nadając mu z początku barwę krwi żyłnej, a później tętnicznej. Każda zawieszona w dzemie pesteczka rzucała czarny cień.

Poczuł cierpkość w ustach. Jak daleką drogę przebył z nim ten słoik? Ile namiotów, koszar i fortów z nim dzielił? Kiedyś miał nadzieję, że zje ten dzem z Tomem, gdy wojna już się skończy. Teraz liczył, że zabierze go na jego grób. Bo przecież już się nie złamie. A jednak jego umysł, choć nieproszony, podsuwał mu bezustannie same sensowne powody, żeby słoik otworzyć.

Najtrudniejsze były poranki, gdy tuż po przebudzeniu ochlapywał twarz wodą ze studni i wypijał szklankę tej gorzkiej żółtej cieczy, by oszukać głód. Ta woda miała smak Malty, pradawnej i wstecznej, pełnej kordytu i krwi. Tutejszy kamień był porowaty, a głód – nienasycony. Alistair chwycił słoik i zaczął odkręcać wieczko, powstrzymał się jednak i wziął do ręki ołówek.

Mary,

jak zwykle się łudzisz. Mundur wygląda o wiele gorzej niż cywilne ubrania, nawet moje. Przekonałabyś się o tym, gdyby nie zaślepił Cię wojenny blichtr. Noszę pas model Sam Browne (który na Tobie z pewnością wyglądałby lepiej) i czapkę z polerowanym skórzanym daszkiem. Gdyby na usprawiedliwienie obok nie było broni, wroga itp., akcesoria te świadczyłyby o – ni mniej, ni więcej – perwersyjnej naturze osoby, która ich używa, i to w najbardziej rozpasanym wydaniu. A propos, Twój charakter pisma kojarzy mi się podobnie.

Twój przebiegły Alistair

Tego dnia bateria miała przenieść się do fortu Bingemma, położonego z dala od miasta w ciągu umocnień Victoria Lines na północnym zachodzie wyspy. Nadszedł czas wymarszu. Jego żołnierze byli zmęczeni i śpiący. Trzech spośród trzydziestu pięciu zginęło, a w oddziale Simonsona siedmiu. Naloty trwały bezustannie już od osiemdziesięciu sześciu dni i nocy. W górach pułk będzie miał okazję do przegrupowania i uzupełnienia sprzętu. Może na wsi znajdą też coś do jedzenia.

Alistair rzucił ostatnie spojrzenie na morze. Północno-zachodni wiatr zawodził wśród masztów okrętów cumujących w Grand Harbour. Fala za falą tłukła o nabrzeże. Na horyzoncie unosiły się strużki dymu z kominów jednostek blokujących wyspę, sprawiając, że była niczym zawieszona w czasie.

Do: kpt Alistair Heath, Artyleria Królewska
Od: Mairie & Northe, Kancelaria Prawna
Re: Zniesławienie

Szanowny Panie,
nasza klientka, panna Mary Anne Elizabeth North, zamieszkała w Londynie, SW1, zwróciła się do nas o przekazanie Panu, iż zamierza złożyć pozew sądowy w przypadku, gdy nie odwoła Pan na piśmie i w całości niecej kalumnii, tej mianowicie, że nasza klientka miałaby się rzekomo łudzić. Panna North nie zgłasza sprzeciwu co do Pańskiego komentarza odnośnie do jej charakteru pisma, lecz za naszym pośrednictwem pragnie podkreślić fakt, który potwierdzają niezbitcie Pańskie listy, iż pisma naszej klientki odznaczają się wyższą jakością od Pańskich w zakresie nie tylko kaligrafii, lecz także kompozycji.

Legalistycznie Twoja,

Mairie & Northe

Gdy Alistair uniósł wzrok, ze zdziwieniem przypomniał sobie, że

toczy się wojna. Znowu to zrobiła, sztuczkę, dzięki której wszystko znika. Alistair zawiązał plecak, zarzucił go na ramię i nasunął czapkę, wychodząc na zalany jaskrawym słońcem centralny dziedziniec fortu.

– Heath! Jesteś wreszcie, nierychliwy sukinsynu!

– Simonson – rzucił Alistair, salutując mu z precyzją, na jaką zasługiwała ta obelga.

– Jazda, do ciężarówki! Bo jeszcze ktoś pomyśli, że nie chcesz jechać na wakacje.

Alistair wdrapał się na fotel pasażera w kabinie bedforda. Simonson uruchomił mocny benzynowy silnik i od razu wrzucił bieg, żeby nie zmarnować ani kropli paliwa. Żołnierze wyruszyli wcześniej zarekwizowanymi omnibusami i wozami w większości ciągnionymi przez konie i ustawionymi w nieregularnych odstępach przy drodze, by nie przyciągać uwagi myśliwców nieprzyjaciela, które teraz pozostawały niemal bezkarne. Alistair i Simonson przejechali przez główny most zwodzony. Kwatermistrz wydał im pełny ładunek pocisków do przewiezienia i dość benzyny, odmierzonej metalową pipetą co do mililitra, by dotarli wprost do celu, ale pod warunkiem, że ze wzgórz będą zjeżdżać siłą rozpędu.

Simonson prowadził ciężarówkę przez ruiny La Valletty. Alistair otworzył okno, rozkoszując się ciepłem poranka. To była dobra pora na wyjazd z miasta. Słońce nie grzało jeszcze zbyt mocno, a asy Luftwaffe nie oderwały się jeszcze od pasów startowych sycylijskich lotnisk, pewnie rozdając autografy albo robiąc to, co zwykle robili w przerwach między nalotami na bezbronną wyspę.

Alistair i Simonson jechali wijącymi się kanionami ulic, z których uprzątnięto sterty gruzu. Zdawało się, że wszystkie budynki zostały zredukowane do identycznych żółtych kamiennych bloków o wymiarach sześćdziesiąt centymetrów na trzydzieści na trzydzieści. Były niczym atomy cywilizacji, najcięższy element, jaki zdołają unieść dwaj mężczyźni.

Simonson łypnął okiem przez zakurzoną szybę.

– Wyglądają jak moje klocki z literami po tym, jak Randy

odkrywał zamki, które z nich budowałem.

– Jakież wieści od ukochanego braciszka?

– Nie pisze do mnie. Zdziwiłbym się, gdyby dupek umiał czytać.

– Jeszcze go nie powołali?

Simonson spojrzał na Alistaira z protekcyjną wyższością.

– Drogi chłopcze, przecież muszą zatrzymać na miejscu kilku swoich ludzi, bo jeszcze wrócimy z tej wojenki i zażądamy kluczy do Królestwa.

– To takie straszne?

– Wolno się uczysz. Może jesteś lekko upośledzony?

– A ty może kiedyś byłeś dowcipny.

– Zbyt wielu z nas ginie, Alistair, to wszystko.

Alistair przyjrzał mu się uważnie. Simonson utkwiał wzrok w drodze. Pierwszy raz użył jego imienia.

– Nie sądziłem, że tak bardzo przejmujesz się śmiercią żołnierzy.

Simonson zgasił silnik, zatrzymał ciężarówkę, zaciągnął hamulec i zaczął szukać papierosów w kieszeniach munduru.

– Na początku się nie przejmowałem. Kiedy zabili Drydena, pomyślałem: cóż, był na warcie. A kiedy oberwał Norris, dupa, nie snajper, cieszyłem się, że to nie ktoś przydatny, jak choćby Carter.

Alistair pokiwał głową.

– Na pewno teraz, kiedy już zginął, strzela lepiej.

– No właśnie. Zresztą, nigdy nie lubiłem żołnierzy tak jak ty. Ledwo ich rozumiem i nigdy nie darzyłem większą sympatią niż koty. Ale tydzień później zginął Carter. Pamiętam, jak patrzyłem na jego zwłoki. Rozpoznaliśmy go po zegarku, bo twarz była zupełnie gdzie indziej niż wcześniej. Dostałem wtedy furii. Nie wiem dlaczego. To nie była jakaś piękna twarz, ale pomyślałem: sam cię pochowam. Wiesz, jak trudno wykopać grób na tej wyspie. Parę centymetrów ziemi i lita skała. Ale zrobiłbym to, gdyby żołnierze się nie sprzeciwili. Później zginął Vickers, Cullen, Casey, Urquhart, wszyscy w tym jednym strasznym tygodniu, pamiętasz? Odtąd chodzę wściekły. Brzydzę się tego, że jestem oficerem.

Wypuścił kłęb dymu i docisnął kciuki do oczu.

Alistair poklepał go po ramieniu.

– To już się od nas nie odklei, zobaczysz.

– Jak wojna się skończy, tak?

– Żołnierze będą nas nienawidzić. Jeśli choć jeden z tych biednych sukinsynów przeżyje.

– Żołnierze nie nienawidzą oficerów.

– Oni po to żyją. Fakt, że tego nie rozumiesz, pokazuje, że brak ci ogłady.

Alistair uśmiechnął się. Simonson przekręcił kluczyk w stacyjce.

– Mój brat nie dostanie powołania i Anglia się nie zmieni. Jest zbudowana z własnych kamieni, tak jak ta przeklęta wyspa. Kiedy spróbują złożyć je do kupy, okaże się, że można to zrobić tylko w jeden sposób.

– Stawiam pięć funtów, że po wojnie Anglia będzie już inna.

– Daruj sobie.

– Nie sądzisz, że wszyscy będziemy dla siebie milsi? Mam nadzieję, że pochodzenie społeczne straci na znaczeniu, a zyskają poglądy. I mam nadzieję, że będziemy bardziej skłonni wybaczać sobie nawzajem i jedno, i drugie.

– Stawiam pięć funtów, że nie doczekamy końca wojny.

– Nigdy nie ujrzałbym pieniędzy z takiego zakładu.

– Teraz widzisz, jak to działa?

Simonson zwolnił sprzęgło i poprowadził ciężarówkę zasłaną gruzem ulicą. Kolebali się między wieżyczkami i bastionami wyznaczającymi granice miasta. Były to doskonałe fortyfikacje, które z pewnością zdadzą egzamin podczas kolejnego najazdu Turków osmańskich. Niestety, podczas niemieckich nalotów okazały się bezużyteczne.

Może i Simonson miał rację, że pułk nie przetrwa oblężenia. Głód przemieniał ich w kamień. Kryli się za kamiennymi murami. Przemalowywali ciężarówki, hełmy i broń tak, by przypominały kamienne bloki, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki miałyby im to przydać mocy. Gdy zamykali wieczorem oczy, wciąż widzieli rozbite ściany domów. Zdarzało się, że kiedy byli bardzo

głodni, mieli złudzenie, iż wszechobecny żółty wapień ma identyczną barwę jak cheddar i że gdy w końcu na wyspie wylądują spadochroniarze, ochroni ich równie skutecznie jak ser.

Alistair oparł notatnik na desce rozdzielczej i wygrzebał z kieszeni ogryzek ołówka.

Do: Mary North, c/o Mairie & Northe

Od: Allis, Terre & Heythe, Kancelaria Prawna

Szanowna Pani,

nasz klient, Alistair Heath (kpt. Królewskiej Artylerii), zwrócił się do nas...

– Na litość boską! – zachnął się Simonson. – Jak zakochane uczniaki przekazujące sobie liściki!

Alistair spojrzał na niego łagodnie.

– I co z tego?

– Pan nauczyciel powiedział, że jest wojna.

– To tylko taka zabawa.

– Od której innym robi się niedobrze. Zakochałeś się, hak ci w smak, ale nie musisz się z tym obnosić!

– Daj spokój, Simonson. Wiesz, że kocham tylko ciebie.

Ale Simonson z uporem wpatrywał się przed siebie. Alistair schował notatnik do kieszeni.

W końcu fortyfikacje ustąpiły miejsca pozbawionej drzew równinie z ciągnącymi się aż po horyzont poletkami nie większymi niż podmiejskie ogródki, okolonymi kamiennymi murkami, które kojarzyły się z maswerkiem gotyckich okien. Ziemia była tu jałowa, porośnięta kępami suchej trawy. Liche pomarańcze i karczochy walczyły o przetrwanie w cienkiej warstwie żółtawej gleby. Wzdłuż murków rosły dzikie figowce, a w rowach gnieździły się, ciągnąc niewidzialną wilgoć, szczecie i trzciniaste bambusy. Wznosiły się tam niewielkie skaliste pagórki nieróżniące się barwą od murków i oko nie potrafiło odróżnić, co jest dziełem człowieka, a co tworem

natury. Zresztą, nikogo to nie obchodziło. Marna była to ziemia; nie warto by jej ogradzać murami, gdyby do wzięcia była jakaś inna.

– Cholera, przepraszam – pokajał się Simonson.

– Nie, masz rację.

– Pisz, co chcesz i kiedy chcesz. I nie przejmuj się, że dolewam ci dziegciu.

– Dawaj. Zjem nawet dziegieć. Kto by teraz wybrzydzał?

Simonson co prawda się uśmiechnął, ale napięcie do końca nie znikło. Nagle w górze pojawiły się cztery meserszmity 109 w szyku tworzącym asymetryczną literę V, tryumfujące i niemające godnego siebie przeciwnika. Simonson wykonał gwałtowny skręt, obaj wyskoczyli z kabiny i rzucili się do rowu. Przez minutę leżeli, zakrywając głowy rękami, aż warkot myśliwców wyraźnie się oddalił. Niemcy albo ich nie zauważyli, albo uznali, że nie warto tracić na nich amunicji, i odlecieli na zachód.

Simonson i Alistair wygramolili się z rowu, przysiedli w cieniu żółtej kamiennej ściany i otrzepali kurz z mundurów. Pszczoły bzycały w rosnącym przy drodze tymianku. Od jednej zagrody do drugiej niosło się ujadanie psów. Ptaki wydawały z siebie krótkie okrzyki, ostre i przykre dla ucha, jakby chciały nimi opisać to, co widzą. Wiatr porywał z drogi kłęby kurzu. Jaszczurki o grubych ogonach orały pazurami ziemię. Z oddali usłyszeli huk nadbrzeżnych baterii.

Simonson obrzucił wzrokiem ten wyniszczony krajobraz.

– Wiesz, kto by za mną tęsknił, gdyby nas dopadli? Nikt.

Alistair wzruszył ramionami.

– Ja pewnie bym tęsknił.

Simonson sprawiał wrażenie, jakby go nie słuchał.

– Byłoby mi lżej, gdyby ktoś przejmował się moim losem.

– A te twoje trzy miłe znajome?

– Gdybym zginął, pewnie na chwilę przywdziałyby żałobę, jak nową sukienkę.

– Wydawało mi się, że je lubisz.

– Kluczem jest tu liczba mnoga.

– To może powinieneś wybrać.
– Nie rozumiesz, że to nie jest żaden wybór? Ranki spędzają w łóżku, a popołudnia w Claridge's. Nie różnią się od tysięcy innych. Są jak robaczki świętojańskie.
– A tobie marzy się prawdziwy ogień?
– Musisz ze mnie drwić? Znasz mnie słabiej, niż sądzisz.
– Nie drwię. No, może trochę.
– Tobie jest łatwiej.
Alistair uniósł rękę.
– Wybacz.
Wsiedli w milczeniu do ciężarówki i ruszyli dalej. Po drodze Alistair ułożył w myślach list do Mary.

...o przekazanie Pani wylewnych przeprosin za swe oszczercze wypowiedzi wynikające jedynie z radosnego stanu ducha naszego klienta, wywołanego licznymi zwodniczymi rozkoszami, których doświadcza w obecnym miejscu pobytu.

Podjeżdżając pod wzgórze, jakiś kilometr dalej ujrzeni słup dymu, który gęstniał w miarę, jak się do niego zbliżali. Wyglądniały Alistair ledwie go zauważył.

Wyspiarska strawa i trunki sprawiają, że z zachwytu aż kręci się od nich w głowie. Tutejsze foie gras ma tylko jedną wadę, tę mianowicie, że występuje w nadmiarze, kawior zaś jest tak niezmiennie wyśmienity, że staje się to wręcz nieco nużące.

Słup dymu piął się teraz na wysokość kilkuset metrów wprost przed nimi.

Występuje tu szereg uroczych miejscowych zwyczajów, których elementem nierzadko jest ogień.

- Lepiej się zatrzymajmy – powiedział Simonson.
- Mhm?
- Wieziemy tonę pocisków artyleryjskich. Będzie rozsądniej nie przejeżdżać z nimi przez ogień.

Simonson zatrzymał ciężarówkę po zawietrznej, w bezpiecznej odległości od płomieni. Wysiedli, żeby zobaczyć, co się stało. W miasteczku, w którym stało dwieście, może trzysta domów, płonął kościół. Wokół leżały szczątki wraku bombowca i ciał załogi. Droga stała w ogniu. W powietrzu unosił się smród płonącego paliwa. Do kościoła bez przerwy wbiegali ludzie, ratując precjoza i cenne artefakty.

Są tu też skarby sztuki, które miejscowi chętnie pokazują.

Ogień najwyraźniej zdawał się już dogasać. Oczywiście wszystkie budynki wzniesiono z kamienia – mało było w nich łatwopalnego drewna. Kiedy paliwo lotnicze już się wypaliło, w rozedrganym gorącym powietrzu unosiła się tylko sadza. Alistair i Simonson przepchnęli się przez tłum, który zebrał się na kamiennym placu przed kościołem.

Życie toczy się tu pod gołym niebem i człowiek nigdy się nie nudzi, gdyż na rynku zawsze dzieje się coś ciekawego.

Na ziemi leżał niemiecki lotnik. Mieszkańcy miasteczka otoczyli go, kopiąc i plując. Z nogawki Niemca sterczała złamana kość. Miał rozdarte usta; policzek zwisał bezwładnie, odsłaniając rząd krwawiących zębów. Zaklinał swoich prześladowców po angielsku, a jego wymowę szpeciły wyłącznie odniesione rany.

Miejscowi okazują gościnność Brytyjczykom, lecz są nieco gorzej nastawieni wobec turystów z innych nacji.

Alistair gwałtownie potrząsnął głową, przemagając się, by skupić myśli na tym, co tu i teraz. Po miesiącach głodowania jego umysł reagował z opóźnieniem. Niemiecki lotnik spojrzał na niego błagalnie. Alistair poczuł ucisk w gardle. Nieraz widział takie obrazki podczas odwrotu we Francji. Jeśli pilot musiał się katapultować, lepiej, żeby strzelił sobie w głowę, niż wylądował na spadochronie i trafił w ręce tych, na których zrzucał bomby.

– Zostawcie go! – Głos Alistaira utonął we wrzawie. – Zostawcie go!

Nikt na niego nie patrzył. Niektórzy się uśmiechali. W tłumie nie było kobiet ani małych dzieci. Żle to wróżyło. Zło pulsowało ostrzegawczo na powierzchni.

Jedenasto-, może dwunastoletni chłopak w białej koszuli, czarnych spodniach i czarnej czapce, śmiejąc się, kopnął Niemca w krocze. Lotnik zwinął się z bólu i przyjął pozycję embrionalną. Złamana kość zaryła w ziemi. Gdy krzyknął, ktoś inny wymierzył mu kolejnego kopniaka.

– Błagam! Nie chciałem z wami walczyć! Boże chroń króla!

Jakiś mężczyzna chwycił garść piachu, odchylił mu głowę i wcisnął mu ją do krwawiącego gardła. Niemiec się zakrzuszył. Zabarwione krwią błoto wyciekło przez szparę w policzku. W tłumie rozległ się śmiech, bo teraz to oni śmiali się z wroga. Jak dobrze się poczuli, że w imieniu tyłu armii i krajów na świecie, milionów żołnierzy i członków oddziałów wsparcia mogli wymierzyć mu cios akurat teraz i w tym miejscu.

Dym drapał w gardle. Pokonanego Niemca otoczyło jeszcze więcej mieszkańców miasteczka.

– Jestem oficerem armii brytyjskiej! – krzyknął Alistair. – Zostawcie go!

Staął między nim a tłumem, ale go odepchnęli. Oberwał łokciem w szyję i w splot słoneczny. Ocknął się, kiedy tamci już go dopadli. Teraz nawet nie widział tego Niemca.

Simonson chwycił go za ramię.

– Chodź, nic tu nie wskóramy.

– Chyba żartujesz?

– Od miesiący zrzucają na nich bomby. Co mielibyśmy zrobić?

– Pomóż mi – odparł Alistair, wyciągnął z kabury trzydziestkęósemkę i obrócił bęben, żeby sprawdzić, czy jest załadowany.

– Na litość boską! Wieziemy półtorej tony pocisków, a niemieckie myśliwce już są w powietrzu! Wiesz, ilu ludzi zginęło, żeby dostarczyć nam tę amunicję? Mamy ją tam zostawić, bo chcesz się zabawiać w szeryfa? Facet i tak umrze. Widziałeś go.

– Widziałem, ale prędzej ich zastrzelę, niż pozwolę im go dręczyć.

– W takim razie radź sobie sam, bo nie poświęcę wyładowanej pociskami ciężarówki dla twoich wyrzutów sumienia.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Dobra – rzucił Alistair.

Wyminał Simonsona, odciągnął spust i oddał pięć strzałów w powietrze.

Miejscowi ucichli. Spojrzeli na niego, zaskoczeni, lecz po chwili ich twarze spochmurniały.

– Rozumiem was. Pewnie na waszym miejscu zachowałbym się tak samo, ale wracajcie do domu. Nikogo tu nie widziałem i nie spytam was o nazwiska.

Stanął z lufą rewolweru skierowaną w ziemię. Spojrzał na swoje buty. Wiatr naniósł kurz na ich czubki i wykopał dołki w ziemi od zawietrznej. Gdy się im przypatrywał, dostrzegł kątem oka ruch; nagle wokół zrobiło się pusto. Kiedy się rozejrzał, na placyku nie było już nikogo, oprócz wijącego się z bólu lotnika.

Schował rewolwer, zapiał kaburę i przyklęknął przy Niemcu. Nieszczęśnik leżał z twarzą do ziemi i próbował złapać oddech przez rozbite i zakrwawione nozdrza. Kiedy Alistair obrócił mu głowę i zaczął usuwać piach z jego ust, dostrzegł, że mężczyzna ma wybite oczy. Nie krwawiły; oczodoły, tak jak usta, wypełniał żółtawy kurz. Krwawa piana tryskała mu z nosa, gdy próbował łapać powietrze. Alistairowi udało się w końcu odetkać mu nos i usta. Lotnik zaczął kaszleć krwią.

– Przykro mi – powiedział Alistair.

Chwycił w dłonie głowę Niemca. Jego ciemne włosy lepiły się od krwi i żółtego pyłu. Był starszy od Alistaira, mógł być przed czterdziestką. Jeszcze godzinę temu latał w starannie zawiązanym krawacie.

– Co oni ci zrobili...! Tak strasznie mi przykro.

Niemiec mocno zacisnął szczęki na dłoni Alistaira od strony kciuka. Połamane zęby, ostre jak szpilki, przeszły mięśnie aż do kości. Alistair krzyknął z bólu i zaczął okładać pięścią szczękę Niemca, lecz ten zacisnął ją jeszcze mocniej. Alistair próbował ją oswobodzić, lecz agonია dała tamtemu nadludzką siłę. Przewrócił Alistaira na ziemię.

– Przestań! – zawył Alistair. – Przecież chcę ci pomóc!

Ale Niemiec już nie wiedział, co się z nim dzieje. Chwycił Alistaira za gardło, wbijając kciuki w jego krtań. Alistair starał się odepchnąć go wolną ręką, ale nagle ujrzał gwiazdy na błękitnym niebie, które po chwili nabrało koloru indyga, aż w końcu załało się czernią.

Wtem padł strzał i kciuki Niemca zwolniły swój żelazny uścisk. Alistair piskliwie wciągnął powietrze. Zęby puściły jego rękę. Alistair przetoczył się po piachu. Odzyskawszy oddech, zdołał przykłęknąć. Simonson, który przestrzelił Niemcowi skroń, wciąż mierzył w jego stronę z rewolweru. Na jego twarzy malowało się obrzydzenie. Poruszał bezgłośnie ustami.

– Wstawaj – powiedział wreszcie.

Dopiero po chwili dotarło do Alistaira, że Simonson kieruje te słowa do niego. Podźwignął się niepewnie. Bok dłoni był wygryziony w niemal idealny półokrąg. Na piach ciekła krew. Niemiec leżał na wznak między Alistairem i Simonsonem, z rękami równo ułożonymi wzdłuż tułowia.

– Przepraszam... – powiedział Niemiec.

Alistair i Simonson spojrzeli na niego, zdumieni. Krew i żółtawy śluz sączyły się ze skroni i przeciwległego policzka Niemca.

– Przepraszam... – powtórzył.

Simonson strzelił ponownie, tym razem w klatkę piersiową.

Alistair domyślił się, że tylko z wrodzonej grzeczności odczekał, by nabrać pewności, że tamten powiedział to, co powiedział. Niemiec dwukrotnie zeszywniał, wygiął się w łuk i opadł na piach. Usłyszeli jego długi, świszczący oddech i zdanie:

– Przepraszam, ale chyba mówicie po angielsku?

Simonson opuścił rewolwer i spojrzał wściekły na Alistaira.

– Nie wiem, co mi jest – ciągnął lotnik. – Chyba miałem wypadek. Przepraszam za... mój angielski.

– Mówisz bardzo dobrze – skomplementował go Alistair.

– Jesteś... bardzo miły.

Alistair przyklęknął przy umierającym Niemcu.

– Przykro mi.

– Puśćcie mnie wolno. Nie bierzcie do niewoli. Boję się... o mojego syna. Nie jest zbyt silny i martwię się... że może... Przepraszam.

Z trudem złapał oddech. Z ust ciekła mu krwawa piana.

– W porządku – uspokoił go Alistair. – Nie ma sprawy.

– Jeśli zostanę jeńcem... mogą mu... dokuczać w szkole... i...

Simonson odepchnął Alistaira i znowu strzelił Niemcowi w pierś. Lotnik próbował łapać powietrze poranionymi ustami. Simonson wystrzelił jeszcze trzy kule, jedną po drugiej, celując w brzuch. Spod ciemnej lotniczej kurtki trysnęła krew i zawartość żołądka.

– I... – powtórzył mężczyzna.

– Nie mam więcej naboji – zastrzegł Simonson.

– I... to dziecko... jest takie...

Alistair wyciągnął swoją broń, wycelował i strzelił, przymykając oczy. Nie był to dobry strzał; kula trafiła Niemca nad czołem, zdarła mu włosy, otworzyła czaszkę, ale nie przeszła mózgu. Głowa tylko odskoczyła na bok. Alistairowi też skończyły się naboje. Tymczasem Niemiec wciąż oddychał. Raz. Drugi raz.

Alistair opadł na kolana i zrobił jedyną rzecz, jaka mu pozostała. Chwycił dwie garście żółtawego piachu i wepchnął je Niemcowi w usta. Nadal czuł jego gorący oddech, więc zatkał mu nos i nie puścił, póki tamten nie przestał wierzgać.

Kiedy było już po wszystkim, Alistair wstał i razem

z Simonsonem wpatrywał się w milczeniu w jego ciało, nie dowierzając, że Niemiec naprawdę nie żyje. Jeśli ta wojna czegoś dowiodła, to tego, że życie bywa nieoczekiwanie odporne na działanie przydziałowej broni.

Simonson zapalił papierosa.

– Nie wybaczę ci tego.

– Ja pewnie też bym nie wybaczył – przytaknął Alistair.

– Czas na nas. Przyślemy tu z Bingemmy żołnierzy, którzy sprawią mu pochówek.

– Wolałbym zrobić to od razu.

Simonson pokręcił głową.

– Żadnemu z was to nie pomoże.

Maltańczycy, którzy śledzili rozwój wypadków, stojąc w drzwiach swoich domów, wylegli teraz na ulicę i kiwając głowami, bili brawa dwóm brytyjskim oficerom. Z każdą sekundą coraz głośniej. Simonson i Alistair ruszyli do ciężarówki wśród rozbrzmiewających na placu wiwatów.

Tymczasem północno-zachodni wiatr zaczął przysypywać piaskiem zwłoki lotnika leżące przed kościołem pośród domów z żółtego kamienia.

Marzec 1941

Mary dotarła do kościoła św. Heleny za dziesięć czwarta; z powodu wszechobecnego dymu wydawało jej się, że zmierzcha. Miasto pachniało ceglanym pyłem i węglem. Już zrobiło się cicho, bo wszyscy wcześniej zeszli do schronów.

- Dobrze spałaś? – zagadnął ją Huw.
- Śniłam o tobie.
- No, uciekaj. Ta mała już tam czeka.

Mary dołączyła do Hildy, która siedziała w kabinie hillmana. Na dziedzińcu za kościołem runęła ściana, odsłaniając dawne tereny Bishopsgate. Chłopcy w krótkich spodenkach przeszukiwali w padającej mżawce ruiny w poszukiwaniu odłamków szrapneli i łusek.

- Spójrz na to – odezwała się Hilda. – Mówią, że wygramy, ale jak?
- Mój ojciec uważa, że jeśli to potrwa dalej, miasto będzie musiało zejść pod ziemię.
- To okropne, nie sądzisz?
- Myślę, że będą tam szyby wentylacyjne i świetliki.
- To już coś. A freski też będą? Z leśnymi polanami i morzem?
- Są też jasne strony – upierała się Mary. – Na przykład...
- Pod ziemią nie ma jasnych stron, tylko ciemność.
- Musimy sobie jakoś radzić. Są lampy naftowe i piosenki.
- Cudownie. Chyba jednak zaryzykuję i zostanę na górze – oświadczyła Hilda.
- Nie pozwolą ci. Nawet kiedy już wygramy, zdaniem mojego ojca, musimy pozostać czujni. Społeczeństwo będzie inaczej zorganizowane. Ludzie będą mieszkać tam, gdzie im każą, wykonywać prace, jakie im przydzielą, i będą w każdej chwili gotowi do walki. Tata uważa, że to był właśnie błąd po poprzedniej

wojnie, że pozwoliliśmy ludziom żyć, jak chcą.

– I było fajnie.

– Tata twierdzi, że taka wolność może trwać jakieś dwadzieścia lat, a potem tych, którzy się nie zorganizują, spotka taki los jak nas teraz.

Mary włączyła wycieraczki, żeby zetrzeć z szyby krople mżawki i mieć lepszy widok na ruiny.

– Skoro tak ma wyglądać przyszłość, to jaki sens ma życie?

– Możemy mieć swoje hobby.

– Jednym z moich hobby jest picie herbaty. Może zejdziemy do krypty i się napijemy?

– Nie obchodzi cię przyszłość naszej cywilizacji?

– Nie – ucięła temat Hilda. – Obchodzi mnie wyłącznie to, że Alistair nie odpisał na mój list.

– Ach tak?

– Wciąż o nim myślę. Ani trochę mi nie współczujesz?

Serce Mary zamarło.

– Przykro mi.

– To nie twoja wina. Chodź, napijemy się herbaty.

Wkrótce syreny zawyły swój potężny dźwięk cis, na moment przycichły i znowu podjęły niezmienny cykl. Spadły bomby, zaczęła się noc i Mary wraz z ekipą wysłano do pierwszych ofiar nalotu.

Clive był pijany, nim jeszcze zaczęli, a Huw przezroczyły z przemęczenia. Odebrali dwa ciała, lecz w połowie drogi do kostnicy, gdy brali zakręt, obydwaj nieboszczycy spadli z dachu na jezdnię. Clive i Huw zapomnieli przypiąć nosze pasami do bagażnika. Mężczyźni próbowali podnieść pierwsze zwłoki na „raz, dwa, trzy i do góry!”, lecz po dwóch nieudanych podejściach i sporym zamieszaniu, któremu dziewczyny przyglądały się w świetle reflektorów, zorientowali się, że Clive chwycił za ramiona jednego nieboszczyka, a Huw za nogi drugiego. Klnąc, ponowili próbę.

– Pisuję do Alistaira – wyznała cicho Mary.

Hilda wbiła wzrok w przednią szybę i się nie odezwała.

– Przepraszam, jeśli to w ogóle ma dla ciebie jakieś znaczenie.
– Przepraszasz...
– Odczekałam, dopóki nie uznałam, że mogę. Nie napisałam do niego, gdybym wiedziała, że coś was łączy.
Hilda wciąż wpatrywała się w szybę.
– Kto napisał pierwszy, ty czy on?
Mary oparła głowę na kierownicy.
– Nie dziwię się, że jesteś na mnie zła.
– To nie jest właściwe słowo. Robisz mi to, odkąd byliśmy dziećmi.
– Wiem. Przepraszam.
Mężczyznom udało się ułożyć jedno z ciał na noszach, ale unieśli je chwiejnie i nieboszczyk znowu spadł.
– Z każdego przyjęcia wychodziłaś z najprzystojniejszym chłopakiem. A każdy przez ciebie odrzucony, z którym się całowałam, zamykał wtedy oczy i myślał o tobie.
– Już tak nie będzie, obiecuję.
– Bo Alistair będzie ostatnim, którego mi zabierzesz?
– Nie chciałam, żeby tak wyszło.
– A od kiedy wiedziałaś, że to będzie on?
– Od chwili, kiedy zniosłam mu plecak na stację.
– Czyli jednak się całowaliście!
– Nie.
– A trzymaliście się za ręce?
– Nie. Przecież byłam z Tomem. Nie wiesz, co wtedy przeżywałam.
– Dlaczego? Myślisz, że nigdy nie byłam zakochana? Ja też czuję takie rzeczy, Mary. Nawet jeśli jestem beznadziejna, czuję je. Ale zawsze mogę liczyć na ciebie. Zawsze uchronisz mnie przed miłością.
Mary przymknęła oczy.
– Przepraszam.
Hilda zamilkła. Gdzieś z oddali, na pograniczu świadomości, do uszu Mary dobiegły dźwięki jazzowej melodii. Nikt nie spał.

Gdy zwłoki zostały w końcu załadowane, ruszyli do kostnicy. Na miejscu Mary i Hilda czekały całe wieki, aż je zdejmą, bo Clive i Huw chcieli mieć pewność i przesadzili z mocowaniem. Teraz zmarzniętymi rękami rozwiązywali supły. Mary musiała się przemóc, by jej głowa znów nie opadła na kierownicę.

– Coraz mi trudniej – wyznała Hilda.

– W jakim sensie?

– Coraz trudniej uwierzyć, że to wytrzymam.

Mary nie wiedziała, czy mówi o ich przyjaźni, czy o nalotach. Zginęły dziesiątki tysięcy ludzi, a żywi mieli już dość. Gdy wybuchała ta wojna, nikt ich nie ostrzegł, że śmierć jest niczym choroba dla żywych, odkładająca się w myślach trucizna.

Kiedy Clive i Huw wreszcie ułożyli na dachu puste nosze, Mary zawiozła całą czwórkę z powrotem do kościoła. Byli zbyt zmęczeni, by zejść do schronu. Słuchali płyt z działającego na korbkę gramofonu Toma, który Mary wozila ze sobą w karetce. Clive puścił w obieg butelkę. Starali się upić na tyle, by mogli znieść wykonywanie swoich zadań, lecz nie aż tak, by stało się to niemożliwe. W pomarańczowej łunie pożarów za przednią szybą samochodu wszędzie, gdzie sięgnąć wzrokiem, ciągnęły się ruiny.

– Tobie to dobrze, ale ja nie mam nikogo – pożałowała się Hilda.

– Jeszcze będziesz miała, zobaczysz.

– Czy ty w ogóle siebie słyszysz?

W kabinie hillmana na dobre zagościł smutek.

Szef oddziału obrony cywilnej zastukał w szybę, trzymając w ręku nowe zlecenie. Mary wyłączyła gramofon i pojechali. Hilda oparła głowę o szybę i wpatrywała się w smugi pocisków obrony przeciwlotniczej.

Tym razem bomba spadła w Farringdon, poza strefą, w której zwykle działali. Kiedy dotarli na miejsce, były tam już ekipy strażaków i karetki. Biurowiec osunął się na mieszczący się pod nim schron. Gruzowisko stanęło w ogniu. Ratownicy zabezpieczali drogi do schronu. Clive i Huw przyłączyli się do nich, by wynieść ze zgliszcz rannych. Strażacy polewali sterty dymiących cegieł

wokół wejścia do tunelu i noszowi wybiegali z niego mokrzy.

Hilda chwyciła torbę i bez słowa ruszyła do schronu. Mniej więcej po minucie Mary nie wytrzymała i podążyła za nią. Do tunelu wchodziło się pod łukowatym stalowym nadprożem, od którego wiodły strome schody zasłane szczątkami zawałonego budynku. Uprzątnięto je na tyle, że mogli po nich zejść, choć zgięci wpool. Z sufitu ciekły strugi lodowatej wody.

Skąpe światło padające od łuny płomieni na zewnątrz wkrótce ustąpiło miejsca ciemnościom rozjaśnianym co parę metrów przez lampy akumulatorowe. Mary poraniła sobie kolana o ostre krawędzie cegieł. W dodatku uderzyła hełmem o legar tak mocno, że przez chwilę stała całkiem oszołomiona. Z mroku dobiegały nawoływania. Przemogła się, by ruszyć dalej.

Nagle zrobiło się szerzej i tunel przemienił się w dużą cysternę. W migotliwym świetle latarek ratownicy brodzili zanurzeni po uda w wodzie.

– Gdzie ten schron? – spytała jednego z nich Mary.

– Tutaj – odpowiedział.

Jej twarz musiała wyrażać zdumienie, bo po chwili dodał:

– To woda ze strażackich sikawek.

Wyglądało na to, że wszyscy, którzy przeżyli, zostali już stąd zabrani. Zostali tylko ratownicy. Mary obserwowała, jak zanurzają się w ciemnej wodzie na długie minuty i, zdyszani, wypływają na powierzchnię.

Podeszła do niej Hilda.

– Niestety, szukają już tylko ciała. Wracajmy.

Mary ruszyła przed siebie, gdy nagle coś ciężkiego spadło jej z tyłu na nogi. Opadła na kolana, woda sięgała jej do piersi. Hilda chwyciła ją za rękę, żeby jej pomóc. Mary nie mogła jednak wstać. Klęczała, łapiąc oddech, w zimnej wodzie.

Hilda złapała ją pod pachy.

– Wstawaj. Wszyscy jesteśmy wykończeni.

Mary pomacała rękami nogi. Ciężka belka, najwyraźniej metalowa, blokowała jej łydki, dociskając kolana do zasłanego

gruzem podłóża. Mary spróbowała podważyć belkę, ale ta ani drgnęła. W efekcie tylko jeszcze bardziej poraniła sobie kolana. Sięgnęła rękami w lewo i w prawo, lecz belka okazała się dłuższa niż zasięg jej ramion.

Chłapiąc wodą, podszedł do niej ratownik i poświecił latarką.

– W porządku?

– Bardzo mi przykro, ale chyba się zaklinowałam. – Mary uśmiechnęła się z zażenowaniem.

Ratownik przekazał latarkę Hildzie, przyklęknął obok Mary i spróbował podważyć belkę.

– Faktycznie, trzyma na amen. Boli?

– Tylko kiedy próbuję się poruszyć. Głupie, co?

– Spokojnie, skarbie, zaraz coś z tym zrobimy.

– Bardzo dziękuję.

Dopóki nie powiedział jej, żeby zachowała spokój, nie przyszło jej do głowy, że mogłaby mieć powody do niepokoju.

Hilda trzymała ją za rękę. Zjawili się kolejni ratownicy, którzy przykucając pod wodą, podkładali cegły i podważali belkę łomem, lecz była zbyt ciężka, żeby ją ruszyć. Mary domyśliła się, że przy obydwu końcach była osadzona w betonie, który ją blokował. Robiła wszystko, żeby nerwowe pokrzykiwania mężczyzn i czynione przez nich wysiłki nie wprawiły jej w przerażenie.

A ci zaczęli działać bardziej metodycznie, szukając palcami miejsc, w których belka stawia opór, i sposobów, żeby ją podważyć. W nagłej ciszy odgłos cieknącej wody brzmiał wyjątkowo donośnie. Hilda spięła swoimi spinkami włosy Mary, żeby te nie wchodziły jej do ust.

– A teraz bądź tak miła i jeszcze przejedź mi usta pomadką – rzuciła Mary, szcękając zębami.

– Wyglądają bardzo dobrze – uspokoiła ją Hilda.

Do Mary dotarło, że poziom wody podnosi się w tempie kilku centymetrów na minutę. Wcześniej sięgała jej do mostka, a teraz już do podstawy szyi. Ciekła coraz szybciej, bo wciąż polewano gruzowisko nad ich głowami. Część ratowników opuściła schron.

Mary odprowadziła ich przerażonym wzrokiem, ale ktoś wyjaśnił jej, że poszli podłączyć pompy.

– I co mam robić? – spytała.

– To – odpowiedziała Hilda, mierzając ją dziwnym spojrzeniem.

I Mary zaczęła walczyć. Z całych sił odpychała się od belki, nie zważając na ból, gdy żelastwo wrzynało się jej w łydki. Miotła się i wierzgała, a kiedy ratownicy chwycili ją za ręce, żeby ją uspokoić, zaczęła się z nimi szarpać. Tymczasem woda latała się z sufitu strumieniami.

Kiedy sięgnęła jej ust, Mary odchyliła głowę, żeby utrzymać twarz nad powierzchnią. Woda doszła już do jej uszu.

Hilda ścisnęła jej dłonie, aż Mary w końcu się uspokoiła. W migoczącym świetle latarek dostrzegła spojrzenie przyjaciółki i zrozumiała, że czeka ją coś naprawdę strasznego. Ogarnęła ją rozpacz. Woda już zalała jej uszy, tłumiąc odgłosy ratowników podejmujących ostatnie szalone wysiłki, żeby uwolnić ją z tej pułapki.

Mary poczuła nieznośny żal, że Kenneth Cox nie żyje. Wciąż dźwięczał jej w uszach jego głos. To było straszne. Chłopiec nigdy nie słuchał, gdy próbowała go uciszyć, i teraz też krzyczał, gdzieś w oddali, pośród tej kakofonii dźwięków, która ją zalewała.

– To tylko sen – uspokajała ją Hilda. – Ciii, to tylko sen.

– Ciii...! – wrzeszczał Kenneth. – To! Tylko! Sen!

To było straszne, że zginął Kenneth oraz śliczna Beryl Waldorf, milcząca i nieutulona w swym smutku, i że – kiedy Mary zamknęła oczy – Betty Oates wciąż się uśmiechała. Mary wciąż wyginała ciało w łuk, próbując uwolnić się od przygniatającej ją belki. To było nie do zniesienia, naprawdę nie do wytrzymania. Teraz zrozumiała, że człowiek nie wierzy w śmierć i w to, jak szybko przychodzi i jak jest bezbrzeżnie rozpaczliwa aż do chwili, gdy ta nagle się zjawia.

Jęcząc w ciemnościach, Mary raptem poczuła ostre ukłucie. Hilda przebiła igłą jej żakiet i bluzkę, podając zastrzyk z morfiny, i teraz obserwowała ją ze spokojem.

– Już dobrze. To tylko sen.

Po chwili Mary zaczęła oddychać bardziej miarowo i ciemna woda nie wydawała jej się już taka lodowata. Poczowała ciepło w żołądku, które przemieszczało się w górę. Wcześniej nie знаła tego uczucia, ale wydało jej się naturalne i błogie. Poczowała też dotyk dłoni Hildy na twarzy.

– Już dobrze.

Mary miała świadomość tego, co się za chwilę zdarzy. Zupełnie jakby rozwiązywała krzyżówkę i trafiła na trudne hasło, które być może uda jej się odgadnąć, a być może nie. Morfina przyniosła jej ulgę. Mary doceniła jej proste i zbawienne działanie. Była niczym bandaż na ranę.

– Lepiej ci? – spytała Hilda.

Pewnie powinna odpowiedzieć, lecz woda już niemal zakrywała jej usta. Jaka ładna była ta Hilda, jakże promienna i niezłomna w wątlym świetle latarek. Mary przyglądała się przyjaciółce, początkującej pielęgniarence z opaską na rękawie, która nauczyła się prześlizgiwać między bombami, chroniona jedynie przez hełm, by przywieźć ciała obcych ludzi ich bliskim.

Mary miała poczucie, że Hilda zadała jej całkiem proste pytanie. Oczywiście, że powinna odpowiedzieć. Pierwsza strużka wody, która dostała się do jej ust, smakowała bardzo szczególnie. Była lodowata; Mary wyczuła w niej ostry posmak sadzy i ceglanego pyłu. Jakie to dziwne, że Londyn próbuje się do niej przelać. Uśmiechnęła się, ale opiła się przy tym wody, więc postanowiła zamknąć usta i, póki będzie to możliwe, oddychać tylko przez nos.

Jakiż piękny jest każdy oddech. Niesamowite, że nikt tego nie zauważa.

Mary była pewna, że Hilda zadała jej jakieś pytanie.

Morfina stała się dla niej prawdziwym odkryciem. Teraz wydawało jej się oczywiste, że każdy oddech jest doskonały. Ta mądrość była na wyciągnięcie ręki, choć pozostawała niezauważona. Jakie to dziwne, że tego nie dostrzegała. Brakowało jej przenikliwości, jej umysł był na to ślepy? A może wynikało to ze zwykłego przeoczenia? Z drugiej strony niedorzecznością byłoby

zaznaczać na każdym kroku, że każdy oddech jest cudem. Mary zachichotała. Do jej ust znów dostała się woda, więc je zamknęła.

I znów koszmar śmierci jej uczniów i ta kakofonia dźwięków! Tak, Mary wciąż miała je w głowie, lecz teraz już nie tylko ona. Każdy mógł je usłyszeć, spokojnie się w nie wsłuchać, wyłapać poszczególne tony i nuty, rozróżnić przewodnią melodię i pomniejsze frazy. Mary opłakiwała każde ciche westchnienie Beryl Waldorf. Krajało jej się serce, gdy Thomasowi Essomowi drżał z nieśmiałości głos. Słyszała, jak piszczy kreda, gdy pisze na tablicy swoje imię, a obok nazwisko Toma. Oczywiście nikt tak naprawdę nie zginął. Życie trwa. Każdy oddech pozostanie na wieki zapisany w londyńskiej glinie. A skoro było to tak oczywiste, to nagle nie sposób było pojąć, dlaczego wróg zadaje sobie tyle trudu, żeby napełniać metalowe skorupy materiałem wybuchowym, przedzierać się z nimi przez ogień obrony przeciwlotniczej i zrzucać je z wysokości siedmiu tysięcy metrów na miasto nieśmiertelnych.

Hilda przypatrywała jej się, pytająco unosząc brwi. Mary uświadomiła sobie, że to nieme pytanie wisi między nimi już od jakiegoś czasu, jeśli nie od zawsze.

– Lepiej ci? – powtórzyła Hilda, a może spytała pierwszy raz.

Jej słowa – słowa niedokończone – rozpląły się w wodzie zalegającej pod miastem.

Mary z wysiłkiem uniosła usta ponad powierzchnię wody.

– Tak, dziękuję. Dużo lepiej.

Hilda wyglądała, jakby zaraz miała się rozpłakać.

– Przepraszam, że nie byłam dla ciebie miłsza – wyznała Mary.

– Nie przepraszaj. To... – Hilda spojrzała w mrok. – To...

Mary patrzyła, jak to niedokończone zdanie odpływa w czeluść nocy i osiada w najdalszym, połyskliwym zakątku nieba. Tak właśnie powstają gwiazdy – każda z nich jest zakończeniem niedokończonej myśli i odpowiedzią, którą znamy od samego początku. Oczywiście do Mary dotarło, że to nie niebo i nie gwiazdy, tylko latarki ratowników i czarny sufit schronu, wiedziała jednak, że to jedno i to samo.

Wiedziała też – gdy czarna woda zakryła jej nos i oczy, a blask gwiazd stał się rozmazany – że to jej ostatni oddech. Uśmiechnęła się, wypuściła powietrze i opadła na dno.

Hilda ścisnęła jej dłonie. Przecież znały się od zawsze. Byli jedną osobą – ona, Hilda, Alistair, Tom. Zapuścili się zbyt daleko w ten nieznosny mrok i teraz w nim połyskiwali, zbyt od siebie odlegli, by dawać sobie nawzajem pociechę, lecz nie aż tak, by boskie oko nie mogło przemienić ich w konstelację.

Ta noc trwała chwilę, a potem całą wieczność.

Mary widziała, jak twarz Hildy, okolona gwiazdami latarek ratowników, zanurza się ku niej w wodzie. Kosmyki jej ciemnych włosów uniosły się na jej powierzchni, odcinając dostęp światła. „Będzie musiała pójść do fryzjera, przemknęło przez głowę Mary. Dlaczego topi się razem ze mną?”.

Wtem usta Hildy zwarły się z jej ustami, a palce zacisnęły się na jej nozdrzach i Mary poczuła w sobie przesiąknięty papierosami, niewypowiedzianie doskonały oddech przyjaciółki. Był gorący, dobry i wypełnił jej płuca. Mary wstrzymała ten oddech, póki nie uszło z niego życie, po czym go wypuściła i patrzyła, jak srebrne bąbelki unoszą się ku powierzchni wody. Po chwili usta Hildy znów tchnęły w nią powietrze.

I tak raz za razem, aż Mary przywykła do myśli, że będzie oddychać tylko wówczas, gdy usta Hildy zetkną się z jej ustami. Jakże długo to trwało i jakież było ciche! Gdy woda wreszcie zaczęła opadać, a na świat powróciły słowa i Mary usłyszała, jak Hilda mówi do niej, by teraz oddychała już sama, tak bardzo była uzależniona od jej ust, że z początku nie śmiała oddychać bez nich. Przyłgnęła twarzą do twarzy Hildy i ta musiała długo, acz delikatnie ją odpychać, nim Mary uświadomiła sobie, że ma usta ponad powierzchnią wody.

Jej poziom opadał. Ratownikom udało się doprowadzić do schronu węże strażackie i odessać z niego całą wodę. Ściągnęli też na dół hydrauliczny podnośnik i podważyli belkę, która ją przygniotła. Ułożyli Mary na noszach, owinęli kocami i wynieśli na

ulicę. Hilda wyrysowała świecową kredką na jej czole literę M.

Wszyscy mówili, że straciła mnóstwo krwi. Zamroczone morfiną, Mary próbowała skupić się na ich słowach, choć przychodziło jej to z coraz większym trudem. Wyglądało na to, że belka, która przygniotła jej lewą nogę, rozcięła tętnicę, która mocno krwawiła. Wszyscy działali teraz w pośpiechu, a ona mogła tylko patrzeć na tę krzątanicę. Byli tacy zabawni. Nie rozumieli, że jedyna rzecz potrzebna do szczęścia to powietrze. Jeden idealny oddech. I drugi. I jeszcze jeden. Hilda założyła jej na udzie opaskę uciskową. Ale z niej głuptas. Opatulili ją dodatkowymi kocami, a potem Clive i Huw umieścili nosze na dachu hillmana. Samochód pędził okropnie szybko, popiskując i rżąc. Mam nadzieję, że pamiętali, by przypiąć mnie do świata, pomyślała Mary.

Przed oczami miała niebo w kolorze indyga, na którym roilo się od gwiazd. Mary wpatrywała się w nie, były ich miliardy. Jakże pięknie bladły, bez zbędnego zamieszania; teraz jakby szybciej traciły swą moc. Przygasały delikatnie i po cichu, aż w końcu stopiły się z nocą, której finał okazał się spokojniejszy, niż można by przypuszczać. Na koniec pojawił się dźwięk, na swój sposób miły – pomruk ostatnich podążających do baz bombowców zabłąkanych w powietrzu, które zawsze było i które pozostanie, gdy one już odlecą.

Kwiecień 1941

Sirocco przywiewał piasek znad Afryki. Słońce, nawet w południe, zalewało wyspę czerwonym światłem. Wiatr wiał od sześciu dni. Był tak suchy, że skóra pękała jak spalona ziemia, i tak mocny, że powalał wycieńczone głodem dzieci, które zamiast w zaułkach, szukały schronienia wśród ruin. Ziarna piasku chłostały im nogi do krwi.

Piach marszczył i zabarwiał powierzchnię morza. Pod pociemniałym niebem spienione karmazynowe fale rozbijały się o południowo-zachodnie wybrzeże, rozkwitając fioletem w wąskich zatoczkach. Miejscowi ściągali na plaże łodzie przez nieliczne przesmyki między minami a zasiekami z drutu kolczastego. W czerwonych promieniach słońca zwijali żagle, składali poszarpane sieci i przygważdżali je do ziemi kamieniami.

W forcie Bingemma wiatr przeciągał chmury przed nieoszklonym otworem strzelniczym w kwaterze Alistaira. Kapitan wyparł z myśli jego skowyt. Zdjął opatrunek z prawej ręki pogryzionej przez niemieckiego lotnika. Usunął go bezboleśnie, a wraz z nim wilgotne strużki żółtawej mazi. Nie pachniała ładnie, ale nic tu ładnie nie pachnie, pomyślał Alistair. Po trwającym już rok oblężeniu wszystko wokół cuchnęło, nawet woda, którą chciałoby się zmyć ten smród.

Brakowało już całego kawałka dłoni. Lekarz za każdym razem usuwał kolejny fragment, ale zakażenie nie chciało ustąpić. Alistair nie mógł poruszać małym palcem, a serdeczny chodził swoim powolnym rytmem, na który jego właściciel nie miał wpływu. W miejscu, gdzie rana była najgłębsza, połyskiwało ścięgno. Chwała Bogu, że słońce nie świeciło zbyt ostro.

Alistair chwycił lewą ręką metalową fiolkę z sulfanilamidem

i postukał nią, żeby rozbić grudki. Wysypał szczyptę proszku na ranę. Pękała mu głowa. Ból był porażający, docierał przez kręgosłup aż do wątroby. Jego ciałem wstrząsała gorączka. Organizm już prawie się nie bronił. Jak tu się bronić, skoro jedna czwarta chleba to zmielone trociny, a woda to błotnista breja z dna studni?

Kiedy wstał, by odstawić fiolkę na półkę, aż go zamroczyło. Zmarniał. Wszyscy zmarnieli. Oficerowie i szeregowi snuli się w o trzy numery za dużych mundurach i wybijali nowe dziurki w pasach. Kołnierzyki koszul odstawały im od szyi. Byli garnizonem cherlawych chłopców, którzy bawili się w żołnierzy. Nikt by się nie zdziwił, gdyby się okazało, że cienie ich zarostu i blizny wymalowano plakatówkami.

Krwawiły im paznokcie. Wszyscy kaszleli. Żołnierze od wielu tygodni strzegli murów twierdzy, spoglądając na pola położone na zboczach wzgórza. Chłopi zbierali tam pod ścisłym nadzorem płody ziemi, które mieszkańcy wyspy wykupią na kartki. Wygłodniali żołnierze z wściekłością patrzyli na dojrzewające dwadzieścia metrów niżej migdały i morele. Każdy wieśniak, każde poletko i każde drzewo miały u nich swoje przezwiska. Wyszkoleni celowniczy używali artyleryjskich lornetek wyposażonych w pochyłościomierze, ustawionych na zabezpieczonych workami z piaskiem, wypoziomowanych trójnogach do obserwacji procesu dojrzewania fig, którym nadawali wojskowe numery identyfikacyjne i które opisywali w dzienniku, zaznaczając, kiedy zostaną zerwane.

Zaczęli nawet nadawać owocom stopnie wojskowe: tłusta gruszka – major, dojrzała śliwka – brygadier. Podczas zbiorów stawali na baczność i salutowali ciężarówkom odjeżdżającym do magazynu. Gdy jakiś wieśniak zjadł po cichu pomidora, wiedzieli o tym. Okazywali wtedy swoje oburzenie, waląc pokrywkami. A jednak słoik z dżemem Toma wciąż stał nienaruszony w wykuszu otworu strzelniczego w kwaterze Alistaira. Gdyby kapitan go otworzył, piach wdarłby się do jedynej rzeczy, na jakiej mu zależało.

– Chyba raczej stracisz tę dłoń.

W drzwiach pojawił się Simonson. Przyjrzał się ranie kolegi. Alistair wziął nowy bandaż i zaczął ją opatrywać.

– Jeśli tak się stanie, będziesz mógł tu przychodzić i gapić się na kikut.

– Powinieneś dodać „majorze”.

Alistair uniósł znużoną brew.

– Serio? Awansowali cię?

– W całej swej mądrości. Z chwilą, gdy dwie mosiężne korony przedrą się z konwojem, ujrzysz je na moich epoletach.

– A co z Andertonem?

– Nigdy nie uważałem go za dobry materiał na majora. Poza tym wczoraj zginął. Jego auto spadło do morza pod La Vallettą. Wiatr zdmuchnął je z drogi.

– Kiedyś lubiłem twoje poczucie humoru.

– Sam nigdy bym tego nie wymyślił. Po tym wszystkim wykończył go wiatr. Wyobraź sobie, jak piszą o tym w liście do żony tego nieszczęśnika.

– Pewnie napiszą, że „poległ w boju”.

– I że był chlubą naszej armii.

– Cóż, majorze... – Alistair zasalutował obandażowaną ręką.

Simonson odpowiedział mu tym samym.

– Heath.

– Zostaniesz dowódcą baterii?

– Odtąd jest moja, stary. Logan przejmie mój oddział. Ty możesz swój zachować, jeśli chcesz. Albo się pośpiesz i strać tę rękę, a wtedy odeślę cię pierwszym statkiem do domu. Przy odrobinie szczęścia oberwiecie torpedą.

Alistair powstrzymał się, by nie okazać irytacji.

– Szkoda, że ten Hun nie umył zębów.

Alistair chciał, żeby Simonson już sobie poszedł, tymczasem ten zaczął myszkować po pokoju, biorąc do ręki książki i zerkając na ich tytuły. Szturchnął dłonią półkę, na której Alistair trzymał fiołki z terpentyną i rozcieńczalnikiem.

– Co to?

– Przemynam tym ranę.

Simonson wyciągnął zatyczkę z buteleczki z acetonem, powąchał i się wzdrygnął.

– Jezu! Jeśli polejesz tym ranę, od razu stanie w ogniu! Do czego tak naprawdę ich używasz?

– Napełniam tym zbiorniki maleńkich bombowców nieprzyjaciela, na których moi żołnierze ćwiczą ostrzał z maleńkich dział przeciwlotniczych. Później parzymy herbatę dla naszych lalek.

– Daj spokój.

– Odrestaurowuję pewien obraz. Robiłem to przed wojną.

– Czyli w innym życiu. Myślisz, że Tate Gallery jeszcze tam stoi?

– Nie wiem.

– A kto wie? Londyn mógł obrócić się w popiół, a my pozostajemy w nieświadomości. Może stworzyli Ministerstwo Korespondencji, które podrabia listy od naszych dziewczyn?

Alistair odgonił tę myśl. Mary od miesiąca się nie odzywała. Wcześniej pisywała do niego codziennie i nagle cisza. Inni dostawali listy. Zdarzało się, że samolot pocztowy został zestrzelony, ale Alistairowi wydawało się dziwne, że nie odebrał ani jednego listu od Mary.

Simonson wpatrywał się w fiolki z rozcieńczalnikami.

– Co to za obraz?

– Nic szczególnego. Jakiegoś miejscowego malarza.

– Chciałbym go obejrzeć.

– Przykro mi, ale to moja prywatna sprawa.

Simonson przymknął oczy.

– Alistair, minęło już wiele tygodni. Poprzytkaliśmy się, wielka mi rzecz.

– Postawiłem cię w koszmarnej sytuacji.

– Nie. Postąpiłeś właściwie. Żałuję, że nie przyszedłem ci z pomocą wcześniej.

Uścisnęli sobie dłonie. Alistair musiał użyć lewej. Przez otwór strzelniczy wdzierał się czerwony piasek. Minęło pół minuty, nim Simonson puścił dłoń Alistaira.

- Kiedyś nie byłem takim dupkiem.
- Wszystkich nas to dopada. Ja byłem kiedyś Ginger Rogers.
- Teraz rozumiem, dlaczego wszyscy faceci są dla ciebie tacy mili.
- Obraz leży pod pryczą, jeśli naprawdę chcesz go obejrzeć.
- Dawaj.
- Sam sobie weź, leniwa łajzo.

Simonson przyklęknął i wyciągnął płótno. Rozpakował je i ustawił na sienniku. Była to Madonna z Dzieciątkiem w stylu Caravaggia – kobieta w karminowej sukni, dziecko o karnacji w kolorze bursztynu, wyrazisty światłocień pokryty warstwą sadzy. Metr trzydzieści na metr, obłożona złocona rama przypalona po lewej stronie, w miejscu, z którego na obrazie sączyło się światło. Ogólne wrażenie uchwyconej w czasie sielskości i trochę ognia będącego zapowiedzią katastrofy.

- Skąd go wytrzasnąłeś?
- Został uratowany z kościoła, o który rozbił się tamten bombowiec.
- Wróciłeś tam?
- Ksiądz dał mi go do renowacji.
- W ramach pokuty?
- Powiedzmy.

Simonson podszedł z rękami w kieszeniach do szczeliny strzelniczej i wyjrzał na zewnątrz.

- Wiesz, że nieprzyjaciela można zabijać? To się nawet chwali.

Alistair nie odpowiedział. Czuł pulsowanie w głowie i pełzającą po plecach gorączkę. Wiedział jedno: renowacja obrazu przyniesie mu ukojenie. Podobał mu się lekko udręczony uśmiech Madonny, jakby ktoś przewrócił jakiś nieistotny przedmiot i teraz trzeba było posprzątać. Jakby zaklęła w duchu. Podobał mu się miodowy odcień skóry dziecka, której nie uszkodził wiatr i nie oszpeciły rany. Lubił czysty zapach rozcieńczalników, który przyćmiewał żalną woń sadzy.

- Niezły – ocenił Simonson.
- Prawda?

Stali i podziwiali płótno.

– Można zapomnieć – rzucił Simonson.

– O czym?

Poirytowany major machnął ręką.

– Nie wiem. O kobietach. O świetle. Nie przeszkadzaj sobie.

Obrócił się, szykując się do wyjścia. Wiatr wył, wieża drżała w posadach.

– Nie mam wieści od Mary – wyznał Alistair.

Simonson zawrócił.

– Na pewno znajdzie się jakieś proste wytłumaczenie. Może uświadomiła sobie, że jesteś brzydki.

– Twoje znajome się odzywają?

– Bazgrzą bez ładu i składu. Znam na pamięć kartę dań U Blacksa i najnowszą kolekcję ubrań od McIntie. Jestem na bieżąco z najmodniejszym słówkiem, „klawo”, oraz z tymi, które wyszły z mody, jak „wojna”, którą określa się teraz mianem „kłopotu”. Wiem wszystko, oprócz tego, co mam im odpisać. Bo przecież nie napiszę, że zostały nam tylko skóra i kości i że nieprzyjaciel mógłby zepchnąć nas do morza jednym przemyślnym spojrzeniem.

– Może napisz im, jak jest naprawdę. W ten sposób zrobisz odsiew.

– Trzy to dla mnie w sam raz. Tylko kompletny głupek wybrałby jedną. Nie mam pojęcia, dlaczego tak ci z tym dobrze.

Niebo zasnuły potężne chmury. Alistair zabrał swoich żołnierzy do warzywnika w fosie. Za czasów królowej Wiktorii wojskowi po prostu wzniesli mury nad parowem i stworzyli w tym miejscu fort broniący od zachodu umocnień Victoria Lines, które z kolei broniły Grand Harbour – bazy okrętów Królewskiej Marynarki Wojennej na Morzu Śródziemnym – przed inwazją z północy. Żołnierze Alistaira z satysfakcją wytknęli, że fosa idealnie nadaje się do obrony czegoś, co już nie istnieje, przed czymś, co już nigdy się nie zdarzy.

– Dobra, cwaniaki, to będziecie sadzić tam kartofle – odparł Alistair.

Tak jak codziennie od dwóch tygodni podzielił swój oddział na

cztery drużyny obsługujące działa i przykazał każdej z nich, by obsadziła swoje poletko. Oszacował, że pracując przez dwie godziny, od czwartej do szóstej po południu, oporządzą w ten sposób kwadrat o szerokości, mniej więcej, trzydziestu metrów. Dłuższe szychty były niemożliwe ze względu na liche racje żywnościowe. Kiedy Alistair patrzył na ich wycieńczone twarze i wystające żebra, miał wrażenie, jakby jego zegarek się spóźniał, i zwykle zarządzał zakończenie pracy za kwadrans szósta.

Ten dzień był najgorszy ze wszystkich. Żołnierze pocili się w krwawych promieniach słońca i przeklinali, gdy nad fosą przewalały się kłęby piachu. Wysuszona gleba nie poddawała się uderzeniom łopat; musieli rozbijać ją motykami, wkładać grudy do worków i miażdżyć je o kamienne ściany fortu. Dopiero wtedy przypominała coś, co można było nazwać ziemią. Kiedy cenne sadzonki w końcu trafiły do płytkich dołków, podlane brudną wodą z kuchni i moczem żołnierzy, wilgoć natychmiast wyparowywała. Aż nie chciało się wierzyć, że cokolwiek wyrośnie z tej terakoty.

Ze swoją ropiejącą dłonią Alistair nie mógł im pomóc. Robił, co mógł – nosił wodę od jednego żołnierza do drugiego i wynajdywał lekkie zadania dla najbardziej osłabionych, żeby mogli trochę odetchnąć. Tuż przed piątą jeden z żołnierzy natrafił na coś w ziemi. Kiedy Alistair zobaczył głęboką dziurę, od razu odwołał wszystkich z pola i kazał im stanąć dwadzieścia metrów dalej.

Motyki przebiły się do jakiejś jaskini. Istniało ryzyko, że w środku są niewybuchy. Otwór miał około metra szerokości. Alistair ostrożnie zbliżył się do krawędzi, położył się, zajrzał do środka i czekał, aż oczy przywykną do ciemności. Czuł smród bijący od swojej dłoni, nawet przy tak silnym wietrze.

Dojrzał dno jaskini. Nie była głęboka. Opuścił się na rękach na dół. Kiedy stanął, jego głowa i ramiona pozostały na powierzchni. Nakazał gestem, by żołnierze nie podchodzili bliżej, i skulił się wewnątrz jaskini. Odczekał, aż soki trawienne powrócą do żołądka. Huczało mu w głowie. Z dala od żołnierskich spojrzeń zamknął oczy i pozwolił sobie na chwilę odpoczynku.

Zapalił zapalną i dostrzegł połyskujące kości. Dół był niewielki, niecałe dwa metry na trochę ponad metr. Trzy ludzkie szkielety ułożono stopami na zachód. Nie miały czaszek ani rąk. Alistair stapał po żebrach, które łamały się pod naciskiem jego butów.

Była to już czwarta mogiła, którą odkryli w tej fosie. Tym razem Alistair nie znalazł żadnych artefaktów, po których laik mógłby ocenić wiek szkieletów, ale wszystko wyglądało tak samo. Wyspa tak często padała łupem najeźdźców i tutejsze podłoże było tak skaliste, że nie trzeba było długo kopać, żeby się dowiedzieć, jaki los spotkał garnizony, które stacjonowały tu wcześniej.

Alistair znów zamknął oczy. Jak miło byłoby się położyć wśród tych kości i po cichu umrzeć.

Zapalił kolejną zapalną. Ci ludzie mieli raczej lekką śmierć. Przy odrobinie szczęścia najpierw stracili głowy, a dopiero później ręce. W innej mogile, odkrytej przed tygodniem, znaleźli szkielet, którego wszystkie długie kości były połamane, a w jego kręgosłupie tkwiły zardzewiałe gwoździe. Mógł to zrobić każdy... Alistair nie chciał, żeby żołnierze rozmyślali o takich sprawach w oczekiwaniu na inwazję niemieckich spadochroniarzy.

Wystawił głowę i ramiona na powiewy wiatru i resztką sił wyczołgał się na powierzchnię, używając do tego tylko jednej ręki. Podszedł do żołnierzy i kazał im się rozejść. Patrzył, jak kuląc się przed wiatrem, znikają w kłębach kurzu. Mógł policzyć wszystkie kręgi w ich kręgosłupach.

Kazał zostać tylko Briggsowi. Odmówili krótką modlitwę nad szczątkami, po czym przekłuli bagnetami parę worków z piaskiem i zasypali nim mogiłę. Skończyli po szóstej. Alistair był wykończony. Zamazywał mu się wzrok. Powlókł się z obolałą głową do kwatery i ściągnął z ręki bandaż. Z rany sączył się żółtawy płyn. Zagrzeł wodę na kuchence benzynowej, posolił ją, odczekał, aż ostygnie i przemył nią ranę.

Za otworem strzelniczym zachodziło słońce. Wiatr nieco przycichł. Alistair zapalił lampę i przykręcił knot, żeby zużywała jak najmniej nafty. Oparł obraz o ścianę. Złożona rama lśniła w bladej

poświacie. W takim świetle najlepiej oglądać postaci. Alistair był tak zmęczony, że zasnął na siedząco. Gdy się ocknął, w świetle dogasającej lampy stwierdził, że wyciąga niesprawną rękę w stronę obrazu. Spojrzał na obumierającą dłoń i przez chwilę zastanawiał się, do kogo należy.

Kwiecień 1941

Palmer przyniósł morfinę w brązowym szklanym flakonie z dozownikiem w zatyczce. Mary uznała, że to świetne rozwiązanie. W ogóle była zachwycona tą miksturą – jej zapachem kojarzącym się z lekarstwem, tym, że parę kropel na języku przynosiło ukojenie nerwom, oraz tym, że Palmer najwyraźniej bez trudu ją zdobywał. Kiedy Mary wróciła ze szpitala, zaczął pojawiać się u niej co trzy godziny z cynową tacą w ręku – nie srebrną, gdyż jej ojciec wciąż przebywał w swoim okręgu wyborczym. Palmer ustawiał brązowy flakon i szklankę wody z lodem na cynowych spodkach podklejonych zielonym filcem, a obok porcelanową miskę z owocami.

Później zniknął, a Mary mogła aplikować sobie morfinę wedle własnego uznania. Zachowanie takie można było uznać za właściwie, gdyż mikstura należała do kategorii leków, które zażywa się w samotności, w przeciwieństwie do toników, koktajli czy trunków na wzmocnienie przygotowywanych na zamówienie, a następnie spożywanych w obecności lokaja, który czuwał w tle na wypadek, gdyby napój wymagał szczypty soli selerowej bądź kropelki gorzkiego likieru. Niewielka miska z owocami też była jak najbardziej na miejscu, gdyż owoce – podobnie jak morfina – to coś, po co zawsze łatwo sięgnąć.

Palmer wydawał się Mary tak bardzo ludzki, że nie potrafiłaby zakłócać mu snu, przywołując dzwonkiem o trzeciej nad ranem, gdy obudzi się zrana potem po koszmarnej śnie, który ją prześladował. Przysiadła wtedy w łóżku z kołdrą zaciągniętą pod szyję, przerażona wizjami martwych uczniów skrobiących od wewnątrz drzwi garderoby. Kenneth Cox szeptał coś za osłoną kominka, za lustrem na stelażu lub za wezglowiem łóżka, więc

musiała wciąż się rozglądać.

Czas dłużył jej się niemiłosiernie, aż wreszcie o siódmej zjawiał się Palmer z tacą, a potem musiała jeszcze czekać, nim rozsunie story, rozłoży jej gazetę i pozwoli zainaugurować nowy dzień. Dopiero kiedy wychodził, mogła doskoczyć do flakonu i nacisnąć czerwoną gumową główkę pipety, by pobrać siedem drżących kropeł, które zalecił jej lekarz, i kolejne dziesięć, które powinien był jej zalecić.

Później Mary kładła się na łóżku i odpływała w nieskazitelny poranek.

O dziewiątej, gdy jej palce były jeszcze zbyt słabe, by wykonać jakikolwiek wysiłek, wzywała na pomoc matkę, żeby pomogła jej się ubrać.

– Powinnaś jak najszybciej odstawić to lekarstwo – poradziła matka, zapinając jej bluzkę. – Nie wiem, jakie masz na dzisiaj plany, ale nie powinny obejmować kontaktów z jakimikolwiek przedmiotami i ludźmi.

– Wiesz, że będę brać morfinę, dopóki rana się nie zagoi, nie dłużej.

Matka Mary wzięła do ręki szczotkę i zajęła się jej włosami.

– To już cały miesiąc, kochanie. Gdybyś rzeczywiście coś sobie odcięła, nikt nie miałby ci za złe tego wyciągu z opium. Ale masz na nazwisko North, Mary, a Northowie nie załamują się z powodu ran.

– Lekarz powiedział, że będę utykać.

– To przeżyj życie na siedząco, byle tylko trzeźwa.

Mary wyjrzała za okno, odsuwając głowę w przeciwnym kierunku niż ruchy szczotki. Patrzyła, jak świeżo wyprane chmury rwą się i znikają. Oko to niezwykle narzędzie. Jakież to tajemnicze, że potrafi wypatrzeć tego maleńkiego odległego gołębia, a potem w jednej chwili skupia się na obiekcie, który istnieje tylko w pamięci. Teraz patrzyła na siebie, pięciolatkę stojącą przy tym samym oknie i ssącą pomarańczowego cukierka. Od czasu do czasu wysuwała go z buzi, żeby sprawdzić, ile go jeszcze zostało, i przez przezroczyście słodkie szkiełko przyjrzeć się powoli

rozpuszczającemu się miastu.

– Mary! – Matka gwałtownie odłożyła szczotkę. – Nie pozwolę, żebyś mi się posypała. Powiedz mi, jakie masz plany na dzisiaj, a przy kolacji zdasz mi sprawozdanie. Dlaczego nie piszesz do tego swojego oficera?

– Do Alistaira? Nie piszę do niego, odkąd miałam wypadek.

– Dlaczego? Biedak pewnie odchodzi od zmysłów.

– Nie cieszy mnie już szczęście, które odebrałam Hildzie. Mam nadzieję, że Alistair to zrozumie.

– Przecież traktowałeś go naprawdę poważnie!

Mary starała się skupić wzrok na twarzy matki.

– Zawsze uważałaś, że jestem niepoważna.

– To chociaż idź na spacer! Weź na wszelki wypadek parasol i zajrzyj do Hildy.

– Ona na pewno śpi. Jak wiesz, pracujemy na nocki.

– Żadne „my”! Nie będziesz już jeździć karetką. Gdybyś mnie wtedy posłuchała...

– Zostałabym panią Henry Hunter-Hallową z Gloucestershire ganiącą zarządcę za to, że zatyka głowy kłusowników na bramie.

Matka znów zajęła się włosami Mary.

– Czy to aż takie straszne, kochanie? Bycie królową parafii Brimscombe-and-Thrupp?

– Wolałabym umrzeć.

– Prawie ci się udało.

– Tak, ale raczej winię za to Niemców.

– A ja ciebie za to, że weszłaś im w drogę. Młoda kobieta o twoich zdolnościach może służyć ojczyźnie na dziesiątki sposobów, dużo bezpieczniejszych i przynoszących większe korzyści. Na przykład, czy mniej poważasz ojca za to, że służy w parlamencie, a nie na ulicy?

– Oczywiście, że nie. Ale zgodziłam się, żeby to War Office zdecydowało, jak mam służyć, a oni zrobili ze mnie nauczycielkę. Od tego wszystko się zaczęło.

Matka Mary odwróciła wzrok.

– Rzeczywiście, inne matki słały listy do Whitehall, ale z uwagi na pozycję ojca muszę wykazywać się dużą ostrożnością przy wykorzystywaniu koneksji. Teraz mam z tego powodu okropne wyrzuty sumienia. Nigdy bym nie przypuszczała, że War Office wykaże się taką tępotą, żeby igrać twoim losem na loterii.

Mary ucałowała ją w policzek.

– Naprawdę nie mam im tego za złe.

– Bo jesteś odurzona, kochanie. Za to ja mam im to za złe, i to bardzo. Na co komu koneksje, skoro dzięki nim można wspierać tylko obcych?

– Ale ja jestem szczęśliwa. Czy to się nie liczy?

– Nie jesteś gotowa, by podejmować własne decyzje. Patrz, dokąd cię to zaprowadziło.

– Dokąd? Tutaj. Przebywamy w tym samym pokoju.

– Ale ty jesteś myślami daleko stąd. Te twoje swawole mnie wykończą.

– To ty wykończysz mnie. Potępiasz moje decyzje, ale sama nie podejmujesz własnych. Stąpamy na paluszkach po naszych dywanach, karmiąc się złudną nadzieją, że pewnego dnia ojciec zrobi wreszcie coś dobrego dla ludzi. Ale same nie zadajemy się z ludźmi. Pływamy w galaretce.

Żwawe kwietniowe chmury przemknęły szarym cieniem przez pokój.

– Twój ojciec był moim wyborem, a ty moją radością. Możesz gardzić moim banalnym życiem, możesz mieć je za nic, lecz nie myśl, że dla mnie też jest niczym. Im bardziej staje się banalne, tym bardziej mnie przeraża, bo wszystko, co mi zostało, jest mi bardzo drogie.

Matka wypowiedziała te słowa ze łzami w oczach, ale Mary nie czuła absolutnie nic.

Kwiecień 1941

Powłócząc lewą nogą, Mary ruszyła do Lyceum. Leje po bombach na Strandzie były uciążliwe, ale jacyś dowcipnisie ustawili przy tych największych tablice z napisami: GRAND CANYON albo PODRÓŻ DO WNEŹTRZA ZIEMI, 6 LUTEGO. Londyn bez trudu prześlizgiwał się obok, a późnoporanny tłum rozstępował się przed nią. Powietrze wypełniały zapachy najrozmaitszych dymów – z papierosów, fajek, parowozów, domowych kominków i płonących dachów. Wielki portyk teatru poraniły odłamki szrapnela, ale poza tym budynek stał nienaruszony. Kierownik oznajmił Mary, że Zachary’ego nie ma, lecz mimo to zeszła do piwnicy, bo przecież i tak by jej nie powstrzymał. Nawet by jej nie tknął.

Parkiet taneczny na dole lepił się od potu i piwa. Zapalone żarówki, znacznie przetrzebione, klóciły się ze światłem, które jarzyło się w oczach Mary po zażyciu morfiny. Poczowała lekkie ukłucie w sercu, ale przecież to szybko minie. Podążyła między stolikami i krzesłami nie od kompletu. Piwnica sprawiała wrażenie opustoszałej, lecz Mary posłyszała dziecięce głosy dochodzące ze znajdującego się w głębi baru. Podeszła tam.

Była to grubo ciosana, wzmocniona drewniana konstrukcja. Z pewnością na barze nieraz odbywały się tańce. Stojące na półkach kieliszki były z gatunku tych nie do stłuczenia. Mary brakowało tu lekkości – przedmiotów wykonanych możliwie najstaranniej w przeświadczeniu, że będą używane zgodnie z pewną manieryczną konwencją. Postawiła torebkę i wyciągnęła z niej fiolkę z morfiną. Zażyła tuzin kropli i zapaliła papierosa, wciąż wsłuchując się w dziecięce głosy. Zajrzała za kontuar.

– Nikt tu nie obsługuje?

Zza baru wychynęła głowa Zachary’ego.

Spojrzał na nią nieufnie.

– Jesteś na mnie zła?

– Ani trochę. Dostałeś mój list?

Pokręcił głową.

– Myślałem, że mnie znienawidziłaś.

– A powinnam? Pewnie uratowałeś mi życie.

Zza baru wyłoniła się głowa czarnej dziewczynki. Mogła mieć siedem lat, brakowało jej paru zębów i lekko zezowała.

– Jestem Molly.

– Wiem – odpowiedziała Mary.

– Skąd?

– Bo właśnie mi się przedstawiłaś.

Molly uśmiechnęła się.

– Chcesz poruszać moim zębem?

– Dzięki! Pewnie!

Był to dolny przedtrzonowiec i rzeczywiście fajnie się ruszał. Popychanie go w tył i w przód dawało dużą frajdę. „Włączyć syreny alarmowe, przemknęło przez głowę Mary. Bo stracimy nasze mleczne miasto”. Tymczasem Molly nie przestawała ćwierkać. Mary dowiedziała się, że jej rodzice zginęli i że trupa wzięła ją i Zachary’ego na utrzymanie. Dzieci przyjęły to jako coś naturalnego.

– Ile macie razem kartek żywnościowych? – dociekała Mary. – Serio? Ani jednej?

– Jadamy tutaj – wyjaśnił Zachary.

– Co jadacie? Bo jesteście okropnie chudzi.

– Ciastka. Chleb. Wszystko, co sprzedają.

– Ktoś tu przychodzi i bierze od dzieci pieniądze za jedzenie?

– Za mleko i słodycze też.

– A kiedy ostatnio jedliście jajka, mięso albo owoce?

Usta Molly opanowało drżenie.

– Będziemy mieli kłopoty?

– Tylko jeśli zachorujecie na szkorbut.

Mary chwyciła obydwójce za ręce i wyprowadziła na ulicę. Dzieci

zaczęły mrugać i mrużyć oczy w słońcu. Zachary miał na sobie poplamioną białą koszulę i czarną muchę. Powinien co najmniej siedmiokrotnie odwiedzić fryzjera.

– Tylko nie mów jej, że nie umiem czytać i pisać – szepnął do Mary.

Mary spojrzała na Molly. Była ubrana w fioletową sukienkę z białymi kokardkami. Wpatrywała się w niebo, jakby zaraz mieli je zabrać.

– A co ją to obchodzi? – spytała Mary.

– Powiedziałem jej, że jestem bystry. No, wiesz, żeby została.

– To tak nie działa. – Uśmiechnęła się Mary.

– A jak?

– Ludzie zostają, jeśli chcą.

Zachary spojrzał na nią krzywo.

– Dobrze się czujesz?

– Tak, dziękuję.

Te chmurne spojrzenia chłopców, kiedy słyszą nieprzekonującą odpowiedź. Minęły lata. Niemal wróciły emocje. Wojna się skończyła, na gruzach wyrosły młode drzewka.

Mary zamrugała. Morfina tworzy wijące się rzeki, którymi płynie czas i, bez ostrzeżenia, pozostawia martwe zakola, małe starorzecza pamięci, które nie mają pojęcia, skąd się wzięły. Mary pamiętała spojrzenie, jakie rzucił jej Zachary w dniu ewakuacji. Kiedy pstryknął palcami wyimaginowanego papierosa, na jego twarzy pojawił się ten sam nieutulony żal. Jakby rozpacz, uskrzydłona i pelagiczna, porzuciła piaszczysty brzeg i swą tródkę nielotnych pociech.

Mary przykazała dzieciom, by czekały na nią w zaułku przy teatrze, a sama wyszła na Strand, żeby złapać taksówkę. Przytrzymała drzwi auta, kiedy dzieci gramoliły się do środka. Zdziwiona mina taksówkarza odbijała się w lusterku.

– Dokąd z tymi bambuskami? – spytał.

– Na Piccadilly, a gdzież by indziej? Do Ritza.

– Na pani odpowiedzialność – odparł.

Molly oparła głowę na ramieniu Zachary'ego i zasnęła. Tymczasem on przyglądał się miastu. Taksówkarz obserwował ich w lusterku z wyjątkowym obrzydzeniem. Kiedy stało się to irytujące, Mary uśmiechnęła się pogodnie i powiedziała:

– Przyjechały z Timbaktu. Kupiłam je za sześć sznurów koralików i dagerotyp naszego króla. Prawdziwa okazja.

Taksówkarz poczerwieniał.

– Koralików bym nie dał.

– Widocznie jest pan skąpy – odparowała Mary.

Kazał im wysiąść i ostatnie paręset metrów musieli przejść na piechotę.

– A myślałem, że to ja jestem głupi – powiedział Zachary.

Mary spojrzała na niego urażona.

– Ale przecież to wyłącznie twoja wina, że jesteś czarny jak smoła.

Pierwszy raz tego dnia się do niej uśmiechnął.

– Dlaczego przyjechałaś?

Mary skinęła głową na Molly, która szła przodem.

– Bo byłam zazdrosna.

– Odpowiedz serio.

– Pomyślałam, że czujesz się samotny.

– Muszę opiekować się Molly.

W porządku, pomyślała Mary, a miałbyś coś przeciwko, gdybym z wami została?

Nazwisko jej ojca wystarczyło, żeby załatwić stolik w Ritzu, chociaż cały personel, począwszy od kierownika sali, był wyraźnie zaniepokojony. W wielkiej restauracji usadzono ich jak najdalej od innych gości, lecz i tak pewna para zażądała zmiany stolika. Mary pomachała do nich.

– To moje dzieci! – zawołała. – Z różnych ojców, jak mi się zdaje, chociaż można się w tym pogubić.

– Proszę mieć na względzie pozostałych gości – upomniał ją kelner.

– A ja proszę, żeby przyniósł nam pan szynkę, talerz delikatnych serów, bułki, krojone awokado z cytryną, żeby nie szerniało,

smażoną kiełbasę, ciasteczka z owocami i bez, dżemy, byle nie brzoskwiniowy, kakao, tylko nie za gorące, dwie duże pomarańcze i pokrojone w plasterki jajka na twardo.

– Kurze czy kaczę? – dopytał, ochłonawszy, kelner.

– Jakiegokolwiek. I kawę. Aha, i popielniczkę.

– Coś jeszcze?

– To zależy od tego, czy się nie pochorujemy.

– Bardzo proszę.

Dzieci wpatrywały się w oddalającego się kelnera szeroko otwartymi oczami.

– Czy nam w ogóle wolno tu przychodzić? – spytał Zachary.

– Jeśli już czegoś zakazywać, to takich lokali. Waszym jedynym przewinieniem jest głód.

Mary wypila kawę, faszując trzecią filiżankę kilkunastoma kroplami morfiny, i zjadła pół ciasteczka. Żołądek miała ściśnięty z niewyspania, a poza tym narkotyk odbierał jej apetyt. Po drugiej stronie sali pianista grał *Nad pięknym modrym Dunajem*. Mary patrzyła, jak dzieci zmiatają wszystko, co leży na stole, począwszy od tego, co stało najbliżej, a skończywszy na wylizaniu talerzyka z masłem, kiedy zabrakło już pieczywa. Podawały go sobie bezceremonialnie, acz – jak stwierdziła Mary – przy zachowaniu wszelkich zasad obowiązujących przy stole. Zachary zostawił na koniec trochę masła Molly, która była niska i drobna. Dziewczynka położyła później głowę na nieskazitelnie białym obrusie i zasnęła z otwartą buzią i rękami zwisającymi w pionie.

Inni goście przyglądali im się znad krawędzi rozłożonych sztywno gazet. Mary zrozumiała, że raczej w ciągu paru minut niż paru godzin wieść o ich lunchu w Ritzu dotrze do Pimlico. Po morfinie miała świadomość, że zachowuje się nie fair wobec matki, lecz czuła także, że jest jej wszystko jedno.

Zachary wytarł buzią o obrus.

– Mogę dostać papierosa?

– Jak skończysz trzynaście lat. Lubisz opiekować się Molly?

– Może być.

– Jesteś w tym dobry.
– W niczym nie jestem dobry.
– Bzdura. Ładnie grasz na fortepianie i jesteś mistrzem świata w jedzeniu kleju.

– Każdy powinien umieć czytać i pisać. Sama tak powiedziałaś.
– Myliłam się. Pochowałam mężczyznę, który umiał czytać, a zabili go ludzie, którzy umieją pisać.

Mary próbowała zapalić papierosa, ale jego koniuszek nie chciał się zejść z płomieniem zapalniczki. Zachary musiał przytrzymać jej rękę.

– Dziękuję – powiedział.

– Za co?

– Że do mnie przyszedłeś.

Pomyślała, że chyba rzeczywiście to zrobiła. A teraz siedziała tu, w Ritzu, z czarnymi sierotami. Goście restauracji patrzyli na nią z potępieniem. A ona – nadal – nie mogła sobie jasno przypomnieć, choćby na chwilę, jak się tu znalazła.

Maj 1941

Wiatr nasunął nad wyspę czapę chmur i naloty ustały na sześć dni. Alistair wraz ze swoją baterią wrócił z gór do fortu St Elmo. Nad morzem było chłodniej i oficerowie odnaleźli w sobie dawną werwę. Kiedy wiatr zagnał do Grand Harbour sycylijskich rybaków, w których kutrze wysiadł tłok, Alistair obmyślił pewien plan. Ten przypadł do gustu Simonsonowi, który przedstawił go dowódcy fortu.

Sycylijczyków odholowano do portu i obiecano darować im życie pod warunkiem, że naplują na zdjęcie Mussoliniego. Kiedy to uczynili, uraczono ich ucztą. Były pieczone mięsa, wyszukane pieczywo, gramofon i brandy. Oficerowie ze stoczni, ubrani w najlepsze galowe mundury i pogwizdujący melodie z operetek Gilberta i Sullivana, naprawili im silnik, nie omieszkawszy umieścić portretu króla na głównej grodzi kabiny przy użyciu mosiężnych śrub z główkami w kształcie gwiazdek, które dało się odkręcić jedynie konkretnym rodzajem śrubokręta będącego na wyposażeniu Królewskiej Marynarki Wojennej.

Kiedy skończyli i ucichł wiatr, połączone orkiestry dęte pułków broniących Grand Harbour zebrały się na nabrzeżu w strojach przeznaczonych do pełnienia służby w tropikach z ukrytymi pod mundurem kocami, w miejscu, gdzie zwykle wystaje brzuch. Następnie żołnierze odegrali na tubach wiązaną kompozycję Vaughana Williamsa i Elgara, podczas gdy płynąca pod białą banderą lśniącą mahoniowa motorówka dowódcy Królewskiej Floty Śródziemnomorskiej, admirała Andrew Browne Cunninghama, pierwszego wicehrabiego Cunningham of Hyndhope, odeskortowała kuter, przeprowadzając go przez zabezpieczony minami port. I tak oto rybacy z wrogiego państwa

zawieźli do domu wiadomość, że wyspa radzi sobie znacznie lepiej, niż nieprzyjaciel sobie to wyobraża, i że nie należy się śpieszyć z dokonywaniem desantu.

Gdy oficer sygnałowy pełniący służbę na murach fortu St Elmo odłożył lornetkę i zameldował, że kuter zniknął z pola widzenia, połączone orkiestry dęte usłyszały rozkaz „spocznij”. Oficerowie i szeregowi złożyli galowe mundury i przebrali się w noszone od wielu miesięcy, postrzępione i cuchnące mundury bojowe. Motorówka admirała zacumowała na swoim miejscu i została przykryta poplamioną plandeką. Z powietrza wyglądała teraz jak każda inna mała łódka na przystani. Ze zbiornika odciągnięto olej potrzebny do uruchomienia prądnic w forcie. Sam admirał, którego racje żywnościowe były identyczne z racjami żołnierzy, z trudem uniósł rękę, by zaszalutować po tym, jak jego podwładni zameldowali mu, że operacja zakończyła się sukcesem.

Resztki jedzenia pozostawione przez rybaków zebrano do koszyka, przykryto ścierką i zaniecono do kuchni, gdzie dodano je do zupy dla głodujących żołnierzy.

– Nie jesteś zbyt przystojny, ale muszę przyznać, że twój plan się powiódł – skomplementował Alistaira Simonson, oparłszy buty na jego metalowym biurku.

– Żołnierze spisali się znakomicie.

– Potrzebowali czegoś takiego. Miło choć raz mieć sposobność, by zachować się jak panisko.

Alistair zachwiał się, usiadł na pryczy i zamknął oczy.

– Źle się czujesz?

– Zaraz mi przejedzie.

Simonson zapalił papierosa, odchylił się na krześle i wypuścił dym.

– Nie sądzę.

– Chyba masz rację.

– Może jednak obetniemy ci tę rękę?

– Lekarz twierdzi, że wciąż da się ją uratować.

– Nie trzymalibyśmy go tutaj, gdybyśmy mieli jakiś wybór. To

zwykły konował. Założę się, że skończył Wojskową Akademię Weterynaryjną.

– To się ciesz, że jeszcze mnie nie uśpił.

– Na swój sposób próbuje cię wykończyć, pozwalając, żeby rana się babrała. Zakażenie objęło już prawie całą rękę.

Alistair próbował zebrać myśl, choć było mu niedobrze.

– Dla żołnierzy, którzy trafili na jego stół operacyjny, raczej dobrze się to nie skończyło.

– Poślemy po lekarza z Marynarki. Wciągnie cię na pokład, utnie rękę i odeśle z butelką rumu. Będziemy musieli tylko czuwać, żeby nie wstawił ci haka w miejsce dłoni i nie dorzucił papugi. Wiesz, jacy są ci marynarze.

Alistair poruszał ramieniem.

– Sam nie wiem...

– Pomyśl o tej swojej dziewczynie. Ona doprowadzi cię do ładu.

– Wciąż do mnie nie pisze.

– Czyli ja będę musiał napisać do niej, jeśli umrzesz z powodu zakażenia. Wiesz, jak nie lubię pisać listów.

– Przestań marudzić. Nie denerwuj mnie.

– Marudzę, bo umierasz. Bądź równiachą i odetnij sobie tę rękę. Wtedy będę mógł cię ewakuować. Oczywiście kaleki i innych popaprańców też obowiązuje kolejka, ale jak tylko trafisz na początek listy, polecisz do domu razem z pocztą.

– Wolę zostać i pomagać.

– Martwy nam nie pomożesz.

Zawyły syreny. Simonson podniósł się ociężale.

– Życzę wielu miłych chwil – rzucił Alistair.

– Przemyśl to i daj mi znać.

Alistair odwrócił się do niego tyłem i skinął głową.

– Tak trzymaj.

Simonson włożył czapkę i wyszedł, a garnizon znów schował się w swojej skorupie, żeby zebrać kolejne cięgi.

Alistair spojrział w stronę portu. Usłyszał samoloty, zanim je zobaczył. Nadleciały jak zawsze z północy. Ustabilizował lornetkę,

żeby się im przyjrzeć. Na linii horyzontu sunęły heinkle w eskorcie lecących wyżej myśliwców. Siły RAF-u nie dysponowały niczym, co mogłoby się im przeciwstawić, więc niemieccy piloci myśliwców nie mieli nic do roboty. Alistair domyślał się, że ćwiczą akrobacje lotnicze i oceniają nawzajem swoje wyczyny pod względem walorów estetycznych i stopnia trudności, podczas gdy w dole niechlujne heinkle obsrywały wyspę bombami.

Czasami dało się dojrzeć twarz pilota bombowca przez szklaną pokrywę kabiny. Wciąż wykonywali naloty w kurtkach i pod krawatem. Alistair próbował im się przyjrzeć, ale lecieli zbyt daleko. Chciał wiedzieć, jak wygląda wróg, kiedy zbliża się do wybrzeży Malty.

Śledził bombowce wzrokiem, póki nie znalazły się nad jego głową i mury fortu nie przesłoniły mu widoku. Działa przeciwlotnicze Bofors i te kalibru 94 milimetry otworzyły ogień. Nie był to nieustający ostrzał, jak rok temu. Z uwagi na brak amunicji działonowi mierzyli teraz dokładniej. Zaczęły spadać bomby. Alistair był zbyt słaby, żeby zejść do schronu. Usiadł na pustej skrzyni po amunicji, wziął w lewą ręką pędzel i zajął się renowacją obrazu. Eksplozje wzniewały kurz, który dostawał się do rozpuszczalników.

Alistair oczyścił już całe płótno w tempie kilkudziesięciu centymetrów kwadratowych dziennie. Uwolniona od sadzy Madonna wyglądała przepięknie. Patrząc na nią, Alistair zapominał o głodzie i infekcji. Już dawno przestał odróżniać jego Mary od tej Marii, której, centymetr po centymetrze, przywrócił blask. Bomby tłukły w fort, tworząc leje na jego wspaniałym dziedzińcu, lecz Alistair nie zwracał na nie uwagi. Zaprzestał pracy i tylko wpatrywał się w Marię. Trucizna tocząca jego rękę spowalniała mu myśli.

Zaczął od rąbka jej szaty i sunął do góry wzdłuż linii ciemnych fałd, doskonaląc rozcieńczalniki i przekonując się, jaki minimalny nacisk pędzla zbierze z obrazu brud i sadzę. Następnie zajął się zewnętrznymi połączeniami szaty i wydobył z nich błuźniercze czerwienie. Później były włosy, niedoskonałe, tu i ówdzie splątane,

zaczęte do tyłu, ale jednak niesforne. Po dwóch miesiącach zawierzył swojej technice na tyle, by odsłonić jej ręce, a na koniec twarz.

Teraz przeniósł wzrok na Dzieciątko, wobec którego zaczął odczuwać braterską czułość. Malarz najwyraźniej nie lubił chłopca. Alistair podejrzewał, że żaden malarz nie przepadał za dziećmi, których obecność była jedynie pretekstem do kontaktu z modelką. I tak powstał Jezus niezdarny, Jezus zawałidroga, Jezusek przyzwoitka, okopcony Jezus o twarzy moposa, domagający się karmienia. Alistair pracował nad obrazem wiele dni, nim dostrzegł, że o ile Maria została wyposażona w aureolę, o tyle dziecko zasłużyło jedynie na stojący w tle garnek na stole, od którego odbijało się przypadkowe światło. Stół skrywał tak głęboki cień, a garnek tak bardzo zlewał się z tłem, że trzeba było malarza lub konserwatora, by zauważyć tę sztuczkę. Serce Alistaira wyrywało się do chłopca. Może właśnie o to chodziło.

Koniec nalotu. Alistair powlókł się do otworu strzelniczego, żeby znów popatrzeć na bombowce. Cieszył się, że odleciały. Obserwował przez lornetkę, jak suną ponad falami. Te na końcu walczyły desperacko z wiatrem i ciągnęły za sobą długie smugi sadzy. Cóż, to była długa wojna i wszystko zaczynało dymić. Alistair zdziwił się, jak łatwo było usprawiedliwić wroga. Przecież nigdy nie obiecywał braterskiej miłości, tylko bomby. To, co Alistair zrobił Tomowi, było gorsze. Mary też musi mieć wyrzuty sumienia. Alistair przypuszczał, że dlatego nie pisze.

Teraz, kiedy nalot już się skończył, żołnierze wylegli na dziedziniec. Alistair obserwował, jak zrywają trawę wyrastającą pośród kamieni. Później powoli ją żuli. Z musztry z bronią zrezygnowano wiele tygodni temu, a ćwiczenia fizyczne zostały zakazane. Jeśli wyraźnie nie przykazano im inaczej, żołnierze mieli rozkaz nie robić niczego.

Alistair przyglądał się przez lornetkę dzieciom, które wypełzły z ruin nieopodal fortu. Rozpalały liche ogniska, dorzucając fragmenty połamanych mebli, i piekły nad nimi nadziane na patyki

ślimaki. W zaułkach mężczyźni stawali między dyszlami wozów i dwukółek. Ich konie już dawno temu trafiły do garnków. Psy wymarły. Teraz właśnie to było najgorsze, ta cisza po nalocie. Hałaśliwe ujadanie psów było nieodłącznym elementem tutejszego życia; teraz wyspa przestała szczekać.

Alistair czuł pulsowanie w głowie. Próbował zwymiotować, na próżno.

Simonson przyniósł mu posiłek. Składał się z kilku dekagramów czegoś, co nazywali chlebem, i z połowy puszki jakiegoś smarowidła. Alistair patrzył z obojętnością, jak Simonson stawia jedzenie na stole, odsuwając butelki z rozcieńczalnikami. Opadł ciężko na krzesło, ściągnął czapkę i obtarł dłonią kurz zalegający na karku pod kołnierzem.

– Nic nie zjesz?

– Ty zjedz – odpowiedział Alistair.

– Nie kuś.

– Dobra, zjem później.

– Jak chcesz. Miałeś dobry widok na bombowce?

– Cudowny.

Alistair podniósł z podłogi słoik z dżemem z jeżyn i ustawił go w wykuszu otworu strzelniczego, gdzie znów był bezpieczny. Simonson przełknął ślinę. Alistair z rozbawieniem obserwował wysiłek, z jakim jego przyjaciel odrywa od niego wzrok.

– Dlaczego go nie zjesz?

– Wolę truskawkowy. Jak tam po nalocie?

– Straciliśmy dwóch maltańskich działonowych: Zammita i Sillata. Znowu eksplozja pocisku. Dzieci Zammita podeszły pod bramę i zaczęły wyć. Dwóch chłopców i dziewczynka; mógłby je zmieść byle podmuch wiatru.

– Te działa nie są bezpieczne w obsłudze.

– Ale ci biedacy popełniają szkolne błędy. Zammit nie zdążył domknąć zamka, a Sillato już krzyknął „gotowy”.

– Niech zrobią bezpieczniki i połączą je z zamkiem łańcuchem doczepionym po drugiej stronie zawiasów. Jeśli będzie miał

odpowiednią długość, działo nie odpali, dopóki zamek nie będzie domknięty.

Simonson zmarszczył brwi.

– Myślisz?

– Robiliśmy tak we Francji, kiedy działa obsługiwali Francuzi.

Simonson przeniósł wzrok na obraz.

– Nie naprawisz ramy?

– Podoba mi się taka nadpalona. Opowiada własną historię.

– Jak uważasz. I tak skończy na jakiejś ścianie w Berlinie.

– Nie mówisz tego poważnie.

Simonson westchnął.

– Kiedy ty nimi dowodziłeś, żołnierze nie popełniali takich błędów.

– Bo nie byli aż tak wygłodzeni.

– Schlebiasz mi.

– Serio. Nie jesteś najbardziej dennym majorem w naszej armii.

– Teraz już wiem na pewno, że umierasz – prychnął Simonson.

Alistair zakręcił butelki z rozpuszczalnikami. Trudno było to zrobić jedną ręką, ale Simonson, zamiast pomóc, tylko mu się przyglądał.

– Nie każ mi błagać. Dasz obciąć sobie tę rękę?

– Dlaczego tak na to nalegasz?

– Bo chcę, żeby cię ewakuowali, zanim wylądują tu spadochroniarze. Dobrze wiesz, że wszyscy zginiemy. Czułbym się lepiej, gdybyś był tak miły i pozwolił mi skonać w samotności.

– To egoistyczne.

– Owszem, ale poczytywałbym ci to za przysługę.

– Kiedy się poznaliśmy, uważałeś, że taki prostak jak ja w ogóle nie zasługuje na życie.

– Powiedzmy, że zacząłem dostrzegać pewne liche przymioty ludzi pośledniej proweniencji.

– Chwała wojnie! Najpierw czyni nas lepszymi, by później zabić.

Simonson uśmiechnął się.

– Co?

- Gadasz, jakbyś skończył Harrow[18].
 - Tęsknisz za swoją szkołą?
 - Bardzo. Chociaż nie za jedzeniem. Boże, tak! Nawet za jedzeniem!
 - Dam ci znać, co tam słychać, jak wrócę do domu.
- Simonson uniósł czujnie wzrok.
- Czyli dasz sobie odciąć rękę?
 - Tylko upewnij się, żeby zostawili mi tę sprawną.
 - Są na to duże szanse, co najmniej pół na pół. Natychmiast powiadomię Marynarkę Wojenną, że ich najlepszy lekarz musi wytrzeźwieć.

18 Ekskluzywna prywatna szkoła średnia dla chłopców.

Maj 1941

Kiedy matka przykazała Palmerowi, żeby nie dawał jej więcej morfiny, Mary przeniosła się do mansardy, zabierając ze sobą dwa ostatnie brązowe flakony. Postanowiła dać matce trochę czasu na odzyskanie zdrowego rozsądku.

Gołym okiem było widać, że Londyn na wschód od Pimlico jest koszmarnie zniszczony, ale Mary w ogóle się tym nie przejęła. Dziwaczna narkotyczna rzeczywistość pomijała dziwaczność wojenną. Były jak olej i woda. Nawet jeśli zdarzyło się coś, co wstrząsnęło Mary, realia i morfina dzieliły się na milion ruchliwych kropeł, które opływały siebie nawzajem, by dobić do podobnych sobie. Wtedy Mary znów stawała się jednym bytem, znów panowała nad sytuacją i unosiła się na powierzchni.

Bones siedział przy fortepianie w teatrze Lyceum i ćwiczył piosenkę „Hitler ma tylko jedno jajo”, sprowadzając podkład muzyczny do pojedynczych uderzeń w klawisze i jękliwie wyśpiewując słowa przez nos. Po pierwszym wersie scenę zaalało światło, ukazując big band i dwudziestu czterech chórzystów, którzy podjęli tekst utworu. Całość brzmiała mocno, harmonijnie i bardzo swingowo. Efekt był doskonały; Mary śmiała się radośnie, kiedy schodziła do piwnicy.

Na odgłos jej kroków zza baru wychyły trzy głowy – Zachary’ego, Molly i może dziewięcioletniego chłopca o zaspanych oczach w zielonym filcowym kapeluszu.

– A ty kto, do cholery?! – wrzasnął chłopiec.

– Chwileczkę – odparła Mary. – Raczej „Kim jesteś, do cholery?”. A bardziej elegancko: „Kim, na Boga, jesteś?”. Jestem Mary. Miło mi.

Chłopak wznosił oczy ku niebu, jakby już nie mógł z nią wytrzymać, i wypuścił kółko dymu. Mary uświadomiła sobie, że

wyciągnął rękę po jej papierosa, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie, i że bezwiednie mu go oddała, bo kompletnie zbił ją z pantałyku.

– Oddaj mi go zaraz, łobuzie!

Łypnął na nią z wyższością i wypuścił dym przez nos.

– Mam na imię Charles.

Wyrwała mu papierosa.

– Chyba coś brałaś.

– Nie bądź głuptasem. – Uśmiechnęła się.

Spojrzał na nią znacząco.

– Myślisz, że nie widziałem, jak ktoś się nawali? Mamy tu muzyków z big bandu.

Próbowała zaprzeczać, ale dała za wygraną i oparła się o kontuar.

– Byłam ranna. Biorę, póki rana się nie zagoi.

– Opium?

– Morfinę.

– A co to? Mocniejsze czy słabsze?

– Jezu, Charles, skąd ja mam to wiedzieć? Moja rodzina woli sherry.

– Ledwie patrzysz na oczy.

– Pewnie ty też uważasz, że powinnam odstawić?

Charles pokręcił przecząco głową.

– Uważam, że powinnaś się podzielić.

– Wykluczone.

– Troszkę, na spróbowanie.

– Nie bądź śmieszny.

– Nie bądź groteskowa.

– Nie bądź bezczelny.

Zetknął ze sobą palce obydwu dłoni.

– Nie bądź... nierozsądna.

– Za słownictwo czwórka z plusem. Za kapelusz dwójka z minusem.

Ten chłopięcy uśmiech, kiedy tryumf jest niepodważalny.

– Przepraszam za niego – wtrącił się Zachary.

– Nie kuma – zaczęła Molly. – Nie ma rodziców.

Charles szturchnął ją.

– Ty też nie masz.

Mary już otworzyła usta, ale je zamknęła. Dzieci wybuchnęły śmiechem i zaczęły się przepychać. Zmuszone do życia w piwnicy, lecz wciąż nieuleczalnie radosne, oceniła Mary.

Uczyła je czytania i pisanie, póki się nie zmęczyły. W końcu spytała Zachary'ego:

– Kiedy ostatnio widziałeś światło dzienne?

Nie pamiętał. Zostawili więc dwójkę młodszych dzieci i wyszli na dwór. Pogoda się poprawiła. Dym po nocnych pożarach zaczął już ulatywać, lecz w powietrzu wciąż unosiła się mgła. Słońce wyglądało jak blady płaski dysk. Zachary i Mary szli, trzymając się za ręce. Przechodnie rzucali im mordercze spojrzenia. Mary za każdym razem promiennie się uśmiechała. Dziwni ci Brytyjczycy; potrafili zachować stoicki spokój po dwustu pięćdziesięciu dniach bombardowań, za to widok Mary z ciemnoskórym chłopcem bódł ich do żywego.

– Już lepiej wyglądasz – ocenił Zachary.

– Cieszę się, że tak dobrze sobie radzisz. Z Charlesem i Molly pewnie się nie nudzisz.

– On nie jest taki zły, tylko dużo gada. Molly jest gorsza.

– Mała Molly?

– Kradnie.

– Nie! A już chciałam sprawdzić, czy nie ma skrzydełek aniołka.

– Podbiera mi napiwki i kupuje za nie bułki.

– Dzieli się z tobą?

– Akurat.

– To dlaczego jesteś taki zadowolony? Dostaniesz jakąś nagrodę, kiedy Londyn wreszcie padnie?

– Nie wiem. Po prostu, jestem zadowolony.

Mary objęła go ramieniem.

– Idiota.

Oparł o nią głowę.

– Głupia.

– Pracuj nad słownictwem. Chyba nie chcesz być gorszy od Charlesa?

– Nie, zakuta pało.

– Przestań! – krzyknęła i uszczypnęła go w rękę.

Wybuchnęli śmiechem i wtedy nadchodząca z naprzeciwka kobieta uniosła rękę w niebieskiej rękawiczce i uderzyła Mary w twarz. Ta upadła na ziemię i zobaczyła przed oczami gwiazdy.

Zachary przykucnął i podłożył jej rękę pod głowę, żeby nie dotykała chodnika. Drugą odgarnął jej włosy z twarzy.

– W porządku. Nic mi nie jest – powiedziała.

Zachary był wstrząśnięty. Mary zebrała się w sobie i przysiadła. Chłopiec wyglądał tak, jakby zaraz miał się rozplakać.

– Nie płacz. To nie twoja wina.

Mary obejrzała się za kobietą, która ją uderzyła, ale tamta najwyraźniej nawet nie przystanęła. Mary widziała wokół tylko miasto, jego niedające się ze sobą pogodzić fragmenty.

– Pomóż mi wstać. Nic się nie stało. – Uśmiechnęła się, żeby mu to udowodnić. – Pójdźmy nad rzekę, żeby się ogarnąć.

Woda w Tamizie płynęła jak zawsze. Słaby wiatr niósł ze sobą zapach morza. Ogorzali dokerzy zaciągali liny, zabezpieczając barki przed brunatną falą przyływu. Mary przemknęło przez głowę, że może jednak wszystko będzie dobrze, lecz gdy przysiedli na murku – tyłem do miasta – nie mogła powstrzymać się od szlochu.

– Już dobrze – uspokajał ją Zachary. – Już dobrze.

– Wcale nie jest dobrze.

Ton jej głosu, ostry i łamliwy, zaskoczył ją samą. Policzek wymierzony przez tamtą kobietę wytrzebił z niej resztki morfiny. Twarz miała rozognioną, lecz jej ciało skuł lód. Jej kości zamarzły i popękały, a ręce drżały tak bardzo, że musiała poprosić Zachary'ego, żeby wyjął flakon z jej torebki. Przytrzymał jej głowę i zapuścił kilkanaście kropli do jej ust. Zapomniała o wstydzie; nie obchodziło ją, że Zachary widzi, co się z niej zrobiło.

Po kilku minutach ból w kościach ustąpił i rozlało się w nich

blógie ciepłó.

Zachary nie spuszczał jej z oka.

– Masz rację – rzuciła zachrypniętym głósem. – Odstawię to.

– Wybacz – odparł i cisnął brązowy flakon do Tamizy.

– Och! – westchnęła, ale było jej już wszystko jedno.

Morfina stłumiła rozpacz po utracie morfiny. Najgorsze było to, że stanowiła jedyne antidotum na ewentualność, gdyby jej zabrakło.

Pułapka doskónała. I Mary sama to wszystko wymyśliła. Nawet Hilda nie rozegrałaby tego lepiej. Wtem zawyły syreny. Mary i Zachary zerwali się na równe nogi. Mary zdumiała się, ile radości sprawia jej ucieczka przed bombami.

Maj 1941

Po powrocie do teatru Mary uczyła dzieci aż do wieczora. Wymyśliła dla Zachary'ego zabawę. Litery to żołnierze nieprzyjaciela, których wziął do niewoli. Miał każdego z osobna przesłuchać. Jeśli pozbawi ich szansy ustalenia wspólnej wersji, litery nie będą mogły wejść w zмовę, by migać mu przed oczami i wprowadzać go w błąd. Mary przykazała mu, żeby izolował je od innych kciukami i wymawiał na głos. Dzięki temu szybko nauczył się czytać prostsze słowa. Mary dostrzegła, jak bardzo jest rozczarowany, że czytanie ma mniej wspólnego z magią, niż przypuszczał. Tak bardzo ich to wciągnęło, że straciła poczucie czasu w pozbawionej okien piwnicy i kiedy zaczął się nalot, utknęła tam razem z dziećmi.

Było to, jak do tej pory, najcięższe bombardowanie. Ziemia trzęsła się i topiła. Wydawało się, że Londyn krwawi. Mary patrzyła z przerażeniem, jak czerwona ciecz spływa po ścianach piwnicy w teatrze, tworząc kałuże na parkiecie. Nie wierzyła, by ktokolwiek z nich mógł przeżyć, i gdy rozbrzmiała syrena odwołująca alarm, odebrała to jako najbardziej nieoczekiwany finał. Zupełnie jakby magik podrzucił monetę trzysta metrów w górę i ta opadła na własną krawędź.

Ułożyła dzieci do snu i poszła sprawdzić, czy stoi jeszcze dom, w którym wynajmowała mieszkanie na strychu. Stał, chociaż wyleciały wszystkie szyby z okien. Ale Mary było wszystko jedno. Liczyło się to, że gdy wygrzebała z kosza na śmieci ostatni flakon z morfiną, zostało w nim jeszcze parę kropel. Połknęła je, wlała do niego wody, zamieszała i wypila zawartość. Kiedy poczuła się bardziej jak w domu, zamiotła podłogę. Odgłos szkiełek dzwoniących o śmietniczkę brzmiał uroczco. Odtąd najlepsi

kompozytorzy będą pisać utwory orkiestrowe na potłuczone szkło i szczotkę. Mary wrzuciła też do kosza flakon po morfinie. Uśmiechnęła się. Jakież to było przemyślne! Wyrzucając go wraz z odłamkami szkła, bez ceregieli, będzie mogła zamknąć ten rozdział.

Odstawienie morfiny będzie absolutnie do zniesienia. Mary włączyła je do kategorii przykrych doznań, nad którymi słabeusze okropnie się rozwodzą, lecz z którym całkiem łatwo poradzi sobie ktoś, kogo wychowano według zasady, że jak jest zimno, to się nie skarżymy, tylko wkładamy sweter. Będzie się ono wiązało prędzej z poczuciem melancholii niż cierpienia – jak powrót pociągiem do domu po wakacjach w Devonie.

Majowy poranek rozpoczął się gładko. Nawet jeśli nad miastem unosił się dym, to zdawał się niemal wytchnieniem po duchocie piwnicy w Lyceum. Mary nie mogła znaleźć czajniczka do parzenia herbaty. Wyrzrzała za okno, ale nic nie wskazywało na to, że Londyn zaopatrzy ją w ten napój. Oszołomione miasto stało w ciszy, przykryte białym całunem popiołu. Wśród ruin tu i ówdzie trzaskały płomienie. Promienie słońca rzucały rozproszony cień przez chmury dymu.

Mary miała nadzieję, że znajdzie jakąś otwartą kawiarnię. Włożyła płaszcz Alistaira i podwinęła rękawy. Stary zegar słoneczny na wieży kościoła St Clement Danes nie rzucał cienia. Wszystko było pozamykane. Mary poszła nad rzekę. Woda falowała nerwowo, acz bez wigoru. Herbata, przemknęło przez głowę Mary. Prawie zapomniała, po co wyszła. Słowo to kołatało w jej myślach, nie budząc żadnych skojarzeń – nieodwzajemnione, jak beczenie owiec w gęstej mgle.

Mary przysiadła na murku przy Embankment, odwrócona tyłem do rzeki, która ją przygnębiała. W ciszy poranka na ulicach nie było żadnego ruchu. Kobiety o twarzach w kolorze popiołu i oczach jak węgle usypywały miotłami schludne sterty odłamków szkła, tynku, drewna i kamieni – kurhany wszystkiego, co utracone. Mary poczuła się nieswojo. Ta muzyka nie cieszyła uszu. Szurające miotły

były niczym szept – życie pękło i odeszło, a to, które zostało i z uporem wyrastało z gruzów, nie było dobre.

Gdyby nie te miotły, cisza byłaby kompletna. Londyn przypominał gramofon, który przestał grać, i zabrakło ręki, która by go nakręciła. Cuchnął pękniętymi rurami kanalizacyjnymi, ulatniającym się gazem i osmolonym, zalany wodą ze strażackich węży drewnem.

Jak to możliwe, że tego nie zauważyła? Odwieczny mechanizm regeneracji miasta się zaciął. Teraz kobiety tylko czekały i zamiatały. Rozwieszane sznury odcinały dostęp do niewybuchów. Wyrysowane kredą na drzwiach krzyże znaczyły domy, do których nie weszli jeszcze ratownicy. Mary pomyślała o kostnicach z ciałami, po które nikt się nie zgłosił, tworzącymi pozbawione sensu linie i całe akapity zalegających zwłok z literą X przyporządkowaną im w rejestrach. Tego miejsca, do którego śpieszyła na początku wojny, już nie było, podobnie jak wszystkich punktów stałych. Literą X znaczone jedynie to, co niewybuchłe, niezbadane i niepocieszone. Wsłuchani w rytm szurających mioteł, wszyscy wyczekiwali jakiegoś bliżej niesprecyzowanego zmartwychwstania.

Mary czuła się tym przytłoczona. Jej zmysły erodowały, morfina przestawała działać. Tamiza była niczym wydzielina z miliardów zranionych serc na świecie. Bładobrzazowa ciecz uchodziła bez końca. Aha, wyszłam po herbatę, przypomniała sobie jak przez mgłę Mary. Przed nią płynęła Tamiza, nieskończona i niewytłumaczalna. Jakże była brązowa. Aha, wyszłam po herbatę, pomyślała Mary. Tamiza była... Aha!

*

Hilda otworzyła drzwi ubrana w koszulę nocną. Lewa strona twarzy była obandażowana. Opatrunek zakrywał też oko. Przez bandaż sączyła się krew.

– Co się stało?! – przeraziła się Mary.

Po chwili zastanowienia Hilda odpowiedziała:

– Myślę, że to policzek.

– Dobry Boże...!

– Mary, przymknij się! Naprawdę wyglądam tak strasznie?

Mary udało się uśmiechnąć.

– To zawsze wygląda gorzej, niż jest w istocie.

– Wejdz.

Hilda poruszała się ostrożnie, boleśnie prostowała szyję. Mary podążyła za nią do niewielkiej kuchni. Nalała wody do czajnika i postawiła go na kuchence. Woda ciurkała ledwo ledwo, a ogień był prawie niewidoczny.

– Mam nadzieję, że lubisz czekać na herbatę? – rzuciła Mary.

Hilda osunęła się na krzesło przy stole. Mary uściskała ją.

– Co się stało?

– Nowy kierowca. Kretynka. Przez całą noc unikaliśmy bomb, a ta na koniec władowała się w zabezpieczony niewybuch. Doszło do eksplozji.

Mary poczuła ucisk w żołądku.

– Hilda, tak mi przykro.

– Tak fatalnie wyglądam? Nie pozwolili mi obejrzeć się w lustrze.

– Boli?

– Okropnie, jakby ktoś nadal ciął mi twarz.

– Masz morfinę?

Hilda zmierzyła ją wzrokiem.

– Dla mnie czy dla ciebie?

Mary zamknęła oczy.

– Dla nas.

– Staram się jej nie zażywać, chyba że ból staje się nie do zniesienia.

– Tak się trzęsiesz, że zaraz zawali się cały dom.

– Żołnierze bardziej jej potrzebują. Zachowałyśmy się naprawdę bezmyślnie.

Mary ujęła jej dłoń.

– Ale jak inaczej można to przetrwać?

– Jak wszyscy normalni ludzie. Musimy się nauczyć żyć same, bez pomocy.

Mary milczała.

– Przykro mi – dodała po chwili Hilda.

Mary pokręciła głową.

– A masz przynajmniej bandaże? Ten cieknie. Zmienię ci.

Hilda połknęła haczyk.

– W szafce nad zlewem.

Mary wyjęła bandaż i płyn do dezynfekcji. Kazała Hildzie usiąść na krześle i zaczęła odpinać bandaż.

– Boli?

– Tylko koszmarne.

– Zrobię to najdelikatniej, jak umiem.

Bandaż puścił. Była na nim zaschnięta krew i surowica o barwie szafranu. Hilda wrzasnęła.

– Przepraszam – powiedziała Mary.

Jej przyjaciółka tak się trzęsała, że Mary nie mogła jej utrzymać.

– Tylko, proszę cię, nie dotykaj twarzy. Nie wolno.

Mary przytrzymała dłonie Hildy. Skropiwszy nowy bandaż płynem do dezynfekcji, oczyściła rany. Ciężko jej to szło, bo sama trzęsała się prawie tak jak Hilda. Kiedy skończyła, przyjrzała się uważnie jej twarzy.

– Teraz powiedz, gdzie jest morfina.

– Jest aż tak źle? – jęknęła Hilda.

– Jeśli powiesz mi, gdzie ją trzymasz, dam ci lusterko.

Hilda zawahała się. Lewa strona jej twarzy była otwartą raną, na prawej malował się strach.

– Bądź dzielna.

Hilda zamknęła oczy i powiedziała:

– W torebce.

– Grzeczna dziewczynka.

Mary wzięła dwie ampułki z igłą. Jedną wstrzyknęła sobie, a drugą Hildzie.

Hilda odetchnęła głęboko, wciąż roztrzęsiona.

- Oczywiście, miałaś rację.
- Papierosa? – Mary podsunęła jej paczkę.
- Owszem.

Mary nastawiła radio. The Kentucky Minstrels grali *Love's Old Sweet Song*. Wcześniej ostre promienie słońca teraz jakby nieco przygasły.

- Uczesać cię? – spytała po chwili Mary.

Cisza. Z zapomnianego papierosa Hildy opadła smutna grudka popiołu.

Mary przyniosła szczotki i zabrała się do pracy. Hilda była śpiąca i bezwolna. Jej głowa podążała za ruchami szczotki i Mary musiała ustawiać ją do pionu. Siedziały, milcząc, w ciepłe przy dźwiękach radia. Kiedy falująca fryzura była już gotowa, Mary użyła utrwalacza, by zaprzeczyć prawom fizyki.

- I jak wyglądam?
- Świetnie. Zaraz dam ci lusterko.
- Koniecznie.

Mary ustawiła je na stoliku z blatem z formiki. Chwyciły się za ręce i razem spojrzały w lusterko. Na twarzy Hildy były trzy rany, wszystkie zaczynały się na lewym policzku. Najgłębsza biegła do tyłu, w stronę ucha. Najdłuższa ciągnęła się niemal aż do szczęki, a najgorsza przecinała oko – choć go nie naruszyła – oraz brew i paskudnie rozwidlała się na czole. Zszyto je, choć niezbyt wprawnie. Mary wyobraziła sobie, jak wyglądał ten szpital – noc najgorszych bombardowań, posadzki zalane krwią.

- Poszło ci dużo lepiej niż ostatnim razem – pochwaliła ją Hilda.
- Dzięki.
- Sztuka polega na tym, żeby na samym początku dobrze je skrócić. A potem to już z górki.
- Pod warunkiem, że nie oszczędzasz na utrwalaczu.
- Przecież nie jest na kartki. A to dowód, że War Office chce nas uszczęśliwić.
- Albo wyprostować.
- A propos, mówiłam ci, że biedny Huw nie żyje?

– O, Boże... – jęknęła Mary, ale po morfinie nie zabrzmiało to zbyt dramatycznie.

– Zginął razem z Clive'em.

– Straszne – powiedziała Mary, zastanawiając się, czy przypadkiem Hilda też nie żyje.

Uświadomiła sobie jednak, że to niemożliwe, bo przecież jest tu razem z nią. Trudno było nadążyć za tym, kto żyje, a kto nie.

Tymczasem Hilda przeglądała się w lusterku. Czajnik zaczął wreszcie pogwizdywać, zrazu cicho, a potem przenikliwie.

– Aha. – Przypomniała sobie o nim Mary.

Tymczasem za oknem miasto sposobilo się na wieczór. Mary wyjrzała i powróciło do niej, że jest wojna. W brązowym szklwionym imbryku zaparzyła herbatę z liści, które już wcześniej miały kontakt z wrzątkiem. Prawda, wyszłam po herbatę, pomyślała Mary.

W plecach Hildy zaszła jakaś zmiana. Jej kark znów zeszywniał. Pojawila się w niej jakaś kruchość. Mary postrzegala ją teraz inaczej. Trudno jej było znaleźć na to wytłumaczenie. Morfina działa na różnych poziomach, które można dostrzec z dołu, lecz nie z góry.

Nie odrywając wzroku od lusterka, Hilda powiedziała:

– Pewnie cię znienawidzę, kiedy morfina przestanie działać. – Najwyraźniej ta myśl zaskoczyła również ją, bo potem rzuciła jeszcze: – Och!

Mary nalala herbatę do filiżanek, choć żadnej z nich to już nie interesowało, i zajęła się bandażami Hildy.

– Nie doszłoby do tego, gdybyś to ty prowadziła – odezwała się Hilda.

– Jeżdżenie karetką to było zbyt wiele. Musiałam odpuścić.

– A ja zostałam tam, bo liczyłam, że wrócisz. Teraz już wszystko mi odebrałaś. Facetów, którzy mi się podobali, i jeszcze wyglądam.

Mary spięła bandaż spinką, choć psuła nieco fryzurę Hildy.

– Próbuję odpokutować za Alistaira. Wiesz, że przestałam do niego pisać.

– To bez znaczenia. Teraz już i tak mnie nie zechce. Żaden mnie

nie zechce.

– Nie mów tak.

– Przecież sama to widzisz.

– Proszę cię – powiedziała Mary, właściwie nie wiedząc, o co ją prosi.

Hilda zamilkła. W tle trzeszczało radio.

Mary obandażowała głowę Hildy i ponownie spięła bandaż.

– Przecież to się zagoi.

– Jeśli rany w ogóle się goją.

Ich wzrok spotkał się w lustrze i Mary dostrzegła w oczach przyjaciółki smutek, którego nie była w stanie znieść. Świat Hildy się zawalił, kawałek po kawałku. Działanie morfiny słabło; złudzenia też wkrótce prysną.

Za oknem zapadał zmierzch.

– Pójdę już – oznajmiła Mary. – Wiesz, naloty...

Hilda wysypała zawartość torebki na stół. Na blacie zaterkotały: pomadka, klucze, kartki na żywność, spinki do kapelusza i kilkanaście ampulek morfiny.

– Co robisz?

– Jeśli w ogóle ci na mnie zależy, zabierz je.

– Dlaczego?

– Bo człowiek musi żyć sam ze sobą.

Mary próbowała chwycić ją za rękę, ale Hilda jej nie pozwoliła.

– Proszę cię...

– Idź już. Zanim morfina przestanie działać i powiem ci, co o tobie myślę.

Mary spuściła oczy.

– Chyba już powiedziałaś.

– Proszę cię, idź. Dłużej już z tobą nie wytrzymam.

Mary spojrzała na ampulki. Wiedziała, że powinna je zostawić, ale wiedziała też, że to niemożliwe. Wzięła sześć, obróciła się i bez słowa wyszła z mieszkania Hildy. Na koniec dojrzała jeszcze jej szczupłą szyję i falę czarnych ufryzowanych włosów.

Część trzecia

ODRODZENIE

Lipiec 1941

Alistair kazał Briggsowi owinąć obraz kocami i wynieść go na główny dziedziniec fortu, po czym ruszył po schodach za nim. Mimo że minął już miesiąc, pozbawiony ręki wciąż z trudem utrzymywał równowagę. Człowiek nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo pomocne są w tym ręce – tu trochę je odchylić, tam się podeprzeć. Nawet nie podejrzewa, że życie jest jak cyrkowa sztuczka wymagająca idealnego balansu ciałem i gracji.

– W porządku, sir?

– Tak, dzięki, Briggs.

– Chyba jednak nie do końca.

– Rzeczywiście. Biegnij do kwatermistrza, niech wyda mi nową rękę. Cel, oddawanie honorów.

– Bardzo boli?

– Pomyśl, ile bólu będzie mi oszczędzone. Już nigdy nie przywalę młotkiem w kciuk. Żal mi was.

– Miło słyszeć, sir. Czy mogę jeszcze coś dla pana zrobić?

– Lewa kieszeń munduru. Tabletki. Daj mi dwie, jeśli łaska, i trochę wody.

Briggs wyjął tabletki i podał Alistairowi manierkę. Ból był rzeczywiście okropny, jeszcze gorszy niż przed amputacją. Fenacetin pomagał tylko trochę, tymczasem ewakuacja ślimaczyła się niemiłosiernie. Alistair był dopiero osiemdziesiąty na liście, a z wyspy odlatywał codziennie tylko jeden samolot pocztowy, i to jeśli nie przeszkodziły mu w tym działania nieprzyjaciela. Zdarzało się, że oczekujący na ewakuację przesuwali się w kolejce, by znowu w niej spaść, bo jakiś ważniak z dowództwa upchnął w niej swojego pupila. Samolot zabierał na pokład jedynie dwóch rannych, a czasem jednego, w zależności od tego, czy obsada garnizonu

znalazła dość tematów, o których warto pisać bliskim.

– Coś jeszcze? – spytał Briggs.

Ten chłopak to była sama skóra i kości, aż żal było na niego patrzeć, chociaż Alistair podejrzewał, że sam nie wygląda lepiej. Skinął głową na obraz.

– Trzeba go zawieźć do kościoła koło wąwozu Bingemma. Przekonaj wszelkimi sposobami kwatermistrza, żeby przydzielił nam ciężarówkę i paliwo. Pamiętaj, że odnawiałem ten obraz przez trzy miesiące. To moje największe dzieło i oddam wszystko, żeby je tam zawieźć. Jak przekonasz kwatermistrza, żeby się nie czepiał?

Briggs przez chwilę się zastanowił.

– Powiem mu, że chodzi o mapy potrzebne do przygotowania planów przeciwstawienia się inwazji. Jeśli tego nie łyknie, dam mu do zrozumienia, że wiem, do czego służy mu wazelina.

– Dzięki, Briggs. Jesteś przebiegły i skuteczny. Przynieś mi formularz do podpisu. I nikomu ani słowa. Żeby ci się zrewanżować, wydam rozkaz, by omijały cię bomby i odłamki szrapneli o, co najmniej, siedemdziesiąt metrów. Od teraz aż do dnia zwycięstwa.

– Dziękuję, sir. Bardzo by mi się to przydało.

Kiedy Briggs podjechał ciężarówką i załadował obraz na pakę, Alistair otworzył drzwi kabiny i wdrapał się na siedzenie pasażera. Ranek był pogodny. Przejechali przez most zwodzony, brama fortu się zatrzasnęła i ruszyli dalej przed siebie.

Alistair zamknął oczy, zbyt zmęczony, by rozmawiać. Na szczęście nie odczuwał już mdłości wywoływanych przez infekcję. Zastąpił je rodzaj żałoby. Widocznie, na swój sposób, kochał tę rękę. Nie wiedział, co z nią zrobili – spalili czy zakopali w ziemi. Nie padły żadne słowa pożegnania. Nie ma rytuału na wypadek, gdy ktoś się rozpada; społeczeństwo woli poczekać, aż umrze w całości.

Lekarz przekazał Alistairowi szczegółowe informacje: „Rozczłonkowanie łokcia w połączeniu z amputacją w stawie, usunięcie nadmiaru tkanki mięśniowej i skóry oraz założenie szwów. Całość zabiegu wykonana w pełnym znieczuleniu poprzez

podanie dożylnie barbituranu. W porządku? Jakież pytania?”.

„Żadnych”, odpowiedział Alistair, gdyż to najbardziej oczywiste – „Jak ja to zniosę?” – wydawało się nie na miejscu. Operacja byłaby chyba mniej przerażająca, gdyby lekarz przyznał, choćby mimochodem, że to najokropniejsza rzecz, jaka może się komuś przydarzyć. Po prostu, pewne przedmioty, takie jak skalpel czy pocisk przeciwlotniczy kalibru 94 milimetry, są z natury bardziej dotkliwe dla adresata niż dla nadawcy.

Ciężarówka kolebała się i podskakiwała na zniszczonej drodze. Briggs pogwizdywał. Jazda w przerwach między kolejnymi dziurami przynosiła Alistairowi ukojenie.

– Niesamowite, prawda, sir?

Alistair odemknął oczy. Briggs wskazał ręką krajobraz za murami La Valletty.

– Podoba ci się? Mnie też.

– I ludzie tacy życzliwi. Jak w Liverpoolu, tylko tu są plaże.

– Wrócisz tu na wakacje?

– Po wojnie otworzymy tu z żoną pub.

– Brawo. Niemiecki czy nasz, tradycyjny?

– Myślę, że miejscowi woleliby angielski, przynajmniej przez najbliższe tysiąc lat.

– Widzę, że wszystko sobie zaplanowałeś.

– A pan nie, sir?

– Nie wiem, co będę robił po wojnie. Ale tak to jest z oficerami. Każda z tych gwiazdek na pagonach symbolizuje jakiś brak.

– Dobrze, że pan to powiedział, bo mnie nie wypada.

Przejechali jeszcze kawałek, gdy nagle kula kalibru 20 milimetry wystrzelona z meserszmitta 109 roztrzaskała przednią szybę, przeszła pierś Briggsa na wysokości mostka i przebiła oparcie fotela. Po niej nadleciały cztery kolejne – dwie wybiły dziury w kabinie, a dwie następne w brezencie. Przy zderzeniu z podłogą płonący fosfor wszedł w kontakt z drewnem. Drzazgi przebiły kanistry z paliwem, które stanęły w ogniu. Alistair instynktownie wyskoczył z kabiny i wylądował w przydrożnym rowie. Patrzył, jak

ciężarówka stacza się na pobocze i płonie. Briggs nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Z ciężarówki buchnęły pomarańczowe języki ognia i kłęby czarnej sadzy.

Alistair spojrział w niebo. Po myśliwcu nie było już śladu. Wygramolił się z rowu i zbliżył do ciężarówki, osłaniając twarz przed żarem. Plandeka spłonęła. Podtrzymujące ją metalowe obręcze sterczały nad zwęgloną podłogą. Alistair podszedł do kabiny, spojrział na Briggsa i od razu tego pożałował. Przeszukał jeszcze rowy na odcinku około trzydziestu metrów po obydwu stronach drogi w nadziei, że jakimś cudem obraz wypadł z ciężarówki.

Droga wiła się w obu kierunkach między niskimi pagórkami. Żółtawy żwir zlewał się z porastającą pobocza wyschniętą trawą i kamiennymi ścianami domów. Alistair nie mógł rozpalić fajki.

Po godzinie nadjechał jakiś miejscowy na wozie zaprzężonym w osła. Razem pomodlili się za duszę Briggsa, po czym, przysiadłszy z tyłu wozu, Alistair wrócił do fortu. Złożył raport w sprawie incydentu na drodze i dowlókł się do kamiennych schodów. Tam osunął się na kolana. W końcu jakoś się przemógł i wspiał na górę do swojej kwatery. Marzył tylko o tym, żeby choć na parę minut przymknąć oczy i zebrać się w sobie, lecz niemal natychmiast rozległ się dźwięk fortowych dzwonek.

Kolejny nalot. Bombowce znów ciągnęły za sobą cienie po błękitnym morzu. Alistair wziął słoik z dżemem z wykuszu otworu strzelniczego i postawił go w bezpiecznym miejscu na podłodze. Usiadł na pryczy i wyjął z kieszeni tabletki. Niemal zawołał do Briggsa, żeby ten zaparzył mu kawę.

Po zakończonym nalocie zjawił się Simonson z listem. Cisnął go na biurko i zdjął czapkę, którą rzucił w Alistaira.

– Nigdy nie pojmę, dlaczego ktoś do ciebie pisze. Ja dostałem dwa listy. Mówię to na wypadek, gdybyś się zastanawiał, który z nas jest bardziej lubiany.

Alistair sięgnął po list. Simonson opadł na krzesło.

– Wiesz, co martwi mnie w Niemczech? Przemoc. Jakby myśleli, że

dzięki niej rozwiążą każdy problem. Czasami mam wątpliwości, czy damy sobie z tym radę.

– Przestań stroić sobie żarty. Dziś rano zabili Briggsa.

Simonson zamilkł.

– To moja wina. Kazałem mu się zawieźć do Bingemmy i oberwaliśmy. Wieźliśmy ten obraz, żeby oddać go tamtejszemu księdzu.

– To był jedyny ładunek?

– Tak.

– I jedyny cel podróży?

– Niestety. Oszukałem w dokumentacji. Napisałem, że wieziemy mapy.

Simonson zamknął oczy.

– Straciliśmy ciężarówkę. Spłonęła. Wkrótce dostaniesz mój raport.

– A co z tobą? Wszystko w porządku?

Alistair wstał, z trudem utrzymując równowagę.

– Briggs miał żonę.

– Dzieci też?

– Nie.

– Przynajmniej tyle.

– Będę musiał do niej napisać.

– Zrób to i nie rozpamiętuj. Oczywiście, okaż jej serce. Napisz, że zginął z rąk wroga podczas skoordynowanych działań naszych wojsk.

– Mówię, jak było, Douglas. Jesteś moim przełożonym.

– I co mam zrobić? Postawić cię przed sądem polowym?

– Pewnie będziesz musiał. Kiedy podpułkownik przeczyta mój raport, nie będziesz miał wyjścia.

Simonson wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem.

– Jesteś doskonałym oficerem i, jako inwalida, powinieneś już dawno wrócić do Londynu. Podjąłeś błędną decyzję, bo byłeś wyczerpany, to wszystko.

– To nie to samo co kradzież kostki margaryny. Ja go zabiłem.

– Zabili go Niemcy, a ty musisz z tym żyć. Na twoim miejscu pomyślałbym o tych, których uratowałeś.

– Ale kto ich liczy?

– Bóg wszechmogący, durniu. A kiedy się myli, zwraca się do mnie jako do twojego przełożonego.

Alistair z roztargnieniem obracał list w rękę i dopiero teraz zorientował się, że to od Hildy. Z nawyku jego druga ręka próbowała sięgnąć do skrzydełka koperty i wepchnąć pod nią kciuk, nim dotarło do niej – co, podobnie jak Alistair, przyjęła z całkowitym zaskoczeniem – że jej nie ma. Alistair zachwiał się na krześle, równoważąc lewym ramieniem ruch nieistniejącego prawego i opadł na pryczę. List sfrunął na podłogę. Simonson podniósł go, gdy Alistair starał się niezdarnie usiąść.

– Przeczytam ci.

– Nie – zaprotestował Alistair. – Nie jestem w nastroju.

Simonson zignorował tę uwagę i otworzył kopertę.

– Opanuj się!

– Nie dramatyzuj. Przyda nam się trochę rozrywki.

Drogi Alistairze,
przykro mi, że piszę do Ciebie w tak przykrych okolicznościach...

Aha, Mary zginęła, pomyślał Alistair i zamarł.

...Ale uznałam za swój obowiązek napisać ci, że Mary zachowuje się skandalicznie...

Alistair odetchnął z ulgą.

– Mary to ta twoja dziewczyna?

– Nie wiem, czy jeszcze.

– Jak wszyscy. A kim jest Hilda?

– Jej przyjaciółką. Daj mi go.

Simonson trzymał list z dala od Alistaira.

– Wygląda na to, że Hilda próbuje ją wesprzeć.

Od razu przejdę do rzeczy, bo jest to coś, o czym masz prawo wiedzieć, a mam świadomość, że pisaliście do siebie.

– Przecież przestała do ciebie pisać.

– Wiele miesięcy temu.

– Tak przynajmniej utrzymujesz.

– Czytaj dalej albo mi go oddaj.

Simonson znów cofnął rękę.

Z przykrością muszę Ci donieść, że Mary zrezygnowała z prowadzenia karetki i uzależniła się od morfiny. Jako oddana przyjaciółka mogłabym powiedzieć, że to jej sprawa, lecz teraz, gdy nasza przyjaźń wygasła, czuję większą lojalność wobec Ciebie niż wobec niej. Wiedz, że podziwiałam Cię, odkąd pierwszy raz uścisnęliśmy sobie ręce.

– Ty łajdaku!

– To nie to, co myślisz.

– Ty tak twierdzisz. Lepiej niech Hilda nam powie, jak jest naprawdę.

Najgorsze jest to, że Mary zadaje się z czarnuchami. Po całych dniach przesiaduje w Lyceum i udaje, że to całkiem normalne. Podejrzewam, że morfina pozostaje jej jedyną doradczynią w tej kwestii. Naturalnie jej rodzice bardzo to przeżywają. Cierpi na tym ich nazwisko, bo przecież nie muszę Ci mówić, co wygadują ludzie.

Simonson gwizdnął.

– To już naprawdę szczyt.

– Jestem pewien, że to nic takiego.

– Akurat. Stary, masz minę, jakby diabeł chwycił cię za jaja.

Chcę, żebyś wiedział, że nie liczę na nic z Twojej strony. U mnie wiele się zmieniło i na pewno nie byłabym dla Ciebie atrakcyjna. Pragnę zamknąć ten rozdział, okazując Ci całkowitą szczerłość, którą jestem Ci winna za sympatię, z jaką mnie potraktowałeś.

– Jak kończy?

– „Z poważaniem”.

– No tak.

– Pewnie w zamian wstawisz „Z goryczą”, ale dla mnie to, co pisze, niestety brzmi sensownie. Jeśli to jest prawda choćby w połowie, lepiej będzie ci bez Mary. Hilda dobrze zrobiła, że cię ostrzegła.

– Chciałbym poznać też wersję Mary.

– A ja nie za bardzo. Czarnuchy to czarnuchy, z nimi nikt się nie zadaje. I ta morfina! Ohyda. Używają jej tylko lekarze i kurwy.

Alistair poczerwieniał.

– Mary uczyła dzieci, które później zginęły. Była prawie zaręczona z moim przyjacielem. On też zginął. Trochę więcej wyrozumiałości.

– Dla zmęczenia, bólu i błędów zgoda, ale dla morfiny i czarnuchów? Dziewczyna kompletnie się stoczyła.

– One reagują inaczej. My umieramy, kiedy przestają bić nasze serca, a one, gdy ich serca nie odpuszczają.

– Daj spokój. Już jest po niej.

– Nie wierzę. Wszystko da się przywrócić do życia. Jeśli w to nie wierzysz, jak możesz z tym żyć?

– Nie mamy wyboru, a to czyni decyzję łatwiejszą.

Alistair westchnął.

– Lubię ją. Lekarz poradził mi kiedyś, żebym znalazł sobie miłą dziewczynę i zapomniał o wojnie. Kiedy myślę o Mary, mógłbym to zrobić.

- Czyli nie odpuścisz?
- Nie mogę. Zalecenie lekarza.
- Wygląda na to, że list biednej Hildy wywołał odwrotny skutek od zamierzonego.
- Hilda to nie jest zła dziewczyna. Jest zabawna i dosyć ładna...
W innym życiu...
- Ale ten list jest raczej rozpaczliwy.
- To ta wojna jest rozpaczliwa.
- Simonson objął Alistaira ramieniem i razem zapatrzyli się w morze.
- I co ja mam z tobą zrobić? – mruknął Simonson.
- Nic. Przyjmę każdą karę, jaką podpułkownik uzna za stosowną. Tymczasem zajmę się pogrzebem Briggsa.
- Nie przejmie się, jeśli tego nie zrobisz. I właśnie to jest piękne w nieboszczykach: nie proszą o nic, czego sami nie robią.
- Źle bym się czuł, gdybym nie zorganizował mu pochówku.
- Nie wolałbyś polecieć do Gibraltaru, a stamtąd popłynąć do Anglii?
- Muszę czekać na swoją kolej jeszcze wiele tygodni.
- Istnieje coś takiego jak kolejność ewakuacji i coś takiego jak porządek społeczny. Chodziłem do szkoły z połową dowódców Floty Śródziemnomorskiej. Mogę cię wepchnąć do następnego samolotu.
- Nie chcę się wpychać.
- W takim razie zostaniesz tu na zawsze, bo inni wpychają się przed ciebie. No już, odleć stąd, zanim dowódca przeczyta twój raport. Wyświadczysz przysługę i jemu, i mnie, bo ani on, ani ja nie chcemy cię karać.
- I potem będzie się to za mną wlokło.
- Niekoniecznie. Ta wojna nauczyła mnie jednego: jak się robi dziura, procedury utykają w miejscu.
- Wyobrażasz sobie, żebyśmy mogli mówić takie rzeczy jeszcze rok temu?
- Wtedy nie wynaleziono jeszcze sposobów na przetrwanie. Trudno się dziwić, że nie korzystaliśmy z czegoś, czego nie było.

Alistair uśmiechnął się.

- Ale się ciągnie ta wojna...
- Otóż to. Już prawie nie pamiętamy, jak wyglądało nasze życie wcześniej, że było lekkie i beztrioskie.
- Myślisz, że to jeszcze wróci?
- Kto wie? Pod warunkiem, że wystarczy szampana i eteru.
- Może jeśli już do końca życia będziemy się upijać, zapomnimy.
- Trzeba by to robić systematycznie: pić w miastach, miasteczkach i wsiach, w górach i na polach... Jak to dalej szło?
- Na plażach i na lądowiskach.
- No właśnie. Musielibyśmy się zalewać w dosyć niedostępnych miejscach.
- Ale z rosnącą pewnością siebie i coraz mocniejsi w powietrzu[19].

Oparli się o siebie po przyjacielsku i wciąż wpatrywali się w morze. Może rzeczywiście pogodnie wrześnie znów powrócą, pomyślał Alistair. Wszyscy będą radośnie witali rześkie poranki, które nie będą im się kojarzyć z tygodniem, kiedy wybuchła wojna. Może wyrosnie jeszcze takie pokolenie. Jeżyny będą dojrzewały, beztrioskie dłonie będą je zrywały i do słoików będzie się lał dżem, żeby się ostudzić. I ten dżem będzie smakował tylko jak dżem. Nikt nie będzie przechowywał go jak relikwii. Ludzie będą smarowali tosty, nawet o nim nie myśląc, może ledwie zerkając na naklejkę na słoiku.

Alistair pozwolił dojrzeć tej myśli: kiedy żar wojny już się wypali, ostatni piloci zrzucą ostatnie bomby do morza i posadzą swoje maszyny na upstrzonych lejami lądowiskach, które powoli zarosną jeżynami. A wtedy ci piloci zdejmą kurtki i krawaty i zaczną je zbierać.

Uświadomił sobie, że wojna już się dla niego skończyła, ale wciąż miał przed oczami tamtego Niemca dławiącego się żółtawym piaskiem. Wciąż czuł zapach płonącego Briggsa. To było nie do zniesienia. Zrobił wszystko, czego od niego wymagano: walczył, kiedy tylko mógł, wycofywał się, gdy tak nakazywał rozsądek,

i trwał na stanowisku, kiedy nie pozostało mu już nic innego. Nie szukał chwały, nie mierzył włożonego wysiłku, nie brał więcej, niż mu się należało. Robił wszystko, by wesprzeć swoich żołnierzy, a teraz chciał tylko wrócić do domu i przekonać się, czy zdoła pomóc Mary. W zderzeniu z wielkim złem wojny czyjeś drobne przewinienia wydawały się jeśli nie czymś całkowicie wybaczalnym, to przynajmniej nie wyjątkowym.

– Wiesz, że zaciągnąłem się na ochotnika?

– Wielka mi rzecz. I co z tego?

– Będziesz mną gardził, jeśli wypiszę się w taki sam sposób?

– Wkurzę się, jeśli tego nie zrobisz.

Alistair zawahał się.

– W takim razie skorzystam z twojej wielkodusznej propozycji.

– Bardzo mądrze. Jedzenie na tej wyspie jest naprawdę przereklamowane.

Alistair chciał uścisnąć dłoń przyjaciela, ale jego prawa ręka znów go zaskoczyła i znów o mało się nie przewrócił. Simonson go przytrzymał.

– Przyjdę po ciebie o północy – powiedział. – Tylko postaraj się nie wylecieć przez okno.

*

Wyszli z fortu na piechotę pod wściekle rozgwieżdżonym niebem. Akurat rozpoczął się nalot. Szli na południowy zachód i rozbłyśki wybuchów rzucały ich rozedrgane cienie na drogę. Od lądowiska w Luqa dzieliło ich osiem kilometrów. Nie rozmawiali. Szli razem, ale z dala od siebie. Alistair przypuszczał, że tylko tak może się kończyć wojna – żołnierze, którzy ruszają na nią w tłumie, wracają do domu samotnie.

Kiedy dotarli na miejsce, wellington już grzał silniki na pasie startowym. Podbiegł do nich sanitariusz. Alistair czuł mdłości.

– Cóż, do widzenia – powiedział Simonson.

Uścisnęli sobie dłonie. Lewe.

– Do widzenia. Nawet nie wiem, jak...

– Nie dziękuj. Nawet nie próbuj.

– Będzie mi cię brakowało, Douglas.

Simonson otarł oczy.

– Oby Niemcy wzięli to sobie do serca.

Uściskali się. Sanitariusz pomógł Alistairowi wejść po stopniach na pokład samolotu. Usadowili go w przejściu na stercie worków z pocztą na wprost działonowego. Dali mu kozuch i przykazali, żeby nie wybierał się nigdzie tam, dokąd nie wybiera się samolot. Silniki zawyły, powłoka maszyny zaczęła trzeszczeć na nierównym pasie startowym i po chwili Malta zlała się w oczach Alistaira z nocą.

Ułożył się na workach. Wojna skończyła się, jak tylko zatrzasnęły się za nim drzwi samolotu. Rozgrzane, pachnące tymiankiem maltańskie powietrze zostało na zewnątrz. W środku, w chłodzie i w zapachu juty i oleju, Londyn był już bardzo blisko. Wylądują w Gibraltarze i przewiozą go na statek zmierzający do Anglii. Będą tam dzieci, kobiety, jedzenie i czyste ubranie. Alistair obudził się, gdy do Gibraltaru zostało im już tylko osiemdziesiąt kilometrów i pilot posadził maszynę na powierzchni morza.

Obudziły go krzyki i mokra mgła na twarzy. Nagłe wytracenie prędkości sprawiło, że wraz workami z pocztą wylądował na fotelu nawigatora. Przez szpary w brezentowym poszyciu kadłuba do wnętrza wdzierała się woda. Przez górny wąż wydostali się na zewnątrz maszyny.

Przylgnęli w piątkę do dwóch małych gumowych tratw ratunkowych. Unosząc się na powierzchni ciepłej szklistej wody, patrzyli na płonący silnik, który był przyczyną wypadku. Morze ugasiło syczące płomienie. W poświacie księżycy dostrzegli kłęb pary, po czym samolot osunął się dziobem w głębiny. Później nastąpiła cisza.

Świt był długi i chłodny. Dryfowali po płaskiej srebrzystej tafli wody pod płaskim srebrzystym niebem, spojonymi ze sobą na gładź. Przez cztery godziny nic się nie działo i nie mieli nic do roboty. Gdy wzeszło wielkie krwiste słońce, z zachodu powiała

bryza. Wiatr przyciemnił czerwoną wstęgę rzucaną przez słońce na powierzchnię wody.

Na małych żółtych tratwach brakowało miejsca dla wszystkich, więc się zmieniali co piętnaście minut, wdrapując się po dwóch na jedną. Alistairowi dali pół godziny, bo bez ręki ciężiej mu było utrzymać się na wodzie.

Zsunął buty. Przyszło mu do głowy, że być może to najdalszy punkt od lądu, w którym oficer armii brytyjskiej stracił parę przydziałowych półbutów. Mogli dodać to do listy zarzutów.

O dziewiątej słońce zaczęło dawać więcej ciepła, ale za to zerwał się wiatr. Tym na tratwach robiło się niedobrze, a tym w wodzie trudno było utrzymać się na powierzchni. Dla Alistaira oznaczało to prawdziwą walkę. Od czasu do czasu, gdy nie zdołał utrzymać głowy nad falami, krztusił się słoną wodą. Inni starali się mu pomóc, lecz oni też tracili siły.

Gdy unosił się na jednej z tratw, nagły podmuch strącił go do wody. Tym razem opadł głębiej i zdołał wypłynąć na powierzchnię tylko dlatego, że nawigator pośpieszył mu z pomocą. Wynurzywszy się, Alistair ciężko dyszał i ledwo udało mu się chwycić tratwy.

Próbował nie myśleć o tym, jakie mają szanse na przeżycie. W miarę jak słabł, zaczęły bawić go różne drobiazgi. Rozmyślał o chronologii zdarzeń, które go tu przywiodły – w to miejsce, gdzie dryfował, podskakując na bezkresnym morzu, z czterema obcymi ludźmi. Na koniec spadli do morza z powodu zwykłego pożaru silnika. Niemcy nie przyłożyli do tego ręki. Może było to ich małe zwycięstwo, że nie poległ z winy wroga. Alistair roześmiał się i nie mógł pojąć, dlaczego inni patrzą na niego ze zdziwieniem.

W południe wiatr przycichł i roziskrzyły się czubki fal. Cała piątka ściągnęła z siebie ubrania. Alistair na przemian zapadał w drzemkę i się z niej wybudzał, ale za każdym razem, kiedy przytomniał, jego ręka uczepiona była do biegnącej wokół tratwy liny. Obudziwszy się, zastanawiał się, gdzie jest. Nie zauważył, kiedy zaszło słońce. Gdy ocknął się kolejny raz, gwałtownie się trzęsąc, było już ciemno. Na niebie błysnął piorun. Usłyszał przyciszone rozmowy swoich

towarzyszy.

– Kiedy dopłyniemy do mola w Brighton, zarzucimy kotwicę i skoczmy na rybę z frytkami.

– Dla mnie jeszcze kufel piwa.

– Tom? To ty? – spytał Alistair.

Nikt nie odpowiedział. W świetle błyskawic mają taki zimny wzrok, pomyślał Alistair.

W przerwach pomiędzy uderzeniami piorunów słyszał nawołujące go głosy. Nadstawił uszy. Wykrzykiwali jego imię, ale nie wiedział, czego od niego chcą. Odpowiedział im, ale go nie usłyszeli. Nagle zaczął rozpoznawać te głosy. Przyszło mu do głowy, że może to jego żołnierze, którzy czekają na rozkazy.

– Czekajcie! – krzyknął. – Zaczekajcie!

Zaczęli wołać jeszcze głośniej. Dosłyszał w ich głosach przerażenie. Wrzasnął, żeby tak jak on chwycili się tratwy i się na nią wczołgali. Nie widział ich, lecz słyszał głosy. Zaczął ich pocieszać i zaklinać, żeby wdrapali się na tratwę.

Nie świecił księżyc ani gwiazdy. Alistair krzyknął, że jest mu przykro. Kiedy tak krzyczał, nagle zauważył, że tuż obok trzyma się tratwy Duggan. Ucieszył się, że pomoże jemu i jego żołnierzom. Alistair zacisnął powieki i odpłynął w niebyt.

We śnie pośród szumu fal posłyszał ryk, który coraz bardziej się wzmacniał, aż w końcu wdarł się w jego sen. Ocknął się. Duggan szarpał go za ramię.

– No już, H... Heath. Z ż... życiem!

Alistair rozejrzał się. Słona woda zalewała mu oczy. Powierzchnię morza przeszukiwały szperacze. Świeciły w miejscu, z którego dobiegał ów ryk, przemieniając czerń w srebro. Wokół lśniły rozbryzgi morskiej piany za każdym razem, gdy małe tratwy unosiła fala, a gdy opadała, gasły. Ryk stał się nieznośny.

Żołnierze znów zaczęli do niego wołać. Alistair wszędzie widział ich szare opadające sylwetki. Wołał do nich, a oni przemieniali się w delfiny i ponownie w ludzi w myszkujących snopach światła szperaczy. Wszystko było w ruchu. Morze przelewało się, wokół

słyszeć było głosy. Alistair poczuł nieopisany smutek, że jego żołnierze giną w tak odludnym miejscu, tak daleko od życzliwych spojrzeń. Wymruczał słowa modlitwy, które tak często wypowiadał na pogrzebach: „Daj radość według miary dni, w których nas przygniotłeś, i lat, w których zazналиśmy niedoli...”^[20]. Woda wdarła mu się do ust. Zakrztusił się. Puścił tratwę i opadł samotny i nagi do morza.

Pod wodą wciąż przesuwały się światła, zimne i święte, przecinające taflę wody. Simonson topił się razem z nim. Razem patrzyli na te światła. Była tam też Mary, i Tom, i tamten niemiecki pilot, i Briggs, i wszyscy, których Alistair stracił. Wszyscy powrócili do życia. Światła pogasły, ryk ucichł, a oni opadali w ciepłe odwieczne morze.

Duggan chwycił go za rękę.

– No, H... Heath. Zabieramy cię do d... domu.

¹⁹ Parafraza słynnego przemówienia Winstona Churchilla.

²⁰ Fragment Psalmu 90.

Wrzesień 1941

Minęło półtora miesiąca, odkąd Mary wreszcie napisała do Alistaira, i miesiąc od dnia, w którym dostała wiadomość od jego przełożonego, majora Simonsona. Alistair zaginął podczas operacji na morzu, prawdopodobnie zginął. Major przesłał jej wyrazy współczucia i podkreślił, że kapitan Heath był dzielnym oficerem, który bardzo ciepło się o niej wypowiadał.

Morfina pomogła. Wypchnęła smutek za okno, na ulice Londynu, gdzie podobnych tragedii było wiele. Mogła go tam chwilowo zostawić, w mieście niedziałających zegarów, do momentu, aż ich wskazówki znów ruszą.

Mary upodobała sobie spacerować. Z nogą było coraz lepiej, choć jeśli zapuściła się zbyt daleko, znów zaczynała kuleć. Lubiała przysiąść na schodach National Gallery i patrzeć na Trafalgar Square. Minęło kilka miesięcy od ostatniego dużego nalotu. Plac zapełnił się parami zakochanych. Te wybuchy śmiechu! Jakby szerniały świat znów odzyskał swój blask. Cieszył ich każdy oddech, radowała każda rozrywka. Mary już zapomniała, jaką frajdę może sprawiać obserwowanie taplających się w fontannach gołębi.

Wierzyła, że Alistair przeżył. Władze mogły zakładać, że zginął, ale przecież od tego są. Założenia zawsze są trywialne, a zdarza się, że życie bywa wzniosłe. Mary przypatrywała się zakochanym, żeby nie zapomnieć, jak to jest. Lgnęli do siebie na zalanym słońcem placu, wciąż na nowo okazując sobie czułość. A to splecione palce, a to ramię obejmujące talię – jakby życie absolutnie nie było po ich stronie, jakby mogło przesunąć końcówkę dźwigni w każdą lukę, którą mu udostępnią. Obserwując ich, Mary doszła do wniosku, że jej szanse są niewielkie. Kto jak kto, ale zakochani najmniej wierzyli w swoje szczęście.

Zachwycała się lekkością, z jaką poruszały się młode kobiety. Patrzyła, jak się śmieją i jak się rumieniają. Były jak połączenie nadziei i helu, gratką dla oka. Jeszcze dwa lata temu ona też taka była.

Kiedy miała już dość, poszła na Embankment i usiadła na granitowym murku. Musnęła palcami żelazne delfiny wijące się u podstawy latarni. Brązowawa woda kipiała wszystkim, co utraczone, a Mary skończyła się morfina. Coraz ciężiej było ją zdobyć. Kiedy przestała działać, Mary uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, skąd ją weźmie.

Podczas odpływu często widywała ciała na piaszczystych łachach koło pontonów nieukończonego mostu Waterloo. Nie potrafiła powiedzieć, czy długo zalegały w wodzie i wypłynęły dopiero teraz, czy też są to nowi nieszczęśnicy. Nie leżały porządnie na piasku, jak w filmach. Nie wyglądały jak wyrzucone przez rzekę, lecz posiane. Zwłoki były brudne, na wpół zagrzebane w mule, czasami nie do odróżnienia od szlamu i śmieci. Póki nie widziało się aż tylu zwłok, trudno było pojąć, jak wielki podświadomy wysiłek należy bezustannie wykonywać, by zachować w czystości ręce, twarz i ubranie. Powierzchnie świata były tak utyłane, że żywi dotykali ich tylko koniuszkami palców i podeszwami butów. Jakże obrzydliwe było umieranie, ta rezygnacja z wysiłku.

Przechodząc nad tymi piaszczystymi łachami, zakochani nigdy nie spoglądali w dół, na zwłoki. Mary widziała, jak, szczerze do siebie przytuleni, patrzą w dal. Kochankowie obowiązkowo zawsze spoglądali na wschód, w stronę morza. Mary przemogła się, żeby też tam spojrzeć.

Przy schodach na Embankment dokerzy akurat rozładowywali barkę – dla Parlamentu, jak wyjaśnili. Jedna ze skrzynek się rozbiła i wypadły z niej pomarańcze, pierwsze, jakie Mary widziała od miesięcy. Przeturlały się po szarym granicie i potoczyły po oblepionych mułem stopniach. Z pluskiem wpadły do brązowej wody, zniknęły i znów wypłynęły – tak jaskrawe, że Mary aż sapnęła. Do oczu nabiegły jej łzy, bo zrozumiała, jak bury stał się

świat, jak bardzo szarobrązowy, jak bliski całkowitego rozmazania. Zakryła usta ręką i patrzyła na owoce, które fala przyływu uniosła w górę rzeki. Były takie... takie... pomarańczowe.

Poczuła się zagubiona. Fale wznosiły się i opadały. Pomarańcze zniknęły jej z oczu. Czy Alistair zginął, a życie toczy się dalej? Nie umiała tego pojąć. Nie mogła sobie przypomnieć, czy naprawdę dostała list od majora Simonsona, czy to był tylko sen. Tyle rzeczy jej się śniło. Problem polegał na tym, że morfina skutecznie przekonywała, iż życie wciąż płynie beztrudnie – jakby nie miało konkurencji w sferze przekonywania i, w konsekwencji, wydawało się mniej realne. Tymczasem obok wszyscy ci zakochani, całe ich zastępy, pokonywali dla zabawy rusztowania mostu. Czy to możliwe, że się już do nich nie zalicza? Poczucie niepewności przemieniło się w przerażenie. Mary zakryła oczy dłońmi.

Golden retriever wskoczył przednimi łapami na murek i polizał ją po twarzy. Mary ujrzała jego nos tuż przy swojej twarzy. Pies miał nieodparty apetyt na życie, jakby wziął czterdziestopięciokrotną dawkę morfiny. Przechylił głowę i zamrugał oczami, drżąc z nieokiełznanej radości.

– Cześć, piesku.

Po chwili nadszedł mężczyzna, wysoki, w garniturze RAF-u.

– Bardzo przepraszam – pokajał się.

– A co pan przeszkrobał? – spytała Mary, mimowolnie się uśmiechając.

Wojskowy wybuchnął śmiechem.

– Nie ja, pies. Źle się pani czuje?

– To nic takiego. Proszę się nie przejmować. Za chwilę mi przejdzie.

– Jest pani roztrzęsiona. Mogę jakoś pomóc? Proponuję filiżankę herbaty.

Mary spojrzała na niego. Koniecznie chciał ją pocieszyć, ale kiedy otworzyła usta, żeby odpowiedzieć mu w swoim stylu, nie zdołała wydusić z siebie ani słowa. Jego wygląd sprawił jej ból, a dobroć unieszczęśliwiła. Widziała w nim negatyw, brak tego, którego nie

ma.

– Przepraszam, proszę już iść.

– Jest pani roztrzęsiona – powtórzył, przechylając głowę, jak wcześniej jego pies, jakby wszystkie zakresy roztrzęsienia mogły zostać w prosty sposób opanowane, choćby przez rzucenie patyka.

Jak miło byłoby wziąć go pod rękę i pójść do kawiarni. Gdybym tylko nie była martwa, pomyślała Mary.

– Przepraszam – rzuciła ponownie i czmychnęła.

Znowu zaczęła kuleć. Jej ciało przeszywał ból. Poczucie zagubienia powracało i musiała przystawać. Gdzieś poza jej świadomością zaczął padać deszcz i teraz musiała się jeszcze zmagać ze spowijającą ją ciemnością. Z barów w piwnicach dobiegały dźwięki muzyki. Z przewodów wentylacyjnych i kratki dobywał się mocny swingujący rytm, dym z papierosów i zapach rozgrzanych ciał, jakby miasto powstało z magmy oparów, które chłodny angielski deszcz przemienił chwilowo w ciało stałe.

Mary odczuwała na przemian rozpacz i euforię. Czasami się potykała, innym razem zdawało jej się, że porusza się bez wysiłku, gładko odchylając się raz w lewo, raz w prawo, by nie zawadzić o parasole. Raz, dwa, trzy – walczyk na chodniku, gdy inni tańczyli w piwnicach. Londyn zawsze umiał żyć w dwóch wymiarach jednocześnie, pośpiesznym i odwiecznym, jeden o rzut kamieniem od drugiego.

Zlał ją zimny pot na myśl, że wróci do mansardy sama i bez morfiny. Poczła to, co nad rzeką – nie to, że może ze sobą skończyć, lecz że nie zauważy różnicy, jeśli to zrobi.

Dziwne, że tak ją to wszystko obłączyło – ta noc i te myśli. Przecież wychowano ją w duchu pogardy dla rozpacz. Najwyraźniej jednak ciemności wiedziały o tym i znalazły sposób, żeby ją dopaść. Czekały cierpliwie i subtelnie ważyły natężenie bijącego z serca światła. Zagubienie Mary narastało, jej serce lśniło, lecz myśli pierzchały przed światłem, i ta nieustająca, narastająca muzyka, coraz szybsza, i jeszcze, i jeszcze.

Ocknęła się w oparach woni z nocnych klubów i ze zdziwieniem

stwierdziła, że jej papieros jest wypalony ledwie do połowy. Poczowała graniczący z paniką strach i znów przyśpieszyła kroku. Nie przystanęła, nim nie dotarła do teatru. W sali trwał występ minstreli, więc skorzystała z wejścia od strony zaułka.

Jeśli nie liczyć śmiechów i oklasków dochodzących z audytorium, w piwnicy panowała cisza. Dzieci siedziały na niskim podium, na którym grała orkiestra podczas najcięższych nalotów. Klub przeniósł się na górę. Zachary przysiadł przy pianoli, Molly i Charles się kłócili, a nowo przybyła dziewczynka, Ruth, nabzdyczyła się w kącie.

Na widok Mary Zachary przestał grać.

– Co się stało?

– Nic mi nie jest – odparła Mary, uśmiechając się promiennie. – Chcę tu tylko trochę posiedzieć.

*

Obudziła się po wielu godzinach, opatulona kocami. Była mokra od potu i przerażająco obolała. Molly trzymała ją za rękę, a Zachary przykucnął obok i robił jej okłady.

– Zemdlałaś – poinformowała ją Molly.

Mary przysiadła i rozejrzała się wokół. Kłuło ją w stawach, jakby miała w nich rozżarzone do czerwoności szkło.

– Och! – jęknęła.

Zachary rzucił do Molly:

– Idź się pobawić.

Mary zebrała się w sobie.

– Zachary – odezwała się tonem nauczycielki. – Znajdź kogoś, kto zawiaduje tym wśród muzyków, i przynieś mi dawkę morfiny. – Po czym dodała przebiegle: – Nie mów, że to dla mnie.

Ta jego mina! Jakby kazała mu kogoś zamordować. Szkoda, że oprócz geometrii, nie nauczyła go wycucia proporcji.

– No idź. Na pewno ją tu mają.

– Nie mogę.

– To całkiem proste. Włóż buty i idź!

Unikał jej wzroku.

– Zamiast tego zapal papierosa.

Wyjął paczkę z jej torebki i zapalił dwa – dla niej i dla siebie. Nie zaoponowała i w taki oto sposób, bez ceregieli, wymknął się spod jej wpływu. O mało nie wybuchnęła śmiechem. Zachary przyglądał się rozżarzonemu koniuszkowi papierosa, jakby ten stanowił symbol utraconych wakacji, po czym zgasił go, wypaliwszy jedynie do połowy. Nie zdusił go, tylko delikatnie nim obracał. Czekał, aż sam zgaśnie, by zachować go na później. Mary wypaliła swojego do końca, póki nie zaczął parzyć jej ust.

– Proszę cię.

Odgarnął kosmyk włosów z jej czoła i zatknął go za ucho. I to „nie”, tym głośniejsze, że niewypowiedziane. Znów zagotowała się z furii, choć wcześniej czuła tylko przygasającą rozpacz.

– I to po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam?! Udajesz mężczyznę, ale jesteś tylko niewdzięcznym dzieciakiem! Powinnam była wiedzieć, że tacy jak ty nigdy nie wychodzą na ludzi!

Wzruszył ramionami.

Uniosła ostrzegawczo dłoń.

– Nie patrz tak na mnie. Pochodzę z dobrego domu i gdyby nie ty, byłabym teraz z rodzicami. Żałuję, że tu do ciebie przyszłam. Żałuję, że przyszłam do tego okropnego klubu dla czarnuchów!

Zachary zachował kamienną minę. W piwnicy zrobiło się ciemno. Mary nie wiedziała, czy wciąż mają tu świece. Nie była pewna, czy jeszcze produkowali takie źródła światła.

Gniew gdzieś wyparował. Już zapomniała, jak bardzo była przed chwilą wściekła. Pozostał jedynie strach przed mrokiem, który ją dopadnie. No i jeszcze ten chłopiec. Poczowała, jak pod kocami przechodzi ją dreszcz, gdy jego oczy przemieniły się w oczy Alistaira. Jęknęła i odwróciła twarz.

Wreszcie zobaczyła oczy tej wojny. Jej myśli uległy rozczłonkowaniu, a każda wołała własnym głosem. Starła się zachować pośród nich swój wizerunek. Pędziła przez miasto

z płonącym sercem do punktu oznaczonego literą X. Miała na sobie swój narciarski sweter. Właśnie tak. Ale wybuchła wojna. Na początku było ekscytująco, a później strasznie. Najcięższą rzeczą w życiu jest to, że rozpoczyna się od lekkości serca.

– Nie wolno ci brać morfiny – rzucił Zachary.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego, zastanawiając się, jak to możliwe, że wciąż tu stoi, niezmienny, podczas gdy ona, ściskając koce, mknie przez przerażającą wieczność.

– Co? – szepnęła.

– Nigdy więcej.

– Odrobinę. Na rozluźnienie.

– Nie.

– Proszę.

– Nie.

– Jesteś okrutny, bo jeszcze tego nie rozumiesz – odparła i zamknęła oczy.

Zasnęła, a kiedy się obudziła, jej myśli były klarowne. Alistair wrócił. Usiadła z bijącym sercem. Wyglądał dokładnie tak jak wtedy, kiedy widziała go ostatni raz na peronie dworca Waterloo. Ujął dłońmi jej twarz i pozwoliła, żeby ją pocałował. Niebo roziskrzyło się na pomarańczowo. Mary drżała z zimna, wtuliła się w niego, by się ogrzać. Te wolne melodie, które puszczali do tańca w czasach, gdy wciąż można było kupić igły do gramofonów! Jego oczy wyglądały jak żarówki i gdy znów w nie spojrzała, dotarło do niej, że nie śpi i że siedzi w piwnicy sama.

– Och... – szepnęła i znowu się posypała.

Ocknęła się opatulona kocami. W bladym świetle żarówek wciąż drżała. Zachary stał obok.

– Dziękuję, że wróciłeś. Przepraszam cię za to, co powiedziałam.

Chłopiec wyjął coś z kieszeni.

– Nie miałem pieniędzy. Kierownik powiedział, że zapłacisz mu później.

Już sam widok ampułki z morfiną napełnił ją spokojem. Zapomniała, jak to jest żyć i tyle, ale teraz już sobie przypominała.

Wyciągnęła rękę.

– Dziękuję.

Zachary wystawił pięść, w której trzymał ampułkę. Mary wpatrywała się w nią z wyteżoną uwagą – gładka brązowa skóra i różowe paznokcie.

– Proszę...

– Pamiętasz, jak zawsze mi odmawiałaś, kiedy prosiłem o papierosa?

– Nie bądź taki. Nie wypada.

– To raczej tobie nie wypada tego brać.

Zdobyła się na wymuszony uśmiech.

– Nie, skarbie. To tylko lekarstwo, jak aspiryna.

– Po aspirynie nie nazywasz mnie czarnuchem.

Przeniosła wzrok z jego ręki na twarz.

– Proszę...

– Dam ci, jeśli chcesz, ale więcej już tu nie przychodź. Nie, żebyśmy nie mogli bez ciebie żyć.

– Raczej „To nie tak, że nie możemy bez ciebie żyć”.

– To nie tak, że nie możemy żyć bez twoich uwag.

Wyciągnął rękę, już nie zaciskał jej tak mocno. Mary jęknęła. Potrzebowała tej ampułki bardziej niż czegokolwiek kiedykolwiek.

– Chcesz? – spytał Zachary.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała.

Próbowała się uśmiechnąć, ale zalała się łzami.

*

Przez cały dzień i całą noc Zachary obserwował, jak, leżąc, Mary miota się między snem a jawą. Raz usiadła i powiedziała Poppy Brown, żeby nie jadła kredy. Następnie nakrzyczała na Kennetha Coxa za to, że nie może spokojnie usiedzieć. Koło południa zaczęła mówić po francusku, a potem zasnęła. Później nastąpił długi, mrukliwy monolog. Szeptala, że przeprasza, bez końca. Ostatecznie Zachary zostawił ją i poszedł sprawdzić, co z dziećmi. Ruth płakała,

a Molly i Charles jeszcze pogarszali sprawę. Zachary zabrał Ruth ze sobą, zagotował wodę na kuchence i kazał jej obmyć twarz i ręce półprzytomnej Mary. Ruth wciąż szlochała.

– Co się stało? – spytał Zachary. – Płaczesz, bo tamci ci dokuczają?

Mała pokręciła przecząco głową, machając przy tym warkoczykami.

– Jesteś głodna?

Znowu zaprzeczyła. Wziął ją za rękę, ale go odepchnęła. Z sali na górze dobiegł ich gromki wybuch śmiechu. Pewnie zaczął się już popołudniowy występ. Zachary złapał się za skronie, żeby odegnąć zmęczenie. Zapalił papierosa, żałując, że nie wie, jak uspokoić Ruth. Marzył, żeby w teatrze pojawiło się jakieś starsze dziecko, żeby nie musiał już im przewodzić. Marzył, żeby wreszcie przyszedł tam ktoś, kim nie będzie musiał się zajmować.

– Lubisz słodczy? – spytał. – Mogę ci skołować.

Ruth wzruszyła ramionami i wciąż milczała.

– A gdzie ta twoja lalka? Mam ci ją przynieść?

Znów się skrzywiła. Zachary wiedział, że powinien znaleźć odpowiednie słowa, lecz nie umiał jej pocieszyć. Było tak, jak mówili muzycy – jest wojna, jesteśmy czarni i nawet nasi nie są po naszej stronie. Mieli tylko siebie – dziewiętnastu minstreli, dziewięciu muzyków i czworo bezdomnych dzieci, obłączonych w obłączonym mieście. Gdyby żył jego ojciec, Zachary mógłby czuć się silny, może nawet dumny. Aktorzy i muzycy dobrze go traktowali, lecz bez względu na to, jak bardzo się zaprzyjaźnili, Zachary czuł się wśród nich obco.

Ojciec pragnął dla niego czegoś więcej, lecz teraz, gdy odszedł, Zachary stracił wszelki zapal. Życie rzuciło go tutaj i tyle. Był niczym krzyk uwięziony w słoju. Nie miał nawet grobu, który mógłby odwiedzać, konkretnego punktu, od którego mógłby rozpocząć własne życie. Gdy jego ojciec odszedł, Zachary odszedł razem z nim. Mógł tylko przytulić Ruth i powiedzieć jej, że wszystko będzie dobrze. Jak na rządowych plakatach.

Mary nie spała, kiedy do niej wrócił.

– Zachary... możesz mi coś przynieść?

Zamarł. Wiedział, że poprosi go o morfinę.

– Wybacz – szepnęła. – Jestem taka głodna.

Przyniósł jej kawę, chleb i margarynę. Zagrał dla niej na pianoli. Wieczorem gorączka wróciła i Mary godzinami przemawiała do jakiegoś mężczyzny o imieniu Alistair. Kłóciła się też z matką, czasami z wściekłością, a czasami płacząco. Gdy gorączka wreszcie ustąpiła, zasnęła. Przeprowadził pozostałe dzieci. Czuwały przy niej na zmianę przez całą noc.

Ranek zastał ją pogrążoną w błogim śnie. Zachary wygładził jej włosy. Stanął nad nią i rozmasował nocne odgniecenia. Później zjadł wszystkie ciasteczka, jakie udało mu się znaleźć, pograł na pianoli, z ciekawości wstrzyknął sobie w ramię dawkę morfiny i ruszył z piwnicy na Strand. Śmiał się wniebogłose. Londyn, to wspaniałe miasto, które znów ożyje, lśnił w słońcu, a zwały gruzu i kamieni oddychały w wolnym, bez wątpienia swingującym rytmie.

Grudzień 1941

O świcie deszcz zaczął tłuc o dach mansardy. Tu i ówdzie pojawiły się przecieki. Mary złapała kilka kropel deszczówki w dłoń i je wypila. Morfina już od dawna nie krążyła w jej żyłach i jej zmysły znów się wyostrzyły. Już nic się nie przesuwalo i nie wykrzywiało. Mary nie miała dotąd pojęcia, jakim uwielbieniem można darzyć dostojny spokój nieożywionych przedmiotów.

Od maja nie było już jakichś większych nalotów. Rzecz jasna mogły powrócić; Mary złapała się na tym, że im dłużej trwa wojna, tym mniej o niej wie. Z pewnością działania wojenne wciąż się wzmagają i konflikt rozszerzał się na coraz to nowe kraje. Może kiedy osiągnie optymalny zasięg, wojna znów wróci do Londynu. Gazety przestały publikować mapy przedstawiające sytuację na frontach, co wskazywało, że nie była ona budująca. Tymczasem Mary skupiła się na rzeczach, na które mogła mieć jakiś wpływ. Zachary umiał mnożyć tylko do sześciu. No i musi przekonać Charlesa, żeby nie używał cyrkla jako broni. Wojna zataczała coraz szersze kręgi, a świat się kurczył.

Jej pamięć powróciła w dawne granice i unikała ryzykownych wypadów. Mary okiełznała emocje, tak jak uczono ją tego w dzieciństwie. Miłe doznania do siebie dopuszczała, a ciemne myśli wysłała na kwarantannę. Strugi deszczu ściekały po świetlikach, tworząc płachty wody na szybach. Był to miarowy i pewny siebie deszcz opadający z ogromnego posępnego nieba, który najwyraźniej miał zagościć u nich na dłużej.

Wczesnym rankiem Mary usłyszała pukanie do drzwi; gospodyni przyniosła pocztę. Podziękowała i wróciła do łóżka, żeby przeczytać listy. Nadawcą pierwszego była jej dawna szkoła dla dziewcząt, która usilnie namawiała ją, żeby pomogła obecnym uczennicom...

pewnie wydorośleć, pomyślała Mary. Przyszedł też blankiet od majora Simonsona.

Droga Panno North,
przepraszam, że znowu zawracam Pani głowę.
Przypuszczam, że armia już Panią powiadomiła, że Alistair jest bezpieczny, lecz zakładam, że oszczędziła Pani szczegółów.

Mary odłożyła list na koc i zaczęła się w niego wpatrywać. Było jeszcze zbyt wcześnie na to, żeby się rozpłakać, gdyż dzień nie zdążył jeszcze dostarczyć jej dość jadu. Oparła się o zagłówek łóżka i mocno zacisnęła powieki. Paznokcie wbiły się w pościel, jakby próbowała zagrzebać się w norze.

Nim minął pierwszy szok, siedziała przez chwilę jak zamroczona.

Nie wiem, jak układają się Wasze sprawy, i nie chcę się w to wtrącać, ale dotarła do mnie informacja, że Alistair ma zakaz wysyłania i odbierania wszelkiej korespondencji. Nie wiem, czy miała Pani tego świadomość – stąd mój list.

Po utracie ręki Alistair miał trafić do Anglii, ale okazało się, że decyzję podjęto z naruszeniem procedur, co wyszło na jaw w Gibraltarze. Dotarł tam na pokładzie okrętu Marynarki Wojennej, wyłowiony z morza po awarii samolotu, którym był transportowany.

W efekcie Alistair został skazany na karę roku więzienia za oddalenie się bez pozwolenia, którą odbędzie w Gibraltarze. Złożyłem wniosek o uchylenie wyroku, powołując się na jego pełną altruizmu służbę w szeregach armii oraz uszczerbek na zdrowiu. Moje wysiłki spełzły jednak na niczym, za co pragnę prosić Was oboje o wybaczenie. Mimo że Alistair jest moim podwładnym, piszę do Pani jako jego przyjaciel.

Mary jeszcze raz przeczytała list, zaciskając i rozwierając dłonie. Świat znów wydał jej się wielki. Upłynęło już tyle czasu, odkąd

zaliczała siebie do grona szczęśliwców, że utraciła wszelką odporność na taki wstrząs. Z początku odebrała tę radość jako coś obcego i niepokojącego.

Po godzinie zaczęła zachodzić w głowę, co może teraz zrobić. Jako osoba cywilna nie miała możliwości wyjazdu do Gibraltaru i – jak się okazało – nie mogła też napisać do Alistaira. Rozważyła wszystkie opcje, ale nie wpadła na żaden pomysł. Ostatecznie, choć wbrew sobie – co jednak jej nie powstrzymało, tak była szczęśliwa – postanowiła porozmawiać z matką.

Włożyła płaszcz i pokuśtykała w padającym deszczu ze śniegiem do nietkniętego przez naloty Pimlico. Wszystko w domu jej rodziców przy Warwick Square – biała stiukowa fasada, klasycystyczny portyk i rzeźbiony balkon na piętrze – zaświadczało, że to, co przeżyła, nie dotyczyło jego mieszkańców. Mary wspięła się po sześciu stopniach do czarnych drzwi frontowych z lwią kołatką i gdy tylko sięgnęła do niej ręką, te rozwarły się przed nią na oścież. Trudno tu było ogarnąć system służących i semaforów, który pozwalał przewidzieć czyjeś nadejście.

– Dzień dobry, panno Mary.

Mary weszła do środka, jakby nigdy nic.

– Cześć, Palmer. Wszystko dobrze?

Palmer pozwolił sobie na leciutki ruch brwi, który wystarczał, by przekierować kwestię jego samopoczucia do kategorii spraw nieistotnych. Mary dostrzegła, że jej płaszcz już spoczywa na jego przedramieniu.

– Spodziewamy się, że pani wróci około jedenastej. Zechce panienka poczekać na nią przy kominku w bawialni?

– Świetny pomysł. Dziękuję.

Lekki skłon. Palmer był postacią tak niezmienną, że Mary nagle straciła pewność, czy nie było jej tu przez siedem miesięcy, czy przez siedem godzin. Przysiadła na zielonej sofie w bawialni. Palmer wniósł na cynowej tacy kakao z ciasteczkami *amaretti* o barwie złota oraz coś jakby przeprosiny.

– Chyba że panienka woli sherry?

– Nawet dla takiego potwora jak ja jeszcze na nią za wcześnie.

Twarz Palmera pozostała bez wyrazu.

– Będę o tym pamiętał.

Matka Mary wtargnęła do domu z naręczem ciętych kwiatów i poleceń, jak należy je ustawić. Jej szpakowate włosy były upięte w kok. Kiedy w holu ukazała się Mary, przeciąg wysupłał jeden z zaczesanych kosmyków.

– Cześć – przywitała się Mary.

– Kochanie... – odpowiedziała jej matka.

Wyartykułowanie przez nią tego słowa było nieodzowne, zgodnie z trzecią zasadą dynamiki Newtona.

– Mam nadzieję, że nie zjawiam się nie w porę?

Matka oddała Palmerowi płaszcz.

– Chyba rozumiesz, że nie możesz robić scen? Twój ojciec jest o włos od powołania do gabinetu. Może przyjechać w każdej chwili, niewykluczone, że w towarzystwie gościa. Bardzo dbamy, żeby nie zostawiać na wierzchu niewłaściwych czasopism, a co dopiero... Przecież nie muszę ci tego tłumaczyć. Ty płakałaś!

– Nie... – zaprzeczyła niepewnie Mary, po czym zalała się łzami i trafiła w objęcia matki. – Jestem taka zmęczona.

– No pewnie, że tak... Och, jak myśmy za tobą tęsknili!

Owionęła je ciepła aura domu, zapach wosku na balustradach i środka do czyszczenia mosiężnych prętów przytrzymujących dywany na schodach. I jeszcze delikatna woń gotującego się prania. Gdzieś z oddali docierał dźwięk pobrzękiwania zmywanych przez gosposię naczyń i odgłos grudek węgla przesypywanych szuflą do pojemnika.

Tymczasem w tle stuknęły drzwi wejściowe, skrzętnie zamknięte na zasuwkę. Odgłosy wojny zostały wyciszone. Pojawiła się ulga w sercu wsłuchanym w swojski szeleszczący rytm pracy służących. Wszystko znów będzie dobrze. Mary będzie miała Alistaira, choć jeszcze do końca nie mogła w to uwierzyć. Co z tego, że stracił rękę? W tych czasach łatwo zrobić sobie protezę. Szczotki szurały po podłogach w cichych pokojach. Kijki z włosiem do odkurzania

stukały o tralki balustrad. W holu, w wielkiej mosiężnej donicy, stała choinka przybrana dekoracjami z weneckiego szkła.

Mary ruszyła za matką do salonu, gdzie Palmer doniósł herbatę w błękitnej zastawie z chińskiej porcelany. Obsłużył Mary zgodnie z jej ostatnimi preferencjami: herbata bez mleka z trzema kostkami cukru, bo morfina zaostrzyła jej apetyt na słodkości.

– Dziękuję, Palmer, ale jeśli to nie kłopot, wolałabym herbatę na dawną modłę. – Mary wypowiedziała te słowa z rozmysłem, żeby mieć pewność, że dotrą do jej matki.

– Bardzo proszę – odpowiedział Palmer obojętnym tonem, którego mógłby użyć zarówno do wezwania taksówki, jak i do wskrzeszenia nieboszczyka.

Nalał do filiżanki herbaty bez cukru i oddalił się we własne, ściśle określone rejony.

– Mamusiu, przepraszam za to wszystko.

– Nikt nie oczekiwał od ciebie perfekcji po stracie, jakiej doznałaś. Twój pokój wciąż wygląda tak, jak go zostawiłaś.

– Dziękuję, ale nie wprowadzę się do was.

– Nie? – spytała z lekkim niedowierzaniem matka Mary, jakby jej córka podziękowała za ciastko makaronikowe. – Byłoby tak miło mieć cię w domu na święta.

– Właściwie miałabym do ciebie prośbę.

– Nareszcie jesteś sobą.

– Od miesięcy nie tykam morfiny.

– To dobrze. W ogóle ci nie pasowała. Zapomnijmy o tym. Szczęśliwie nie przysporzysz ojcu nieodwracalnych szkód, pod warunkiem że ruszysz teraz ze mną na obchód londyńskich salonów. Kiedy ujrzą cię taką, jaką jesteś dzisiaj, uznają, że plotki były przesadzone. Przekonasz się, że nieco ubarwiłam opowieści o odniesionych przez ciebie na służbie ranach, by zamaskować twoje bardziej bezwstydne wyczyny. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe?

– Żałuję tej maskarady w Ritzu.

– Ja też. Do Ritza, z parą czarnuchów? Jeśli chciałaś dać mi coś do

zrozumienia, bolałoby mniej, gdybyś przywiązała to do kija i mnie nim obiała.

– Musisz nazywać ich „czarnuchami”? Przecież nic ci nie zrobili.

– Oprócz tego, że uzależnili moją córkę od morfiny.

– Przeciwnie. Jeden z nich pomógł mi ją odstawić.

Matka zamrugła powiekami.

– Ale dlaczego akurat te dzieci? Spośród wszystkich ludzi, z jakimi może się zadać dziewczyna?

– Nie zadaję się z nimi, tylko je uczę.

– Martwi mnie, że robisz to za moje pieniądze. Ich rodzice mogliby ci przynajmniej płacić. Jeśli one w ogóle mają rodziców. Podobno zwłaszcza czarni ojcowie mają tyle uczuć rodzicielskich co ryby.

– Nie mam poczucia, że daję im więcej, niż od nich dostaję, ale jeśli chcesz, mogę zrezygnować z kieszonkowego.

– Zatem czego ode mnie oczekujesz, skoro nie chodzi o pieniądze, o dobre rady ani o moją prośbę, żebyś uszczęśliwiła swojego biednego ojca?

Mary ujęła dłoń matki.

– Ten mężczyzna, o którym ci wspominałam, Alistair. Kocham go.

Matka przypatrzyła jej się uważnie.

– Pewnie zaraz mi powiesz, że jego rodzice to faszyci albo coś w tym stylu? Bo przecież z tobą nic nie może być normalne.

– Pochodzi z dobrej rodziny. Przed wojną pracował jako konserwator dzieł sztuki w Tate Gallery.

Mary poczuła, że uścisk dłoni jej matki słabnie.

– Z dobrej rodziny to znaczy...?

– Nie znamy ich, jeśli o to pytasz. Ale chyba możesz sobie wyobrazić rodziny spoza naszego kręgu, które krążą z nami po orbicie wokół tego samego słońca i nie wywołują zaćmienia ani nie przynoszą nam wstydu?

– Czyli socjaliści.

– Musisz mi koniecznie powiedzieć, skąd ty tak od razu to wiesz.

Matka Mary znów ścisnęła jej dłoń.

– To dlaczego wyczuwam jakieś zastrzeżenie?

– Alistair stracił rękę na Malcie i...

– Dobry Boże, no i co z tego? Zawsze może sobie zapuścić nową.

Mary uśmiechnęła się.

– Kocham cię, mamo. Ja też tak pomyślałam.

– Ty też jesteś kochana. Gdybyś była mniej nieznośna, nie kochałabym cię tak bardzo nawet w połowie. Jesteś taka, jaka ja mogłam być, gdybym odważyła się powiedzieć matce, żeby pilnowała własnego nosa.

– A ja mam nadzieję, że będę taka jak ty, że rodzina będzie dla mnie najważniejsza. Wiem, że bywam samolubna. Nie zrobię już z siebie widowiska w Ritzu, ale też nie zostanę panią Henry Hunter-Hallową, nawet gdybym dobrze na tym wyszła.

Matka Mary westchnęła.

– Jestem pewna, że możliwy jest jakiś kompromis. Wiem, że uśmiechniesz się z politowaniem, kiedy ci powiem, że kiedy zostajesz mężatką, życie naprawdę się zmienia. Nasze pasje przygasają, choć może nie jest to najwłaściwsze słowo. Nasze pasje bledną i stają się mniej pilne do zrealizowania. Myślisz, że w twoim wieku nie byłam idealistką? Popierałam sufrażystki, przykuwałam się łańcuchem.

– I dlaczego przestałaś?

– Bo... Jak by to rzec? Przykułam się do twojego ojca.

– Ale jesteś szczęśliwa?

– Szczęśliwa? Boże, czy używa się takiego słowa podczas wojny?

– Ta wojna prawie cię nie dotyka.

– Pewnie myślisz, że nic mnie nie dotyka.

Matka wyjęła papierosa z paczki Mary i zapaliła go lekko drżącą ręką.

– Mamo...

– Nie użalaj się nade mną. Wciąż wierzę, że mamy obowiązek naprawiać świat. Myślisz, że wyjdiesz za mąż za tego swojego Alistaira?

– Nie wiem. Jest teraz daleko i nie rozmawialiśmy o tym, ale

mam nadzieję, że tak.

– Bądź ostrożna przy wyborze męża, bo jego ideały muszą się zgadzać z twoimi. Później przemienią się w ambicje. Do ich realizacji potrzeba sojuszników, a sojusznicy to rauty, gale i rozsadzanie gości przy stole.

– Nie sądzisz, że po wojnie relacje kobiet i mężczyzn ulegną zmianie? Nie czujesz, że nastąpi jakiś przełom?

– Mogłybyśmy utkać gobelin z tych wszystkich przełomów.

Mary uśmiechnęła się.

– Cieszę się, że jesteś w dobrej formie.

– Próbujesz mnie zagadać. O co chciałaś mnie prosić?

– Chodzi o Alistaira. Został zatrzymany w Gibraltarze.

– Cóż, jest wojna.

– Zatrzymały go władze. To znaczy... w takim jednym budynku...

– Dlaczego?

Mary starała się zachować spokój.

– Podobno oddalił się z jednostki bez zezwolenia. Skazali go na rok.

Matka Mary hałaśliwie odstawiła filiżankę.

– Palmer? Możesz nam przynieść trochę brandy?

Znów zjawiała się cynowa taca, tym razem ze szklankami i karafkami. Palmer postawił ją na pomocniczym stoliku i nalał do szklanek parę kropel syropu. Następnie obrał pomarańczę i dorzucił skórki. Przygniótł je tłuczkiem, żeby puściły trochę olejku, lecz nie na tyle mocno, by je zmiażdżyć. Dodał odrobinę gorzkiego likieru i dolał brandy. Na koniec dorzucił kostki lodu.

Mary zaczęła powoli saczyć swój drink, za to jej matka opróżniła szklankę jednym haustem i odstawiła ją na stolik.

– Najwyraźniej uparłaś się, żeby utrudnić nam wszystkim życie.

– Przykro mi, naprawdę. Może tak to wygląda, ale przecież wiesz, że nie włócę się po mieście, polując na hańbę, by przynieść wam ją potem do domu.

– Hmm... dezertter? To chyba już wolałabym czarnucha.

Mary nie odpuszczała.

– Oddalenie się to nie dezercja. Tacie zdarza się przez cały kwartał nie bywać w domu, a mimo to odkurzamy jego książki.

– Przestań.

– Przepraszam.

Matka na chwilę zamilkła.

– Czyli jak to z nim jest?

– Myślę, że Francja bardzo nim wstrząsnęła. Walczył tam, zanim się poznaliśmy. Uratował Bóg jeden wie ilu żołnierzy, ale wrócił stamtąd całkiem rozbity. Wiem, że na Malcie też robił, co mógł. Nie mogę sobie wyobrazić, jak to jest stracić rękę, a ty?

Matka nie odpowiedziała.

Mary poczerwieniała.

– Jak można kogoś oceniać na podstawie jednej wpadki?!

– Co mam ci powiedzieć. Gdy krew Abla wzywała Pana Boga, to pewnie dlatego, żeby się poskarżyć, że została rozlana, a nie po to, by wspominać lata braterskiej miłości.

– Alistair nikogo nie zamordował. Podejrzewam, że tylko trochę za wcześniej wyjechał.

– To wojna, a nie potańcówka. Nie można wyjść, bo jest nudno.

– Wiem, mam, ale...

– Twój ojciec nie „wyjechał trochę wcześniej” spod Ypres ani z Pozičres. Gdyby to zrobił, nigdy bym za niego nie wyszła.

– Ale z pewnością zrozumie przypadek Alistaira lepiej niż ktokolwiek inny.

– Jego zrozumienie tego przypadku pewnie nie wykracza poza odległość, jaka dzieli dezercera od plutonu egzekucyjnego.

– Przecież wiele się od tamtego czasu zmieniło. Wciąż nie potrafimy wybaczać?

– Co miałabym mu powiedzieć?

– Żeby użył swoich wpływów. Jego list do War Office miałby dużą wagę. Wystarczy, że opisze charakter Alistaira.

– Po to do mnie przyszłaś? Żeby wybawić go z opresji?

Mary skuliła się jak myszka i nie odpowiedziała.

– Rozumiesz, jaki to jest dla mnie koszt? Uszczupli mój kapitał

wpływu na twojego ojca. A ja też mam swoje interesy. Zauważyłabyś to, gdybyś była bardziej spostrzegawcza. W dodatku moje akcje tracą na wartości za każdym razem, kiedy muszę bronić ciebie. Wiesz, jak lojalnie stawałam w twojej obronie? A teraz każesz mi się jeszcze bardziej zadłużyć i podporządkować własne nadzieje twoim.

– Wybacz. Nie prosiłabym cię o to, gdybym nie musiała.

– Jeśli to dla ciebie zrobię, masz skończyć z tym absurdem: już nigdy ani jednej kropli morfiny.

– Oczywiście. Przyrzekam.

– Poza tym pójdziesz do War Office i poprosisz o kolejny przydział. Jeśli znów przydzielą cię do karetki, pójdziesz tam bez szemrania. A jeśli do fabryki, bez słowa sprzeciwu włożysz roboczy kombinezon. Nasza rodzina będzie wypełniać swoje obowiązki.

– Dobrze.

– Co więcej, będziesz mieszkać tutaj, póki nie wyjdiesz za mąż, i wraz ze mną ochoczo uczestniczyć w seminariach i porannych spotkaniach przy kawie. Nie wymagam, żebyś poświęciła temu cały swój czas, ale oczekuję, że zawrzesz pokój ze społeczeństwem. Przynajmniej w takim zakresie, że kiedy będziesz brała ślub, gazety napiszą o nim w rubryce towarzyskiej, a nie plotkarskiej.

Mary zwiesiła głowę.

– Zgoda.

– I przestań się zadawać z Murzynami. Będę ich tak nazywać przez wzgląd na ciebie, a ty w rewanżu zerwiesz z nimi kontakty. Nie będziesz szukać u nich rozrywek ani uczyć ich niezliczonego potomstwa.

– Ale mamoo...

– Nie wyświadczasz im przysługi, udając, że możesz im pomóc. Oni mają swój świat, a my swój i nie będzie między nimi większego ruchu niż między rajem a ziemią.

– Zatem naszym dzieciom zalecamy wyjazd na wieś, a ich dzieciom naloty? Jak mam zawrzeć pokój ze społeczeństwem, które prowadzi tego typu wojnę?

Matka usiadła obok Mary.

– Ja w twoim wieku też taka byłam.

– To znaczy uczciwa?

– Młodzi widzą świat, jaki im się marzy, a starzy widzą świat taki, jaki jest. Ty mi powiedz, kto tu jest bardziej uczciwy.

– Zrobię wszystko, czego ode mnie żądasz, bo muszę ci zapłacić, ale nie przestanę uczyć tych dzieci.

– Dlaczego?

– Bo wszyscy na to nalegają.

– I nie przyszło ci do głowy, że mają rację?

– Są ślepi na zło. Widzę bogatych, których ta wojna nie dotyka, i biednych, na których spadają bomby, ale ani jedni, ani drudzy nawet nie pisną. Widzę murzyńskie dzieci kulące się w piwnicach i białe, które wyjechały na wieś, ale jedni i drudzy zaklinają mnie, żebym nie bujała łódką. Spójrz na nas. Jesteśmy narodem chwalebnych tchórzy gotowych do walki z wszelkim złem, oprócz własnego.

Matka ujęła dłoń Mary.

– Wystarczy. Skoro już negocjujemy, to pamiętaj, że gram w tę grę dłużej niż ty. Poprosiłaś mnie, żebym wstawiła się za Alistairem, a ja przedstawiłam ci swoje warunki. Dołóż do nich swój, skoro musisz, ale nie udawaj, że jeśli miałabyś wybierać pomiędzy zasadami a mężem, wybrałabyś te pierwsze. A szczęście Alistaira, który właśnie gnije w więzieniu? Poświęcisz je na rzecz swoich ideałów?

– Ty może skazałabyś go na rok w samotności, ale ja nie skazę na pięćdziesiąt lat z hipokrytką.

– Nie skaż przy tym nas. Bądź dzielna i wygarnij nam wszystkie krzywdy, które ci wyrządziliśmy. Tylko nie udawaj, że wybrałabyś tych czarnuchów zamiast rodziny.

– To są dzieci. Pomogły mi, nie stawiając żadnych warunków.

Przez chwilę mierzyły się wzrokiem.

– Czy znowu musimy się o to kłócić? – odezwała się w końcu matka. – Może odłożymy decyzję na później, dopóki obie nie

ochłoniemy. Tylko wróć na święta do domu, kochanie. Bądźmy znowu rodziną.

Mary skorzystała ze sztuczki swojej matki; uśmiechnęła się, kiedy nie pozostało jej nic innego.

Matka wstała.

– Zastanów się nad tym. Wychodzę, żeby pozbierać myśli. Wróć o szóstej na kolację. Daj znać Palmerowi, czy zjesz ze mną. Jeśli po powrocie cię tu zastanę, uznam, że przyjmujesz moje warunki. A jeśli cię nie będzie, to lepiej, żebyśmy się nie widywały przez jakiś czas.

– Mamo...

– O szóstej. Tylko się nie spóźnij, bo tego bym nie zniosła.

– Przepraszam cię, mamo.

Mary patrzyła, jak matka zmusza się do uśmiechu. Teraz uśmiechały się obie i precyzyjnie całowały się w policzki – tutaj i tutaj – bo w końcu serce nie jest podstawą dobrych manier i jego zapas nie może ich niweczyć.

Po wyjściu matki Mary usiadła i oparła łokcie na stole. Zapaliła papierosa i wypuściła dym przez nos, a stary dom odetchnął wraz z nią. Pod nieobecność matki służące mogły śpiewać, ścieląc łóżka na górze. W kuchni zabrzęczały garnki i kucharka znalazła jakiś powód, żeby wybuchnąć śmiechem.

Po chwili Mary poczuła, że nie jest w bawialni sama. Zmieniło się światło.

– Palmer?

– Panno Mary?

– Przyniesiesz mi jeszcze jedną małą brandy? Czystą, nie rób sobie zachodu.

– Bardzo proszę.

– I wezwij mi taksówkę. I jeszcze przekaz mojej matce, jak wróci, że niestety nie będzie mnie na kolacji.

Nieoczekiwana cisza.

– Panienska wybaczy, ale wolę się upewnić, czy dobrze zrozumiałem. Mam przekazać pani, że panienska nie zje z nią

kolacji?

– Dziękuję ci, Palmer, za to, że zawsze wszystko świetnie rozumiesz.

Cisza. Oddech. I kamienna twarz.

– Bardzo proszę.

Palmer wrócił z brandy, niosąc ją na ciężkiej srebrnej tacy. Mary spojrzała zaintrygowana.

– Ojciec już wrócił z parlamentu?

– Wróci dopiero wieczorem, proszę pani.

– To dlaczego...?

Nieruchomy wzrok.

– Proszę mi wybaczyć, panno North.

– Och, Palmer...!

– Czy podać coś jeszcze?

– Nie, dziękuję. To wszystko.

– Bardzo proszę.

Pół godziny później, kiedy zatrzasnęły się za nią drzwi, Mary ujrzała Hildę na tylnym siedzeniu taksówki, która czekała przy krawężniku.

– Co ty tu robisz?

Blizny na twarzy Hildy były pofałdowane i czerwone; jej niepewność sprawiła, że stały się jeszcze bardziej widoczne.

– Podobno prosiłaś, żebym przyjechała?

– Nic podobnego.

– Palmer powiedział mi przez telefon, że bardzo ci na tym zależy.

Mary złagodniała.

– I przyjechałaś tu dla mnie?

– Okropnie za tobą tęsknię.

Mary przez chwilę się zawahała.

– W takim razie wysiadaj. Bo przecież nie pójdziemy na spacer, jeśli się stamtąd nie ruszysz.

Mary zapłaciła taksówkarzowi, chwyciła Hildę za rękę i poszły przed siebie w deszczu. Początkowo rozmawiały o drobiazgach, bo kiedy rozplątuje się poplątane nitki, najlepiej zacząć od tego, co

najprostsze.

W końcu Mary oznajmiła:

– Alistair żyje.

Hilda zakryła dłonią usta.

– Kocham go – wyznała Mary. – Nienawidzisz mnie za to?

– Nie. Cieszę się twoim szczęściem.

– Ja też za tobą tęskniłam.

Hilda wzięła ją za rękę.

– Zatrzymaj się u mnie na weekend. Mam rozkładaną kanapę, radio i tyle wody w kranie, ile zdołasz wypić. Chyba że musisz pójść do Lyceum?

– Może jeśli zrobię sobie wolny weekend, wszyscy dobrze na tym wyjdziemy. Spotykaliśmy pogorzalców, którzy narzekali mniej niż dzieci zmuszane do nauki czytania.

– Bo jesteś beznadziejną nauczycielką.

– Dzięki. A ty pielęgniarką.

– Zatrzymasz się u mnie?

– Pewnie.

Poszły na wschód, a potem na północ w stronę domu Hildy. Wkrótce nieuszkodzone ulice ustąpiły miejsca zniszczonym kwartałom miasta. Śnieg z deszczem padał coraz gęściej. Gdy zbliżyły się do Regent's Canal, mogły podążać już tylko wąziutką ścieżką między zwałami gruzu.

– Nie przejmuj się tym bajzłem – uspokajała przyjaciółkę Mary. – Każę zbudować tu chatki, takie maleńkie, ze strzechą, jak w Lowestoft. Tak to zorganizuję, że w każdej zamieszka przystojny kawaler do wzięcia.

– Wysoki?

– Będiesz potrzebowała drabiny, żeby się z nim całować. Takiej wyciąganej, jak w bibliotekach.

– Brunet?

– Zależy przy której ulicy. Bruneci, blondyni, dowcipni, bogaci. Jeśli będziesz szukała więcej niż jednej cechy, pukaj do domów bliżej skrzyżowań.

- W mundurze?
- Wedle życzenia. Żołnierza piechoty, marynarza, maszynisty.
W każdym domu będzie garderoba z przymierzalnią.
- Myślę, że bardzo polubię ten nowy Londyn.
- W takim razie mianuję cię burmistrzem – obiecała jej Mary i wyrysowała ręką imponujący łuk.
- Pewnie, że to coś dla mnie. Ty będziesz zbyt zajęta Alistairem.
Mary dostrzegła delikatny grymas na roześmianej twarzy Hildy.
- Przepraszam.
- Nie przepraszaj. Weźmiecie ślub?
- On teraz siedzi, w Gibraltarze.
Hilda przystanęła.
- Za co?
- Wyjechał z Malty wcześniej, niż powinien.
Hilda była wyraźnie przygnębiona.
- Wysłałam mu list. Napisałam, że zeszłaś na psy.
Mary przez chwilę się zastanowiła.
- Nie będę zaprzeczać.
- Ale tak się nie robi. Nic dziwnego, że jestem samotna.
- Przestań. Niedługo kogoś poznasz.
- Niby gdzie? Nikt już nie urządza przyjęć. Albo urządzają i mnie nie zapraszają.
- Tak, to na pewno to. Zawsze wydawałaś mi się niemiła i nielubiana.
- To przez te blizny. Nie znam innej skutecznej kuracji.
- W takim razie znajdziemy ci faceta z bliznami.
Hilda uśmiechnęła się.
- Widzisz? Wystarczy uśmiech i już jesteś ładna.
- Odkąd się pokłóciłyśmy, rzadko się uśmiecham.
- Ja też. Dlatego musimy pamiętać, żeby się nie kłócić. Jak mogłyśmy o tym zapomnieć?!
- Hilda pociągnęła nosem, uniosła twarz ku szaremu niebu i złapała na język płatek śniegu.
- Trudno powiedzieć. Może wpychają coś do tych bomb.

Grudzień 1941

Rankiem Mary włożyła płaszcz i zydwestkę, zgasiła papierosa i wyszła na dwór. Chłód sprawił, że znowu zaczęła utykać. Pokuśtykała przez Regent's Park wzdłuż ogrodzenia opustoszałego zoo. Nad stawem z taflą pomarszczoną od kropli deszczu wyciągnięte na brzeg łódki zabezpieczono plandeką. Strażnicy skryli się w altanie dla orkiestry i czekali, aż przestanie padać. Palili fajki; rękawy lub nogawki mieli podwinięte i podpięte w zależności od tego, którą kończynę stracili. Ogołoczone z liści wiekowe dęby podtrzymywały zbolące niebo.

Mary ruszyła przez Marylebone i Fitzrovię, dzielnice, które uniknęły ciężkich bombardowań. Georgiańskie fasady domów straszyły pustką tylko w paru miejscach, a gruz już wywieziono. Deszczówka, w której odbijało się niebo, wypełniła leje po pociskach, sprawiając, że nawet jeśli zburzone domy nie były ozdobą, to przynajmniej zapewniały ciche sąsiedztwo.

Mary doszła do Embankment i ogarnęła wzrokiem szeroką połąć rzeki od Parlamentu po Blackfriars. Teraz już tu nie przystawała, ale nie potrafiła zerwać z nawykiem zakochanych i nie spojrzeć w dół rzeki, ku morzu. Owinęła się płaszczem pod szyją i śpiesznym krokiem podążyła do Lyceum.

Tę porę dnia lubiła najbardziej. Zawsze nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie dotrze na lekcje. W piwnicy mieszkało teraz dziewięcioro kolorowych dzieci. Potrzeba było wojny, by obnażyć serce Londynu, które odpychało białe dzieci i przyciągało czarne. Mary przypuszczała, że kiedy będzie już po wszystkim, panna Vine wróci tu ze swoją szkołą i nauczyciele z rozmysłem będą się zachowywać tak, jakby nic się nie stało. Będą się tym nawet szczycić w prowizorycznych klasach, uznając się za stoików. Nie będą mieli

bladego pojęcia, że życie bumelowało tu bez nich.

Tymczasem w teatrze wykonawcy zrobili sobie przerwę podczas próby. Rozsiedli się na stojących na scenie skrzynkach i złożonych kotarach i palili papierosy.

– Dzień dobry, panno North – przywitał ją Bones.

Mary stanęła pod sceną.

– Dzień dobry, panie Bones. Co tam u minstreli?

– Dziękuję, że pani pyta. Bez zmian, czyli różnie, w zależności od liczby biletów sprzedanych ludziom takim jak pani. A jak tam nauczanie?

– Jak zwykle, dziękuję. Dwa kroki w przód i półtora do tyłu, czyli w sumie pół kroku do przodu.

Bones podszedł do krawędzi sceny.

– Można na minutkę? Czyli, gdyby to ująć w ułamkach, na jedną sześćdziesiątą godziny?

Podeszli razem do ostatniego rzędu i usiedli na opuszczanych fotelach. Ten między nimi pozostał pusty.

– To, co pani robi dla naszych dzieci, jest naprawdę bardzo miłe – zaczął Bones. – Ale niektórzy gadają, że może byłoby lepiej, gdyby nie przychodziła pani codziennie.

Mary uśmiechnęła się.

– Pewnie dzieci tak mówią? Tyle że litery i liczby trzeba ćwiczyć codziennie. Staram się im to urozmaicać, lecz nic nie zastąpi codziennej harówki.

Bones zerknął na swoje dłonie.

– To nie dzieci mówią, żeby przychodziła pani rzadziej...

– Ach tak?

– To nie tak, że nie jesteśmy pani wdzięczni. To, co pani robi, jest niesamowite. Te dzieciaki do niedawna nie umiały czytać, a teraz jeszcze piszą. Niektóre nie chciały mówić, a teraz ciągle upominają się o pieniądze.

– No cóż...

– Ale takie historie nie zawsze dobrze się kończą. Rozumie mnie pani?

– Nie bardzo. Przecież trochę nauki im nie zaszkodzi. Przeciwnie. Kiedy wrócą tu dzieci, które teraz są na wsi, będą musiały się z nimi zmierzyć.

– Nikt nie twierdzi, że nie powinny się uczyć. Tylko, z całym szacunkiem, nie wiemy, czy akurat z panią.

Aktorzy na scenie ćwiczyli jakiś slapstickowy numer z długą deską i innymi niezbędnymi rekwizytami. Mary nie zdawała sobie sprawy, ilu ludzi musi oberwać po buzi, nim coś takiego stanie się śmieszne.

– Rzecz w tym, że robimy tu swoje i nikt się nas nie czepia – ciągnął Bones. – Mamy pracę, teatr, gdzie możemy ją wykonywać, i coś w rodzaju domu dla osieroconych dzieci. Póki jesteśmy tu tylko my, nikt nie zwraca na nas uwagi. Ale jeśli ludzie zobaczą, że kręcą się tutaj biali, to się zainteresują. A dla nas to będzie jak słońce dla wampira, rozumie pani? Życie ma z nami umowę. Wy dajecie nam kąć nocą, a my nie rzucamy wam cieni za dnia.

– Nie przychodzę tu z fanfarami. Korzystam z wejścia od zaplecza, a uczę w piwnicy.

– Do nas może i wchodzi pani dyskretnie, ale czy równie dyskretnie wychodzi pani z domu?

– Nie przechwalam się tym na lewo i prawo, jeśli o to panu chodzi.

– A pani znajomi wiedzą? A pani rodzice?

– Tak, ale...

– I całkowicie to aprobują?

– Nie, ale trudno...

– Potem mówią o tym innym, a ci zaczynają gadać. Czy aby mamy licencję na tyle przedstawień? Czy mamy licencję na wyszynk? Czy te sieroty mają dokumenty adopcyjne i kartki żywnościowe? Tolerują tutaj tę naszą małą grupkę, bo żeby nas rozgonić, musieliby wypełnić masę nudnych papierków. Wybaczają nam, że jesteśmy czarni, póki nikt oficjalnie nas nie zauważy.

Mary spuściła głowę.

– Chcecie, żebym przestała tu przychodzić.

– Nie o to chodzi. Wszyscy bardzo panią lubimy. I proszę nie myśleć, że dzieci przestaną się uczyć. Nie mam pani wykształcenia, ale mówić i pisać umiem. A kierownik trupy może nie nauczy ich matematycznych twierdzeń, ale zna się na rachunkowości.

– A gdybym zaczęła przychodzić rzadziej?

Bones ściągnął usta i zerknął na scenę.

– Dobrze. To może od dzisiaj?

No i wyszła stamtąd, jeszcze zanim zdążyła zdjąć płaszcz. Zastanawiała się, czy wielomiesięczne uzależnienie od morfiny nie osłabiło jej skłonności do sprzeciwu. A może to była kwestia samotności, która hartuje, lecz jednocześnie czyni kruchym.

Zawsze odczuwała lęk, wychodząc z Lyceum i zanurzając się w tłum białych twarzy na Strandzie. Przez chwilę musiała się przyzwyczajać, nim biała skóra przestała wydawać jej się dziwna. Zanim to jednak nastąpiło, miała poczucie, że ci ludzie wyglądają nienaturalnie i odrażająco, jakby wszystkim podano jakiś lek albo wybielono ich chemikaliami. Musiał upłynąć ten moment, nim docierało do niej, że jej miejsce jest wśród nich – moment, gdy czuła się, jakby wstała zbyt raptownie.

Styczeń 1942

Czterej miejscowi, którzy nieśli ciało kapitana Braxtona spod klifu do fortu St Elmo, bardzo się starali, żeby odbyło się to godnie, rozprostowując mu kończyny i zaciągając koszulę na roztrzaskaną głowę. Simonson zrewanżował im się promesą na naftę, po czym zlecił lekarzowi, by umieścić zwłoki w trumnie i zabić ją wyprostowanymi na kowadle gwoździami pozyskanymi z fortowych futryn.

Simonson zgasił coś, co wciąż nazywali papierosem, i ściągnął palcem z języka okruchy gorzkiego tytoniu. Huczało mu w głowie.

Bateria, którą dowodził, bez Braxtona liczyła siedemdziesięciu siedmiu ludzi, a racji żywnościowych wystarczało dla trzydziestu. Oznaczało to, że im więcej żołnierzy stracił, tym więcej pozostali mogli zjeść. Gdy nadciągały bombowce, zastanawiał się, czy wysłać ich w hełmach do schronu, czy w spodenkach gimnastycznych na mury. Zdarzało się, że jakiś oficer brał sprawy w swoje ręce i już na zawsze rozwiewał tę oraz inne wątpliwości, wyruszając o świcie na spacer i nie przystając tam, gdzie kończył się klif.

Simonson przypuszczał, że samobójcom należy współczuć, jednak bardziej nienawidził ich za to, co zrobili. Gdy zabrakło pogody ducha Alistaira, Malta stała się zabójczą dla jego morale, zupełnie jakby z lejów po bombach wydobywał się jakiś niewidzialny jad. Simonson nie cierpiał tych żółtych skał. Ponieważ brakowało jedzenia, palił bez umiaru, aż dym przeniknął wszystkie komórki jego ciała, tworząc się i ulatniając jedynie siłą nawyku.

Od samego rana podwładni dawali mu do wiwatu. Kapitanowie Appleby i Fisk pokłócili się o to, czyje działo bardziej zasługuje na wymianę lufy. Simonson cisnął w korytarzu trzypensową monetę i kazał im za nią gonić, żeby rozstrzygnąć spór. Później stawiał się

u niego porucznik Spencer, przekonany, że teraz, kiedy zrobił się wakat po Braxtonie, to on zostanie kapitanem. Po pięciu minutach wpadł porucznik Cooper, by się upewnić – poszturchując go, jak to absolwent Harrow absolwenta Harrow – że to jego, a nie tego aroganta Spencera czeka awans.

Ciągnęło się to przez całe popołudnie, aż w końcu nastąpił frontalny atak. Polało się morze krwi i siarki i z trzewi twierdzy ruszyli dzielni korsarze. Wśród nich major Huntley-Chamberlain, licząc, że to jego pupil, Ives, zajmie wakujące kapitańskie stanowisko, i major Hall, optujący za Williamsem.

Wreszcie o zmierzchu podpułkownik Hamilton wezwał go do siebie. Pierwszy raz od wielu tygodni Simonson poczuł coś w rodzaju wdzięczności. Widząc jego umartwienie, Hamilton widocznie doszedł wreszcie do wniosku, że już czas nieco go odciążyć. Simonson włożył najczystsza koszulę, zdmuchnął kurz z czapki i pośpieszył do sali operacyjnej.

Gdy zapukał do drzwi, podpułkownik Hamilton uniósł wzrok znad dokumentów.

- Przykra sprawa z tym Braxtonem.
- Potworna, sir.
- Był żonaty?
- Nie, miał tylko rodziców.
- Przynajmniej to. „Zginął w akcji”?
- Napiszę do nich jeszcze dziś wieczorem.
- Świetnie. Siadaj.

Simonson przyjął zaproszenie. Założył nogę na nogę i umieścił czapkę na kolanie. Pewnie na jakiś czas przeniesie go do sztabu. Trudno nazwać to urlopem – chyba że ktoś gustuje w dodatkowej odpowiedzialności – ale Simonson odczuwał ulgę na myśl, że przestanie pełnić bieżące obowiązki dowódcze.

Hamilton znów skupił uwagę na papierach. Przewertował tygodniowy raport kwatermistrza i najwyraźniej przymierzał się, żeby przeczytać go w całości. Simonson poczuł lekki niepokój. Im dłużej każe się komuś czekać, tym mniej radosny efekt

oczekiwania. Major wbił wzrok w wiszącą na ścianie mapę wyspy, jakby mogło mieć to jakiś wpływ na przerwanie blokady.

Hamilton zakończył przeglądanie raportu, wziął do ręki czerwony ołówek i zaznaczył swoje uwagi na marginesach – wydać gros ciastek, trzy dekagramy aspiryny dla izby chorych. Wreszcie zdjął okulary, zapalił papierosa i podsunął Simonsonowi napisaną na maszynie kartkę.

– Możesz mi to wyjaśnić?

Odchyliwszy się na krześle, wpatrywał się w Simonsona, który przebiegał pismo wzrokiem. Było to zeznanie podoficera z Luqa, który przyznał się, że przyśpieszył ewakuację Heatha na rozkaz dowództwa Artylerii Królewskiej.

Simonson spojrział na podpułkownika Hamiltona.

– Biedak opacznie mnie zrozumiał. Nie naciskałem na niego i, rzecz jasna, nie wydałem takiego rozkazu.

– Czyli musi być wyjątkowo głupi.

Simonson blado się uśmiechnął.

– Bawi cię to, Simonson?

– Miałem nadzieję, że usłyszę tu jakieś dobre wieści.

Hamilton wstał i podszedł do wąskiego, zakratowanego okna. Odwrócony tyłem wyjrzał na pociemniały dziedziniec, gdzie czterystu żołnierzy na rozkaz leżało pokotem, żeby nie tracić sił.

– Wiem, że się przyjaźniliście. Opalaliście się razem, żeglowaliście.

– Staram się być miły dla wszystkich kolegów oficerów.

– Nie zalewaj. Trzymaliście się razem jak para złodziei.

– Nie do końca. Traktowałem go tak samo jak innych.

Wypowiedziawszy te słowa, przez chwilę zamiast głodu poczuł coś jakby wstyd. Jak miło było gawędzić z Alistairem, popijając piwo, które pozwalało zapomnieć o obowiązkach. Leżeli rozwaleni na słońcu jak para szczeniaków i zrywali boki ze śmiechu. Ten ich stan łaski wyczuwał nawet nieprzyjaciel. Dłonie pilotów myśliwców pozostawały nieruchome na dźwigniach odpalających pociski. O centymetry mijali miny, o ułamki sekund między spadającymi

gwiazdami.

– To ważne stwierdzenie – ocenił Hamilton. – Jesteś pewien, że się nie przyjaźniliście?

– Jeśli już musi pan wiedzieć, to traktowałem go nieco z góry. I nawet jeśli czasami czyniłem jakiś wysiłek, to tylko dlatego, że było mi go żal.

– Żeby było jasne: uważałeś, że nie dorównuje twojej pozycji społecznej?

– Tak, choć to nie jego wina. Ale do tego to się sprowadzało. Nie on pierwszy zamieszał w papierach, żeby stąd prysnąć.

– Ale był pierwszym z naszego wyjątkowego pułku. Mam nadzieję, że dostrzegasz różnicę.

– Oczywiście, sir.

– Czyli to on pociągnął za sznurki, a ty nie miałeś z tym nic wspólnego?

– Pewnie że nie.

– Czy gdybym zadał to pytanie jemu, odpowiedziałby, że to twoja sprawka i że on sam nie maczał w tym palców?

– Jeśli ma trochę oleju w głowie, to mam nadzieję, że właśnie tak by odpowiedział.

Obaj mierzyli się wzrokiem, gdy tymczasem finał wojny przybliżył się o minutę.

– Rozumiem – przerwał wreszcie ciszę Hamilton.

– Bardzo mi przykro.

– Wiesz, na czym upływają mi teraz dni? Kwatera główna przekazuje mi rozkazy, które są niemal niewykonalne. Spełnić normy kaloryczne, zaleczyć śmiertelne rany, unieważnić działanie praw natury, jakbyśmy nie byli żołnierzami, tylko świętymi.

– Pamiętam czasy, kiedy byliśmy ludźmi.

– Tak. I pewnie wtedy nie pozwolilibyś, żeby Heath się urwał.

Simonson przymknął oczy. Tydzień temu dostał list od znajomej, Catherine. Liczyła, że dobrze się bawi. Pamiętał ją z Oksfordu. Jej włosy pachnące truskawkami. Ich płaskodenną łódkę dryfującą wśród łąk Cherwell. Jego radosne niewprawne zmagania z wiosłem.

Letnie słońce utrwalające to wspomnienie i jej salwy śmiechu.

Tymczasem za oknem rozpoczął się kolejny nalot. Dziedziniec opustoszał, wszyscy rzucili się do dział.

Simonson wstał.

– Muszę wrócić do żołnierzy.

– Zostań. Na cholere im ktoś taki jak ty?

Simonson usiadł. Spadające bomby trzęsły ziemią. Głowa rozbolała go jeszcze bardziej. Czuł, że zaraz pęknie mu czaszka. Zakrwawieni, rozchełstani oficerowie zaczęli przybiegać z meldunkami – łączność ze sztabem odcięta, działo numer dziewięć zniszczone, Grandfield i Barlow nie żyją.

Hamilton siedział za biurkiem i przyjmował ich relacje.

– Zrozumiałeś to wreszcie? – spytał Simonsona w przerwie między eksplozjami. – Wiesz już, jaki jest mój punkt widzenia? Mamy całą noc. Chcesz tu siedzieć, proszę bardzo.

Kolejne meldunki.

– Spójrz – rzucił Hamilton, podsuwając mu raport strat. – Celowniczy działa numer dziewięć, wiesz, ten z Newcastle. Oberwało mu stopę. Przydzielimy mu numer w kolejce, czy może uruchomimy znajomości?

Simonson przytrzymał głowę, która rozpadała się na kawałki.

– Ciekawe – odezwał się Hamilton, odłożywszy słuchawkę telefonu. – Mamy drugiego rannego po tej samej eksplozji. To...

– Już dobrze. Wyraził się pan wystarczająco jasno.

Ta wojna będzie ich mielić, aż zostanie tylko ta gorzka i ponura furia, która rozsadza mu głowę. Ta wojna obnaży ich serca, tak jak obnaża teraz własne – rozwścieczone, rozżarzone, niepokieszone.

Bombardowanie ustało, działa zamilkły. Zanim rozbrzmiał dzwonek odwołujący alarm, usłyszeli popierdywanie umykających na samym końcu uszkodzonych bombowców.

– Mam nadzieję, że spojrzysz pan na to również z mojego punktu widzenia – powiedział Simonson. – Dla kogoś bliskiego zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

– Bez względu na jego pozycję społeczną?

- Bez względu na miejsce w kolejce do ewakuacji.
 - Rozumiem. Czyli poszedłeś dla niego na skróty. Nie twierdzą, że to nienaturalne, ale z pewnością nieprzystające. Oficerowi.
 - Do niczego się nie przyznaję – odparł Simonson.
 - Zatem będziemy działać zgodnie z regulaminem. Jeden z was pociągnął za sznurki, a skoro nie ty, to logika wskazuje na to, że on. Powiadomię o tym dowódcę garnizonu w Gibraltarze, a on porozmawia z Heathem. Jeśli Heath ma trochę oleju w głowie, jak to ująłeś, to wszystkiego się wyprze i obaj będziecie kryci. Przypuszczam, że się wyprze, a ty?
- Simonson obracał w rękę czapkę.
- Teraz brakuje nam jeszcze tylko pewności, czy Heath okaże się tak samo cyniczny jak ty – ciągnął Hamilton. – W przeciwnym wypadku zachowa się honorowo, przyzna się do winy i odsiedzi dwanaście miesięcy w najsmutniejszym więzieniu w całym Imperium Brytyjskim. W takim stanie może nawet nie przeżyć.
 - Ja naprawdę to rozumiem.
 - W takim razie daję ci czas do rana, żebyś to przemyślał. Wtedy dasz mi odpowiedź. Odmaszerować.
- Simonson obrócił się w drzwiach.
- Dlaczego pan to robi, sir?
 - Nie robiłbym, gdybyśmy mieli chleb. A tak mogę dać żołnierzom wyłącznie poczucie sprawiedliwości.

*

Simonson usiadł na pryczy w swojej kwaterze. Z morza wychynął pokancerowany księżyc. Simonson wolałby go nie zobaczyć. Gdyby słońce i księżyc nie pojawiały się tak regularnie na horyzoncie jak odwiedzający w szpitalu, wreszcie pozbyłby się wszelkich trosk. Żałował, że Niemcy się nie przyłożyli i nie stracili do morza na dobre ich obu.

Ordynans przyniósł kolejną stertę papierów i ułożył ją schludnie na biurku. Alistair podarował Simonsonowi swój dzem z jeżyn. Ten

docisnął teraz słoikiem zalegające na blacie dokumenty. Przetarł zmęczone oczy i usiadł, by przygotować jutrzejszy grafik obsady dział. Dział numer jeden – pełny skład, dział numer dwa – połowiczny, dział numer trzy... Nieważne. Magazyny amunicji i tak były puste.

Wzrok Simonsona powędrował w stronę słoika z dżemem. W poświacie księżyca jego głęboki rubinowy kolor rozbudził w nim głód. Nie mógł oderwać od niego oczu, w ustach pojawiła się ślina. Simonson splunął i zapalił kolejnego gorzkiego papierosa.

Jeśli Alistair okaże się zbyt głupi, by wszystkiego się wyprzeć, to jego sprawa. Po niespodziewanie upokarzającej rozmowie z Hamiltonem Simonson cały się trząsł. Jak Alistair mógł postawić go w takiej sytuacji? Jak gówniarz z podstawówki – najpierw wali w drzwi, a kiedy się otwierają, nie wie, jak ma się zachować.

Wzrok Simonsona znów zatrzymał się na słoiku z dżemem. Ale nawet jeśli Alistair go wkurzył, to zjedzenie dżemu oznaczałoby zdradę. Simonson miał go zachować i podzielić się nim z Alistairem po zakończeniu wojny. Lecz nikomu przecież nie stanie się krzywda, jeśli odkręci pokrywkę i go powącha. Nie ubędzie od tego ani trochę dżemu. Ile to już miesięcy, odkąd wacha wyłącznie dym? Z dział, papierosów, fajek, pożarów na lądzie i wodzie i z maskujących zasłon dymnych. Był ciekaw, czy jeszcze potrafi wyczuć inne zapachy. Odkręcił pokrywkę i głęboko wciągnął powietrze. Spróbował jeszcze raz. Nic.

Obydwie możliwości – że dżem jest bezwonny lub że Simonson stracił umiejętność rozpoznawania zapachów mniej ostrych niż woń dymu – wydawały się równie przygnębiające. Zakręcił słoik i znów wziął do ręki pióro, ale był zbyt wygłodniały, by wypełniać papierki.

A może Alistair wszystkiego się wyprze i obaj będą kryci? Simonson rozważył tę ewentualność i zapłonęła w nim nadzieja, która jednak szybko zgasła. To oczywiste, że Alistair tego nie robi.

Wzrok Simonsona po raz kolejny spoczął na słoiku z dżemem. Jeśli stracił zmysł węchu, to ciekawe, co jeszcze. Wiadomo, że

nerwica frontowa paraliżuje wszystkie zmysły, jeden po drugim. Simonson najbardziej bał się utraty siły woli. Mówią, że odpuszcza po trochu, nim kompletnie sięgnie. Poczł przyplłw paniki. A jeśli stracił smak?!

Ponownie odkręcił pokrywkę, nabrał dżemu na niezatemperowaną końcówkę ołówka i spróbował.

Wszędzie na tej jałowej wyspie w lejach po bombach zbierała się deszczówka. Przelewała się, uwalniając zalegający w nich jad, póki woda nie stała się słodka. Wkrótce zaczęły w nich rozkwitać pierwsze zielone algi. Małeńkie stworzonka, cudaczne i zdolne do przemieszczania się, obficie się mnożyły. Ich drobne ciała trzęsły się od nieskyszalnego śmiechu. Żyły i umierały, a ich powtarzalne kształty pleniły się coraz głębiej. Osad stawał się coraz bogatszy, zakorzeniły się w nim rośliny, które pięły się w poszukiwaniu światła, przemieniając się w maści, trucizny i lilie. Ich liście rozwijały się, a pręciki zanosily się śmiechem. Przyleciały zięby i na nich przysiadły – liście drżały, a ptaki bujały się jak akrobaci i ich śmiech przeszywał powietrze. Znów przyszyły deszcze, pory roku i przedwieczory ze światłem tak delikatnym i migotliwym, że śmiech wzbudzał na nim zmarszczki i przemieniał światło w wijące się ciała kochanków. Catherine spojrzała na niego, a rzeka toczyła się zakolami wśród łąk.

Simonson chwycił się za głowę. Była to najcudowniejsza rzecz, jakiej kiedykolwiek posmakował. Jakże był znużony, jakże zagubiony.

Zakręcił słoik i ustawił go z powrotem na stercie dokumentów. Stare sprzęty znajdują nowe zastosowanie. Powie Hamiltonowi prawdę i skończy jako sierżant, wrzeszcząc na niedopięte guziki i niewypastowane buty.

O świcie ogolił się, uczesał i zszedł do sali operacyjnej.

– Sir, Heath o niczym nie wiedział. Stracił ostatnio rękę i Briggsa, z którym się przyjaźnił. Nie był w stanie podejmować właściwych decyzji. To ja wydałem mu rozkaz, żeby odwiózł obraz do kościoła. Briggs i ciężarówka idą na moje konto. To ja kazałem Heathowi

wracać do domu. On nie brał w tym żadnego udziału, podobnie jak szefostwo służb medycznych. Powiedziałem im, że to rozkaz z góry.

Hamilton wyszedł zza biurka i uściśnął mu dłoń.

– Douglas, rozumiesz, że muszę to wszystko napisać w raporcie? Że to twoja wina?

– Rozumiem, Fraser. I z przykrością muszę cię prosić, żebyś to zrobił.

– Teraz przynajmniej odpoczniesz.

Simonson spróbował się uśmiechnąć.

– Przynajmniej to.

Hamilton westchnął, usiadł i pochylił się nad mapą Malty.

– Teraz możemy swobodnie porozmawiać. Co byś zrobił, gdybyś to ty dowodził? Zważywszy na siły i zapasy, jakimi dysponujemy, oraz na fakt, że nieprzyjaciel może dokonać desantu praktycznie wszędzie.

Simonson przyjrzał się mapie.

– Myślę, że spytałbym o to żołnierzy, sir.

Hamilton zamrugał.

– Nigdy nie miałem cię za takiego demokratę.

– To znaczy, spytałbym, którzy zgłoszą się na ochotnika. Są wśród nich tacy, którzy się poddadzą przy pierwszej nadarzącej się okazji. Bez sensu zmuszać ich do walki, skoro potrafią znieść życie w niewoli. Inni wolą stawić opór, mimo że wynik tej potyczki jest przesądzony. Myślę, że wszyscy jesteśmy tu już na tyle długo, że wiemy, jaką decyzję podjąć.

– Czyli podzieliłbyś nasze siły?

– Na dwa obozy. Jeden się podda, drugi będzie trwał.

– A w którym z nich ty byś się znalazł?

Simonson uśmiechnął się.

– Kto wie, co wymaga większej odwagi: śmierć na polu bitwy czy byle jakie życie? Przypuszczam, że dzielimy się mniej więcej po równo.

Hamilton zmarszczył brwi.

– Sęk w tym, że mamy tylko tę jedną wyspę.

Marzec 1942

Pierwsza silna, wiejąca z południowego zachodu wichura tego roku przywiała do Londynu Amerykanów. Przyjechali ciężarówkami z Southampton. Sunęli potężnym konwojem i poszerzali drogi tam, gdzie było trzeba, wyburzając zbombardowane domy wielkimi buldożerami, które przywieźli ze sobą z Maine. Kiedy dotarli do stolicy, zdziwili się, że jest taka maleńka, choć ich oficerowie byli zbyt uprzejmi, by o tym wspominać. Główne londyńskie atrakcje na ich zdjęciach wyglądały na większe. Sami Brytyjczycy też byli jacyś mali.

– Proszę to powtórzyć jeszcze raz z tym waszym akcentem – poprosił porucznik, który spytał Mary o drogę.

Spełniła jego prośbę i oboje wybuchnęli śmiechem. Odkrycie, że mówi z akcentem, było dla niej całkiem nieoczekiwane i piękne.

Mary zobaczyła toczącą się StranDEM kolumnę, kiedy szła do Lyceum. Dzieci już wyległy z teatru i się jej przyglądały. Pomysł, że zechcą się uczyć w taki dzień, był z miejsca skazany na porażkę, więc do nich dołączyła. Ustawily się w równiutkim szeregi na chodniku, od najstarszego do najmłodszego, i machały amerykańskimi flagami, które same przygotowały.

– Skąd tu tylu czarnych? – spytał ją porucznik.

– Przekona się pan, że tutaj niemal wszyscy są kolorowi. Nie mówili wam o tym na pogadankach?

Porucznik spojrział na nią, zdumiony.

– Nie, proszę pani.

– Dziwne. Aż do szkockiej granicy jesteśmy czarni jak smoła. Dopiero po drugiej stronie ludzie robią się bledsi.

– No a pani?

– Jestem albinoską. Niech się pan nie martwi. To nic takiego,

naprawdę. Wystarczy przywyknąć do prześladowań.

Mary przykazała swoim uczniom, żeby oddali mu honory, kiedy wsiadał do ciężarówki, śmiejąc się i kręcąc głową. Później zwróciła się do Zachary'ego:

– Spodziewałeś się, że będą właśnie tacy?

– Myślałem, że będą jak mój tata – wyznał ze smutkiem, który przygasił nieco jego nonszalancję.

Mary powstrzymała uśmiech. Przecież faceci są jak puste kapelusze, z których wyskakują króliki za pomocą wyuczonych sztuczek.

– Myślałeś, że przyjadą w białych rękawiczkach i będą grać na fortepianach?

– Myślałem, że będzie wśród nich trochę czarnych.

– Hitler utworzyłby osobne oddziały, żeby z nimi walczyły. To snob.

– Spójrz, ilu ich tu jest!

– I wszyscy po to, żeby nas uratować. Już mogę ci powiedzieć, jak bardzo się bałam.

– Bo teraz wygramy, prawda?

– Wiem jedno. Dobrze nie być osamotnionym. Sami pewnie długo byśmy nie przetrzymali.

– No a ty?

– Ja nie jestem sama. Mam przyjaciół i rodzinę. – Spojrzała na niego. – I mam...

Dotknął jej ręki.

– Gdybyś mnie potrzebowała, zawsze mogę przyjść i ci pomóc. Gdziekolwiek będę, jeśli spytasz o mnie w teatrze, znajdą mnie.

Mary uśmiechnęła się. Jakie to urocze w jego wieku, pomyślała.

– Dziękuję, ale dam sobie radę. Już nie mogę...

Nie dokończyła, widząc, jak usilnie się w nią wpatruje. Tymczasem konwój wciąż sunął. Kiedy zrobi się luka, dzieci przebiegną na drugą stronę ulicy, a ona zostanie tutaj. Dotarło do niej, że odtąd tak właśnie będzie. Konwój podąży dalej, a ona nie. Takim prawdziwym momentom w życiu zawsze towarzyszy

smutek, bo trzeba je synchronizować z codziennością – z rozkładem jazdy pociągów i przerwami w ruchu.

– Cóż, dziękuję.

Okazja nadarzyła się po paru minutach – przerwa w strumieniu pojazdów. W pomruku silników znów słychać było gwar rozmów. Wystarczyło jedno spojrzenie – teraz! Nie było czasu, żeby się zastanawiać – dzieci przebiegły na drugą stronę ulicy. Po chwili znów pojawili się żołnierze w dwutonowych ciężarówkach, które przesłoniły Mary widok. Nieprzerwana rzeka Amerykanów, którzy postawią tamę rozlewającemu się po ziemi złu. Wszyscy zadawali sobie pytanie, jaką cenę przyjdzie za to zapłacić, ale mówiło się, że przywieźli ze sobą zapasy paliwa i jedzenia, które wystarczą na dwa lata. Amerykańskie buldożery warczały, a z ich rur wydechowych leciały czerwone iskry. Konwój nie miał końca. Asfalt trzeszczał, dzieci wiwatowały. Długa blokada Londynu została przełamana.

Żołnierze stali na pakach ciężarówek na szeroko rozstawionych nogach i z werwą salutowali dzieciom. Unosili brwi zdumieni ilością gruzu na ulicach, z którego wycieńczeni miejscowi nie zdołali jeszcze wskrzesić domów. Amerykańscy żołnierze byli postawni, otrzymywali pełne racje żywnościowe i najwyraźniej nie pojmowali, dlaczego w języku angielskim w ogóle istnieje takie słowo jak wycieńczenie. Mary słyszała, jak wołali jeden do drugiego, przekrzykując warkot silników: „Jak to możliwe? Jak to możliwe, że zostawili to takie porozwalane?”.

Kwiecień 1942

Po czterech dniach poszukiwań w Archiwach Państwowych Zachary znalazł wreszcie nazwisko swojego ojca. Nie prosił nikogo o pomoc, bo jej nie potrzebował.

Wraz z wiatrem nadciągnął deszcz. Zachary trafił w aleję obrośniętą kasztanowcami i schronił się pod najokazalszym z drzew. W przerwach między jedną ulewą a drugą na niebie pojawiało się słońce, którego promienie nasączały liście zielonkawym światłem. Kawki dziobały ziemię przy brzegach alejek i podskakiwały między nagrobkami, wygrzebując skuszone przez deszcz dżdżownice.

Obok nazwiska jego ojca, które tak dobrze znał i od razu rozpoznał, widniał napis: EHZT NOLNOD CMETYRE. Zachary skrzywił się, czytając te słowa w archiwum. Ale przecież czasami mu się poddawały. Łypnął na napis kątem oka, próbując je zaskoczyć. EZTA NALDON MCETYRE.

Wiatr wkrótce przewieje deszcz. Kawki dłubały w mchu wyrastającym na grobach spod żwiru. Zachary zapalił papierosa. Czekał na deszcz, bo chciał być tu sam.

EATS NNLDNN CEMTHGY. Zbliżył do siebie kciuki, żeby wyodrębnić litery, tak jak uczyła go Mary. Umieszczał je w więziennej izolatce i kolejno im się przyglądał, przesuwając kciuki. E... A... S... T. Powtórzył sobie to słowo, po czym poddał drobiazgowemu przesłuchaniu wszystkie trzy. EAST LONDON CEMETERY. Obok adresu zaznaczono numer zbiorowego grobu.

Deszcz ustał. Z liści kasztanowca ściekały krople wody, w których odbijało się miasto. Zachary wyszedł spod drzewa i ruszył pomiędzy ponumerowanymi mogiłami położonymi na skraju cmentarza. Tyle świeżo skopanej ziemi. Szybciej zarośnie zielskiem niż trawą.

Miejsce, w którym leżał jego ojciec, oznaczono pięciocentymetrową metalową tabliczką umieszczoną na drewnianym słupku. Grób miał wymiary siedem metrów na trzy, a jego granicę wyznaczały paliki i zielony sznur. Nie wiadomo, ile osób w nim pochowano. Zachary chwilę tam postał. Mogiłę porastały dmuchawce. Pachniała mokrą ziemią.

– Przepraszam, że tak długo mi to zajęło.

Stojąc w światłach rampy, jego ojciec kończył każdy występ słowami: „Dla tych, którzy nie mogą tu dziś z nami być”.

Zachary pstryknął niedopałkiem. Teraz mógł już zacząć. Spróbuje na południu, po drugiej stronie Tamizy. Podobno jest tam sporo takich jak on. Na tamtym odległym brzegu czekało na nich zrównane z ziemią rumowisko. A gruzami nikt się nie interesuje, oprócz nich. To miejsce nie przyciąga światła, nie ma w nim obietnicy, jest tylko to, co każdy ze sobą przyniesie.

Próbował opanować strach. Londyn był jak piorun na niebie, jak ostatnia krwawa godzina mlecznego zęba. Był miastem, które skonałoby, byle tylko zacząć wszystko jeszcze raz.

Maj 1942

Hilda nalala herbatę, oparła łokieć na kuchennym stole i ponownie przeczytała list od Simonsona.

Byłaś dzielna, załączając zdjęcie do swojego ostatniego listu. Koszmar – musisz być zdruzgotana. Koniecznie zrezygnuj z tej fryzury à la Pompadour. Co do blizn, to nie bardzo wiem, o co ci chodzi, bo prawie ich nie widać. Zresztą, to tylko twarz – właśnie dlatego wszyscy mamy przydział na dwie.

Przytulila blankiet do policzka. Pachniał papierosami i workami na listy. Za otwartym oknem gruchały gołębie, jak to one, miękko, nieco terapeutycznie, jakby ich odgłosy miały oczyszczać zawiedzione serca kochanków.

Nie mając pod ręką zdjęcia, Simonson naszkicował Hildzie granatowym atramentem swój autoportret. Był na nim wymizerowany, miał brodę, bardziej rozbitek niż wojskowy. Na rysunku nosił mundur sierżanta i wrzeszczał podczas parady na żołnierzy. Hilda wzruszyła się, że Simonson tak bardzo przeżywa swoją degradację. Postanowiła, że uszyje mu różne insygnia własnego pomysłu, które będzie mu przysyłać w następnych listach.

Piszesz, że Alistair bardzo sprytnie zachęcił nas do korespondowania, choć nie uważam, by był specjalnie bystry. Wykazał się jedynie prostym skojarzeniem wizualnym, gdyż Ty jesteś dosyć ładna, a ja uderzająco przystojny. Pragnę również sprostować wszelkie kłamstwa, którymi mógł Cię karmić. Pewnie utrzymywał, że koresponduję z paroma

dziewczynami, gdy – w istocie – rezerwuję swój atrament wyłącznie dla Ciebie.

Hilda uśmiechnęła się. I co z tego, że pisywał z kim popadło? Zdaniem Hildy jego listy były beztroskie, urocze i tak świeże jak Londyn w maju.

Przez okno wpadały odgłosy ulicy. Pod zaporą z balonów zakochani kończyli za siebie nawzajem myśli. Wyciągnięto z szaf letnie sandały, a spódnice skrócono o cztery centymetry. Stolica przypomniwała sobie samą siebie. Hilda przytknęła powieki i wdychała woń listu. Jak dobrze byłoby się zakochać – jakież byłoby to doskonale, jakież odwiecznie nowe!

Czerwiec 1942

– Jestem jak fortepian – wyznała Hilda. – Tylko mężczyźni mogą mnie poruszyć.

– I co z Simonsonem?

– Poczta to wygodny sposób komunikowania.

Siedziały w Ritzu, przy stoliku, przy którym mogli je widzieć przechodnie. Mary rozczapierzyła dłonie na nieskazitelnym obrusie.

– Tyle że zawsze są kłopoty z doręczeniem. Dlaczego jestem taka spięta?

– Bo za mało wypiałś – oceniła Hilda, pstrykając palcami, gdy tylko zdiagnozowała problem.

Na stoliku wylądowały dwa kolejne dziny z wodą sodową i sokiem.

– Dzięki, że tu ze mną przyszedłś – powiedziała Mary. – Wiem, że to głupie, ale nie mogłabym czekać na niego sama.

Strąciła popiół z papierosa, który nie trafił do popielniczki, i przesunęła wazon z kwiatami, żeby odbijał światło z żyrandola wiszącego pośrodku sali.

– Powiedział, o której będzie?

– Przyjedzie prosto z dworca Waterloo, a dotarł tam o dziewiątej.

– Czyli lada chwila. Przestań się wiercić, bo poproszę kelnera o eter.

– Zależy mi, żeby wszystko było idealnie, kiedy tu wejdzie. Nie chcę go zniechęcić jakimś drobiazgiem.

– Nie zraził się, kiedy napisałam mu, że jesteś wrakiem, więc nie sądzę, by zniechęcił go popiół na obrusie.

– Masz rację – przytaknęła Mary, choć w duchu uznała, że Hilda się myli.

Serce to istota dwukomorowa, stoicka, ale i płochliwa. Może jego serce zniosło lata rozłąki i gwałtownych odmian losu, by teraz poczuć odrazę z powodu źle ustawionego wazonu, smugi szminki na zębie lub jednej dziesiątej grama popiołu?

– Już dawno miałam cię o to spytać. Gdzie kupiłeś ten kapelusz? – zainteresowała się Hilda.

– W White's, w Burlington Arcade. Podoba ci się?

– Zaraz go schrupię.

– Dziękuję. Te pióra to prawdziwy feniks.

– Sukienka też w sam raz. Nieco głębszy dekolt i wyglądałoby, że chcesz; nieco płytszy i wyglądałoby, że nie.

Hildzie w dobrej formie trudno się było oprzeć. Poza tym miło było wrócić do Ritza, który najwyraźniej wybaczył Mary szybciej niż jej rodzice. Umieci tu uhonorować gościa jak nigdzie indziej, o czym ten przypominał sobie, kiedy wytrzeźwiał. Siedzący przy fortepianie pianista akurat grał Schumanna.

Mary zaczynała wierzyć, że wszystko ułoży się jak najlepiej. Po tym jak Alistair został oczyszczony z zarzutów i czekał na statek, pisywali do siebie co tydzień. Jej listy były pełne przeprosin, a jego – wyrozumiałości. Wyznała mu, że nie skorzystała z szansy, by namówić ojca, żeby ten wystosował pismo w sprawie skrócenia jego kary. „Gdyby nie Twoje ideały, byłabyś jak te dziewczyny sączące szampana w Black's”, odpisał. Jemu samemu trudno było uwierzyć, że nim nie gardzi za to, że wepchnął się do kolejki żołnierzy do ewakuacji. Ale może właśnie tym była miłość za drugim podejściem – przekonaniem, że żadne z nich nie ma drugiemu za złe tego, co było koniecznością tam i wtedy.

W świetle żyrandola mężczyźni w garniturach ciągnęli do ich stolika, obierając dziwaczne trajektorie wyznaczone przez przyciągającą siłę żądz i odpychającą siłę dobrych manier. Dostrzegali twarz Hildy, gdy byli już za blisko, i odwracali się na pięcie. Niektórzy mieli już przygotowane słowne gambity, lecz w ostatniej chwili je połykali. Inni prezentowali mniej lub bardziej udane sztuczki, by dać do zrozumienia, że właśnie zmierzają do

toalety.

Hilda wejrzała w głąb trzeciej szklanki z dżinem.

– I tak będzie przez całe moje życie.

– Nie mów tak.

– Trudno mi o optymizm. Czy oni myślą, że cała jestem taka pocięta?

Mary była na tyle wstawiona, że odważyła się dotknąć blizn przyjaciółki. Czym je posmarowałaś? Maścią gojącą?

– Podkładem!

Mary cofnęła rękę.

– Wybacz.

– I tak niewiele pomaga. Nawet gdybym włożyła maskę karnawałową, i tak byłoby je widać.

– I co z tego? Do diabła z tymi kombinatorami i obibokami. Miliony lepszych od nich wrócą z frontu i nie będą szukali dziewczyny, która zbijała bąki. Simonson ujrzy pod tymi bliznami ciebie.

– Pewnie nawet nie spojrzy. Żeby nie wróciły złe wspomnienia.

Mary odchyliła się na krześle, wypuściła dym i patrzyła, jak się unosi.

– Właściwie o jakim mężczyźnie marzysz?

– Wysokim, dowcipnym, takim, który nie był w szkole prymusem i nie wyrywał skrzydeł pszczołom.

– Pytam poważnie. Kiedy wojna się skończy i jeśli ją wygramy...

– Pewnie, że wygramy. Teraz, kiedy weszli Amerykanie?

– Ale sporo spraw trzeba będzie uporządkować. Nie chodzi tylko o odbudowę. Trzeba będzie złożyć to społeczeństwo do kupy, i to w jakiejś lepszej konfiguracji.

Hilda prychnęła.

– Co?

– Oczekujemy od mężczyzn zupełnie czegoś innego. Ty chcesz takiego, który pomoże ci zreformować kraj.

Mary uśmiechnęła się.

– A ty...?

– Chcę, żeby był wysoki i nie sztywniał po jednym drinku. Albo nie, im sztywniejszy, tym lepszy.

Mary powiodła wzrokiem po stolikach. Okryte białymi obrusami światy kręcące się po orbicie wokół żyrandola pośrodku sali, a przy każdym jego księżyce, kobiety i mężczyźni, roześmiani, pijący, przesłaniający i zaćmiewający siebie nawzajem, pomyślała. Jacy my wszyscy niesterowni, jakże ulegli wobec nieokiełznanych mocy.

Hilda dotknęła jej ręki.

– Chyba cię nie zdenerwowałam?

– Ależ skąd.

A jednak coś w niej tępnęło. Przez długie miesiące tak mocno uczepiła się tego uczucia, że nawet nie brała pod uwagę przerażającej możliwości – że wcale nie kocha Alistaira, że jego jedyną zasługą jest to, iż poznał ją, zanim się rozsypała, a jej największym tchórzostwem to, że nie przyznała mu się do tego, że skarłowaciała. Nie była już tą dziewczyną, która spacerowała pośród spadających bomb, jakby to była mżawka. Utraciła swoją wyjątkowość i kiedy Alistair to zauważy, on też już nie będzie jej kochał.

Zaczęła nerwowo splatać dłonie pod stolikiem. No bo jak dobrze się znali? Nie dane im było dojść do tej miłości małymi, dającymi się cofnąć kroczkami, nie szli ku niej poprzez taniec i kolacje, podczas których radość niepostrzeżenie staje się świętem. Łączyły ich tylko naloty, przelotne spotkanie na dworcu Waterloo i niecały kilogram listów, które ktoś może znaleźć pewnego dnia w walizce na strychu przerabianym na mieszkanie i wyrzucić do pojemnika wraz ze starymi książkami i kubkami.

– Skąd ta ponura mina? – spytała Hilda.

– Nie żartuj.

– Denerwujesz się.

– To tylko... A jeśli... Hilda, ja ledwo pamiętam jego twarz.

– Panikujesz, głuptasie.

– Myślisz?

– Trochę się spóźnia i tyle, a ty od razu... jakbyś stała przed

ołtarzem. Idę o zakład, że się nie zmienił. Pewnie właśnie grzmotnął sobie w pubie za rogiem setkę dla kurażu. Oddychaj. Świetnie. Oddychaj głęboko.

Mary poczuła się trochę lepiej. Kelner przyniósł drinki, co jeszcze wzmocniło efekt.

– Posłuchaj – podjęła temat Hilda, zlizując dzin ze słomki i wywijając nią przed oczami Mary. – Powinnaś wyjąć jego zdjęcie.

Mary wybuchnęła śmiechem.

– Nie będę tu siedzieć i się w nie wpatrywać.

– Wiesz, jaki jest twój problem? – ciągnęła Hilda, grzebiąc w torebce Mary. – Matka kompletnie namieszała ci w głowie. Spójrz! – zachęciła ją, rzucając podobiznę Alistaira w kolorze sepii między grudki popiołu a barowe podkładki. – Popatrz na niego i powiedz mi, że nie jesteś zakochana.

Ileż to razy Mary wpatrywała się w tę fotografię. Kiedyś po prostu ją cieszyła.

– Czy ja wiem...? – rzuciła markotnie. – I co mam ci powiedzieć?

– Że jest piękny! I że go kochasz. Nic więcej.

– Minęło już tyle czasu i jestem taka rozkojarzona. Właściwie nie pamiętam...

– To sobie przypomnij. Tę iskrę. Ten moment, kiedy spojrzałaś mu w oczy i pomyślałaś: „Nie chcę innego”. Ja pamiętam doskonale.

Mary wpatrzyła się w zdjęcie Alistaira. Nie wypadało jej się przyznać, że to nie były jego oczy, tylko plecy. Przekonała się, że chce być tylko z nim, kiedy odwrócił się od niej na peronie dworca. Poczula wtedy, jakby wypadło jej serce i że już nie zdoła go złapać. Kiedy nadszedł czas, by ruszył na wojnę, pierwszy i ostatni raz miała pewność, że to miłość.

Emocje da się nazwać dopiero, gdy coś się kończy. Teraz wokół niej był świat białych stolików, które zachęcały, by zaczęła jeszcze raz. I Alistair, przed którym portier właśnie otworzył drzwi, wysoki i wychudzony, okraszony światłem żyrandola. Alistair w mundurze, uśmiechnięty i niepewny, z prawym rękawem dopiętym do marynarki. Alistair, który napotkał jej wzrok.

Mary wstała, przewracając szklankę. Dżin ściekł po obrusie. Czerwień pluszowej wykładziny stała się jeszcze czerwiejsza.

– Alistair – szepnęła, tak przejęta, że zapomniała go uściskać i tylko niedorzecznie wyciągnęła rękę, co gorsza prawą; on podał jej lewą.

– Witaj, Mary.

Uwolnili dłonie. Alistair uniósł, po czym bezradnie opuścił rękę.

– Wybacz mi spóźnienie. Niemcy.

Udało jej się roześmiać. Jemu też.

– Cześć, Alistair – powiedziała Hilda. – Może być dżin?

– Dżin? Jak najbardziej. Witaj, jak się masz?

– Zaraz wrócę – rzuciła Hilda, zostawiając ich samych.

– Jej twarz... – zdumiał się Alistair, gdy Hilda ruszyła do toalety.

– Szrapnel – wyjaśniła Mary.

Kelner przyniósł dżin. Alistair pociągnął łyk trunku, skrzywił się i szeroko rozwarł powieki.

– Smakuje? – spytała Mary.

– Już prawie zapomniałem, o co walczymy. Wyglądasz jeszcze piękniej.

– Bardzo jesteś miły. Ale, niestety, wojna... Postarzałam się.

Spojrzał na nią tak czule. Pomyślała, że zaraz się stopi. Przemknęło jej przez głowę, że może jednak im się ułoży. Tylko nie wolno jej się rozpędzać, to wszystko. Życie dłużej się składa, niż się je demoluje, ale to nie znaczy, że nie może być cudowne, pod warunkiem, że chodzi się na długie spacery i nastawia w radiu muzykę.

– Jeśli chodzi o pogodę, to nic nie straciłeś. Po twoim wyjeździe głównie padało.

Rozejrzał się po sali – śmiech, odbite w kryształach światło, które wszystkim służy.

– Już się bałem, że nigdy do tego nie wrócę. Już się prawie utopiłem, kiedy wyciągnęli mnie marynarze. Za chwilę opadłbym na dno. Słyszałem tylko koszmarny ryk, to były turbiny okrętu ratowniczego, a ja myślałem, że to już koniec. Musieli mnie

reanimować.

Ich słowa musiały się spotkać, bo tymczasem Mary powiedziała:

– Oczywiście w styczniu napadało dużo śniegu.

Hilda wróciła już do stolika, stanowcza i przypudrowana.

– Gruchajcie tu sobie gołąbki same.

Mary chwyciła ją za rękę.

– Nigdzie nie pójdziesz.

Nie rozumiejąc powodu jej przerażenia, Hilda ucałowała przyjaciółkę w oba policzki.

– Nie żartuj, wszystko w porządku. Wpadnę jutro do was po najnowsze wieści. – Spojrzała porozumiewawczo na Mary. – Nie wcześniej niż w południe.

– Ale naprawdę nie musisz...

– Nie pleć. Tylko bądźcie grzeczni, a jeśli nie dacie rady, to przynajmniej ostrzegajcie innych.

Wprawiła palce w falujący ruch i wyszła, lawirując między stolikami. Kelner przygasił żyrandol. Pianista zrobił sobie przerwę.

– Na Malcie było zwykle słonecznie, ale czasami zrywał się okropny wiatr – powiedział Alistair.

– Byłam zrozpaczona, kiedy mi napisali, że zaginałeś – wyznała mu w tej samej chwili Mary.

Ich dłonie, które dzieliło na stoliku ledwie trzydzieści centymetrów, jakoś nie mogły się ze sobą spotkać.

Pianista znów zasiadł przy fortepianie i zaczął grać *La Campanellę*. Kelner przyniósł drinki. Alistair nabił fajkę. Jedną ręką całkiem nieźle mu to idzie, pomyślała Mary. Podszedł kelner z kryształowym świecznikiem, by podać mu ogień. Pracownicy Ritza mieli w zwyczaju przeproszać szeptem za każde ze swoich perfekcyjnych działań. Nie mieli zapachu, a ich twarze nie przyciągały wzroku ani nie wywoływały emocji. Wtapiali się w półmrok, nie pozwalając sobie stawać w świetle żyrandola. Całkowicie wymykali się zmysłom, niczym magicy lub ojcowie. Przy sąsiednich stolikach goście gawędzili w najlepsze, jakby w życiu wszystko było gratis, a kelnerzy tylko wynosili popiół.

- Powinnam cię ostrzec...
- Powiniennem cię uprzedzić...
- Ty pierwszy – powiedziała Mary.
- Nie. Ty.

Ktoś znów przygasił żyrandol. Wydawało się, że rzuca jeszcze mniej światła, niż gdyby był wyłączony. Pianista wygrywał wysokie akordy sięgające skali, w której słyhać odgłos strun i młoteczków.

- Co chcesz powiedzieć? – spytał Alistair.
- Nic takiego. A ty?
- Tylko tyle, że... To nic pilnego.

Znowu podano drinki. Pianista grał nokturny Szopena. Kelnerzy w czarnych frakach wynurzali się z cienia, by przypalać papierosy Mary. Wystarczyło pomyśleć o ogniu, a ten zjawiał się jak na zawołanie, jakby sama myśl wywoływała płomień. Wystarczyło pomyśleć o drinku i już samo pragnienie sprawiało, że wyrastał on na ciężkiej tacy w szklance, której dotykały tylko dłonie obleczone w białą bawełnę. Mary przypuszczała, że może się to tak toczyć przez całą noc – to dopasowywanie rozwiązań do wszystkich zaspokajalnych ludzkich zachcianek, wykonywane z idealną precyzją obejmującą wszelkie ekstrema tego, co możliwe, to zaś sprawiało, że człowiek tym boleśniej odczuwał wątpliwości, których nigdy nie ukoji żaden kelner. Była to doskonała antyteza wojny, ta pełna udręki dbałość. Jakie to dziwne, że konieczność walki i jej brak wywołują w człowieku podobny lęk.

– Mary, wszystko w porządku? – Alistair położył jej dłoń na ramieniu.

– Tak, kochanie, dziękuję.

Oczywiście, że wszystko będzie w porządku. Będzie rozmawiać, gdy będzie temu sprzyjać aura, i będzie się śmiać, kiedy śmiech okaże się bardziej stosowny. Dobrze, że wciąż donosili im drinki, bo człowiek tak płomiennie po nich wygląda.

Alistair cofnął rękę.

– I co teraz zrobimy?

– Serwują tu pyszne kolacje, chociaż zrobiło się już późno.

Możemy też pójść do jakiejś kawiarni przy Haymarket, a jeśli nie jesteś głodny, zdążylibyśmy jeszcze do kina.

– No tak, ale miałem na myśli to, co teraz będzie z nami.

Mary zacisnęła dłoń na blacie stolika. Sala zaczęła się obracać wokół żyrandola. Ich biała planeta wirowała w tej wyłożonej pluszami, mrocznej, zadymionej przestrzeni.

– Przepraszam – pokajał się Alistair. – Zbyttno się nakręcąm. Nie zwracaj na mnie uwagi. Po Francji reagowałem tak samo. Właśnie przed tym chciałem cię przestrzec.

– Nie przepraszaj. Tak się cieszyłam na to nasze spotkanie. Myślałam, że będę miała gotowe wszystkie odpowiedzi. Wybacz mi.

Skinął głową i przeniósł wzrok na inne stoliki, przy których goście krążyli po mniejszych orbitach.

– Na Malcie, podczas blokady, trudno sobie wyobrazić, że ludzie w Anglii tak żyją. I trudno sobie wyobrazić, jaki głód tam panuje.

– Ja umiem to sobie wyobrazić – odparła Mary, choć od razu poczuła, że palnęła wyjątkową brednię.

Co prawda miło się do niej uśmiechnął, ale wreszcie spojrzała na siebie jego oczami. W jasnym świetle żyrandola, jeszcze zanim zjawił się Alistair, krąg jej krewnych i znajomych wydawał jej się niczym równik. Dopiero teraz pojęła, jak jest mały. Jakże próżna była w tym swoim gniazdku, moszcząc się wśród luster. Była nauczycielką, której nikt nie potrzebował, i córką, której rodzice odchodzili od zmysłów. I nagle wrócił Alistair, mężczyzna, który walczył z wrogiem, kiedy ona puszyła się, że stawia opór matce. Naprawdę siedzi przy tym stoliku w swoim kapeluszu z piórami i zastanawia się, czy go kocha?

– Przepraszam – powiedziała.

Aż zbladł z z troskania.

– Za co?

– Wybacz mi – rzuciła i wstała tak gwałtownie, że aż przewróciła krzesło. – Proszę cię, kochanie, wybacz mi...

Wybiegła na zaciemnione ulice miasta w ruinie, którego nie ukoją żyrandole.

Przez moment chciał za nią pobiec, ale bał się, że czegoś nie zrozumiał. Widocznie jawi jej się jako potwór, dlatego uciekła. Był w jeszcze gorszym stanie, niż sądził.

Usiadł w swoim mundurze przy pustym stoliku, a kelner postawił przewrócone krzesło bez słowa komentarza czy oznak poirytowania. Pianista nie przestawał grać. Kelner odstawił szklanę Mary i podkładkę na galwanizowaną tacę i strzepnął popiół z obrusa, zacierając wszelkie ślady jej bytności. Jakże nagle odchodzą ludzie. Jego ciało rozpaczało, ale umysł próbował za wszelką cenę przypomnieć sobie, jak tam dotarł. Zaniósł jej ciało aż do koszar i padł nieprzytomny przy wartowni. Nie, to nie tak. Nie otworzył słoika, który mu podarowała, pragnął zachować go do zakończenia wojny.

Nie, to zupełnie nie tak. Kochał ją.

*

Była jeszcze minimalna szansa, że go tam zastanie. Kiedy go zobaczyła, ruszyła wprost przed siebie, potrącając stoliki i nie zważając na oburzenie siedzących przy nich gości. Gdy przed nim stanęła, zdyszana, był najwyraźniej zaskoczony. Spojrzał na nią znad drinka, który na pewno nie był pierwszym.

– Mary?

– To miejsce to naprawdę nie ja. Myśl o mnie, co chcesz, ale musiałam ci to powiedzieć.

Wstał, opierając się o stół.

– A które miejsce to naprawdę ty?

– Nie mam już takiego miejsca.

– A może jest jakieś, w którym przynajmniej lepiej byś się poczuła?

– Lubię rzekę. Chodziłam tam czasami, kiedy zaginałeś.

– I powinniśmy się tam wybrać?

– Nie wiem. Późno już.

Spojrzał na zegarek.

- O której wyłączają Tamizę?
- Jesteś na mnie wściekły?
- Nie. Myślałem, że to ty jesteś rozczarowana.

W tle majaczył kelner, nie do końca pewien, czy ma przynieść koniak, czy płaszcz.

- A ty na co masz ochotę? – spytała Mary.
- Jeśli chcesz, możemy pójść na spacer. Niekoniecznie w jakieś konkretne miejsce.
- Upprzedzam, że powłóczę nogą.
- W takim razie ja pobiegnę, a ty pójdziesz na rękach.

Kiedy wyszli na dwór, powitał ich księżyc. Świecił równolegle do Piccadilly za ich plecami i malował cienie na chodniku. Ruszyli na zachód. Gdy zbliżali się do Embankment, Mary, która na moment poweselała, znów ogarnęło przygnębienie. Alistair mógł wziąć ją tylko za prawą rękę, a Mary kulą na lewą nogę i to od tej strony potrzebowała podparcia, szli zatem osobno. W to ich milczenie wkradło się skrępowanie. I Tamiza, gdy wreszcie do niej dotarli, tego nie zmieniła. Srebrne czubki fal w łagodnej wieczornej bryzie powinny obudzić dobre skojarzenia, ale Mary dostrzegła także lśniąca czern woda i zrobiło jej się zimno.

Podążyli wzdłuż brzegu na południe. Parlament przybrał barwę indyga. Bomby uszkodziły niektóre gałęzie platanów w Millbank. Mary i Alistair wymieniali uwagi o tych drobiazgach, wdzięczni, że znalazł się temat do rozmowy.

Kiedy dotarli do Tate Gallery, zauważyli, że bomby zmiotły z niej dach. Alistair był tym bardzo poruszony i chciał przyjrzeć się budynkowi z bliska. Mozaiki na podłodze były zniszczone, deszcze wymyły większość płytek. Dziesięć tysięcy kolorowych marmurowych detali leżało w niebieskawej księżycowej poświacie u podnóża schodów.

Alistair wszedł do środka, a Mary została na zewnątrz, dłubiąc butem w gruzie. Nie było sensu, żeby za nim szła. Teraz już wiedział, jak wygląda. Zawsze była tylko odciskiem w londyńskiej glinie, beneficjentką rodzinnych spadków i urody. Cieszyło ją

wrażenie, jakie robi na innych, bo sądziła, że to jej dzieło. Tymczasem takich jak ona były tysiące i będzie ich jeszcze więcej, a każda z tych dziewczyn będzie się łudzić, że wyłamała się z wzorca. Dojdzie do niezliczonych buntów, zastępom matek zostanie rzucone wyzwanie, lecz po wojnie zbiorą wszystkie płytki i wpasują je w miejsca, z których wypadły.

Mary stała pod roztrzaskaną centralną kopułą galerii. Ogołocona żelazna obręcz utworzyła aureolę wokół księżyca. Mary zapaliła papierosa. Odgłos zapalanej zapalniczki rozniósł się po pustym gmachu i wygonił z niego gołębie, które umknęły przez dziurawą kopułę.

Na co mu ktoś taki jak ona? Ale jutro też jest dzień i trzeba się z nim zmierzyć. Może powinna wrócić do domu. Jak tylko nadarzy się okazja, matka zaprosi Hunter-Hallów. Mary usiądzie na wyznaczonym miejscu przy stole, co – jak przypuszczała – zadecyduje o całej jej przyszłości. Społeczeństwo nie jest niczym skomplikowanym. Wystarczy podążać za swoim nazwiskiem, od miejsca przy stole po ślubny ołtarz i dalej, aż po grób.

Mary zgasiła papierosa i ruszyła w półmroku za Alistairem. Na ścianach widać było linię zacieków, niezliczone blade ślady grzyba. Jasne prostokąty na szarych ścianach wskazywały miejsca, gdzie wisały obrazy, które kiedyś tam powrócą. Jakaż ona była głupia, łudząc się, że Alistair ją pokocha. A jednak poszła za nim w mrok, choć wiedziała, że te kroki nie oddalą jej od samej siebie. Kiedy skończy się wojna, ewakuowani powrócą do domów. Zwierzęta z zoo trafią do ciężarówek, które przewiozą je do ich dawnych klatek. Świat nie wyrwie się ze schematu.

Zmatowiałe mosiężne tabliczki z tytułami obrazów wciąż tkwiły na ścianach, pobłyskując blado w poświacie księżyca. Dokładnie tutaj i tutaj wisały dzieła Constable'a i Turnera. Tu *Ofelia*, która tu powróci, nucąc dawne melodie.

Słyszając za sobą odgłos kroków, Mary obróciła się.

– Dlaczego tak nagle wybiegłaś? – spytał Alistair.

– Bo nie mogłam na siebie patrzeć. Ty tyle przeszedłeś, a ja, z tymi

swoimi dramatami i Ritzem! – Mary ukryła twarz w dłoniach. –
Z Ritzem.

Rozejrzał się wokół.

– To też nie jest już moje miejsce. Jakoś nie palę się do odbudowy.

– Myślisz... że uda nam się znaleźć jakieś miejsce dla nas?

Jego twarz stężała. Milczał.

– Alistair? – Serce waliło jej jak młotem.

– Nie wiem. Sądzisz, że byłabyś szczęśliwa?

– Moja matka uważa, że to słowo w czasie wojny nie ma racji
bytu.

– Nie obchodzi mnie, co uważa twoja matka.

– Chciałabym spróbować być szczęśliwą. Wiesz, że bywam
zabawna. Mam nadzieję, że znów możemy być jak dawniej.

– Możesz być zawiedziona. Źle sypiam. Z moją głową nie jest
najlepiej.

– Przecież już się nawzajem zawiedliśmy, a to jednak nie jest
koniec.

– Czy ja wiem...? Może i miałaś rację, że uciekłaś.

Mary opuściła rękę.

– Mogłeś pobiec za mną! Wystarczyłoby jedno dobre słowo. Sama
nie wiem, od czego zacząć, teraz, kiedy wreszcie możemy.

– Wybacz mi. Żałuję, że pozwoliłem ci uciec.

– A ja, że stamtąd wybiegłam. Ale przecież zawsze tak z nami
było. I później za każdym razem byliśmy sobie bliżsi. Kochanie,
jesteśmy sobie bliscy.

– Już na początku popełniliśmy błąd, udając, że to nie miłość?

– Ja go popełniłam. Stchórzyłam i nie powiedziałam Tomowi.
Gardzisz mną za to?

Alistair pokręcił przecząco głową.

– Powinienem był powiedzieć, że cię kocham. Czy to by coś
zmieniło?

– Zmienia teraz. A możesz mi powiedzieć, czy nadal mnie
kochasz, czy już nie? Przyjmę każdą odpowiedź. Teraz już wiem, że
warto być dzielnym i to powiedzieć.

Alistair zapalił fajkę i oparł się o ścianę. Mary stanęła obok niego, na wyciągnięcie ręki. Wpatrywali się w miejsca, w których dawniej wisiały obrazy.

– Nie wiem, jak ci odpowiedzieć. Moje emocje są inne niż kiedyś. Wcześniej te obrazy mnie poruszały.

– Ja też cię poruszałam.

Ujął jej dłoń.

– Opadłem tak głęboko, zanim mnie wyciągnęli. Przykro mi.

Spojrzała na swoją dłoń w jego dłoni.

– A jednak wciąż ci na mnie zależy.

– Martwię się, że boli cię noga. Martwię się, że cię zasmucam. Są tysiące rzeczy, które chciałbym dla ciebie zrobić.

– To może spróbujesz? Mógłbyś mnie kiedyś znów pokochać?

– Przeraza mnie sama myśl, że nie.

– A mnie przeraza to, że zawsze będę cię kochać.

Pocałowała go. Przez jakiś czas stali w milczeniu. Mary czuła ciężar tej ciszy, ale nie było w niej smutku, bo cisza nie zdążyła się jeszcze wymknąć z ich serc, by zagnieździć się w codzienności. Może jeśli będą ostrożni, nigdy się nie wymknie. Może prawdziwa miłość polega na trzymaniu się z dala od teatrów, dworców kolejowych, słoików z dżemem i ram obrazów, od wszystkich tych buńczucznych codziennych spraw, które z czasem spróbują ich pokonać. Według Mary nawet nadzieja na miłość była pułapką, kiedy ktoś mówił o uczuciu, a miał na myśli tylko zawieszenie broni. Może głupotą było wyobrażanie sobie czegoś bardziej konkretnego, bo w końcu serce nie ogłasza swoich tryumfów. Deklaruje jedynie przebaczenie, dla którego nie ma wielkich precedensów ani formularzy kapitulacji.

Mary rozbolała noga. Osunęła się na podłogę. Alistair przysiadł obok. W pustej galerii siedzieli w pewnym oddaleniu – nie tak daleko od siebie, by wsunęło się między nich życie, ale i nie tak blisko, że by nie mogło, gdyby spróbowało. Wpatrywali się w jaśniejsze szare prostokąty po obrazach. Dostrzegli przez dziury w dachu i szpary w ścianach, że miasto wokół nich jaśnieje – ich

pradawne miasto ze swoim uporządkowanym rytmem pływów, które zawracają do morza.

Na wschodzie znad rzeki wychynęło jaskrawe czerwone słońce, zaskakując Mary. Nie chciało jej się spać. Jego promienie wdarły się przez zniszczoną kopułę i zalały ścianę galerii, oślepiając Mary, która mrugała powiekami, aż znów stanął przed nią świat. Obok, pośród ruin, leżał Alistair, z zamkniętymi oczami, bez żadnej skazy. Krótki, jaskrawy przebłysk słońca, gdzieś między chmurą a wschodnim horyzontem. Niewyobrażalna rzecz to życie, pomyślała Mary. Było nim odkręcenie zmatowionych mosiężnych tabliczek i zaburzająca wzór brakująca płytki mozaiki. Było nim też powietrze, którym wciąż można było oddychać, jeśli każdy, komu przebaczone, pozostał dzielny.

Od Autora

Któregoś dnia podczas straszliwego oblężenia Malty mój dziadek od strony matki, oficer Artylerii Królewskiej, kapitan Hill, odebrał rozkaz, by czuwać nad Randolphem Churchillem, błyskotliwym, acz rozwiązłym synem brytyjskiego premiera. „Pilnuj go, Davidzie, i – jeśli to w ogóle możliwe – nie pozwól wpakować się w kłopoty”, przykazał generał dywizji, który zlecił mu to niecodzienne zadanie.

Pracę nad tą powieścią rozpocząłem od rozważań nad tym, co to właściwie oznaczało. Państwa Osi przez dwa lata utrzymywały Maltę w morderczym uścisku, co sprawiło, że członkowie tamtejszego garnizonu oraz mieszkańcy wyspy praktycznie przymierali głodem. W takim miejscu wylądował na spadochronie przymulony i otyły Randolph. Było gorąco, więc postanowił popływać. Mój dziadek zabrał go na plażę, z której korzystali oficerowie, gdzie pozostawiono wąski pas pomiędzy linią min i zasiekami z drutu kolczastego.

Randolph pojawił się na Malcie jako osoba prowadząca werbunek do raczkującego SAS. Głodującym oficerom przedstawił ofertę, której trudno się było oprzeć: pełne racje żywnościowe i wyjazd z wyspy, a w zamian akces do oddziału komandosów. Wspierający Randolpha w jego staraniach, mój dziadek uznał, że zachowałyby się jak cham, gdyby nie zgłosił się do nich na ochotnika. Później został zrzucony na tyły nieprzyjaciela w Afryce Północnej.

Randolph słynął z fantastycznej odwagi. Nie wahał się narażać na ostrzał, żeby dostarczyć rozkazy. Na Malcie mógł w ten sposób zginąć, albo – co gorsza – trafić do niewoli. W decydującej fazie drugiej wojny światowej syn premiera byłby cennym jeńcem. Mój dziadek odebrał dobre wykształcenie, rewolwer Webley Mk IV oraz

uroczo dwuznaczny rozkaz.

Ta powieść zaczęła się jako rodzaj sztuki scenicznej, będącej analizą relacji tych dwóch postaci. Ostatecznie jednak wybór Randolpha na głównego bohatera mojej opowieści okazał się nietrafiony. O wiele bardziej zainteresował mnie mój dziadek – naprawdę dzielny człowiek, który miał niestety tę wadę, że zawsze znajdował w życiu okazje, by snuć zabawne historyjki, budować jachty i czytać swoim wnukom powieść *Charlie i fabryka czekolady*. Pewne cechy Randolpha zostały przypisane w powieści postaci Simonsona, jednak opis tego człowieka – na swój sposób wspaniałego – pozostawię jego doskonałym biografom.

Wybrałem się na Maltę, by spędzić tam trochę czasu i lepiej zrozumieć przeżycia, jakie stały się udziałem mojego dziadka. Starsi mieszkańcy wyspy okazali się bardzo mili, cierpliwie i wyczerpująco odpowiadając na moje pytania, a warto pamiętać, że należę do ostatniego pokolenia pisarzy mających okazję porozmawiać z ludźmi, którzy przeżyli drugą wojnę światową. Dlatego wyłączyłem telefon komórkowy i sypiałem jedynie w miejscach, w których stacjonował mój dziadek.

Obaj moi dziadkowie służyli w artylerii. We wszystkich miejscach, w których pełnili służbę, wciąż można znaleźć wielkie betonowe platformy, na których umieszczano działa, oraz twierdze, których broniły. Miałem zatem możliwość ich odwiedzenia; wystarczyło, że dziadek wspomniał mi, gdzie stacjonował na Malcie.

Spędziłem też sporo czasu na cmentarzach wojskowych. W spisanych przez siebie wspomnieniach dziadek odnotował nazwiska niektórych poległych, których znał. Tu nazwiska te odnalazłem wyryte w kamieniu, dotykałem ich własnymi dłońmi. Doświadczylem związanej z wojną żałoby w sposób często opisywany przez osoby, które na takich cmentarzach odwiedzają groby swoich bliskich. A jednak było to dla mnie zaskakujące i przytłaczające przeżycie.

Zauważyłem, że cmentarze na Malcie różnią się od wojskowych cmentarzy żołnierzy alianckich w innych krajach, gdyż tam

czterech, pięciu, a nawet sześciu poległych spoczywa w jednej mogile. Kiedy o to spytałem, odpowiedziano mi z uśmiechem, żebym spróbował wykopać na tej wyspie dół. Dowiedziałem się, że rzadko można spotkać tam warstwę gleby okrywającej żółte skały grubszą niż dwadzieścia centymetrów. Wygłodniali żołnierze robili, co mogli, by rozkuć wapień tępymi motykami. Wtedy już wiedziałem, jak napiszę tę książkę. Rzecz jasna, nie oddaje ona całej prawdy, ale może właśnie na tym polega praca autora powieści beletrystycznych – na wykopaniu jednej niewielkiej dziurki, w której należy pomieścić cały zastęp ludzi.

Podczas ostatniego dnia pobytu na wyspie pojechałem do Bingemmy, gdzie w starym wiktoriańskim forcie przez jakiś czas stacjonował mój dziadek. Twierdza położona jest na wzgórzu z widokiem na rozległą równinę. Miałem przy sobie notatnik i uznałem, że mury fortu będą tym miejscem, w którym zacznę pisać swoją powieść. Niestety, dowiedziałem się, że twierdza pozostaje teraz w rękach prywatnych; sypiącą się budowlę ogrodzono drutem kolczastym i strzegą jej psy z rodzaju tych, które zadają pytania dopiero, jak zagryzą.

Wiatr miotał kłęby kurzu i foliowe torebki na rozpadające się mury. Most zwodzony blokowało dzikie wysypisko gruzu i zdezelowanego sprzętu AGD. Fosa, w której dziadek zbierał skromne żniwa, była cała zarośnięta – nie tylko przez zarośla, lecz także przez duże drzewa. Na ziemi walały się strzykawki. Było to zapomniane i zbezczeszczone miejsce. Ostatecznie nie zacząłem pisać tam swojej powieści, gdyż dotarło do mnie, że wciąż nie wiem, jak mam ją zacząć. Wziąłem stamtąd tylko mały kamyk, który odpadł od zniszczonych murów fortu, i zabrałem go do domu, żeby dać dziadkowi. Nigdy mu go jednak nie podarowałem. Bałem się, że bardzo się zmartwi, kiedy pokażę mu zdjęcia i dowie się, w jak opłakanym stanie znajduje się teraz to miejsce. Może niepotrzebnie, bo istniało duże prawdopodobieństwo, że ucieszyłaby go wiadomość, iż okazał się mocniejszy od twierdzy.

Mój dziadek zmarł, kiedy pisałem tę powieść, ale – jak by pewnie

skomentował – raczej nie z mojej winy. Żałuję, że nigdy nie przeczyta tej książki. Odszedł, kiedy powieść była po trzeciej z – jak się później okazało – pięciu redakcji, a ja chciałem poczekać, aż stanie się idealna, nim dam mu ją do przeczytania. Ale ze mnie głupiec... Jeśli zechcecie przyjąć jedyną uprawnioną radę pisarza: nigdy nie bójcie się pokazać ukochanej osobie zarysu Waszej pracy.

David Hill naprawdę żeglował – dla rozrywki – czteroipółmetrowym jachtem między minami unoszącymi się na migotliwych wodach wokół Malty i porównał opis katastrofy statku, którym podróżował święty Paweł, z dwudziestego siódmego rozdziału Dziejów Apostolskich ze stosowną mapą. Zgłosił się do wojska w dniu wybuchu wojny i, z dotąd niewyjaśnionych powodów, rzeczywiście oddalił się bez pozwolenia na pięć tygodni. Po powrocie do jednostki – z równie niewyjaśnionych przyczyn – pułkownik spytał go, zerkając na zegarek: „Dlaczego się spóźniłeś?”.

Oprócz udziału w wymienionych tu epizodach Alistair ma niewiele wspólnego z moim dziadkiem, a fabuła książki pozostaje czystą fikcją. Inspiracją powieści była postać mojego dziadka i nie mogłaby ona powstać bez niego, ale w żadnym wypadku nie stanowi opisu jego autentycznych przeżyć.

Powieść rozpoczyna się, rzecz jasna, w Londynie. Mary North stała się jedną z jej centralnych postaci z tego samego powodu, dla którego Randolph Churchill nią nie został – takiego, mianowicie, że odwaga jest czymś bardziej subtelnym, gdy ktoś ma w życiu wiele do stracenia. Poza tym przekonałem się, że lepiej czerpać z historii własnej rodziny, niż przeceniać własną wiedzę na temat dziejów świata. Skoro już przyszło mi wykopać małą dziurkę, to niech przynajmniej ma starannie obrobiony brzeg. Inspiracją dla postaci Mary była moja babcia ze strony ojca, Margaret Slater, która podczas nalotów kierowała karetką w Birmingham, oraz babcia ze strony matki, Mary West, nauczycielka prowadząca własną szkołę i przedszkole.

Żadna z moich babć nie dała się namówić na opowieści o wojnie. Obie zbywały nasze pytania uśmiechem i machnięciem ręki. Gdy

rozmawiałem z nimi w dzieciństwie, odnosiłem wrażenie, że wojna była czymś krótkim, nieprzyjemnym i że nie warto strzępić sobie z jej powodu języka – coś jak koszarne, deszczowe wakacje pod namiotem. Trudno byłoby się domyślić, że Margaret – malarka – prowadziła karetkę, gdy z nieba leciały bomby, czy że pierwszy narzeczony Mary zginął, siedząc obok niej w kinie podczas nalotu na wschodni Londyn, kiedy to sama omal nie zginęła. Zdarzenie to pozostawiło na jej ciele blizny.

Kiedy ta prawdziwa Mary zaręczyła się ponownie z moim dziadkiem, Davidem, podczas mroków 1941 roku, w jej pierścionku było dziewięć brylantów – z których każdy symbolizował ich dotychczasowe spotkania. Po paru dniach David trafił na pokład okrętu zmierzającego na Malte. Później nie widzieli się przez ponad trzy lata. W tamtych czasach młodzi podejmowali szybkie decyzje, kierując się odwagą i intuicją, a ich nadzieje zawsze wisały na włosku. Musieli mieć ogromną wiarę w życie i w siebie nawzajem. Pisali listy, które nie dochodziły do adresatów całymi tygodniami albo miesiącami, a czasami nie dochodziły wcale. Z uwagi na znaczenie tej korespondencji wlewali w nią całą swoją duszę – jakby w każdej chwili mogło zabraknąć papieru, atramentu bądź ręki.

Wciąż przechowujemy wszystkie listy, które David wysłał do Mary, natomiast z jej listów nie zachował się ani jeden. Cały ten skarb płynął z Malty innym okrętem niż listy Davida i w połowie drogi został zatopiony przez torpedę z niemieckiego U-boota.

Kiedy zaczynałem pisać tę książkę, będącą skromną opowieścią o drugiej wojnie światowej, miałam nadzieję, że uda mi się wykazać fałsz wojen toczonych w obecnych czasach, do których większość z nas nie ma osobistego stosunku. Wojny te nie kończą się zwycięstwem czy też kapitulacją; wyznacza się im daty zakończenia i zakłada, że nigdy nie dojdzie do pogodzenia z nieprzyjacielem. Pragnąłem, by Czytelnik zaczął się zastanawiać, czy jest możliwe przebaczenie na poziomie narodów, czy też da się je osiągnąć jedynie pomiędzy pojedynczymi osobami, które wykażą się odwagą.

Jak już wspomniałem, uświadomiłem sobie, że wykopana przeze mnie dziurka jest jeszcze mniejsza, niż zakładałem. Mam nadzieję, że Czytelnicy będą postrzegać tę książkę po prostu jako wyraz szczerzej zadumy szarego człowieka, potomka tytanów, wpatrującego się w szczyty, z których upadł.



Pierwsza fotografia przedstawia mojego dziadka, Davida Hilla (po prawej) z członkiem oddziału komandosów SAS w Algierii w 1944 roku. Na drugiej, wykonanej w tym samym roku, widzimy Davida i Mary. Zdjęcie zrobił im Polak, oficer RAF-u, mieszkający w hotelu, w którym dziadkowie zatrzymali się podczas podróży poślubnej.

Podziękowania

Mój przyjaciel, Matt Rowley, namówił mnie, żebym zarzucił poprzednią powieść i zamiast niej napisał tę. Dzięki, Matt.

Przeprowadziłem wiele sympatycznych i ciekawych dyskusji na temat struktury tej powieści z moim przyjacielem i australijskim wydawcą, Mattem Richellem, którego jest w tej książce bardzo wiele. Kiedy ją pisałem, Matt zginął, pływając na desce surfingowej. Bardzo mi go brakuje. Był dowcipnym, inspirującym, wielkodusznym i szczodrym człowiekiem. Hannah dobrze wie – i mam nadzieję, że wiedzą to też jego dzieci – że nie byłem jedynym pisarzem, którego zachęcał do pokonywania własnych ograniczeń. Był bardzo dzielny, pięknie i na trwałe odcisnął swoje piętno na moim życiu.

Niczym planetę o dwóch słońcach z mroku wydobywają mnie moi agenci, Peter Straus i Jennifer Joel. Uprzejmość i fachowość Petera są przeogromne, a wkład redakcyjny Jenn tak istotny, że traktuję ją jak swojego coacha i współautorkę tej powieści. Oto osoby, którym przekazuję i tak niedostateczne wyrazy wdzięczności za ich niestrudzone zaangażowanie i hojną pomoc: Nikki Barrow, Amber Burlinson, Kristin Cochrane, Susie Dooré, Jonathan Karp, Kiara Kent, Drummond Moir, Marysue Rucci, Francine Toon oraz Carole Welch.

W szczególności chciałbym podziękować Marysue Rucci za szczerość, kiedy mi nie szło, i za utwierdzanie mnie w przekonaniu, że dam radę. Jej słowa zachęty oraz wiedza na temat wojny uratowały tę książkę.

Jestem bardzo wdzięczny Damianowi Barrowi za to, że powitał ją z takim entuzjazmem już we wczesnej fazie powstawania i że

stworzył mi możliwość czytania fragmentów niedokończonej jeszcze powieści w swoim słynnym Salonie Literackim.

Dziękuję Sarah Ager z BBC za odnalezienie w przepastnych archiwach mnóstwa odcinków słuchowiska radiowego tej stacji, zatytułowanego *Kentucky Minstrels*. Pragnę też wyrazić wdzięczność Michaelowi Pickeringowi z Loughborough University, którego praca *Blackface Minstrelsy in Britain* (2008) otworzyła mi furtkę do badań nad prawdopodobnie najpopularniejszym jeszcze w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku – a obecnie świadomie pomijanym – rodzajem lekkiej rozrywki w Wielkiej Brytanii. Podobnie jak książka *The Evacuees* pod redakcją B.S. Johnsona (1968), która pozwoliła mi lepiej zrozumieć szczegóły ewakuacji ludności cywilnej podczas wojny. Drażąc ten temat, korzystałem również z pozycji *Evacuation Survey* pod redakcją R. Padleya (1940) oraz *Out of Harm's Way* Jessiki Mann (2005).

Opis awaryjnego lądowania bombowca wellington pod Gibraltarem zaczerpnąłem z relacji George'a Beurlinga, który przeżył katastrofę liberatora, zamieszczonej w książce *Malta Spitfire* (1943).

Dziękuję Commonwealth War Graves Commission za pomoc w odnalezieniu mogił żołnierskich na Malcie oraz za dbanie o cmentarze wojskowe z pieczołowitością przekraczającą oczekiwania wobec instytucji publicznych.

Bardzo gorąco dziękuję wszystkim Czytelnikom za dobre słowa oraz tym, którzy pochlebnie wyrażali się o moich książkach, kiedy pisałem tę powieść. Przez jakiś czas goniłem w piętke, dlatego wszystkim, którzy mi kibicowali, daję po jednej linijce. Wybierzcie swoją ulubioną.

Dziękuję Clémence i naszym dzieciom za nieustanne wsparcie. To samo odnosi się do moich krewnych i przyjaciół. Dziękuję.

Chris Cleave
Londyn, wrzesień 2015